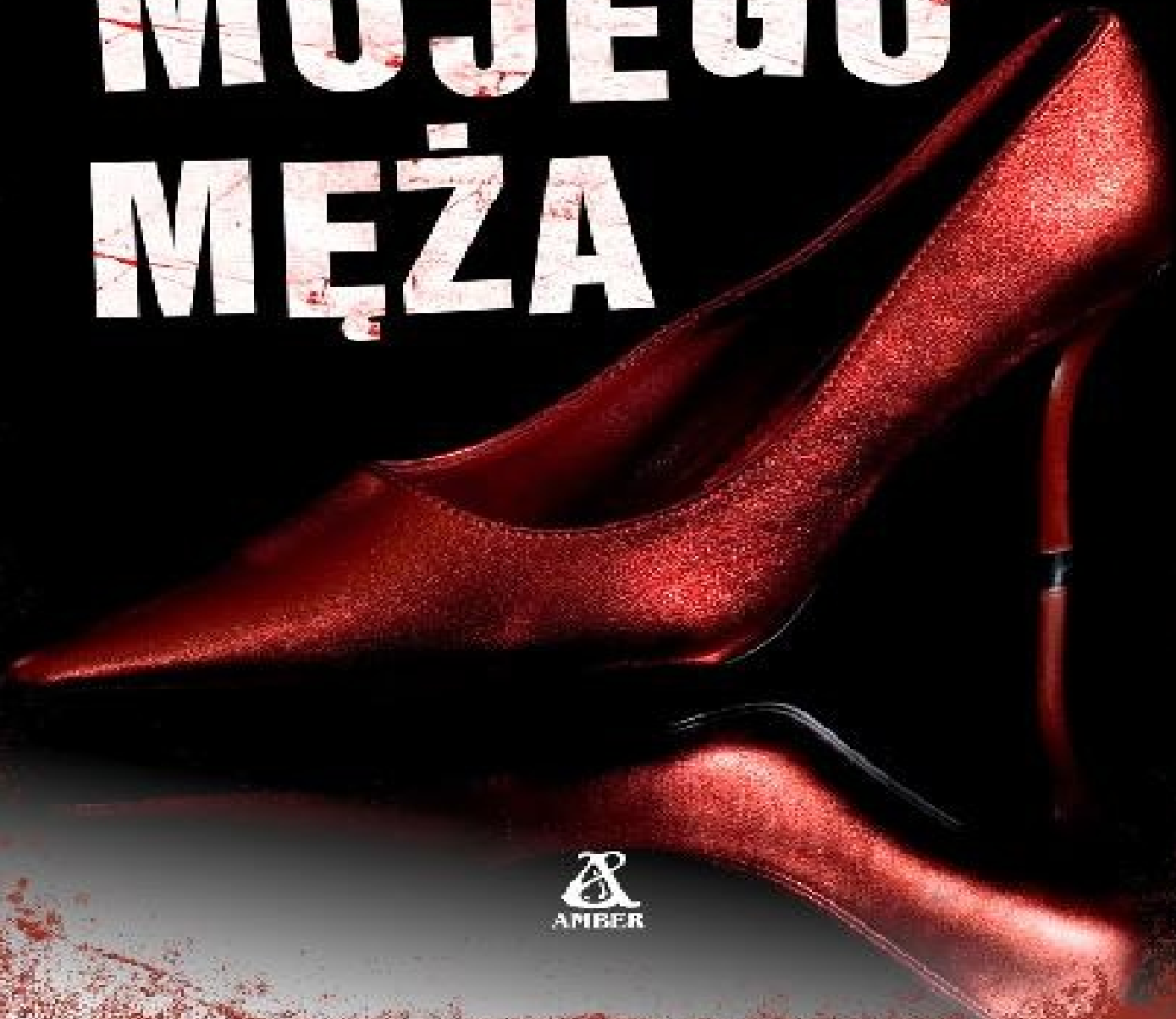


JANE CORRY

Najpierw jest miłość...
Potem małżeństwo...
Potem morderstwo...

**ŻONA
MOJEGO
MĘŻA**




AMBER

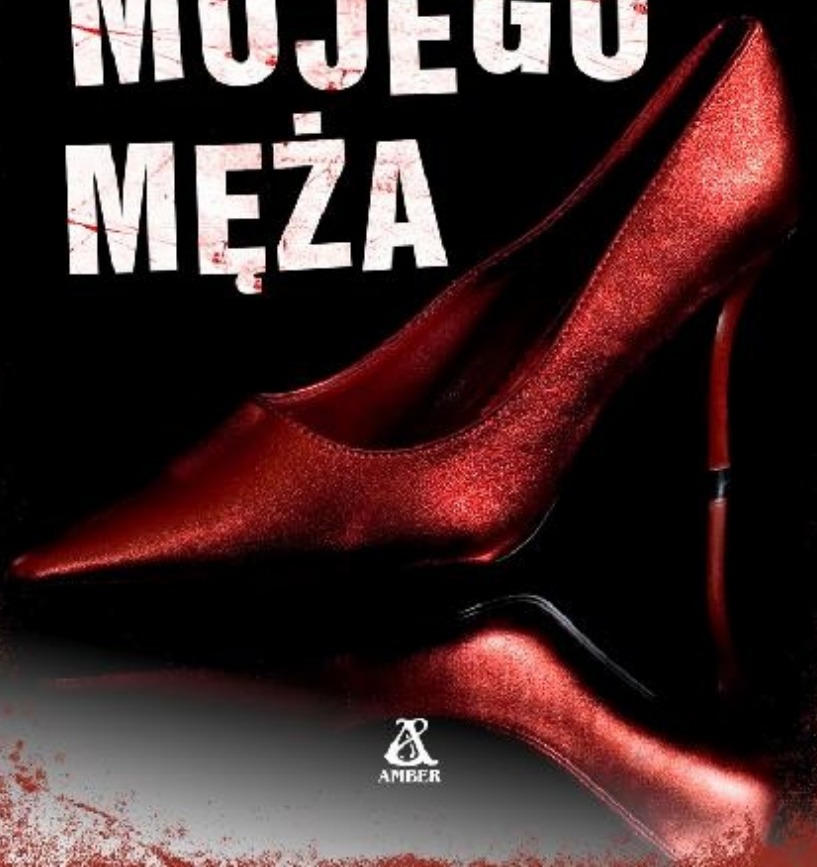
JANE CORRY

Najpierw jest miłość...

Potem małżeństwo...

Potem morderstwo...

**ŻONA
MOJEGO
MĘŻA**




AMBER

JANE CORRY

**ŻONA
MOJEGO
MĘŻA**

Przekład
**IRENA KOŁODZIEJ
PAWEŁ KWAŚNIEWSKI**



*Dedykuję tę książkę mojemu fantastycznemu drugiemu mężowi, Shaunowi.
Ani chwili nudy! Dzięki tobie nie tylko się śmieję, pozostawiasz mi także przestrzeń, żebym mogła
pisać.*

Dedykuję ją także moim wspaniałym dzieciom, które inspirują mnie każdego dnia.

Prolog

Błysk metalu.

Grom w uszach.

„Godzina siedemnasta. Słuchają państwo popołudniowych wiadomości”.

Radio, ćwierkające wesoło z sosnowej komody zastawionej zdjęciami (wakacje, gala wręczenia dyplomów, ślub); śliczny błękitno-różowy talerz; ćwiartka jacka danielsa na drugiej półce, częściowo zasłonięta jakąś urodzinową kartką.

Potwornie boli mnie głowa. Rwie prawy nadgarstek. Ból w piersi mnie przeraża. Krew też.

Osuwam się na podłogę. Chłód czarnych płytek przynosi ulgę. Drzę. Całkiem jak Tom, kiedy wbił sobie nożyczki w kolano, jak miał sześć lat, „żeby zobaczyć, jak to jest”.

Tylko on mógł to zrobić.

Nade mną na ścianie widzę biały domek opleciony fioletową bugenwillą. Pamiątka po miodowym miesiącu we Włoszech.

Czy małżeństwo może się zakończyć morderstwem? Nawet jeśli już jest martwe?

Ten obrazek to będzie ostatnia rzecz, którą widzę. Ale w głowie przeżywam życie jeszcze raz.

A więc to prawda, co mówią o umieraniu. Przeszłość powraca, żeby odejść wraz z tobą...

Daily TELEGRAPH

Wtorek, 20 października 2015

Artysta Edward Macdonald

został znaleziony martwy we własnym domu.

Zginął od ciosu sztyletem. Przyjmuje się, że...

CZEŚĆ 1

Piętnaście lat wcześniej

Lily

Wrzesień 2000

Zdenerwowana? – pyta Ed.

Właśnie nabiera sobie swoich ulubionych płatków śniadaniowych. Ryżowych chrupek. Normalnie i ja je lubię. (Chrupkie, bez mleka). Jak byłam małą, fascynowały mnie postaci o bużkach elfów na opakowaniu i ta magia nie wyparowała do końca.

Dziś jednak nie jestem w stanie nic jeść.

– Zdenerwowana? – powtarzam, zapinając perłowe kolczyki przed wiszącym obok zlewu lusterkiem. Mieszkanie jest małe. Muszą być jakieś kompromisy.

Czym? – o mała nie dodaję. Tym, że to pierwszy dzień małżeńskiego życia, być może... Regularnego małżeńskiego życia w pierwszym roku nowiutkiego stulecia. Zdenerwowana, bo powinniśmy byli dać sobie więcej czasu i znaleźć lepsze mieszkanie, a nie to, w marnej dzielnicy Clapham, z sąsiadem pijakiem drzwi w drzwi, gdzie i sypialnia, i łazienka są tak małe, że moja tubka podkładu do twarzy Rimmla (jasny beż) i dwie szminki (różowa i rubinowa) utknęły obok łyżeczek w szufladzie na sztućce.

A może zdenerwowana, bo trzeba wracać do pracy po miodowym miesiącu spędzonym we Włoszech? Po tygodniu na Sycylii, gdzie w opłaconym przez babcię Eda hotelu obalaliśmy kolejne butelki marsali, zagryzając sardynkami z grilla i kawałkami sera pecorino.

Być może denerwuję się tym wszystkim naraz.

Normalnie bardzo lubię moją pracę. Dotąd siedziałam w prawie pracy, pomagałam ludziom – zwłaszcza kobietom – których bezpodstawnie wyrzucili z pracy, bo szukali kozła ofiarnego. To coś dla mnie. O mała co nie zostałam pracownicą socjalną, jak tato, ale dzięki uporowi mojego nauczyciela od doradztwa zawodowego oraz – powiedzmy – pewnym wydarzeniom w moim życiu jestem tu, gdzie jestem. Dwudziestopięcioletnia świeżo upieczona prawniczka z minimalnym wynagrodzeniem. Świeżo upieczona żona. Usiłująca dopiąć guzik z tyłu granatowej spódnicy. W kancelarii prawnej nikt nie ubiera się w jaskrawe kolory, jedynie sekretarki. Wysyłałoby to niewłaściwe sygnały. A przynajmniej tak mi powiedziano na starcie. Prawo to wspaniały zawód, ale są sytuacje, kiedy wydaje się śmiesznie staroświeckie.

– Przenosimy cię do kryminalistyki – oznajmił mi szef w charakterze ślubnego prezentu. – Uważamy, że będziesz w tym dobra.

No i teraz, pierwszego dnia po powrocie z miodowego miesiąca, szykuję się, żeby pójść do więzienia. Na spotkanie z człowiekiem oskarżonym o morderstwo. Nigdy przedtem nie byłam w więzieniu. Nigdy nie chciałam tam pójść. To dla mnie nieznaną świat. Zarezerwowany dla ludzi, którzy zrobili coś złego. Ja mam tak, że jeśli wydadzą mi za dużo, kiedy kupuję w kiosku nowy numer „Cosmo”, natychmiast wracam i oddaję.

Ed jak zwykle coś bazgrze. Lekko przechyliwszy głowę, szkicuje coś w notatniku obok talerza z płatkami. Mój mąż bez przerwy rysuje. To jedna z rzeczy, które mnie w nim ujęły.

– Reklama – powiedział, wzruszając smętnie ramionami, kiedy spytałam, czym się zajmuje. – W jej twórczym aspekcie. Ale kiedyś chcę się zająć wyłącznie sztuką. To, co teraz, to tylko na jakiś czas, żeby mieć z czego płacić rachunki.

Spodobało mi się to. Mężczyzna, który wie, czego chce. Ale w jakimś sensie się pomyliłam. Kiedy Ed rysuje albo maluje, nie wie, na jakiej planecie żyje. W tej chwili nie pamięta nawet, że mnie o coś zapytał. Ale nagle staje się dla mnie ważne, żeby odpowiedzieć.

– Zdenerwowana? Nie, nie jestem zdenerwowana.

Kiwa głową, ale nie jestem pewna, czy tak naprawdę mnie usłyszał. Kiedy Ed ma fazę, reszta świata się nie liczy. Nawet to, że ściemniam.

Dlaczego, zadaję sobie pytanie, biorąc go za lewą rękę – tę z błyszczącą złotą ślubną obrączką – nie powiem mu, co naprawdę czuję? Dlaczego się nie przyznam, że cała się trzęsę i że muszę iść do klopa, chociaż dopiero co byłam? Dlatego, że nie chcę zniszczyć tej cudnej postmiodowomiesięcznej mgiełki? Bo chcę udawać, że nasz tydzień z dala od świata wciąż trwa, tu i teraz, a nie tylko w pamiątkach, które ze sobą przywieźliśmy, jak na przykład ten śliczny błękitno-różowy talerz, który Ed z takim przejęciem przynosi na papier?

A może dlatego, że usiłuję udawać, że wcale się nie boję tego, co mnie dziś czeka? Dreszcz przebiega mi po plecach, gdy psikam sobie na nadgarstki Chanel nr 5 ze sklepu wolnocłowego. (Prezent od Eda z wykorzystaniem kolejnego czeku, jaki dostaliśmy w charakterze ślubnego podarunku). Miesiąc temu adwokat z konkurencyjnej firmy dostał nożem w oba płuca, kiedy poszedł odwiedzić klienta w Wandsworth. Zdarza się.

– Idziemy. – Niepokój sprawia, że mówię ostrzejszym głosem niż zwykle. – Bo się spóźnimy.

Ed niechętnie podnosi się z chwiejnego krzesła, które zostało po poprzednim właścicielu mieszkania. Wysoki mężczyzna z tego mojego męża. I chudy. W chodzie ma coś skruszonego, jakby tak naprawdę wolał być w danej chwili gdzie indziej. W dzieciństwie miał podobno włosy tak samo złote, jak ja dzisiaj („Jak tylko cię zobaczyliśmy, wiedzieliśmy, że jesteś Lily” – mówi zawsze moja matka), ale w tej chwili są ciemnoblonde. I ma grube palce, zupełnie nietypowe dla artysty, jakim chciałby się stać.

Wszyscy potrzebujemy marzeń. Lilie mają być piękne. Pełne wdzięku. W górnych partiach wyglądam OK, dzięki naturalnym blond włosom i temu, co moja nieżyjąca babcia uprzejmie nazywała „wytworną łabędzią szyją”. Ale jeśli przenieść wzrok niżej, widać nie smukłą łodygę, a resztki dziecięcej otyłości. Choćbym nie wiem co robiła, to kupując ubranie, nie zejść poniżej rozmiaru 44 – a i to jeśli mam szczęście. Wiem, że nie powinnam się tym przejmować. Ed mówi, że moja sylwetka to częśćka mnie. Mówi to w sympatycznym sensie, tak mi się przynajmniej wydaje. Ale moja waga mi przeszkadza. Zawsze przeszkadzała.

Kiedy wychodzimy, zahaczam wzrokiem o stosik kart z życzeniami z okazji ślubu, wspartych o sprzęt do nagrywania na biurku Eda. Państwo Macdonald. Jak obco wygląda to nazwisko.

Pani Edwardowa Macdonald.

Lily Macdonald.

Chyba z tysiąc razy trenowałam mój nowy podpis (za pomocą zawijasa łącząc „y” z „M”), ale wciąż

czegoś mu brak. Imię i nazwisko nie zawsze do siebie pasują. Mam nadzieję, że nie jest to zły znak.

A na razie trzeba koniecznie odpisać i podziękować za wszystkie te kartki, jeszcze w tym tygodniu. Jeśli matka mnie czegoś nauczyła, to grzeczności. Taktu.

Jedna z kartek napisana jest szczególnie rzucającym się w oczy turkusowym atramentem, całkiem jakby krzyczała: spójrz na mnie!

– Kiedyś chodziłem z Daviną – wyjaśnił Ed, zanim pokazała się na naszej zaręczynowej imprezie. – Ale teraz się tylko przyjaźnimy.

Myślę o Davinie z jej końskim śmiechem i artystycznie ufryzowanymi kasztanowatymi lokami, dzięki którym wygląda jak modelka prerafaELITÓW. Davinie, która pracuje w Events, organizując imprezy, na które chodzą wszystkie „fajne dziewczyny”. Która, kiedy nas sobie przedstawiła, zmrużyła fiołkowe oczy, jakby się dziwiła, dlaczego Ed zawraca sobie głowę czymś takim – dziewczyną za wysoką, za grubą, niestaranie uczesaną. Wizerunek, który codziennie oglądam w lustrze.

Czy facet może się tak po prostu przyjaźnić z kobietą, z którą był kiedyś w związku?

Postanawiam, że odpowiem na życzenia mojej poprzedniczki jako ostatnie. Ed ożenił się ze mną, a nie z nią, przypominam sobie samej.

Ciepła dłoń mojego nowo poślubionego męża ujmuję w tej chwili moją, tak jakby wyczuł, że potrzebuję otuchy.

– Będzie dobrze, zobaczysz.

Przez chwilę się zastanawiam, czy nie chodzi mu o nasze małżeństwo. Po czym sobie przypominam. Mój pierwszy klient-kryminalista, Joe Thomas.

– Dzięki. – To krzepiące, że Ed nie kupił mojej wcześniejszej brawury. Ani mojego niepokoju.

Razem zatraskujemy za sobą drzwi, sprawdzając dwa razy, bo wszystko tu jest dla nas nowe, i szybko idziemy korytarzem parteru w stronę wyjścia. Tymczasem otwierają się inne drzwi i wychodzi z nich wraz z matką dziewczynka o lśniących ciemnych włosach związanych w ruchliwy koński ogon. Już raz je widziałam, ale kiedy powiedziałam „dzień dobry”, nie odpowiedziały. Obie mają śliczną oliwkową cerę i poruszają się z gracją, która sprawia, że wyglądają, jakby płynęły.

Razem wychodzimy na ostre jesienne powietrze. Ruszamy w tę samą stronę, ale nasze sąsiadki zostają trochę z tyłu, bo dziewczynka o coś matkę molestuje. Wyglądają jak kopie, tyle że matka ma na sobie dość krótką czarną spódniczkę, a mała – granatowy szkolny mundurek. Jak my będziemy mieli dzieci, postanawiam, to wychowamy je tak, żeby nie marudziły.

Kiedy dochodzimy do przystanku, przebiega mnie dreszcz: to blade jesienne słońce jest całkiem inne niż upał podczas naszego miodowego miesiąca. Ale to perspektywa rozstania sprawia, że czuję ucisk w sercu. Po tygodniu bycia razem myśl, że przez osiem godzin będę musiała radzić sobie sama, niemal budzi lęk.

Irytuje mnie to. Nie tak dawno temu byłam niezależna. Zadowolona z własnego towarzystwa. Ale od pierwszej chwili, kiedy pół roku temu (zaledwie pół roku!) Ed zagadał do mnie na przyjęciu, mam uczucie, że jestem i silniejsza, i słabsza zarazem.

Przystajemy i zbroję się wewnętrznie na to, co nieuniknione. Mój autobus jedzie w jedną stronę, Eda – w drugą. Ed zmierza do firmy reklamowej, gdzie spędza dzień na wymyślaniu sloganów, które skłonią ludzi do kupienia czegoś, czego kupić nie mieli zamiaru.

A ja, w granatowym kostiumie i świeżej opaleniznie, jadę do więzienia.

– Nie będzie tak strasznie – mówi mój nowo poślubiony mąż (nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek wypowiem to słowo!) i całuje mnie w usta. Pocałunek ma posmak ryżowych chrupek i tej mocnej pasty do zębów, do której wciąż nie mogę się przyzwyczaić.

– Wiem – mówię. Ed przechodzi na drugą stronę ulicy. Wpatrzony teraz w dąb na rogu, chłonie jego kolor i formę.

Dwa kłamstwa. Drobne i niewinne. Po to, żeby dodać sobie nawzajem otuchy.

Ale tak właśnie zaczyna się wiele kłamstw. Z początku są drobne. Wypowiedziane w dobrej wierze. A potem rosną tak, że nie sposób sobie z nimi poradzić.

Carla

Dlaczego? – jęknęła Carla. Wlokła się opornie za matką, uczepona jej dłoni, usiłując powstrzymać ten równy, zdecydowany marsz. – Dlaczego muszę iść do szkoły?

Gdyby zrobiła scenę, to może matka by się poddała. Tydzień temu się udało, ale wtedy we Włoszech były jej imieniny. Mamma była bardziej płaczliwa niż zwykle. Tak z nią było w każde urodziny, imieniny, Boże Narodzenie i Wielkanoc.

– Gdzie się ten czas podział? – mówiła, wzdychając, tym swoim twardym, ciężkim akcentem, tak innym niż u matek wszystkich innych dzieci w szkole. – Dziewięć i pół roku bez twojego ojca! Dziewięć długich lat...

Bo odkąd tylko Carla mogła sięgnąć pamięcią, zawsze wiedziała, że jej ojciec jest z aniołkami w niebie. Bo jak się urodziła, to złamał jakąś obietnicę. Kiedyś spytała, co to była za obietnica.

– Taka, że nie da się tego naprawić – powiedziała mamma i pociągnęła nosem.

Jak ta śliczna niebieska filiżanka ze złotym uszkiem, pomyślała Carla. W zeszłym tygodniu wysliznęła się z jej rąk, kiedy zaproponowała, że powyciera naczynia po zmywaniu. Mamma płakała, bo filiżanka pochodziła z Włoch.

To smutne, że tatuś jest z aniołkami. Ale przecież nadal miała mamę! Kiedyś w autobusie jakiś pan wziął je za siostry. Mamma się roześmiała.

– On tylko tak, żeby mi sprawić przyjemność – powiedziała, zaczerwieniona. Ale później, w drodze wyjątku, pozwoliła Carli położyć się wieczorem później niż zwykle. To ją nauczyło, że kiedy matka jest szczęśliwa, jest to dobry czas, żeby o coś poprosić.

I tak samo, kiedy jest smutna.

Na przykład teraz. Bo mamy początek nowego wieku. Uczyli się o tym w szkole.

Jak tylko zaczął się rok szkolny, Carla zaczęła marzyć o piórniku w kształcie gąsienicy, z miękkiego zielonego futerka, takim, jakie miały wszystkie dzieci w klasie. Może wtedy przestaliby się z niej śmiać. Źle jest być inną. Inna znaczy mniej ważna. Być inną to znaczy mieć grube czarne brwi. Włochacz, włosacz! – przezywali ją w klasie. Być inną to znaczy mieć nazwisko inne niż wszyscy.

Carla Cavoletti.

Albo „Spagoletti”, jak nazywały ją dzieci.

Carla Włochacz Spagoletti.

– Dlaczego nie możemy dzisiaj zostać w domu? – zajęczała znowu. Naszym prawdziwym domu, o mało nie dodała. Nie tym we Włoszech, o którym mamma wciąż opowiada, a ona, Carla, nigdy go nie widziała.

Mamma na chwilę przystanąła. Minęła je sąsiadka o złotych włosach. Przechodząc, rzuciła Carli karcące, pełne dezaprobaty spojrzenie.

Carla знаła to spojrzenie. Tak samo patrzyli na nią nauczyciele, kiedy nie wiedziała, ile jest dziewięć razy pięć.

– Ja też nie jestem dobra z matematyki – rzuciła lekceważąco mamma, kiedy Carla poprosiła, żeby jej pomogła odrobić lekcje. – Ale to nieważne. Ważne, żeby nie jeść ciastek i zachować linię. Dla kobiet takich jak my liczy się uroda i nic więcej.

Pan z dużym błyszczącym samochodem i w dużym brązowym kapeluszu zawsze mówił, że mamma jest piękna.

Kiedy przychodził z wizytą, mamma nigdy nie płakała. Rozpuszczała długie ciemne loki, spryskiwała się swoim ulubionym „Kwiatem jabłoni”, a oczy jej iskrzyły. Włączała odtwarzacz i zaczęli przytupywać do rytmu, chociaż Carli nie wolno było z nimi tańczyć zbyt długo.

– Do łóżka, *cara mia* – wołała śpiewnie mamma. Carla musiała wtedy iść do siebie, a matka i jej gość tańczyli dalej, już tylko we dwoje. Z popękanych ścian patrzyły na nich groźnie zdjęcia jej krewnych. Ich lodowate twarze często ukazywały się Carli w koszmarnych snach. Mamma była wtedy zła, bo musiała przerwać taniec.

– Za duża jesteś na takie sny. Nie wolno ci przeszkadzać, kiedy jestem z Larrym.

Niedawno Carla miała w szkole projekt pod tytułem „Moja mama i tata”. Kiedy wróciła do domu, cała rozogniona z podniecenia, mamma najpierw cmokała, a potem, z głową na kuchennym blacie, znowu wybuchnęła płaczem.

– Muszę przynieść do szkoły jakąś rzecz – nalegała Carla. – Nie może być tak, że tylko ja jedna nie przyniosę.

W końcu mamma zdjęła ze ściany fotografię sztywno wyprostowanego mężczyzny w białym kołnierzyku, o surowym spojrzeniu.

– Damy tatusia – powiedziała takim głosem, jakby miała w gardle landrynkę. (Carla lubiła landrynki. Czasem pan z błyszczącym samochodem przynosił jej trochę w białej papierowej torebce. Ale przylepiły się jej do rąk i potem bez końca trzeba było je myć, żeby usunąć lepkość).

Carla z szacunkiem wzięła zdjęcie do ręki.

– To jest mój dziadek?

Choć pytała, znała odpowiedź. Mamma mówiła jej o tym mnóstwo razy. Ale dobrze było usłyszeć jeszcze raz. Wiedzieć na pewno, że tak jak wszyscy w klasie ma dziadka, nawet jeśli mieszka on daleko stąd, w górach koło Florencji, i nigdy im jeszcze nie odpisał.

Matka zawinęła zdjęcie w czerwono-pomarańczowy szalik, który pachniał naftaliną. Carla nie mogła się doczekać, żeby pokazać je w klasie.

– To jest mój nonno – ogłosiła z dumą.

Ale wszyscy zaczęli się śmiać.

– Nonno, nonno – zaczął ją przedrzeźniać któryś z chłopaków. – Dlaczego nie masz dziadka, tak jak my? I gdzie jest twój ojciec?

Tuż przed imieninami udało jej się przekonać matkę, żeby zadzwoniła do pracy, że jest chora. Jeden z najlepszych dni w jej życiu! Zabrały koszyk z z jedzeniem i poszły w takie jedno miejsce, który nazywa się Hyde Park, i mamma śpiewała tam piosenki i opowiadała, jak to było, kiedy była mała i mieszkała we Włoszech.

– Chodziliśmy z braćmi nad wodę, żeby popływać – mówiła rozmarzonym głosem. – Czasem łowiliśmy ryby na kolację, a potem śpiewaliśmy i tańczyliśmy, i piliśmy wino...

Carla, półprzytomna ze szczęścia, że udało się uniknąć szkoły, okręcała na palcu kosmyk ciemnych włosów mammy.

– A tatuś też tam był?

Roziskrzone czarne oczy matki nagle straciły blask.

– Nie, malutka. Nie było go. – I zaczęła zbierać z rozesłanego na ziemi czerwonego kraciastego koca termos i kanapki z serem. – Wstawaj. Musimy wracać do domu.

I nagle wcale nie był to już najlepszy dzień w jej życiu.

Dzisiejszy też nie wyglądał za dobrze. Po pierwsze miał być test, pani uprzedzała. Z matematyki i z pisowni. W miarę jak zbliżały się do przystanku, Carla coraz mocniej ciągnęła matkę za rękę.

– Może i jesteś mała jak na swój wiek – powiedział pan z błyszczącym samochodem, kiedy któregoś

wieczoru nie chciała iść wcześniej do łóżka – ale uparta, co?

A dlaczego by nie, o mało nie odpowiedziała.

– Musisz być miła dla Larry’ego – mówiła zawsze mamma. – Gdyby nie on, to byśmy tu nie mieszkały.

– Proszę, zostańmy w domu. Proszę – błagała teraz Carla.

Ale mamma była nieugięta.

– Muszę iść do pracy.

– Ale dlaczego? Larry zrozumie, że nie możesz się z nim spotkać na lunchu.

Zwykle nie mówiła o nim po imieniu. Wolała go nazywać panem z błyszczącym samochodem, bo to znaczyło, że jest kimś z zewnątrz. Nie jednym z nich.

Mamma skrzyła, o mało nie wpadając na słup latarni. Przez chwilę wydawała się prawie zła.

– Bo nadal mam trochę godności, malutka. – Oczy jej błysnęły. – A poza tym lubię moją pracę.

Praca mammy była bardzo ważna. Musiała zrobić tak, żeby brzydkie kobiety wyglądały na ładne! Pracowała w wielkim sklepie, gdzie sprzedawano szminki i tusz do rzęs, i rozmaite fluidy, które miały sprawić, że cera będzie miała odcień „ciepłego beżu” albo „porcelanowej bieli”, albo czegoś pomiędzy, zależnie od karnacji.

Czasami mamma przynosiła do domu próbki i malowała Carłę, tak że wyglądała na znacznie starszą, niż była. Wszystko to było potrzebne, żeby być piękną, tak żeby i ona mogła znaleźć w przyszłości jakiegoś mężczyznę z błyszczącym samochodem, który będzie z nią tańczył po pokoju.

Właśnie w ten sposób mamma znalazła Larry’ego. Była tego dnia przy kontuarze z perfumami, bo jakaś koleżanka zachorowała. Dobrze jest, jak ktoś choruje, powiedziała mamma, jeżeli oznacza to, że możesz go zastąpić. Larry przyszedł do sklepu kupić perfumy dla żony, która też była chora. I teraz mamma robiła żonie przysługę, bo dzięki niej Larry znowu był szczęśliwy. I dla Carli też to jest dobre, prawda? Przynosił jej słodycze.

Ale teraz, kiedy szły w stronę przystanku, gdzie czekała już kobieta o złotych włosach (która musi jeść za dużo ciastek, jak mówiła mamma), Carla pragnęła czegoś innego.

– Mogę poprosić Larry’ego o piórnik-gąsienicę?

– Nie. – Mamma zrobiła zamaszty gest dłonią, zakończoną czerwonymi paznokciami. – Nie możesz.

To było niesprawiedliwe. Wszyscy w klasie mieli. Czemu ona nie? Niemal czuła pod palcami miękkie futerko, kiedy głąskała je w wyobraźni. *Powinnam być twoja* – mówiła gąsienica. *Wtedy wszyscy będą nas lubić. No, Carla, znajdź jakiś sposób! Już tak długo czekamy, i ty, i ja...*

Lily

Więzienie znajduje się przy końcu linii District, a potem trzeba dość długo jechać autobusem. Łagodna leśna zieleń District daje mi poczucie bezpieczeństwa; nie to co ostra czerwień Central, która wprost krzyczy: uwaga, zagrożenie! W tej chwili pociąg staje w Barking i zamieram w bezruchu, usiłując przez zalane deszczem szyby wypatrzeć na peronie jakieś znajome twarze z dzieciństwa.

Ale nikogo nie ma. Widać tylko grupki pasażerów o podkrążonych oczach, którzy w płaszczach przeciwdeszczowych wyglądają jak pomarszczone wrony, i kobietę prowadzącą za rękę chłopczyka w eleganckim czerwono-szarym mundurku.

Kiedyś, dawno temu, mieszkałam niedaleko stąd. Wciąż widzę w wyobraźni nasz dom: z lat pięćdziesiątych, pokryty kamyczkowym tynkiem, o jaskrawozielonych futrynach, który gryzły się z bardziej konwencjonalnymi kremowymi u sąsiadów. Wciąż pamiętam, jak trzymając matkę za rękę, drepczę z nią główną ulicą do biblioteki. Wciąż zaskakująco wyraźnie przypominam sobie, jak ojciec mi mówi, że niedługo będę miała braciszka albo siostrzyczkę. Nareszcie! Teraz i ja będę taka, jak inne dzieci w klasie: te z dużych, wesołych, hałaśliwych rodzin. Tak odmiennych od naszego cichego życia we troje.

Nie wiem dlaczego, przypomina mi się marudząca dziewczynka w granatowym mundurku, którą widziałam dziś rano w naszym bloku. I jej matka, o pełnych, jakby obrzmiałych ustach, bujnych czarnych kędziorach i idealnie równych białych zębach. Rozmawiały po włosku. Miałam ochotę się zatrzymać i powiedzieć jej, że dopiero co byliśmy we Włoszech w podróży poślubnej.

Często się zastanawiam nad życiem innych ludzi. Jaka pracę ma ta piękna kobieta? Może jest modelką? Ale zaraz wracam myślami do siebie samej. Jak wyglądałoby moje życie, gdybym została pracownicą socjalną, a nie prawniczką? Albo gdybym po przeprowadzce do Londynu nie poszła z moją współlokatorką na tamtą imprezę? Zwykle przecież mówię w takich wypadkach „nie”. Co by się stało, gdybym nie rozlała wina na beżowy dywan? Gdyby uprzejmy mężczyzna o ciemnoblonde włosach („Cześć, jestem Ed”) i intonacji człowieka wykształconego nie pomógł mi go wytrzeć, mówiąc, że ten dywan miał nudny kolor i aż się prosił o jakieś urozmaicenie? Gdybym nie była tak pijana (z nerwów), że kiedy zapytał mnie o rodzinę, opowiedziałam mu o śmierci brata? Gdyby ten zabawny człowiek, który mnie rozśmieszał, ale i słuchał zarazem, nie oświadczył się zaraz na drugiej randce? Gdyby jego artystyczny, uprzywilejowany świat (najwyraźniej całkiem inny niż mój) nie stanowił dla mnie szansy ucieczki od horrorów przeszłości?...

„Czy to prawda, co mówisz o bracie?” – przebija się przez tłum podróżnych głos matki i niczym niewidzialna lina holownicza ciągnie mnie z Londynu z powrotem do Devon, gdzie przeprowadziliśmy się dwa lata po pojawieniu się Daniela.

Otulam się moim dorosłym płaszczem i wyrzucam głos za okno, na tory. Nie muszę go teraz słuchać. Jestem dorosła. Zameżna. Mam stosowną pracę i ważne obowiązki. To na nich powinnam się teraz skupić, a nie wracać myślą do przeszłości.

– Masz sobie wyobrazić, co myśli oskarżyciel – mówi zawsze starszy współnik. – Być zawsze o krok do przodu.

Poruszam się na ławce, żeby zyskać trochę miejsca między dwiema parami solidnych kolan w szarych

spodniach – po jednej z każdej strony – i otwieram moją wypakowaną aktówkę. Niełatwe to zadanie w załocznym wagonie. Osłaniam ręką streszczenie sprawy (nie wolno nam czytać dokumentów w miejscach publicznych) i rzucam na nie okiem, żeby sobie utrwalić fakty.

Poufne

Sprawa pro bono

Joe Thomas, 30, sprzedawca ubezpieczeń. Oskarżony w r. 1998 o zamordowanie Sarah Evans, 26, ekspedientki w sklepie odzieżowym i dziewczyny oskarżonego, poprzez wepchnięcie jej do wrzącej kąpeli. Przyczyna śmierci: atak serca plus ciężkie oparzenia. Sąsiedzi zeznali, że słyszeli odgłosy kłótni. Siniaki na ciele ofiary wskazują na możliwość wepchnięcia siłą.

To o wodzie jest dla mnie przerażające. Morderstwo popełnia się za pomocą czegoś groźnego, jak ostre narzędzie, kamień czy trucizna, jak u Borgiów. Ale kąpiel powinna być przyjemna. Bezpieczna. Jak leśna zieleń linii District. Jak podróż poślubna.

Pociąg gwałtownie szarpie i rzuca mną o kolana po lewej stronie, a potem po prawej. Papiery rozsypują się po wilgotnej podłodze. Przerażona, schylam się, żeby je pozbierać, ale za późno. Posiadacz szarych spodni z prawej strony podaje mi streszczenie sprawy, przedtem jednak ogarnia spojrzeniem porządknie, czytelnie wydrukowany tekst.

Moja pierwsza sprawa o morderstwo – mam ochotę powiedzieć, choćby po to, żeby złagodzić nieufność w jego oczach.

Ale tylko czerwienię się gwałtownie i wpycham papiery z powrotem do aktówki, świadoma, że gdyby był tu mój szef, mógłby mnie od ręki wyrzucić.

Pociąg zatrzymuje się o wiele za szybko. Pora wysiadać. Pora spróbować ocalić człowieka, którego już nienawidzę – ta kąpiel! – gdy jedyne, czego bym chciała, to być z powrotem we Włoszech. Przeżyć nasz miesiąc miodowy jeszcze raz.

Tym razem jak należy.

Ilekczo myślałam o więzieniu, zawsze wyobrażałam sobie coś w stylu Colditz^[1]. A nie długi podjazd, który przypomina mi posiadłość rodziców Eda w Gloucestershire. Byłam tam dotąd tylko raz, ale wystarczy. Atmosfera była mroźna, i nie mam na myśli wyłącznie braku centralnego ogrzewania.

– Jest pan pewien, że to tutaj? – pytam taksówkarza.

Kiwa głową i czuję, że się uśmiecha, choć z tyłu tego nie widać.

– Każdy się dziwi, jak zobaczy to miejsce. Dawniej był tu prywatny dom, dopiero w latach sześćdziesiątych zrobili to co teraz, w ramach eksperymentu. – Głos mu mrocznieje. – Kupa świrów, jeśli chce pani znać moje zdanie. I nie mówię tylko o kryminalistach, co tam siedzą.

Wychylam się ku niemu. Moje niezadowolenie, że musiałam się wykosztować na taksówkę (autobus nie jedzie tak daleko, jak się okazało), maleje wobec tej dość intrygującej informacji. Oczywiście wiedziałam, że placówka Służb Więziennych Jej Wysokości w Breakville na obrzeżach Londynu ma wysoki odsetek psychopatów i że specjalizuje się w poradnictwie psychologicznym. Ale odrobina lokalnej wiedzy nie zaszkodzi.

– Mówi pan o personelu? – ryzykuję.

Prychnięcie. Jedziemy podjazdem, mijając szereg budynków wyglądających jak komunalne.

– No a jak. Mój szwagier pracował tu jako strażnik, dopóki się nie załamał. Mieszkał w jednym z tych, o.

Robi ruch głową w stronę budynków komunalnych. Bierzymy kolejny zakręt. Na lewo ukazuje się jeden z najpiękniejszych budynków, jakie w życiu widziałam. Śliczne przesuwne okna, oszłamiająca złoto-czerwona gęstwina bluszczu na ścianach. Na oko styl edwardiański. Oczywiście totalny kontrast z rzędem mieszkalnych kontenerów na prawo.

– Melduje się pani tutaj – mówi taksówkarz, wskazując na dom. Grzebię w portmonetce. Trzeba dać mu jakiś napiwek, choćby za tę nadprogramową informację.

– Dzięki.

W jego głosie słyszę zadowolenie, ale w oczach ma troskę.

– Wizyta w więzieniu, co?

Waham się. Więc za kogoś w tym stylu mnie bierze? Za jedną z tych pocziwych wolontariuszek, co to uważają, że ich obowiązkiem jest okazać łotrom dobre serce?

– Coś w tym stylu.

Kręci głową.

– Niech pani uważa. Te typy... nie bez powodu tu siedzą, wie pani.

Rusza. Odprowadzam wzrokiem oddalającą się taksówkę, moją ostatnią więź ze światem zewnętrznym. Dopiero kiedy idę w stronę budynku, dociera do mnie, że zapomniałam poprosić o rachunek. Jeśli nie potrafiłam załatwić tego, jak należy, to jaka jest nadzieja dla Joego Thomasa?

I, co ważniejsze, czy w ogóle na nią zasługuje?

– Cukier? Taśma klejąca? Czipсы? Ostre narzędzia? – rzuca burkliwie facet po drugiej stronie szklanego przepierzenia.

Przez chwilę nie jestem pewna, czy dobrze usłyszałam. W głowie wciąż mi się kręci od tego wszystkiego, co właśnie zaliczyłam. Ruszyłam w stronę ślicznego domu z ulgą, że jednak więzienie nie jest takie okropne. Kiedy jednak weszłam, ktoś mnie skierował naprzeciwko, z powrotem wzdłuż kontenerów, w stronę wysokiego muru ze zwojami drutu kolczastego na górze. Wcześniej go nie zauważyłam.

„Dzwonić” – instruowała karteczka na ścianie obok.

Z bijącym sercem zadzwoniłam. Drzwi otworzyły się automatycznie i znalazłam się w niewielkim pomieszczeniu, przypominającym poczekalnię lokalnego lotniska. Po jednej stronie widniało szklane przepierzenie, i tu właśnie znajduję się w tej chwili.

– Cukier, taśma klejąca, czipсы, ostre narzędzia? – powtarza facet. Potem patrzy na moją aktówkę. – Będzie szybciej, jak pani to wyjmie od razu, zanim zostanie pani przeszukana.

– Nie mam nic z tych rzeczy, ale jakie to ma znaczenie, gdybym miała pierwsze trzy?

Przewierca mnie małymi paciorkowatymi oczkami.

– Cukru mogą użyć na bimber, taśmą mogą panią udusić. A czipсы mogła pani przynieść, żeby ich przekupić albo żeby zarobić sobie u nich na popularność. Już tak bywało, może mi pani wierzyć. Zadowolona?

On sam niewątpliwie wygląda na zadowolonego. Znam ten typ. Trochę jak mój szef. Taki gość uwielbia, kiedy zbije człowieka z tropu. Udało mu się, ale coś wewnątrz mnie – jakaś siła, o której nie wiedziałam, że ją mam – budzi we mnie sprzeciw.

– Jeśli ma pan na myśli swoich kolegów, to obawiam się, że nie mają szczęścia – odcinam się. – Nie mam nic z pańskiej listy.

Mamrocze coś w stylu „ci obrońcy, cieniasy” i naciska jakiś guzik. Otwierają się następne drzwi i pojawia się strażniczka.

– Ręce do góry – komenderuje.

Znowu przypomina mi się lotnisko, tyle że tym razem nie ma sygnału „biip”. Przez moment znów jestem w Rzymie, gdzie włączyła alarm moja srebrna bransoletka – ślubny prezent od Eda.

– Proszę otworzyć aktówkę.

Robię, co każe. W środku jest plik dokumentów, kosmetyczka i rolka mentosów. Strażniczka podnosi niczym trofea dwa ostatnie przedmioty.

– Obawiam się, że musimy to skonfiskować, dopóki pani tu jest. Parasolkę też.

– Parasolkę?

– Potencjalna broń. – Mówi szorstko, ale wykrywam w tym ślad uprzejmości, której nie było u faceta za szklanym przepierzeniem.

– Tędy proszę.

Wyprowadza mnie przez jakieś drzwi i ku memu zdumieniu znajduję się w dość przyjemnym ogródku. Paru mężczyzn w zielonych dresowych spodniach i koszulkach w tym samym kolorze sadi laki. Moja matka robi to samo w Devon: powiedziała mi wczoraj wieczorem przez telefon. Uderza mnie, że różni ludzie na całym świecie mogą robić to samo, ale to wcale nie znaczy, że mają ze sobą coś wspólnego.

Jeden z mężczyzn rzuca okiem na skórzany pas na biodrach strażniczki. Zwisa z niego pęk kluczy i srebrny gwizdek. Na ile by się to mogło udać, gdyby ci faceci nas zaatakowali?

Przechodzimy przez plac i idziemy do kolejnego budynku. Moja towarzyszka wyjmuje klucze z pochewki, wybiera jeden i otwiera drzwi. Jesteśmy w kolejnym holu. Przed nami kolejne drzwi. Dwuskrzydłowe drzwi i dwuskrzydłowa brama, oddzielone kawałeczkiem przestrzeni. Strażniczka otwiera je, a kiedy przechodzimy, znowu zamyka.

– Trzeba uważać, żeby nie przytrzasnąć sobie palców.

– Ma pani czasem wątpliwości, czy zrobiła to pani, jak należy? – pytam.

Przygważdża mnie spojrzeniem.

– Nie.

– Bo ja jestem z tych, co muszą dwa razy wrócić i sprawdzić, czy dobrze zamknięte – mówię. Właściwie nie wiem, dlaczego o tym wspominam. Może żeby wprowadzić nutkę humoru w ten dziwny świat, w którym się znalazłam.

– Spróbowałyby pani tutaj porządzić – mówi z dezaprobatą. – Tędy.

Przed nami ciągnie się korytarz. Po obu stronach widnieją kolejne drzwi, a obok oznakowanie: skrzydło A, skrzydło B, skrzydło C.

Z naprzeciwka nadchodzi grupa mężczyzn w pomarańczowych dresach. Jeden – łysy, ze świecą czaszką – kłania się strażniczce ruchem głowy.

– Dźdobry. – Po czym gapi się na mnie. Wszyscy się gapią. Oblewam się rumieńcem.

Czekam, dopóki nie przejdą, i dopiero się odzywam.

– Wolno im się tak swobodnie przemieszczać?

– Tylko kiedy idą na siłownię, do kaplicy albo na lekcje. To nie wymaga takiego nadzoru jak sytuacje, kiedy strażnik eskortuje każdego więźnia indywidualnie.

Mam ochotę spytać, co to za sytuacje, ale zamiast tego, trochę ze zdenerwowania, zadaję inne pytanie.

– Czy oni mogą sobie sami wybrać kolor ubrania? Na przykład pomarańczowy?

– Kolor oznacza skrzydło, w którym przebywają. I proszę im nie zadawać tego typu pytań, bo któryś pomyśli, że się nim pani interesuje. Niektórzy są niebezpiecznie inteligentni. Mogą próbować panią manipulować, jeśli nie będzie pani uważała. Zaprzyjaźnić się z panią, żeby przeciągnąć panią na swoją stronę albo żeby była pani mniej czujna. I następna rzecz: potrafią wyciągnąć z pani informacje bez pani wiedzy albo skłonić do zrobienia czegoś, czego pani robić nie powinna.

Śmieszne! Jaką idiotką trzeba by być, żeby się nabrać na coś takiego!

Zatrzymujemy się. Skrzydło D. Kolejne dwuskrzydłowe drzwi i brama. Przechodzimy, a strażniczka zamyka je po kolei. Mamy przed sobą trochę mniejszy korytarz, z pokojami po obu stronach. Trzech mężczyzn stoi beczynnym, jakby wystawali na rogu ulicy. Gapią się na nas. Czwarty, odwrócony tyłem, czyści akwarium. Jakie to dziwne – mordercy dbają o rybki? Zanim jednak zdążę zadać pytanie, zostaję wprowadzona do pokoju po lewej.

Przy biurku siedzi dwóch młodych mężczyzn. Nie różnią się specjalnie wyglądem od tych na korytarzu – krótkie włosy, przenikliwe spojrzenie – tyle że są w mundurach. Pasek od spódnicy wpija mi się w

talie i kolejny raz żałuję, że we Włoszech nie zachowałam większej dyscypliny. Czy to normalne, jak w podróży poślubnej szuka się pociechy w jedzeniu?

– Prawniczka do pana Thomasa – mówi krótko moja towarzyszka. „Pana” wymawia z lekkim naciskiem. Brzmi to odrobinę ironicznie.

– Proszę tu podpisać – mówi jeden ze strażników. Przenosi spojrzenie z mojej aktówki na moje piersi, a potem znowu na aktówkę. Zauważam na ścianie jakiś tabloid ze skąpo ubraną modelką. Strażnik spogląda na zegarek.

– Spóźniła się pani pięć minut.

Nie moja wina, mam ochotę powiedzieć. To wasza ochrona mnie zatrzymała. Coś mi jednak każe trzymać język za zębami. Zachować go na inne potyczki.

– Słyszałem, że Thomas zakłada apelację – odzywa się inny ze strażników. – Niektórzy ludzie to po prostu nigdy się nie poddają, prawda?

Z tyłu dobiega uprzejme pokaskływanie. W drzwiach stoi wysoki, barczysty ciemnowłosy mężczyzna z krótką, schludnie przystryżoną brodą. Jeden z tych, co wystawiali na korytarzu, uświadamiam sobie. Ale teraz się nie gapi, tylko lekko uśmiecha. Wyciąga rękę i ściska mi dłoń. To doświadczony sprzedawca, przypominam sobie. Nie wygląda jak typowy więzień i w ogóle inaczej, niż sobie wyobrażałam. Nie ma żadnych tatuaży, w przeciwieństwie do stojącego koło mnie strażnika, któremu spod rękawa koszuli widać czerwono-niebieską głowę smoka. Mój nowy klient ma na ręce drogi na oko zegarek, a na nogach wyczyszczone do połysku brązowe półbuty, które rażą w zestawieniu z zielonym więziennym uniformem. Wydaje mi się, że to człowiek, który przywykł raczej do marynarki i krawata. Aha, teraz dostrzegam, że spod więziennej bluzy widać nakrochmalony kołnierzyk białej koszuli. Włosy ma krótkie, ale dobrze ostrzyżone. Wysokie czoło nad dwojgiem ciemnych brwi. Spojrzenie sugeruje człowieka, który jest nieufny, pełen nadziei i lekko zdenerwowany. A kiedy się odzywa, głos okazuje się niski. Pewny siebie. Wymowa nie jest ani prostacka, ani szczególnie wykwinna. Mógłby być sąsiadem. Innym prawnikiem. Czy menedżerem w lokalnych delikatesach.

– Jestem Joe Thomas – mówi. – Dziękuję, że pani przyszła.

– Lily Macdonald – odpowiadam. Szef powiedział, żeby przedstawiać się imieniem i nazwiskiem. („Ale chociaż masz zachować dystans, nie powinnaś sprawiać wrażenia, że się wywyższasz. To jest ta delikatna równowaga pomiędzy prawnikiem a klientem”).

Na razie na twarzy Joego Thomasa widać milczący podziw. Znowu się czerwienię, tym razem bardziej z zakłopotania niż ze strachu. W rzadkich okazjach, kiedy zdarza mi się zwrócić czyjąś uwagę, nigdy nie wiem, jak się zachować. Zwłaszcza teraz, kiedy jest to w sposób oczywisty nie na miejscu. Nie potrafię zapomnieć tych epitetów ze szkolnych czasów. Tłuszcioch. Klucha. Kolubryna. Biorąc to wszystko pod uwagę, nie do wiary, że mam na palcu ślubną obrączkę... Nagle pojawia mi się w głowie obraz Eda w łóżku podczas miodowego miesiąca. Słońce sący się przez białokremowe żaluzje. Mój świeżo poślubiony mąż otwiera usta, żeby coś powiedzieć, po czym się odwraca...

– Tędy – mówi krótko jeden ze strażników, przywracając mnie rzeczywistości.

Idziemy z Joem Thomasem korytarzem. Mijamy gapiących się. Mijamy mężczyznę czyszczącego akwarium tak uważnie, że przychodzi to na myśl inny rodzaj dotyku. Wchodzimy do pokoju z tabliczką „Wizyty”. Jest nieduży. Zakratowane okno wychodzi na betonowe podwórko. W środku wszystko jest szare: stół, metalowe krzesła po obu stronach, ściany. Z jednym tylko wyjątkiem. Na ścianie wisi plakat z tęczą i słowem „NADZIEJA”, wypisanym pod spodem dużymi fioletowymi literami.

– Będę pod drzwiami – mówi strażnik. – Tak będzie dobrze? – Każde słowo podszyte jest niechęcią, która zdaje się obejmować nas oboje.

– Strażnicy niespecjalnie lubią obrońców – uprzedził mnie szef. – Uważają, że wchodzisz im w paradę. Wiesz, próbujesz wyciągnąć kogoś zza krat, a policję i służby prokuratorskie tyle trudu kosztowało, żeby go wsadzić.

Joe Thomas patrzy na mnie pytająco. Zmuszam się, żeby oddać mu spojrzenie. Nawet jeśli jestem wysoka, to on jest wyższy.

– Wizyty z reguły odbywają się pod okiem strażnika, ale niekoniecznie w zasięgu jego słuchu – dodał szef. – Więźniowie chętniej coś ujawnią, jeśli strażnika nie ma w pokoju. Ale w różnych zakładach bywa różnie. W niektórych nie dają ci wyboru.

Ale tu dają.

Nie, tak nie będzie dobrze, mam ochotę powiedzieć. Proszę tu ze mną zostać.

– Doskonale, dziękuję – słyszę mój głos. Wydaje się należeć do kogoś innego. Odważniejszego. Bardziej doświadczonego.

Strażnik wygląda, jakby miał zamiar wzruszyć ramionami, ale oczywiście tego nie robi.

– Proszę zapukać w drzwi, jak pani skończy.

I zostawia nas samych.

Carla

Czas płynął powoli. Chyba wieki całe minęły, odkąd widziała rano tę grubą kobietę o złotych włosach, co tak się jej przyglądała... Z głodu burczało jej w brzuchu. Chyba niedługo będzie przerwa na lunch?

Przybita, wpatrywała się w klasowy zegar. Duża wskazówka była na dziesiątej, a mała na dwunastej. Czy to znaczy dziesięć po dwunastej, czy dwanaście po dziesiątej? A może coś zupełnie innego... W tym kraju wszystko jest inaczej, jak zawsze mówi mamma.

Powiodła wzrokiem po ławkach wokół niej. Na każdej leżała zielona gąsienica, wypchana ołówkami, flamastrami i wiecznymi piórami z prawdziwym atramentem. Jak ona nienawidziła swojego taniego plastikowego piórnika, zapinanego na lepki zamek błyskawiczny, ze zwykłym długopisem w środku, bo tylko na taki stać było mamę!

Nic dziwnego, że nikt nie chciał się z nią przyjaźnić.

– Carla! – rozległ się głos nauczycielki.

Drgnęła.

– Może ty nam powiesz? – Pani wskazała słowo na tablicy. – Jak myślisz, co to znaczy?

PUNKTUALNY? Nie spotkała się dotąd z takim słowem, chociaż co wieczór czytała w łóżku *Słownik dla dzieci*, który mama kupiła na jej prośbę w jakimś sklepie ze starzyzną. Była dopiero przy C.

C jak cukierek

C jak cwany.

C jak cena.

Pod poduszką Carla miała schowany notesik, w którym starannie zapisywała znaczenie każdego słowa, a obok rysowała mały obrazek, żeby lepiej zapamiętać, co ono znaczy.

„Cukierek” był łatwy. „Cwany” o wiele trudniejsze.

– Carla! – Tym razem głos pani był ostrzejszy. – Znowu myślisz o niebieskich migdałach?

Wokół rozległy się śmiechki. Carla oblała się rumieńcem.

– Nie wie, nie wie! – zawołał siedzący z tyłu chłopak, który miał włosy koloru marchewki. A potem, dużo ciszej, żeby pani nie słyszała: – Carla Włochacz Spagoletti nie wie!

Śmiech się nasilił.

– Kevin – powiedziała pani, ale nie tak ostrym głosem, jak wcześniej do Carli – coś ty powiedział?

Po czym wróciła spojrzeniem do Carli w drugim rzędzie. Carla specjalnie wybrała to miejsce, żeby lepiej widzieć i słyszeć. Ale ci z tyłu zawsze przeszkadzali, a w dodatku uchodziło im to na sucho.

– Przeliteruj to. Jaka jest pierwsza litera?

„P”. To wiedziała. Potem „U”. A potem...

– Punkt... ul – powiedziała głośno.

Gruchnął śmiech. Doszłam w domu dopiero do C – próbowała powiedzieć, ale nic z tego. Jej głos zagłuszyły nie tylko drwiny, ale także przeraźliwy dźwięk dzwonka. Momentalnie zaczął się rejwach: plaskanie odkładanych książek, szuranie nogami, głos nauczycielki, która przekrzykując hałas, mówiła coś o nowych zasadach co do przerwy na lunch.

Lunch? W takim razie musiało być dziesięć po dwunastej, a nie dwanaście po dziesiątej! Carla odetchnęła z ulgą. Klasa była już pusta.

Na ławce chłopaka z włosami jak marchewka leżała zielona gąsienica. Zostawił ją na wierzchu.

Puściła do Carli oczko.

Charlie – powiedziała. – *Nazywam się Charlie.*

Niemal bez tchu podeszła na palcach i pogłaskała Charliego po futerku. A potem powoli (przeraźliwie powoli) wzięła go i włożyła pod bluzkę. Była już „niemal gotowa” na pierwszy biustonosz, jak powiedziała mamma. Na razie musiała jej wystarczyć koszulka. Ale nadal było dość miejsca, żeby coś tam pod spodem schować, podobnie jak mamma chowała tam papierowe pieniądze, „na wszelki wypadek”.

– Teraz jesteś mój – szepnęła, obciągając bluzkę. – On na ciebie nie zasługuje.

– Co ty tu robisz? – Przez uchylone drzwi zajrzała pani. – Powinnaś już być w stołówce. Idź, ale już!

Carla, świadoma, że ma pod bluzką Charliego, zdecydowała się usiąść osobno. Ignorując zwykłe złośliwe uwagi („Nie przyniosłaś sobie własnego spaghetti, Carla?”), z trudem żuła gumowate, żylaste mięso. Kiedy wreszcie trzeba było iść na dwór, przeszła na odległy kraniec boiska i usiadła na asfalcie, usiłując się stać niewidzialna.

Zazwyczaj było jej przykro. Czują się odrzucona. Ale nie dziś. Przecież miała swoją własną zieloną gąsienicę! Dotyk miękkiego futerka Charliego był taki miły na ciele pod bluzką.

– Będziemy się o siebie troszczyć – szepnęła do niego.

A jak oni się dowiedzą, że mnie wzięłaś? – odszepnął Charlie.

– Coś tam wymyślę.

Auuu!

Uderzenie w głowę nastąpiło tak nagle, że Carla prawie nie dostrzegła lecącej piłki. W głowie jej zawirowało, a prawe oko wydało się nagle jak nie jej.

– Nic ci nie jest? Carla, nic ci się nie stało?

Głos pani dochodził do niej jakby z daleka. W oddali, jak przez mgłę, widziała drugą nauczycielkę, jak ruga chłopaka o marchewkowych włosach. Tego, do którego naprawdę należał Charlie.

– Kevin! Przecież mówiłam, jakie są nowe zasady! Żadnej gry w piłkę na tej części placu. Zobacz, co narobiłeś!

To nasza szansa – syknął Charlie. – *Powiedz, że musisz iść do domu, a wtedy uda nam się uciec, zanim się zorientują, że mnie nie ma.*

Carla z trudem wstała, uważając, żeby nie zrobić jakiegoś gwałtownego ruchu, który mógłby zdradzić obecność jej nowego przyjaciela. Założyła ręce na piersiach, żeby zamaskować jego kształt, i zdobyła się na uśmiech. Jeden z tych, które ćwiczyła przed lustrem. To była sztuczka, której nauczyła się od mamy. Co wieczór, zanim przyjechał pan z błyszczącym samochodem, matka próbowała przed lustrem różnych min. Jeśli przyjechał na czas, uśmiech był radosny. Troszkę smutny, jeśli się spóźnił. Był uśmiech z lekko uniesionym podbródkiem, kiedy pytała, czy chciałby jeszcze kieliszek. I był uśmiech, który nie do końca zgadzał się z wyrazem oczu, kiedy kazała Carli iść do łóżka, żeby mogli z Larrym posłuchać muzyki tylko we dwoje.

Teraz Carla wybrała uśmiech troszkę smutny.

– Chciałabym pójść do domu.

Nauczycielka zmarszczyła brwi.

– Musimy zadzwonić do twojej matki, żeby się upewnić, że jest w domu.

Aiuto! Pomocy! O tym nie pomyślała.

– Nasz telefon nie działa, bo nie zapłaciłyśmy rachunku. Ale mama na pewno jest.

– Jesteś pewna?

To pierwsze było prawdą. Mamma miała powiedzieć o telefonie Larry’emu, jak przyjdzie następnym razem. Kiedy Larry zapłaci, telefon będzie znowu działał. Ale to drugie – że jest w domu – to była nieprawda. Matka była w pracy.

Wszystko jedno, w jakiś sposób musiała znaleźć się w domu, zanim odkryją pod jej szkolną bluzką Charliego!

– Jest numer do pracy – stwierdziła pani, grzebiąc w teczce. – Spróbujmy zadzwonić, tak na wszelki wypadek.

Carla, drżąc, czekała na wynik rozmowy.

– Rozumiem. – Pani odłożyła telefon i westchnęła. – Wygląda na to, że twoja matka wzięła dziś wolne. Nie wiesz, gdzie jest?

– Już mówiłam. W domu! – Kłamstwo wysliznęło się jej z ust tak łatwo, jakby włożył je tam ktoś inny. – Mogę wrócić sama – dodała. Utkwiła zdrowe oko w oczach nauczycielki. – To niedaleko.

– Obawiam się, że nie możemy na to pozwolić. Może jest ktoś, do kogo moglibyśmy zadzwonić? Na przykład jakaś sąsiadka. Żeby poszła do mamy i powiedziała.

Carla przelotnie pomyślała o tamtej pani o złotych włosach i jej mężu. Ale ani ona, ani mamma nigdy z nimi nie rozmawiały. „Musimy się trzymać na uboczu” – powtarzała zawsze mamma. To Larry chciał, żeby tak było. Chciał je mieć tylko dla siebie.

– Tak – powiedziała w desperacji. – Znajomy mojej mamy. Larry.

– Masz jego numer?

Pokręciła głową.

– Proszę pani, proszę pani! – Do drzwi zapukało inne dziecko z jej klasy. – Kevin znowu uderzył jedną dziewczynkę!

Nauczycielka jęknęła.

– Już idę. – Po drodze natknęły się na kobietę, która pracowała jako pomoc pedagogiczna. Była nowa i zawsze miała na nogach sandały, nawet jeśli padało. – Sandra, odprowadzisz za mnie to dziecko do domu? To tylko parę przystanków. Podobno matka jest w domu. Kevin! Przestań w tej chwili!

Kiedy dotarły z panią w sandałach do bloku Carli, zaczęło jej się kręcić w głowie. Oko tak ją rwało, że prawie nic nie widziała. Pulsujący ból nad brwią przewiercał głowę na wylot. Ale najgorsze było to, że wiedziała na sto procent, że mammy nie ma w domu i że będzie musiała wrócić do tej okropnej szkoły.

Nie martw się – szepnął Charlie. – Coś wymyślę.

Niech się lepiej pośpieszy!

– Znasz kod wejściowy? – spytała pani w sandałach. Oczywiście że zna! Weszły do bloku, ale tak jak się spodziewała, daremnie dzwoniły do drzwi z numerem siedem. Nikt nie odpowiadał.

– Może wyszła po mleko? – podsunęła Carla w desperacji. – Możemy wejść i poczekać, aż wróci.

Zawsze tak robiła, bo mamma wracała do domu później niż ona. Przebierała się, trochę sprzątała (mamma rano zawsze się śpieszyła) i zaczynała szykować risotto albo makaron na kolację. Raz, kiedy naprawdę się nudziła, zajrzała pod łóżko mammy, gdzie trzymała ona swoje „ważne rzeczy”, i znalazła tam kopertę ze zdjęciami. Na wszystkich był mężczyzna w przekrzywionym zawadiacko kapeluszu, z pewnym siebie uśmiechem na ustach. Coś jej kazało odłożyć zdjęcia z powrotem i nic nie mówić. Ale odtąd od czasu do czasu, kiedy mammy nie było w domu, wyjmowała je, żeby obejrzyć jeszcze raz.

Teraz jednak, kiedy przysunęła stojące w końcu korytarza krzesło i zajrzała na półkę nad ich drzwiami z numerem siedem, stwierdziła, że klucza tam nie ma. Siódemka to szczęśliwa liczba, powiedziała mamma, kiedy się tu wprowadziły. Pozostaje tylko czekać, a szczęście samo przyjdzie.

Gdyby tak miała klucz do tylnego wejścia, od strony pojemnika na śmieci! Ale zapasowy klucz miał Larry, tak żeby mógł przyjść, kiedy chce i troszkę odpocząć razem z mamną. Mamma żartowała, że Larry ma własne, prywatne wejście do ich mieszkania.

– Nie mogę cię zostawić samej – zajęczała pani w sandałach, tak jakby to była wina Carli. – Musimy wrócić do szkoły.

Nie. Nie! Bała się Kevina. Innych dzieci też. Charlie, zrób coś!

I wtedy usłyszała od strony wejścia ciężkie, człapiące kroki.

Lily

Appeal

A peel

A peel^[2] – pisze Joe Thomas na kartce.

Odgarniam do tyłu włosy, normalnie założone za uszy, i usiłując zignorować napływający z korytarza zapach kapusty, patrzę na te trzy linijki leżące między nami na blacie. Uroczy mężczyzna sprzed godziny zniknął. Ten, którego mam przed sobą, ledwie wypowie czasem jakieś słowo. W tej chwili odkłada długopis, tak jakby czekał, że się odezwę. Postanowił, że gra będzie się toczyć według jego zasad.

Dla każdego innego byłoby to irytujące.

Ale ja już to przerabiałam i dlatego trzymam się całkiem nieźle. Kiedy Daniel żył (lata minęły, zanim byłam w stanie wymówić te słowa), często pisał słowa i zdania na wszelkie możliwe sposoby. Do góry nogami. W odwrotną stronę. Z niewłaściwą kolejnością liter.

On inaczej nie potrafi, mówiła matka. Ale ja wiedziałam, że potrafi. Kiedy byliśmy tylko we dwoje, mój brat pisał normalnie. To gra, mówił psotny błysk w jego oczach. Rób tak jak ja! My dwoje przeciwko nim!

W tej chwili podejrzewam, że Joe Thomas gra ze mną w jakąś grę. Daje mi to nieoczekiwane radosne poczucie mocy. Wybrał niewłaściwą osobę. Znam wszystkie te gierki.

– Apelacja – mówię krótko i zwięźle. – Można ją zinterpretować na różne sposoby, prawda?

Joe Thomas postukuje obcasem o obcas. Stuk, stuk. Stuk, stuk.

– Z pewnością. Ale nie każdy tak uważa.

Śmieje się krótko. Zgryźliwie. Tak jakby wszystkim, którzy myślą inaczej, brakowało w życiu czegoś ważnego.

Ciekawe, kto powiesił ten plakat „Nadzieja”. Jakiś życzliwy strażnik? Albo pełen dobrych chęci wolontariusz? Zaczynam się już uczyć, że za kratkami spotyka się najrozmaitszych ludzi.

Na przykład kogoś takiego jak mój klient.

Mnie też przydałoby się trochę nadziei. Zaglądam w papiery.

– Z raportu wynika, że na skutek zbyt gorącej kąpieli pańska dziewczyna oblaźła ze skóry.

Twarz Joego Thomasa pozostaje doskonale nieruchoma. No ale czego się spodziewałam? Do tej pory musiał się już przyzwyczać do oskarżeń i zarzutów. O to właśnie chodzi w tym szczególnym więzieniu. Psychologowie dyskutują z więźniami, dlaczego popełnili przestępstwo. Ze współwięźniami też się o tym rozmawia. Gwałciciel chce wiedzieć, dlaczego kolega poderżnął matce gardło. Morderca – dlaczego ten pierwszy wziął udział w zbiorowym gwałcie trzynastoletniej dziewczynki.

Mój szef z wyraźną przyjemnością opowiada mi takie detale. Całkiem jakby chciał mnie wystraszyć. A jednak teraz, gdy tu jestem, nieoczekiwanie narasta we mnie ciekawość. Dlaczego Joe Thomas wepchnął swoją dziewczynę do wrzątku?

O ile rzeczywiście to zrobił.

– Przejrzyjmy teraz argumenty oskarżenia podczas pańskiego procesu – mówię.

Jego twarz pozostaje bez wyrazu, tak jakbyśmy zabierali się do sprawdzania listy zakupów.

Spoglądam w notatki, choć bardziej po to, żeby uniknąć bacznego spojrzenia tych czarnych oczu, niż

żeby przypomnieć sobie fakty. Dobry prawnik powinien mieć fotograficzną pamięć; moja zapisuje każdy detal. Czasem wolałabym mieć gorszą. Ale w tej chwili jest absolutnie niezbędna.

– Zamieszkaliście z Sarah pięć miesięcy po tym, jak poznał ją pan w lokalnym pubie. Jej znajomi zeznali w sądzie, że wasza relacja była niestabilna, typu „raz dobrze, raz źle”. Jej rodzice zeznali, że zwierzała się im, że jest pan despotą, i boi się, że może jej pan zrobić krzywdę. Z raportu policji wynika, że istotnie Sarah składała na pana doniesienie w związku z tym, że zepchnął ją pan ze schodków, w wyniku czego złamała sobie nadgarstek. Potem jednak wycofała skargę.

Joe Thomas kiwa głową.

– Tak. Spadła ze schodków, bo za dużo wypiła, chociaż obiecała, że przestanie. Ale z początku obwiniała mnie, bo nie chciała, żeby jej rodzina się dowiedziała, że znowu pije. – Wzrusza ramionami. – Pijacy potrafią okropnie kłamać.

Czyż o tym nie wiem?

– Ale poprzednia dziewczyna też wysuwała przeciwko panu zarzuty. Twierdziła, że ją pan śledzi.

Prycha z irytacją.

– Nie nazwałbym tego śledzeniem. Po prostu parę razy za nią poszedłem, bo chciałem sprawdzić, czy naprawdę idzie tam, gdzie mówiła. A zresztą wycofała skargę.

– Bo jej pan groził?

– Nie. Bo zdała sobie sprawę, że szedłem za nią, bo mi na niej zależy. – Patrzy na mnie bez wyrazu. – Ale i tak krótko po tym ją rzuciłem.

– Dlaczego?

Rzuca mi spojrzenie typu: „Przecież to oczywiste”.

– Przestało mi na niej zależeć, bo nie chciała żyć według moich zasad.

No właśnie. Obsesja kontroli.

– A potem poznał pan Sarah.

Kiwa głową.

– Rok i dwa dni później.

– Jest pan bardzo precyzyjny.

– Jestem dobry w liczbach i datach.

Nie mówi tego z przechwałką. Raczej jako stwierdzenie czegoś, co jest tak oczywiste, że prawie nie warto o tym mówić.

– Sąsiedzi zeznali – podejmuje – że wieczorem w dniu jej śmierci słyszeli krzyki.

Joe kręci głową.

– Ci Jonesowie? Oni mogli na nas powiedzieć wszystko. Mówiłem o tym adwokatowi w swoim czasie. Odkąd się wprowadziliśmy, mieliśmy z nimi nieustanne problemy.

– Więc uważa pan, że to zmyślili? Dlaczego mieliby to zrobić?

– Nie siedzę w ich skórze, więc skąd mam wiedzieć? Ale tak jak mówiłem, źle się z nimi żyło. Bardzo głośno włączali telewizor. Nigdy nie mieliśmy spokoju. Prosiłszy ich o ciszę, ale nie słuchali. Później poszło o ogródki. Jonesowi się nie spodobało, że skrytykowałem ich ogródek, bo był strasznie zaniedbany i nasz źle przy nim wyglądał. Nasz był oczywiście w nienagannym stanie. Od tego czasu zaczęli być okropni. Odgrażali się. Wyrzucali śmieci do naszego ogródka. – Zaciska usta. – Ale oskarżyć mnie o morderstwo to już o włos za daleko.

– A co z odciskami pańskich palców na bojlerze? – Wskazuję odnośny fragment w raporcie. – Oskarżyciel stwierdził, że podkreślił pan temperaturę wody do maksimum.

Ciemne oczy nawet nie drgną.

– Mówiłem o tym obronie w swoim czasie. Mam powtórzyć? Płomyk często gasł, więc musiałem go wciąż na nowo zapalać. Nic dziwnego, że na bojlerze były moje odciski.

– A więc jak zginęła Sarah, skoro jej pan nie zamordował? Jak może pan wyjaśnić siniaki na jej ciele?

Palce zaczynają bębnić po stole, jakby do milczącego rytmu.

– Proszę posłuchać. Opowiem pani dokładnie, jak było. Ale musi mi pani pozwolić opowiedzieć to po mojemu.

Tak, ten człowiek ma obsesyjną potrzebę kontroli. Może pozwolić mu na to na chwilę? Zobaczymy, co dzięki temu ujawni.

– Dobrze.

– Przyszła późno z pracy. Było dwie minuty po ósmej, jak wróciła. Normalnie wracała o szóstej. Co do minuty.

Nie wytrzymuję.

– Jak może pan być taki pewny?

Wyraz jego twarzy sugeruje, że powiedziałam coś niezwykle głupiego.

– Bo przejście ze sklepu do domu zajmowało jej dokładnie jednaście minut. Między innymi dlatego zachęcałem ją, żeby wzięła tę pracę, jak zamieszkaliśmy razem. Była wygodna.

Wracam myślą do profilu Sarah. Ekspedientka w sklepie odzieżowym. W sumie dość stereotypowy obraz. I zaraz strofuję sama siebie. Czy ja jestem typową prawniczką? A Ed, czy jest typowym pracownikiem reklamy? A Joe? Czy jest typowym sprzedawcą ubezpieczeń? Trudno powiedzieć. Na pewno jest bardzo dokładny, jeśli chodzi o liczby.

– Proszę kontynuować – mówię zachęcająco.

– Była pijana. To było oczywiste.

– Dlaczego?

Kolejne spojrzenie w stylu: „Głupia jesteś czy co?”

– Ledwie mogła utrzymać się na nogach. Czuć było od niej winem. Potem się okazało, że wypiała też pół butelki wódki, ale wódkę trudno wyczuć.

Sprawdzam w papierach. Ma rację. Dziewczyna miała wysoki poziom alkoholu we krwi. Ale to nie dowód, że jej nie zabił.

– Co dalej?

– Pokłóciliśmy się o to spóźnienie. Zrobiłem kolację, jak zawsze. Lazanie z czosnkiem, bazylią i sosem pomidorowym. Ale do tego czasu wszystko wyszło i było nieapetyczne. Więc się pokłóciliśmy. Mówiliśmy podniesionym głosem, przyznaję, ale nie było żadnych wrzasków, jak twierdzili sąsiedzi. – Krzywi się z niesmakiem. – Potem zwymiotowała. Cała podłoga w kuchni była zapaskudzona.

– Bo była pijana?

– Czy tak nie bywa, jak człowiek za dużo wypije? Obrzydliwe... Poczuła się po tym lepiej, ale sama też się ubrudziła. Kazałem się jej wykapać. Powiedziałem, że napuszczę jej wody, jak zawsze. Ale nie chciała. Zatrzaskała mi drzwi przed nosem i włączyła radio. Radio 1, swoją ulubioną stację. No więc ją zostawiłem i zabrałem się za sprzątanie.

Przerywam mu.

– Nie zaniepokoił się pan, że jest sama w łazience? Przecież była pijana.

– Z początku nie. Tak jak przed chwilą powiedziałem, po tym, jak zwymiotowała, wyglądała lepiej. Bardziej trzeźwo. A zresztą co mógłbym zrobić? Martwiłem się, żeby znowu nie doniosła na mnie na policję. Sarah miała bujną wyobraźnię.

– To kiedy pan poszedł sprawdzić, co się z nią dzieje?

– Po jakiejś półgodzinie rzeczywiście się zaniepokoiłem. Nie słychać było plusku wody i nie odpowiadała, jak pukałem. Więc wszedłem. – Błędnie. – I wtedy ją znalazłem. Prawie że jej nie poznałem, choć była zwrócona twarzą do góry. Skórę miała fioletową. Ciemnoczerwoną i fioletową. Miejscami oblaźła. Gdzie indziej były te wielkie pęcherze.

Wzdrygam się bezwiednie.

Joe przez chwilę milczy. Odpowiada mi ta przerwa.

– Musiała się pośliznąć i wpaść. A woda była bardzo gorąca – podejmuje. – O wiele gorętsza, niż można by się spodziewać po trzydziestu minutach, więc nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jaka musiała być, kiedy wpadła. Sam się poparzyłem, próbując ją wydobyć. Próbowałem ją reanimować, ale nigdy nie zrobiłem kursu pierwszej pomocy. Nie wiedziałem, czy robię, co trzeba. Więc zadzwoniłem pod 999.

Mówi równym, opanowanym głosem. Nie jest zdenerwowany. Ale nie jest też totalnie obojętny. Jak ktoś, kto usiłuje się mimo wszystko trzymać.

– Policja stwierdziła, że nie wyglądał pan na specjalnie przejętego, kiedy przyjechali.

Znowu patrzy mi w oczy.

– Ludzie okazują emocje na różne sposoby. Czy na pewno ten, kto najgłośniej lamentuje, przeżywa najbardziej?

Tu ma rację.

– Mówię pani prawdę – dodaje zdecydowanie.

– Niemniej przysięgli uznali pana za winnego.

Widzę po jego oczach, że się spina.

– Źle to odebrali. Moja obrona to byli idioci.

Plakat „Nadzieja” patrzy na nas drwiąco ze ściany.

– Apelacja jest możliwa tylko w wypadku, kiedy pojawiły się nowe dane. Wszystko to, co pan powiedział, w zasadzie jest już w aktach. Nawet jeśli mówi pan prawdę, nie mamy nic, co mogłoby to udowodnić.

– Wiem.

Tracę cierpliwość.

– A więc ma pan jakieś nowe dane?

Patrzy na mnie bacznie, nieustępliwie.

– To pani ma to ustalić. – Znowu bierze do ręki długopis. Pisze na kartce: „peal”. I jeszcze raz. I jeszcze.

– Panie Thomas. Czy ma pan jakieś nowe dane?

Joe Thomas pisze nadal. Czy to jakaś wskazówka? Trop?

– A jak pani myśli?

Mam ochotę go skrzyczeć. Ale czekam. Milczenie to kolejna sztuczka. Nauczyłam się tego od brata.

Jednostajnie tyka zegar, którego wcześniej nie zauważyłam. Pod nim przyczepiono karteczkę z odręcznym napisem: „Nie usuwać”. Nie mogę się powstrzymać i parskam krótkim śmieszkiem. To wystarczy, żeby przełamać ciszę.

– Poprzedni ktoś ukradł. – Joe Thomas też najwyraźniej jest rozbawiony. – Rozebrał go na części, żeby zobaczyć, jak działa.

– Udało mu się? – pytam.

– Nie. Było po zegarze. – Twarz znowu mu twardnieje. Przeciąga palcem po gardle. – Kaput.

Akcja najwyraźniej jest po to, żeby mnie nastraszyć. I udaje mu się. Ale nie wiadomo jak i skąd budzi się we mnie determinacja, żeby tego nie okazywać. Spoglądam na kartkę na biurku.

– Jakie znaczenie ma „peal”? To pisane przez „ea”?

– Rupert Brooke. – Mówi takim tonem, jakby to było oczywiste. – Wie pani, „A miód, wciąż dają do herbaty?”^[3] Bicie dzwonów kościelnych pośród wiejskiej zieleni i tak dalej.

Jestem zaskoczona.

– Lubi pan poetów czasu wojny?

Wzrusza ramionami, patrząc przez okno na spaceriak.

– Nie znam ich. Więc skąd mogę wiedzieć, czy ich lubię? Ale domyślam się, co czuli.

– Co?

Szybkim ruchem zwraca twarz w moją stronę.

– Nie za dobrze odrobiła pani lekcje, co, panno Hall?

Zimno mi się robi. Czy nie słyszał, jak się przedstawiałam: Lily Macdonald? I skąd wie, że moje nazwisko panieńskie to Hall? Miga mi wspomnienie ciepłej dłoni Eda, kiedy trzymał mnie przed ołtarzem za rękę. To spotkanie zostało zaplanowane jeszcze przed ślubem, być może więc mojemu klientowi podano poprzednie nazwisko. Instykt podpowiada mi jednak, że bezpieczniej będzie go w tej chwili nie poprawiać. Mogłoby to popsuć start.

Poza tym bardziej mnie martwi aluzja do pracy domowej. Jest coś, co przeoczyłam? Prawnik nie może sobie pozwolić na pomyłkę, powtarza nam w kółko szef. Jak dotąd, byłam w porządku. Nie jak jeden ze świeżo upieczonych prawników, którego przyjęli w tym samym miesiącu co mnie i wyrzucili, bo nie zdążył na czas z apelacją.

– Nie ma tego w pani notatkach – dodaje, widząc, że opuszczam wzrok. – Ale miałem nadzieję, że wasi ludzie pogrzebią głębiej. Niech pani pomyśli. Poeci czasu wojny. Co przeżyli? Jak się zachowywali po powrocie do domu?

Czuję się jak studentka na University Challenge^[4].

– Szok – mówię. – Wielu z powodu stresu pourazowego nie chciało się odzywać.

Kiwa głową.

– Co jeszcze?

Rozpaczliwie usiłuję odświeżyć moją pamięć długoterminową.

– Niektórzy byli agresywni.

Joe Thomas odchyła się na oparcie krzesła i zakłada ręce na piersi. Na twarzy ma uśmiech satysfakcji.

– Właśnie.

To nie ma sensu.

– Ale pan nie był w wojsku.

– Nie.

– To dlaczego zabił pan swoją dziewczynę?

– Niezły ruch. Powiedziałem, że jestem niewinny. Pamięta pani? I właśnie dlatego składam apelację. –

Długim palcem artysty, niepasującym do potężnej sylwetki, postukuje w moje notatki. – Tu jest wszystko. To znaczy, oprócz tej ekstra wskazówki. Teraz kolej na panią.

Skrzypi odsuwane krzesło. Joe Thomas nagle wstaje. Przez chwilę pokój wiruje. Co się dzieje? Zapominam o wszystkim, widzę tylko te ciemne, prawie czarne oczy, które zdają się przenikać mnie na wskroś. Widzą wszystko, co we mnie jest. Widzą to, czego nie widzi Ed.

A co najważniejsze, nie potępiają mnie.

Nachyla się ku mnie. Czuję jego zapach. Nie bardzo wiem jaki. Nie jest to zapach wody kolońskiej, z nutą sosny albo cytrusów, jak w przypadku mojego męża. Raczej naturalna, pierwotna, zwierzęca woń. Nie wiem dlaczego, zaczyna mi brakować tchu.

BUM!

Wzdrygam się. On też. Zdumieni, patrzymy oboje za okno, skąd dobiegł odgłos. W powietrzu, tuż za szybą, wisi nieruchomo duży szary gołąb. Białe piórko powiewa delikatnie na zewnętrznym parapecie: ptak musiał uderzyć w szybę. I nagle, o dziwo, odlatuje.

– Żyje – mówi beznamiętnie Joe Thomas. – Poprzedni zginął. Zdawałoby się, że kraty powinny je odstraszać, prawda? Ale one tak jakby wiedziały lepiej. Może i wiedzą... Przecież ptaki potrafią się wzbijać na wysokości, o których my nie mamy pojęcia.

Kryminaliści, przestrzegali mnie szef, potrafili być w niektórych dziedzinach bardzo wrażliwi. Nie daj się zwieść.

– Teraz niech pani idzie i przyjdzie za tydzień. – Joe Thomas wydaje mi instrukcje, tak jakby cała scena w ogóle nie miała miejsca. – A w międzyczasie musi pani rozpracować związek pomiędzy mną a poetami czasu wojny. To pani da podstawę mojej apelacji.

Jak dosyć, to dosyć.

– Bez żartów – mówię krótko, aby ukryć niewytłumaczalną mieszaną strachu i ekscytacji, buzującą mi w piersi. – Wie pan równie dobrze jak ja, że zorganizowanie wizyty prawnika trochę trwa. Możliwe, że nie uda mi się przyjść tak szybko. Musi pan maksymalnie wykorzystać tę wizytę.

Wzrusza ramionami.

– Skoro tak pani mówi. – Po czym spogląda na moje wciąż opalone nadgarstki ze srebrną bransoletką, a potem na błyszczącą od nowości obrączkę. – Ale, ale, pomyliłem się przed chwilą, prawda? Teraz nazywa się pani Macdonald, tak? Mam nadzieję, że miesiąc miodowy się udał?

Kiedy wysiadam na stacji kolejki z taksówki, wciąż jeszcze się trzęsę. Skąd Joe Thomas wie o moim miodowym miesiącu? Czy to możliwe, że kiedy mnie nie było, mój szef, załatwiając papierkową robotę związaną z wizytą, komuś o tym powiedział? Jeśli tak, to jest to w jawnej sprzeczności z jego inną radą: „W żadnym wypadku nie mów nic na tematy osobiste. Utrzymywanie bariery pomiędzy tobą a klientem ma znaczenie zasadnicze”.

Rada, podobnie jak ostrzeżenie strażnika co do „manipulowania”, wydawała mi się tyleż oczywista, co niepotrzebna. Jak większość ludzi (tak przynajmniej sędzę), zdumiewały mnie dziwne gazetowe historie o romansach więziennych wolontariuszy z więźniami. Nigdy nie natknęłam się na podobną opowieść o prawniku. A że nachodzą mnie te dziwne myśli? To tylko nerwy. Plus rozczarowanie związane z Włochami.

A co do „pomyłki” Joego w związku z moim nazwiskiem, to zastanawiam się, czy to nie było celowe. Żeby mnie zbić z tropu, zaskoczyć? Ale dlaczego?

– Pięć funtów trzydzieści.

Głos taksówkarza przywołuje mnie do rzeczywistości. Z ulgą, że odwrócił bieg moich myśli, grzebię w portmonetce w poszukiwaniu drobnych.

– To euro. – Głos taksówkarza jest podejrzliwy, tak jakbym celowo usiłowała mu wcisnąć to euro.

– Oj, przepraszam. – Zaczerwieniona, znajduję właściwą monetę. – Byłam za granicą i musiały mi się pomieszać pieniądze.

Przyjmuje napiwek jak z łaski, wyraźnie nieprzekonany. Pomyłka. Po prostu pomyłka. A jednak jak łatwo wziąć ją za kłamstwo. Czy tak właśnie czuje się Joe Thomas? Czy to możliwe, że popełnił pomyłkę i tak ma dość tego, że nikt go nie rozumie właściwie, że postanowił grać ze mną w jakieś gry?

Ale to naprawdę nie ma sensu.

Spoglądam na zegarek. Jest później, niż myślałam. Na pewno lepiej wykorzystam czas, jeśli wrócę do domu i zrobię notatki z wizyty. A poza tym w domu będę mogła zajrzeć do Ruperta Brooke’a. Wprawdzie klient zdenerwował mnie swoją wiedzą na temat mojego życia prywatnego, ale też mnie intryguje. Nie daje mi spokoju, jak zawsze, kiedy człowiek czuje, że powinien znać odpowiedź na jakieś pytanie.

– Wyciągnij z niego, ile się da – powiedział szef. – To on się do nas zwrócił o apelację. To znaczy, że ma jakieś nowe dane... chyba że po prostu chce być przedmiotem uwagi. To się zdarza. Tak czy siak, może nam być potrzebna pomoc.

Innymi słowy – konsultacja adwokacka.

Ale mam dojmującą świadomość, że daleko dziś nie zaszłam. Na czym oprzeć apelację? Na niepoczytalności skazanego? A może po prostu zachowuje się ekscentrycznie? Czy inni klienci też zadają swoim prawnikom takie zagadki? A jednak w opowieści Joego jest coś, co brzmi prawdziwie. Alkoholicy rzeczywiście kłamią. Sąsiedzi też mogą mijać się z prawdą. Przysięgli mogą odnieść błędne wrażenie...

Kłębiące się w mojej głowie argumenty sprawiają, że jazda pociągiem zdaje się trwać krócej niż rano. Nie wiadomo kiedy, już jadę autobusem do domu. To słowo budzi we mnie radosny dreszcz. Dom! Nie

ten w Devon, tylko nasz pierwszy dom jako małżeństwa, w Clapham. Zrobię obiad. Może spaghetti po bolońsku? To dosyć proste. Przebiorę się w tę długą tunikę, którą matka kupiła mi na podróż poślubną, jak to ujęła. Trochę posprzątam. Tak żeby mieszkanie wyglądało przytulnie i zachęcająco, jak wróci mąż. A jednak coś wydaje się nie tak.

W nielicznych przypadkach, kiedy zdarzyło mi się wyjść wcześniej z pracy, czułam się zawsze jak niegrzeczna uczennica. A to przecież nie ja. Na moich świadectwach zawsze widniało słowo „sumienna”, jakby na pocieszenie wobec braku bardziej efektownych dowodów uznania, jak „inteligentna” czy „sposstrzegawcza”. Nie jest tajemnicą, że wszyscy byli zdumieni (a najbardziej ja sama), kiedy – wyłącznie dzięki ciężkiej harówce – dostałam się na jeden z najbardziej prestiżowych uniwersytetów w kraju. A potem znowu, kiedy pomimo konkurencji zatrudniono mnie w firmie prawniczej. Jeśli człowiek nauczył się oczekiwać, że wszystko pójdzie źle, jest w szoku, kiedy niektóre sprawy idą dobrze.

– Dlaczego chcesz zostać prawniczką? – spytał w swoim czasie ojciec.

Pytanie zawisło w powietrzu, niepotrzebne.

– Z powodu Daniela, oczywiście – pospieszyła matka. – Lily chce naprawiać świat. Prawda, kochanie?

Teraz, wysiadając z autobusu, uprzytamniam sobie, że myślałam dziś o bracie więcej, niż zdarzyło mi się od bardzo dawna. Spowodował to Joe Thomas. Jego ta sama co u Daniela postawa zaczepno-obronna. Ta sama arogancja, której towarzyszy zarazem wielka wrażliwość. To samo zamiłowanie do gier. Ta sama odmowa podporządkowania się, gdy napotyka sprzeciw.

Ale Joe jest przestępcą, przypominam sobie samej. Mordercą. Mordercą, który ma nad tobą przewagę, mówię do siebie ze złością, idąc korytarzem w stronę naszego mieszkania. Przedtem wyjęłam pocztę ze skrzynki przed wejściem. Rachunek? Znowu? Czuję drgnienie niepokoju. Mówiłam Edowi, że nie powinniśmy byli brać takiego wielkiego kredytu hipotecznego, ale tylko uniósł mnie w powietrze, okręcił i powiedział, że jakoś sobie damy radę.

Wtem staję. Pod drzwiami mieszkania numer siedem ma miejsce jakiś spór. Między kobietą a dzieckiem. Jestem pewna, że to ta sama dziewczynka w granatowym szkolnym mundurku, którą widziałam dziś rano. Ale kobieta to na pewno nie jej piękna matka z kaskadą czarnych loków. To jakaś nieciekawa kobieta, na oko trzydziestoparoletnia. Choć na dworze zimno, na nogach ma czerwone sandały.

Kiedy podchodzę bliżej, zauważam na oku dziecka rozległy granatowy siniak.

– Co tu się dzieje? – pytam ostro.

– Czy pani jest matką Carli?

– Jestem sąsiadką. – Spoglądam na potworny siniak. – A pani?

– Pracuję jako pomoc pedagogiczna w szkole Carli – mówi z niejaką dumą. – Polecono mi ją odprowadzić do domu, bo na boisku zdarzył się mały wypadek. Ale wygląda na to, że pani Cavoletti nie ma w domu, a jej szef powiedział, że dziś nie pracuje, więc musimy wrócić do szkoły.

– Nie. Nie!

Dziewczynka – Carla, tak? – ciągnie mnie za rękę.

– Mogę zostać u pani? Proszę! Proszę...

Kobieta wyraźnie nie wie, co zrobić. Wygląda na osobę bez doświadczenia. Znam to uczucie... Oczywiście słusznie się obawia. Nie znam tej dziewczynki, choć zachowuje się tak, jakby ona mnie znała. Ale najwyraźniej stała jej się w szkole krzywda. Wiem, jak to jest.

– Chyba trzeba z nią pojechać na ostry dyżur – mówię.

– Nie mam na to czasu! – Oczy kobiety rozszerza popłoch. – Muszę odebrać ze szkoły własne dzieci.

Oczywiście to nie moja sprawa. Ale w strapionej buzi dziewczynki jest coś takiego, że decyduję się pomóc.

– W takim razie ja to zrobię. – Wyjmuję wizytówkę. – Proszę, to moje dane.

Lily Macdonald. Magister prawa. Radca prawny.

Wygląda, że to przekonuje doraźną opiekunkę Carli. Chociaż być może nie powinno.

– To chodźmy – mówię. – Weźmiemy taksówkę do szpitala. Może panią gdzieś podzucić?

Odmawia, choć propozycja zdaje się uspokajać ją jeszcze bardziej.

Przychodzi mi do głowy, że nietrudno byłoby uprowadzić dziecko. Okoliczności są dość sprzyjające.

– Nazywam się Lily – mówię, kiedy zostajemy z Carlą same. Przedtem wsunęłam jeszcze pod drzwi siódmki karteczkę dla jej matki, żeby wiedziała, co się stało. – Wiesz, że nie powinnaś rozmawiać z nieznajomymi?

– Charlie powiedział, że tym razem można.

– Kto to jest Charlie?

Wyciąga spod sweterka zielony piórnik w kształcie gąsienicy.

Jakie to słodkie! Ja miałam drewniany, jak byłam w szkole, z sekretnym schowkiem na gumę.

– A co ci się stało w oko?

Dziewczynka odwraca wzrok.

– To była pomyłka. On nie chciał tego zrobić.

– Kto się pomylił, niuniu?

I natychmiast słyszę w wyobraźni różne głosy.

„Przysięgli się pomylili” – powiedział Joe Thomas.

„To musi być jakaś pomyłka” – szlochała moja matka, kiedy znaleźliśmy Daniela.

„Czy to pomyłka?” – zastanawiałam się, idąc nawą do ołtarza.

Żadnych pomyłek więcej, mówię sobie. I zabieram Carlę do naszego mieszkania, żeby zadzwonić po taksówkę.

Odtąd muszę być w porządku.

Carla

Kto się pomylił, niuniu? – spytała pani o złotych włosach, gdy weszły do mieszkania numer trzy. Mówiła bardzo wyraźnie. Wykwintnie, jak powiedziałyby mama. Jak jedna z tych aktorek w telewizji.

– Kevin. Chłopak z mojej klasy. Rzucił we mnie piłką.

Carla zanurzyła nos w futerku Charliego. Było miłe i przytulne. Rozejrzała się po mieszkaniu. Przypominało z kształtu ich, tylko obrazów na ścianach było więcej. Było też bardziej nieporządne – jakieś papierki na kuchennym blacie, a pod spodem brązowe buty, tak jakby ktoś je tu zostawił i zapomniał. Z tymi grubymi podeszwami i sznurowadłami wyglądały na męskie. Mamma zawsze mówiła, że buty to bardzo ważna broń kobiety. Kiedy Carla powiedziała, że nie rozumie, mamma się tylko roześmiała.

– Skoro mamy nie ma w pracy, to jak myślisz, gdzie może być?

Carla wzruszyła ramionami.

– Może z Larrym. To jej znajomy. Czasem zabiera ją na lunch koło sklepu, gdzie mamma pracuje. Sprzedaje różne rzeczy, żeby kobiety były piękne.

– A gdzie jest ten sklep?

– W takim miejscu, które nazywa się Night Bridge.

Sąsiadka uśmiechnęła się, tak jakby Carla powiedziała coś śmiesznego.

– Masz na myśli Knightsbridge^[5]?

– *Non lo so.* – Kiedy była zmęczona, zawsze odruchowo wracała do włoskiego, pomimo że usiłowała skłonić mamę, by mówiła w domu po angielsku.

– No dobrze, zostawiłyśmy jej karteczkę z wiadomością, gdzie jesteśmy. Za chwilę będzie taksówka.

Carla nadal głąskała miękkie zielone futerko.

– A Charlie też może z nami pojechać?

– Twoja gąsienica? Oczywiście, możemy ją zabrać.

– Jego – poprawiła Carla. – Charlie to chłopczyk.

Złotowłosa pani się uśmiechnęła.

– To fajnie.

W szpitalu byli dla niej bardzo mili. Jedna pielęgniarka, ta najbardziej uśmiechnięta, dała jej cukierka, który przykleił jej się do podniebienia. Carla musiała wsadzić palec do buzi, żeby go odkleić. W domu mamma nie pozwalała jej na słodycze, chyba że Larry jej przyniósł. Od słodczy się tyje, a potem nie można znaleźć chłopaka, który opłacałby ci czynsz za mieszkanie.

– Pomyśl o czymś przyjemnym, to nie będzie bolało – powiedziała złotowłosa pani i wzięła ją za rękę, bo pielęgniarka kładła jej właśnie na brew coś piekącego.

Więc Carla pomyślała o imieniu nowej znajomej. Lily! Jakie śliczne! Larry czasem przynosił lilie, kiedy je odwiedzała. Kiedyś, jak już była w ???ku, ta?czyli łóżku, tańczyli z matką tak ostro, że lilie spadły na podłogę i poplamiały dywan na żółto. Kiedy wyjrzała, żeby zobaczyć, co się stało, Larry powiedział „nic, nic”. Postara się załatwić czyszczenie dywanu. Być może załatwi też dla mamy nową bluzkę. Bo ta była rozdarta, a górne trzy guziki, podobne do czerwonych cukierków, rozsypały się po podłodze.

Kiedy wracały taksówką do domu, opowiedziała tę historię Lily. Jazda z powrotem była długa, bo

taksówkarz powiedział, że jest objazd.

Lily przez chwilę milczała.

– Widziałaś kiedyś swojego tatę? – spytała.

Carla wzruszyła ramionami.

– Umarł, zanim się urodziłam. Mamma płacze, jak o nim rozmawiamy. – Po czym wyjrzała przez okno.

– Ojej! Ile tu światła!

– To miejsce nazywa się Piccadilly Circus – powiedziała Lily.

– Naprawdę? – Carla przycisnęła nos do szyby. Zaczynało się śnieżyć. Mogła udawać, że to, co jej kapie z nosa, to deszcz. – A gdzie są lwy?

– Lwy?

– Powiedziała pani, że to cyrk. Ale nie widać żadnych lwów ani pań w krótkich spódniczkach, chodzących po linie.

Rozległ się stłumiony śmiech. Podobnie śmiała się mamma, jak przychodził Larry. Carla zawsze słyszała przez ścianę, która oddzielała jej pokój od sypialni mamy.

– Niech się pani nie śmieje! To prawda! Wiem, jak wygląda cyrk. Widziałam obrazki w książkach!

Może nie powinna była krzyczeć. Uśmiech Lily wyprostował się w poziomą linię. Ale zamiast się rozgniewać, tak jak mamma, kiedy Carla powiedziała coś, czego nie powinna, nadal wyglądała miło i uprzejmie.

– Przepraszam, ale kogoś mi przypomniałaś.

Carla momentalnie się zaciekawiła.

– Kogo?

Lily się odwróciła.

– Kogoś, kogo znałam.

Przejeżdżały teraz pod mostem. W taksówce zrobiło się ciemno. Carla słyszała, jak Lily wyciera nos. Kiedy wyjechały po drugiej stronie, oczy jej błyszczały.

– Podoba mi się twój piórnik.

– To nie piórnik. To gąsienica. – Carla czule pogładziła zielone futerko, najpierw z włosem, potem pod włos. – Charlie rozumie wszystko, co pani mówi.

– Tak samo myślałam o lalce, którą kiedyś miałam. Nazywała się Amelia.

– Ma ją pani jeszcze?

Lily znowu się odwróciła.

– Nie. Nie mam.

Lily powiedziała to tak samo jak mamma, kiedy mówiła, że kolacji wystarczy tylko dla jednej z nich, ale to bez znaczenia, bo ona nie jest głodna. I tak samo jak wtedy, Carla zmilczała, bo czasem dorośli nie chcą, żeby zadawać im kolejne pytania.

Tymczasem taksówka mknęła szerokimi ulicami, mijając jasno oświetlone sklepy. Potem były mniejsze, ze sklepikami warzywnymi, przed którymi stały drewniane skrzynki z owocami. W końcu minęły park, który Carla rozpoznała, i skręciły w ich uliczkę ze stojącymi przy niej pojemnikami na śmieci. Charliemu zjeżyło się futerko. Serce Carli tłukło się niespokojnie. Mamma już pewnie jest w domu. Co ona powie?

„Nigdy nie rozmawiaj z nieznajomymi”. Ile razy jej to mówiła? A teraz Carla nie tylko pojechała z kimś nieznajomym. Na dodatek ukradła Charliego.

– Wszystko wytłumaczę twojej mamie – powiedziała złotowłosa Lily, tak jakby wiedziała, o czym Carla myśli, i podała kierowcy dwa prawdziwe papierowe banknoty. Jaka ona musi być bogata! – Myślisz, że już jest w domu? Jeśli nie, to możesz...

– *Piccola mia!*

Poczuła ciężkie perfumy mamy, wybiegającej z bloku, zanim ją jeszcze zobaczyła.

– Gdzieś ty była? Ja tu mało szau nie dostanę ze zmartwienia! – I spojrziała wściekle na Lily. – Jak pani śmiała wywieźć gdzieś moją córkę! I co jej pani zrobiła z okiem? Zaraz zgłaszam sprawę na policję. Ja...

Nagle do Carli dotarło, że Lily nie rozumie, co mama mówi. Mówiła po włosku! W języku poetów, artystów i wielkich myślicieli, jak to nazywała. Cokolwiek to znaczy. Lily była wyraźnie zmieszana, dopóki nie padło słowo *polizia*. Wtedy jej twarz zrobiła się czerwona i zła.

– Pani córka dostała w szkole piłką w głowę. – Mówiła powoli, tak jakby bardzo się starała zachować spokój. Ale Carla widziała, że szyję ma całą w plamach. – Ktoś z personelu przyprowadził ją do domu, ale pani nie było. Mieli ją odprowadzić z powrotem do szkoły, ale tak się złożyło, że wróciłam wcześniej z pracy i zaproponowałam, że zawiozę Carlę do szpitala w związku z tym okiem.

– A ta nauczycielka nie mogła?

Mamma mówiła teraz po angielsku. Carlę to zmartwiło, bo czasem mówiła nieprawidłowo. Ludzie się śmiali i próbowali ją poprawiać. Nie chciała, żeby mamma poczuła się zraniona.

– Podobno musiała odebrać własne dzieci.

– Dzwonili do ciebie do pracy – wtrąciła Carla. – Ale w pracy powiedzieli, że cię dziś nie ma.

Mamma otworzyła szeroko oczy.

– Oczywiście, że byłam. Tylko że szef wysłał mnie na szkolenie. Powinni byli wiedzieć, gdzie mnie szukać. *Mi dispiace*. – Mamma o mało nie zgmiotła jej w uścisku. – Przepraszam! Dziękuję, że zajęła się pani moją małą.

Splecione ramionami, kołysały się w tył i w przód, siedząc na brudnych schodach. Choć Carli było niewygodnie, przepełniała ją cicha radość. Tak właśnie było, zanim w ich życiu pojawił się Larry ze swoim błyszczącym samochodem. Tylko ona i mamma. Żadnego śmiechu za ścianą, z którego była wyłączona i który powracał, tańcząc, w jej koszmarnych snach.

– Jest pani Włoszką? – Łagodny głos Lily sprawił, że mamma rozluźniła uścisk i wróciła dawna pustka. – Niedawno spędziliśmy z mężem we Włoszech miesiąc miodowy. Na Sycylii. Bardzo nam się podobało.

Oczy mammy zaszyły łzami. Prawdziwymi, zauważyła Carla. Nie takimi, które ćwiczyła przed lustrem.

– Ojciec mojej córki pochodził z...

Carla poczuła ciarki na ciele. Nie wiedziała o tym.

– Ale teraz... teraz...

Biedna mamma. Głos jej się rwał. Potrzebowała pomocy.

– Teraz jesteśmy z mamą tylko we dwie – usłyszała Carla własny cienki głosik.

Nic nie mów o Larrym, miała ochotę zawołać. Nie wspominaj o tym człowieku.

– Nie jest łatwo – ciągnęła mamma. – Nie lubię zostawiać mojej małej samej, ale zdarza się, że muszę być w pracy. Najgorzej w soboty, kiedy nie ma szkoły.

Złotowłosa Lily kiwała głową.

– Jeśli pani chce, to możemy z mężem zająć się czasem małą, o ile to coś pomoże.

Carli zaparło dech. Naprawdę? W takim razie nie musiałyby siedzieć sama w domu, zamknięta na klucz. Miałyby z kim pogadać, dopóki mamma na wróci...

– Zajęłyby się pani moją malutką? – Oczy mammy zajaśniały. – Jak to miło z pani strony!

Obie kobiety się zarumieniły. Czy Lily żałuje swojej propozycji? Carla miała nadzieję, że nie... Ale dorośli często coś proponują, a potem się wycofują.

– Muszę już iść. – Lily spojrziała na swoją teczkę. – Mam trochę pracy, a pani na pewno chce побыć z córeczką. Proszę się nie martwić o to oko. W szpitalu powiedzieli, że szybko się zagoi.

Mama cmoknęła.

– Ach, ta szkoła. No, pogadam ja sobie jutro z nauczycielką.

– Nie pogadasz, mamusiu! Będziesz w pracy.

Mamma znówu cmoknęła ze zniecierpliwieniem. Wchodzący już do siebie.

– Mieszkamy pod trójką, jeśli będzie pani czegoś potrzebować – zawołała Lily. Czy mamma usłyszała?

Carla zanotowała sobie w pamięci: trójka, tak na wszelki wypadek.

Zaledwie znalazły się same, mamma zwróciła się ku niej. Jej lśniący czerwienią uśmiech zmienił się w maskę gniewu. Jak to możliwe, że dorośli potrafią tak szybko przechodzić od jednej twarzy do drugiej?

– Żebyś mi nigdy więcej nie rozmawiała z nieznajomymi! – Zakończony ostrym czerwonym paznokciem palec poruszał się przed nosem Carli. Na lakierze był mały odprysk, zauważyła. Z prawej strony paznokcia. – Miałaś szczęście, że tym razem trafiłaś na anioła, ale następnym może być diabeł! Rozumiesz?

Niezupełnie, ale Carla wiedziała, że lepiej nie zadawać więcej pytań.

Poza jednym.

– Czy mój ojciec pochodził z Sycylii?

Mamma spurpurowiała.

– Nie mogę o tym rozmawiać. Wiesz, że mnie to męczy. – Po czym spojrzała na bluzkę Carli i zmarszczyła brwi. – Co ty tam chowasz?

Carla z oporem wyjęła Charliego.

– Gąsienicę. – Ze strachu ledwie była w stanie otwierać usta.

– Ten piórnik, o który mnie tak molestowałaś?

Carla potrafiła tylko kiwnąć głową.

Matce zwęziły się oczy.

– Zabrałaś któremuś dziecku? I dlatego masz tego siniaka?

– No! No! – Obie mówiły teraz po włosku. Szybko. Płynnie. Desperacko. – Lily ci mówiła. Jeden chłopak trafił we mnie piłką. I jak wracałyśmy ze szpitala, to kupiła mi Charliego, żeby mnie pocieszyć.

Twarz mamy złagodniała.

– To bardzo miło z jej strony. Muszę jej podziękować.

– Nie! – Carla poczuła, że popuszcza troszkę siusiu. Zdarzało jej się to, kiedy była zdenerwowana. To jeszcze jeden powód, dla którego w szkole się z niej śmiali. „Carla Śmierdziuch Spagoletti! Załóż sobie pieluchę, jak dzidzius!” – Będzie się krępować. Tak jak Larry. Wiesz, jacy są Anglicy.

Wstrzymała oddech i czekała. To była prawda. Kiedy pan z błyszczącym samochodem coś im przynosił, mamma mówiła, że nie trzeba o tym za dużo mówić, bo mogłoby go to krępować.

Wreszcie mamma kiwnęła głową.

– Masz rację.

Carla z ulgą wypuściła powietrze.

– A teraz idź umyj ręce. W szpitalu jest brudno. – Mamma patrzyła na siebie w lustrze, przeczesując dłońmi gęste czarne loki. – Larry przyjdzie na kolację. – Oczy jej zaiskrzyły. – Musisz szybko iść do łóżka.

Lily

Połowa października 2000

Cukier? Taśma klejąca? Ostre narzędzia? Czipсы? – rzuca burkliwie mężczyzna po drugiej stronie szklanego przepierzenia.

To prawda, co mi mówili w pracy. Człowiek się przyzwyczaja do więzienia, nawet już za drugą bytnością. Patrzę obojętnie na strażnika. Jest starannie ogolony. Jego twarz ma prawie niemowlęcą gładkość.

– Nie mam – mówię pewnym głosem, który nie należy do mnie. Odstępuję o krok, żeby mnie przeszukali. Ciekawe, co by było, gdyby udało mi się przemyścić coś nielegalnego – narkotyki czy choćby pakiecik cukru z barku kawowego? Myśl jest dziwnie ekscytująca.

Stuk, stuk przez dziedziniec w moich nowych czerwonych czółenkach na niewysokim obcasie. Dla poprawy samooceny, powiedziałam sobie, kiedy je kupowałam. Dziś nie widać ludzi w więziennych ubraniach, pielęgnujących ogród. Dzień jest pochmurny, chłodny. Otulam się moją granatową kurtką i przechodzę za strażnikiem przez dwuskrzydłowe drzwi.

– Jak jest w więzieniu? – spytał Ed wieczorem po mojej pierwszej wizycie.

Prawdę mówiąc, niemal o niej zapomniałam po tej historii z odwożeniem małej Włoszki do szpitala. A potem ta wściekłość jej matki, zanim się wreszcie uspokoiła! Ale oczywiście jej reakcja była zrozumiała. Zamartwiała się. „Dziękuję z całego serca, że zajęła się pani moją Carłą” – napisała na karteczce, którą znalazłam później pod drzwiami.

Nadal nie wiem, czy dobrze postąpiłam, że się wtrąciłam. Ale tak to jest, jak ktoś ma nadwrażliwe sumienie.

– Duszno – powiedziałam, odpowiadając na pytanie męża. – Nie ma czym oddychać.

– A faceci? – Obronnym gestem przygarnął mnie ciaśniej niż dotąd. Leżeliśmy na sofie, oglądając wieczorny program w telewizji, ciut ściśnięci, ale było w tym miłe poczucie bliskości i wspólnoty. Mażeńska przytulność, która prawie (choć nie do końca) wynagradza utratę innych stron związku.

Pomyślałam o więźniach, których widziałam na korytarzu, o ich świdrujących spojrzeniach i potężnych mięśniach, rozsadzających krótkie rękawy koszulek. I o Joem Thomasie, o jego zaskakująco inteligentnych spostrzeżeniach i o zagadce, którą mi zadał.

– Inni, niżbyś się spodziewał. – Przekręciłam się w stronę męża i wtuliłam nos w jego szyję. – Mój klient mógłby być jednym z naszych sąsiadów. Jest też niegłupi.

– Naprawdę? – Zainteresowanie Eda wyraźnie wzrosło. – To jak właściwie wygląda?

– Mocno zbudowany. Z brodą. Wysoki – mniej więcej twojego wzrostu. Ciemnobrązowe oczy. Długie, szczupłe palce. Zaskakująco długie.

Mąż kiwał głową i niemal widziałam, jak rysuje w wyobraźni obraz mojego klienta.

– Dużo mówił o Rupercie Brooke’u, tym wojennym poecie – dodałam. – Sugerował, że ma to coś wspólnego z jego sprawą.

– Był w wojsku? – W rodzinie Eda jest tradycją, że mężczyźni kończą akademię wojskową w Sandhurst, po czym robią karierę w armii. Na naszej pierwszej randce powiedział, że rodzice byli bardzo

rozzarowani, kiedy się okazało, że nie chce iść tą drogą. Szkoła sztuk pięknych? Czy on oszalał? Potrzebny mu jest konkretny zawód. Grafika w agencji reklamowej to był bolesny kompromis dla obu stron. W jego rodzinie nikt się nie wychyla, powiedział Ed. Wszyscy robią to, czego się od nich oczekuje. Jak na ironię, raczej mi się to wtedy podobało. Dawało mi poczucie pewności i bezpieczeństwa. Ale dla mojego męża był to problem. Na nielicznych rodzinnych spotkaniach, w których z nim uczestniczyłam, zawsze czuł się jak odmieniec. Nie żeby o tym mówił. Nie musiał. To się czuło.

– W wojsku? – powtórzyłam. – Nie, podobno nie był.

Ed usiadł i poczułam między nami powiew chłodu. Nie po prostu brak ciepła jego ciała, lecz dystans, który się pojawia, kiedy ktoś przebywa na innym poziomie rzeczywistości. Aż do ślubu nie zdawałam sobie sprawy, jak łatwo artysta potrafi przenosić się z życia realnego do wyobrazonego. Ed już miał w ręce szkicownik i rysował twarz jednego z mężczyzn, których zdjęcia wpatrywały się w nas znad kominka. Ten konkretny to był jego ojciec w czasach młodości.

Ojciec...

I oto idę przez więzienny dziedziniec z rozwiązaniem zagadki mojego skazanego na dożywocie klienta w teczce.

– Pański ojciec był w wojsku – mówię, przesuwając po stole w jego stronę plik papierów.

Joe Thomas ma nieprzeniknioną twarz.

– I co z tego?

– I go zwolnili. I to bynajmniej nie w zaszczytnych okolicznościach.

Celowo mówię powoli i z naciskiem, dzieląc słowa na sylaby. Chcę poruszyć tego człowieka, sprowokować jego reakcję. Coś mi podpowiada, że to jedyny sposób, aby mu pomóc. O ile chcę mu pomóc.

– Zgodnie z tym, co mówił, próbował się bronić, kiedy w pubie jakiś mężczyzna groził mu nożem. – Patrzę w notatkę, której sporządzenie, z pomocą chętnej praktykantki, zajęło mi parę dni. – Ale kiedy go odepchnął, mężczyzna wyleciał przez okno i o mało co nie wykrwawił się na śmierć. Myślę, że pański przypadek się z tym wiąże. Mam rację?

Oczy Joego Thomasa ciemnieją aż do czerni. Obrzucam pokój szybkim spojrzeniem.

– Tu nie ma guzika alarmu – mówi cicho mój klient.

Ciało wilgotnieje mi od potu. Czy ten człowiek mi grozi?

Joe Thomas odchyła się na krześle i przygląda mi się bacznie, tak jakbym to ja była w tarapatkach, a nie on.

– Mój ojciec poniósł karę za działanie w obronie własnej. Został zniesławiony. Nasza rodzina została skompromitowana. Musieliśmy się przeprowadzić na cywilną ulicę. Prześladowali mnie w szkole. Ale nauczyłem się czegoś ważnego: samoobrona nie jest żadną obroną, bo nikt ci nie uwierzy.

Patrzę na siedzącego przede mną na krześle wysokiego, barczystego mężczyznę i wydaję z akt zdjęcie. Przedstawia drobną rudowłosą kobietę. Martwą kobietę. Sarah Evans. Dziewczynę Joego Thomasa.

– Twierdzi pan, że działał w obronie własnej, mając do czynienia z kobietą, która wygląda, jakby z trudem była w stanie unieść cegłę?

– Niezupełnie. – Odwraca się twarzą do okna. Przechodzi za nim dwóch strażników, pogrążonych w rozmowie. Czy usłyszą, jeśli sprawy przybiorą zły obrót? Raczej nie. To dlaczego się już nie boję?

Joe Thomas też patrzy na strażników. Na ustach igra mu uśmiech rozbawienia. Powoli tracę cierpliwość.

– To na czym konkretnie chce pan oprzeć swoją apelację?

– Zdała pani pierwszy test. Teraz musi pani zdać drugi. Wtedy będzie pani wiedziała.

Pisze coś na kartce, którą przyniósł ze sobą.

101.2

97.3

Kolumna cyfr się wydłuża.

Nigdy nie byłam zbyt dobra w liczbach. Moją mocniejszą stroną są słowa. Obok liczb widać jakieś litery. Ale nic mi nie mówią.

– Co to jest?

Uśmiecha się.

– To pani ma to ustalić.

– Niech pan posłucha, Joe. Jeśli chce mi pan pomóc, musi pan przestać uprawiać gry. – Wstaje.

On też wstaje. Nasze twarze są blisko. Zbyt blisko. Znowu czuję jego zapach. Gdyby się tak skłonić ku niemu... Ale tym razem jestem na to przygotowana. W wyobraźni ciskam tym obrazem o szybę. Jak gołębiem. Prawie że widzę piórko na parapecie.

– A jeśli pani chce mi pomóc, pani Macdonald, musi mnie pani zrozumieć. Może to pani nazwać sprawdzianem, czy nadaje się pani do tej funkcji. Ta apelacja jest dla mnie wszystkim. Chcę mieć pewność, że przydzielono mi właściwą osobę. Do tego czasu nie jestem Joe. Jestem pan Thomas. Jasne?

Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Powoli.

– Wysoka jest pani, nie?

Mam wrażenie, że stoję w ogniu. Joe Thomas rusza w stronę drzwi.

– Do zobaczenia, jak znajdzie pani odpowiedź.

Ten człowiek nie jest po prostu zbyt familiarny – myślę, idąc do biura, gdzie kwituję koniec wizyty. Zachowuje się tak, jakby on tu rządził, nie ja. Dlaczego więc oprócz irytacji czuję narastające podniecenie?

– Wszystko w porządku? – pyta strażnik o dziecięcą twarz.

– Tak – mówię. Coś mnie ostrzega, żeby na tym poprzestać.

– Troszkę dziwny, prawda?

– W jakim sensie?

– No wie pani. Arogancki. Zawsze zachowuje się tak, jakby wszyscy byli niżej od niego. I zimny jak ryba. No, ale przynajmniej nie sprawia nam kłopotów. Nie to co jeden taki...

Strażnik uśmiecha się znacząco, jakby chciał mnie nastraszyć.

– To znaczy?

– Nie słyszała pani? Parę dni temu jeden z chłopaków zaatakował swojego prawnika. Nic mu nie zrobił, ale napędził mu strachu. – Twarz strażnika twardnieje. – Ale skoro tacy jak pani decydują się bronić morderców i gwałcicieli, to czego się można spodziewać?

– Czym się zajmujesz? – pyta mężczyzna, który właśnie przysiadł obok mnie na zielonej sofie w odcieniu limonki („Można?”).

Jesteśmy w mieszkaniu Daviny w Chelsea. Różowe ściany, przyćmione światło. Głośno gra muzyka, a mnie burczy w brzuchu. „Nie zwracaj sobie głowy robieniem kolacji – powiedział w domu Ed. – Na imprezie będzie dość jedzenia”. Ale są tylko paszteciki z pieczarkami i wino. Dużo wina. Mój towarzysz wygląda na rozluźnionego i łatwego w rozmowie, ale dla mnie w tej chwili rozmowa jest ostatnią rzeczą, o jakiej bym marzyła.

– Jestem prawniczką – odpowiadam.

Kiwa z szacunkiem głową. Tak często reagują ludzie, kiedy mówię o mojej pracy. Czasem jest to pochlebne, ale czasem niemal poniżające. Tak jakby uważali, że kobieta nie jest w stanie wykonywać takiego zawodu.

Cztery godziny temu byłam w więzieniu. Teraz otacza mnie tłum ludzi. Głośno paplają, piją, niektórzy

nawet tańczą. Dziwne się to wydaje.

– A ty?

Pytam, ale niespecjalnie jestem ciekawa odpowiedzi. Co mnie naprawdę interesuje, to gdzie się podział Ed. Nie miałam ochoty tu przychodzić. Właściwie to o niczym nie wiedziałam, dopiero jak wróciłam do domu i zastałam w drzwiach męża w nowej kremowej koszuli bez kołnierzyka. Roztaczał mocną woń sosnowej wody po goleniu.

– Wychodzimy.

Zrobiło mi się miło. Ostatnie tygodnie były trudne, owszem, ale teraz mąż zabiera mnie w jakieś fajne miejsce! Super!

– Dzwoniła Davina. Zaprosiła do siebie trochę starych znajomych i nas też zaprasza. – Obrzucił wzrokiem mój granatowy „służbowy” kostium. – Chyba lepiej się przebierz.

No i jesteśmy tutaj. Ja w jasnoniebieskiej sukience w listki, kupionej u Marksa i Spencera. I Davina w obcisłej jaskrawoczerwonej spódnicy. Ten strój wyraźnie zwrócił uwagę męża, kiedy witała nas w drzwiach. Było to ponad godzinę temu. Gdzie ona się podziała? I gdzie się podział Ed?

– Jestem aktuariuszem – przerywa moje myśli głos nowego znajomego.

– Słucham?

Uśmiecha się melancholijnie.

– Nie przejmuj się. Większość ludzi nie wie, co to takiego. Obliczam na podstawie statystyk, jak długo dany człowiek będzie prawdopodobnie żył. Ile osób zadławi się na śmierć albo zachoruje na białaczkę przed sześćdziesiątką. Fajne sprawy, wiem... ale to ważne w ubezpieczeniach. – Wyciąga rękę. – Ross. Miło mi cię poznać. Znam twojego męża. Prawdę mówiąc...

Są! Niemal zrywam się z sofy i podchodzę do Eda. Jest czerwony, a jego oddech czuć winem.

– Gdzieś ty był?

– O co ci chodzi? – Ton ma zaczepno-obronny. – Po prostu wyszedłem odetchnąć świeżym powietrzem.

– I nic mi nie powiedziałaś?

– Naprawdę muszę ci się opowiadać za każdym razem, kiedy wychodzę z pokoju?

Łzy napływają mi do oczu.

– Dlaczego jesteś taki?

Ed, inny Ed niż ten, z którym tuliliśmy się na sofie, wlepia we mnie wzrok

– A dlaczego ty jesteś taka?

Bo nigdzie nie widzę Daviny, mam ochotę powiedzieć. Ale to byłoby głupie.

– Bo nigdzie nie widzę Daviny – słyszę mój głos. Twarz Eda twardnieje.

– I myślisz, że byliśmy razem.

Serce uderza mi gwałtownie.

– Nie, nie to miałam na myśli...

– Owszem. Byliśmy. – Łapie mnie za rękę.

– Chwileczkę... Co?...

– Wychodzimy. – Ciągnie mnie w stronę drzwi.

– Ale ja muszę wziąć płaszcz – protestuję.

Ludzie na nas patrzą. Davina też. Właśnie wchodzi do pokoju za rękę ze znacznie starszym mężczyzną, którego dotąd nie widziałam.

– Już idziecie? – Głos ma jedwabiste gładki. – Szkoda. Chciałam wam przedstawić Gusa. – Patrzy czule na swojego towarzysza. – Muszę was przeprosić, że nie byłam zbyt dobrą gospodynią, ale byliśmy z Gusem... zajęci.

Ed ściska mnie za rękę tak mocno, że to aż boli. Potem puszcza i odsuwa się.

– Lily rozboleła głowa.

O mało co nie mówię: wcale nie. Zamiast tego dziękuję jej za miły wieczór i jestem przerażona, że kłamstwo potrafi wyjść z ust tak gładko.

– Następnym razem wy musicie przyjść do nas – dodaję.

W oczach Daviny lśnią iskierki rozbawienia.

– Z przyjemnością. Prawda, Gus?

Po czym podchodzi i kładzie głowę na ramieniu mojego męża. Jest to swobodny, naturalny gest, który ma mi przypomnieć, że kiedyś byli parą. Zobacz, zdaje się mówić, miałam go dużo wcześniej niż ty.

Przerażona, czekam, że Ed się odsunie. On jednak stoi bez ruchu, jakby zastanawiając się, jaką opcję wybrać.

Chciałabym coś powiedzieć, ale boję się konsekwencji. Na szczęście Gus przerywa niezręczną ciszę, która zapadła wokół nas, mimo że gra muzyka.

– Chyba powinniśmy pozwolić odejść świeżo upieczonym małżonkom. Nie sądzisz?

Przez całą drogę do domu Ed za mną nie rozmawia. Konwersacja jest jednostronna.

– Nie wiem, czemu jesteś taki – mówię, biegnąc, żeby dotrzymać mu kroku. – Ja tylko się zastanawiałam, gdzie się podziałeś. Martwiłam się. I nie znałam tam nikogo...

Im dłużej mówię, tym bardziej głupio to brzmi.

– Jesteś o nią zazdrosna.

No, przynajmniej się wreszcie odezwał.

– Nie, wcale nie.

– Jesteś. – Zgrzyta klucz w zamku. Ed otwiera drzwi.

– No dobrze. Jestem.

I nagle wszystko ze mnie wypływa. Nie mogę się powstrzymać.

– Chodziłeś za nią krok w krok, odkąd tylko weszliśmy do tego jej wymuskanego mieszkania! Patrzyłeś w nią jak w obraz! A potem gdzieś przepadłeś na amen...

– Żeby załapać trochę powietrza, do jasnej cholery!

Cofam się, wstrząśnięta. Bywało lepiej i gorzej, ale nigdy dotąd Ed nie podniósł na mnie głosu.

– Słyszałaś, co mówiła. Ma chłopaka. A my jesteśmy małżeństwem. Nie wystarcza ci to?

– A tobie wystarcza? – pytam szeptem.

Chwilę trwa napięte milczenie. Żadne z nas nie odważa się przemówić.

W końcu pozwalam sobie pomyśleć o naszym miodowym miesiącu i o tym, co podczas niego zaszło. A raczej nie zaszło. Sięgam myślą jeszcze dalej, do tamtego wieczoru w małej knajpce w Soho, kiedy nieoczekiwanie, już na drugiej randce, Ed mi się oświadczył. Do tego, jak później, w moim maciupcim, wynajmowanym do spółki mieszkanku przez chwilę próbował mnie obmacywać w łóżku, aż wreszcie wykrztusiłam, że jeśli nie ma nic przeciw, to wolałabym poczekać, aż będziemy po ślubie.

Spojrzał na mnie okrągłymi z niedowierzania oczami.

– Nigdy przedtem tego nie robiłaś?

Myślałam, że powie, że to śmieszne. Być dziewicą w wieku dwudziestu pięciu lat? Byłam przygotowana na to, że zwróce mu pierścionek i uznam, że to wszystko był sen.

On tymczasem mnie przytulił i zaczął głaskać po głowie.

– To dosyć słodkie – szepnął. – Pomyśl tylko, jaki fantastyczny miesiąc miodowy będziemy mieli.

Fantastyczny? Raczej kompletna porażka. Tak jak się obawiałam, moje ciało się sprzeciwiło.

– Co jest nie tak? – pytał. Ale nie potrafiłam – nie potrafiłabym – mu powiedzieć. Nawet jeśli wiedziałam, że myśli, że to jego wina.

Nic dziwnego, że się ode mnie odwrócił.

Atmosfera między nami tak się popsowała, że ostatniej nocy zmusiłam się, żeby mieć to za sobą.

– Później będzie łatwiej – powiedział cicho po.

Czas, żeby mu powiedzieć, myślę teraz. Nie chcę stracić tego mężczyzny. Jak na ironię, lubię, kiedy mnie przytula. Lubię z nim rozmawiać. Być z nim. Ale wiem, że na długo mu to nie wystarczy. Nic dziwnego, że kusi go Davina. Mogę mieć pretensję tylko do siebie.

– Ed, muszę ci coś...

Urywam, bo słyszę jakiś dziwny szelest. Ktoś wsuwa karteczkę pod drzwi. Ed nachyla się i podaje mi ją w milczeniu.

„Jestem Francesca spod numeru 7. Muszę w niedzielę iść do pracy. Przepraszam, że zawracam głowę. Czy mogłaby pani zająć się moją małą? Nie będzie sprawiała kłopotu”.

Ed wzrusza ramionami.

– Jak chcesz. Ja i tak będę malował. – Odwraca się i rusza do łazienki, ale zatrzymuje się. – Przepraszam, chciałaś mi coś powiedzieć.

– Nic takiego.

Co za ulga. Dzięki chwilowemu odwróceniu uwagi moment przeminął. Całe szczęście... Gdybym powiedziała to, co zamierzałam, straciłabym Eda na zawsze.

A do tego nie może dojść.

Carla

Mamma jest szczęśliwa, zauważyła Carla. Jej samej też było lekko na sercu. Śpiewały razem przez całą drogę do przystanku. Wczoraj wieczorem mamma i pan z błyszczącym samochodem tańczyli tak ostro, że podłoga się trzęsała. Ale Carla była grzeczna i nie wstała z łóżka, żeby ich poprosić, żeby przestali, chociaż trudno jej było spać. Zamiast tego przytuliła się do Charliego.

W tej chwili podskakiwała. Najważniejsze, powiedziała sobie, to jeszcze bardziej niż zwykle uważać na pechowe szczeliny w chodniku. Żeby nic złego się nie wydarzyło po tych wszystkich nieoczekiwanych dobrych rzeczach.

– Bardzo nam przykro z powodu tego zajścia – powiedziała jedna z nauczycielek, jedyna sympatyczna, kiedy wszyscy wyszli na przerwę. – Chłopiec, który cię uderzył, bił też innych. To się więcej nie zdarzy.

Kevina już nie było. A więc mogła przynieść Charliego do szkoły! Wypełniło ją ciepłe uczucie wdzięczności. *Grazie! Grazie!* Teraz wreszcie będzie jak wszyscy.

No, nie całkiem. Kiedy wsiadały z mamą do autobusu, Carla złowiła okiem własne odbicie w lusterku kierowcy. Zawsze będzie inna, bo ma oliwkową cerę i czarne jak smoła włosy, i brwi grubsze niż u innych dzieci. Carla Włochacz Cavoletti!

– Carla – powiedziała surowo mamma, przerywając bieg jej myśli. – Nie podskakuj tak. Autobus szybciej przez to nie ruszy.

Ale ona wypatrywała Lily. Niedługo po tym nieszczęsnym wypadku z okiem szef mammy kazał jej przyjść w niedzielę do pracy.

– Co ja mam zrobić? – martwiła się, otwierając szeroko udęczone oczy. – Nie mam cię z kim zostawić, *cara mia*.

Jej wzrok padł na zdjęcie zgarbionej kobiety w chustce na głowie, która miała na twarzy mnóstwo drobnych pomarszczonych fal, jakby wyrzeźbionych w kamieniu.

– Gdyby była tu twoja nonna... Ona by nam pomogła.

I wtedy Carla wpadła na pomysł.

– A ta pani, co mnie zabrała do szpitala? Pamiętasz, spod trójki. Powiedziała, że zawsze może pomóc.

Zaledwie to powiedziała, przypomniała sobie o Charlie. A jeśli złotowłosa Lily powie mamie, że Charlie to wcale nie jest prezent od niej?

Za późno. Mamma już napisała karteczkę i wsunęła ją pod drzwi numer trzy. Carla rzucała się przez całą noc w swoim niedużym, wąskim łóżku, z wiszącym nad nim krzyżykiem, zrobionym z drzewa z Ziemi Świętej. Biedny Charlie też był w strachu. *Nie chcę się z tobą rozstawać* – szepnęła.

Kiedy się rano obudziła, zobaczyła nad sobą błyszczące oczy mammy.

– Ta miła pani i jej mąż wezmą cię na cały dzień. Masz być grzeczna, pamiętaj!

Kiedy szły korytarzem, Charlie mu mocno biło serce. Jej też. Och, żeby się tylko nie wydało!

– Wrócę najszybciej, jak będę mogła – mówiła do Lily mamma. – Strasznie to miło z pani strony. Muszę też pani podziękować za prezent, który kupiła pani mojej małej.

Zapadła cisza. Tak głośna, że chyba wszyscy musieli ją słyszeć. Carla powoli podniosła głowę i napotkała wzrok Lily. Była w spodniach, w których miała bardzo szerokie biodra, i nie była umalowana. Carla instyktownie wiedziała, że to nie jest kobieta, która potrafiłaby skłamać.

– Prezent? – spytała powoli.

– Ten piórnik w kształcie gąsienicy – powiedziała Carla drżącym głosem, patrząc Lily w oczy, i skrzyżowała palce za plecami. – Kupiła mi pani, jak wracałyśmy ze szpitala, żeby mnie pocieszyć. Pamięta pani?

Znowu długa cisza. Carla zagięła jeden palec o drugi, usiłując ścisnąć je na krzyż jeszcze mocniej. Wreszcie Lily skinęła głową.

– A, tak. Oczywiście. To co, może wejdiesz? Upieczemy razem ciasto. Lubisz piec?

– Uwielbia! – wykrzyknęła mamma z ulgą.

– Tak, tak! – zawtórowała radośnie Carla.

Dzień był wspaniały! Kiedy ważyły z Lily składniki na ciasto, porozsypywały mąkę po całej podłodze. Ale jej nowa przyjaciółka nie złościła się tak jak mamma. Nie musiała też „chwilkę odpocząć” z mężem, wysokim, chudym mężczyzną imieniem Ed, który siedział w kącie pokoju i coś rysował w takim dużym bloku. Z początku się go bała, bo wyglądał jak gwiazdor filmowy w jednym z magazynów, które przynosił mammie Larry. Włosy miał trochę jak Robert Redford, jeden z ulubionych aktorów mammy.

Troszkę też się wystraszyła, kiedy Ed zirytowanym głosem spytał Lily, dlaczego znowu ruszała jego obrazy. Całkiem jak Larry, kiedy przyszedł raz i zobaczył, że Carla jeszcze nie leży w łóżku.

Potem jednak Ed spytał, czy mógłby ją narysować, i wyraz twarzy mu się zmienił. Wyglądał na dużo bardziej zadowolonego.

– Masz fantastyczne włosy – powiedział, wodząc wzrokiem od papieru do jej głowy i z powrotem.

– Mamma szczotkuje mi je co wieczór! Sto razy. *Cento!*

– Czento? – powtórzył Ed z wahaniem, jakby próbował po raz pierwszy nowego dziwnego dania, a ona zachichotała, słysząc jego akcent.

Nikt się nie sprzeciwił, kiedy Lily zaproponowała lunch, chociaż Carla powiedziała, że nie lubi kurczaków, bo mamma miała we Włoszech ulubioną kurkę i na jej ósme urodziny ojciec uciął kurce głowę.

Więc zamiast kurczaka Carla nauczyła Lily i jej męża, jak się robi prawdziwy makaron, a nie te twarde patyki, które mieli w szafce. Zajęło to dużo czasu, ale jak oni się śmiali, kiedy im pokazywała, jak się ściąga makaron z wieszaka na ubranie, wiszącego nad kuchenką!

– Stop! – zawołał Ed, podnosząc ręce. – Muszę narysować was obie, właśnie tak! No, Carla, weź Lily pod rękę, tak jak poprzednio.

– Charlie też powinien być na obrazku.

Zaledwie to powiedziała, wiedziała, że należało trzymać język za zębami. Twarz Lily znieruchomiła, całkiem jakby ktoś przeciągnął po niej czarodziejską różdżką.

– Skąd tak naprawdę masz tę zabawkę, Carla?

– To nie zabawka. – Carla przytuliła Charliego obronnym gestem. – On jest prawdziwy.

– Ale skąd go masz?

– To sekret.

– Brzydki sekret?

Carla pomyślała o innych dzieciach w klasie, które miały ojców i nie musiały polegać na mężczyznach w kapeluszach i z błyszczącymi samochodami. Czy nie dawało jej to prawa, żeby wziąć sobie to, co one miały, a ona nie?

Powoli pokręciła głową.

– Ukradłaś go, tak?

Coś jej powiedziało, że nie ma sensu zaprzeczać. W milczeniu pokiwała głową.

– Dlaczego?

– Wszyscy takie mają. Nie chciałam być inna.

– Ach tak. – Zmarszczka pomiędzy brwiami Lily zniknęła. – Rozumiem.

Carla ścisnęła ją za rękę.

– Proszę, niech pani nikomu nie mówi.

Milczenie. Ed niczego nie zauważał. Wciąż patrzył to na nie, to na papier, i z powrotem na nie. Lily oddychała tak głośno, że z każdym wydechem Carla czuła ciarki na ramieniu.

– Dobrze. Ale nie wolno ci nigdy więcej nic ukraść. Obiecujesz?

Z ciężkiej szarej kałuży w jej piersi wystrzelił balon nadziei.

– Obiecuję. – Po czym podniosła Charliego wyżej, tak żeby Ed go lepiej widział. – Charlie mówi pani: dziękuję.

Kiedy mamma zapukała do drzwi, Carla nie chciała iść.

– Nie mogę zostać jeszcze troszkę? – poprosiła.

Ale Ed uśmiechnął się i objął Lily w pasie. Być może chcieli teraz potańczyć.

– Masz – powiedział, podając jej kartkę. – Możesz to zachować.

I Carla, i mamma wydały okrzyk zdumienia.

– Jak pięknie pan narysował moją córkę! Jaka podobna! Jaki pan jest zdolny...

Ed włożył ręce do kieszeni i wyglądał jak Larry, kiedy mamma dziękowała mu za perfumy czy kwiaty, czy inny podarunek, który przyniósł tym razem.

– To tylko szkic. Węglowy. Nie dotykaj, bo się rozmaże.

Carla nawet nie marzyła o dotykaniu. Tylko patrzyła. To naprawdę ona? Na obrazku widać było dziecko, a nie prawie dorosłą panią, którą chciała być. A co gorsza, nie było na nim Charliego!

– Co się mówi? – upomniała ją mamma.

– Dziękuję. – Po czym, przypomniawszy sobie książkę o angielskich królach i królowych, którą czytali w szkole, ugięła kolano i zrobiła powłóczysty dyg. – Dziękuję za gościnę.

Ku jej zaskoczeniu Ed parsknął śmiechem.

– Niezła z niej aktorka. Przyjdź znowu, Carla, kiedy tylko zechcesz. Następnym razem namaluję cię w kolorze. – Zmrużył oczy, jakby mierząc ją wzrokiem. – Może akrylami?

A teraz siedzą w autobusie, który zawiezie ją do szkoły, i czekają na Lily.

Może nie przyjdzie – odezwał się Charlie ze swego miejsca na jej kolanach. – *Może wciąż jest na nas zła, bo mnie ukradłaś.*

Carla zeszywniała.

– Nigdy więcej tego nie mów. Zasluguję na to, żeby cię mieć. Tak jak ty zasługujesz na to, żeby mieć mnie. Naprawdę chciałeś zostać z tym łobuzem?

Charlie pokręcił głową.

– No więc – mruknęła Carla pod nosem. – I więcej o tym nie mówmy, dobrze?

– Uważaj. – Matka wyciągnęła rękę, bo autobus szarpnął. – Nareszcie jedziemy.

Carla odchyliła się na oparcie i patrzyła na mijane drzewa. Żółte i zielone liście opadały, wirując, na ziemię. I wtedy ją zobaczyła! Lily! Biegła ulicą. Tak szybko, jak ona usiłowała biec w koszmarnych snach, choć stopy miała jakby przyklejone do ziemi.

– Szybciej! – krzyknęła. – Będziemy siedzieć obok siebie!

Ale autobus jechał dalej, nabierając szybkości. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła Eda, jak czekał na inny autobus. Wczoraj mówił, że jedzie do pracy inną trasą. Carla zapukała w szybę i pomachała ręką. Tak! On też jej pomachał. I choć Carli było smutno, że Lily spóźniła się na autobus, była też zadowolona, bo miała teraz przyjaciół. Odpowiednich przyjaciół. Był to kolejny krok w stronę bycia taką jak wszyscy.

– Chyba nie miałaś racji, mamusi – powiedziała.

Matka, sprawdzająca właśnie usta w małym lusterku, które zawsze nosiła w torebce, wlepiała w nią oczy.

– Z czym nie miałam racji?

– Z Edem i Lily. Powiedziałaś, że kobieta, która o sobie nie dba, nie znajdzie przystojnego męża. I powiedziałaś też, że Lily jest gruba. A Ed wygląda jak aktor filmowy.

Matka zaśmiała się srebrzyście. Mężczyzna, który siedział po drugiej stronie przejścia, spojrział na nią z uznaniem.

– To prawda, moja bystra ptaszyno. – Uszczypnęła ją w nos. – Ale nie powiedziałam ci, że takie kobiety jak Lily mogą znaleźć męża, ale muszą uważać. Inaczej mogą go stracić.

Jak to mogą go stracić? – zastanawiała się Carla, szykując się do wyjścia (zaraz miał być jej przystanek). Czy zostawiają go na ulicy? Albo gubią w autobusie, tak jak ona zgubiła różową spinę do włosów w zeszłym tygodniu? A poza tym może i Lily jest gruba, ale jest miła. Nie wygadała się o Charliem. I pozwoliła jej przyrządzić ciasto. Czy to wystarczy, żeby Ed był z nią nadal? Carla nie chciała, żeby Lily musiała szukać innego męża.

Chciała spytać, ale mamma właśnie dawała jej wskazówki na później, po szkole.

– Masz na mnie czekać, malutka. Słyszysz? Tu, przy bramie, nawet gdybym się spóźniła.

Carla pokiwała radośnie głową, wyskoczyła z autobusu, pomachała mammie ręką i ruszyła przez boisko w stronę wejścia. Po wypadku z piłką w zeszłym tygodniu z rozczarowaniem stwierdziła, że dzieci nadal odnoszą się do niej z rezerwą. Ale teraz ma Charliego, szybko im przejdzie. Była pewna.

Na przerwie ostrożnie zawinęła Charliego w swój sweterek, żeby się nie przeziębził, i zostawiła go w schowku. I poszła się bawić.

– Mogę z wami zagrać? – zwróciła się do dziewczynek, które grały w klasy. Żadna jej nie odpowiedziała. Tak jakby nie było pytania.

Spróbowała jeszcze raz. Podeszła do grupki bawiącej się piłką tenisową, rzucaną o ścianę.

– Mogę się z wami pobawić?

Ale dziewczynki po prostu odwróciły głowy i spojrzały w inną stronę.

Carla poczuła pustkę w żołądku, choć wcale nie był pusty.

Powoli wróciła do klasy. Charlie ją zrozumie. Charlie ją pocieszy. Sięgnęła do schowka i powoli odwinęła sweter.

Nie. NIE!

Charlie był martwy. Rozcięty od główki do ogonka nierówną, poszarpaną linią. Zielone futerko było podarte. A na wierzchu leżała karteczka. Napisana wielkimi czerwonymi literami.

ZUODZIEJKA.

Lily

Szybciej, szybciej! Inaczej nie zdążę na autobus. Gdybym była szczuplejsza, może łatwiej byłoby mi biec. Plask, plask, podskakują ciężko piersi. Te same, które pieścił wczoraj w nocy Ed, kiedy nieoczekiwanie zaczął się ze mną namiętnie kochać. Kiedy jednak otworzył na koniec oczy, było w nich zaskoczenie, że ma pod sobą tę właśnie osobę.

Mnie.

Ja też byłam zaskoczona. Półprzytomna ze snu, wyobraziłam sobie wcześniej kogoś innego. Jego delikatne dłonie na moich piersiach. Jego usta na moich. Jego twardy członek...

– Idę się umyć – mruknęłam i poszłam na chwiejnych nogach do maleńkiej łazienki. Osuszyłam oczy. Kiedy wróciłam, Ed spał.

Skąd mi się to wzięło? Dlaczego wyobraziłam sobie w łóżku Joego? Mężczyznę, którego przecież nie lubię.

A kogo wyobrażał sobie Ed? Mogę się domyślić. Wprawdzie nie mam nic konkretnego poza tym nazbyt familiarnym gestem sprzed paru dni, ale czuję to. Tak jak czuję zapach Joego. Jeśli czegoś się nauczyłam przez te lata, to słuchać intuicji.

Wszystkie te myśli kotłowały mi się w głowie, a Ed tymczasem spał. Wyglądał tak spokojnie. Leciutko pochrapywał. Na brodzie miał delikatny jasny zarost. Ostrożnie, żeby go nie zbudzić, wstałam z łóżka, poszłam na palcach do kuchni i wyjęłam mopa.

Byłam tak skupiona na tym, co robię, że nie usłyszałam, jak wchodzi Ed, dopiero kiedy się odezwał.

– Czemu myjesz podłogę o tej porze? – Mówiąc, wiązał równocześnie krawat, na którym, choć najwyraźniej tego nie zauważył, widniała kropelka krwi od zadrażnienia przy goleniu.

Wciąż na czworakach, podniosłam głowę.

– Bo jest brudna.

– Nie spóźnisz się do pracy?

No to co? Chciałam, żeby podłoga lśniła. Skoro nie umiem sprawić, żeby wszystko było jak należy z moim małżeństwem, to muszę sprawić, żeby wszystko było jak należy z kuchenną podłogą.

I dlatego teraz biegnę. Gdybym nie dostała tego szafu sprzątaniny, nie wyszłabym z domu piętnaście minut później niż zwykle. I nie patrzyłabym teraz, jak autobus odjeżdża. Nie musiałabym wymyślać jakichś usprawiedliwień na użytek szefa.

Zatrzymuję się, dysząc, i w ostatniej chwili spostrzegam Carlę. Przyciska nos do szyby i macha do mnie szaleńczo. „Szybciej” – odczytuję z ruchu ust. A potem dodaje coś jeszcze. Grubas? E, chyba nie. Carla to miłe dziecko. Chociaż widzę, jak patrzy na mnie Francesca – z litością. I widzę też, jak córka naśladuje wszystko, co robi matka.

Zresztą nie byłby to pierwszy raz, kiedy ktoś nazwał mnie grubasem.

Siadam, żeby poczekać na kolejny autobus. Jakoś nie może mi wyjść z głowy Carla. Carla i jej zielona gąsienica, Charlie.

– Ukradłaś go, prawda? – spytałam, kiedy była u nas wczoraj. – Dlaczego?

Odwróciła głowę nieśmiało, a zarazem wyzywająco. Niepokojąco dojrzała poza, co sugerowało, że została doskonale wyćwiczona.

– Wszyscy takie mają. Nie chcę być inna niż wszyscy.
„Nie chcę być inny”. Tak właśnie mówił często Daniel.
Słusznie podpowiadał mi instynkt. Muszę pomóc temu dziecku.

Szef czeka w swoim pokoju. Jest ode mnie starszy o jakieś trzydzieści lat i ma żonę, która po ślubie zrezygnowała z pracy. Czuję wyraźnie, że odnosi się do mnie z dezaprobatą.

Wkrótce po tym, jak dołączyłam do firmy, byłam na tyle głupia, żeby powiedzieć jednemu z kolegów, że zajęłam się prawem, „żeby zrobić coś dobrego”.

Szef podsłuchał.

– Coś dobrego? – prychnął. – W takim razie wybrałaś niewłaściwy zawód.

Zaczerwieniłam się (ach, gdyby było na to jakieś lekarstwo!) i spuściłam głowę. Mimo to od czasu do czasu, zwłaszcza kiedy na mnie warknie, mam ochotę mu powiedzieć, co się stało z Danielem.

Oczywiście tak naprawdę mu nie powiem. Nawet Ed by nie zrozumiał, gdybym mu opowiedziała całą historię. A szefowi? Czyste szaleństwo. Siedzi teraz przede mną, oddzielony stosem papierów, z lodowatym uśmiechem na ustach.

– No i jak ci idzie z Joem Thomasem?

Splątam nogi pod stołem i znowu rozplątam. Jestem świadoma znaku, jaki odcisnął na mnie wczoraj Ed, wciąż obecnego wewnątrz mnie. Wytrawionego w moim ciele, tak samo jak wyraz zaskoczenia na jego twarzy.

– Klient nadal prowadzi ze mną jakąś grę.

Szef się śmieje. Nie jest to przyjazny śmiech.

– Siedzi w więzieniu, gdzie jest wysoki procent psychopatów. Czego się spodziewasz?

– Spodziewam się lepszego przygotowania ze strony firmy. – Słowa wychodzą mi z ust, zanim zdolałam je powstrzymać. Strach, słusznie czy nie, daje mi odwagę, żeby się bronić. – Nie podał mi pan za wielu szczegółów – ciągnę. – Dlaczego on zakłada apelację po dwóch latach za kratkami? I dlaczego nie rozmawia ze mną jak należy, tylko mówi zagadkami?

Wyjmuję kartkę, którą dał mi Joe, tę z dziwnymi liczbami i literami.

– Jak pan myśli, co to znaczy? – pytam bardziej pojednawczym tonem. – Klient mi to dał.

Szef ledwie rzuca okiem na kartkę.

– Nie mam pojęcia. To twój przypadek, Lily. Może jakieś nowe dane, na które dopiero co się natknął?

– Mruży oczy. – Rzucam cię na głęboką wodę, tak jak kiedyś rzucono mnie, kiedy byłem w twoim wieku. Masz szansę się sprawdzić. Nie pozwól, żebyśmy się oboje zawiedli.

Przez resztę tygodnia robię, co mogę. Ale dostaję też do obsłużenia inne sprawy. Pojawiają się z zamierzoną regularnością, albo tak mi się wydaje. Najwyraźniej szef mnie sprawdza. Tak jak Ed ze swoim podejściem do mnie, typu „raz Sahara, raz Arktyka”.

– Wciąż walczę z tym klientem – zaczynam któregoś wieczoru przy kolacji. Niedopieczone ciasto z mięsem i cynaderkami wygląda trochę inaczej niż na zdjęciu w zniszczonej książce Fanny Craddock, którą przekazała mi teściowa. Ed żuje powoli. Moje posiłki to wyzwanie. Davina, nawiasem mówiąc, chodziła do jednej z tych sławetnych szkół kucharskich w Szwajcarii.

– Tym, który... Ed! Co się stało?

Zrywam się od stołu. Ed usiłuje złapać oddech, czerwony na twarzy. Coś mu uwięzło w gardle! Wstrząśnięta, odruchowo walę go w plecy. Kawałek mięsa wystrzela na podłogę. Ed kaszle, krztusi się, po czym sięga po szklanekę z wodą.

– Przepraszam – mówię. – Chyba było trochę niedopieczone.

– Nie. – Nadal się krztusi, ale sięga po moją dłoń. – Dziękuję. Uratowałaś mnie.

Przez chwilę jest między nami więź. Ale zaraz znika. Żadne z nas nie ma już ochoty na jedzenie.

Wyrzucam cholerne mięso do śmieci, uprzytamniając sobie poniewczasie, że trzeba je było poddusić, zanim przykryłam ciastem. Ale jest coś jeszcze.

Jak łatwo byłoby zostawić Eda, żeby się udławił! Udać, że to był wypadek. Jestem w szoku – nie, jestem przerażona sobą samą. Skąd mi to przyszło do głowy?

Ale właśnie wtedy wpadam na pomysł.

Ross! Aktuariusz, którego poznałam na tym okropnym przyjęciu, kiedy Ed i Davina zniknęli. Ross, którego zajęcie przypomniało mi się, kiedy pomyślałam: ciekawe, ilu ludzi umiera na skutek zadławienia. Czy nie rozmawiał ze mną na ten temat? „Ustalam na podstawie danych statystycznych, jak długo dana osoba będzie żyła. Ilu ludzi prawdopodobnie zadławi się na śmierć czy zachoruje na białaczkę przed sześćdziesiątką. Fajne zajęcie, wiem, ale to ważne w ubezpieczeniach”.

Więc biorę jego numer od Eda. Tak, Ross ma jutro czas. To może lunch u niego w klubie?

– Te liczby – mówię, podając Rossowi kartkę papieru. Siedzimy przy stole nakrytym sztywnym białym obrusem, obsługiwani przez równie sztywnego kelnera. – Te liczby napisał mój klient. Jest... no, siedzi w więzieniu za morderstwo.

Ross rzuca mi zdziwione spojrzenie.

– A ty myślisz, że jest niewinny?

– Myślę, że zdziwiłbyś się, gdybyś go poznał.

– Naprawdę?

Czekamy, aż kelner naleje nam wina. Tylko jeden kieliszek, mówię sobie. Wygląda na to, że ostatnio piję więcej niż zwykle, co nie jest dobre ze względu na mój bilans kaloryczny. Ale Ed lubi wysączyć wieczorem parę lampek, więc wypada dotrzymać mu towarzystwa.

– Potrzebuję wiedzieć, do czego odnoszą się te liczby – mówię desperacko. – Joe jest dobry w liczbach.

– Joe? – Unosi brwi.

– Często mówimy klientom po imieniu – wyjaśniam pospiesznie, przypominając sobie zarazem, że do czasu rozwiązania zagadki Joe kazał mi się do siebie zwracać per „panie Thomas”. – Ten człowiek jest w jakimś dziwnym stanie. W pewnych sprawach jest bardzo metodyczny, a mimo to trudno mu rozmawiać z ludźmi. Woli mówić zagadkami, a to... no, to jest jedna z nich.

Dostrzegam w oczach Rossa błysk zainteresowania.

– Popatrzę. – To, co mówi, jest tak krzepiące, że prawie mam ochotę go uściskać. Platonicznie, rzecz jasna. – Daj mi kilka dni. Oddzwonię.

I oddzwania.

– Zestawienie temperatur wody i różnych typów bojlerów z uwzględnieniem ich wieku – mówi rozpromieniony. – I, o ile się nie mylę, implikacje są dość poważne. Pokazałem te liczby znajomemu inżynierowi... nie obawiaj się, nie mówiłem mu, o co chodzi. Powiedział, że to konkretny wzór. No więc mnie tknęło i pogrzebałem trochę w naszym archiwum.

Podaje mi wycinek z gazety. Z sierpniowego „Timesa”, kiedy szykowałam się do ślubu. Podekscytowana i zaabsorbowana, być może nie czytałam w tym czasie gazet tak starannie, jak zwykle.

SKANDAL W ZWIĄZKU Z WADLIWYMI BOJLERAMI

Z rosnącym zainteresowaniem przeglądam artykuł.

– A więc – podsumowuję – podejrzewa się, że sporo bojlerów wyprodukowanych w ciągu ostatniego dziesięciolecia miało usterki. Do dnia dzisiejszego reklamację złożyło siedmioro klientów. Uskarżali się na kłopoty z regulacją temperatury, co spowodowało poparzenia, w niektórych przypadkach dotkliwe. Sprawa jest badana, ale na razie nie przewiduje się wycofania kwestionowanego modelu z produkcji.

Ross kiwa głową.

– Siedmioro się ujawniło. Ale są pewni, że jest ich więcej.

– Ale to ma miejsce od lat. Czemu nikt nie wpadł na to wcześniej?

– Takie sprawy mogą trochę trwać. Nie od razu spostrzega się daną zależność.

No tak, oczywiście. Prawnicy też mogą przeoczyć pewne rzeczy. Ale ja nie mogę być jedną z nich.

– Ustaliłam, co to za liczby – mówię, wchodząc za tydzień do pokoju widzeń.

Zabawne, że to wszystko robi się coraz bardziej naturalne. Nawet drzwi i bramy wydają się swojskie.

Podobnie jak na pozór swobodna poza mojego klienta: ręce założone na piersi, odchyłony na oparcie krzesła, świdruje mnie tymi swoimi ciemnymi, nieruchomymi oczami. Ma trzydzieści lat. Jest w wieku Eda – mój mąż parę tygodni temu obchodził urodziny. Mimo to wydaje mi się, że mam do czynienia z zaczepnym nastolatkiem, a nie z dojrzałym mężczyzną.

Jedno jest pewne. Więcej nie pozwolę, żeby mnie nachodziły te śmieszne fantazje na jego temat.

– Ustaliła pani, co to za liczby? – Sprawia wrażenie lekko poirytowanego. – Naprawdę?

– Tak. Chce mi pan powiedzieć, że to producent bojlerów odpowiada za śmierć Sarah. Mówił pan, że woda była gorętsza, niż można by się spodziewać po trzydziestu minutach. Wasz bojler był wadliwy. To jest pańska linia obrony – a raczej samoobrony.

Przechyla głowę, jak gdyby rozważając moje słowa.

– Ale już pani mówiłem. Samoobrona nie wystarczy, żeby stąd wyjść.

– Wystarczy, jeśli ma się odpowiedniego prawnika – odparowuję.

– Moje gratulacje. – Momentalnie przechodzi od rozczarowania do uśmiechu. Wyciąga rękę, tak jakby chciał uścisnąć moją.

Ignoruję to. Jestem zła. I wytrącona z równowagi.

– Dlaczego nie powiedział mi pan o tym wszystkim od razu? Zaoszczędzilibyśmy mnóstwo czasu.

– Już pani mówiłem. Musiałem sprawdzić, czy jest pani dość bystra, żeby poradzić sobie z moim przypadkiem. Do tego potrzebny jest ktoś z głową na karku.

Dzięki, Ross, mówię w myśli. Dzięki.

Joe odchyła się na oparcie i ze śmiechem uderza się dłońmi po udach.

– Dała pani radę, Lily. Dobra robota! Jest pani przyjęta.

Przyjęta? Myślałam, że to nastąpiło już wcześniej.

– Nadal nie powiedział mi pan, jak to konkretnie było. – Mój głos jest chłodny. Wytycza granicę pomiędzy nim a mną. – Mam dosyć tego mącenia. Jeśli chce pan, żebym pana reprezentowała, muszę wszystko o panu wiedzieć. Żadnych podpowiedzi, żadnych gier. Tylko fakty. Na przykład, dlaczego to pan zawsze szykował kolację? Dlaczego to pan zawsze nupuszczał Sarah wody do wanny? – Biorę głęboki oddech. – Czy Sarah mówiła prawdę, kiedy skarżyła się rodzicom, że jest pan apodyktyczny i usiłuje ją we wszystkim kontrolować?

Patrzy na mnie surowo.

– Dlaczego chce to pani wiedzieć?

– Bo myślę, że to może nam pomóc.

Przez chwilę milczy. Zapada cisza. Tak ostra, że mogłabym się skaleczyć o jej krawędź.

Podjezrewam, że Joe Thomas też ją czuje. Patrzy przez okno. Nikogo nie widać, choć to kolejny piękny, chłodny jesienny dzień. Może inni więźniowie są przy pracy; wszyscy tu mają jakieś zajęcie. W holu przy wejściu widziałam listę. Wypisane kredą nazwiska, a obok zadanie:

Smith – garkownia. (Podobno w żargonie więziennym to kuchnia).

White – toalety.

Essex – akwarium.

Thomas – biblioteka. (Czemu mnie to nie zaskakuje?).

– Kąpiel, Joe – przypominam. – Dlaczego to pan zawsze napuszczał wody do wanny?

Głos mojego klienta jest cichszy niż zwykle. Ledwie go słyszę.

– Żeby na pewno najpierw nalać zimnej. Zawsze tak robiłem. Wtedy się człowiek nie oparzy. – Uderza pięścią w stół, aż się wzdrygam. – Głupia dziewczyna! Powinna była się mnie słuchać.

– W porządku. Kąpiel była za gorąca. Ale nie w tym rzecz. Udowodniono, że to pan ją wepchnął.

Twarz mu twardnieje.

– Nie udowodniono. Po prostu skutecznie argumentowano. Już pani mówiłem. Nie dotknąłem jej.

Musiła sama wpaść. Stąd te siniaki.

– To czemu nie wyskoczyła, skoro woda była za gorąca?

– Bo... była... pijana.

Wypowiada każde słowo oddzielnie, powoli, tak jakby trzeba mi je było przeliterować.

– Gdyby mi pozwoliła, żebym to ja jej napuścił wody, to by do tego nie doszło – powtarza. Całkiem jakby miał obsesję na tym punkcie. I ta obsesja sprawia, że mu wierzę. W każdym razie jeśli chodzi o ten kawałek. – I niech pani nie myśli, że nie czuję się winny, bo się czuję.

Ciarki mnie przechodzą.

– Nie powinienem był jej tak długo zostawiać samej. Powinienem był sprawdzić wcześniej. Zawsze tak z nią uważałem. I ten jeden jedyny raz...

Joe Thomas niewątpliwie ma obsesję kontroli. Ale czy to znaczy, że jest mordercą? Sama teraz codziennie przed wyjściem do pracy muszę umyć podłogę. To już rytuał. A Daniel zawsze musiał podwijać rogi pościeli. Mój szef zawsze wiesza płaszcz w określony sposób. Joe Thomas zawsze umieszcza swoją kartkę papieru dokładnie pośrodku blatu. (Wolałby mieć normalny notatnik, powiedział mi, ale w więzieniu dostawy są skąpe).

– Ma pan potrzebę, żeby robić wszystko po swojemu – mówię łagodnie. – Bo tylko wtedy wszystko pójdzie jak należy.

Patrzy na mnie ze złością.

– No i?

– I to jest w porządku. Rozumiem pana.

Wpatruje się we mnie, jakby chciał, żebym odwróciła wzrok. Jeśli to zrobię, pomyśli, że powiedziałam to tylko po to, żeby wzbudzić jego zaufanie.

Wciąż jednak coś mi nie daje spokoju.

– Skoro bojler był uszkodzony, czemu nie odkrył pan tego następnym razem, kiedy pan z niego korzystał?

– Przecież mnie aresztowali, prawda?

Ale jestem głupia.

– A ludzie, którzy wprowadzili się po was? Nie zdawali sobie sprawy, że leje im się wrzątek?

Wzrusza ramionami.

– Podobno wymienili cały sprzęt w łazience – bojler i wszystko. Pani też by tak zrobiła, gdyby ktoś w niej zginął, prawda?

– Kiedy zdał pan sobie sprawę, że to mogła być usterka fabryczna?

Kolejna pauza. Oczy Joego Thomasa, gdy patrzy przez okno, wydają się lekko szkliste.

– Parę tygodni temu ktoś mi przysłał te dane pocztą. Plus jedno słowo: bojler.

– Kto?

– Nie wiem. Ale jestem niezły w liczbach. Pogrzebałem w więziennej bibliotece i obliczyłem. – Oczy mu błyszczą. – Tym razem muszą mi uwierzyć. To nie ja odpowiadam za śmierć Sarah. – Przy ostatnich słowach głos mu drży.

Zastanawiam się. Na studiach nam mówiono, że zarówno prawnicy, jak przestępcy często dostają anonimowe informacje. Zwykle pochodzą od ludzi, którzy mają do kogoś urazę albo chcą zwrócić uwagę

na daną sprawę. Czyżby ktoś zatrudniony przy produkcji bojlerów?...

– Co pani zamierza? – Błagalne pytanie brzmi niemal dziecinnie. Przypomina mi tę małą Włoszkę z gęstymi czarnymi lokami i brwiami, które pasują raczej do nastolatki niż do dziewięcioletniego dziecka.

– Muszę znaleźć adwokata, który weźmie naszą sprawę.

Na twarzy Joego Thomasa powoli wykwita uśmiech.

– Czyli uważa pani, że wnosimy sprawę?

Kładę rękę na klamce. Po drugiej stronie drzwi czeka strażnik. Zagląda przez szybkę do środka. Jego zmrużone oczy wyrażają skrajną dezaprobatę dla mojego planu uwolnienia więzienia od jeszcze jednego skazanego.

– Chyba tak – mówię ostrożnie. – Pod warunkiem, że to, co pan mówi, jest prawdą. Ale żadnych więcej gier. Musimy nad tym pracować wspólnie. Obiecuje pan?

„Obiecuje” – powiedział pod koniec Daniel.

„Obiecujesz?” – spytałam Carlę, kiedy powiedziałam, żeby nigdy więcej nie kradła.

– Obiecuje – mówi teraz Joe Thomas.

Wychodzimy z pokoju. Strażnik patrzy na zegarek.

– Może pani sama oddać przepustkę? – pyta nieprzyjaźnie. – Powinienem już być gdzie indziej.

I oto idziemy ramię w ramię z moim klientem w stronę biura. I wtedy zbieram się na odwagę.

– Ale, ale – mówię, starając się, żeby to brzmiało swobodnie – skąd pan wiedział na pierwszej wizycie, że właśnie wyszłam za mąż?

Wzrusza ramionami.

– Codziennie czytam „Timesa”. Od deski do deski. Mam fotograficzną pamięć, Lily. Macdonald to częste nazwisko w wojsku. Spotyka się je od czasu do czasu.

Chociaż przy pierwszej wizycie przedstawiłam się Joemu (zgodnie z pouczeniem szefa) jako Lily Macdonald, czuję nagłą potrzebę, żeby stworzyć między nami jakiś dystans. Przystopować tę poufałość i powiedzieć, żeby odtąd zwracał się do mnie per „pani Macdonald”. Pomimo myśli, które przychodzą mi do głowy.

Na szczęście, w przeciwieństwie do cukru, taśmy klejącej, czipsów i ostrych narzędzi, potrafię je ukryć.

Muszę.

Carla

ZUODZIEJKA

Napisali to z błędem. Carla wiedziała, bo zajrzała ostatnio w *Słownik dla dzieci* na koniec, do litery Z.

Jeśli krzyknie teraz dostatecznie głośno, to Charlie znów będzie cały. Tak jak Pan Jezus, chociaż mu wbili gwoździe. Ksiądz o tym opowiadał na Wielkanoc podczas mszy. (Nie chodziły z mamą do kościoła zbyt często, choć mamma cały czas się modliła. Mówiła, że są rzeczy, których nawet Pan Bóg nie zrozumie).

ZUODZIEJKA.

Jeśli będzie dalej krzyczeć, to te okropne czerwone litery znikną, a ciało biednego Charliego się zrośnie, tak jak ciało Jezusa. To brakujące czarne oczko wróci na swoje miejsce i mrugnie do niej. *Naprawdę myślałaś, że cię zostawię?* – powie Charlie.

A ona go przytuli i jego miękkie zielone futerko przyniesie jej pociechę.

Ale krzyk nie działał. Nie tak jak w domu, kiedy czegoś chciała, a mamma się poddawała, bo ściany są cienkie albo dlatego, że lada moment miał przyjść pan z błyszczącym samochodem.

– Co tu się dzieje, na litość boską?

Do klasy weszła wysoka, chuda nauczycielka. Carla jej nie lubiła. Miała zwyczaj zdejmować okulary i patrzeć na człowieka, jakby wiedziała – naprawdę wiedziała – o czym myśli.

– Czy to dlatego płaczesz? – Nauczycielka o ostrym nosie wskazała sponiewierane ciało Charliego. – Z powodu tego rupiecia?

– To nie ru-pieć – wyjąkała, szlochając, Carla. – To Charlie! Moja gą-sie-nica... Ktoś go zabił! Niech pani zobaczy!

– Zabił? Co za melodramatyczne słowo! – Nauczycielka zdjęła okulary. Wpatrywały się teraz w Carlę z jej ręki. Dwoje szklanych oczu z niebieskiej stali.

– Przestań płakać, ale już.

– Charlie! CHARLIE!

Za późno. Straszna kobieta wyszarpnęła jej Charliego z rąk i poszła. Po czym rozległ się dzwonek i do klasy wtargnęła fala dzieci, wśród nich dziewczynka, która przyjaźniła się z Kevinem. Chłopakiem, do którego należał kiedyś Charlie.

– To ty pisałaś, prawda? – syknęła Carla, podtykając jej pod nos karteczkę.

Dziewczynka spojrzała przelotnie.

– Złodziejka – powiedziała na głos. – Bo jesteś złodziejką. Wszyscy wiedzą, co zrobiłaś.

– Złodziejka, złodziejka – podchwycił ktoś inny. I już wszystkie dzieci wołały: – Złodziejka, złodziejka! Carla Spagoletti złodziejka!

– Co to za hałasy? – Nauczycielka o ostrym nosie była z powrotem.

– Co pani zrobiła z moim Charliem? – załkała Carla.

– Jeśli mówisz o tym starym podartym piórniku, to jest w pojemniku na śmieci na podwórku. A teraz zachowuj się, jak należy, młoda damo. Inaczej zostaniesz po lekcjach.

Charlie tak naprawdę nie umarł. Był jednak wymieszany ze skorupkami jajek, obierkami jarzyn i torebkami od herbaty. Carla musiała przekopać pojemnik, zanim go wreszcie znalazła. Jej szkolny mundurek zrobił się brudny i śmierdzący.

– Nie martw się – wyszeptwała. – Wszystko będzie dobrze. – Ostrożnie, bardzo ostrożnie wzięła go w ramiona i stanęła na rogu ulicy, czekając na mamę. (Gdyby stanęła przy bramie, ktoś mógłby spytać, co ona tu jeszcze robi).

To nieważne, że Charlie nie mówił. Musi tylko poczekać trzy dni i Charlie wydobrzeje. I tak samo będzie z nimi wszystkimi. Ksiądz tak powiedział.

Czekała, przestępując z nogi na nogę, i zaczynała się coraz bardziej obawiać, że się z mamą rozminęły. Wszystkie dzieci już poszły do domu. Nawet nauczyciele.

Niebo pociemniało. W dolinie, skąd pochodziła mamma, jest już prawie zima. We Włoszech, mawiała z tęsknotą, zimowe miesiące są cudowne! Zawsze płonie ogień, przy którym siedzą bliscy. Ich śpiewna mowa, ich przyjazne ramiona tym bardziej cię rozgrzewają. Nie to co tutaj, gdzie nienasycony licznik elektryczny pożera kolejne monety.

Nie stój. Idź.

W pierwszej chwili głos Charliego był taki cichy, że prawie go nie usłyszała. Potem zrobił się trochę głośniejszy.

– Wiedziałam, że wydobrzejesz – szepnęła, gładząc delikatnie jego biedne, podarte, splamione futerko.

Ale w którą stronę iść? W prawo, do skrzyżowania, czy w lewo? Kiedy przychodziła po nią mamma, to zwykle szły tak szybko, że trudno było zwracać uwagę na wszystkie zakręty. I gadały o tym, jak im minął dzień. („Przyszły nowe perfumy, malutka. Moja kierowniczką pożyczyła mi jeden flakonik, żebym je wypróbowała. Powąchaj! Jak ci się podobają?”). A ona, krzyżując palce za plecami, opowiadała mamie o swoim. („Znowu dostałam najlepszy stopień z matematyki”).

Szli teraz przez park. Czy to inny niż ten, co jest koło ich domu? Może. A może i nie. Gdyby poszła dalej, to może natrafiłaby na ten kiosk, gdzie zatrzymywały się czasem z mamą, żeby pooglądać magazyny? „Trzeba kupić, jak się chce pooglądać” – mówił wtedy pan przy kontuarze. Ale jak dotąd nie było znaku ani tego pana, ani jego kiosku. Carla poczuła, że poca jej się dłonie. Gdzie ona jest?

Popatrz – szepnął cicho Charlie. O tam. Widzisz?

Błyszczący samochód! Ten sam, który zawsze parkował przed ich blokiem we wtorki i czwartki, a czasem w niedziele.

Ale dziś był poniedziałek.

To Larry – szepnął znowu Charlie. Widzisz ten kapelusz?

Ale kobieta, która siedziała obok Larry’ego, to nie była mamma. Włosy miała jeszcze jaśniejsze niż Lily – żółtawobiałe – i jaskrawoczerwoną szminkę na ustach.

W tej chwili Larry mocno przyciskał usta tej pani. W szkole pokazywali im film na ten temat. Jeśli ktoś przestaje oddychać, trzeba mieszać własny oddech z oddechem tego człowieka, żeby go przywrócić do życia.

Carla gorączkowo zastukała w okienko samochodu.

– Co się stało?

Larry i kobieta o żółtobiałych włosach momentalnie od siebie odskoczyli. On też miał czerwone na ustach.

– Co ty tu robisz, do diabła?! – krzyknął.

To był głośny krzyk. Słysząc go było nawet przez zamknięte okienko. Przebijał uszy.

– Zgubiłam się. – Carla nie zamierzała się rozplakać, ale teraz, kiedy była bezpieczna, mogła przyznać, że się bała, idąc tak w ciemności nieznanymi ulicami. – Spóźniłam się przez Charliego i mammy nie było przy bramie. Chyba poszła do domu. Albo może znowu musiała dłużej zostać w pracy...

– Co ona mówi, kochany?

Dopiero wtedy Carla zdała sobie sprawę, że wróciła do języka ojczystego.

– Zaczekaj tu.

Przez chwilę myślała, że Larry mówi do niej. Potem jednak zrozumiała, że zwraca się do pani o czerwonych ustach. Nie wiadomo kiedy, Larry odciągnął ją od samochodu i poprowadził w stronę narożnika ulicy.

– Co widziałaś? Mów.

Jego głos brzmiał inaczej niż ten z wtorku i czwartku, a czasem niedzieli. Był twardy jak stara skóra na piętach, którą co wieczór trzeba było ścierać za pomocą szarego kamienia pod prysznicem. („Tylko Anglicy biorą kąpiel, malutka. Jakie to niehigieniczne!”)

Carli tak zaschło w ustach, że trochę potrwało, zanim wyszły z nich słowa.

– Widziałam, jak pan przyciska usta do ust tej pani. Ma pan całe czerwone, tak jak ona.

– To znaczy? – Ścisnął ją za ramię jeszcze mocniej.

Carla bała się coraz bardziej.

– I jeszcze ma pan czerwone na kołnierzyku

Spojrzał w dół i starł czerwoną smugę. Jego oddech był tak blisko, że czuła woń whisky idącą mu z ust. Czasem nie jadły z mamą kolacji, żeby móc kupić whisky dla Larry’ego. To było ważne. Mężczyzna musi czuć, że jest mile widziany. Whisky i taniec. A w zamian za to zostanie opłacony czynsz. I rachunek za ciepłą wodę. Rachunek za telefon Larry już zapłacił. „Opłaca się, *cara mia*. Możesz mi wierzyć”.

– Ha! – Larry przybliżył twarz do jej twarzy, tak że widziała włoski w jego nosie. – Bardzo sprytnie – powiedział, prowadząc ją szybkim krokiem po chodniku. – Skoro jesteś taka sprytna, Carla, to może powiesz, co ci mam kupić w prezencie, żebyśmy nie musieli mówić twojej matce o dzisiejszym.

Pamiętasz? – szepnął Charlie. Pamiętasz tamten film?

Oczywiście. Któregoś wieczoru oglądały z mamą film w telewizji. Było późno, a ona nie mogła zasnąć. Więc wstała z łóżka i przytuliła się do mamy na sofie. Film był o młodym chłopaku, który zobaczył, jak dwóch innych okrada sklep. Dali mu pieniądze w zamian za to, żeby nic nie mówił.

To jest to samo – szepnął Charlie. To się nazywa przekupstwo.

– Czy to przekupstwo? – zapytała.

Twarz Larry’ego zaczęła wydzielać maleńkie kropelki wody.

– Przestań się ze mną bawić w kotka i myszkę. Co byś chciała?

To było łatwe. Wyjęła Charliego.

– Żeby on wyzdrowiał.

Larry zmarszczył brwi.

– Co to jest?

– Moja gąsienica, Charlie. Ktoś mu zrobił krzywdę.

Uścisk ramienia powrócił.

– Kupię ci, co tylko chcesz, pod warunkiem że będziesz trzymać język za zębami.

Co tylko chce? Carla poczuła dreszczyk.

– Zrobimy tak. – Prowadził ją za ramię do samochodu. – Odwiozę cię do domu. A po drodze wstąpimy do sklepu z zabawkami. Powiem twojej matce, że cię znalazłem, jak błąkałaś się ulicami po szkole, i kupiłem ci prezent. A ty za to o niczym nie powiesz. O niczym, rozumiesz? Chyba nie chcesz sprawić matce przykrości?

Carla pokręciła zdecydowanie głową. W tę i w tę stronę, aż loki uderzyły ją po twarzy.

Larry otworzył drzwiczki.

– Wsiadaj. – To było do pani o białożółtych włosach na przednim siedzeniu.

– Ależ Larry, co...

– Powiedziałem: wsiadaj.

Zawrócił tak ostro, że zawadził o kamienny słupek na poboczu. Potem przez całą drogę do domu kłął,

tak jakby to ona zawiniła, a nie jego własna popędliwość.

– Znalazłeś ją! Znalazłeś mój skarb! – załkała matka, kiedy dotarli do domu. – Tak się martwiłam! Nie było jej przy bramie, myślałam, że gdzieś poszła i...

Carla zostawiła matkę w objęciach Larry'ego i cichutko poszła do swojego pokoju. W tornistrze miała nowego Charliego, który zastąpił starego.

Ksiądz nie miał racji. Nie potrzeba trzech dni, żeby przywrócić kogoś do życia.

Wystarczą trzy godziny.

Głowa mnie boli.

Myśli mi się płaczą.

Chwilami wydaje mi się, że jestem o piętnaście lat młodsza.

Chwilami wydaje mi się, że wcale mnie tu nie ma, tylko patrzę z góry na wszystko, co nadal się wydarza.

Może naprawdę istnieje coś takiego jak zmartwychwstanie.

Ale nie takie, jak uczą nas w kościele.

Może jest szansa, żeby zrobić to wszystko jeszcze raz. Tym razem jak należy.

A może to tylko bredzenie umierającej duszy.

Dla której nie ma powrotu.

Lily

MORDERCA, KTÓRY WRZUCIŁ SWOJĄ OFIARĘ DO WRZĄCEJ KĄPIELI, SKŁADA WNIOSEK O APELACJĘ

Joe Thomas, w r. 1998 skazany za morderstwo na dożywocie, zamierza wystąpić o apelację od wyroku. Thomas utrzymuje, że jego dziewczyna, Sarah Evans, zginęła z powodu wadliwie działającego bojlera.

Rodzice panny Evans po usłyszeniu tej wiadomości są, jak stwierdzili, w szoku. – Ten człowiek odebrał nam naszą dziewczynkę – powiedział Geoff Evans, 54-letni nauczyciel z Essex. – Zasługuje, żeby go piekło pochłonęło.

Pani Evans, lat 53, przechodzi obecnie chemioterapię w związku z nowotworem piersi.

– Yhh! – wydaje mój szef, czytając artykuł na drugiej stronie dzisiejszego „Timesa”. – No, to teraz rzucą ci się do gardła. Jesteś pewna swojego adwokata?

– Absolutnie. Tony Gordon zgodził się pracować pro bono, tak jak my. Mówi, że to może być sprawa o znaczeniu ogólnokrajowym.

Szef robi minę typu: „Co ty tam wiesz”.

– Nie chcę, żeby w sądzie występowała kobieta – powiedział zdecydowanie Joe. – Z całym szacunkiem, ale przysięgli, patrząc, jak przechadza się po sali, mogą sobie wyobrazać, co ma pod ubraniami. Tylko argumenty mężczyzny są w stanie ich przekonać.

Przełknęłam moją odpowiedź.

– Widziałam go parę razy w sądzie – zapewniłam mojego klienta. – Tony potrafi sterować tłumem.

Sprzyja też to, że jest przystojny – w jakiś sposób przypomina mi Richarda Burtona – i ma dar sprawiania, iż żeńska część ławy przysięgłych czuje się tak, jakby poza nimi nie było na sali nikogo, a męska – że życie człowieka na ławie oskarżonych spoczywa w ich rękach.

Przy odrobinie szczęścia sprawi nam przyjemną niespodziankę. Podobno najpierw musimy zgłosić sprawę do Komisji Rewizji Spraw Kryminalnych, żeby uzyskać zgodę na apelację. Jeśli komisja uzna, że są podstawy, przekaże sprawę do Sądu Apelacyjnego. Jeśli ten ostatni dopuści apelację, twierdzi Tony, to wystąpimy o ponowny proces.

Ale jest przekonany, że możemy już teraz, nie czekając na decyzje, brać się za robotę, żeby zaoszczędzić czas. W tej chwili sądy dosyć się spieszą ze sprawami. Musimy być przygotowani.

Wracam do biurka, żeby kontynuować notatki dla Tony’ego. Mam wspólny pokój z innym świeżo upieczonym prawnikiem, ale mój kolega, młody człowiek prosto z Oxfordu, zachorował z powodu stresu.

To dość częste w zawodach prawniczych. Tak łatwo się pomylić. Zawieść czyjeś oczekiwania, klienta albo firmy. I wciąż wisi nam nad głową groźba, że zostaniemy pozwani za nieumyślny błąd. Przypomina mi to słowa jednego z moich wykładowców na pierwszym roku: „Możecie wierzyć lub nie, ale prawo nie zawsze jest sprawiedliwe. Niektórym uchodzi na sucho. Inni idą siedzieć za przestępstwa, których nie popełnili. Ale pewien procent tych »niewinnych« ma na sumieniu inne przestępstwa, które im uszły na sucho. Więc można powiedzieć, że koniec końców to się wyrównuje”.

Jestem świadoma tego wszystkiego, siadając przed komputerem. Mimo to moje myśli, jakby w akcie

buntu, wracają do Eda.

– Może byśmy urządzili jakąś imprezę? – podsunęłam niedawno przy kolacji. Mój mąż podniósł oczy znad tacy. Tak, tacy. Zaczęliśmy jadać kolacje przed telewizorem, czego matka Eda z pewnością by nie pochwałała.

Ale pomaga to wypełnić luki w rozmowie. Miły, uprzejmy, zabawny mężczyzna, którego poznałam przed niespełna rokiem, jakby stracił poczucie humoru. Już nie ma zmiennych nastrojów. Ma trwale zły. Nie próbuje mnie więcej pieścić w łóżku, mimo to czasem w środku nocy – kiedy oboje jesteśmy na wpół śpiący – bierze mnie tak natarczywie, że z trudem łapię dech.

– Imprezę? – powtórzył, kiedy skończył przeżuwać zapiekany makaron w sosie serowym. Przynajmniej jest uprzejmy. Moja najnowsza podróbka Delii Smith dała efekt mocno rozmiękły, on jednak mężnie z nią walczył. Zrobiłam postęp: od niedopieczonej zapiekanki z mięsa i cynaderek do przegotowanego makaronu z serem. Pomimo dwóch pensji nasz budżet jest napięty.

– Tak – odparłam zdecydowanie.

To był pomysł Rossa.

– No i jak tam leci? – zapytał mój nowy znajomy, kiedy wczoraj zadzwonił, żeby się dowiedzieć, czy jego informacja się przydała. Dopiero wtedy mi się przypomniało, że – co za wstyd! – nawet mu nie podziękowałam za pomoc w sprawie bojlera. Ciepło w jego głosie sprawiło, że łzy stanęły mi w oczach. Dziwne, co potrafi z człowiekiem zrobić odrobina życzliwości. Albo jej brak.

– Jest trochę napięć – wykrztusiłam zdławionym głosem.

– W związku z Edem?

– To znaczy? – Poczulałam ucisk w piersi. – Mówił ci coś?

– Nie...

– Co jest grane, Ross? – Dłonie mi zwilgotniały. – Powiedz! Rozumiem, że się przyjaźnicie, ale ja muszę wiedzieć. – Głos miałam łzawy. Zwracałam się do człowieka, którego ledwie znałam, ale naprawdę musiałam poznać prawdę. Dosyć miałam kłamstw.

– Na pewno chcesz wiedzieć? Wcale nie wiem, czy to prawda. Po prostu ludzie gadają.

– Ross, mów. Proszę. – Bez wątpienia nie umknęła mu nuta desperacji w moim głosie.

Westchnął.

– Davina chodzi po ludziach i opowiada, że we wtorek poszła z Edem na drinka. Ale to na pewno nic ważnego.

We wtorek? Usiłowałam przypomnieć sobie zeszły tydzień. Co myśmy robili w tych dniach? Ed późno wracał z pracy... Nagle poczułam złość. Mówimy o moim mężu! Może i nie wszystko układa się jak trzeba, ale jeszcze mamy czas. Nie pozwolę, żeby ta baba stanęła mi na drodze, kiedy próbuję zacząć wszystko od nowa. Planowałam to jeszcze przed poznaniem Eda.

– Słuchaj, może nie powinienem się wtrącać, ale na twoim miejscu coś bym z tym zrobił.

– Co? – Głos miałam schrypnięty.

– Zaproś ją na kolację. Jeszcze w tym tygodniu. I innych ludzi. Pokaż jej, że jesteście parą. – Głos mu stwardniał. – Davina nie jest zbyt sympatyczna. Jesteś warta dziesięć razy więcej niż ona.

I zanim zdążyłam coś powiedzieć, dodał:

– A nie zapomnij zaprosić mnie.

Prawdę mówiąc, przyjęcie to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję – teraz, kiedy sprawa nabiera rozpędu.

– Jeśli nam się uda wykazać zaniedbania ze strony producenta, będzie to miało wielkie znaczenie dla całej tej gałęzi przemysłu – powiedział Tony, kiedy zgodził się występować w naszej sprawie. – Ale mamy mnóstwo do zrobienia. Zacznę od tego, że poszukam biegłych w tej dziedzinie. A ty w tym czasie porozmawiaj z tymi ludźmi. – Podał mi listę numerów telefonicznych. – To osoby, które informowały o

ekstremalnych zmianach temperatury w ich bojlerach.

– Skąd je masz?

– Nieważne. Bierzemy się do roboty.

Tak że właściwie nie czas na imprezy. Mimo to siedzimy właśnie w ósmoro, upchnięci wokół stolika w naszym niewielkim mieszkaniu, które udało mi się jakoś upiększyć za pomocą papierowych lampionów i lilii. Wszędzie lilie. Kupiłam na targu całe naręczce. Zapach jest odurzający.

Za radą Rossa zadbałam, aby wszędzie wtykać słówko „nasz”. Nasza nowa sofa, którą razem kupiliśmy. Nasze plany na Boże Narodzenie. Nasze zdjęcia ze ślubu. Przesłanie jest jasne. Jesteśmy teraz parą. Może dlatego, pomimo niewielkiego wyprzedzenia, wszyscy przyszli. Są ciekawi, jak nam idzie.

Nietrudno zauważyć, że naprawdę utarłam nosa Davinie. Odkąd weszła, bez przerwy kicha.

– Chyba mam uczulenie na pyłek – mówi, krztusząc się, gdy usuwam ze stołu wielki wazon stojący dokładnie w wprost jej nakrycia. Oczywiście gdybym wiedziała, tobym nie kupowała lilii. Raczej nie.

Ed patrzy ze zdumieniem na swoją eks. Jest artystą. Lubi, żeby wokół niego było ładnie. A Davina w tej chwili nie dorasta do jego oczekiwań.

Nawet mój *coq au vin* jest całkiem jadalny.

Triumfuję.

– Dzięki za miły wieczór – bełkocze na odchodnym Davina, uwieszona ramienia nudnego faceta, z którym przyszła. Innego niż ostatnio.

Ross puszcza do mnie oko i muska na pożegnanie mój policzek.

– Dziękuję – szepczę mu na ucho.

– Do usług. – Omiata mnie spojrzeniem. Czyżby to było spojrzenie znaczące? Mam na sobie prostą białą sukienkę, ukrywającą krągłości, których raczej nie chcę podkreślać, a ujawniającą te bardziej akceptowalne.

– Ślicznie wyglądasz – mówi Ed, zaledwie zamknęły się drzwi. – W każdym razie Ross tak uważa.

Przychodzi mi do głowy, że odrobina zazdrości z jego strony nie będzie może taka zła.

– Może w przyszłym tygodniu wybralibyśmy się z nim na drinka? – mówię, wciągając rękawiczki do zmywania.

– Na drinka? – Głos Eda się zaostrza. – Dlaczego?

– Pomaga mi w związku z tą sprawą. – Biorę szklanę, poznaną śladami szminki, i myję ją ze złością w pienistej gorącej wodzie. – Tylko się z nim koleguję, wiesz. Inaczej niż ty z Daviną. Wiem, że niedawno poszedłeś z nią na drinka... Nie zaprzeczaj.

– Na litość boską. – Ed ciska ścierkę do naczyń. – To z tobą się w końcu ożeniłem. A nie z nią!

– Co to znaczy: w końcu?

Nie patrzy na mnie.

– Byliśmy zaręczeni – mówi powoli. – Zerwała ze mną. Nie mówiłem ci, bo nie chciałem, żebyś się czuła zagrożona, jak ją poznasz.

Zagrożona? Żartuje sobie? Tak jak teraz czuję się znacznie gorzej.

– Kiedy z tobą zerwała? Jak dawno, zanim się poznaliśmy?

– Dwa... – Waha się.

Dwa lata? Dwa miesiące?

– Dwa tygodnie – mówi niewyraźnie.

– Dwa tygodnie?! Zacząłeś się ze mną spotykać dwa tygodnie po tym, jak zerwała z tobą narzeczona, i nie uważałeś za stosowne mi o tym powiedzieć?

– Powiedziałem ci dlaczego. – Ed jest czerwony. – W twoim życiu też były jakieś sprawy, o których mi nie powiedziałaś, prawda?

Robi mi się gorąco. A potem zimno. W głowie błyska mi obraz stajni... Co on wie? Skąd wie? Po czym mówię sobie: nie bądź głupia. On uderza na oślep. Bądź cicho. Nic nie mów.

Ed podchodzi do mnie i kładzie mi ręce na biodrach.

– Poszedłem z Daviną na drinka, żeby pogadać. – Głos ma błagalny. – To naprawdę nic nie znaczy.

Mam łzy w oczach.

– Ożeniłeś się ze mną na otarcie łez po Davinie?

– Nie. Ożeniłem się z tobą, bo... bo jesteś miła, ciepła i ładna...

– Ładna? No teraz to kłamiesz.

– Nie kłamię. – Trzyma mnie za ramiona. – Szczerze mówiąc, twoja atrakcyjność polega między innymi na tym, że nie wiesz, jaka jesteś śliczna.

– Jestem gruba! – Niemal wypluwam to słowo.

– Nie. Masz sylwetkę kobiety. Normalnej kobiety. Ale ważniejsze jest to, że jesteś piękna w środku.

Zależy ci na tym, żeby świat był lepszy, niż jest.

Całuje mnie łagodnie, a ja myślę: gdybyś wiedział...

Czy nie ma prawa wiedzieć?

Czy wierzę mu, kiedy mówi, że między nim a Daviną nic nie ma?

Czy mam prawo pytać, skoro sama tyle przed nim ukrywam?

I – co nie mniej istotne – kto może uczciwie powiedzieć, że Joe Thomas jest winny lub niewinny, skoro wszyscy w mniejszym lub większym stopniu jesteśmy zdolni do zła?

Leżę w ramionach Eda, kiedy dzwoni dzwonek przy drzwiach. Prawie mi się udało, mówię sobie. Uczciwa miłość pomiędzy żoną a mężem. No, w każdym razie czułość...

Dzwonek znowu dzwoni. Wkładam szlafrok i rzucając okiem na zegar – już dziesiąta? – idę do drzwi. Stoi w nich piękna kobieta w czarno-pomarańczowej jedwabnej sukience, z opadającymi na ramiona ciemnymi lokami. Taka jestem zaabsorbowana myślami na temat Eda i mnie, że chwilę trwa, zanim sobie uprzytamniam, kto to jest.

– Bardzo przepraszam – mówi Francesca – ale znowu muszę iść do pracy i nie mam się do kogo zwrócić...

Mała Carla już jest w środku, całkiem jakby tu mieszkała. Podskakuje radośnie.

– Będziemy mogły znowu gotować, tak jak wtedy?

Naturalnie jest to najście. I jak zawsze przestrzegała moja matka, im dłużej na to pozwalam, tym bardziej ustala się to jako zwyczaj. Poza tym mam pracę. Ale gdy próbuję sklecić jakąś wymówkę, nadchodzi Ed z telefonem w ręce, wyraźnie poruszony.

– Dzwonił chłopak Daviny. Zabrali ją do szpitala. Miała atak astmy. Przez te lilie.

– I co z nią?

– Już dobrze. Ale podobno mogło być dużo gorzej.

Wstyd mi, ale wraz z ulgą czuję odruch żalu. Po chwili tkwiąca we mnie prawniczka przechodzi do ofensywy.

– Powinieneś był mi powiedzieć, że ona ma alergię na pyłek! Przecież musiałeś wiedzieć.

Wzrusza ramionami.

– Zapomniałem. Przypomniałem sobie dopiero po fakcie.

Intymność wczorajszego wieczoru wyparowała. Nagle wraca mi świadomość, że obok podskakuje Carla, a Francesca niecierpliwie czeka w drzwiach.

– Matka Carli musi dzisiaj iść do pracy – mówię cicho.

Ed kiwa głową. Ulga w jego oczach odpowiada mojej. Oboje potrzebujemy jakiegoś odwrócenia uwagi. Dziewczynka o czarnych lokach i grubych brwiach to świetny pretekst. Możemy się znowu zabawić w mamę i tatę.

– Jasne – mówi do Franceski. – Miło nam, że możemy pomóc. Carla to żaden kłopot. Absolutnie.

Carla

Możę wylizać miskę? Proszę! Proszę! – Drewniana łyżka już była w połowie drogi między ustami a smakowicie pachnącą mieszanką jajek, cukru, mąki i masła. Mamma nie pozwalała Carli niczego próbować przed upieczeniem. Ale coś jej mówiło, że z Lily się uda. Czasem trzeba po prostu znaleźć właściwą drogę do właściwej osoby.

– Prooooooszę!

– Ależ oczywiście! – Lily stała koło niej w poplamionym biało-różowym fartuchu. – My z bratem zawsze wylizywaliśmy, jak byliśmy w twoim wieku.

Mmmmm. Pyszne!

– Już dosyć, bo się rozchorujesz! – Lily delikatnie położyła jej rękę na ramieniu.

Carla wyduła usta, tak jak mamma, kiedy Larry mówił, że następnym razem może się spóźnić. Po czym sobie przypomniała, że to go czasem irytowało. Nie chciała zirytować Lily.

– A jak się nazywa twój brat? – spytała, żeby zmienić temat.

Nastąpiła pełna napięcia pauza. Lily wkładała właśnie ciasto do piecyka. Ta cisza była całkiem jak pomiędzy położeniem igły na płycie a chwilą, gdy rozlegnie się muzyka.

Ed, który siedział po turecku na podłodze i ją rysował, odłożył węgiel. Lily długo poprawiała blaszkę w piecyku. Wreszcie wróciła do stołu. Była czerwona na twarzy. W środku musiało być gorąco.

– Nazywał się Daniel.

Carla знаła tę śpiewną intonację. Mamma używała takiego głosu, kiedy mówiła coś ważnego, ale nie chciała, żeby Carla się nad tym rozwodziła. „Dziadek nie życzy sobie mnie oglądać”. Albo: „Kiedyś może wrócisz do Włoch na własną rękę. Babcia na pewno chciałaby cię poznać”.

Język angielski był dziwny. Ale chociaż Carla nie cierpiała szkoły, bardzo się przykładała do gramatyki. Lubiła ją. To tak jak w piosenkach. Dziecięcych piosenkach, które czasem mamma śpiewała jej po włosku. Teraz przerabiali czasy. Teraźniejszy. Przeszły. Przyszły. Dziewczynka idzie ulicą. Chłopiec szedł ulicą. Mój brat nazywa się Daniel. Mój brat nazywał się Daniel.

To znaczy, że brat Lily musiał zmienić imię. W szkole czytali opowiadanie, w którym ktoś tak zrobił.

– A jak się nazywa teraz?

Węgiel Eda znowu wydawał szybkie, zgrzytające dźwięki. Ale Lily odwróciła się z powrotem do piecyka, tyłem do Carli.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Głos był dziwnie ostry. Była zła.

Carli zaschło w ustach. Słodycz masła, cukru i mąki zniknęła. A mimo to poczuła dreszczyk podniecenia. Ten, który przebiega człowieka, kiedy zdarzy się coś złego – ale nie jemu.

– Ktoś mu zrobił krzywdę? – Wrócił do niej obraz biednego Charliego z rozszarpanym futerkiem, a obok błędnie napisane słowo „Zuodziejka”.

– Chyba dość pytań na dziś. – Ed wstał. – Chodź, zobacz, Carla. Jak ci się podoba?

Dziewczynka na rysunku była dokładnie taka jak ona! Podnosiła do ust łyżkę z ciastem. Miała roziskrzony oczy. Ale zarazem był w niej ślad smutku. Skąd Ed wiedział, że ona w środku wciąż cierpi z powodu Charliego? Ten nowy inaczej pachniał. Nie kochał jej tak, jak prawdziwy. Czowała to.

– A gdzie jest Lily? Nie ma jej na obrazku.

Rozległ się śmiech. Niższy niż zwykle. Normalnie Lily śmiała się wysoko, dźwięcznie.

– Nie przejmuj się, Carla. Jestem do tego przyzwyczajona.

Poczuła się troszkę niezręcznie. Mamma tak mówiła, kiedy Larry się spóźnił albo w ogóle się nie pokazał. Jestem do tego przyzwyczajona. Przywykłam, że twoja żona jest na pierwszym miejscu. Nie martw się o mnie.

– Przestań. – Głos Eda był gruby, tak jakby warczał. – Nie przy dziecku.

Nie jestem dzieckiem, chciała zaprotestować, ale Ed już wkładał jej rysunek w rękę.

– Możesz go zatrzymać, jeśli ci się podoba.

Naprawdę? Jest jej? Włoży go do specjalnego pudełka, tam gdzie włożyła ten pierwszy, który dostała od Eda. On ją chyba naprawdę lubi!

– Czemu nie? Tak będzie lepiej, niż trzymać go tutaj. Moja kochana żona mogłaby być zazdrosna i o niego, tak jak o wszystko inne.

– Zdawało mi się, że ktoś tu powiedział: nie przy dziecku?

Lily ze złością zmywała. Strzępy piany leciały na wszystkie strony. Jeden wylądował na bucie Carli. Buciki były trochę za ciasne, ale mammie mieli zapłacić dopiero w przyszłym miesiącu. „Nie mogę prosić Larry’ego o więcej” – powiedziała.

Ale Carla mogła. Odkąd nakryła Larry’ego z panią o czerwonych ustach, czuła wyraźnie, że może go prosić o różne rzeczy. Nowy Charlie to dopiero początek.

– Może poszlibyśmy na spacer? – spytała teraz, biorąc Eda za lewą rękę, a Lily – za prawą. Po czym przypomniała sobie coś, co mamma mówiła do Larry’ego po tym, jak razem tańczyli. Carla słyszała przez ścianę.

– Proszę! Pięknie proszę!

Po południu Carla miała już cztery rysunki. Carla w parku na huśtawce. Carla karmi kaczki. Carla biegnie. Carla zamyślona, z brodą wspartą na dłoni.

– Czemu nigdy nie rysujesz Lily? – spytała.

Zaledwie to powiedziała, wiedziała, że nie powinna była pytać. Ale chciała się tylko dowiedzieć, co tak zmartwiło Lily.

Lily zaśmiała się dziwnie.

– Bo nie jestem warta, żeby mnie rysować.

Ed milczał. Ale kiedy Carla przyszła w kolejną niedzielę, o ścianę wsparty był nowy obrazek.

Lily wyglądała na nim przez okno. Była jak żywa! Zupełnie jakby lada moment miała zejść z tej kartki.

I wtedy Carla zdała sobie sprawę, że mamma nie ma racji. Może i Lily ma inną figurę niż jej matka. Ale jest piękna. Miła. Dobra. Serce Carli wezbrało uczuciem. Jak ona ją kocha!

– Śliczny – wyszeptowała.

Ed wyglądał na zadowolonego. Lily też. Objęli się ramionami, najwyraźniej znacznie szczęśliwsi, niż kiedy widywali ich ostatnio. Więc Carla też poczuła się dobrze. Gdyby nie te niedziele, nie byłaby w stanie przebrnąć przez tydzień. Poniedziałek... Wtorek... Środa...

Mamma nie musiała już wkładać Lily karteczek pod drzwi. Wyglądało, że to już ustalone: w niedzielę Carla idzie do Lily i Eda, a mamma do pracy.

– Niedługo – obiecał Ed, kiedy przestała wreszcie podziwiać portret Lily – znowu cię narysuję. Ale teraz muszę wyjść.

– Tak? – Lily podniosła głowę. – Dokąd?

Ed wzruszył ramionami.

– Po prostu na dwór. No wiesz, złapać trochę inspiracji.

Carla nie miała nic przeciw temu. Ed nie był jej ulubieńcem. Tylko Lily. Lily miała dla niej czas, a Ed

bez przerwy rysował. Nawet jak byli na spacerze, to wyciągał szkicownik.

Ale niedługo się okazało, że i Lily jest zajęta.

– Muszę przejrzeć trochę papierów w związku z pracą – powiedziała. – Mogłabyś sobie w tym czasie poczytać?

Carla wysunęła dolną wargę. Zwykle pomagało to postawić na swoim.

– Ale zapomniałam książki.

– Masz klucz?

– Leży na półce nad wejściem.

– Możesz go stamtąd wziąć? – Lily, mówiąc, prawie nie podnosiła głowy znad papierów.

– Tak.

– Dziękuję – uśmiechnęła się do niej Lily. Carle znowu wypełniło ciepło.

– Mam z tobą pójść?

– Jesteś zajęta. – Carla bardzo chciała zadowolić Lily. – Sama to zrobię.

Zaledwie włożyła klucz w drzwi, usłyszała dziwne jęki. Kogoś coś boli! Czy to mamma wróciła z pracy, bo zachorowała? Odgłosy dochodziły z jej pokoju.

Carla otworzyła drzwi i stanęła jak wryta. Na podłodze leżał kapelusz Larry'ego. Sam Larry leżał na mamie. Ale wcale nie była do siebie podobna! Była czerwona na twarzy i miała wilgotne włosy. A oczy miała tak szeroko otwarte, że wyglądało, jakby miały jej wyskoczyć z głowy. Czy Larry robi jej krzywdę? Ale mamma nie wyglądała na smutną. Właściwie w ogóle nie wyglądała jak mamma.

Carla odwróciła się i wybiegła.

– Gdzie masz książkę? – spytała Lily, kiedy wróciła.

– Nie mogłam znaleźć.

– Dobrze się czujesz? Jesteś bardzo spokojna.

– Mogę pooglądać telewizję?

– Oczywiście.

– A mogłabym zostać tutaj na noc?

Lily uścisnęła ją.

– Mamy tylko jedną sypialnię, niuniu.

Lily mówiła tak do niej już wcześniej. Carla nie wiedziała dobrze, co to znaczy, ale brzmiało bardzo miło.

Po czym Lily zamknęła swoje książki.

– Wiesz co? Zajmę się tym później. A teraz może zrobimy razem krówki? Dasz trochę mamie, jak wróci z pracy.

Wtem usłyszały dzwonek.

– *Piccola*? To ja! – zagruchał głos za drzwiami.

Serce Carli zamarło. Wiedziała, że mamma przyszła, bo Carla widziała ją w domu, kiedy rzekomo miała być w pracy. A choć jej głos brzmiał miło, na sto procent będzie zła, kiedy zostaną tylko we dwie.

– Wygląda na to, że wróciła dziś wcześniej – powiedziała Lily z zadowoleniem.

Lily

Biegnę za Daviną parkową alejką. Trzyma coś w ręce, a ja usiłuję jej to wyrwać, inaczej moje małżeństwo z Edem będzie skończone. Zwalnia, ale co przyspieszę, to ona znowu wrywa do przodu. Po czym zaczyna kichać. Tak gwałtownie, że to, co trzyma, wypada jej z ręki. Schylam się i podnoszę, ale mi się wyslizguje. W końcu w świetle księżycy udaje mi się to uchwycić. To obrączka. Dokładnie taka jak ta, którą dał mi Ed. Należąca niegdyś do jego prababki. I nagle zaczyna się kruszyć. Usiłuję złożyć kawałki na powrót, ale daremnie. Rozsypują się w pył. I wtedy Davina wybucha śmiechem. Wysokim, skrzeczącym, podobnym do pisku...

– Możesz wyłączyć? – dociera do mnie z drugiej strony łóżka zaspany głos Eda.

Powoli świta mi – co za ulga! – że śmiech Daviny to był alarm budzika. Światło sączące się przez zasłony to rzeczywiście księżyc, ale i tak pora wstawać. Jest szósta rano. Muszę zdążyć na wcześniejszy autobus, bo mam spotkanie z Tonym Gordonem. Człowiekiem, który może – albo i nie – pomóc mi uwolnić z więzienia Joego Thomasa.

– Prześledźmy jeszcze raz fakty.

Tony Gordon jest typem wysokiego, imponującego mężczyzny, który na ekranie kina byłby tak samo na miejscu, jak w salach sądowych swojego Lincoln's Inn. Nie chodzi tylko o jego szerokie barki czy swobodę, z jaką nosi ciemnoszary garnitur. Chodzi także o niski, autorytatywny, pełen powagi głos. O chód, który zdradza wrodzoną pewność siebie. O sztywno wykrochmalone, drogie na oko koszule (dziś ma na sobie różową w prążki – na każdym innym wyglądałaby zbyt kobieco). O niespieszny sposób odbierania telefonów, nawet kiedy sytuacja jest napięta. Założę się, że to uspokaja dzwoniącego. Z pewnością uspokaja mnie.

Im dłużej z nim pracuję, tym wyraźniej czuję, że to mężczyzna, który wie, co robi, obojętne, czy prowadzi samochód, wiesza obraz na ścianie, walczy o zwolnienie skazanego wyrokiem sądu mordercy czy kocha się z kobietą.

Skąd mi się wzięła ta ostatnia myśl? Słucham, jak Tony wylicza dane na temat produkcji bojlerów i pory, kiedy wydarzyły się poszczególne „incydenty”, a myślami wracam do chwili, gdy dziś rano ledwie musnęłam ustami policzek Eda w charakterze „do widzenia”.

Boję się już wracać do domu, do męża. Z zewnątrz wyglądamy bez zarzutu. Razem robimy w piątek wieczorem zakupy w supermarkecie, po pracy, leżąc obok siebie na sofie, oglądamy nasze ulubione programy w telewizji, a w niedzielę zajmujemy się małą Carlą. Dbam, aby w wolnym czasie miał swobodę malowania, bo to jedyne, czego pragnie. Jak on nienawidzi tego czasu, który musi spędzać w agencji, pracując „dla kretynów”! Ale trudno nie zauważyć, że jego dawne dwa kieliszki wina wieczorem to obecnie trzy albo cztery. I że już prawie nie próbuje mnie dotykać.

Zdaję sobie sprawę, że ta lista skarg brzmi tak, jakby chodziło o wieloletnie, znudzone sobą małżeństwo. A od naszego ślubu minęły zaledwie dwa miesiące. Dokąd to wszystko zmierza?

– Jak myślisz?

Nagle do mnie dociera, że Tony Gordon wpatruje się we mnie. Czuję, że rumienię się ze wstydu. To

słynny adwokat. Może spełnić kluczową rolę w uwolnieniu niewinnego człowieka. W każdym razie instynkt mi podpowiada, że Joe jest niewinny, chociaż niespecjalnie go lubię. A ja tu myślę o moim chybionym małżeństwie.

– Nie jestem pewna. – Tak chyba będzie bezpiecznie odpowiedzieć.

– Lily, skup się. Z ekspertyzy psychologicznej, o którą wystąpiłem, wynika, że nasz pan wykazuje objawy zespołu Aspergera, a poza tym występują u niego zachowania kompulsywne. – Tony Gordon zerka w notatki. – Jedno i drugie obejmuje szeroki zakres objawów i oznacza różne sprawy u różnych ludzi. W przypadku naszego klienta jedną z tych spraw jest fakt, że lubi, żeby wokół był porządek i czystość. Przeszkadza mu, jeśli rzeczy nie leżą na swoim miejscu. Język interpretuje dosłownie. Nie zawsze reaguje na sytuacje tak jak inni. Ma kłopoty, jeśli chodzi o komunikację z innymi ludźmi. Nie lubi zmian. Jest także dobry w liczbach.

– Mój brat jest trochę podobny – słyszę własny głos. I uświadamiam sobie, że powinnam była powiedzieć „był”, a nie „jest”. Prawdę mówiąc, często tak robię. Łatwiej wtedy udawać, że Daniel żyje.

– Naprawdę? – Zainteresowanie Tony’ego Gordona momentalnie się zaostrza. – Czy w związku z tym zachowuje się dziwnie?

– Kiedy był młodszy – mówię powoli – mówiono po prostu, że jest trudny. Nie mieliśmy na to żadnej nazwy. Ale potrafił być wobec ludzi w jednej chwili uroczy, a w następnej – niegrzeczny albo ordynarny. Nie lubił zmian... – W wyobraźni przesuwam dłonią po gładkim siodle. Czuję woń drewna. Tulę w ramionach Amelię. Nie...

– Dobrze się czujesz, Lily?

Patrzę na moje drżące ręce.

– Tak.

Tak, Daniel robił dziwne rzeczy. Nie, nie czuję się dobrze.

Ale Tony Gordon już kontynuuje.

– Musimy tego pilnować – mruczy. – Kłaść nacisk raczej na fakty niż na emocje. Według mnie ostatnim razem obrona nie zadbała o to dostatecznie. Przydałoby się też, żeby ława przysięgłych składała się z ludzi, którzy lubią dane statystyczne; takich, u których głowa rządzi sercem, a nie odwrotnie. Musimy też wykazać, że choć ludzie z zespołem Aspergera wykazują podobne cechy i zachowania, to każdy jest inny. Niepowtarzalny. Ich własna osobowość wpływa na ich zachowanie w takim samym stopniu, co sam syndrom. Zgodnie z tym, co wyczytałem, chłodne, pozbawione emocji, obsesyjne zachowanie naszego klienta niekoniecznie musi być konsekwencją zespołu Aspergera. To ważne, zwłaszcza jeśli ktoś z przysięgłych będzie miał osobiste doświadczenia odmienne niż w przypadku Joego. Albo jeśli przedstawimy jego przypadek w taki sposób, że ktoś poczuje się urażony.

Zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle jestem tu potrzebna. Bądź co bądź, przekazałam już Tony’emu Gordonowi potrzebne informacje. Teraz wszystko zależy od niego.

– Załatw w firmie, żebyś na pewno towarzyszyła mi podczas wizyty u klienta – mówi. – Twoje doświadczenie może być bardzo pomocne. Wiesz, ta sprawa nabierze rozgłosu. – Rzuca mi kolejne ciepłe spojrzenie, niemal ojcowskie. – Nikt nie będzie nas lubił – dodaje. – Oboje będziemy uosobieniem diabła. W oczach publiki morderca zawsze pozostanie mordercą, nawet jeśli udowodni się jego niewinność... A ta sprawa ma wielkie znaczenie na skalę kraju. Jeśli zostanie dopuszczona i jeśli wygramy, otworzy to drzwi lawinie kolejnych pozwów. Musimy być ostrożni.

– Wiem – mówię, uświadamiając sobie zarazem, że wcale nie wiem. Ale nie wolno mi okazywać ignorancji. Chcę być dorosła. Chcę być dobra w tym, co robię. I chcę być dobra w małżeństwie. Tyle że nie wiem, jak to osiągnąć.

Opuszczam sądy Lincoln’s Inn z ich pięknymi ceglanyymi murami i bujną po ostatnich opadach zielenią trawników i meandruję wśród tłumu turystów. Lubię się czasem przespacerować po Londynie. Po godzinach spędzonych w biurze dobrze jest odetchnąć świeżym powietrzem, a poza tym mam wtedy czas,

żeby pomyśleć. Idę w stronę mostu Westminsterского i przystaję na chwilę, żeby podziwiać widok. „Niczego piękniejszego nie wchłonie źrenica...”^[6]

Daniel uwielbiał wiersze. Podziwiał porządek. To, że słowa trafiały dokładnie w to miejsce, gdzie miały trafić. Kiedy coś go wyprowadziło z równowagi – na przykład brakujący kawałek układanki albo but, który stał nie tam gdzie zawsze – czasem mu czytałam. Musiał to być poeta stosujący rym i rytm, z pewną dozą ekscentryczności. Zawsze sprawdzał się Edward Lear.

– Przepraszam – mówię odruchowo, bo ktoś mnie potrąca. Krzywiąc się, rozcieram łokieć. Typowe dla mnie – przeprosić, kiedy to ktoś inny postąpił niewłaściwie... Często robiłam to za Daniela. A ten człowiek nawet się nie zatrzymał, żeby uznać swoją winę. Oglądam się, ale już zniknął w tłumie.

I wtedy do mnie dociera. Torba. Nie ta duża na ramieniu, ale ta mniejsza, pod pachą, ze wszystkimi papierami dotyczącymi Joego Thomasa. Liczby, które mi dał, i notatki, które robiłam podczas niedawnego spotkania z Tonym Gordonem. Wszystko przepadło.

Ruszam szybkim krokiem w stronę mojej kancelarii i wraca do mnie to, co powiedział Tony. „Ta sprawa ma wielkie znaczenie na skalę kraju. Jeśli wygramy, otworzy to drzwi lawinie kolejnych pozwów. Musimy być ostrożni”.

W tamtej chwili zrozumiałam to w tym sensie, że musimy uważać, żeby wygrać. Teraz zaczynam się zastanawiać, czy nie chodziło mu o nasze osobiste bezpieczeństwo. Czy to możliwe, że zostałam potrącona z rozmysłem? Czy ten człowiek na moście – którego twarzy prawie nie pamiętam – celowo mnie potrącił, żeby mi zabrać ważny materiał dowodowy?

Niemal biegnę teraz ulicą High Holborn. Ból w łokciu się nasila. Muszę o wszystkim powiedzieć szefowi. Tony’emu Gordonowi też...

Wbiegam po schodach z elegancką mahoniową poręczą i omal nie zderzam się z jedną z sekretarek.

– Mam dla pani dwie wiadomości.

Pierwsza jest od Tony’ego. Krótco po moim wyjściu dostał wiadomość z Komisji Rewizyjnej. Przekazuje nasz przypadek do Sądu Apelacyjnego. Super. Teraz potrzebujemy tylko, żeby zaakceptował go sąd, a potem, miejmy nadzieję, będzie ponowny proces.

– Nie teraz, proszę – mówię nieciepliwie do sekretarki, która macha mi przed nosem kolejną karteczką.

– To pilne! – Wciska mi kartkę do ręki. – Ma pani natychmiast oddzwonić.

Sarah Evans.

Czemu to nazwisko brzmi mi znajomo?

I nagle do mnie dociera. To nazwisko nieżyjącej dziewczyny Joego Thomasa.

Carla

Carla ciągnęła matkę za rękę. W tył. W tył. Jak najdalej od przystanku. Jak najdalej od autobusu, który zawiezie ją do szkoły. Jak najdalej od tych nieprzyjaznych spojrzeń i śmiechów, przez które czuła się jeszcze głupsza niż dawniej.

A na dodatek nowy Charlie się nie odzywał.

– No chodźże – w głosie mammy pojawiła się nuta, która zwykle zapowiadała albo piosenkę, albo histerię. (Dziś z pewnością to ostatnie). – Spóźnimy się!

W tej chwili zza rogu wyłonił się autobus.

– Jedzie! – Ściągnięte brwi postarzały śliczną twarz mammy. – Szybko!

Z oporem pozwoliła, by mamma powlokła ją za sobą. Szur, szur, szurały w ohydnych mokrych liściach czarne lakierki, za które zapłacił Larry. Bez Lily i Eda nie był to dobry weekend.

– Nie możesz chodzić do nich co niedzielę – powiedziała mamma, tak jakby nie ona sama zorganizowała ten układ.

Ale Carla doskonale wiedziała, jaka jest prawdziwa przyczyna. To dlatego, że widziała mamę z Larrym w domu, kiedy miała być w pracy. Mamma czuła się winna. Z początku wydawało się, że to dobrze, bo dzięki temu robiła, co Carla chciała. Ale potem okazało się, że to źle, bo skasowała niedzielę z Lily. Koniec z pieczeniem ciast i wylizywaniem miski! Koniec z robieniem ludzików z kasztanów i zapalek! Albo pomponów z wełny, tak jak Lily, kiedy była mała. Koniec z pozowaniem Edowi, a czuła się taka ważna, kiedy ją rysował... Koniec z bieganiem po parku. Czy huśtaniem się na rękach Lily i Eda.

Pozostawało siedzenie z mamą w domu i czekanie na Larry'ego. Chociaż w ostatnią niedzielę nie przyszedł. A specjalnie zrobiły lazanie!

– Wsiadaj! – Głos mamy był ciężki od ulgi. Mimo wszystko udało im się złapać autobus. Carla wdrapała się po schodkach i zajęła swoje zwykłe miejsce z przodu.

Ostatnio jej przyjaciółki Lily nie było w autobusie. „Muszę teraz wcześniej wychodzić do pracy” – wyjaśniła. Ale Ed był jak zwykle. Czekał po drugiej stronie ulicy, z notatnikiem w ręce, i coś rysował. Może właśnie ją! Gorączkowo zastukała w szybę.

– Carla! – W głosie mammy była irytacja. – Mówiłam ci, żebyś tego nie robiła.

Ale Ed usłyszał! Pomachał jej szkicownikiem! Serce Carli wezbrało ciepłem. Lubił ją. Wiedziała o tym, bo tak pilnie obserwował każdy szczegół jej twarzy. Czasem pozwalał jej popatrzeć na obrazek. Te jej grube brwi narysował tak, że były niemal piękne! Gdyby inne dzieci mogły je widzieć w ten sposób... Może wtedy nie byłyby dla niej takie okropne.

Autobus szarpnął i ruszył. Twarz Eda zniknęła z pola widzenia i Carla poczuła przykrą pustkę.

– Nie zamierzasz podnieść Charliego? – spytała mama, wskazując na brudną podłogę autobusu, gdzie upuściła go Carla. Leżał wśród papierków po cukierkach i innych śmieci.

– To nie jest Charlie. To zwykła gąsienica – odparła Carla głosem, jakim mówiły inne dzieci, kiedy powiedziała w klasie coś głupiego.

Mama była wyraźnie zdziwiona.

– Ale tak go lubiaś!

Dawnego Charliego, chciała powiedzieć. Tego, którego ukradła tamtemu łobuzowi i którego tak

okrutnie zamordował inny łobuz. Ale nie mogła. Ten, którego jej kupił Larry, inaczej pachniał. Nie rozmawiał z nią. Nie słuchał jej sekretów.

– No, jesteśmy! – powiedziała mamma rzeźkim głosem, kiedy w polu widzenia pojawiła się szkoła. Całkiem jakby chciała, żeby Carla jak najszybciej sobie poszła, a ona żeby mogła pojechać do pracy i śmiać się, i ładnie pachnieć, i być może spotkać się z Larrym na lunchu.

Carla spojrzała w dół, na mrowiące się w szkolnej bramie dzieci. Chłopcy mieli twarze jak twarde orzechy. Dziewczynki szczyrzyły na nią zęby jak szczury.

– Proszę, Carla. Proszę.

Matka usiłowała ją ściągnąć po schodkach autobusu. Charlie pod pachą Carli nie próbował się opierać.

– Zejdę, jak poprosisz Lily, żeby mnie wzięła do siebie w tę niedzielę.

Matka zamrugła oczami

– Wolisz być z obcymi niż ze mną?

– To nie są obcy. To moi przyjaciele. Chcę być z nimi tak samo, jak ty chcesz być z Larrym.

– Wsiadacie czy nie? – ryknął kierowca. Kobieta z torbą na zakupy gapiła się na nie. I dziewczynki w brązowych mundurkach, chodzące do tej fajniejszej szkoły, trochę dalej na tej samej ulicy. Tej, gdzie nie było chłopaków i gdzie nikt nie pluł ani nie był niegrzeczny. Mamma powiedziała, że to szkoła zakonna, gdzie nauczycielkami są zakonnice. Próbowała załatwić tam Carli miejsce, ale jej nie chcieli, bo nie chodziły z mamką regularnie na mszę.

– Może byśmy teraz zaczęły? – spytała wtedy Carla.

– Mówiłam, że będziemy chodzić. Ale zakonnice powiedziały, że już za późno.

Carla miała tylko nadzieję, że nie jest za późno, żeby chodzić w niedziele do Lily i Eda.

– Dobrze, poproszę. – Mamma była czerwona na twarzy. – Ale teraz natychmiast pójdziesz do szkoły. Obiecujesz?

Carla kiwnęła głową.

– Obiecuję.

Mamma nachyliła się, żeby ją pocałować, ale Carla to zignorowała. Ruszyła w stronę bramy, na spotkanie kolejnego dnia szkolnej niedoli.

– Iiiiitalianka!

– Czemu tak śmiesznie mówisz?

– Czemu masz włosy na ręce, tak jak facet?

– Tak samo kudłate jak brwi!

Z miejsca sypnęły się docinki, jak zawsze ostatnio.

– Co teraz znowu ukradniesz? Mój tato mówi, że wszyscy Włosi to złodzieje. W Rzymie ukradli mojej cioci torebkę.

To ostatnie pochodziło od przysadzistego chłopaka z twarzą jak ten pies, którego widziała w parku. Ed powiedział, że nazywa się buldog.

– Ja nic nie kradnę.

– Niczego nie kradnę, Carla – wmieszał się w rozmowę ostry głos nauczycielki o haczykowatym nosie. – Prawidłowa forma to „niczego”. A o co chodzi z tą kradzieżą?

– Carla ukradła mojemu koledze piórniki. Ja mówiłem, ale nikt nie chciał słuchać, bo dostała piłką w głowę.

Wbrew woli poczuła, że się czerwieni.

– To nieprawda.

Nauczycielka zmrużyła oczy.

– Jesteś pewna?

Carla wyprostowała się.

– Oczywiście.

– Rozumiem. – Nauczycielka kiwnęła głową i przeszła do innego stolika.

– Kłamczucha, kłamczucha – zaszemrały dzieci.

Gdyby był tu Charlie – prawdziwy Charlie – to by jej powiedział, żeby nie zwracała na nie uwagi. Ale zamiast Charliego miała oszusta (przeskoczyła teraz w słowniku do „o”), który po prostu leżał jej na kolanach i to wszystko.

– Kłamczucha, kłamczucha...

– Jak nie przestaniesz, to Pan Bóg cię skarże. – Carla błysnęła oczami na Jean, dziewczynkę, która siedziała najbliżej i mówiła najgłośniej. – I umrzesz!

Zapadła nagła cisza. Carla sama była w szoku. Nawet dobrze nie wiedziała, skąd jej się wzięły te słowa.

– Carla Cavoletti! Wyjdź ze stołówki, w tej chwili.

Bardzo dobrze. O to jej właśnie chodziło. Z wysoko podniesioną głową ruszyła w stronę drzwi.

– Zostaniesz na korytarzu do końca dnia.

Jeszcze lepiej. Jak nie wróci po przerwie do klasy, to nie będą się z niej wyśmiewać. I właśnie wtedy Carla wpadła na pomysł. Wiedziała już, o co teraz poprosi Larry’ego.

– Nienawidzę szkoły – powtarzała w kółko wieczorem. Nauczycielka oczywiście powiedziała mamie o kozie. Carla próbowała wytłumaczyć, jak to było. Ale mamma była na nią zła.

– Mówiłam ci już, *cara mia*. Musisz się dostosować do tych Angliiików.

Po raz pierwszy, odkąd Carla mogła sobie przypomnieć, chciała, żeby przyszedł dziś Larry, tak żeby mogła zrealizować swój plan. Mamma się go spodziewała, bo włożyła różową sukienkę i spryskała się „Kwiatem jabłoni”. Ale potem zadzwonił telefon. Larry mimo wszystko był dziś potrzebny żonie. Mamma była niepokieszona. Carla też.

Kiedy nazajutrz rano wlokła się z ociąganiem szkolnym dziedzińcem, panowała na nim dziwna cisza. Dzieci, zbite w grupki, rzucały jej wystraszone spojrzenia.

Słychać było ściszone głosy. Parę razy padło imię „Jean”.

– Co się stało? – spytała jedną z dziewczynek, która siedziała w pierwszym rzędzie i nie była dla niej taka przykra jak inne dzieci.

Dziewczynka trzymała się z daleka, tak jakby Carla była złym psem.

– Nie podchodź do mnie!

Dopiero kiedy poszli na apel, zrozumiała.

– Niestety, mam wam do przekazania smutną wiadomość – zaczęła dyrektorka. Oczywiście miała czerwone jak mamma wczoraj wieczorem po telefonie Larry’ego. – Jean Williams potracił wczoraj samochód. Jest w szpitalu. Przykro mi to powiedzieć, ale jej stan jest ciężki.

W szpitalu? Jean Williams? Dziewczynka, która była wczoraj dla niej taka niedobra? Ta, której powiedziała, że umrze?

Z przykrością zdała sobie sprawę, że dzieci się od niej odsuwają. Parę dziewczynek obejrzało się na nią spode łba. Tego dnia na boisku nikt jej nie dokuczał. Nikt się do niej nie odezwał ani słowem.

Do końca tygodnia nie mogła jeść ani spać. Kiedy w końcu udawało jej się zdrzemnąć, śniła jej się Jean, jak wpada pod koła błyszczącego samochodu Larry’ego. Wtedy budziła się z krzykiem.

– Co się dzieje, *cara mia*? – Matka głąskała ją po głowie. – Czy to z powodu tej biednej dziewczynki?

Wszyscy rodzice wiedzieli o wypadku. Do wszystkich wysłano list z apelem o „rozsądek na drodze”.

To moja wina, chciała powiedzieć Carla. Ale coś ją powstrzymało. Jeśli uda się sprawić, że mamma

nadal będzie jej żałowała, to jej plan się powiedzie.

– Dzieci mnie nie lubią – powiedziała. – A Jean... tylko Jean była dla mnie miła.

Kłamstwo wymknęło się jej z ust tak łatwo, że wydawało się prawdą.

– Moje małeństwo. – Oczy mammy wypełniły się łzami. – Co mam zrobić, żeby ci było łatwiej? To była jej szansa!

– Chcę chodzić do innej szkoły. Tej, gdzie mają brązowe mundurki i gdzie nie ma chłopaków.

– Ale już ci mówiłam, *piccola*. Zakonnice nas nie chcą.

Carla spojrzała spod rzęs.

– Poproś Larry'ego. On wszystko może.

Mamma się zaczerwieniła.

– Nawet on nie potrafi tego załatwić. Ale może mógłby się zastanowić, czyby ci nie załatwić szkoły prywatnej...

Kiedy tego wieczoru Larry przyszedł na kolację (mimo że była sobota!), Carli nie trzeba było powtarzać dwa razy, żeby szła do łóżka. Przyłożyła ucho do ściany i nasłuchiwała.

– Wiem, że proszę o wiele, ale... – dobiegł ją stłumiony głos mammy.

– To niemożliwe! Co powie moja żona, kiedy zauważy, że z konta co semestr wypływa taka suma!

Przez chwilę głosy były cichsze i nic nie słyszała.

– Ale może coś bym jednak mógł zrobić – dobiegł ją znowu głos Larry'ego. – Ta szkoła klasztorna, o której wspomniałaś... Nasza firma co roku przeznaczą pewną kwotę na donacje na rzecz lokalnych stowarzyszeń. Niczego nie mogę obiecać, ale... może udałoby się wykorzystać pewne znajomości. Nawet dla takich niegrzecznych niepraktykujących katolików jak ty, moja droga...

Potem muzyka zagłuszyła głosy. A za jakiś czas skrzypnęły drzwi. Poszli do sypialni. Niedługo Larry wyjdzie i pójdzie do łazienki.

Idzie. Szybko wyskoczyła z łóżka.

– Larry... – szepnęła.

I zaniemówiła, wstrząśnięta. Larry miał na sobie nie garnitur, tylko koszulę, która była rozpięta, a pod nią... ojejusiu! Rozpaczliwie próbował zasłonić się dłońmi. Jego twarz zdradzała, że jest w szoku, tak samo jak ona.

– Miałaś spać! – syknął ze złością.

Carla zerknęła na zamknięte drzwi mamej sypialni.

– Jak nie pomoże mi pan z tą szkołą, gdzie się nosi brązowe mundurki, to powiem mammie o tamtej pani w samochodzie.

Larry się zachmurzył.

– Ty mała...

– Larry! – dobiegł z sypialni głos mammy. – Gdzie jesteś?

Carla spojrzała na niego groźnie.

– Nie będę powtarzać dwa razy.

Nie będę powtarzać dwa razy. Tak właśnie mówiono do niej w szkole, kiedy nie uważała na lekcji. Teraz jej kolej.

Nazajutrz przy śniadaniu mamma była cała w uśmiechach.

– Wiesz, kochanie? Powiedziałam Larry'emu o tym, jak źle się czujesz w tej szkole, i obiecał, że postara się ci załatwić tę zakonną. Cudownie, prawda?

Tak! Tak!

Carla spojrzała na Larry'ego.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

– Nie pocałujesz go za coś takiego?

Przemogła się, podeszła i musnęła ustami jego policzek. Był suchy w dotyku. Stary.

– Mamusi! – powiedziała słodko, wracając na miejsce – myślałaś o tym, o co cię wczoraj prosiłam?

No wiesz, żebyś poszła w niedzielę do pracy, a ja bym poszła do Lily i Eda.

Matka i Larry wymienili szybkie spojrzenie.

– Chciałabyś? – W głosie mamy była nutka radosnego podniecenia.

– Tak. Proszę.

– W takim razie pójdę i spytam, czy nie będą mieli nic przeciw temu.

Przeciw temu? Oczywiście że nie mieli. Carla słyszała dochodzący z korytarza głos Lily.

– Z miłą chęcią. Podrzucić ją, jak będziesz wychodzić.

Coś się zmieniło. Carla czuła to od chwili, gdy przekroczyła próg mieszkania.

Ed prawie nie rozmawiał z Lily. A Lily, choć powiedziała „z miłą chęcią”, siedziała w kuchni przy stole, obłożona książkami.

– Pracuje nad sprawą – powiedział Ed, zapraszając ją na sofę. – Nie wolno nam jej przeszkadzać, prawda?

– Tak samo jak tobie, kiedy rysujesz – warknęła Lily.

Carla poczuła się niezręcznie.

– Myślałam, że sprawunek to coś, co się załatwia w sklepie, a nie nad nim pracuje.

Ed uśmiechnął się i pociągnął łyk ze stojącego przed nim kieliszka. Był w nim ciemnobrazowy płyn, który pachniał tak samo jak whisky, którą mama podawała Larry’emu, kiedy przychodził.

– Nad sprawą, a nie sprawunkiem. A my teraz mamy całkiem sporo spraw na głowie, wierz mi.

– Chyba wystarczy, nie sądzisz? – powiedziała Lily melodyjnie, ale jej oczy pozostały puste.

– Jasne. – Ed zwrócił się w stronę Carli. – Chciałbym, żebyś teraz posiedziała bez ruchu i pomyślała o czymś miłym.

Więc tak zrobiła. Pomyślała, jak to będzie w nowej szkole, gdzie nikt jej nie będzie prześladował. I o kartce z widokiem londyńskiego autobusu, którą wysłały z mamą do dziadka we Włoszech, chociaż nie spodziewały się, że odpisze. I o...

Co to za szelest pod drzwiami? Koperta! Rada się przysłużyć, zerwała się, podniosła i podała Lily. Oj, Ed się chyba zirytował – zapomniała, że miała się nie ruszać!

– Ed? – Lily miała taki sam głos jak mamma, kiedy Larry nie mógł wieczorem przyjść. – Rzuć na to okiem.

Twarz Eda stężała.

– Powinniśmy zadzwonić na policję. – Po czym spojrzał na Carle. – Chodź, zobaczymy, czy mama nie wróciła z pracy.

Lily

Pierwsze, co mi przychodzi do głowy, to że to od Sarah. Wracam myślą do tamtej wiadomości, którą przekazała mi w zeszłym tygodniu sekretarka.

– A ta osoba, co dzwoniła? – spytałam wówczas. – Jaki miała głos?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Bo ja wiem. Normalny.

– A nie jak z tamtego świata? – o mało co nie spytałam.

Drżącą ręką wybrałam numer.

– Słucham. Sarah Evans z tej strony.

Nie było wątpliwości. Ta kobieta żyje. Co jest grane?

– Mówi Lily Macdonald – zaczęłam, w ostatniej chwili przypomniawszy sobie, żeby posłużyć się nowym nazwiskiem. – Dzwoniła pani do mnie w sprawie...

– W sprawie mojej córki – przerwała ze złością.

No jasne! Poczułam falę ulgi. Sarah Evans musiała mieć imię po matce. Rzadko się to zdarza w dzisiejszych czasach, choć było normą w starych rodach. W rodzinie Edwarda niemal wszyscy najstarsi synowie mieli tak samo na imię.

– Jak pani może bronić tego człowieka? – syknęła. – Jak pani może?

Ulgę szybko zastąpił ucisk w piersi. Czyż nie tak samo bym się czuła, gdybym miała córkę? Aż do tej chwili bardziej przejmowałam się tym, czy uda nam się wyciągnąć z za kratki Joego Thomasa.

Teraz jednak ten udręczony głos przypominał mi, co powiedziała przed laty moja własna matka. „Jak mogłaś, Lily? Jak mogłaś?”

Ręce mi się spociły. Biedna kobieta... Po czym przypominałam sobie artykuł z gazety i poczułam się jeszcze gorzej. Ona ma raka!

– Przykro mi, pani Evans, ale nie mogę dyskutować z panią o tej sprawie.

Nienawidząc siebie samej, odłożyłam słuchawkę i poszłam przekazać szefowi złą wiadomość o „utracie” niektórych papierów mających kluczowe znaczenie w sprawie Joego Thomasa.

Teraz, w domu, czytając karteczkę, która pojawiła się pod drzwiami, przypuszczam, że to od niej.

– Jak ona mnie znalazła? – mówię i cała się trzęsę. – Skąd wiedziała, gdzie mieszkamy?

– Ona? – Ed marszczy brwi. – Wiesz, kto to napisał?

Krótko wyjaśniam mu, co zaszło w pracy.

– Czemu mi nie powiedziałaś?

– Bo między nami nie ma tego typu relacji – wylewa się ze mnie gwałtownie niczym woda z wanny po kąpieli. (Odkąd zajęłam się przypadkiem Joego Thomasa, przesładuje mnie ten obraz). – Nigdy nie pytasz, jak mi minął dzień. Jedyne, co robisz po powrocie do domu, to rysujesz albo malujesz!

– Nie kłóćcie się, proszę.

Cichutki głosik przypomina nam, że jest tu ktoś jeszcze. Dziecko, za które jesteśmy odpowiedzialni, nawet jeśli tylko raz na jakiś czas.

– Przepraszam, niuniu. – Obejmuję ją ramieniem. – Ed ma rację. Trzeba zobaczyć, czy nie wróciła twoja mama. Mam ważny telefon do załatwienia.

– Nie mogę zostać, jak będziesz dzwonić?

W ciemnobrązowych oczach jest błaganie.

– Nie dziś. – Ed ma zdecydowany głos. Potem patrzy na mnie. – Chcesz, żebym zadzwonił do tej kobiety?

– Dlaczego?

– Jestem twoim mężem.

A jaki mąż zataja przed żoną, że był wcześniej zaręczony, i mówi jej dopiero po ślubie? Ale nie mogę tego powiedzieć przy dziecku. To by było nie fair.

– To chodźmy, dobrze? – zwraca się Ed do Carli. Słyszę ich kroki na korytarzu, Eda długie, powolne, i drobne, podskakujące Carli. Spoglądam jeszcze raz na kartkę. W tekście jest parę błędów ortograficznych. Nie wygląda, żeby mogła to napisać Sarah Evans, która, sądząc po głosie, sprawiała wrażenie osoby wykształconej. No, ale nigdy nic nie wiadomo.

JAK SPRUBUJESZ POMAGAĆ TEMU CZŁOWIEKOWI, PORZAŁUJESZ.

Usiłuję powstrzymać drżenie, ale bezskutecznie. Ed ma rację. Muszę złożyć doniesienie w tej sprawie, bo może być jeszcze gorzej.

Leżę w łóżku i usiłuję nie myśleć o mojej nowej rzeczywistości. Ktoś na mnie czyha. Przerazające uczucie.

– Opowiedz mi jeszcze raz, jak to było – mówi Tony Gordon, kiedy dzwonię do niego nazajutrz. Więc opowiadam. Tak jak opowiedziałam policji i szefowi. Dziecko, które u nas było w odwiedzinach, usłyszało, że ktoś wsuwa pod drzwi kopertę. Nie, nie widzieliśmy osoby, która ją podłożyła. Chociaż przed paroma dniami dostałam telefon od matki ofiary. Tego samego dnia, kiedy ukradziono mi ważne dla sprawy papiery.

Im więcej razy muszę to powtarzać, tym bardziej mi się wydaje, jakbym to ja była oskarżona. Mam też dziwną pokusę, żeby to lekko przyozdobić, sprawić, żeby było ciekawsze czy bardziej wiarygodne. Czy tak właśnie odczuwają to przestępcy? Czy dlatego wkopują się coraz głębiej? Tak jak Daniel?

Oczywiście nic się z tym nie da zrobić. Jak zidentyfikować napisaną na komputerze notkę od nieznanego nadawcy, bez znaczka pocztowego? Jedyne, co mogli zrobić, to ostrzec mnie, żebym „była ostrożna”, tak jakby to mogło coś pomóc. Wręcz przeciwnie. Nawet kiedy szłam do autobusu i usłyszałam z tyłu czyjeś kroki, celowo się nie obejrzałam.

Nie dam się zastraszyć. Nie dam się sterroryzować. O to właśnie chodzi, jeśli decydujemy się zajmować taką dziedziną jak prawo. Muszę wierzyć w coś, co jest silniejsze od zła. Jeśli pozwolę sobie ulec przemocy, będę skończona.

Przewracam się z boku na bok. Wpatruję się w sufit, rozświetlony reflektorami przejeżdżającego auta.

I wtedy to słyszę. Wyraźnie.

– Davina, proszę – mówi Ed. Po czym głośniejsz: – Davina! – Mówi przez sen.

– Nie jestem Davina! – Szarpie go za ramię. Wzdryga się i budzi.

– Co się dzieje? O co chodzi?

– Nazwałeś mnie Daviną!

– Nie bądź śmieszna.

– Nie jestem śmieszna. Nadal coś do niej czujesz, prawda?

– Na litość boską, Lily. Śpij i przestań sobie wyobrażać Bóg wie co.

Ale ja wiem, że nic sobie nie wyobrażam.

Tym razem to on kłamie.

Niemal z miejsca rodzi się między nami nowy chłód. Zachowujemy się, jakby to drugie nie istniało; usiłujemy się mijać bez ocierania się o siebie w naszym małym mieszkanku, a w łóżku odsuwamy się

od siebie najdalej, jak się da, tak jakby przypadkowy dotyk groził nam obojgu śmiercią.

Nigdy nie miałam bliskich przyjaciółek. Zawsze uciekałam przed nadmiarem bliskości, przed zwierzeniami. Teraz jednak bardzo bym chciała mieć kogoś, z kim mogłabym pogadać. Kto mógłby mi coś poradzić w związku z Edem.

Tylko jedna osoba przychodzi mi na myśl.

W przerwie na lunch dzwonię do Rossa. Opowiadam mu o Edzie i o mówieniu przez sen. A potem, ponieważ czuję jego zrozumienie i współczucie, nieoczekiwanie opowiadam mu też o liście z pogrózkami od nieznanego nadawcy i o tym, że policja ograniczyła się do rady, żebym „na siebie uważała”.

Ross raczej słucha, niż śpieszy z dobrymi radami. (Gdyby jakieś były!) Ale samo to, że mogę wypowiedzieć na głos moje lęki przed kimś innym, a nie przed sobą samą, już pomaga.

Tego wieczoru Ed wraca późno.

– Poszedłem na drinka – mówi.

– Z Daviną? – pytam z bijącym sercem. Czyli jednak zamierza mnie zostawić. Pomimo że jest dla mnie, jaki jest, ogarnia mnie strach. Teraz trzeba będzie zacząć od nowa... Czy ktoś mnie jeszcze pokocha?

– Nie, z Rossem. – Bierze mnie za rękę. – Słuchaj, Lily... Wiem, że nasze małżeństwo nie wystartowało najlepiej, ale naprawdę cię kocham. I martwię się o ciebie. Ten list... ten człowiek, co ci ukradł papiery... to, że odwiedzasz w więzieniu tego kryminalistę... Nie podoba mi się to. Boję się.

– No to masz problem. To moja praca.

To, co mówię, brzmi ostro, ale w środku mimo woli jestem wzruszona.

– Wiem, i podziwiam cię za to. Ross mówi, że jesteś dziewczyną jedną na milion. I ma rację.

Gdyby on wiedział!...

– Kiedy z nim rozmawiałem – ciągnie Ed – zdałem sobie sprawę, jakie mam szczęście. – Ściska mnie za rękę. Jego dłonie są ciepłe, mimo że na dworze jest mroźna noc. – Zacznijmy od nowa, Lily, dobrze? Proszę.

– A co z Daviną?

– Z jaką Daviną? – Patrzy mi prosto w oczy. – Nie ma żadnej Daviny, Lily. To z tobą się ożeniłem. I chcę, żeby tak zostało. Jak myślisz, możemy zacząć od nowa?

Jestem wyczerpana. W pracy ostatnio wszystko na maksa z tymi nieustannymi telefonami od Tony'go Gordona. Na szczęście okazuje się, że ma kopie ukradzionych dokumentów – powiedział, że zawsze kseruje dokumenty co najmniej dwukrotnie – choć nadal jest „niekorzystnie”, że ktoś ma oryginały.

I wszystko na maksa z Edem.

Teraz tak jakby naprawdę mnie widział. Mnie i nikogo innego. Wymawia moje imię, a nie jej. W miarę jak powoli zaczynam ufać mężowi, moje ciało zaczyna reagować na niego. Mimo to nadal się zdarza, że wyobrażam sobie, że na miejscu Eda jest ktoś inny.

Poczucie winy sprawia, że jestem drażliwa. Do tego stały stres w pracy. W rezultacie oboje często na siebie warczymy.

– Powinnaś się na trochę wyłączyć – mówi Ed, kiedy przy kolacji przeglądam kolejną teczkę z dokumentami. – W tym tygodniu prawie ze sobą nie rozmawialiśmy.

Rzucam okiem na jego szkicownik przy nakryciu.

– Mnie przynajmniej za to płacą. To nie hobby.

Wredny docinek. Sprowokowany tym, że irytuje mnie to, co czytam. Ale za późno, żeby go cofnąć.

– Któregoś dnia – mówi Ed głosem, który brzmi tak, jakby go wyciskał z ust – i mnie zapłacą za to, co chcę i lubię robić. I to więcej niż za cokolwiek innego. A póki co, muszę się mordować w pracy, której nienawidzę, żeby zarobić na chleb i coś do chleba.

– Ja też mam w tym swój udział.

– Tak jakbyśmy o tym nie wiedzieli.

Chcę, żeby to małżeństwo działało. Ale pomimo tego, co dzieje się w sypialni, zaczynam się zastanawiać, czy to możliwe. Może to tylko ta sprawa Joego Thomasa? Może kiedy zostanie zakończona, znowu będę w stanie myśleć normalnie? Ale nie teraz. Za wiele się dzieje.

A na dodatek gdzieś w tyle głowy wiem, że wisi nade mną ten dzień. Dwudziesty czwarty listopada. Osiem lat temu. Co roku przychodzi szybciej, niż myślałam.

– Muszę w sobotę odwiedzić rodziców – mówię nazajutrz do Eda, gdy leżymy spleceni ramionami. Budzik już dzwonił. Oboje zbieramy się na odwagę, by wyjść z ciepłego łóżka (w mieszkaniu jest jak w zamrażarce) i zacząć się szykować do pracy. Ale ja muszę stanąć twarzą w twarz ze sprawą, którą dotąd odkładałam.

– To rocznica śmierci Daniela – dodaję.

Ramiona Eda obejmują mnie ciaśniej.

– Powinnaś mi była powiedzieć. Pojechać z tobą? Mogę zadzwonić, że jestem chory.

Dosyć kłamstw.

– Dzięki, ale lepiej będzie, jak pojedę sama.

Znowu myślę o wersji wypadków, którą przekazałam Edowi, jak się poznaliśmy. Od tej pory nie rozmawialiśmy o tym.

Powiedziałam o tym rodzicom.

Zgodzili się ze mną.

Są rzeczy, co do których żadne z nas nie chce, żeby dowiedział się o nich świat.

Miałam nadzieję, że po Danielu rodzice się przeprowadzą. Ale nie. Zostali. W tej dość sfatygowanej, ale wciąż pięknej willi w stylu georgiańskim, kupionej przed laty przez moich dziadków. Stoi na szczycie klifu, otoczona od frontu starannie przystrzyżoną roślinnością. Ścieżka na tyłach sprowadza skarpy wprost do morza.

No i są tu stajnie.

I duchy.

– Nie chcemy pozbywać się wspomnień – powiedziała kiedyś matka.

Wspomnienia! Czy nie ich właśnie powinniśmy się pozbyć?

– Wiesz, są też dobre – przypomniał mi łagodnie ojciec.

Idąc żwirową dróżką w stronę mojego dawnego domu, nieoczekiwanie dla siebie marzę, żeby był tu Ed i trzymał mnie za rękę. Żeby mi wszystko opowiedziała – teraz, kiedy jest okazja.

Ale gdybym opowiedziała, z pewnością by mnie zostawił.

– Lily!

Ojciec ogarnia mnie niedźwiedzim uściskiem. Choćbym się opierała, znowu jestem dzieckiem. W czasach, kiedy czułam się bezpieczna.

– Lily – dołącza się słaby głos matki, pełen wymuszonej dzielności. – Tak dawno cię nie było!

– Przepraszam... – zaczynam.

– W porządku, wiemy, że jesteś zajęta. – Ojciec już prowadzi mnie do pokoju. Siadam na zniszczonej sofie. Rodzice wprawdzie odziedziczyli ten dom, ale mają za mało pieniędzy na jego utrzymanie. Ogrzewanie na olej rzadko jest włączone. Wstrząsa mną dreszcz. Szkoda, że nie wzięłam grubszego swetra...

– Czytałam o tym twoim nowym przypadku – mówi tato. – Wygląda na bardzo ciekawy.

Podsuwa mi egzemplarz „Daily Telegraph”. Serce uderza mi gwałtownie. Jest. Duży artykuł na drugiej stronie.

MATKA DZIEWCZYNY, KTÓRA ZGINEŁA WE WRZĄCEJ KĄPIELI, ODDAJE CIOS

Przeglądam go szybko. Zwykle drastyczne szczegóły przestępstwa, zdjęcie Sarah Evans, na które staram się nie patrzeć, i wypowiedź jej matki. „Nie rozumiem, jak można bronić takiego potwora...”

Poniżej dwa zdjęcia: moje i Tony’ego Gordona. Oboje się uśmiechamy. Niezbyt to stosowne w danych okolicznościach. No super... Skąd je wzięli? Z jakiegoś zawodowego profilu w domenie publicznej?

– Wygląda na to, że dali ci coś poważnego – mówi z dumą w głosie ojciec. Bez pytania nalewa mi dżinu i uzupełnia tonikiem.

– Skąd wiesz, że ten człowiek jest niewinny? – pyta cicho matka. Siedzi koło mnie na sofie, już z kieliszkiem w ręce, i patrzy melancholijnie przez okno, w stronę padoku widocznego zza ogołoconych z liści drzew.

Kiedy byłam mała, byłam jej oczkiem w głowie. Pamiętam, jak razem kucharzyłyśmy, tak jak ja piekę teraz ciasta z Carlą. Tuliłyśmy się i pieściły, i śpiewałyśmy piosenki. Chodziłyśmy na długie wyprawy w poszukiwaniu kasztanów. Potem jednak pojawił się Daniel i już nie było czasu na te zwyczajne rzeczy.

Skąd wiem, że Joe jest niewinny? Pytanie mnie zaskakuje.

Bo jest podobny do Daniela, mam ochotę powiedzieć. Bo nie potrafi się powstrzymać od mówienia prawdy, nawet jeśli jest przykra. I dlatego, że coś w środku mi mówi, że powinnam go ratować.

Wybieram odpowiedź, która jako jedyna brzmi sensownie.

– Pojawiły się nowe dane, z których wynika... – I urywam.

– Ona nie może o tym mówić. Wiesz o tym, kochana.

Ojciec jest na emeryturze (po Danielu nie był w stanie dłużej pracować), ale jako pracownik socjalny miał sporo do czynienia z prawnikami. Zna zasady. Dla mnie jednak nadal jest tatusiem. Kimś, kto czytał mi wieczorem bajki i uspokajał, że nikt się nie chowa pod łóżkiem.

– Zostaniesz na noc? – Znowu matka.

– Przepraszam, ale muszę wracać do Eda.

Ich rozczarowanie jest niemal dotykalne.

– Lunch już prawie gotowy. – Mama wstaje i po drodze do kuchni podnosi do ust kieliszek.

Posiłek jest torturą. Rozmawiamy o wszystkim, tylko nie o tym, dlaczego tu jestem. Mama wychyla kolejne kieliszki. Ja tymczasem dziobię zapiekankę rybną, ulubioną Daniela.

Później matka znika, „żeby odpocząć”. Ojciec wygląda na znużonego wysiłkiem, jaki wkłada w utrzymanie spokoju.

– Nie będzie ci przeszkadzało, jak trochę posiedzę na górze? – pytam.

Kiwa z wdzięcznością głową.

Schody skrzypią, tak samo jak wtedy, kiedy schodził nimi w środku nocy Daniel, a ja za nim, żeby się upewnić, czy wszystko dobrze. Jego pokój jest dokładnie taki, jak w chwili, kiedy go opuścił. Na półkach równo ustawione samochodziki, a obok zbiór wierszy *Złoty Skarbiec* Palgrave’a i stare egzemplarze komiksu *Beano*, do których nadal wracał jako nastolatek. Na ścianie plakaty skąpo ubranych modelek. Rzeczy starannie ułożone w szafie, głównie swetry i dziwaczne podkoszulki. Wyjmuję jeden i wtulam weń nos.

Z początku, kiedy to robiłam, czułam jego zapach. Ale z biegiem lat się ulotnił.

Nie mogę się powstrzymać i podchodzę do szafki, gdzie mój brat trzymał swoje „specjalne rzeczy”. Ułożone w nienaganny stosik albumy Brook Bonda z naklejkami z różnych dziedzin, od oceanów do gwiazd. Modele złożone z klocków Lego, nad którymi ślęczał całymi godzinami. Biada każdemu, kto by je tknął... Kiedyś, pamiętam, pani od sprzątanania „trochę je uporządkowała”. Dostała całkiem przyzwoity napiwek, żeby nie zgłosiła gdzie trzeba siniaka na rękę, który zawdzięczała mojemu bratu.

Z atencją wyjmuję jeden z tomów. Ten o ptakach. Daniel oszczędzał na te albumy swoje kieszonkowe. Godzinami starannie przyklejał każdy obrazek w zaznaczonej ramce, nie wychodząc poza linię ani o milimetr. Rudziki. Drozd. Kosy. Gołębie.

Szybko wsuwam album do torby. I dwa inne. Wyglądam przez okno na naszego starego kasztana,

Merlina, szczypiącego za domem skąpą zimową trawę. Powinna pójść się z nim przywitać. Przytulić twarz do jego nozdrzy. Ale nie czuję się jeszcze na tyle silna.

Od drzwi dobiega jakiś odgłos. Ojciec.

– Czekałem, żeby zamienić z tobą parę słów na osobności.

Serce mi zamiera. O co chodzi? Jaka zła wiadomość czeka na mnie tym razem?

– Jak tam sprawy małżeńskie? – pyta.

Waham się. To wystarczy, żeby wiedział.

– Rozumiem. – Wzdycha i mnie przygarnia. Znowu jestem nastolatką. Obolałą, w żałobie. – Pamiętasz, co ci mówiłem? Musisz zacząć od nowa. Zostawić przeszłość za sobą. Inaczej skończysz jak my.

Nie musi powtarzać mi jeszcze raz. Natychmiast przypomina mi się sytuacja sprzed niespełna roku, kiedy przyznałam mu się, że nie wychodzę za wiele i głównie przesiaduję w pracy.

– Musisz mieć jakieś życie towarzyskie – powiedział wtedy. – Zaczyna się nowe tysiąclecie, Lily. Pora zrobić krok naprzód. Daniel na pewno by tego chciał.

I właśnie wtedy moja współlokatorka zaproponowała, żebym poszła z nią na imprezę. Tę, na której poznałam Eda. Wprost nie wierzyłam, że ten wysoki, przystojny mężczyzna ze mną rozmawia, a potem jakimś cudem chce się ze mną umówić. Co on we mnie widzi? Zamierzałam odmówić. Tylko się rozczaruję.

Ale zarazem wydawało się to szansą na powrót do zdrowia.

– Czipsy? Taśma klejąca? Cukier? Ostre narzędzia? – rzuca strażnik.

Obserwuję Tony'ego Gordona. Najwyraźniej jest z tym wszystkim oswojony, tak jak i ja oswajam się coraz bardziej. Więzienie, powiedział, kiedy tu jechaliśmy, może ci się z czasem spodobać. Może też, dodał z ostrzegawczym błyskiem w oczach, być dziwnie uzależniające.

Już sobie z tego zdałam sprawę. A na razie przecinamy w ślad za strażnikiem podwórko, przechodzimy przez kilkoro drzwi i bram, idziemy długim korytarzem, mijając po drodze mężczyzn w zielonych dresowych spodniach, i przechodzimy do skrzydła D.

Plakat „Nadzieja” jest naderwany w prawym dolnym rogu. Joe Thomas siedzi z założonymi rękami, tak jakby to on nas wezwał.

– To jest Tony Gordon – mówię z przyklejonym uśmiechem, który ma ukryć zdenerwowanie. Po wizycie u rodziców na miejscu Joego widzę Daniela. Ta sama bystra twarz, która zarazem wygląda na bezbronną. To samo spojrzenie z ukosa, jakby oceniał, czy można człowiekowi zaufać, czy nie.

– Pański adwokat – dodaję niepotrzebnie, bo Joemu już o tym powiedziano.

– I co mi pan powie?

To ja, a nie Joe, jestem zakłopotana jego brakiem ogłady. Na Tony'ego jednak nie robi to wrażenia. Sprawnie odklepuje linię obrony – dane dotyczące firmy bojlerowej, propozycja przesłuchania Jonesów (sąsiadów, którzy zeznawali przeciwko Joemu) metodą krzyżowego ognia pytań, opinie biegłych – po czym przechodzi do zadawania naszemu klientowi dalszych pytań. Niektóre sama chciałam mu zadać, ale się nie ośmieliłam. Innych w ogóle nie brałam pod uwagę.

– Dlaczego zazwyczaj to pan napszczał wody do wanny, zamiast pozwolić Sarah, żeby zrobiła to sama? – Pytałam już o to, ale ciekawa jestem odpowiedzi. Może go na czymś złapiemy?

Jego spojrzenie mówi: „Przecież to oczywiste”. Tak samo patrzył na mnie, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy i mówił o swojej niewinności wobec Sarah.

– Bo musiałem. Po prostu.

Przypominam sobie to, co czytałam o rytualnej stronie zachowań obsesyjnych. Przemyka mi myśl: ciekawe, czy Tony napszcza wody swojej żonie. Nie żeby ją kontrolować, ale jako miły gest. Jakoś tego nie widzę.

– Czy pana zdaniem ma pan jakieś nawyki, które inni mogą uważać za dziwne?

Joe patrzy na Tony'ego wyzywająco.

– Co dla pana być może dziwne, dla mnie nie jest dziwne. I na odwrót. Moje nawyki są według mnie całkiem normalne. To moje zasady. Dzięki nim czuję się bezpieczny. Jeśli ktoś chce dzielić ze mną życie, musi je zaakceptować.

– Czy mówił pan o tym obronie na pierwszym procesie? – Tony spogląda w notatki. – Bo nic tu nie ma na ten temat.

Joe wzrusza ramionami.

– Adwokat uważał, że wypadnę na zbyt apodyktycznego. Że w oczach przysięgłych będę niesympatyczny.

– Czy podczas tej kłótni, kiedy Sarah wróciła do domu pijana, uderzył ją pan?

– Nie.

– Czy podkreślił pan temperaturę wody w bojlerze?

– Nie. Już o tym mówiłem. Ale woda nadal była gorąca, jak ją znalazłem, co świadczy, że wcześniej, kiedy odkręciła kran, musiała być niemal wrząca. Dlatego się poparzyłem, kiedy próbowałem ją wyciągnąć z wanny.

Pytanie następuje jedno po drugim, jakbyśmy już byli w sądzie. Trening przed rzeczywistym procesem.

Jeśli Tony'ego irytuje, że każda z tych odpowiedzi jest skierowana do mnie, nie pokazuje tego po sobie.

– W porządku – mówi, wstając. – Myślę, że teraz mamy dość materiału, żeby dać sobie radę.

– Myślę? – Po raz pierwszy, odkąd przyszliśmy, przenikliwie oczy Joego Thomasa celują w mojego kolegę. – „Myślę” nie wystarczy, żeby mnie stąd wyciągnąć. Niech mi pan wierzy.

– A pan niech wierzy mnie. – Brzmi to jak głucho warknięcie. Jak ostrzeżenie „zostaw moją piłkę”.

Przypomina mi to naszego starego psa, który zwykł kuśtykać obok Merlina.

Daniel miał obsesję na punkcie koni, więc kiedy przeprowadziliśmy się do Devon, rodzice po dłuższym molestowaniu kupili mu go od sąsiada. Dla tego spokojnego, ociążałego, zrównoważonego konia Daniel nie różnił się od innych ludzi. Od samego początku nawiązał z nim szczególną więź. To jego pierwszego trącał nozdrzami, kiedy przychodziliśmy rano do stajni, żeby mu podsypać obroku i wyrzucić gnój. Kiedy kolejno robiliśmy na nim przejażdżkę po wzgórzach, Merlin zdawał się szczególnie troszczyć o Daniela, który w rezultacie wyraźnie nabierał pewności siebie. Jeździliśmy konno nawet wzdłuż plaży. Kiedyś Danielowi pozwolono w ramach „specjalnego prezentu” wprowadzić Merlina tylnymi drzwiami do kuchni.

Gorzko-słodkie wspomnienia... To one sprawiają, że kiedy odwiedzam rodziców, nie chodzę na padok, a co dopiero do stajni.

Joe patrzy na mnie. W oczach ma niepokój. Chcę mu dodać otuchy, choć sama się boję. Wciąż mnie prześladowuje ta wiadomość spod drzwi. To nie jest czas, uprzedził mnie Tony, żeby mówić o tym klientowi.

– Jest dobry w swoim fachu – mówię szeptem do Joego, kiedy wychodzimy. – Jeśli ktoś może pana stąd wyciągnąć, to on.

I wtedy to robię.

Sięgam do torby i wyjmuję jeden z albumów z naklejkami mojego brata. Już wcześniej wiedziałam, że powinien być mały, tak żeby Joe mógł go wsunąć do kieszeni, choć zarazem mówiłam sobie, że wcale nie wiadomo, czy mu go dam. Może tylko pokażę. Sięgając po album, Joe muska dłońią moją dłoń. Przebiega mnie prąd. Tak gwałtowny, że z trudem utrzymuję się na nogach. Co ja robię?

Właśnie przekroczyłam granicę, co do której ostrzegał mnie szef i tutejszy strażnik. Popełniłam wykroczenie. Dałam więźniowi prezent, tylko dlatego, że przypomina mi brata. W moim rozumowaniu jest pełno skaz. Nie mogę już nic zrobić dla brata, więc zrobię coś dla innego człowieka. A przecież w

ten sposób ryzykuję całą moją karierą. Moim życiem...

Co do tego dotknięcia, było przypadkowe. Tak przynajmniej sobie mówię. Zresztą Joe patrzy w bok, jakby w ogóle nic się nie wydarzyło.

Kiedy po oddaniu przepustek wracamy z Tonym więziennymi korytarzami, cały czas jestem przekonana, że za chwilę zostanę wezwana z powrotem. Ktoś mnie poklepie po ramieniu. Zostanę pozbawiona prawa wykonywania zawodu. Sprawa będzie przegrana.

Dlaczego więc teraz, gdy wychodzimy główną bramą na zewnątrz, czuję ten radosny dreszcz?

– Poszło całkiem dobrze, mam wrażenie – mówi Tony Gordon, przegarniając dłońmi włosy, kiedy znowu jesteśmy na parkingu.

Wdycham głęboko świeże powietrze.

– Też tak myślę.

Po raz drugi w życiu zostałam przestępczynią.

Carla

Carla! Carla! Chodź się bawić! Chodź się bawić!

Dziewczynka podskakująca przed nią na placu zabaw miała wystające przednie zęby z grubą srebrną klamrą i uszy, które sterczały jej po obu stronach głowy, jakby Pan Bóg umieścił je tam pod niewłaściwym kątem.

Gdyby to było w starej szkole, wyśmiewaliby się z niej bez litości, pomyślała Carla. Tu była jedną z najpopularniejszych w klasie! A co ważniejsze, była naprawdę miła dla wszystkich. Włącznie z Carlą.

Kiedy Carla przyszła tu po raz pierwszy, była tak przerażona, że ledwie mogła poruszać nogami. Była nowa w klasie! Rok szkolny zaczął się dawno temu. Wszyscy się znali. Po prostu muszą ją znienawidzić... Ale zaledwie przekroczyła bramę klasztorną z patrzącą w dół figurą Matki Boskiej, uspokoiła się.

Nikt tu nie pluł. Nikt nie mazał po ścianach. Nikt nie przedrzeźniał jej włoskiego akcentu. Mało tego, dziewczynka z klamrą na zębach, obok której posadzono ją w klasie, powiedziała, że jej tatuś przyjechał dawno temu z Włoch!

– A mój tatuś jest z aniołkami – zwierzyła się jej Carla.

– Biedna jesteś. – Od tej pory jej nowa koleżanka bardzo się troszczyła, żeby miała się z kim bawić na przerwie. To tak, jakby spełniły się wszystkie jej marzenia! Carla z radością przyłączyła się do skakania przez sznur.

Nawet zakonnice-nauczycielki były miłe, chociaż w tych czarnych powiewających płaszczach wyglądały jak wiedźmy w książce, którą właśnie czytała. Od razu doceniły, że Carla wie, kiedy należy się przeżegnać podczas porannego apelu. „Jaki śliczny głosik” – powiedziała jedna, o miłej, łagodnej twarzy, kiedy usłyszała, jak Carla śpiewa *Pan jest moim pasterzem*, choć głos jej troszkę drżał. A kiedy utknęła przy jakimś długim dzieleniu, inna zakonnica usiadła przy niej i dokładnie wytłumaczyła, co należy zrobić.

– Rozumiem – westchnęła z ulgą Carla. Teraz to wszystko miało sens!

Nikt nie mówił, że jest głupia. Albo zbyt powolna.

Były tylko dwa problemy.

– Teraz jesteśmy kwita – szepnął Larry, kiedy przyszedł wczoraj wieczorem. – Musiałem użyć wielu wpływów, żeby cię umieścić w tej szkole. Więc żebyś mnie o nic więcej nie prosiła. Rozumiesz?

Czy nowa szkoła równa się pani w samochodzie, która nie jest mamą? Carla nie była pewna. Nie było to działanie arytmetyczne, o które mogłaby spytać nowe nauczycielki.

Drugi problem był mniejszy, ale coś trzeba było z tym zrobić. Nikt w tej szkole nie miał Charliego! Piórniki-gąsienice były tu przebojem w zeszłym roku. Teraz wszyscy mieli piórniki w kształcie Kitty. Z różowego futerka, z plastikowymi oczkami, które się poruszały, i prawdziwymi wąsami z plastiku.

Żebyś mnie o nic więcej nie prosiła, powiedział Larry. Ale ona musi mieć Kitty! Inaczej znów będzie Inna, przez duże I.

– Jakby mój tatuś żył, toby mi kupił – zwierzyła się nowej koleżance, Marii, gdy jadły zupę, zważając, by przechyłać miseczkę od siebie, tak jak je uczono. Była tu normalna jadalnia, z drewnianymi stołami, a nie chyboczącymi się plastikowymi. Musiały też siedzieć grzecznie i czekać, aż wszyscy zostaną

obsłużeni. Jeść trzeba było z zamkniętymi ustami, a nie otwartymi. I zamiast lunchu jadły obiad.

Maria się nachyliła, przy czym zakołysał się złoty krzyżyk, który miała na szyi, i przeżegnała się.

– Od jak dawna twój tatuś jest w niebie?

– Odkąd się urodziłam. – Carla rzuciła kolejne tęskne spojrzenie na różowy piórnik koleżanki na jej kolanach. Krążyły nawet pogłoski, że siostra Mercy też ma taki u siebie w biurze.

– Wiesz, on złamał obietnicę – dodała nagle, choć normalnie nie dzieliła się tym z innymi.

– Jaką obietnicę?

– Chyba taką, że będzie żył.

Nowa koleżanka pokiwała ze współczuciem głową.

– Ja sobie złamałam rękę w zeszłym roku. To boli. – I dotknęła lekko jej dłoni. – Mój wujek dał mi Kitty na urodziny, bo nie wiedział, że już mam. Tak że mam w domu zapasową. Mogę ci dać, jak chcesz.

– Naprawdę? – Carla poczuła radosne podniecenie, które natychmiast opadło. – Ale wszyscy pomyślą, że go ukradłam.

– Dlaczego mieliby tak pomyśleć? – Maria zmarszczyła brwi. – Jak pomyślą, to powiem, że to prezent ode mnie. Kiedy masz urodziny?

Carla bardzo dobrze wiedziała. Czyż nie odkreślała dni w kalendarzu, który wisiał w kuchni? Tym, w którym były zdjęcia miasteczka, gdzie mieszkał nonno, z uliczkami brukowanymi kocimi łbami i fontanną pośrodku placu.

– Dziewiątego grudnia – odparła szybko.

– To już niedługo! – Nowa koleżanka uśmiechnęła się, szczerząc kłamy. – Więc to może być prezent. Ja na urodziny dostałam rower.

Maria dotrzymała słowa. Już nazajutrz przyniosła nowiutki piórnik w kształcie kotka-dziewczynki, z mięciutkiego różowego futerka, z poruszającymi się czarnymi oczkami.

– Kitty! Moja własna Kitty! – Jaka miękka. Jaka ciepła. Jaka miła, kiedy ją przytulić do policzka. I jaka modna!

Charlie się zachmurzył. No dobrze, dobrze, ale powinien był z nią więcej rozmawiać, tak jak dawny Charlie. Pora zrobić krok naprzód. Teraz będzie taka jak wszyscy!

Po obiedzie mieli wychowanie plastyczne. W tej szkole było więcej kredek i farb. Carla uwielbiała ten przedmiot! Może jak będzie się bardzo starać, to kiedyś zostanie prawdziwą artystką, taką jak Ed?

W tej chwili jednak robiły kolaż. Wycinały z kolorowych czasopism różne obrazki i przyklejały je na wielki arkusz papieru. To miało być na adwentową wystawę, na którą zaproszono wszystkich rodziców. Nawet mamma się starała, żeby dostać w pracy wolne.

– Czy mogę dostać nożyczki? – spytała Carla od niechcienia.

Zakonnica – jedna z młodszych – ostrożnie podała jej żądany przedmiot, ostrzem nie w jej stronę.

– Tylko uważaj, kochanie, dobrze?

Carla poczęstowała ją jednym ze swoich najładniejszych uśmiechów.

– Oczywiście, siostrze Agnes.

Chwilę zaczekała, po czym podniosła rękę.

– Przepraszam, czy mogę pójść do toalety?

Siostra Agnes, zajęta, bo właśnie wycinała innej uczennicy Maryję, skinęła głową. No to do rzeczy!

Szybko złapała jedną ręką Charliego, a drugą nożyczki i wstrzymując dech, pobiegła korytarzem w stronę toalet. Zamknęła się w jednej z kabin i odcięła Charliemu głowę. Nie wydał żadnego głosu, chociaż jego twarz, oddzielona od reszty ciała, patrzyła na nią z wyrzutem. Potem przecięła tułów na połowę. Nadal żadnego dźwięku. W końcu wepchnęła trzy kawałki zielonego futra do pojemnika z napisem „Sanitaria”. (Nikt nie wiedział, co to dokładnie jest, choć krążyły pogłoski, że starsze dziewczynki umieszczają tam krew, która jest karą za grzechy, jak na przykład całowanie się z chłopakami).

Na zakończenie pociągnęła za łańcuszek, żeby wyglądało, że „skorzystała”, umyła ręce i trzymając

nożyczki tuż przy układanej brązowej spódnicy, wróciła do klasy. Wsunęła się z powrotem na swoje miejsce i zaczęła wycinać Dzieciątka w żółtku.

Po chwili stanęła w kolejce po kolejny obrazek ze stosu czasopism i gazet na stole.

– Co znaczy to słowo? – spytała dziewczynka, która stała przed nią. Wskazywała na zdjęcie chłopca, pod którym było napisane: „Morderstwo”.

Carla nastawiła uszu. Podobało jej się, że w tej szkole zachęcano do zadawania pytań. Nikt się nie śmiał. Można się było wiele nauczyć.

Siostra cmoknęła.

– Ojej... Nie powinno tu być tej gazety. Daj, to wyrzucę.

– Morderstwo – przeczytała na głos dziewczynka, która stała na początku kolejki. – Trudne słowo.

– A co to znaczy? – spytała inna.

– Morderstwo, kochanie, jest wtedy, kiedy ktoś odbiera życie komuś innemu. Tak jak odebrano życie Panu Jezusowi. To grzech. Ciężki grzech.

Dziewczynki zamilkły wstrząśnięte. I w tej ciszy Carla usłyszała własny głos:

– Czy to musi być życie człowieka?

Siostra Agnes pokręciła głową.

– Nie, kochanie. To dotyczy wszystkich istot, które stworzył Pan Bóg. Popatrz na świętego Franciszka, jak się troszczył o każdą, nawet najmniejszą istotę.

Carla zamarła. A więc to dotyczyło także Charliego... Przecież był żywą istotą. Zamordowała nowego Charliego, tylko dlatego, że był „niemodny” i że koleżanka jej współczuła!

– A czy można coś zrobić, żeby przeprosić za morderstwo? – spytała cichutko.

Czoło siostry Agnes pokryło się zmarszczkami.

– Można się modlić. – Po czym westchnęła. – Ale są zbrodnie, których Pan Bóg nie może nam odpuścić. – Przekleństwo. – Zapamiętajcie to sobie, dziewczynki. Mordercy idą do piekła.

Odtąd zaczęły się nocne koszmary. Czasem Carla widziała we śnie nowego Charliego, jak pełza po niebie w trzech kawałkach, a głowa ogląda się, szukając swojej końcówki. Czasem się w nią wpatrywał. „Zamordowałaś mnie. Zamordowałaś mnie”.

Czasem był to stary Charlie, co było jeszcze gorsze.

– Co się dzieje, malutka? – pytała mamma. – Przecież dobrze się czujesz w tej szkole, tak?

Kiwała głową.

– Bardzo dobrze.

– Koleżanki są dla ciebie miłe. – Mamma wzięła do ręki różowy piórnik w kształcie kotka, który Carla miała włożyć do torby. – Dają ci prezenty. A zakonnice uczą cię dobrych manier. Przestań wreszcie tak przeżywać dawną szkołę. Dzięki Larry’emu to już przeszłość.

Skoro mamma uważa, że jej koszmary dotyczą starej szkoły, to nie ma co wyprowadzać jej z błędu. Tak przynajmniej powiedziała jej Kitty. *Teraz ja jestem twoją przyjaciółką. Musisz przestać się martwić o Charliego.*

Więc Carla próbowała. Ale łatwiej było powiedzieć, niż zrobić.

Wcześniej zauważyła, że kiedy nauczyła się jakiegoś nowego słowa, to zaczynało się pojawiać wszędzie. I to samo było z tym. Morderstwo. Zaczynała je dostrzegać w gazetach, które ludzie czytali w autobusie. Słyszała je w telewizji. I powracało w jej snach, co noc.

Na razie musiały rano jeździć wcześniejszym autobusem, tak żeby mamma zdążyła do pracy przed wszystkimi i mogła sobie pożyczyć parę nowych szminek, żeby je „wypróbować w domu”.

Któregoś ranka o tej samej porze jechała Lily! Carla nie posiadała się z radości.

– Podoba ci się mój nowy mundurek? – spytała, wygładzając brązowy blezerek. – Trzeba go było

kupić w specjalnym sklepie i kosztował dużo pieniędzy. Na szczęście Larry...

Mamma cmoknęła.

– Nie zwracaj Lily głowy. Nie widzisz, że pracuje?

– Nie szkodzi. – Lily odłożyła plik papierów na kolana i uśmiechnęła się do Carli ślicznym uśmiechem, który obejmował także mamę. – To tylko praca domowa, taka, jaką i ty odrabiasz.

Carla zerknęła w papiery.

– Czy to arytmetyka? Mogę ci pomóc, jakbyś chciała. W starej szkole nic nie rozumiałam, ale teraz zakonnice mi wytłumaczyły i...

Urwała.

– Co się stało? – spytała mamma.

Ale Lily wiedziała, na pewno. Szybko odłożyła papiery do torby. Było jednak za późno. Znowu to okropne słowo...

Morderstwo.

Co ono robi w pracy domowej Lily?

Czy to znaczy, że jej przyjaciółka kogoś zabiła? Prawdziwego człowieka? A nie tylko piórnik?

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

– Nie wszyscy mili ludzie są tacy dobrzy, na jakich wyglądają – powiedziała niedawno na apelu matka przełożona. – Bywa, że w ich skórę wśliznął się szatan. Wszyscy musimy być czujni.

Carla nie wiedziała, co to znaczy „czujny”, dopóki nie sprawdziła w *Słowniku dla dzieci*. Odsunęła się lekko. Czy to możliwe, że Lily, która piekła z nią ciasta i pozwalała jej wylizywać miskę, tak naprawdę była zła? Może dlatego stale się kłóci z Edem? Bo on też uważa, że jest zła?

– O co chodzi? – powtórzyła mamma.

– O nic. – Carla spojrzała przez okno w stronę parku, gdzie z drzew opadły już ostatnie żółte i czerwone liście i polatywały teraz nad moką, zabłoconą trawą.

Nagle Lily wcale nie wydawała się już taka miła.

Może – co za straszna myśl – była dla niej taka miła, żeby jej zrobić krzywdę?

Odtąd w niedziele zaczął Carle boleć brzuch.

– Chcę zostać w domu – powiedziała do mamy za pierwszym razem.

– Ale Lily i Ed czekają na ciebie.

Carla przekręciła się na bok i jęknęła.

– Lily zawsze odrabia swoje lekcje, a Ed każe mi siedzieć bez ruchu, żeby mnie rysować. Nie chcę tam iść.

Mama prosiła i namawiała, ale nic z tego. *Nie ustępuj* – szeptała Kitty, zataczając czarnymi paciorkami oczu. *W końcu ci uwierzy. O, słyszysz? To już działa. Rozmawia przez telefon z Larrym i mówi, że nie może się z nim zobaczyć, bo jesteś chora.*

Po południu Carla poczuła się na tyle dobrze, że wyszły do parku. Ale mama nie była zbyt szczęśliwa.

– Jakoś szybko ci przeszedł ten ból brzucha – zauważyła. – Możesz już nawet podskakiwać...

Ale w następną niedzielę brzuch znowu Carle rozboleł. Tym razem, pomimo że była chora, przyszedł Larry. Z poważnym wyrazem twarzy przysiadł na brzegu jej łóżka.

– Jak myślisz, co by ci mogło pomóc na brzuch? – spytał cicho.

Może rower, podpowiedziała leżąca obok Kitty. *Różowy*.

– *Może rower* – powtórzyła Carla. – *Różowy*. Z dzwonkiem. I z koszyczkiem.

Larry skinął głową.

– Zobaczmy, jak to będzie na twoje urodziny, dobrze? We wtorek.

Carle ścisnęło w gardle.

– Skończysz dziesięć lat, zdaje się.

Skinęła głowę.

– Będiesz już na tyle duża, żeby przestać się bawić w dziecinne gierki. – Głos Larry'ego był cichy, ale zdecydowany. – Od tej chwili koniec z głupstwami. Słyszysz?

Lily

Grudzień 2000

Pomimo że dzielnie powiedziałam do męża: „Dziękuję, sama potrafię o siebie zadbać”, jestem wstrząśnięta tamtym anonimem i wszystkim, co zaszło od tamtej pory. Kiedy szłam dziś do autobusu, złamałam daną sobie obietnicę. Coś mnie zmusiło, żeby się obejrzeć. W te mroźne zimowe poranki jest jeszcze ciemno i bez problemu można się zacząć w krzakach.

Ale nikogo nie było.

Od jakiegoś czasu nie widuję też Carli. Mam nadzieję, że już jej lepiej z tym brzuchem. Brakowało nam jej z Edem w niedzielę. Brakowało bufora pomiędzy nami, pretekstu, dzięki któremu nie musimy ze sobą rozmawiać. I brakowało jej w roli muzy Eda – ten ostatni portret jest naprawdę dobry – co pozwalało mi spokojnie pracować nad moją sprawą.

Mało mam teraz w życiu czasu, żeby zajmować się czymkolwiek innym.

– Sąd wydał zgodę na wznowienie procesu – zadzwonił z wiadomością Tony Gordon. – Już ustalili termin. – W jego głosie była ekscytacja, ale i trochę obawy. – Marzec. Nie pozostawia nam to zbyt wiele czasu, ale nadganiają zaległości. Przygotuj się do wykreślenia świąt ze swojego grafiku.

Podejrzewam, że nie żartuje. To już niedługo... Na ostrokrzewach, kiedy przechodzę koło nich co rano, pokazało się mnóstwo czerwonych jagód. Czerwonych jak krew. Czerwonych jak gniew. Czerwonych jak kurtka, którą miał na sobie Daniel tamtego ranka.

– Boże Narodzenie jest jak pole bitwy, na którym rozrzucono bakaliowe babeczki – powiedział raz mój brat. Myślałam, że gdzieś to usłyszał, ale powiedział tak, jakby sam to wymyślił.

Tak czy owak, miał rację. Ed chce, żeby odwiedzić w święta jego rodziców. Ja – żebyśmy pojechali do moich.

– Nikogo poza tym nie mają – podkreślam. Jeszcze nie doszliśmy do porozumienia.

Mówiąc to, zastanawiam się, jak spędzi tak zwany okres świąteczny Joe Thomas. Czy ktoś go odwiedzi? Żałuję też – ponieważ – że na ostatnim spotkaniu dałam mu te stare albumy Daniela. Przekroczyłam granicę. Co we mnie wstąpiło?

Dzisiejsza wizyta musi być inna.

Oczy Joego Thomasa ciskają ogień. Przypomina mi tygrysa. „Tygrysie, błysku w gąszczach mroku...”^[1] Jeden z ulubionych wierszy Daniela. Niemal krztusi się, mówiąc.

– Ktoś podłożył pani pod drzwi kartkę z pogrozkami?

Dziś rano, w drodze do więzienia, Tony powiedział, że pora to ujawnić.

– Teraz, kiedy mamy ustalony termin, musimy go przycisnąć – powiedział, zaciskając usta. – Popchnąć sprawę naprzód. Sprowokować go, żeby sprawdzić, czy da się z niego wycisnąć więcej. Czy w tym, co mówi, są jakieś luki.

I to działa. Joemu napinają się mięśnie szczęki. Dłonie, spoczywające na stole pomiędzy mną a Tonym, zaciskają się w twarde, przypominające kule armatnie pięści. Plakat „Nadzieja” osuwa się ze ściany.

– Co na niej było?

– „Jeśli spróbujesz pomagać temu człowiekowi, pożałujesz”.

Tony wymawia każde słowo bardzo wolno, jakby dzieliła je rozległa przestrzeń.

– Powiniennem dodać – mówi, śmiejąc się półgębkiem – że nie było to napisane zbyt poprawnie.

– Proszę zostawić to mnie. – Oczy Joego, jeśli to możliwe, robią się niemal czarne. Czytałam, że oczy mogą zmieniać kolor, ale zawsze traktowałam to jak poetycką przenośnię. Ale oto mam przed sobą przykład. – Wypuszczę macki.

Tony kiwa głową.

– Dziękuję.

Więc to dlatego, uświadamiam sobie nagle. Tony chce się dowiedzieć, czy Joe ma kontakty na zewnątrz. Grając na tym, co już określił jako „oczywista sympatia, jaką ma do ciebie klient”, uzyskał potwierdzenie własnych podejrzeń.

– Jak jeszcze pańskie „macki” mogłyby nam pomóc wygrać sprawę? – pyta Tony, przechylając się ku Joemu. Metalowy stolik się chwieje, jedna z nóg zaczepia o moją i robi mi oczko w rajstopach.

Joe Thomas momentalnie się prostuje.

– O co panu chodzi?

– Te liczby, które dostał pan pocztą – mówi Tony cicho – pochodzą od jakiejś wtyczki, prawda? Kogoś, kto pracuje w gazownictwie albo w firmie bojlerowej, albo gdzieś indziej w przemyśle. Płaci im pan czy mają wobec pana zobowiązania?

Twarz Joego Thomasa to studium braku jakichkolwiek emocji. Widywałam to na płótnach męża. Zarys. Nic poza tym. Potem Ed wpisuje weń uczucia: wygięcie brwi, które sugeruje niedowierzanie lub rozbawienie, linię warg, która może świadczyć o irytacji lub tęsknocie. Nic z tych rzeczy nie pojawia się na twarzy Joego.

– Dlaczego miałbym to robić? – pyta. – I dlaczego pan zakłada, że jeśli tak jest, chociaż nie jest, to panu o tym powiem?

– Ponieważ – mówi ostro Tony – musi pan nam pomóc, jeśli chce pan pomóc sobie samemu. Daję panu czas, żeby pan o tym pomyślał, Joe. Kiedy przyjdę następnym razem, chciałbym, żeby mi pan powiedział, kto jest pańską wtyczką. Wtedy będziemy mieli szansę wygrać pańską sprawę. A zanim zacznie się pan rozwodzić na temat złodziejskiego honoru, chcę pana o coś zapytać. Naprawdę chce pan tu spędzić kolejne święta?

Omiata spojrzeniem pusty pokój, napis „Nie zdejmować” obok zegara na ścianie i popękane linoleum na podłodze.

– Bo ja bym nie chciał na pańskim miejscu.

Kiedy wychodzimy, rzucam Joemu spojrzenie typu „przykro mi”. Nie mogę się powstrzymać. Jego reakcja na wiadomość o kartce z pogrózkami przekonała mnie ostatecznie, że jest niewinny. Takich rzeczy nie sposób zagrać.

– Dziękuję za obrazki – szepcze, kiedy go mijam. Zamieram. Mam nadzieję, że strażnik, który stoi w otwartych drzwiach, nie słyszał...

– Nie dostaję tu zbyt wielu prezentów.

Nie odważam się odpowiedzieć.

Po czym Joe opuszcza wzrok na moje nogi i zauważa lecące oczko. Marszczy brwi.

– Musi pani coś z tym zrobić. – I odchodzi w przeciwną stronę, tak jakby spotkała go z mojej strony osobista obraza.

Na uginających się nogach ruszam za Tonym. Mijamy gapiących się mężczyzn. Marzę, żebym mogła wyglądać równie pewnie, jak mój kolega, mieć takie same wyprostowane plecy i hardą, wyzywającą minę.

Kiedy zwracamy przepustki, wciąż jeszcze się trzęsę.

– Bardzo dobrze się trzymasz – mówi Tony, kładąc mi przelotnie rękę na ramieniu. – Więzienie to niełatwa sprawa. Nie martw się. Nawiazaliśmy już z Joem porozumienie. Nie musisz mi już towarzyszyć na kolejnych wizytach. Następnym razem zobaczysz tego człowieka, jak wszyscy spotkamy się w sądzie.

Oglądam się na wysoki mur ze zwojami drutu kolczastego, nadal widoczny przez okno. Nie widzieć się z Joem aż do rozprawy? Czuję irracjonalne rozczarowanie. Ale jest coś jeszcze. Pomyśli, że mi na nim nie zależy... I nagle zdaję sobie sprawę, że mnie zależy. Bardzo.

Joe Thomas to moja szansa, by uratować niewinnego człowieka.

Aby zrekompensować to, że nie uratowałam Daniela.

Telefon dzwoni, kiedy siedzę po uszy w papierach. Nie w tych, w których powinnam: dotyczących rozmaitych defraudacji, pobić i włamań do sklepu, które podrzuca mi szef na i tak już przeładowane biurko. W papierach Joego.

Bardzo dobrze, że Tony, jak powiedział, przejmie odtąd wizyty w więzieniu, ale ja muszę pilnować sprawy tu, w kancelarii. Im więcej informacji mu dam, tym lepiej! A jest ich coraz więcej. Każdego dnia poczta przynosi nowe listy od ludzi, którzy dowiedzieli się z gazet o wznowieniu procesu. Jakaś kobieta potwornie się poparzyła pod prysznicem („powiedzieli, że to moja wina, bo nie sprawdziłam przedtem temperatury, ale była ustawiona tak jak zawsze, a bojler był świeżo po przeglądzie”). Jakiś mężczyzna do końca życia będzie miał twarz w bliznach („byłem pijany, kiedy odkręciłem wodę, więc jak się poparzyłem, pomyślałem, że to moja wina”). Jakiś ojciec już-już miał włożyć malucha do kąpieli, przy czym wcześniej zadbał, żeby odkręcić także kurek z zimną wodą, no i okazało się, że leci z niego woda tak samo gorąca, jak z czerwonego. Podobno jakaś część bojlera była wadliwa.

Sprawa nabiera tempa, a wraz z tym rośnie gorączka mediów. Wciąż dzwonią dziennikarze, prosząc o najnowsze informacje – wszystko, co doleje oliwy do tego, co może się stać ogólnokrajowym skandalem.

Przed chwilą po prostu odłożyłam słuchawkę, bo dzwoniła jakaś wyjątkowo uparta dziennikarka. Kiedy więc po paru sekundach telefon znowu dzwoni, myślę, że to ona.

– Tak? – rzucam nieprzyjaźnie i zdaję sobie sprawę, że zaczynam się robić podobna do szefa. Nie jest to myśl, która sprawiałaby mi przyjemność.

– Twój Joe Thomas wywiązał się z obietnicy – słyszę niski, aksamitny głos Tony’ego Gordona. – Mamy go. Autora twojego anonimu.

Zasycha mi w ustach. Trudno sobie wyobrazić napastnika, który nie ujawnił swojej twarzy. Kogoś, kto prześladowuje cię w snach, tak że budzisz się z krzykiem.

– Kto to jest? – pytam.

– Wuj ofiary.

Ofiary! Co za zimne, twarde słowo. Spoglądam na leżące przede mną materiały. Uśmiecha się z nich do mnie Sarah Evans. Była człowiekiem. Kobieta, która dzieliła z Joem Thomasem łóżko. Może i był dziwakiem, który ma nadmierną potrzebę kontroli. Może i się odkochała. A może nie była pewna, jakie są jej uczucia wobec tego mężczyzny. Tak jak ja mam mieszane uczucia wobec Eda.

Ale zasługuje przynajmniej na imię.

– Masz na myśli Sarah?

Tony Gordon ma rozbawiony głos.

– Też byłem kiedyś taki jak ty. – Po czym poważnieje. – Pozwól, że dam ci radę, Lily. Nie angażuj się zanadto w sprawy, które prowadzisz. Jeśli tak się stanie, to stracisz kontakt z realnym światem, a wtedy wszystko zrobi się troszkę poplątane.

Naprzeciwko widzę szefa w jego przeszklonym boksie. Trzyma w ręce telefon i gwałtownie gestykuluje w moją stronę.

– Muszę iść – mówię.

– Facet dostał ostrzeżenie. Ale i tak nalegam, żebyś na siebie uważała. Ten przypadek uruchomi lawinę pozwów. Sprawimy przykrość wielu ludziom, włącznie ze świrami, których nigdy nie brakuje. Rozumiesz? Zaczynaj chodzić do pracy inną drogą. Zamykaj porządnie mieszkanie. Postaraj się, żeby ten twój mąż dbał o ciebie.

Nie śpię. Nie jem. Prawie nie rozmawiam z Edem. Nie ma kiedy.

Nasza wcześniejsza intymność zginęła pośród tych maniackalnych przygotowań do zbliżającej się rozprawy. Wracam z pracy coraz później, zwłaszcza teraz, gdy Regent Street jest świątecznie rozświetlona, a ruch jest wolniejszy, bo wszyscy się gapią. Nie mówimy już z Edem o tym, co chciałby na kolację. Oboje przyjmujemy milcząco, że coś tam sobie robi. Przynajmniej znowu przestał pić. Jak mówi, chce mieć „jaśniejszą głowę”, kiedy wieczorem maluje. To dlatego zdecydowałam, że nie powiem mu o ostrzeżeniu Tony’ego. Tak przynajmniej tłumaczę sobie samej. Nie chcę, żeby się martwił albo rozpraszał.

– Dzwoniła twoja matka – oznajmia Ed, gdy wracam któregoś wieczoru tuż przed jedenastą. Mówi to tonem męża, którego żony prawie nie ma w domu i która zasługuje jedynie na koleżeńskie cmoknięcie w głowę, a nie na porządny pocałunek.

– To pilne – dodaje i wraca do kuchennego stołu. Wszędzie leżą jego rysunki. Dziewczynka okręcająca sobie włosy na palcu. Podskakująca w parkowej alejce. Przeskakująca przez kałużę. Czytająca książkę, z niedbale narzuconym na ramiona swetrem. Przyrządzająca coś w kuchni. I kolejna dziewczynka – a raczej kobieta – o pozbawionej emocji twarzy, czekającej na ożywienie. Wszystko to szkice do późniejszego malowania akrylami, które ma zamiar wkrótce rozpocząć.

Nieoczekiwanie czuję szarpnięcie zazdrości. Też bym chciała mieć czas na twórcze pasje, tak jak mój mąż. A tymczasem utknęłam. Utknęłam w czymś, co mnie przerasta: w sieci prawd i kłamstw, które ja, z moim ograniczonym doświadczeniem, mam rozplątać... I nie ja jedna tak mam. Inna świeżo upieczona prawniczka biedzi się ostatnio nad jakąś sprawą rozwodową, nie za bardzo wiedząc, jak ją ugryźć. Współczuję jej klientce.

Mama odbiera niemal natychmiast. W wyobraźni znowu jestem w domu. Mama przystroiła już hol świecidełkami oplecionymi wzdłuż poręczy, z żyrandola w kształcie koła od wozu zwisa jemiola, za obrazki wiszące wzdłuż schodów (w tym pastelowe portrety Daniela i mnie, kiedy byliśmy dziećmi) pozatykane gałązki ostrokrzewu. Na nienakrytym jeszcze stole w jadalni porozstawiane różne drobiazgi i bibeloty, aby ukryć jego chwilową pustkę. Świątecznie przybrany dom czeka na mnie, bo poza jedynym dzieckiem moi rodzice nie mają nikogo.

Waga odpowiedzialności, jaka na mnie spoczywa, ciąży w moich słowach.

– Przepraszam, że tak późno, ale byłam w pracy.

Spodziewam się, że powie, tak jak zawsze, że za dużo pracuję. Że świeżo poślubione małżeństwo powinno więcej czasu spędzać razem. Ale zanim jeszcze usłyszę jej pęknięty głos, wiem, że coś się stało.

– Co się stało? – wyrzucam z siebie chrypliwie.

Po Danielu miałam dziwne uczucie ulgi, że nic strasznego – naprawdę strasznego – nie może się już więcej wydarzyć. Krótco potem słyszałam w radiu kobietę, która mówiła, że po tym, jak córka zginęła w wypadku, wie, że nie musi się już martwić o syna, który przeżył, bo jej najgorsze obawy już się spełniły.

Ja też tak się czułam, dopóki nie usłyszałam głosu mamy.

– Coś z tatą? – pytam z trudem.

Przez chwilę widzę go w wyobraźni, jak leży u podnóża schodów. Potknął się i spadł. Miał atak serca.

– Nie, tato ma się dobrze. Ja też.

Ulga spływa po mnie falą potu. Ed tymczasem nachyla się nad kobietą o pozbawionej wyrazu twarzy, ale w taki sposób, że podejrzewam, że słucha.

– To co się stało?

– Chodzi o Merlina. Wiesz... Merlin nie żyje.

Wspieram się o krawędź stołu, żeby nie upaść. Ed wyciąga do mnie rękę. Chwytam ją z wdzięcznością.

– Był już stary... – zaczynam.

– Weterynarz mówi, że wygląda na to, że jego pasza była zatruta – mówi, łkając, mama.

– Zatruta?

Matka ma zdławiony głos.

– Znaleźliśmy go na padoku. Na drzwiach stajni była kartka.

Kartka... Zaczynam się trząść. Głód, który czułam, gdy przyszłam do domu, zniknął.

– Co na niej było? – pytam. Ale już wiem.

– Było napisane: „Powiedzcie swojej córce, żeby zostawiła sprawę”. – W głosie mamy narasta udreka. – To ta, o której nam mówiłaś? W związku z tym bojlerem, co to pisali w gazetach?

Ed nachyla się, wyraźnie zatroskany. Na tyle, że upuścił na podłogę szkicownik.

Powoli odkładam telefon. Nie tylko dlatego, że Merlin to była – oprócz rodziców – ostatnia nitka łącząca mnie z Danielem. Ani z przerażenia, że ktoś śledzi moją rodzinę. Czyżby wuj Sarah Evans? Bądź co bądź, napisał poprzednią kartkę.

Nie. Odkładam telefon, wstrząśnięta, bo otwarty szkicownik Eda ujawnia prawdę w całej okazałości. Myślałam, że dziewczyna o pozbawionej wyrazu, czekającej na ożywienie twarzy to Carla. Tymczasem z dywanu śmieje się do mnie Davina, z tą wspaniałą burzą zwycięsko odrzuconych do tyłu włosów.

Carla

Carla nie miała urodzinowego przyjęcia, tak jak inne dziewczynki w szkole. Mamma powiedziała, że w mieszkaniu jest za mało miejsca. Ale za to spójrzcie tylko, co jej kupił Larry!

W holu stał najpiękniejszy różowy rower, jaki w życiu widziała. Błyszczał niemal tak samo, jak samochód Larry'ego. Miał dzwonek, tak jak sobie życzyła, i mały koszyczek. Kiedy jechała nim po parku, to po prostu śmigąła!

– Masz smykałkę – powiedział Larry. Ale się nie uśmiechał, kiedy to mówił.

W następną niedzielę telefon zadzwonił dwa razy w ciągu godziny.

– Jak odbieram – powiedziała ze zdziwieniem mamma – to nic nie słyhać. Może jest zepsuty? Następnym razem ty odbierz.

Odebrała. Z początku nic nie słyszała. I właśnie gdy miała odłożyć słuchawkę, usłyszała. Dyszenie.

Odtąd znowu zaczął ją boleć brzuch.

– Nie chcę iść do Lily i Eda – wymamrotała.

Mamma przeczesowała włosy dłońmi.

– Niepotrzebnie się martwisz tymi telefonami. Na pewno jakieś dzieciaki robią sobie głupie żarty. Jak pójdziesz do Lily, to na pewno ci przejdzie. Przecież to twoja przyjaciółka.

Carla się rozpłakała.

– Nie pójdę. Jestem chora...

– Jesteś niegrzeczna, wiesz? – Mamma była wyraźnie zła.

Kiedy przyszedł Larry, Carla wciąż leżała na sofie. Słyszała, jak szepczą w holu.

– Zmyśliła to... jestem pewna... zawsze w poniedziałek jej lepiej... tylko tak mówi, że jest chora... nie ma temperatury... po prostu się wygłupia...

Jaka ona była zmęczona. Myśli zaczęły odpływać...

Z początku było to przyjemne, kojące. Potem się jej wydało, że słyszy odległy dzwonek. I wtedy w głowie zaczęło jej pulsować to słowo, całkiem jakby dotąd było ukryte, a teraz się pojawiło, żeby ją dręczyć.

Morderstwo!

Morderstwo!

To było to okropne słowo, które widziała w papierach Lily.

W miarę jak o tym myślała, coraz bardziej była przekonana, że Lily chce skrzywdzić i ją. Tak chciał Pan Bóg, bo zabiła Charliego.

– Co mówisz?

Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą mamkę.

– Miałaś koszmarne sen, *cara mia*. Ale już minął. Wstawaj! Zgadnij, kto do ciebie przyszedł?

– Cześć, Carla!

To był Ed.

Już zapomniała, jakie *simpatico* ma oczy. To nie on jest przecież zły. To Lily...

– Miałem nadzieję, że zacznę dziś twój nowy portret. – Oczy naprawdę mu się teraz świeciły. – Jak mi się uda, chciałbym go wysłać na konkurs. Za pozwoleniem twojej mamy, oczywiście.

– Na konkurs! – powtórzyła mamma z nabożnym szacunkiem. – Słyszysz, Carla?

– Ale przedtem Carla musiałyby mi jeszcze popozować. – Oczy Eda szukały jej oczu. Błagały. Poczula się bardzo ważna. – Czujesz się na tyle dobrze, żeby dzisiaj przyjść? Lily niestety musi znowu iść do pracy – zwrócił się do mammy – ale ja zajmę się twoją córką jak należy. No jak, Carla? Podoba ci się to?

– Oczywiście że się podoba – odparła za nią mamma. – Jest po prostu zmęczona, to wszystko.

Carla skinęła głową. Prawdę mówiąc, żołądek bolał ją trochę mniej.

– Cudownie. – Ed był zachwycony. – To co, idziemy?

Pierwsze, co zauważyła Carla po wejściu pod trójkę, to był nowy dywan w pokoju.

– A co się stało ze starym? – spytała, odnotowując z aprobatą, że obecny ma kolor błękitnawozielony, a nie nudny brązowy, jak poprzedni.

– Lily się rozzłościła i wylała na niego kawę – odparł Ed.

– Spytaj go dlaczego, Carla. – Z kuchni wyszła Lily z plikiem papierów w ręce. Głos miała ostry.

Więc jednak jest?

Carla skamieniała.

Ed się roześmiał, ale Carla wiedziała, że jest zdenerwowany.

– Myślałem, że wychodzisz do biura – powiedział spokojnie.

– Zmieniłam zdanie. Wolę popracować w domu, w sypialni. Tylko tracę czas na te podróże. – Lily uśmiechnęła się, ale w jej oczach nie było uśmiechu. – Odpowiada ci to?

– Rób, co ci pasuje. – Ed mówił tym uprzejmym tonem, którego używają dorośli, kiedy niespecjalnie się nawzajem lubią. Carla widziała to wiele razy w ulubionej operze mydlanej mamy. Lily zniknęła w sypialni.

– Może usiądziesz na sofie, Carla?

Zrobiła, co jej polecił, cała drżąca.

– Czy ona cię zamorduje?

Ed wlepił w nią oczy, po czym wybuchnął śmiechem. Głośnym, serdecznym, tak że Carla o mało mu nie zawtórowała. Po czym urwał.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

Momentalnie poczuła się jak głupia.

– Bo... bo widziałam słowo „morderstwo” w jej pracy domowej, jak jechałyśmy autobusem. I się przestraszyłam. – Głos zaczął jej drżeć. – Pomyślałam, że chce mnie zabić... a może i ciebie... i...

– Ćśśś, ćśśś... – Ed usiadł koło niej i objął ją ramieniem. – Źle to rozumiałaś, najmilsza.

Najmilsza? Czasem Larry mówił tak do mamy. To było przyjemne. Jakby nie była dzieckiem, tylko dorosłą panią.

– Lily jest prawniczką. Naprawia świat. – Towarzyszyło temu parsknięcie, tak jakby Ed się ze sobą nie zgadzał.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że stara się pomagać ludziom, których ktoś skrzywdził, i tym, których oskarżono o to, że kogoś skrzywdzili, ale w rzeczywistości wcale nie skrzywdzili. Rozumiesz?

Carla nie rozumiała, ale czuła, że powinna pokiwać głową, bo inaczej Ed może pomyśleć, że jest głupia.

– W tej chwili moja żona próbuje pomóc człowiekowi, który siedzi w więzieniu i jest oskarżony o morderstwo, ale tak naprawdę jest dobrym człowiekiem... a przynajmniej ona tak uważa.

– Ale dlaczego w takim razie go tam wsadzili?

Ed znowu był przy sztaludze i rysował. Bez jego ramienia wokół pleców Carli było chłodno.

– Dobrze pytanie. Ale Lily martwi się też dlatego, że umarł koń jej brata.

Carla się skrzywiła.

– Boję się koni. Kiedyś jeden próbował mnie ugryźć, jak byliśmy ze szkołą w zoo. – Po czym przypomniała sobie zaplamiony dywan. – Czy to dlatego Lily rozlała kawę?

Ed zaczął coś ścierać na obrazie.

– Nie. Dlatego że... no wiesz, zrobiłem coś, czego nie powinienem był robić.

Miał taki smutny głos, że Carla o mało się nie zerwała z miejsca.

– Nie ruszaj się, proszę.

Więc znowu usiadła nieruchomo.

– A mogę rozmawiać?

Jego ręka poruszała się po papierze. Nie widziała tego, ale słyszała.

– W porządku.

– Ja też zrobiłam coś, czego nie powinnam była robić. Ja... pocięłam na kawałki nowego Charliego.

– Kogo?

– Mój piórnik-gąsienicę.

– Dlaczego?

– Bo chciałam mieć coś lepszego.

Ręka Eda poruszała się teraz szybciej. Miała wrażenie, że jego głos dobiega z daleka, jakby jej tak naprawdę nie słuchał.

– No cóż, wszyscy od czasu do czasu chcemy mieć coś lepszego. Ale gdybyśmy przestali nieustannie oceniać to, co mamy, to świat mógłby być trochę lepszy. No, a teraz popatrz.

Zerwała się i podbiegła do sztalugi. To była ona! Siedziała na sofie i patrzyła przed siebie. Na ustach igrał uśmiech. Ale te ręce! Splecione i zaciśnięte, świadczyły, że coś jest nie tak, choć twarz była pogodna.

– Pokazuje inną stronę ciebie – powiedział Ed. – Sędziowie dość mają cukierkowych malunków. Jak będziemy mieli trochę szczęścia, możemy wygrać.

Wygrać? Kiedy w telewizji ktoś wygrywał, stawał się sławny! Carla była tak podekscytowana, że kiedy przeprosiła i poszła do łazienki, nie oparła się, żeby popsikać się perfumami z półki. Wzięła też na palec odrobinę błyszczyka Lily, który stał obok.

– Jak ładnie pachnie – zauważył Ed, kiedy wróciła do pozowania.

Carla skrzyżowała palce.

– To mydło. – I, w poczuciu, że jest badzo dorosła, zyskanym dzięki perfumom i portretowi, usiadła wyprostowana niczym prawdziwa angielska dama.

Obraz został wysłany do sędziów, na wielki konkurs, o którym mówił Ed. Ale miało upłynąć dużo czasu, zanim zdecydują, kto zwyciężył. Dowiemy się w przyszłym roku – obiecał, ściskając ją przelotnie za ramię.

Na razie cały świat ogarnęła gorączka zbliżających się świąt. Mamma przyszła na bożonarodzeniowe przedstawienie, w którym ona, Carla, i jej nowa przyjaciółka Maria grały aniołki. Mamma się popłakała i powiedziała, że gdyby tak nonno mógł ją zobaczyć, może by jej wtedy wybaczył.

– Co by ci wybaczył? – spytała Carla.

– Nie zrozumiesz tego. – I mamma znowu zaczęła chlipać. To było kłopotliwe, bo wracały autobusem do domu. Był to ostatni dzień przed świąteczną przerwą. Mamma nadal była w swoim roboczym kostiumiku, który pachniał perfumami.

– Larry nie przyjdzie do nas na święta – wykrztusiła, siąkając nosem.

Carli radośnie podskoczyło serce. Bardzo dobrze!

– A dlaczego?

Mamma pociągnęła nosem.

– Bo musi zostać z żoną.

Kobieta, która siedziała przed nimi, odwróciła się i spojrzała na nie takim wzrokiem, że mamma zaczęła płakać jeszcze bardziej. Kiedy dotarły do domu, wciąż płakała. Może, pomyślała Carla, gdy przechodziły koło trójki, Ed albo Lily wyjrzą, żeby zobaczyć, o co ten hałas?

– A może byśmy spędziły święta z nimi? – spytała. Teraz, kiedy Ed jej wytłumaczył, że Lily nie jest morderczynią, znowu ją lubiła, choć nie tak jak kiedyś. Przecież była przykra dla Eda. No i to Ed ją rysował, a nie Lily.

– Oni pojedą do własnych rodzin. – Mamma objęła ją ramieniem. – Mamy tylko siebie, malutka.

Kiedy Carla wysunęła szufladkę numer 24 w adwentowym kalendarzu, mamma wciąż jeszcze nie wypłakała wszystkich łez. A choinka, którą kupiła za namową Carli, leżała pod ścianą. Nieubrana.

– Ubierzmy ją – prosiła Carla.

Ale mama zapomniała kupić świecidelka, a poza tym brakowało na nie pieniędzy. Więc powiesiły na choince jej największą białą skarpetkę gimnastyczną.

A pod choinką leżały dwa prezenty.

– Larry nam je dał – powiedziała mamma. – Po czym ścisnęła Carlę za rękę. – Musimy pójść mu podziękować.

Teraz? Na dworze było ciemno i zimno. Ale mamma powiedziała, że to nieważne. Przystanie płakać – „obiecuję, malutka!” – jeśli tylko będzie mogła przejść pod domem Larry’ego.

Więc szły i szły całymi kilometrami, bo autobus nie przyjechał. Były święta i kierowcy też potrzebowali odpocząć. Mijały domy, które były takie wielkie, że w środku zmieściłoby się z dziesięć mieszkań takich jak ich.

Wreszcie doszły do wysokiego białego domu, który wystrzelał w górę ku niebu. W oknie na drugim piętrze się świeciło. Zastłony były rozsunięte.

Po twarzy mammy zaczęły płynąć łzy.

– Ach, gdybym mogła tam być, z Larrym...

Carla próbowała odciągnąć matkę.

– Jeszcze tylko chwileczkę – szepnęła mamma. Ale się nie ruszała. Carla, znudzona, kopnęła parę liści.

– Nie! – jęknęła mamma z ręką na gardle.

Carla poszła za jej wzrokiem. W oknie stała, patrząc na nie, jakaś dziewczynka.

– Kto to jest? – spytała.

– To jego córka...

Carlę coś ścisnęło w piersi.

– To on ma nie tylko żonę, ale i córkę?

Mamma kiwnęła głową. Jej łzy popłynęły obficie.

Córkę? Taką jak ona?

– To co się z nimi dzieje w niedzielę?

Ręce mammy trzęsły się tak, że Carla musiała je przytrzymać.

– W niedzielę to my jesteśmy jego rodziną. A one w inne dni. Chodź, idziemy.

Ruszyły z powrotem rozświetlonymi ulicami, mijając świątecznie przystrojone okna innych ludzi. Z powrotem do nieubranej choinki i dwóch prezentów w skarpetce.

– Co ty robisz? – spytała mamma, kiedy Carla wrzuciła swój do kosza na śmieci, nawet go nie rozpakowując.

– Nie chcę go. – Twarz Carli płonęła gniewem. Larry musi zniknąć. Jest niedobry dla mammy. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby się go pozbyć. Tak jak pozbyła się Charliego.

Nawet jeśli to było złe.

*Dobrze, że nie umieram w Boże Narodzenie.
Zbyt ciężkie by to było dla wszystkich.
Złe rzeczy nie powinny się wydarzać, kiedy cały świat się raduje.
Tym, co się smucą, jest przez to jeszcze ciężej.
A wspomnienia popsują im wszystkie późniejsze święta.
Czy w ogóle jest jakiś dobry czas na umieranie?
Na pewno nigdy nie myślałam, że to będzie właśnie tak.
Dziwny przekładaniec bólu i refleksji, oskarżeń wobec innych, oskarżeń wobec siebie samej.
I oczywiście strach. Bo podejrzewam, sądząc ze szmerów wokół mnie, że ktoś tu nadal jest.*

Lily

Boże Narodzenie zawsze było wystawne w naszym domu. „Daniel tak lubi święta” – mawiała matka tytułem wyjaśnienia dla trzymetrowej choinki i sterty prezentów pod nią. Nie mieliśmy za dużo pieniędzy, ale matka oszczędzała na to przez cały rok. Za którymś razem mój brat dostał kolejkę Hornby’ego, którą zdołał rozebrać, a potem złożyć z powrotem, „żeby zobaczyć, jak jest zrobiona”. Zajęło mu to trzy dni i przez cały ten czas odmawiał uczestnictwa w rodzinnych posiłkach, włącznie z bożonarodzeniowym obiadem, bo „jest zajęty”.

Nikt nie usiłował go przekonać. Kiedy coś postanowił, nie sposób było zmienić jego decyzji. Może dlatego Daniel od małości dostawał, co chciał. Dopiero kiedy jego lista życzeń zaczęła obejmować rzeczy nielegalne, rodzice zaczęli stawiać granice. Ale wtedy było już za późno.

Jak to będzie w tym roku? – zastanawiam się, gdy czekamy na stacji w Exeter na ojca, żeby nas odebrał. W poprzednich latach mama od chwili przebudzenia przybierała tę sztucznie radosną, ożywioną minę typu „wszystko jest OK”, która nie była w stanie nikogo zwieść. Po czym, kiedy zaliczyła przed obiadem trzecią kolejkę dzinu, zaczynała mówić o Danielu w czasie terażniejszym. „Spodoba mu się to nowe oświetlenie, prawda? Jak myślicie?” – pytała, jakby miała lada chwila zejść na dół.

Tato miał na twarzy wyraz wymuszonej rezygnacji. A zarazem wodził za mamą wzrokiem, w którym była czułość z nutką poczucia winy. Kiedy dwoje ludzi przeżyje tragedię, to albo stają się sobie bliżsi, albo się oddalają. Chyba powinnam być rodzicom wdzięczna, że koniec końców wybrali to pierwsze.

Zimno w tej poczekalni, ciągnie od drzwi. Dreszcz mnie przechodzi. Nie tylko z powodu biednego Merlina, który umarł przeze mnie. Ani z powodu jego nieznanego mordercy. (Wuj Sarah, zgodnie z tym, co twierdzi policja, ma mocne alibi, chociaż Tony uważa, że mógł namówić kogoś innego).

Nie. To dlatego, że – i możecie uważać, że to głupie – zastanawiam się, czy dorastam do mojego imienia. Lilie płamią, jeśli dotknąć ich pręcików. Człowiek zostaje zbrukany trudną do usunięcia substancją. Wydaje mi się, że płamię każdego, kogo próbuję kochać. Daniel, koń Daniela, Ed... Kto następny?

Joe?

Nie bądź śmieszna, mówię ostro do siebie samej.

Ed zauważa moje przygnębienie i próbuje mnie objąć, ale odtrącam jego ramię. A jak niby mam reagować, skoro rysuje twarz kobiety, z którą był kiedyś zaręczony?

– Dalej ci na niej zależy? – krzyknęłam wtedy. Kawa chlusnęła na dywan.

– Nie. – Sprawiał wrażenie autentycznie zmieszanego, niczym chłopczyk. – Po prostu... po prostu wciąż wraca w mojej pracy.

– W pracy?! – wrzasnęłam. – Twoja praca to agencja! – Ze złością wskazałam szkic Daviny z odrzuconą do tyłu głową, śmiejącej się na całe gardło.

Nie mogłam się powstrzymać.

– Masz z nią romans?

– Niby kiedy miałbym na to czas? A nawet jakbym miał romans, to co ci zależy? Jedyne, czym się zajmujesz, to ta twoja sprawa. A nie nasze małżeństwo. – Teraz i Ed był zły.

Nie wiadomo kiedy, kłótnia przerodziła się w pojedynek wrzasków – kto głośniej. Zdarza się to nam

coraz częściej.

Od tamtej chwili prawie ze sobą nie rozmawiamy, wyłącznie o sprawach związanych z organizacją Bożego Narodzenia. Pierwszy dzień świąt u moich rodziców. Drugi – u jego, w Gloucestershire, kawałek dalej autostradą.

Ciepła dłoń Eda to propozycja świątecznego rozejmu. Ale zanadto jestem pogrążona we własnych myślach. Daniel. Merlin. Kartka...

– Jest twój ojciec – ogłasza Ed z ulgą w głosie, bo nie będziemy już musieli dłużej tak stać w gniewnym milczeniu, w zimnie.

– Pierwsze święta jako małżeństwo, co? – mówi tato, promieniejąc, i otwiera nam drzwiczki starego land rovera.

Wymieniamy pogodne uwagi, ale ja nie jestem w stanie nawet patrzeć na Eda. Jedyne, co wiem, to że nasze żalosne małżeństwo będzie dla rodziców pretekstem do wesołości, do tego, żeby zapomnieć o pustym miejscu przy stole i o siodle, do tej pory wiszącym na haku w składziku, bo nikt się nie zdobył na to, żeby je wyrzucić.

W jakimś sensie tęsknię za tym, żeby im powiedzieć, jak mi źle. Ale nie mogę. Muszę im wynagrodzić to, co się stało, w każdy dostępny sposób. Jestem im to winna.

– Moi kochani! – Matka stoi w drzwiach. Oczy ma nienaturalnie błyszczące, a ręka jej drży. Kieliszek, który odstawiła na stolik w holu, jest do połowy opróżniony. – Jak to dobrze, że przyjechaliście!

– Wspaniała choinka – zauważa Ed, patrząc na monstrialne drzewko wewnątrz spiralnych schodów, sięgające drugiego piętra. – Jak daliście radę ją tam wstawić?

Matka promienieje.

– Daniel nam pomógł. Za moment zejdzie na dół. No, to wchodźcie i rozgośćcie się!

– Co jest grane? – szepczę do ojca, gdy tylko trafia się okazja.

Tato ma nieszczęśliwą minę.

– Wiesz, jak z nią jest o tej porze roku.

– Ale jest coraz gorzej, tato. A przecież powinno być coraz lepiej, tak?

Ed, trzeba mu przyznać, jest dżentelmenem w każdym calu. Kiedy mama wyjmuje album ze zdjęciami Daniela i moimi z kolejnych lat, wygląda, jakby go to naprawdę interesowało. Ale pytania – „A gdzie to było robione?” – kieruje do matki, a nie do mnie. Ja zostaję zignorowana.

Po pasterce ludzie, których nie widziałam od wieków, podchodzą, żeby mnie uścisnąć i po raz pierwszy wymienić uścisk dłoni z Edem. Ponieważ teściowa uparła się, że „wszyscy Macdonaldowie” biorą ślub w rodzinnej kaplicy w ich posiadłości, na weselu było miejsce tylko dla najbliższych krewnych.

– A więc to jest ten szczęściarz – mówi starszy gość, jeden z tych, którzy co wieczór podpierali bar w miejscowym lokalu, kiedy tu mieszkałam. – Wszyscy tu kochamy Lily, wiesz. – I klepie Eda po ramieniu. – Żebyś o nią dbał, pamiętaj!

Tym razem to ja nie mogę na niego patrzeć. W milczeniu ciągniemy za rodzicami do domu, wdychając słone morskie powietrze. Jako nastolatka rwałam się, żeby stąd wyjechać; gardziłam tą „parafiańszczyzną”. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jaka cenna i wzruszająca jest ta troska o każdego członka „stada”. I z tego, że to małe miasteczko reprezentuje prawdziwe, trwałe wartości. Nie ma tu miejsca na półprawdy, gry czy jawne kłamstwa – obojętne, jak na to patrzeć.

Joe Thomas wydaje się należeć do zupełnie innego świata.

– Kto pójdzie zajrzeć do Merlina? – pyta mama, kiedy tato grzebie pod kamiennym murkiem w poszukiwaniu klucza. – Trzeba sprawdzić, czy znowu nie przewrócił wiadra z wodą.

– Mamo – mówię łagodnie – Merlin...

– Ja, kochanie – przerywa mi szybko tato. – A ty się kładź. Nie masz się o co martwić. Indyk już w piecyku, a ta młoda para też na pewno zechce pójść do łóżka.

Dreszcz mnie przechodzi. Nie tylko z powodu kłamstw ojca czy naszej małżeńskiej maskarady. To także strach. Po tej kartce mówiłam tacie, żeby zadbali o bezpieczeństwo. No i proszę – nadal zostawia klucz tam, gdzie zawsze. Skąd może go wziąć każdy.

Pogadam z nim rano, postanawiam, kładąc się do łóżka. Ed jest jeszcze w łazience. Zanim wróci, wyłączam światło i udaję, że już śpię.

– Przykro mi. – Głos męża niedwuznacznie świadczy, że nie zwiodły go moje odwrócone plecy i równy oddech.

Podrywam się.

– Mowa o Davinie, tak? Ale przykro ci, że jesteś w niej zakochany, czy że się ożeniłeś ze mną? A może...

– Przykro mi z powodu Daniela. Musiało to być trudne dla was wszystkich.

Zapada cisza. Czy on chce powiedzieć, że gdyby znał całą historię?...

– Nie chcę o tym rozmawiać – mówię i odwracam się tyłem. I zasypiam. Szybko. Głęboko. Najlepszy sen, jaki przydarzył mi się od lat. Biegnę plażą za Danielem. Wciąż jest mały. Śmieje się. Wskakuje do wody i wyskakuje. Zbiera muszle, które układa w idealnym porządku na parapecie w swojej sypialni. Potem w moim śnie ktoś (kto?) je rusza i Daniel drze się, że zostały „popsute”. Wyrzuca je przez okno i zbiera następne...

Budzę się z nagłym drgnięciem. Z dachu dobiega dziwne skrobanie. Może to mewa. Ciekawe, co robi teraz Joe Thomas... Śpi czy nie? Może wciąż na nowo sprawdza te swoje liczby? Zastanawia się, czy ujawnić kontakt, dzięki któremu je uzyskał?

A Tony Gordon? Co on może teraz robić? Jest w łóżku z żoną? Rzadko mówi o swoim życiu osobistym. Raz tylko wspomniał o córce, kiedy dzwoniła do niego żona w związku z jakimś przedstawieniem w szkole, na którym nie był. Nie żeby mi o tym powiedział, po prostu wywnioskowałam to z rozmowy, której chcąc nie chcąc byłam świadkiem. Wyraził skruchę, ale po odłożeniu telefonu wyglądało, że szybko o tym zapomniał i wrócił do naszych papierów.

Podejrzewam, że Tony Gordon to człowiek, który bez trudu potrafi poszufladkować swoje życie.

To, że nie śpię, budzi Eda. Wyciąga rękę i dotyka moich pleców. Potem sięga niżej. Łzy spływają mi po twarzy. Nie wiem, czy myśli o mnie, czy o Davinie... Szacunek dla siebie podpowiada, żeby się odsunąć, poczekać, aż oboje będziemy na tyle przytomni, żeby wiedzieć, co robimy. Ale sen o Danielu mnie rozstroił. Czuję się samotna. Smutna. I z tego wszystkiego pozwalam Edowi, żeby we mnie wszedł. Ale kiedy na fali niedozwolonego podniecenia docieram do szczytu, to nie jego mam w głowie.

Rano zmywam z siebie męża w staroświeckiej wannie z pękniętą emalią, bo Daniel wyjął kiedyś sitko z odpływu i wrzucił do rury kawałek błękitnoszarej marmurowej płytki, „żeby zobaczyć, czy przeleci”. Dużo kosztowało usunięcie awarii.

– Wesołych świąt – mówi Ed i podaje mi lśniące czerwone pudełeczko.

Czy w ogóle pamięta, że się ze mną kochał? A może dręczy go poczucie winy, bo wyobrażał sobie, że jest z Daviną?

Własną fantazję mogę usprawiedliwić tylko tym, że jestem tak owładnięta poczuciem winy w związku z Danielem, że nie mogę sobie pozwolić na to, żebym była szczęśliwa. Autodestrukcja. Dlatego wyobrażam sobie kogoś, z kim seks jest dla mnie zakazany ze względów zawodowych.

Pod czerwonym papierem kryje się niewielkie pudełeczko. Pióro. Potajemnie marzyłam o następnych perfumach. Ten flakonik z podróży poślubnej jest już prawie pusty. Jak to jest, że artysta potrafi być w jednej chwili taki spostrzegawczy, a kiedy indziej taki ślepy?

– Stale piszesz, więc pomyślałem, że ci się przyda.

– Dziękuję – mówię i z kolei ja podaję mu paczkę, którą miałam dotąd schowaną w walizce. Jest to pudełko olejnych pasteli. Ed wyjmuje je kolejno, jeden po drugim. W oczach ma dziecięcą radość.

– Fantastyczne.

– Będiesz mógł sobie malować kolejne portrety Daviny. – Nie mogę się powstrzymać. No ale czy on zareagowałby inaczej, gdybym się przed nim obnosiła z innym mężczyzną?

Twarz mu mierzchnie.

– Musimy wcześniej wyjechać – mówi chłodno. Przedtem zaakceptowaliśmy propozycję mamy, że pożyczą nam samochód, bo w święta jeździ mniej pociągów. – Inaczej spóźnimy się do moich rodziców.

Dom mojego dzieciństwa jest piękny. Ale kiedy, na krótko przed ślubem, zobaczyłam po raz pierwszy rodzinny dom Eda, nie wierzyłam własnym oczom. Była to siedziba doprawdy majestatyczna.

– W rzeczywistości nie jest taki duży, jak wygląda – powiedział, kiedy patrzyłam oszołomiona przez okno samochodu na elżbietańskie mury, wieżyczki, rodowe herby nad wejściem, łukowate okna i rozciągające się jak okiem sięgnąć trawniki.

Kogo on bujał? Siebie? Zaczynam się uczyć, że artyści są w tym dobrzy. No, ale prawnicy też. Jedni i drudzy muszą udawać. Grać role. Żeby dotrzeć do duszy innego człowieka.

Prawdą jest jednak, że duża część ich domu została wydzielona dla publiczności, a opłaty za zwiedzanie idą na jego utrzymanie. W mniejszej części – o temperaturze minusowej – mieszkają rodzice wraz bratem i jego żoną. Drugi brat pracuje w Hong Kongu i w tym roku nie mógł przyjechać na święta.

No i dobrze. I tych, co są, jest aż nadto. Matka Eda, wysoka, chuda, pełna rezerwy kobieta, której nie widziałam od ślubu, dotąd mi nie zaproponowała, żeby jej mówić po imieniu. Nie widziałam jej od wesela. Artemis... Pasuje do niej.

Brat Eda jest równie nadęty. Tylko ojciec jest na tyle grzeczny, że spytał mnie o sprawę „z tym mordercą”. Najwyraźniej czytał o niej w prasie.

– Obcować z kryminalistami? Okropny masz zawód, kochanie – wzdryga się teściowa, gdy pijemy przedobiednięgo drinka w bibliotece, kolejnym potwornie zimnym pomieszczeniu, pełnym oprawnych w skórę książek z obłazującymi grzbietami. – Nie miałaś ochoty robić czegoś przyjemniejszego? W moich czasach, jeśli musiałyśmy pracować przed wyjściem za mąż, to uczyłyśmy w szkole albo opiekowałyśmy się dziećmi. Oczywiście, dziś sporo córek moich znajomych pracuje w tym, co chyba się nazywa pi-ar, albo przy organizacji imprez... – Widzi spojrzenie Eda i urywa, ale za późno.

– Myślę – replikuję – że tego typu zajęcia lepsze są dla takich kobiet, jak Davina.

Cisza. Miało to zabrzmieć jak dowcip, ale nikogo nie zwiodłam, a już na pewno nie Eda. Ani siebiej samej. Matka Eda gładko przechodzi do innego tematu (niedawny awans najstarszego syna w wielkiej firmie ubezpieczeniowej), ale mleko się rozlało.

– Muszę złapać trochę powietrza – mówię do męża. Biorę duży kaszmirowy szal, prezent od teściów, i wychodzę na taras. Otwiera się z niego widok na ogrody. Muszę to oddać mojej teściowej – są piękne. Pewnie spędza tu cały swój czas.

– Artemis nie chciała cię urazić – dobiega mnie z tyłu łagodny głos.

Oglądam się. To moja szwagierka z zakatarzonym dzieckiem w ramionach, może półtorarocznym. Ze wszystkich krewnych Eda ją lubię najbardziej. Sprawia wrażenie bardziej normalnej niż reszta i ma niezbyt czyste paznokcie, może dlatego, że pracuje z doskoku jako projektantka ogrodów.

– Po prostu u niej co w sercu, to na języku. Przyzwyczaisz się.

Dzieciak uśmiecha się do mnie. Ma z przodu dużą przerwę między ząbkami. Nie jestem typem mamuśki, nie mam doświadczenia w tym zakresie. Chociaż, ku memu zaskoczeniu, naprawdę lubię być z Carlą.

– Nie jestem pewna, czy chcę się przyzwyczaić.

Szwagierka marszczy brwi.

– Co masz na myśli?

– Nie wiem, dlaczego Ed się ze mną ożenił. – Mam wrażenie, że mówię to do siebie, a nie do tej kobiety, którą w sumie słabo znam. Może to ta sherry, którą wychyliłam, rozpaczliwie usiłując się trochę rozgrzać, no i ukoić nerwy. – Wyraźnie nie przeszło mu z Daviną. Więc dlaczego wybrał mnie, a nie ją?

Zapada cisza. Po twarzy szwagierki przemyka wyraz niepewności.

Chłopczyk usiłuje się wykręcić z matczynych objęć. Matka stawia go delikatnie na ziemi.

– Ale wiesz o funduszu powierniczym?

– Jakim funduszu?

– Żartujesz, prawda? – Dziewczyna wpatruje się we mnie. – Nie, nie żartujesz... Szlag. Powiedziałam nam, że o wszystkim wiesz... – Wygląda na autentycznie zafrasowaną.

– Powiedz, proszę. Nikt mi dotąd o niczym nie wspominał, ty jedna... Nie sądzisz, że mam prawo wiedzieć?

Ogląda się szybko przez ramię. Nikogo nie ma. Dzieciak siedzi teraz u jej stóp i pakuje sobie do buzi zmarzniętą ziemię z doniczek, ale matka nie zauważa, a ja nie mam zamiaru odwracać jej uwagi.

– Ed był załamany, kiedy Davina go rzuciła i zaręczyła się z jakimś bankierem. Od dawna spotykała się z nim po cichu. Biedny Ed, naprawdę ją kochał... sorry... ale chodziło o coś jeszcze. Czas uciekał. Henry, wypłuj to natychmiast! Bo inaczej...

– Czas uciekał? Żeby co?

– No właśnie usiłuję ci powiedzieć. Chodzi o ten fundusz powierniczy. Henry, wypłuj tę ziemię, ale już! Ustanowili go dziadkowie Eda. I on, i bracia musieli się ożenić przed trzydziestką i pozostać w małżeństwie przez minimum pięć lat, inaczej nic nie odziedziczą. Brzmi totalnie śmiesznie, wiem, ale podobno ojciec Artemis coś miał do facetów, którzy się nie żenią. Jego brat miał skłonności w drugą stronę, jeśli wiesz, co mam na myśli, a w tamtym czasie był to potworny skandal, kompromitacja dla całej rodziny. Wiedziałam o tym, ale my z moim mężem pobralibyśmy się i tak, z funduszem czy bez.

Nie do wiary.

– Nasz ślub był tuż przed trzydziestymi urodzinami Eda... – mówię powoli. – Wydawało mi się, że to dość prędko, ale pochlebiało mi, że tak mu na mnie zależy.

– I zależało, jestem tego pewna.

– A ja nie. Zawsze mnie dziwiło, że Ed się we mnie zakochał. Nie jestem partnerką dla niego. Czemu nie wybrał kobiety bardziej odpowiedniej?

– Przejęłaś się tym, co mówiła ta nasza teściowa? Naprawdę, Lily... Powinnaś mieć więcej wiary w siebie. Wszyscy widzą, że Ed cię kocha. Dokładnie ktoś taki jak ty był potrzebny w tej rodzinie. Ktoś normalny.

Normalny! Ha! Pod wrażeniem tej ironii o mało nie przeoczyłam tego, co mówi dalej.

– Kiedy Ed powiedział nam o tobie po raz pierwszy, byliśmy zaskoczeni, jasne. Zwłaszcza że ślub miał być tak prędko. Ale jak cię poznaliśmy, to nie dziwiliśmy się, że cię wybrał. Jesteś dokładnie taką dziewczyną, jakiej mu trzeba. Rzetelną. Atrakcyjną, ale, bez obrazy, nie lafiryndą. Powiedziałam, że jak nie wyjdzie... Henry, przestań...

– Powiedziałaś, że co?

Ma na tyle przyzwoitości, że wygląda na zakłopotaną.

– Że jak nie wyjdzie, to po pięciu latach zawsze może się z tobą rozwieść. To taki trochę żart między nami funduszowymi żonami, rozumiesz.

– To prawda. – Jestem taka zdumiona, że nie wiem, co więcej powiedzieć.

– Hej, nie przejmuj się tak. – Poklepuje mnie po ramieniu. – Ta sytuacja ma też dobre strony.

– Żartujesz?

– Nie do końca. Pozwól, że ujmę to inaczej. Ta sytuacja oznacza, że wszyscy coś odziedziczymy, jak dziadek umrze. Nawiasem mówiąc, w tej chwili jest w domu opieki. Ma demencję, biedak. I nie miej tak bardzo za złe Edowi. – To ostatnie mówi bardziej serio. – Był pod ścianą. Trzeba było słyszeć Artemis, jak w kółko nawijała, że straci tę całą kasę, jak się nie ruszy. No, ale zgoda, powinien być ci powiedzieć.

Gdyby powiedział, to nie przyjąłabym jego oświadczeń, i musiał być tego świadomy. Wszystko to brzmi idiotycznie. W dzisiejszych czasach, w dzisiejszym świecie? Ale rodzina Eda to inne środowisko niż moje. Wiedziałam o tym od początku, ale nie zdawałam sobie sprawy, jak dalece się różnimy, jeśli chodzi o mówienie prawdy.

A może – jak bardzo jesteśmy podobni?...

– Oczywiście – ciągnie moja szwagierka – trochę go ruszyło, kiedy Davina zerwała zaręczyny z tym facetem...

Dostaję gęziej skórki.

– Kiedy?

– Henry! Jak byliście w podróży poślubnej.

Teraz nareszcie wszystko staje się jasne.

– Rozumiem – mówię drętwo.

– Co rozumiesz?

To Ed. Podszedł z tyłu. W granatowej marynarce, wykrochmalonej białej koszuli i beżowych płóciennych spodniach wygląda w każdym calu jak absolwent elitarnej szkoły. Ale w środku nie jest lepszy od kryminalisty. Czyż nie ukradł mi życia?

– Ożeniłeś się ze mną, bo inaczej przepadłby ci fundusz powierniczy – syczę. – Ale tak naprawdę chciałeś być z Daviną... Nic dziwnego, że taki byłeś przygnębiony, jak wróciliśmy z podróży poślubnej i dowiedziałeś się, że odwołała swój ślub!

Na twarzy ma popłoch. Przez chwilę miałam nadzieję, że cała ta historia to kupa kłamstw. Ale mój mąż jest niepokojąco spokojny, w ogóle nie próbuje zaprzeczać. Jak każdy dobry prawnik, dotarłam do prawdy. Ale nie ma w tym przyjemności.

– A teraz – ciągnę z furją – żałuje, że na nią nie poczekałeś... i ty też.

Bierze mnie pod rękę.

– Przejdźmy się.

Moja szwagierka zniknęła razem ze swoim maluchem. Ruszamy zwirową ścieżką. Zaczynają polatywać płatki śniegu.

– Nie powinna ci była mówić. – Głos ma schrypły z emocji.

– Owszem, powinna. – Odrącam jego ramię. – Ożeniłeś się ze mną dla pieniędzy. Na moim miejscu mogła być każda inna, bylebyś zdążył przed urodzinami.

Odwraca wzrok i patrzy w stronę jeziora.

– To nie tak. Owszem, nie chciałem stracić tych pieniędzy. Wiedziałem, że jak je odziedziczę, będę mógł rzucić pracę w agencji i zająć się malowaniem. Może otworzyć własną galerię. Ale niezależnie od tego naprawdę mi się podobałaś. Kiedy powiedziałaś, że twój brat nie żyje... i jak umarł... miałaś w twarzy coś takiego... Próbowałem to narysować po tej pierwszej nocy, ale mi się nie udało. Tak jakby twój smutek był zbyt głęboki.

– Ożeniłeś się ze mną ze współczucia?

– Nie to miałem na myśli – mówi błagalnie. – Ożeniłem się z tobą, bo mnie zaintrygowałaś, i dlatego, że było widać, że jesteś dobrym, życzliwym człowiekiem. – Krzywi się. – Pamiętasz, jak na tamtej imprezie uparłaś się, żeby po sobie posprzątać, kiedy rozlałaś wino, zamiast udawać, że to nie ty? Davina by po prostu zostawiła i już. Jesteś o wiele lepszym człowiekiem niż ona. Naprawdę.

Naprawdę... Czuję pokusę, tak jak już wiele razy, żeby mu powiedzieć, jak było ze mną naprawdę. Poczucie winy ciąży mi w środku jak kamień. Ale skoro mnie tak dotknęło to o funduszu powierniczym, to

co poczuje Ed, kiedy się dowie, co zrobiłam ja?

Próbuję odstać o krok, ale Ed ujmuję dłońmi moją twarz.

– Jesteś piękna, Lily. I z wierzchu, i w środku, jako człowiek. A najdziwniejsze jest to, że tego nie widzisz. To kolejny powód, dla którego się w tobie zakochałem. Jesteś też dzielna. Lojalna. Mądra. Wiem, że nie byłem dla ciebie zbyt miły, że tyle pracujesz, ale w gruncie rzeczy jestem z ciebie naprawdę dumny. Z tego, że pomagasz słabym i przegranym tego świata, jak ten twój więzień.

To wszystko nie tak, mam ochotę krzyczeć.

– To dlaczego byłeś dla mnie taki okropny?

– Bo... bo byłem zraniony, kiedy wyrażnie mnie nie chciałaś. No wiesz. Fizycznie. Czuję się odrzucony. A potem Davina dała mi do zrozumienia, że nadal się mną interesuje, no i... kusiło mnie, owszem. Ale nic się nie wydarzyło, przysięgam. A potem ta twoja sprawa. Wygląda, jakby nic poza tym cię nie interesowało i...

Czuję ucisk w piersi. Już sama liczba rozwiedzionych prawników wokół mnie świadczy o tym, że ta profesja odciska swoje piętno na życiu rodzinnym.

Ed przegarnia włosy dłońmi.

– Lily, może faktycznie pobraliśmy się dość szybko. Ale teraz poznałem cię lepiej i...i chcę być z tobą. Naprawdę.

Tak? A nie chodzi mu czasem o pieniądze? Pięć lat w małżeństwie, taki jest warunek otrzymania spadku.

– Powiedz mi – mówi, przygarniając mnie do siebie – że ty też mnie kochasz.

Czy kocham? A co to jest miłość? Jestem ostatnią osobą, która umiałaby na to odpowiedzieć.

– Moglibyśmy spróbować jeszcze raz – mówi powoli. Delikatnie unosi mój podbródek, tak że jestem zmuszona patrzeć wprost na niego. Czuję, że to ważne – nie odwracać wzroku. – Jak myślisz?

Te słowa padały już między nami. Za każdym razem kończyło się kolejną kłótnią. Ale w tej chwili staje mi przed oczyma dwoje czarnobrzązowych oczu. Precz! – mam ochotę krzyknąć.

– Nie wiem – mówię żałośnie. – Nie potrafię teraz myśleć jak należy. Dopóki mam na głowie tę sprawę.

To prawda. Świąteczna wizyta u rodziców, widok pustej stajni tym bardziej dodały mi bodźca, żeby to właściwie załatwić. Zwyciężyć. Mieć swój udział w przywracaniu sprawiedliwości. To ważniejsze niż moje życie osobiste. Musi być ważniejsze – po Danielu.

Spoglądam na dłonie mojego męża, trzymające moje. I puszczam je.

– Dam ci odpowiedź, jak będzie po wszystkim. Wybacz.

Carla

Przez cały pierwszy dzień świąt Carla patrzyła, jak mamma płacze. Płakała, kiedy rozpakowała prezent od Larry'ego, i płakała, kiedy nie potrafiła go założyć.

Z początku Carla próbowała ją pocieszyć.

– Daj, pomogę ci zapiąć, mamusiu.

Potem jednak mamma spojrzała w lusterko i na widok srebrnego naszyjnika na swojej smukłej, śniadej szyi rozpłakała się jeszcze bardziej.

Carla dała za wygraną.

– Ciekawe, czy królowa płacze – powiedziała do siebie, siedząc po turecku przed telewizorem i patrząc na całkiem starą, siwowłosą kobietę, która mówiła o „wartościach życia rodzinnego”.

Carla nie zawracała sobie głowy zmianą kanałów w poszukiwaniu przemówienia królowej, gdyby nie jej nowa szkolna koleżanka.

– Zawsze je oglądamy – powiedziała Maria, kiedy opychały się krówkami, które po wspólnym kolędowaniu na zakończenie półrocza dostały od zakonnicy o rzadko rozstawionych zębach.

Czasem Carla ze skrucą łapała się na tym, że chciałyby, żeby rodzina Marii była i jej rodziną. Ale przynajmniej, dzięki przyjaciółce, miała teraz Kitty. Oglądała właściwy program w telewizji. Teraz jedyne, czego jej brakowało, to matki, która nie miałaby czerwonej od płaczu, pokrytej plamami twarzy.

Gdyby mamma nie była przez Larry'ego taka nieszczęśliwa, wszystko byłoby dobrze – myślała, patrząc na spokojną, krzepiącą twarz królowej.

Była pewna, że coś się niedługo wydarzy. Musi tylko być cierpliwa.

– Może Ed i Lily już wrócili? – spytała.

Matka, chlapiąc, pokręciła głową. Gdyby widział ją teraz Larry, z tym rozmazanym tuszem pod oczami, nie uważałby jej za ładną.

– Wciąż są ze swoimi rodzinami. Tak jak my powinniśmy być ze swoją.

Carla pomyślała o iskrzącej się kartce z małym Jezuskiem, którą wysłały do Włoch, i o tej, na którą tak liczyły w rewanżu, a która jednak nie przyszła.

Mamma na nowo wybuchnęła płaczem.

– To wszystko moja wina...

– Dlaczego, mamusiu?

– Bo tak. – Po czym spojrzenie matki padło na drugą paczuszkę pod choinką. – Nie zobaczysz, co ci dał Larry na Gwiazdkę? Wyjęłam z kosza, tak na wszelki wypadek...

Właściwie to wcale nie chciała sprawdzać. A jednak była ciekawa...

– No – nagliła mamma. Oczy jej pojaśniały. Carla wiedziała, o czym myśli. Jeśli prezent jest porządny, oznacza to, że Larry kocha ją bardziej niż żonę i dziewczynkę, którą widziały przez okno.

Trudno było zdjąć papier. Sklejono go taśmą, tak jakby ofiarodawca nie chciał, żeby zaglądać do środka. W końcu jednak się udało. W środku było pudełeczko. Długie i wąskie. A w nim...

– Zegarek! – zatchnęła się mamma z wrażenia. – Jak to miło ze strony Larry'ego! – Teraz już śmiała się przez łzy. – Drogi, prawda? A co jest napisane na kartce?

Carla spojrzała i schowała kartkę do kieszeni.

– Co tam było napisane? – nalegała mamma.

– Nic. Tylko „Wesołych Świąt”.

Ale w środku zrobiło się jej gorąco. Tekst napisano starannie czarnym długopisem, więc nie sposób było się pomylić.

„Bądź grzeczna”.

Larry ostrzegał ją, żeby zachowywała się jak należy. Ale to on powinien uważać.

– Ojej, telefon! – zawołała mamma. – Szybko, odbierz! To pewnie Larry... Odbierz, proszę! Ja się muszę uspokoić. Porozmawiaj z nim pierwsza. Podziękuj mu za zegarek. Potem ja podejść.

Carla z oporem ruszyła w stronę aparatu. Powoli, powoli podniosła słuchawkę.

– Tak?

– Jest mama? – Głos Larry’ego był cichy, tak jakby nie chciał, żeby ktoś się dowiedział, że rozmawia.

– Proszę więcej nie dzwonić – szepnęła, tak żeby mamma nie słyszała. I odłożyła słuchawkę.

– To nie on? – Głos mamy wzniósł się w żałobnym crescendo.

– To chyba ten sam człowiek, co dzwonił kiedyś – powiedziała Carla, wpatrując się w dywan. Jeśli patrzyła uważnie, to w rdzawym wzorku ukazywała się twarz tygrysa.

Mamma zadrżała.

– Ten, co nic nie mówi?

– Tak.

Twarcz z dywanu wpatrywała się w nią. *Kłamczuch, kłamczuch!* – szeptała.

Mama przestała płakać i objęła ją ramieniem.

– Nie przejmuj się, malutka. To moja wina. Jak zadzwoni drugi raz, to ja odbiorę.

Ale nie zadzwonił. Przez kolejne dwa dni. Dwa dni, podczas których Carla i Kitty, i tygrys z dywanu myśleli, że ujdzie im na sucho.

A potem stało się to.

– Dlaczego okłamałaś matkę?

Oczy Larry’ego były błyszczące i twarde. Przypominały jej nóż, którym mamma kroi chleb. Zwykle sama go piekła, bo „tego dziadostwa ze sklepu nawet pies by nie chciał”. Carla uwielbiała zapach pieczonego chleba. Spróbowała go teraz przywołać, żeby poczuć się lepiej, ale się nie udało.

Nie teraz, kiedy stał przed nią Larry, a obok niego mamma. Ich dwoje przeciwko niej.

Oddech uwiązał jej w gardle.

– Mówiłam. Pomyślałam, że to ten dziwny człowiek. Ten, który dzwoni do nas późnym wieczorem.

– To prawda – wtrąciła nerwowo mamma. Na jej twarzy malował się strach, tak jak wtedy, kiedy znalazły w skrzynce kopertę, a w niej kartkę z czerwonym napisem „Brak płatności”. – Sama odbierałam takie telefony. Obie się ich boimy.

Larry przewrócił oczami.

– W takim razie musicie to zgłosić na policję.

Mamma zaśmiała się dźwięcznie.

– A co ich to obchodzi? Nie potrafią nawet zadbać, żeby dzieciaki nie wybijały szyb. To nie jest porządna okolica. Nawet Ed tak mówi.

Larry poderwał głowę, tak jakby ktoś mu przywiązał sznurek do końca długiego nosa i pociągnął gwałtownie w górę.

– Kto to jest Ed?

– Przecież pan wie – wtrąciła z pogardą Carla. – To sąsiad, który zajmuje się mną razem z żoną, kiedy mamma „pracuje”. – Ostatnie słowo wymówiła z naciskiem, żeby nie było wątpliwości, co to znaczy. „Mamma wcale nie pracuje w niedziele. Spędza czas z tobą, zamiast ze mną”.

Ale wzrok Larry’ego ześliznął się na jej przegub.

– Nie nosisz zegarka?

– Nie chodzi.

– Czyżby?

Dlaczego wydawał się rozbawiony, a nie zły? Gniew obudził w niej zuchwałość.

– A swojej córce też pan kupił zegarek?

Może to dobrze, że mamma właśnie poszła do kuchni nastawić czajnik. Twarz Larry'ego była teraz bardzo blisko, tak że czuła zapach whisky.

– Uważasz, że jesteś bardzo mądra, prawda, Carla?

Nie, miała ochotę powiedzieć. Nie. Jestem tępa z matematyki, chociaż teraz pomaga mi moja nowa przyjaciółka. Ale zamiast tego skupiła się na dziwnym czerwonym znaku na jego szyi, który wyglądał jak ketchup. Może to ją powstrzyma przed mówieniem.

– Nie odpowiadasz? – Larry odstąpił o krok, jakby ją oceniając. – Doceniam to. Myślisz, że jesteś mądra, bo jesteś mądra, Carla. Możesz mi wierzyć. Może zresztą tak nie myślisz, ale to prawda. Daleko zajdziesz w przyszłości.

Oczy mu się zwęziły.

– Tylko nie wiem, w którą stronę. W górę czy w dół. To zależy od ciebie.

Dwa tygodnie później Carla wróciła ze szkoły nieprzytomna z radości.

– Moja przyjaciółka Maria zaprosiła mnie do siebie na herbatę! – zawołała.

Mamma stała w drzwiach. Umówiły się, że teraz, kiedy Carla skończyła dziesięć lat, będzie wracać sama, pod warunkiem że nigdy, pod żadnym pozorem nie będzie rozmawiała z obcymi. No i ta szkoła była dużo bliżej, więc raczej nie zbłądzi.

– Jaki to zaszczyt! – Mamma była zarumieniona i przez chwilę Carla myślała, że może jest Larry. Mamma zawsze miała kolory na twarzy, kiedy był.

Ale nie. W mieszkaniu nie było nikogo.

– W przyszłym tygodniu, w środę! – trzepała Carla. – Jej matka odbierze mnie ze szkoły. A potem odwiezie do domu. Będziemy się bawić jej lalkami Barbie!

– Jej matka prowadzi? – W oczach mammy błysnęła zazdrość.

Carla skinęła głową.

– Wszystkie matki prowadzą. Proszę, mamusi! Powiedz, że mogę pójść!

– Ależ oczywiście. – Mamma znowu się uśmiechała. – Dobrze, że masz miłe koleżanki w tej nowej szkole. Matka, która sama prowadzi auto, musi mieć mnóstwo pieniędzy, nie sądzisz?

To była prawda. Maria mieszkała w domu, w którym zmieściłoby się i ich mieszkanie, i mieszkanie numer trzy, i może jeszcze jakieś z ich bloku.

Jedzenie było pyszne. Nie był to makaron.

– Stek – powiedziała matka koleżanki, patrząc, jak wcina. – Smakuje ci?

Carla skinęła głową, nie chcąc mówić z pełnymi ustami. Pilnowała się też, żeby trzymać nóż i widelec tak samo jak koleżanka i jej matka. Po jedzeniu zaproponowała, że powyciera naczynia po zmywaniu.

Matka Marii rozpromieniła się.

– Widzę, że dobrze cię wychowano! Właściwie to mamy zmywarkę, ale możecie pomóc mi ją załadować, dziewczynki.

Jaka sprytna maszyna!

– Kosz na talerze jest tu, z boku. O tak, dobrze! – Matka Marii podała jej kolejny talerz, nie przestając z nią rozmawiać, tak jakby Carla była już dorosła. Bardzo to było przyjemne. – Maria mówiła mi, że twoja matka pochodzi z Włoch, tak jak mój mąż. A z jakiej okolicy?

Carla zawahała się, nie chcąc wypaść na głupią. Mamma zawsze była taka przygnębiona, kiedy pytała ją o rodzinę, że wołała nie pytać za wiele.

– Dokładnie nie wiem, ale podobno jest tam taka dolina, otoczona wzgórzami i wysokimi górami.

Mamusia mówiła, że z Florencji jedzie się około godziny, taką stromą drogą, pełną zakrętów.

– Naprawdę? Muszę spytać mojego męża, czy wie, gdzie to jest. Wiesz, mój mąż pochodzi z Florencji,

z samego centrum. Tam się właśnie poznaliśmy. – W jej oczach pojawiło się rozmarzenie. – Byłaś tam?

– Nie. – Carla potrząsnęła czarnymi lokami. – Ale mamusia mówi, że kiedyś pojedziemy.

Nie była to do końca prawda, ale chyba tak należało powiedzieć, bo matka Marii poczęstowała je następnie lodami, które wyjęła z zamrażarki. W przyszłości, postanowiła Carla, i ona będzie miała zamrażarkę i zmywarę, i taką śliczną toaletkę, jak ta w pokoju przyjaciółki. Wtedy nareszcie będą z mamą szczęśliwe.

Później matka Marii podwiozła ją pod dom, gdzie jak zwykle stała grupka chłopaków, którzy nic nie robili, tylko kopali butami w ścianę.

– Weszłabym z tobą, kochanie, ale nie chcę zostawiać tu samochodu.

Carla odprowadzała wzrokiem auto i czuła, że jej dobry nastrój się ulatnia. Ich własny dom wydawał się o tyle mniejszy!

– Dobrze się bawiłaś? – zawołała mamma z kuchni.

Carla skinęła głową.

– Może byśmy poprosiły Larry’ego, żeby nam kupił zmywarę? Matka Marii ma.

– Ale ona ma męża, *piccola mia*.

– A może... – Urwała, bo zadzwonił telefon.

– Ja odbiorę – powiedziała mamma.

Ale Carla była pierwsza. To na pewno Larry. Poprosi go o zmywarę dla mamy i o toaletkę dla siebie.

– Halo?

Tym razem naprawdę usłyszała czyjś oddech. I żadnego głosu.

Szybko odłożyła słuchawkę.

Lily

Koniec lutego 2001

Wszystko, co zaszło od września zeszłego roku, zmierzało do tego punktu. Zostały nam raptem trzy tygodnie. Napięcie rośnie. Nie tylko u mnie – w całej kancelarii.

Nawet gdybym chciała spędzać z Edem więcej czasu, byłoby to niemożliwe. Odkąd wróciłam po świątecznej przerwie do pracy, jest kocioł. Telefony. Listy. Wizyty w więzieniu. Podobno Joe Thomas zrobił awanturę, kiedy ostatnio Tony przyszedł sam, i nie chciał go widzieć.

– Chcę, żeby przyszła również pani Macdonald – powiedział.

No więc przyszłam. Jest we mnie ekscytacja i obawa zarazem. Zaledwie zauważam rutynowe pytania o cipsy, cukier, taśmę klejącą i ostre narzędzia.

Mówiąc samej sobie, że chyba oszalałam, podaję Joemu plik rozmaitych papierów do podpisu. Pod drugą teczką jest kolejny album z naklejkami z kolekcji mojego brata.

– Dzięki. – Joe świdruje mnie oczami, a ja mam uczucie, jakby kawałek metalu uderzał o metal.

Łatwo poszło! Ale ekscytację natychmiast wypiera strach i wyrzuty sumienia. Dlaczego ja nadal to robię?

Na szczęście Tony jest zajęty sporządzaniem notatek i nie zauważa mojego manewru. Od świąt jest rozkojarzony, jak zauważyłam. Od czasu do czasu zadaje Joemu drugi raz to samo pytanie.

– Nie zamierzam już więcej przyciskać naszego klienta, skąd ma te dane na temat bojlerów – powiedział przed spotkaniem, co wydało mi się zwrotem o sto osiemdziesiąt stopni. – Myślę, że więcej z niego wyciągniemy, jeśli będziemy mniej konfrontacyjni. Poza tym sprawdzono mi te dane jeszcze raz i zdecydowanie się bronią. Możemy być na tropie czegoś naprawdę dużego.

Mówiąc, przegarnął włosy dłońmi, co jest jego częstym nawykiem. Trudno było nie zauważyć, że z boku szyi ma fioletoworóżowy znak. Czy parom z trzydziestoletnim stażem (jeden z niewielu faktów dotyczących życia osobistego Tony'ego, które udało mi się z niego wyciągnąć) wciąż zdarzają się miłosne ukąszenia?

Po sprawie muszę się zająć własnym małżeństwem, absolutnie.

Teraz jednak dobrze się składa, że pracuję do późna: wracam do domu, kiedy Ed już się kładzie. Z pewnością mając za sobą kolejną butelkę wina.

Rośnie też nacisk ze strony mediów.

– Znowu dzwonią z „Daily Telegraph” – mówi jedna z sekretarek, z większym niż dawniej respektem. Ona też pracuje do późna. – Odbierze pani?

Nie. Jak zwykle. Po pierwsze, sprawa jest w toku. Nie możemy rozmawiać z prasą na temat nierozstrzygniętego przypadku. A nawet jeśli miałby to być jakiś reportaż o więźniach, którzy wygrali apelację, i ich późniejszych losach, to nie ma mowy.

Nie jesteśmy jeszcze na tym etapie.

Aż mnie mrowi w koniuszkach palców z podniecenia, kiedy sprawdzam po raz kolejny argumenty, dane liczbowe i zeznania świadków.

– Zdajesz sobie sprawę, że to sprawa kluczowa, prawda? – mówi mój szef. Podobnie jak sekretarki,

zaczął mnie w końcu traktować z większym szacunkiem. – Jeśli wygramy, wszyscy się do nas zlecą. Nie naciskam, Lily, ale tu może chodzić nie tylko o markę firmy. Również o twoją markę.

Nie tylko prasa i mój szef się ekscytują. Joe Thomas też, choćby nie wiem jak się starał ukryć emocje.

– Jak pan myśli, mamy szansę? – spytał podczas ostatniej wizyty, de facto ostatniej przed rozprawą w sądzie.

Tony skinął powściągliwie głową.

– O ile będzie się pan zachowywał tak, jak to przećwiczyliśmy. Proszę patrzeć przysięgłym w oczy. I pamiętać, że jednym z naszych koronnych argumentów jest to, że oficjalnie zdiagnozowano u pana zespół Aspergera, jak również potrzebę ciągłego sprawdzania i postępowania według określonych wzorów i rytuałów. Również dlatego sprawiał pan wrażenie chłodnego i pozbawionego emocji, kiedy przyjechała policja. Jedna na cztery osoby w Wielkiej Brytanii zaliczyła w życiu jakieś problemy związane ze zdrowiem psychicznym. Prawdopodobnie przynajmniej u niektórych przysięgłych wzbudzi to współczucie. A pozostałych pokonamy za pomocą faktów dotyczących produkcji bojlerów, jasnych i niedwuznacznych.

Ale Joe marszczy brwi.

– Nie wydaje mi się, żeby to był jakiś problem, że lubię wszystko sprawdzać. I wcale nie byłem chłodny i pozbawiony emocji. Chce pan, żebym wyszedł na jakiegoś dziwoląga.

– Nie o to chodzi – wtrącam się szybko. – Tony po prostu chce, żeby pan powiedział prawdę. Wytłumaczył, że Sarah spóźniła się na kolację, która zawsze była gotowa na czas. Że zwymiotowała, bo za dużo wypła. Nienawidzi pan bałaganu, więc zaproponował pan, żeby się wykapała. Ale nie pozwoliła, żeby jej pan nalał wody, tak jak normalnie, bo to był jeden z waszych rytuałów. Był pan o to zły, więc poszedł pan pozmywać, żeby zyskać trochę kontroli. Po upływie pół godziny zaniepokoił się pan, że nie słyhać plusku wody. Poszedł pan do łazienki sprawdzić, czy wszystko w porządku. Zobaczył ją pan w wodzie, całą w pęcherzach... To był po prostu straszny wypadek.

Przerywam. Obaj mężczyźni patrzą na mnie z uwagą.

– Całkiem jakbyś przy tym była – mówi Tony powoli.

W głowie błyska mi obraz stajni. Woń siana. Szron na krokwiach. Gorący oddech Merlina na mojej szyi. Przeraźliwy krzyk mamy: „Nie! To nieprawda! To musi być jakaś pomyłka!”

– Idźmy dalej, dobrze? – mówię ostro.

Gdyby to było takie proste.

Marzec 2001

– Ta sprawa, Wysoki Sądzie, ma wielkie znaczenie nie tylko dla oskarżonego, który zawsze konsekwentnie utrzymywał, że jest niewinny, dla rodziny zmarłej oraz szerszej publiczności – niesie się po sali sądowej dźwięczny głos Tony’ego Gordona. – Również dla osoby z mojego zespołu obrończego, która stała się obiektem poważnych prób zastraszenia. Koronna Służba Prokuratorska, i naturalnie moja szanowna koleżanka, zostały o tym powiadomione. Jeśli więc ktokolwiek na tej sali ma jakikolwiek kontakt ze sprawcą, winien wiedzieć, że dalsze tego rodzaju akty spotkają się z surowymi konsekwencjami.

Tony Gordon robi pauzę, pozwalając, by jego słowa wybrzmiały ze stosowną siłą. Muszę mu to oddać: kiedy przechadza się po sali, gestykulując i mierząc wzrokiem wszystkich po kolei członków składu sędziowskiego, jest w nim powaga i moc. Na ich miejscu byłabym już przekonana. Jak by to było – być żoną takiego mężczyzny jak Tony? Coś mi mówi, że nasz adwokat całkiem nieźle potrafi manipulować prawdą, tak żeby mu pasowała – i przekonać siebie samego, że ma pełne prawo tak robić.

Oskarżyciel zabierał już głos. Strona przeciwna wysunęła przeciwko Joemu ciężkie zarzuty, twierdząc, że jest autorytarnym despotą, który znęcał się psychicznie nad partnerkami, i że zamordował z zimną

krwią. Ale zabrakło im szczęścia, jeśli chodzi o dawną dziewczynę Joego, która kiedyś złożyła przeciw niemu doniesienie, że ją śledzi. Okazało się, że rok temu umarła na raka. Taka młoda! Jestem wstrząśnięta tym, że poczułam ulgę. Ale tak to jest w prawie. Czyjeś nieszczęście może być korzystne dla drugiej strony.

– Należy od razu podkreślić – ciągnie Tony – że choć zastraszanie członkini mojego zespołu jest kwestią poważną, to wydaje się, iż nie ma znaczenia dla meritum sprawy, która jest przedmiotem tego posiedzenia. Jeśli jednak okaże się inaczej, złożę wnioszek o włączenie jej do materiału dowodowego, który zostanie zaprezentowany Wysokiemu Sądowi.

Czuję, że czerwienię się jak burak. Tony nie przygotował mnie na to.

Pomimo iż przed chwilą stwierdził, że „nie ma to znaczenia dla sprawy”, zaczyna wyliczać poszczególne przypadki zastraszania. Czy to element jego strategii?

– Wysyłano do niej listy z pogrózkami. Ukradziono jej na ulicy torbę z ważnymi dokumentami. Co najgorsze jednak – aby skłonić nas do zaniechania tego przypadku, otruto jej ukochanego konia.

Moje nazwisko nie zostaje wymienione, podobnie jak fakt, że pierwszy list pochodził od wuja Sarah, ale moja czerwona twarz i szybkie, lecz znaczące spojrzenie Tony’ego w moją stronę jednoznacznie świadczą, o kim mowa.

Rozlega się zbiorowe „yhh!”. Joe Thomas patrzy na mnie z ławy oskarżonych. W jego spojrzeniu jest współczucie, którego dotąd u niego nie widziałam, nawet kiedy opowiadał o biednej Sarah.

Jak Tony mógł mnie tak wystawić na pokaz? Po czym dociera do mnie, że to celowy chwyt. Chciał pokazać przysięgłym łzy w moich oczach. Krzywdę wyrządzoną mi przez nieznaną moc, które nie chcą, żeby ten przypadek trafił do sądu. Biegłych może nie przekonać Joe Thomas z jego pełnym wyższości sposobem bycia, ale raczej będą współczuć młodej kobiecie, takiej jak ja.

Przez chwilę skupiam się na tym, żeby zachowywać się profesjonalnie. Mówimy tu o przyszłości Joego Thomasa. Człowieka, którego nawyki mogą wyglądać dziwnie dla wszystkich oprócz mnie. Człowieka, który padł ofiarą przekrętu na skalę ogólnokrajową.

Kiedy zakłopotanie mija, zaczynam się rozglądać po sali. Nie byłam tu dotąd, bywałam wyłącznie w sądach pracy. Ta sala jest inna. Większa. Niemal jak kościół. Drewno to mahoń. Joe Thomas siedzi na podwyższeniu w szklanej kabinie. Ścisną dłońmi półkę przed sobą. Gorąco tutaj, choć na dworze leży szron. O mało się nie pośliznęłam, kiedy szłam tu dziś o pół do dziewiątej rano.

Uderza mnie, że z zewnątrz budynek tego sądu, podobnie jak innych, wygląda jak każdy inny miejski urząd: biała, trochę podniszczona fasada, klimat powagi. Nic nie zdradza tego cyrku – i teatru – który rozgrywa się wokół nas.

Stawką jest przyszłość człowieka.

Co za odpowiedzialność!

Zaczynam się pocić.

Joe Thomas też.

Śledzimy, jak oskarżyciel i Tony odpytują ekspertów gazownictwa, statystyków, specjalistów od BHP i policjantów obojga płci, którzy byli tamtego dnia na miejscu zdarzenia. Po czym Tony ciska granatem. Kolejnym, na który mnie nie przygotował. Wzywa na stanowisko dla świadka człowieka, który po śmierci Sarah wprowadził się do ich mieszkania. Po serii nieszkodliwych pytań wstępnych przechodzi do rzeczy.

– Czy mógłby pan opisać waszych sąsiadów, państwa Jonesów?

Młody człowiek głośno wzdycha.

– Trudni. Zawsze bardzo głośno włączali telewizor. Mówiliśmy im o tym, ale nas zignorowali. Zwracaliśmy się do administracji, ale to nic nie dało. W końcu nie można już było wytrzymać i złożyliśmy wniosek o mieszkanie gdzie indziej.

– Czy pana zdaniem można uznać za wiarygodne, że – jak twierdzili Jonesowie – słyszeli głośne krzyki

dochodzące z mieszkania ofiary?

– Szczerze mówiąc, byłbym zdziwiony, gdyby słyszeli cokolwiek poza rykiem własnego telewizora.

Wiedziałaś, że Tony jest dobry. Ale nie wiedziałaś, że aż tak.

Potem za barierką staje dawny szef Sarah. Nie chciał zeznawać, bo była jego „kumpelką”. Pod przysięgą jednak przyznał, że Sarah miała „problem z pićm”. Okazuje się, że na krótko przed wypadkiem dostała ostatnie ostrzeżenie w związku z nietrzeźwością w miejscu pracy.

Wszystko to pomaga stworzyć bardziej rozległy obraz, w ramach którego Joe nie jest już takim demonem, na jakiego go zrobiono w pierwszym procesie.

Następnie zostaje odpytana ekspertka medyczna. Tak, potwierdza, to całkiem możliwe, że osoba, która miała „zbyt dużo alkoholu w organizmie”, może wpaść do gorącej kąpieli, nie zdając sobie z tego sprawy, i może być zbyt pijana, aby z niej wyjść. I tak, sińce na skutek upadku, a następnie prób wydostania się, mogą być trudne do odróżnienia od tych spowodowanych uderzeniem przez inną osobę.

Dlaczego nie wezwano tych ekspertów podczas pierwszego procesu? Jak już mówiłam, są prawnicy dobrzy i mniej dobrzy. No i, rzecz jasna, dotarcie do właściwych ekspertów wymaga czasu (a tym samym pieniędzy) i pomysłowości.

Zeznają kolejne osoby z sąsiedztwa. Dwie starsze panie, siostry. Dobry ruch ze strony Tony’ego. Panie kolejno stwierdzają, że często widziały, jak Joe zachowuje się wobec Sarah „po dżentelmeńsku”. Zawsze otwierał jej drzwiczki samochodu. Niósł zakupy. Tego typu rzeczy.

– Często mówiłyśmy, że ta młoda kobieta ma szczęście – uśmiecha się starsza z sióstr.

Następnie zostaje wezwana koleżanka Sarah. Jest to tak zwany świadek zeznający na niekorzyść powołującej go strony. Ktoś, kto nie chce zeznawać, ale jest do tego zmuszony przez sądową procedurę. Tak, przyznaje, Sarah miała problem z alkoholem i w związku z tym robiła czasem jakieś głupie rzeczy. Czy mogłaby dać przykład? Jak było w piątek, zanim zginęła? Dziewczyna z oporem wyjawia, że Sarah o mało nie przejechała samochód, bo była pijana. Czy możliwe jest, że Sarah po pijanemu mogła wpaść do zbyt gorącej kąpieli? Kolejne niechętnie „tak”.

Jutro zostanie przesłuchanych kilku specjalistów w zakresie spektrum zaburzeń autystycznych. Joe tego nienawidzi, ale wie, że jest to potrzebne w jego obronie. Podobno cierpi na nie jedna na sto osób. Miejmy więc nadzieję, że w kimś ze składu sędziowskiego lub biegłych obudzi się zrozumienie i współczucie.

I wreszcie przy barierce dla świadka staną krewni tych, którzy też się poparzyli, ale przeżyli. „Najlepsze na koniec”, jak taktownie ujął to Tony.

Ale najlepsze w tym wszystkim jest to, że odkąd zaczęły się przesłuchania świadków, ani razu nie pomyślałam o Tony’em.

Po sprawie. Po sprawie. Wisi nade mną najtrudniejsza decyzja w życiu.

Ale w głębi duszy wiem, co powinnam zrobić.

– Biegłych nie było tylko pięćdziesiąt pięć minut! A twierdziliście, że to potrwa parę godzin!

Twarz Joego jest inna niż w więzieniu. Rozpromieniona. Rozradowana. I wyczerpana.

Tak samo czujemy się Tony i ja.

– Wiedzieli, że jestem niewinny. – Joe ma pianę z piwa na górnej wardze. Powiedział, że to pierwsze, o czym marzy. Kufel piwa w pubie „w towarzystwie Wolności i dwojga ludzi, dzięki którym stała się możliwa”.

Nigdy przedtem nie słyszałam, żeby mówił tak emocjonalnie. Ale mówiąc, patrzy na mnie. Jestem w tej chwili pijana z euforii, tak jakbym to ja została uniewinniona. Tony czuje to samo. Widzę to po jego promieniejącej twarzy, która mówi: „Wygraliśmy”.

– Prawo to gra – powiedział mi na początku. – Jeśli wygrasz, jesteś królem. Jeśli przegrasz,

jesteś nikim. Nie możesz sobie pozwolić na to ostatnie. Właśnie dlatego jest to uzależniające. Właśnie dlatego siedzisz na ławie oskarżonych razem ze swoim klientem.

I dlatego, mogę teraz dodać, musisz wygrywać spory również w życiu prywatnym. Bo jeśli nie, zdaje się to świadczyć (słusznie bądź nie), że i w pracy jesteś do niczego. Czy Tony wygrywa w kłótniach domowych? Podejrzewam, że tak. Nie chcę myśleć o własnej sytuacji.

Wejście do sądu okupował zwarty tłum, gęsty od kamer. Wznoszono okrzyki, błyskały flesze, dziennikarze podtykali nam mikrofony. Tony wygłosił krótką mowę w stylu: „To dzień wyrównania rachunków nie tylko dla Joego Thomasa, którego niewinność została w końcu udowodniona, ale także dla innych ofiar. Wkrótce oczekujemy kolejnych procesów”. Po czym zrezygnował w wymanewrował nas do czekającego już samochodu i zawiózł do pubu w Highgate, którego mieszkańcy to zwykli, choć dobrze sytuowani ludzie, a nie prasa. W tłumie przed sądem wypatrywałam Eda, ale nigdzie go nie widziałam.

Później o nim pomyślę. Teraz jest chwila dla nas.

Dziękuję za wszystko. Można by się spodziewać, że to właśnie powie Joe. Tak zachowałby się człowiek normalny. Ale Daniel też nie mówił „dziękuję”.

– Czym się pan teraz zajmie? – pyta Tony, sącząc piwo, i zerka na zegarek. Ze sposobu mówienia domyślam się, że zirytowało go, że mu nie podziękowano, i że – co znamienne – tak naprawdę nie dba już o naszego klienta, który, formalnie rzecz biorąc, nie jest już naszym klientem.

Joe Thomas wzrusza ramionami.

– Wykorzystam te pieniądze, żeby zacząć od nowa gdzie indziej. – Ma na myśli solidarnościowe datki, które wpływały w trakcie sprawy, gdy Joe zadeklarował, że nie oczekuje rekompensaty finansowej, a wyłącznie rehabilitacji nazwiska. – Raczej myślę też o innym zajęciu – dodaje.

Błyska mi w pamięci, jak parę miesięcy temu przeczytałam w pociągu charakterystykę mojego klienta:

Poufne

Joe Thomas, 30, sprzedawca ubezpieczeń. Oskarżony o zamordowanie Sarah Evans, ekspedientki, dziewczyny oskarżonego.

– Dokąd się pan wybiera? – pytam. Tony rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie: nie podchodź za blisko. Zrobiliśmy swoje.

– Pewnie pójdę do jakiegoś hotelu. Albo pensjonatu. Raczej nie mam domu, do którego mógłbym pójść na noc.

Raz jeszcze uderza mnie dosłowność, z jaką odebrał moje pytanie.

– A jeśli chodzi o przyszłość, tak ogólnie? – pytam łagodnie.

– Jeszcze dobrze nie wiem. – Joe patrzy mi nieruchomo w oczy. – Jakieś sugestie?

Gardło mam zaciśnięte.

– Ja na pańskim miejscu prawdopodobnie wyjechałabym za granicę. Może do Włoch? – Bóg raczy wiedzieć, dlaczego przyszło mi do głowy miejsce mojej podróży poślubnej.

Joe ociera usta rękawem.

– A nie wyglądałoby na to, że uciekam?

Tony wstaje.

– Nie chcę, żeby pan pomyślał, że to ja uciekam, ale jestem umówiony. – Ścisną mi rękę. – Dobrze mi się z tobą pracowało, Lily. Daleko zajdziesz. – Po czym spogląda na Joego i jakby się waha. Wstrzymuję dech.

Od czasu do czasu mam wątpliwości, czy Tony naprawdę wierzy w niewinność Joego. I czy w ogóle ma to dla niego jakieś znaczenie.

To sukces jest tym, na czym mu zależy. Wygrać ważną sprawę, która trafi na nagłówki gazet! Widziałam, jaki był zadowolony wobec tych wszystkich kamer, kiedy wyszliśmy z sądu. A ja z nim to dzieliłam. Mieliśmy swój udział w tworzeniu historii – i było to wspaniałe.

– Wszystkiego dobrego na przyszłość.

Ufff! W duchu wydaję westchnienie ulgi, kiedy w końcu Tony podaje rękę Joemu i odchodzi. Ale nasz klient zauważył zwłokę.

– Nie lubi mnie. – Brzmi to raczej jak stwierdzenie faktu, a nie oczekiwanie zaprzeczenia.

Milczę.

– Ale pani mnie rozumie. – Joe znowu przygwaźdża mnie spojrzeniem, po czym spogląda na torbę z rzeczami, które oddano mu na wychodnym. Ciekawe, czy jest w niej także album Daniela i książka o ptakach. Nie chcę ich z powrotem – za dużo wspomnień się z nimi łączy.

Może sprawia to podwójny dżin z tonikiem, który postawił mi Tony, chociaż prosiłam o pojedynczy. Może ulga, że wygraliśmy. A może to dlatego, że Joe tak bardzo przypomina mi Daniela. Jakakolwiek jest przyczyna, nieoczekiwanie dla siebie zaczynam mówić.

– Miałam kiedyś brata.

Moje oczy błędzą w stronę ulicy. Czy wspominałam już, że siedzimy w ogródku? Choć to późne popołudnie, powietrze jest dość łagodne. Poza tym, choć się nie umawialiśmy, wszyscy potrzebowaliśmy trochę powietrza po długim siedzeniu w sali sądu. Obok przechodzi ramię w ramię jakaś para i czuję woń drogich perfum kobiety. Zaraz jednak głowa przełącza mi się na inny zapach. Zapach siana. I śmierci.

To, że Daniel ćpa, odkryłam na tydzień przed jego siedemnastymi urodzinami, kiedy matka posłała mnie po niego, żeby zszedł na kolację. Siekał kuchennym nożem coś białego.

– To niebezpieczne! – Widywałam, jak dziewczyny z ostatniej klasy robiły coś podobnego w szkolnej toalecie, choć sama nie miałam z dragami do czynienia.

– No to co?

– Co jest niebezpieczne? – usłyszeliśmy z tyłu głos ojca.

Daniel wepchnął dowody rzeczowe do kieszeni dzinsów. *Nie mów* – błagały jego oczy. *Nie mów*.

– Jechać pięćdziesiątką, kiedy dozwolona jest czterdziestka. – Wzięłam z biurka podręcznik prawa jazdy.

– Oczywiście, że tak nie wolno, synu. Jeśli tego nie zrozumiesz, to nigdy nie zrobisz prawa jazdy. Chociaż prawdę mówiąc, moim zdaniem w ogóle nie powinieneś podchodzić.

– Dlaczego? – Ciemne oczy Daniela zapłonęły gniewem.

– Bo twój instruktor mówi, że jeździsz za szybko.

– Przynajmniej nie robię tego, co ty.

Zapadła cisza.

– O co ci chodzi?

Oczy Daniela zwęziły się w szparki.

– Wiesz o co. Słyszałem przez drugi telefon, jak rozmawiałeś. I to nie raz. I zamierzam powiedzieć mamie.

Tato zeszywniał.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Ja też nie wiedziałam.

– Nic takiego – powiedział brat, kiedy go później pytałam.

Jeszcze jedno kłamstwo Daniela, powiedziałam sobie. Żeby odwrócić uwagę od własnego zachowania i skierować reflektor na kogoś innego. Już tak bywało.

Tego wieczoru Daniel odmówił zejścia na kolację. Został u siebie i włączył muzykę tak głośno, że sufit wibrował i kręciło się nam w głowach.

– Ścisz to! – ryknął ojciec, waląc w drzwi.

Daniel nie raczył odpowiedzieć. Jak zwykle przysunął łóżko do drzwi, tak że nikt nie mógł wejść.

Później, przechodząc pod drzwiami sypialni rodziców, usłyszałam, że się kłócą. To była najgorsza kłótnia, jakiej kiedykolwiek byłam świadkiem. Bo zdarzały się oczywiście już wcześniej. Zawsze o Daniela. Co jest nie tak z tym chłopakiem? Jak my to dłużej wytrzymamy? Tego typu rzeczy.

Ale ta była inna. Przeraziła mnie.

– Słyszałam, co mówił Daniel. Z kim rozmawiałeś przez telefon?

To matka.

– Z nikim.

– Przysięgniesz? Na życie dzieci?

Długa cisza. Potem dobiegł mnie cichy głos. Musiałam przyłożyć ucho do drzwi, żeby usłyszeć resztę.

– ...przez ciebie. Nie zdajesz sobie sprawy?... cała twoja uwaga jest skierowana na Daniela... poszukałem gdzie indziej.

Znękany głos mamy mówił sam za siebie.

– A więc to prawda? Jak mogłeś? Kochasz ją? Zamierzasz nas zostawić?

Nie dosłyszałam odpowiedzi. Wyłącznie rozpaczliwy płacz.

Skulona po drugiej stronie drzwi, czułam się niemal chora. Tato ma inną kobietę?

Po czym zobaczyłam jego. Daniela. Wchodził po schodach. Uśmiechał się szeroko, jakby nic się nie stało. Miał wielkie, rozszerzone czarne źrenice.

Rzuciłam się za nim do sypialni.

– Mama i tato się rozchodzą. I to wszystko przez ciebie!

Wzruszył ramionami.

– Powinna się była dowiedzieć.

Jego obojętność sprawiła, że się we mnie zagotowało.

– Jakbyś nie był taki okropny, to z rodzicami wszystko byłoby dobrze!

Spojrzał na mnie, wstrząśnięty. Nic dziwnego. Zawsze go przecież chroniłam. Kochałam. Dbałam o niego, tak jak mi nakazano od chwili, kiedy się u nas pojawił. Chociaż nieustannie wystawiał na próbę naszą wytrzymałość.

Ale szok związany z odkryciem ojcowskiego romansu sprawił, że miałam czerwono przed oczami. I dlatego powiedziałam coś jeszcze.

– Nie powinniśmy cię byli adoptować. Wtedy i mnie byś nie skrzywdził. Nienawidzę cię!

Skrzywił się. Momentalnie wiedziałam, że go zraniłam. Nie. Zniszczyłam go.

Wyciągnęłam rękę do zgody. Odtrącił ją. Po czym tak jakby zmienił decyzję. Wziął mnie za rękę, ale tym razem ścisnął ją z całej siły, niemal miażdżąc mi kostki. Krzyknęłam z bólu. Potem przyciągnął mnie do siebie, tak że jego oczy – czarne, szalone – spojrzały wprost na mnie.

Poczułam woń jego oddechu.

Serce łomotało mi w piersi. Słowa czekały na końcu języka, gotowe, by je wypowiedzieć. Słowa, które miały zmienić nasze życie na zawsze.

– Jesteś złym człowiekiem, Daniel. Wszyscy to mówią, i mają rację. Jesteś zły!

A on się roześmiał. Wiedziałam, co ten śmiech znaczy.

Uderzyłam go w twarz. Mocno. W jeden policzek. W drugi.

– Wiesz co? Wolałabym, żebyś się w ogóle nie urodził.

– I co się stało?

Joe przykrywa dłonią moją dłoń. Głowy nachylają się ku sobie. Moja ze smutku. Jego ze współczucia. Czuję ten sam prąd, jaki przeniknął mnie w więzieniu, kiedy dawałam mu album.

Jestem pewna, że on też.

Tak to jest z ludźmi takimi jak Joe i do pewnego stopnia Daniel. Może nie okazują „stosownych”

emocji w stosownym czasie. Ale jeśli odpowiednio mocno nacisnąć, to krwawią. Nawet płaczą. Tak jak i my wszyscy.

– Wyszłam z domu – wykrztusiłam.

– Dokąd?

– Nie chcę... nie chcę o tym mówić.

Kiwa głową.

– W porządku.

– Kiedy wróciłam, mama szalała. Daniel zostawił karteczkę z jednym słowem: „Odchodzę”. Wszędzie go szukaliśmy. Ale to był... to była wielka posesja. Mieliśmy parę akrów ziemi. I stajnie. I tam go znalazłam... Często tam chodził. Oboje często tam chodziliśmy. Ale tym razem... wisiał. Na sznurze uwiązany do belki.

Dłoń Joego mocniej ściska moją. Słowa mieszają się teraz z płaczem.

– To ja go zniszczyłam. Nie był całkiem zdrowy...

– Co właściwie z nim było nie tak? – pyta cicho Joe.

Kręce głową.

– Określano to jako „świadome nieposłuszeństwo”. I że prawdopodobnie spowodowało to trudne dzieciństwo. Tak mówili tak zwani specjaliści... – Śmieję się ochryple. – Nigdy go oficjalnie nie zdiagnozowano, ale czasem się zastanawiam, czy...

Urywam. Nie chcę go urazić.

– Czy on też nie miał objawów ze spektrum autyzmu?

– Właśnie. Może i tak było. – Zaciskam dłonie, speszona. – Ale z drugiej strony, robił też takie rzeczy, które do tego nie pasują.

Joe patrzy na mnie z namysłem.

– To dlatego mnie rozumiałaś. – Nie jest to pytanie.

Kiwam głową. Jestem zakłopotana, ale i wdzięczna temu człowiekowi, że i on mnie rozumie.

– Przykro mi z powodu twojego konia. – W głosie Joego jest miękkość, której nigdy dotąd nie słyszałam.

Podnoszę na niego wzrok. Oczy ma teraz brązowe. Jak on to robi? Przechodzi od brązu do czerni i z powrotem?

– Tak naprawdę – mówię, szukając w torbie chusteczek do nosa – to był koń Daniela. Dlatego to jest takie trudne.

– Przejdźmy się – mówi Joe. I kiedy wstajemy, wydaje się w pełni naturalne, że bierze mnie za rękę.

Carla

Parę dni po wizycie Carli Maria podczas sprawdzania obecności podniosła rękę i spytała, czy mogłaby siedzieć w innej ławce.

– Dlaczego? – szepnęła Carla, choć ściśnięte serce już jej wszystko powiedziało.

Maria zignorowała ją. Tak jakby Carla nic nie powiedziała.

– Kto chce siedzieć z Carłą? – spytała zakonnica o rzadkich zębach.

Nikt się nie zgłosił. Przeciwnie, wszyscy się odsunęli. Jedna z dziewczynek – ta z mysimi ogonkami, która zawsze ją zapraszała, żeby pograć w gumę – szepnęła coś sąsiadce na ucho, osłaniając usta ręką. „Yhh!” – wyrwało się tej drugiej.

Zupełnie jakby znowu znalazła się w starej szkole... Carla była tak przygnębiona, że nie potrafiła rozwiązać zadania z matematyki, choć teraz w tym celowała. O co chodzi?

– Wyślą cię do Coventry – powiedziała inna dziewczynka, najmniej popularna w klasie, której zakonnica kazała usiąść obok Carli. Miała tłuste włosy, które matka pozwalała jej myć tylko raz na miesiąc, bo jak powiedziała Carli, w ten sposób nie niszczy się „naturalnych olejków”. Tę dziewczynkę najrzadziej wybierano, kiedy trzeba było utworzyć jakiś zespół, i to, że musiała z nią siedzieć, było jak najgorsza obelga.

– Coventry? – Carla nie zrozumiała. – Gdzie to jest?

Dziewczynka o tłustych włosach wzruszyła ramionami.

– To tam, gdzie z tobą nie rozmawiają. – Po czym wyciągnęła do niej rękę. – To fajnie, że będziemy teraz we dwie.

Ale Carla nie miała ochoty się kolegować z dziewczynką o tłustych włosach, której nikt nie lubił. Chciała przyjaźnić się z Marią, której matka zaprosiła ją na herbatę do ich pięknego dużego domu przy ulicy o szerokich chodnikach, na których nikt nie kopie puszek po piwie.

Na przerwie odnalazła Marię na boisku.

– Powiedz, co zrobiłam nie tak – poprosiła błagalnie.

Po raz pierwszy tego dnia Maria podniosła głowę i spojrzała na nią. Śliczne niebieskie oczy były zimne. Pogardliwe.

– Tatuś ma wujka, który mieszka na wsi w górach, niedaleko Florencji. – Maria mówiła tak, jakby Carla czymś śmierdziała. – Ten wujek zna twoich dziadków. Wszyscy ich tam znają. I mówią, że twoja matka jest złym człowiekiem.

Mamma? Złym człowiekiem? Mamma, co tak miło i serdecznie się uśmiecha, co pachnie różą i innymi ślicznymi perfumami, które codziennie sprzedaje w eleganckim sklepie żonom innych mężczyzn? To nie może być prawda.

– Mario! Mario! – W ich stronę szła zamasyście zakonnica o rzadkich zębach. Usta miała zaciśnięte, a na jej piersi bujał się krzyż. – Twoja matka poleciła mi, żebym ci nie pozwalała rozmawiać z tą dziewczynką.

Oczy Carli wezbrały łzami.

– Dlaczego?

Zakonnica przeżegnała się z rozmachem. Jeszcze w zeszłym tygodniu śmiały się ukradkiem z Marią z

tych jej wielkich piersi...

– Niedługo się dowiesz. Nie zapomnij zabrać listu do matki, jak będziesz dziś wracać do domu.

Kiedy mamma przeczytała list, rozplakała się.

– Matka przełożona chce zobaczyć twoją metrykę – łkała, siedząc z głową w ramionach przy chwiejnym kuchennym stole. – Chce mieć dowód, że masz ojca. To moja wina, że posłałam cię do katolickiej szkoły. W starej nikogo to nie obchodziło.

Carla objęła mamę ramieniem.

– A co, zgubiłaś metrykę? Może jest pod łóżkiem, tam gdzie trzymasz swoje rzeczy?

Mamma uniosła górną wargę, odsłaniając zęby. Przez chwilę przypominała Carli złą czarownicę z jej ulubionej książki.

– Kto ci pozwolił zaglądać pod moje łóżko?

Carla pomyślała o tym przystojnym panu w zabawnie przekrzywionym kapeluszu, na którego patrzyła za każdym razem, kiedy mammy nie było w domu. Zawsze tak miło się do niej uśmiechał!

– Przecież to tylko zdjęcia, mamusiu. Byłam ciekawa.

Mamma jęknęła.

– Ech, może powinnam ci powiedzieć. Ten pan to twój ojciec.

Jej tatuś! A więc tak wyglądał...

– Może – podsunęła, starając się jakoś pomóc – zabrał ze sobą do nieba te papiery?

– Nie. Nie zabrał. – Mamma wstała i wyprostowała się, odrzucając włosy do tyłu. Była teraz zła, a nie smutna. – Jakbyś się nie wygadała przed matką Marii, to nie byłoby tego wszystkiego.

Szloch wyrwał się z ust Carli jak gigantyczna czkawka.

– Ale ja nie wiedziałam, że robię coś złego!

Nic nie pomogło. Mamma zabrała się do swojej sypialni i – pierwszy raz, odkąd Carla pamiętała – zamknęła się na klucz.

– Otwórz, otwórz, mamusiu – błagała Carla.

Ale jedyne, co słyszała, to łkanie mammy.

Może ten zły nastrój jej przejdzie, tak jak wtedy po świętach? Może dziewczynki znowu będą dla niej miłe?

Ale myliła się. W miarę jak mijały tygodnie, było coraz gorzej. A potem mamma dostała list od matki przełożonej. Do końca marca miała doręczyć metrykę urodzenia, inaczej Carla nie będzie mogła uczęszczać do tej szkoły. Podobno należało ją „okazać” przy zapisie, ale nastąpiło „przeoczenie”.

Nikt nie chciał się z nią bawić na przerwie. W zeszłym tygodniu zaczął padać śnieg; wszystkie dziewczynki przycisnęły nosy do szyby i z ożywieniem paplały, jak to zaraz po powrocie do domu zabiorą się za lepienie bałwana. Maria miała już nową przyjaciółkę: śliczną dziewczynkę, której wujek podarował jej srebrny krzyżyk, i wszystkim go pokazywała. Nawet dziewczynka o tłustych włosach odsunęła się od Carli, kiedy na przerwie stłoczyły się w sali gimnastycznej, bo było za mokro, żeby się bawić na dworze.

– Słyszałam, jak mówią o tobie, że jesteś „bękart” – powiedziała cicho.

Carla przez całe popołudnie obracała to słowo w ustach. Po powrocie do domu zajrzała do *Słownika dla dzieci*. Dziwne... Nie było go tam.

– Co to znaczy: bękart? – spytała, kiedy mamma wróciła do domu w swoim ślicznym białym sklepowym kostiumiku.

– Więc tak cię teraz nazywają? – Matka położyła głowę na kuchennym stole i zaczęła bić w niego pięściami, tak że jedna noga się złamała i trzeba go było podeprzeć książką telefoniczną.

Minął kolejny dzień. I jeszcze kolejny.

– Metryka jeszcze nie przyszła z Włoch?

– Nie, *cara mia*.

Mimo że mamma powiedziała jej w końcu, że nie ma żadnej metryki, i tak czekały na listonosza.

– Bo wtedy będziemy mogły uczciwie powiedzieć, że czekamy, aż przyjdzie – wyjaśniła mamma, szcztokując włosy Carli, tak jak robiła co wieczór. – Gdybym tak mogła powiedzieć o tym Larry’emu... Na pewno by pomógł.

To była kolejna sprawa. Larry miał teraz bardzo dużo pracy. Tak dużo, że nie miał czasu ich odwiedzać.

– Jest bardzo ważny – mawiała często mamma. – Pomaga królowej zdecydować, co jest dobre, a co złe.

I wreszcie któregoś wieczoru, kiedy Carla już była w łóżku, usłyszała przy drzwiach jego głos. Normalnie wchodził tylnym wejściem, a poza tym dziś była środa! A Larry przychodził wyłącznie we wtorki i w czwartki, a czasem w niedziele (choć w ostatnim okresie jego niedzielne wizyty były częstsze). Coś się stało! Wiedziała o tym. Wstała z łóżka i w piżamie wyjrzała na korytarz. Larry okręcał mamkę w ramionach. Nawet nie weszli do mieszkania! Każdy mógł ich zobaczyć! Uch.

– Kocham cię... Wygraliśmy sprawę... Chciałem ci powiedzieć, zanim pojadę do domu...

Słowa odbiły się echem w wąskiej przestrzeni korytarza. Słowa, których nie rozumiała. Po czym skrzypnęły drzwi i rozległ się inny głos.

– Tony?

To była Lily!

– To nie jest Tony! – Carla podbiegła, gotowa wyjaśnić nieporozumienie. – To Larry. Znajomy mojej matki. Spotyka się z nią w niedziele, kiedy jestem u was...

I zatkała sobie usta rękami, bo przecież Lily myślała, że mama wtedy pracuje! A nie że jest w łóżku z Larrym.

Teraz mamma znowu będzie na nią zła... Ale nie, wyglądało na to, że jest zmieszana.

– O co chodzi?

– Co ty tu robisz, Tony? – Lily patrzyła na Larry’ego z dziwnym wyrazem twarzy.

Mamma wyraźnie zaczynała się bać.

– To nie jest Tony. Pani się myli. Larry, powiedz jej!

Ale Larry odepchnął jej rękę i podszedł do Lily. Szyję miał czerwoną.

– Muszę z tobą porozmawiać – rzekł.

Trudno było dokładnie usłyszeć, co mówił do niej w kącie, ale wyłapała parę słów, jak „docenić” i „dyskrecja”, które doskonale rozumiała, bo były na początku słownika.

– Chcesz, żebym utrzymała w tajemnicy twój obrzydliwy romans? – Lily była teraz tak samo czerwona jak Larry. Po czym zwróciła się do mammy. Carla nigdy nie widziała, żeby oczy jej przyjaciółki ciskały takie błyskawice. – Jak możesz się spotykać z cudzym mężem? Wstydu nie masz? A co do ciebie, Tony, to jak jeszcze raz zobaczę cię z tą kobietą, powiem twojej żonie.

Carli błysnęła w głowie obraz zasuwających się zasłon w oknie, które widziały w święta.

– To nie twoja sprawa!

– W to zamieszane jest dziecko, Tony! Ostrzegam cię. Mówię poważnie.

I Lily wparowała z powrotem do siebie, trzaskając drzwiami.

– Dlaczego ona się złości? – spytała Carla, kiedy Larry wepchnął je do ich mieszkania.

– Skąd znasz Lily? – Mamma pociągnęła Larry’ego za rękaw, marszcząc brwi.

Larry nie był już czerwony. Był biały.

– Ona – wskazał na Carlę – powinna być w swoim pokoju.

– Nie. – Mamma tupnęła nogą. Przypominało to Carli odgłosy tańca, które słyszała przez ścianę, ale matka teraz nie tańczyła. – Moja córka też będzie słuchać. Okłamujesz mnie? W takim razie okłamujesz i

ją. Obie powinnyśmy znać prawdę.

My? Carlę wypełniło cudowne ciepło. Po raz pierwszy, odkąd pojawił się w ich życiu Larry, poczuła się tak, jakby znowu stanowiły z mamą jedną drużynę.

Na twarzy Larry'ego pojawił się gniew.

– Jak sobie życzysz. Wiesz, że mam inną rodzinę. Powiedziałem ci o tym na samym początku.

Mamma spuściła głowę, tak jakby niechętnie tego słuchała.

– Pracuję z Lily. Nic nie wiedziała o... o moim życiu prywatnym. Nie wiedziała o nas. Ani nikt inny. Powiedziałem ci, że mam na imię Larry, żeby zachować coś w rodzaju anonimowości. – Westchnął głęboko. – Ale naprawdę nazywam się Tony.

– Tony Smith, a nie Larry Smith? – wyszeptała matka.

Nie był już zły. Znowu westchnął. Ciężko, ze znużeniem.

– Nie. Tony Gordon.

Usta mammy poruszały się, jakby powtarzała to sobie po cichu. A może znowu odmawiała swoje Zdrowaś Mario.

– Rozumiem – powiedziała w końcu. – Musimy teraz bardziej uważać.

Tony wziął ją w ramiona.

– Posłuchaj, Francesca. Musimy przestać się widywać na jakiś czas, dopóki ta burza nie przeminie. Nie mogę ryzykować, że Lily powie mojej żonie.

Zarazem patrzył na Carlę. Wiedziała, co chce jej przekazać. Wiedziała tak dobrze, jakby wypowiedział to na głos. *Odejdź. Nie jesteś tu teraz potrzebna.* Teraz jej szansa.

– A ta pani w samochodzie? – wybuchnęła. – Ta, którą pan całował przed moimi urodzinami? Też ją pan kocha?

Nastąpiło straszliwe milczenie. Matka cofnęła się o krok i wpadła na kuchenny stół. Larry otworzył usta.

– Ty przebiegła mała... – syknął.

– Wynoś się!

Z początku Carla myślała, że mamma krzyczy na nią. Ale nie. To było do Larry'ego. „Wynoś się, wynoś się!” – wrzeszczała. Carla przerażona patrzyła, jak mamma ciska w niego puszką. Puszką fasolki. Nie trafiła. O włos. Potem kolejną. Tym razem była to puszka pomidorów. Włoskich.

Larry był taki czerwony, że Carla myślała, że puszka pękła i policzki ma umazane pomidorami.

– Popełniłaś wielki błąd, młoda damo – powiedział, schylając się do poziomu Carli. – Przekonasz się.

I wymaszerował z mieszkania, pozostawiając mamę szlochającą na podłodze, na klęczkach, zgiętą we dwoje jak skorupka ślimaka.

– Przepraszam, mamusiu – wyszeptała Carla. – Nie powinnam była mówić o tej pani w samochodzie. Obiecałam Larry'emu, że nic nie powiem. To dlatego podarował mi Charliego...

Mamma podniosła głowę. Twarz miała w czerwonych plamach. Tak jak przed chwilą Larry.

– Przekupił cię?

I zaszlochała jeszcze gwałtowniej. Płakała tak głośno, że Carlę zaczął boleć brzuch. Ból był coraz większy i większy, wreszcie zmienił się w twardy, pulsujący węzeł.

Kiedy zadzwonił telefon, obie go zignorowały.

– Brzuch mnie boli – powiedziała cicho Carla.

Mamma wciąż leżała na podłodze.

– Nie licz na to, że ci uwierzę – załkała. – Nikomu już nie uwierzę! Nigdy więcej. Nawet sobie samej.

W nocy Carlę bolało coraz gorzej. We śnie ból to był rozgrzany do czerwoności kij, którym ktoś dźgał ją w środku. Maria. Raz, raz. I znowu.

– Maria! – krzyknęła. – Przestań! Proszę... Pozwól mi się bawić!

– Już dobrze, malutka – przepłynął nad nią głos mammy. – Zaraz przyjdzie doktor.

Lily

Kiedy wracam z Hampstead, jest prawie siódma. Ed siedzi przy kuchennym stole i rysuje.

– Wygraliśmy – mówię.

Po jego minie widzę, że nie rozumie. Tak się zapamiętał w pracy, że zapomniał, że dziś miał zapaść wyrok. Po czym się ogarnia.

– Fantastycznie! – mówi. Podrywa się i mnie obejmuje. – Musimy to uczcić! Otworzymy butelkę. – Na jego twarzy pojawia się napięcie. – A potem musimy porozmawiać, tak jak obiecałaś.

Drzę na myśl o czekającej mnie rozmowie. Otwieram lodówkę i z lękiem stwierdzam, że butelka pinota, która była tu jeszcze dziś rano, zniknęła. Nie ma wątpliwości, kto ją wypił... Ale nie mam siły na kłótnie.

– Skończył się nam alkohol.

– Skoczę do sklepu. – Stara się, muszę mu to przyznać.

– Może lepiej ja. – Choć dopiero co wróciłam, już mam klaustrofobię. Tak się boję tego, co mnie czeka, że po prostu muszę stąd wyjść.

Ruszam do drzwi i w ostatniej chwili widzę przez okno jakiegoś mężczyznę, który zmierza do wejścia. Kapelusz ma nasunięty głęboko na oczy, ale coś w jego chodzie wydaje mi się znajome.

Wychodzę na korytarz.

Przez chwilę moje oczy nie pojmują tego, co widzą. Mężczyzna, którego widziałam przez okno i który uniósł teraz Francescę i okręca ją w powietrzu (a mała Carla w białej piżamce się przygląda), to Tony!

– Kocham cię – słyszę, kiedy stawia ją na ziemi. – Wygraliśmy sprawę! Chciałem ci powiedzieć, zanim pojedę do domu.

Zbieg okoliczności to coś, co wydaje się naciągane, dopóki nie zdarzy się w realnym życiu. W tym krótkim okresie, kiedy pracuję jako prawniczka, już tyle razy miałam z nimi do czynienia... W większości były tragiczne. Ojciec, który w dniu, kiedy urodziło mu się dziecko, niechcący przejechał starsze, dwuletnie. Starsza pani, którą w ciemności zaatakował nożem jej własny adoptowany syn, niezdający sobie w tamtej chwili sprawy, kim jest ta kobieta. Dziewczyna, która miała dziecko z ochroniarzem w nocnym klubie, który następnie okazał się jej ojcem. Dopiero po jego odejściu jej matka przekonała się, że jest w ciąży, i facet dotąd nie miał pojęcia o jej istnieniu.

A teraz Tony i moja sąsiadka.

Jestem rozczarowana. I zła. Mało zła – wściekła!

Jak można pilnować praworządności, jeśli człowiek sam zachowuje się niemoralnie? Co za hipokryzja!

Może to trochę i dlatego, że pamiętam rozpacz matki, kiedy dowiedziała się o romansie ojca. Romansie, który prawdopodobnie został szybko zakończony, bo po tamtej kłótni wszystko między nimi wróciło wkrótce do normy. Wątpię, żeby po śmierci Daniela którekolwiek z nich miało siłę czy to na miłość, czy na walkę. Ale naznaczyło to moją matkę. Nigdy już nie mówiła do ojca tak jak dawniej. Może dlatego, że w jakiś sposób obwiniała jego niewierność za śmierć Daniela? Staralam się później przebaczyć ojcu, ale pęknięcia w rodzinie z trudem się zrastają.

Całe to kłębowisko trudnych uczuć sprawia, że nie panuję nad sobą i zaczynam wrzeszczeć.

– Jak możesz się spotykać z cudzym mężem? Wstydu nie masz? A co do ciebie, Tony, to jak jeszcze raz zobaczę cię z tą kobietą, powiem twojej żonie!

Oczywiście tak naprawdę wcale bym nie powiedziała. Przede wszystkim nie znam jego żony, a poza tym przyniosłoby to tylko jeszcze więcej bólu. Ale jestem taka zła, że sama nie wiem, co mówię.

– Co to były za hałasy? – pyta Ed, kiedy wracam.

Opowiadam mu, co się stało.

Ed podnosi głowę znad rysunku. Jest to nos. Zgrabny, łobuzersko zadarty nosek. Całkiem jak Carli.

– Nie uważasz, że lepiej było się nie wtrącać?

– Nie. – Odwracam się. – To nie w porządku. I wobec żony i dzieci Tony’ego, i wobec Carli. Kiedy była u nas, Tony spotykał się z Francescą! Mężczyzna był dla niej ważniejszy niż dziecko. I jak, na litość boską, oni się poznali?

– Wygląda na to, że bardziej się przejmujesz nimi niż nami. – Ed jest wyraźnie zdenerwowany. Wiem, że chce porozmawiać, jestem mu to winna. – Może otworzymy to wino?

– Zapomniałam po nie pójść z tego wszystkiego.

– No to ja pójdę. – Kładzie mi rękę na ramieniu. – Obojgu nam potrzebny jest kieliszek, nie sądzisz?

Kiedy zamyka za sobą drzwi, przypomina mi się, co powiedział kiedyś Tony: „Zdarza się, że człowiek przysiągłby, że niebieskie to czarne. Naprawdę w to wierzy. Wszyscy tak robimy. To nie jest tak, że prawnicy kłamią. Raczej podkrecają fakty, żeby stworzyć inny świat, w który uwierzą również inni. Czy ktoś jest w stanie stwierdzić na pewno, że nie jest to lepszy świat?”

Kiedy Ed wraca, jestem już w łóżku. Udaję, że śpię.

Rano budzę się przed nim i zostawiam mu karteczkę: „Pogadamy dzisiaj. Obiecuję. Przepraszam”.

Co za ulga – znowu wrócić do pracy... Tu mogę zapomnieć o zmieszanej buzi Carli, której obraz wciąż czyha w mojej głowie. Telefony dzwonią niczym orkiestra. Ludzie miotają się zaaferowani. Czyste szaleństwo.

UWOLNIENIE SKAZANEGO OTWIERA FURTKE DO KOLEJNYCH PROCESÓW O WADLIWE BOJLERY – krzyczy nagłówek na stoisku z prasą w kącie.

– Dobra robota – mówi jeden ze współników, który nigdy dotąd nie okazywał mi szczególnej życzliwości.

– Nieźle ci poszło – przyznał mrukliwie szef.

Do biurka przywiązano mi pęk balonów. Na blacie stoi butelka szampana. A obok leży stosik korespondencji. Żadna wiadomość nie pochodzi od Tony’ego. Jak ja znowu spojrzę mu kiedyś w oczy? Ale to przecież on powinien się wstydić.

– Mieliśmy lawinę telefonów od potencjalnych klientów, którzy chcą, żebyś wzięła ich sprawę – dodaje szef. Po czym poklepuje mnie po plecach gestem pana i władcy. – Ale pogadamy o tym później. Może zrobisz sobie dziś wolne? Żeby odbić sobie te wszystkie nadgodziny, które kosztowała cię ta sprawa.

Powrót do domu w południe jest w zawodach prawniczych rzeczą nieznaną, chyba że cię wyrzucą z pracy. Mimo to przekręcam klucz z ciężkim sercem. Nie da się już uciec przed rozmową z Edem. Wszystko to jest takie poplątane...

– Ed?

Jest w dzinsach, a nie w służbowym garniturze. Boso. Na stole, wśród szkiców i kawałków węgla, stoi niedojedzona miseczka rozmiękłych płatków.

– Wróciłeś wcześniej z pracy?

– Nie.

Troszkę przeciąga, kiedy mówi, a jego oddech czuć alkoholem. Z boku, na podłodze, spostrzegam do

połowy opróżnioną butelkę jacka danielsa.

– Wylali mnie.

– Wylali?

Przez głowę przelatują mi możliwości. Obraził klienta? Pokócił się z szefem?

– Nakryli mnie, jak pracowałem nad tym, zamiast robić, co należy.

Słowo „należy” wypowiada z naciskiem, rysując zarazem w powietrzu znak cudzysłowu.

Patrzę na leżące przed nim rysunki. Uśmiecha się z nich do mnie mała Carla. Zawsze jest to Carla uśmiechnięta. Albo tańcząca. Albo jadąca na rowerze. Zagubił się w świecie iluzji.

– Na litość boską – wybucham. – Jak my sobie damy radę bez twoich pieniędzy? Zdajesz sobie sprawę, coś ty narobił?

– Muszę wiedzieć, jaka jest nasza przyszłość – mówi Ed, tak jakbym w ogóle nic nie powiedziała.

– Nie wiem. – Chce mi się krzyczeć. – Po tym, co mi powiedziałeś, nie jestem w stanie myśleć.

– Powiedziałeś, że porozmawiamy, jak będzie po sprawie. Mogliśmy to załatwić wczoraj wieczorem, ale ty wolałaś naprawiać życie uczuciowe sąsiadek niż nasze.

Co mam powiedzieć? To prawda. Mijam go i idę do łazienki. Po sprawie złapiesz doła, ostrzegał mnie Tony. To tak jak odstawienie narkotyku. Potrzeba wygrywania to uzależnienie.

– Muszę trochę pobyć sama – mówię i zamykam się na klucz. Siadam na brzegu wanny i odkręcam kurki. Gorący. Zimny. Gorący.

Po Sarah Evans nigdy już nie będę patrzyła na wannę tak jak dawniej.

I nigdy nie będę patrzyła tak jak dawniej na Eda.

Czy na siebie.

Rozpaczliwie zmuszam się do rozważenia istniejących możliwości.

Jeśli zostawię Eda, będę sama. Przestraszona. Z niepewną przyszłością.

Ale jeśli zostanę, to może uda nam się zacząć od nowa. Przy założeniu, że Ed mówił prawdę, że już mu nie zależy na Davinie. Ale czy mogę mu ufać? I czy mogę ufać sobie samej?

Trzeba podjąć decyzję. W tę stronę albo w tę.

Moneta? Daniel zawsze rzucał monetą, kiedy nie wiedział, co zrobić. Biorę do ręki magazyn, który zostawiłam obok wanny. Jeśli otworzy się na stronie z numerem nieparzystym, odchodzę.

A jeśli z parzystym – zostaję.

Otwieram magazyn na artykule, który radzi, jak przygotować niedzielną rodzinną kolację. Zdjęcie ukazuje szczęśliwą rodzinę, zebraną przy stole. I zdjęcie, i tekst rozmywają mi się przed oczami. Niedzielne kolacje. Normalne życie. I my moglibyśmy takie mieć, gdyby nie pojawił się w naszym życiu Daniel.

Spoglądam na numer strony.

Po czym wychodzę z łazienki. Ed już nie rysuje. Siedzi przy stole i wpatruje się w przestrzeń pustymi oczyma bez wyrazu.

– Chcesz zacząć od nowa? – pytam.

Kiwa głową. W oczach ma nadzieję. I niepokój.

Ja czuję dokładnie to samo.

Biorę męża za rękę i prowadzę do naszej sypialni.

Przez kolejne dwa tygodnie usiłuję wrócić do normalnego życia, ale nie jest to łatwe. To, z czym mam teraz w pracy do czynienia, wydaje się nudne w porównaniu z tamtą podniecającą grą o Joego Thomasa, nawet jeśli wszyscy w kancelarii, włącznie z szefem, traktują mnie z nowym odcieniem szacunku. I wciąż napływają kolejne zgłoszenia.

– Oni chcą, żeby Lily się tym zajęła – mówi sekretarka, kiedy szef przydziela sobie jedną z bardziej

mięsistych spraw: młody mężczyzna tuż po ślubie, którego teść jest ogólnie znanym dyrektorem firmy, został jakoby przez niego uderzony w głowę butelką merlota. Pięćdziesiąt szwów.

A jednak, choć się tego obawiałam, szef nie jest zazdrosny. Kiwa głową.

– Chyba jest ci potrzebny własny pokój, skoro zamierzasz być taka popularna.

Ludzie dzwonią z prośbą, żebym ich reprezentowała. Kobieta, której starszy wiekiem ojciec został poparzony w okolicznościach, które, jak utrzymuje, są „dokładną” kopią przypadku Joego Thomasa, chce, żebym wzięła jej sprawę. Adwokaci, o których nigdy nie słyszałam, dzwonią z gratulacjami. Kolorowy magazyn dla kobiet chce zrobić ze mną wywiad jako z „doskonale się zapowiadającą młodą prawniczką”. W Izbie Gmin pojawiają się interpelacje dotyczące ochrony zdrowia i bezpieczeństwa.

Ale w głowie mam piekło. Ustaliliśmy z Edem, że zaczniemy od nowa, ale to nie takie proste. Zmuszam się, żeby wierzyć, kiedy mówi, że „idzie na szybkiego drinka z Rossem”. A jeśli tak naprawdę umówił się z Daviną? Ed z kolei ma mi za złe, że wracam z pracy późno, obładowana plikami. Ale zarazem zdarza się, że kiedy siedzę nad nimi do późna w nocy, ni stąd ni zowąd przynosi mi filiżankę herbaty i życzliwie mówi, żebym „nie przedobrzyła”. No i teraz, kiedy w ciągu dnia jest w domu, poza szukaniem pracy zaczął również sprzątać – co jego tradycyjnych rodziców przyprawiłoby o szok, jestem pewna. Nie robi tego tak dobrze jak ja, ale doceniam gest.

Rośnie moje poczucie winy w związku z Carłą. Liczyłam, że zajdę do nich i je przeproszę, ale kiedy pukam do ich drzwi, nikt nie odpowiada. Jedna z sąsiadek powiedziała, że w nocy tego dnia, kiedy widziałam je po raz ostatni, słyszała „jakieś zamieszanie”. Czy to moja wina? Czy wyprowadziły się przez to, co powiedziałam? Jestem naprawdę chora ze zmartwienia.

– Zapomnij o tym – mówi Ed. – Dostyc już nakombinowałaś.

– A ty się nie martwisz o Carłę? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Nie jesteś w stanie pomóc wszystkim, Lily. Carla nie jest naszym dzieckiem.

Zdumiewające, że artysta potrafi się tak troszczyć o jakiś obraz, a totalnie ignorować to, co dzieje się z jego pierwowzorem.

Ale czy nie tak samo wygląda relacja prawnika z klientem? Spędzamy razem długie godziny, bez końca rozmawiając o szczegółach sprawy. A kiedy jest po sprawie, kończy się i relacja. Tak to jest. A przynajmniej – powinno.

Bo jeśli mam być szczerą, wbrew woli myślę o Joem Thomasie. Gdzie przebywa. Co robi. Czy udało mu się wyjechać do Włoch.

I wreszcie któregoś dnia – jest. Kiedy wychodzę wieczorem z pracy, wyłania się zza słupka ogłoszeniowego z plakatem reklamującym czekoladowe jajka wielkanocne. Nie do wiary, że w ciągu paru tygodni można się tak zmienić! Zniknęła broda. Zniknął więzienny dres. Również półbuty i koszula. Ten gładko ogolony mężczyzna w zielonkawej tweedowej kurtce z podniesionym rudym zamszowym kołnierzem wygląda raczej jak zarządca nieruchomości niż sprzedawca ubezpieczeń.

– Przyszedłem się pożegnać.

Ruszamy przed siebie ramię w ramię, tak jak wtedy po drinku na zakończenie sprawy. Równym krokiem. Nie wiem, dokąd idziemy, i nie dbam o to. W pewnym sensie ten mężczyzna jest dla mnie bardziej realny niż Ed. Czy nie oddałam pół roku życia, żeby go uratować?

– Masz pracę?

– Tak – odpowiada żywo. – Wziąłem sobie do serca twoją radę. Pamiętasz, jak mi radziłaś wyjechać do Włoch? No więc wyjechałem, ale do Francji.

Przechodzimy na drugą stronę jezdni. Jego ramię ociera się przy tym o moje.

– Znajomy z Korsyki chce, żebym mu pomógł w remoncie. – Patrzy na swoje ręce. – Jestem w tym dosyć dobry. I będzie to jakaś odmiana.

– A nie będziesz miał problemów z językiem?

Szczerzy zęby w uśmiechu.

– Nie. Dzięki więziennej bibliotece nauczyłem się mówić po francusku i hiszpańsku.

Nie zaskakuje mnie to.

Wchodzimy do restauracji. Eleganckiej.

– To w ramach podziękowania – mówi, tak jakbyśmy się umówili na to spotkanie. Czy nie zdaje sobie sprawy, że ktoś na mnie czeka w domu? Ta bezczelność i zachwyca mnie, i złości zarazem. Mimo to nie sprzeciwiam się i pozwalam kelnerowi, by odebrał ode mnie płaszcz.

– Tyle dla mnie zrobiłaś – dodaje, wręczając mi kartę dań. Wykorzystuję ją, żeby ukryć rumieniec.

– To moja praca. – Po czym sypią się pytania, jakby Joe był starym znajomym, którego od lat nie widziałam. – A co u ciebie? Co porabiasz? Gdzie mieszkasz?

– Ten kumpel z Francji ma mieszkanie w Richmond. Dosyć przyjemne.

Richmond? W myśli porównuję to z Clapham. Z moją maciupcią kuchnią, gdzie Ed nadal rysuje, choć nikt mu za to nie płaci, a wokół leżą formularze podania o pracę...

– A u ciebie? – pyta bez ogródek. – Jak tam małżeństwo?

– W porządku.

Kusi mnie, żeby mu powiedzieć o Edzie i Davinie, ale i tak już za dużo powiedziałam ostatnim razem. Nie jestem teraz oszołomiona zwycięstwem ani dżinem z tonikiem. Muszę przypominać sobie samej, że na mnie spoczywa odpowiedzialność. Poufałości są nie na miejscu.

– Tylko w porządku?

Zdobywam się na uśmiech.

– Jest świetnie. Ostatnio myślimy o przeprowadzce. – Wymyśliłam to, ale może naprawdę warto się nad tym zastanowić.

– O, to super. – Joe Thomas nachyla się ku mnie z entuzjazmem. – Już to sobie wyobrażam, Lily. Dom na wsi, koń taki jak Merlin...

Stop! Coś jest nie tak. Mimo to w pierwszej chwili nie potrafię powiedzieć co. I nagle wiem.

– Merlin? – powtarzam powoli. – Nigdy ci nie mówiłam, jak się nazywał koń Daniela.

– Naprawdę?

Uśmiech ma już nie tak pewny.

Robi mi się zimno.

– Maczałeś w tym palce, prawda?

Liczę, że zaprzeczy. Mimo że pytam, nie wierzę w to. Musi być jakieś inne wytłumaczenie...

– Musiałem. – Starannie układa sztucce wokół nakrycia. – Żebyś naprawdę stanęła po mojej stronie. Jeśli prawnik nie wierzy klientowi, to nie będzie się dostatecznie mocno starał.

Gorycz napływa mi do ust.

– Otrułeś starego konia Daniela, żeby mieć mnie „po swojej stronie”?

Wzrusza ramionami. Nigdy dotąd nie widziałam go takim. Nie przy mnie.

– Załatwiłem z kimś, żeby podrzucił co trzeba do jego paszy, jak twoi rodzice wyszli z domu. Chciałem, żebyś była na tyle zła, żeby uwierzyć w moją opowieść.

Z trudem wstaję od stołu. Co za niewiarygodna przebiegłość... Jego szczerłość zapiera dech. Budzi mdłości.

– A torba? Ta, co mi ją wyrwali na moście Westminsterkim? – Teraz zaczynam to widzieć. Jaka ja byłam głupia! – Też załatwiłeś kogoś, kto to zrobił, żeby sąd pomyślał, że to firma bojlerowa próbuje nas zastraszyć?

Znowu wzrusza ramionami.

– To oni narozrabiali. Woda naprawdę była za gorąca. Jeśli sami grają nie fair, to muszą się liczyć z tym samym.

Tony Gordon, podejrzewam, mógłby się z tym zgodzić. Ale nie ja. Jedno zło nie usprawiedliwia

innego.

Wtem uderza mnie inna myśl.

– A kto ci pomagał?

Na jego twarzy pojawia się zadowolony uśmiezek.

– Kiedy siedziałem w więzieniu, doradzałem ludziom w sprawach finansowych. Co do ubezpieczeń i tym podobne. Nie brałem za to pieniędzy. Ale wiedzieli, że kiedyś poproszę o rewanż.

– Ale skoro siedzieli, to jak mogli ci pomóc na zewnątrz?

– Niektórzy w międzyczasie wyszli. Inni mieli na zewnątrz kontakty. Takie to jest więzienne życie. Nie żebym polecał, broń Boże.

Nie do wiary... Ale zarazem przypomina mi się, jak Joe za którymś razem umawiał się na spotkanie na „tenisa stołowego”. „Punktualnie o trzeciej – powiedział. – W świetlicy”. Odebrałam to wówczas jako rozrywkę, choć odrobinę nietypową. Czyżby było to spotkanie biznesowe?

– Mogę na ciebie donieść.

– Naprawdę? Cóż, wtedy i ja będę musiał powiedzieć, co się stało ostatnim razem.

– Co masz na myśli? – jąkam.

– Daj spokój, Lily. Zostaw te gierki. Tamte albumy z naklejkami, które dałaś mi w więzieniu, to głupstwo w porównaniu z ostatnim prezentem.

Głos ma mocny, ale ręce mu drżą.

I wtedy, niczym młot kowalski, uderza mnie pewna myśl.

– Ty to zrobiłeś, prawda? Zabiłeś Sarah. Zamordowałaś swoją dziewczynę.

Od sąsiedniego stolika patrzy na nas starsza kobieta z wielkimi szmaragdowymi kolczykami w uszach. Oczy Joego twardnieją.

– Uważaj, co mówisz.

– Ale zrobiłeś to. – Instynktownie wiem, że to prawda.

Joe zniża głos.

– Jak sądzisz, dlaczego zaaranżowałem dzisiaj to spotkanie? Żeby ci powiedzieć, jak naprawdę było. Ale pamiętaj: jeśli człowiek został oczyszczony z jakiegoś zarzutu, to nie można go sądzić powtórnie za to samo przestępstwo. Uważałem, że zasługujesz na prawdę, Lily.

Serce mi przyspiesza. On też wygląda na spiętego. Uderza pięściami w kolana, jakby grał na bębnie.

– Przyszła na bani, tak jak mówiłem. I spóźniona. Potem zwymiotowała, ale nie chciała, żebym z nią poszedł do łazienki. Wiedziałem, że próbuje coś ukryć. Kiedy zamykała drzwi, zauważyłem na szyi znak.

Błyska mi wspomnienie malinki na szyi Tony’ego.

– Miłosne ukąszenie?

– Miłosne? – Zastanawia się. – Zależy, jak rozumieć miłość, nie sądzisz? Ukąszenie może być także ze złości.

Tracę cierpliwość. To jego nieustanne doszukiwanie się dosłowności!

– Skąd miała ten znak?

– Właśnie. – Kiwa głową, jakbym była uczennicą, która nareszcie zadała właściwe pytanie. – Kiedy zwróciłem na niego uwagę, powiedziała, że to ja jej zrobiłem. Ale kłamała. Ja nie robię takich rzeczy. – Mocniej bębni w kolana. – Powiedziałem, że jak się wykąpie, to porozmawiamy, ale nie pozwoliła mi napuścić wody, tak jak zawsze. Nazywała mnie świrem. Więc podszedłem i podkręciłem bojler. Pomyślałem, że dam jej nauczkę. Ale nadal na mnie wrzeszczała. Powiedziała, że znalazła sobie innego, normalnego. I wtedy wyszedłem z siebie. Miałem pozwolić, żeby mnie zostawiła dla innego? Pchnąłem ją. Była tak pijana, że nawet się nie musiałem wysilać. Po prostu wpadła do wody i już.

Zapada cisza. Jestem porażona. Po nim nie widać żadnego zmieszania.

– Nie próbowałaś jej wyciągnąć?

Wzruszenie ramion.

– Zraniła mnie. Zamierzała mnie zostawić. No więc nie, nie próbowałem jej wyciągnąć. Poszedłem do kuchni i zrobiłem sobie herbaty. Zmyłem podłogę po jej wymiotach. Pomyślałem, że dam jej pół godziny, żeby się ogarnęła. Nie zamierzałem jej zabić, chciałem tylko dać jej nauczkę. Kiedy znowu wszedłem do łazienki, patrzyła na mnie z wanny. Cała fioletowa i czerwona. Nigdy specjalnie nie lubiłem tych kolorów. No więc zadzwoniłem pod 999 i opowiedziałem im tę wersję, którą dałem tobie za pierwszym razem. Gdyby nie ten sukinsyn sąsiad, wszystko by było w porządku.

Wprost nie do wiary, jakim tonem to mówi. Kompletnie wypranym z emocji – dokładnie tak, jak stwierdziła policja.

– Potem jednak dowiedziałem się o tym problemie z bojlerami – ciągnie. – To się nazywa mieć fart! Zdałem sobie sprawę, że o ile znajdę właściwego człowieka, to mogę mieć szansę na apelację. Z początku, prawdę mówiąc, nie byłem pewny co do ciebie. Więc zadałem ci test i muszę powiedzieć, Lily, że się sprawdziłaś.

Jestem zdumiona, że nie ma w nim śladu skruchy.

– A wtyczka, od której masz te dane? Kto to był? I dlaczego nie wykorzystałeś ich wcześniej?

Joe prychnął.

– Nie łapiesz tego, Lily, prawda? Nie było żadnej wtyczki. Ani żadnych danych. Miałem fart, to wszystko. Zobaczyłem, że w prasie zaczynają o tym pisać, i wymyśliłem te liczby. Nikt nie jest w stanie udowodnić, że mój bojler nie miał usterki. – Po twarzy przemyka mu wyraz zadowolenia. – Wiesz, w więziennej bibliotece są bardzo przydatne podręczniki. Hydraulika i wszystko, co zechcesz.

Zapada długa cisza. Zbyt jestem wstrząśnięta, żeby cokolwiek powiedzieć. A więc Joe, zgodnie z własnym wyznaniem, jednak jest mordercą. Kiedy na początku „sprawdzał”, czy rozumiem znaczenie tych liczb, wcale nie chodziło o to, czy jestem odpowiednia do tej funkcji. Chodziło o sprawdzenie, czy jestem na tyle łatwowierna, że uwierzę w jego wersję. Mało tego! Również swoje dziwactwa wykorzystał na mój użytek. Czy już wtedy wiedział o Danielu? Nie zdziwiłoby mnie to.

Nic dziwnego, że oświadczył w sądzie, że nie oczekuje rekompensaty, a wyłącznie „sprawiedliwości”... Kolejny sposób, żeby omamić przysięgłych i skłonić, by uwierzyli w jego niewinność. Tak jak omamił mnie.

– Pojedź ze mną do Francji – mówi nieoczekiwanie. – Wiem, że nie jesteś szczęśliwa. Razem stworzymy dobrą drużynę. Jesteś bystra. Zarabiasz na życie, wyciągając ludzi z dołka za pomocą argumentacji. To wspierała umiejętność.

Nie. To nie jest wspierała umiejętność. Prawda jest taka, że pozwoliłam, aby fakty zmieniły moje nastawienie, bo widziałam w Joem Daniela. A potem zaakceptowałam fakty nieudowodnione, by w ten sposób stały się prawdą.

– Ty mnie rozumiesz. – Joe bierze mnie za rękę. Z jednej strony mam ochotę ją wyrwać. Z drugiej – pozostać tak na zawsze. Ścisła mocniej. To zachęta czy groźba? Nic już nie wiem. Z lękiem myślę, że być może wszystko, co – jak mi się zdawało – wiem o tym człowieku, jest fałszem.

– Lily...

Rzucam się przed siebie. Wybiegam z restauracji. Ulica. Dom. Mijam milczące drzwi Carli. Dopadam naszych. Wpadam do łazienki i wymiotuję. Niepomna pukania Eda do drzwi i niespokojnych pytań, czy „wszystko dobrze”.

Cztery tygodnie później nadal mam mdłości. I tylko na wypadek gdyby były jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, mam oto przed sobą niezbity dowód: długi, cienki pakiecik kupiony w aptece.

Jestem w ciąży.

CZEŚĆ II

Dwanaście lat później

Głowa wciąż pulsuje mi bólem.

Kiedy macam ją lewą ręką, tą nieuszkodzoną, jest lepka w dotyku.

Krew.

Widzę jak przez mgłę.

A jednak dałabym głowę, że z za rogu coś wystaje. Co to jest?

Pantofel. Tak, pantofel.

Czerwona szpilka.

Słyszę wycie syren. Zbliżają się.

Wstrzymuję oddech. Rośnie we mnie szalona nadzieja.

Ale po chwili się oddalają.

Gdybym tak mogła cofnąć wskazówki zegara.

Mądrość po szkodzie, jak mogłoby powiedzieć każde z naszej trójki.

Co to jest, to, co słyszę?

Krew ścina mi się w żyłach.

Ona nadal tu jest.

Carla

Jesień 2013

Przepraszam, ale to chyba moje miejsce. – Carla błysnęła uśmiechem w stronę mężczyzny w biznesowym garniturze, siedzącego pod oknem w trzecim rzędzie za wyjściem awaryjnym. Uśmiech był starannie pielęgnowany. Dokładnie wyważona kombinacja wdzięku i „nie zadzieraj ze mną”.

– Przepraszam, nie rozumiem, co pani mówi.

Powinna była wiedzieć. Żaden Włoch nie nosiłby takiego okropnego krawata.

Powtórzyła zdanie po angielsku z tym samym uśmiechem.

Po twarzy mężczyzny przemknął błysk zniecierpliwienia, który szybko zniknął. Ogarnął spojrzeniem jej gładką czarną fryzurkę za ucho, pełne lśniące usta i nieskazitelną cerę. Do tego woń Chanel nr 5. Jej ulubione perfumy, odkąd przed laty pożyczyła sobie od Lily.

– Bardzo przepraszam. – Zerwał się z miejsca, o mało nie uderzając głową w schowek bagażowy, i zerknął na swoją kartę pokładową. – Ma pani rację. Powinienem siedzieć na środkowym.

Powiedział to tak, że Carla była pewna, iż „pomyłka” była celowa: chciał podczas tego lotu z Rzymu na Heathrow siedzieć przy oknie. Podejrzewała też, że gdyby była mniej atrakcyjna albo mniej zdecydowana, mógłby osiągnąć swój cel.

Samolot zaczął powoli kołować po pasie. Tylko połowa miejsc była zajęta. Od strony przejścia nie siedział nikt, a w jej rzędzie była tylko ona i ten mężczyzna, teraz czytający „Timesa”. Zerknęła na stronę, którą czytał.

NOWY PLAN W ZWIĄZKU Z KRYZYSEM MIGRACYJNYM

Tymczasem stewardesa mówiła na temat bezpieczeństwa – o kamizelkach ratunkowych i żeby zakładać maskę tlenową najpierw sobie, a dopiero potem małym dzieciom. Rozległ się ryk, który zawibrował Carli w uszach, i samolot wyrwał do przodu.

Ścisnęła dłońmi podłokietniki. Jej drugi lot w życiu.

– Zdenerwowana? – spytał mężczyzna.

– Nic a nic – odparła Carla gładko, w duchu krzyżując palce za plecami. Kolejny nawyk z przeszłości, ilekroć mówiła nieprawdę.

Byli już w powietrzu! Patrzyła przez okno na maciupcie domki w dole. Żegnaj, Italio, powiedziała w myśli. Niepewnie pomacała swój goły kark. Jak dziwnie jest bez tych długich czarnych loków... „Twoje piękne włosy!” – jęknęła mamma, kiedy Carla wróciła od fryzjera. Ale ona potrzebowała tego nowego wizerunku. Żeby rozpocząć nowe życie. Miała już prawie dwadzieścia trzy lata! Pora, żeby się coś wydarzyło.

Rozległ się brzęczyk, sygnalizujący, że można odpiąć pasy. Carla wolałaby zostawić swój pas zapięty, ale mężczyzna obok zdejmował własny, więc ona też tak zrobiła. Dwóch stewardów pchało w ich stronę wózek. Skręciło ją w żołądku. Rano nie była w stanie nic jeść, a teraz było wczesne popołudnie.

– Coś do picia dla pani?

– Poproszę czerwone wino.

– Duże czy małe?

– Duże.

– Proszę pozwolić, że zapłacę. – Siedzący obok mężczyzna nakrył przelotnie dłonią jej dłoń. –

Przynajmniej tyle mogę zrobić, żeby wynagrodzić pani tę pomyłkę z miejscem.

– To drobiazg.

– Mimo wszystko.

Flirtował z nią. Tego się właśnie spodziewała. Wdzięcznie przechyliła głowę na bok, tak jak zwykła robić mamma w rozmowie z Larrym.

– Bardzo to miłe z pana strony.

– Leci pani do Londynu służbowo czy turystycznie?

– Jedno i drugie. – Carla pociągnęła duży łyk. Wino nie było takie dobre jak to z piwniczki nonna, ale pomagało się rozluźnić. – Właśnie skończyłam prawo we Włoszech, a teraz zamierzam się zapisać na roczny kurs adaptacyjny w Londynie. Ale chciałabym też odwiedzić starych znajomych.

– Doprawdy? – Mężczyzna uniósł brwi. Były płowe w kolorze, co przywołało odległe wspomnienie głowy Eda, pochylonego nad szkicownikiem. – A ja pracuję w biznesie farmaceutycznym.

Widziała, dokąd to zmierza. Już powiedziała za dużo, trochę ze zdenerwowania. To go zachęciło. Trzeba podjąć stosowne kroki, inaczej będzie tak głądził do końca podróży.

– Przepraszam – powiedziała, sącząc resztę wina – ale głowa mnie boli. Chyba muszę się zdrzemnąć.

Jego rozczarowanie sprawiło jej przyjemność. Nie żeby potrzebowała dowodu, że potrafi zawracać w głowach. Rzecz w tym, żeby to były głowy właściwe.

Wyjęła z miękkiej brązowej torby jedwabną osłonę na oczy. Opuściła oparcie fotela i przymknęła powieki. Już zaczynała się wyciszać, gdy nagle szarpnęło i rozległ się głos kapitana: „Wchodzimy w turbulencje. Radzę państwu zapiąć pasy”.

Carla zaczęła po cichu odmawiać Zdrowaś Mario. A potem, żeby oderwać myśli od chwili bieżącej, pozwoliła sobie powrócić w wyobraźni do przeszłości. Do czasów, kiedy leciała samolotem po raz pierwszy i była wystraszonym, niepewnym siebie dzieckiem, całkiem innym niż obecna Carla. Tak ciężko pracowała, żeby się nią stać.

To się wydarzyło zaraz po tym, jak wróciła ze szpitala po operacji wyrostka. Plotki szybko się rozchodzą. Po odkryciu przez matkę szkolnej koleżanki, że mamma pochodzi z miejsca, gdzie urodził się jej mąż, ludzie z doliny i z okolicznych gór zaczęli gadać o córce nonna, która wcale nie robi kariery w Londynie, jak utrzymywał, tylko z trudem sobie radzi jako samotna matka, pracując w sklepie. Naciskany przez nonnę, która, jak się okazało, była sprawczynią tych głuchych telefonów („znalazłam wasz numer przez informację telefoniczną, ale za każdym razem tak się bałam, że odkładałam słuchawkę”), wezwał je z powrotem „do domu”. A że mamma nie była w stanie dłużej płacić czynszu, nie miały wyboru.

Od chwili przyjazdu obie z mamką stały się niewolnicami dziadka, który twardą ręką sprawował rządy w rodzinie. Nie pozwalał mammie pracować. Musiała zostać w domu i doglądać nonny, babci Carli, którą „bolały kości”.

– Jak ja tęsknię za Larrym – mówiła mamma do Carli, kiedy były tylko we dwie w sypialni, którą musiały dzielić ze sobą.

– Ale to był niedobry człowiek – odpowiadała Carla.

– Kochał mnie.

Jeśli kogoś mamma obwiniąca, to Lily. Lily, która zmusiła go, żeby trzymał się od niej z daleka. Lily i jej wtykanie nosa w nie swoje sprawy.

Żeby Carla nie wiem jak się starała, nie widziała w tym sensu – Larry zasługiwał na potępienie tak samo jak Lily. Włosy matki się wyprostowały, straciły sprężystość i blask. Zaczęły się w nich pojawiać srebrne nitki. Najpierw powoli, potem coraz szybciej. Schudła. Jej cera nie była już kwitnąca. A ostatniej

nocy przed wyjazdem Carli w kółko wracała do tamtej sprawy z jej chorobą.

– Powinnam była wcześniej wezwać pogotowie – powtarzała. – Mogłaś umrzeć!

– Daj spokój, mamusiu – uspokajała ją Carla. – Byłaś załamana.

Mamma kiwała głową.

– Może i masz rację. Gdyby Lily nie nastraszyła Larry’ego, to by się to wszystko nie wydarzyło.

Czy rzeczywiście? – zastanawiała się Carla. Bądź co bądź, sama planowała, żeby się jakoś pozbyć Larry’ego. Ale kiedy Lily zrobiła to za nią, zdała sobie sprawę, że nie był to wcale dobry pomysł.

Ich życiem rządził nonno. Musiała wracać wcześniej do domu, nawet kiedy była już nastolatką. Nie wolno jej było chodzić na imprezy, na które zapraszano jej koleżanki.

– Chcesz skończyć jak twoja matka? – powtarzał dziadek.

– Ćśśś – włączała się pospiesznie babcia.

Ale Carla już знаła prawdę. Jedna z sąsiadek się wygadała, krótko po tym, jak wrócili.

– Biedna ta twoja mamma. – Słowo „biedna” powiedziała troszkę pogardliwie, jakby wcale nie było potrzeby mammy żałować. – Tak ją zdradził... I pomyśleć tylko, że był już żonaty i miał dziecko z żoną.

– Skąd pani wie o Larrym? – zdziwiła się Carla.

Starsza kobieta zmarszczyła brwi.

– Jakim Larrym? Twój tata miał na imię Giovanni. Był z Sycylii, ale słyszałam, że teraz wyjechał do Rzymu.

Czyli że jej ojciec wcale nie umarł? Carla wiedziała, że powinna być wstrząśnięta, ale właściwie podejrzewała to od dawna. Bądź co bądź, nie było to pierwsze kłamstwo mammy... A więc Giovanni to był ten mężczyzna w zabawnym kapeluszu pod jej łóżkiem. Uwaga sąsiadki skłoniła Carlę do ponownego zajrzenia do pudełka, które mamma trzymała teraz w swojej szafie, między rzeczami. Naturalnie w starej kopercie była jej metryka urodzenia. Rubryka „imię ojca” była pusta.

Mimo to Carla wiedziała, że nie wolno jej o nic mammy pytać, bo będzie jeszcze bardziej przygnębiona, niż jest. Więc spróbowała porozmawiać o tym z nonną.

– Masz może jego adres? – spytała. – Napisałabym do niego. Gdyby wiedział, że tu jestem, może chciałby mnie zobaczyć.

– Cicho, dziecko, cicho. – Babcia objęła ją ramionami. – Obawiam się, że on nie chce mieć z nami do czynienia. Musisz się z tym pogodzić.

I Carla, choć z oporem, pogodziła się. Czy miała wybór? Nikt jej nawet nie powiedział, jak ojciec miał na nazwisko. „Cavoletti” było oczywiście panieńskim nazwiskiem matki, co nigdy jej nie przyszło do głowy, kiedy wysyłały te kartki do nonny i nonna.

– Nie powinnam ci była mówić – powiedziała później sąsiadka. – I nie próbuj przyciskać matki i babci. Dość już przeszły.

Ale nie oznaczało to, że nie może robić planów na przyszłość.

– Nie martw się – mówiła, trzymając płaczącą matkę w ramionach. – Jeszcze będzie nam dobrze, zobaczysz.

– Ale jak? – pytała przez łzy mamma.

Carla zaciskała pięści.

– Coś wymyślę.

W szkole szybko zaczęła przejawiać naturalne zdolności, które zaczynała u siebie odkrywać w Anglii, zanim się wszystko popsuło. Nonno chełpił się wnuczką, która ma takie znakomite stopnie. Zaczął nawet słuchać nauczycieli, którzy mówili, że powinna się dalej kształcić. Może na przykład zostałaby *avvocato*? Wykazywała duże umiejętności podczas szkolnych dyskusji.

I właśnie wtedy zaczął kiełkować ten pomysł. Pójdzie na uniwersytet, na prawo. Studia trwały pięć lat – duże poświęcenie – ale warto. Poradzisz sobie, przekonawali ją nauczyciele. (Rzeczywiście, stopnie miała tak znakomite, że przesunięto ją o klasę wyżej). Ale rzeczywisty powód był taki, że na przykładzie

Lily widziała, iż zawód prawnika daje moc. Prawo decydowania o przyszłości innych ludzi. Lily, którą widziała ostatniej nocy na korytarzu, miała w sobie tę moc. A może też dzięki prawu ona, Carla, stanie się tyle bogata, że będzie mogła wybawić mamę od przykrych atmosfery w domu dziadka?

Patrząc wstecz, Carla zdawała sobie sprawę, że mamma w Anglii nie zawsze postępowała właściwie. Być może powinna była wezwać doktora wcześniej. Być może nie powinna była się zadawać z żonatym mężczyzną. Ale była słabą, bezbronną samotną matką. Teraz do niej, Carli, należy, żeby się nią zaopiekować.

Było to podczas jej ostatniego roku w Rzymie, kiedy któregoś wieczoru, gdy ślęczała nad jakimś szczególnie nudnym casusem, przyszło jej nagle do głowy, żeby sprawdzić, co się okaże, jeśli wrzuci nazwisko Eda i Lily do Google'a.

Proszę! Lily jest teraz współniczką w swojej kancelarii. O, to niesprawiedliwe – tak dobrze jej idzie, gdy mamma, w rezultacie jej działań, jest niemal niewolnicą w domu dziadka... Fotka na stronie firmy ujawniała, że Lily obcięła włosy i nosi teraz fryzurę na pazia. Wyglądała wręcz olśniewająco! Całkiem inaczej niż Lily, którą znała dawniej.

Co do Eda, było o nim niewiele, wyłącznie wzmianki o jakichś dziwnych niewielkich wystawach tu i tam. I nagle z jakiejś mało znanej strony wyskoczył ku niej obraz. Serce Carli przyspieszyło. Był to wizerunek dziewczynki o gęstych czarnych lokach, której uśmiech miał w sobie zarazem niewinność i wiedzę. Kolory były dramatyczne – purpurowa czerwień sukienki na tle błękitu nieba – ale spojrzenie dziecka wprost przykuwało. Miała wrażenie, że znalazła się tuż obok, w tym samym pokoju.

I rzeczywiście tam była. Bo ta dziewczynka to była ona. Sukienka tak naprawdę miała kolor czarny. Ale artysta, jak mawiał Ed w tamtych czasach, „ma prawo zmieniać rzeczywistość”.

„Obraz, namalowany techniką akrylową, został sprzedany anonimowemu kolekcjonerowi dzieł sztuki za kwotę pięciocyfrową” – informował tekst poniżej.

Pięciocyfrowa kwota? Zdumiona, czytała dalej.

„Przypadek Eda Macdonalda, który otrzymał od kolekcjonera propozycję nie do odrzucenia, daje nadzieję wszystkim rozpoczynającym karierę artystom na całym świecie. – *Małą Włoszkę* namalowałem już parę lat temu – mówi autor – i wysłałem na konkurs, gdzie zdobyła trzecią nagrodę. Mimo to do tej pory nie znalazła amatora. Byłem zdumiony, kiedy nabywca, który prosił o nieujawnianie jego nazwiska, wszedł niedawno do galerii, gdzie wystawiałem swoje prace, i z miejsca ją kupił”.

To nie w porządku! Gdyby nie ona, to nie byłoby żadnego obrazu. Więc napisała do Eda. Nic nie dostała w swoim czasie za pozowanie, podkreśliła. Może więc Ed mógłby odstąpić jej część pieniędzy, jakie mu zapłacono?

Minęły trzy tygodnie. Odpowiedzi nie było. Może się przeprowadzili? Drugi list wysłała więc na adres galerii, wymieniony na końcu artykułu.

Znowu nic. Jak on śmie ją ignorować? W miarę jak o tym myślała, w miarę kolejnych telefonów od biednej, uwięzanej w domu mamy narastało w niej przekonanie, że coś jej się od nich należy. I narastała gorycz.

I wtedy przypadkowa uwaga ze strony asystenta nasunęła jej pewien pomysł.

– Mówisz płynnie po angielsku, tak? To może powinnaś pomyśleć o kursie adaptacyjnym w Wielkiej Brytanii? To zwiększy twoje możliwości zawodowe.

Dzięki temu znalazłaby się też bliżej ludzi, którzy skrzywdzili mamę, włącznie z Larrym. Mogłaby spróbować odzyskać to, co się jej słusznie należy. I zdobyć to, co miała Lily. Dobrą pracę. Pieniądze. Nową prezencję – może i jej będzie dobrze we fryzurze na pazia. I co tylko będzie mogła.

Poczuła lekkie dotknięcie w ramię. Drgnęła i obudziła się. Właściwie nie spała naprawdę, ale to pogrążenie się we wspomnieniach przypominało drzemkę. Zdjęła osłaniającą oczy maskę.

– Niedługo lądujemy – powiedział mężczyzna w okropnym krawacie. – Pomyślałem, że powinienem panią obudzić.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Gdzie zamierza się pani zatrzymać w Londynie?

– W King's Cross – odparła, wracając myślą do hostelu, który znalazła przez internet. Wyglądał dość przyjemnie, a ceny były umiarkowane.

– Była już pani wcześniej w Londynie?

– Oczywiście. Ale sporo lat temu.

– Dużo się zmieniło. – Wyjął z kieszeni wizytówkę. – To mój numer, w razie gdyby miała pani kiedyś ochotę na drinka.

Spojrzała na srebrną obrączkę na jego palcu. Jeśli doświadczenie mammy czegoś ją nauczyło, to tego, że nie warto sobie zawracać głowy żonatymi mężczyznami.

– Dziękuję, ale to niepotrzebne.

Zacisnął usta.

– Jak pani woli.

Stuknęło, po czym dał się słyszeć przenikliwy, zgrzytający pisk hamulców. Toczyli się naprzód po pasie tak szybko, że nie wyglądało, by mieli się kiedykolwiek zatrzymać. Tym razem nie było uspokajającego poklepania po ramieniu. Jej towarzysz był bardzo zajęty: krzątał się wokół swojego bagażu, sprawdzał, czy wszystko zabrał. Gdyby przyjęła jego wizytówkę, pewnie zaprosiłby ją na kolację...

Ale nie wolno jej się rozpraszać. Ma przed sobą plan i na nim musi się skupić.

Jaki ruch na tym Heathrow! Kolejki nie miały końca. Zanim jej nieduża czerwona walizka ukazała się wreszcie na pasie transmisyjnym, była przekonana, że zaginęła. Uradowana, sięgnęła po walizkę, ale już ją zdejmował jakiś miły młody człowiek.

Dokąd teraz? W oszołomieniu patrzyła na rozmaite oznakowania. Taksówka? E, chyba metrem będzie taniej. Nonno dał jej trochę pieniędzy na opłacenie kursu i na życie, ale nie było tego wiele.

Dwa razy pomyliła pociąg, zanim wreszcie dotarła na stację King's Cross.

– Przepraszam – zwróciła się do mężczyzny, który sprzedawał na zewnątrz gazety – czy może mi pan powiedzieć, gdzie to jest?

Pokazała mu karteczkę z adresem, ale zignorował ją i obsługiwał następnego klienta. Ściemniało się już, a do tego zapomniała, że w Anglii jest znacznie chłodniej niż we Włoszech. Głodna, drżąca z zimna, usiłowała pytać o drogę kolejne osoby, ale wszyscy mijali ją bez słowa. Wreszcie weszła do drogerii Late Nite i dopiero tam znalazł się ktoś na tyle uprzejmy, że odłożył komórkę i powiedział, że to dobre piętnaście minut marszu.

Wreszcie dotarła na miejsce. Z niesmakiem popatrzyła na brudne betonowe ściany i obłazącą zieloną farbę na drzwiach. Właśnie wyszły dwie dziewczyny w rajstopach z wielkimi dziurami. Na rajstopach miały dzinsowe szorty.

Carla wygładziła kremowy lniany żakiet, który mamma uszyła jej specjalnie na ten wyjazd, i podeszła do recepcji.

– Dobry wieczór. Zamówiłam u państwa pokój – zwróciła się grzecznie do kobiety za kontuarem.

– Nazwisko?

– Carla Cavoletti.

Kobieta pociągnęła nosem i podała jej klucz.

– Trzecie piętro. Pierwsze drzwi na prawo. Winda nie działa.

Na schodach śmierdziało siuškami. Na ścianie ktoś wypisał czerwoną farbą ordynarne słowa. Duch w Carli upadł. Ten pokój wyglądał jak zakonna cela! Wąskie łóżko nakryto szorstkim szarym kocem. Biurko owszem, było, ale przy tak słabym świetle trudno będzie się tu uczyć... „Łazienka” to była szafka z umywalką. Kartka na ścianie informowała, że toalety na tym piętrze są nieczynne, więc „prosimy korzystać z urządzeń na drugim piętrze”.

Carla przysiadła na łóżku i wyjęła telefon. „Zadzwoń, jak przyjedziesz” – powiedziała mamma.

– Halo? To ja. Tak, lot był w porządku. Hotel? Też w porządku. Wiesz, jakie są moje plany, mamusiu. Tyle razy ci mówiłam. Jutro rejestruję się na uczelni. Tak, mamusiu. Mówiłam. Odszukam też Larry’ego i powiem, co u ciebie. Też cię kocham.

Kiedy skończyła rozmawiać, spod łóżka wypełzł karaluch. Brrr! Odruchowo przydeptała go czerwonym pantoflem. Rozległ się chrzęst. Obrzydliwy, ale też dziwnie satysfakcjonujący.

Kopnęła zwłoki karalucha z powrotem pod łóżko i wyjęła z torby pudełko papierosów. Tabliczka na ścianie informowała o zakazie palenia, ale co tam. Zapaliła. Zaciągnęła się. No, już lepiej. Podeszła do okna. Londyn migotał przed nią milionami świateł i milionami możliwości. Z dołu dochodził szum i łoskot ulicznego ruchu. Gdzieś tam, w oddali, było troje ludzi, których musiała odszukać. I odszuka.

Lily

Nie. Nie! Ruszyłaś moje buty! Nie mogę ich teraz włożyć. Jak mogłaś?!

Oddychaj głęboko, mówię sobie. Oddychaj. Nie krzycz. Nie rzucaj się. Nie próbuj mu tłumaczyć. To wszystko nie działa. Sprawia tylko, że przez chwilę czujesz się lepiej, a potem dopada cię poczucie winy. Winy, że – dzięki Bogu – za dziesięć minut zostawię to wszystko i wsiądę do londyńskiego pociągu. Winy, że zostawiam Toma mamie, a sama uciekam z powrotem do domu, do męża. A przede wszystkim winy, że w ogóle go mam.

Nie. To nie tak. Oczywiście kocham mojego syna. Kocham go żywiłowo, każdą komórką ciała. Od pierwszej chwili wiedziałam, że nie wyrzekłabym się go za nic w świecie. Ale nie mieliśmy wtedy pojęcia, co nas czeka. To takie trudne, kiedy twoje jedenastoletnie dziecko czasem zachowuje się jak dwuletni dzidzius, a kiedy indziej, niczym intelektualista, wygłasza przemądre opinie na miarę Stephena Hawkinga. To dlatego nie mamy drugiego dziecka.

– Załatwię to, kochanie. Nie martw się – uspokaja mnie mama, ustawiając na nowo nieszczęsne buty precyzyjnie pod linijkę, tak jak uszeregował je wieczorem Tom. To jeden z tych „drobiazgów”, jak nazywa je Ed. Rytuał, który najwyraźniej daje naszemu synowi poczucie bezpieczeństwa, którego nie potrafiliśmy dać mu my.

– Cały czas mamy takie przypadki – powiedział w swoim czasie specjalista. I westchnął. – Nie, to nie państwa wina. Prawdopodobnie zespół Aspergera istniał w populacji od zawsze, tyle że dziś mamy na to etykietkę. Może być dziedziczny. Ale bywa też, że pojawia się ni stąd ni zowąd, bez wcześniejszych tego typu epizodów w rodzinie.

Zaschło mi w ustach.

– Zwykle pierwsze objawy pojawiają się w wieku ośmiu miesięcy – ciągnął lekarz. – Ale niektóre matki twierdzą, że od początku wiedziały, że coś jest nie tak.

Wróciłam myślą do narodzin Toma. Oczy biegały mu to w jedną, to w drugą stronę, jakby chciał powiedzieć: „Gdzie ja, do diabła, jestem?” Był o wiele spokojniejszy niż inne niemowlęta na sali, ale kiedy już zapłakał, był to płacz tak nieszczęśliwy i wylękniony, że aż przerażający. Ale może to tylko ja byłam wystraszona? To nieoczekiwane macierzyństwo, gdy moja kariera właśnie nabierała rozpędu, a w domu nieudolnie próbowaliśmy z Edem wystartować od nowa...

Od chwili, gdy pokazałam mężowi niebieską linię na teście ciążowym, istniała między nami milcząca zgoda, że już nie będziemy próbowali naprawić naszego małżeństwa. Odtąd wiadomo było, że je po prostu naprawimy. Przypomniały mi się czasy, kiedy jako nastolatka podsłuchiłam rozmowę rodziców na temat ojcowskiego romansu. Jaka ja byłam przerażona, że się rozejdą, i jak mi ulżyło, kiedy się okazało, że zostają razem! Co prawda mnóstwo dzieci wychowało się w rodzinach niepełnych i nic złego im się nie stało. Ale zaraz błysnęło mi w głowie wspomnienie Carli i jej matki. Czy naprawdę chcę skończyć tak jak one?

No, a poza tym Ed stał się innym człowiekiem.

– Dziecko – powiedział, kładąc rękę na moim brzuchu. Oczy mu promieniały. – Nasze dziecko! To właśnie będzie nasz nowy start.

– Ale jak my sobie damy radę? – spytałam. W moim głosie było poczucie winy, złość, niechęć i

obawa. – Teraz, po tej sprawie, wszyscy się o mnie ubiegają. Dostałam awans. A ty w ogóle nie masz pracy.

Jeśli zabrzmiało to okrutnie, ze wstydem przyznaję, że było to zamierzone. Byłam wściekła na Eda, bo byłam wściekła na siebie samą.

– No to będę pracował w domu i zajmował się dzieckiem.

Muszę mu to przyznać: ma wrodzony rodzicielski talent. Zajmował się Tomem czule i z oddaniem. Sprawdziło się to, co mówiła moja szwagierka – przynajmniej w pierwszym okresie. Ojcostwo go wzmocniło. Na jakiś czas odstawił nawet alkohol, chociaż teraz znowu próbuje pić umiarkowanie. Nawet kiedy nasz syn wrzeszczał jak opętany, gdy próbowaliśmy go wyjąć z łóżeczka, Ed okazywał cierpliwość, jakiej nigdy przedtem u niego nie widziałam. Później, kiedy Tom nie chciał się bawić z innymi maluchami, a nawet ugryzł jakąś dziewczynkę, bo usiłowała mu odebrać jego ulubioną niebieską lokomotywkę, którą wszędzie ze sobą zabierał, Ed powiedział po prostu, że „chłopak okazał charakter”.

– Jest znacznie bystrzejszy niż inne dzieci – mówił z dumą. – Dziś rano powiedział do innego dziecka: „Zachowaj odstęp”. Możesz uwierzyć? Całkiem jak jakiś minidorosły. I potrafi liczyć na palcach do dziesięciu! Zakład, że niewiele dwuletnich dzieci to potrafi. Wyobraź sobie tylko, jaki będzie, jak podrośnie!

Ale zachowanie Toma zaczęło być z czasem coraz bardziej skrajne. Raz spytał matkę innego dziecka, „dlaczego ma wąsy”. (Taka otwartość może być jedną z cech zespołu Aspergera). Rzucił w inne dziecko plastikowym kubkiem, bo był zielony, a nie jak zawsze żółty. Dziecko miało siniak na policzku, a Eda poproszono, żeby poszukał dla Toma innej grupy zabawowej.

W domu też był trudny.

– Nie! – szarpnął się, kiedy próbowałam go skłonić, żeby włożył miłą niebieską welurową bluzę, którą przysłał mu na Gwiazdkę Ross, jego chrzestny ojciec. – Nie lubię jej dotyku na ciele.

Nawet Ed zaczął się martwić.

– Co mu jest? – spytał niespokojnie, kiedy Tom odmówił pójścia do łóżka, bo kołdra była świeżo uprana w nowym proszku i „złe pachniała”. – Matki innych dzieci w nowej grupie też zaczynają na mnie krzywo patrzeć. Uważają, zdaje się, że to moja wina.

Moich rodziców też kiedyś oskarżano, że są złymi rodzicami.

– Musi być jakieś wyjaśnienie – upierał się Ed.

I wreszcie, poprzez naszego lekarza rodzinnego, znaleźliśmy specjalistę, który wydał werdykt. Zespół Aspergera. Zaburzenie ze spektrum autyzmu, plus zachowania obsesyjne.

– Niewiele z tym można zrobić – powiedział. – Można spróbować odstawić niektóre pokarmy... te dzieci są zwykle bardzo bystre... proszę spojrzeć na to jak na odmienny stan umysłu...

W najczarniejszych chwilach mówiłam sobie, że Tom jest moją karą – za coś tak strasznego, że ledwie mogłam przyznać się do tego przed sobą samą, a co dopiero przed kimś innym.

Miałam ochotę powiedzieć o tym Edowi, kiedy płakał z głową na moich kolanach („staram się, Lily, naprawdę się staram”), ale czy mogłam? Gdyby wiedział, co zrobiłam, z pewnością by odszedł. A takie dziecko jak Tom potrzebuje obojga rodziców. Byliśmy teraz z sobą związani, tak jak byli moi rodzice.

– Pozwólcie, żebyśmy wam pomogli – powiedziała w końcu moja matka podczas kolejnej comiesięcznej wizyty u nas w Londynie. W tym czasie mieszkaliśmy już w czteropokojowym segmencie w Notting Hill, co stało się możliwe dzięki temu, że umarł dziadek Eda i wypłacono mu pieniądze z funduszu powierniczego. Do tego czasu moje przyzwoite zarobki sprawiały, że Ed mógł zostać w domu i opiekować się małym, próbując zarazem pracować jako artysta z wolnej stopy. Ale choć w teorii brzmiało to świetnie, w praktyce okazało się niemożliwe. Nie dało się pracować, doglądając zarazem dziecka, które w jednej chwili dzieliło w pamięci dwucyfrowe liczby, a w drugiej miotało się i wrzeszczało, że ma brudne ręce, bo bawiło się plasteliną.

– Moglibyśmy zajmować się Tomem w tygodniu – dodała mama, rozglądając się po zabałaganionym

salonie. Wszędzie leżały porozrzucane zabawki i niedokończone szkice: Ed mimo wszystko usiłował pracować, pilnując równocześnie Toma przed nim samym. (Parę dni wcześniej przytrzasnął sobie palec przesuwającym skrzydłem okiennym, bo rozwiązał węzeł sznura, „żeby zobaczyć, jak to działa”). – Będziecie mieli więcej czasu dla siebie.

Mama zawsze była trochę wścibska, jak przyjeżdżała. Już po śmierci Daniela zaczęła się bardziej wtrącać, tak jakby została po nim wyrwa, którą musiała zapełnić, grając bardziej aktywną rolę w moim życiu. Ale po przyjściu na świat Toma to się nasiliło. Czy zauważyła rozmaite wymowne rzeczy w wolnym pokoju? Książkę pod łóżkiem. Ubrania Eda w komodzie. Na pół opróżnioną butelkę wina na dnie szafy. (Nie mojej – ja odstawiłam jakikolwiek alkohol, gdy tylko się okazało, że jestem w ciąży). Wszelkie oznaki, że to w tym pokoju mój mąż zwykle spędza noc.

– Tak będzie lepiej dla mojego kręgosłupa – powiedział, kiedy po raz pierwszy zasugerował oddzielne sypialnie. W pierwszej chwili byłam zraniona. Ale im bardziej Tom wrzeszczał, kiedy próbowałam go uczesać („Głowa mnie boli!”) albo kiedy ktoś ruszył jego „specjalną filiżankę” („Gdzie ona jest, gdzie ona jest?”), tym bardziej się na siebie irytowaliśmy. Czasem robiły się z tego kłótnie na cały regulator.

– Nie dam sobie rady z dwojgiem dzieciaków i ich napadami! – warknęłam podczas jakiejś szczególnie niemilej kłótni, kiedy Ed kazał Tomowi wziąć się w garść.

Tom się zmieszał.

– Ale jak mam to zrobić? – Język musiał być dla niego kryształowo przejrzysty. „Mieć głowę w chmurach” oznaczało w słowniku Toma, że dana osoba zdołała jakoś wzbić się pod niebiosa i przebiła głową obłoki. „Czy możesz pójść do łóżka?” rozumiał jako „Czy jesteś w stanie dotrzeć do łóżka?”. Jako pytanie, nie jako polecenie.

Ani nasza złość, ani łzy na niego nie działały. Wyglądało na to, że ma kłopot z rozpoznawaniem uczuć innych ludzi.

– Dlaczego oni płaczą? – spytał któregoś dnia, widząc w telewizji tłum uchodźców.

– Bo nie mają już domów – wyjaśniłam.

– To czemu nie zbudują sobie nowych?

Niektóre z tych pytań mogłyby być normalne u bardzo małego dziecka. Ale w miarę jak Tom rósł, stawały się coraz bardziej niestosowne.

Byliśmy wyczerpani. Prawie jak w początkach naszego małżeństwa, kiedy o mało się nie rozstaliśmy. Propozycja mamy nas uratowała. Tom przeprowadził się do dziadków, do Devon, nad morze. Niedaleko była szkoła, do której chodziliśmy kiedyś z bratem. Od tego czasu mieli więcej „dzieci specjalnej troski”, takich jak on, powiedział pogodnie dyrektor. Możemy się nie martwić.

Przyjeżdżaliśmy do Toma w każdy weekend. Nie było wątpliwości, co ta przeprowadzka znaczy dla moich rodziców. Odkąd urodził się Tom, matce nie przydarzały się już te stany, kiedy myślała, że Daniel nadal żyje. Miała teraz inną misję: wnuka.

Choć przykro mi to przyznać, nieobecność Toma dała nam z Edem szansę, żeby znowu stać się parą. Był czas, żeby porozmawiać przy posiłkach. Poleżeć wieczorem na sofie w przyjacielskim milczeniu, oplatając się nawzajem nogami. Odkryć na nowo swoje ciała w sypialni. Nie powiem, żeby była w tym jakaś szaleńcza namiętność. Ale była sympatia. I czułość.

Ed tymczasem wciąż usiłował wyrobić sobie nazwisko jako artysta. Oboje liczyliśmy, że nastąpi to wcześniej, zwłaszcza kiedy dostał trzecią nagrodę w tamtym konkursie. Ale rynek sztuki działa powoli, a przynajmniej tak mu mówiono. Od czasu do czasu udało mu się przekonać jakąś galerię, żeby wystawiła parę jego prac. Ale szło jak po grudzie, dopóki jakiś anonimowy nabywca nie kupił *Małej Włoszki*. Wreszcie Ed miał dosyć pieniędzy, żeby spełnić swoje marzenie – otworzyć własną galerię.

Jak na ironię, od narodzin Toma moja kariera rozkwitła. Wkrótce zostałam w mojej kancelarii współpracowniczką – w rezultacie pasma sukcesów, jakie odniosłam po wygraniu sprawy Joego Thomasa, co doprowadziło do szeregu śledztw w całym kraju i zmian w przepisach w zakresie ochrony zdrowia i

BHP. Nasz przypadek umieszczono jako precedens w zbiorach orzecznictwa. Moje nazwisko stało się znane.

Równie ważne dla mnie było to, że Davina szczęśliwie wyszła za mąż za właściciela rozległej farmy w Yorkshire. Zaproszeni na ślub, odmówiliśmy. Ed przysiągł, że nigdy mnie z nią nie zdradził, ale nadal nie czułam się dobrze w jej obecności.

Mimo to staliśmy się sobie z Edem bliżsi jako para. Powiada się, że dziecko chore czy sprawiające trudności albo ludzi od siebie oddala, albo zbliża. O dziwo, nam przytrafił się ten drugi przypadek.

– Moje buty! Nie mogę ich teraz włożyć, bo ich dotykałaś!

Gniew syna przywraca mnie ostro do rzeczywistości. Jeśli nie zdążę na ranny pociąg do Waterloo, spóźnię się na umówione spotkanie.

– Ja to załatwię – mówi pewnym tonem mama. Czasem mi się wydaje, że wzięła Toma, żeby tym razem zrobić wszystko jak należy. Nie wyszło jej z Danielem, a przynajmniej tak uważa, ale teraz wobec wnuka będzie mądrzejsza. – Aha... O mało nie zapomniałam. Tu jest list do ciebie. Przyszedł w zeszłym tygodniu.

No i wychodzę, tchórz. Wsiadam do auta, gdzie już czeka tata, odchylam się na oparcie i z ulgą zamykam oczy.

– Ed wyjdzie po ciebie? – pyta ojciec.

Kręcę głową. Tym razem, inaczej niż zwykle, Ed nie przyjechał ze mną do Devon. Został zaproszony na niedzielny wernisaż w elitarniej galerii w Covent Garden, która wystawia kopię jego *Małej Włoszki*. Ilekroć patrzę na ten obraz – jego żywe, niemal rażące kolory i na pół świadome, na pół niewinne spojrzenie dziewczynki – coś mnie w nim niepokoi. A może to po prostu dawna złość na Francescę, która wykorzystywała nas jako opiekę, żeby móc się spotykać z Tonym Gordonem? Czy raczej Larrym... Jak można prowadzić takie podwójne życie?

Pociąg pędzi, zarzucając, przez Sherborne, a ja obracam w rękach kopertę. Nie, nie pozwolę, żeby Joe Thomas mnie dotykał. Nawet mentalnie. Nie zamierzam pozwolić sobie na myślenie o tym, że pomogłam ująć bezkarnie człowiekowi winnemu. Gdybym tak zrobiła, nie potrafiłabym ze sobą żyć.

I dlatego, jak tylko dotrę do Londynu, podrę tę kopertę z adresem wypisanym ręką mojego dawnego klienta wyrazistymi drukowanymi literami. Podrę i wrzucę do najbliższego kosza na śmieci. Bez czytania.

Kiedy docieram do pracy, panuje tam zwykły zrównoważony pośpiech i kontrolowana panika. Jak ja to lubię. Dorosła panika. Dorosłe starcie woli. Dorosłe komplementy.

Nie tylko moja kariera jest na fali wznoszącej. Również mój wygląd. Niektóre kobiety starzeją się źle, jak Davina, której zdjęcie widziałam w zeszłym miesiącu w magazynie „Tatler” w kolumnie plotkarskiej. Zdecydowanie miała obwisłe policzki. Inni, jak ja, wyglądają lepiej. A przynajmniej tak mi mówią ludzie.

– Służ ci średni wiek – powiedział któregoś ranka Ed, patrząc na mój płaski brzuch i smukłe uda.

Połaskotałam go drwiąco.

– Średni wiek? – powtórzyłam z udaną obrazą. – Czterdziestka to teraz jak trzydziestka. Czyżbyś o tym nie wiedział? No, ostatecznie trzydzieści pięć, najwyżej.

Jak na ironię, po urodzeniu Toma byłam zanadto zajęta, żeby sobie dogadzać w jedzeniu. Szybko straciłam to, co mi przybyło w ciąży (pomogło tu karmienie piersią), a w miarę jak podrastał, traciłam kolejne kilogramy. Im więcej mój syn rozsmarowywał po ścianie jedzenie, a czasem i coś gorszego, tym mniejszą miałam ochotę, żeby jeść. Konieczność radzenia sobie z dzieckiem, które upierało się, żeby wszystko było na swoim miejscu, a zarazem uporczywie tworzyło chaos, działała skuteczniej niż jakakolwiek dieta. Zaczęłam też biegać rano przed pracą. Najpierw tylko wokół bloku, ale potem dalej. Bieganie, zwłaszcza o szóstej rano, kiedy świat dopiero się budzi, pomagało mi uciec od demonów z moich snów.

Waga spadała, uwydatniły mi się kości policzkowe i okazało się, że mieszczę się w rozmiar 40, a

potem w 38. Poszłam do drogiego fryzjera w Mayfair i obciąłam moje długie blond włosy, zmieniając je na prostą fryzurę tuż za ucho w stylu „proszę mnie traktować serio”. Kiedy idę teraz pewnym krokiem w moich nowych czerwonych szpilkach, przyciągam spojrzenia. Klienci popatrują na mnie badawczo, tak jakby kobieta o dobrej prezencji nie była w stanie wygrać sprawy. Kiedyś w sądzie prawnik strony przeciwnej wsunął mi karteczkę z propozycją, czy nie poszłabym z nim wieczorem na kolację. Odmówiłam. Ale było mi miło.

Sąd... To mi przypomina, że mam tam być równo o pierwszej. Od „tamtej sprawy” specjalizuję się w poważnych przypadkach, jak morderstwo czy nieumyślne spowodowanie śmierci. Patrząc wtedy, jak Tony Gordon przechadza się pewnym krokiem po sali, poczułam, że zapala się we mnie jakieś światełko. Radca prawny może zyskać dodatkowe kwalifikacje, pozwalające mu na występowanie w sądzie, co normalnie robi adwokat. Znacznie zwiększa to możliwości zarobkowe. No więc tak zrobiłam.

Ale biorę sprawę, tylko jeśli jestem przekonana o niewinności klienta. Najlżejsze wątpliwości czy skrupuły – i przekazuję przypadek komuś innemu, twierdząc, że jestem „zbyt zajęta”. W dzisiejszej sprawie nie mam wątpliwości. Nastolatka na rowerze, potrącona przez ciężarówkę. Sprawiedliwość musi stać się zadość.

– Gotów? – Spoglądam niecierpliwie na naszego najnowszego stażystę, młodego chłopaka prosto po Oksfordzie, którego ojciec jest znajomym jednego ze współników. Nie podoba mi się to, ale co robić? Nepotyzm kwitnie w wymiarze sprawiedliwości. Chłopak wciąż manipuluje przy swoim krawacie absolwenta Eton, czarnym w turkusowe paski.

– Nie weźmiemy taksówki? – jęczy.

– Nie. – Idę długim, równym krokiem. Chodzenie pieszo to mój kolejny sposób na utrzymanie linii. A poza tym świeże jesienne powietrze pomaga mi myśleć, kiedy po drodze przypominam sobie jeszcze raz szczegóły przypadku.

– Denerwuje się pani w sądzie? – Chłopak podnosi na mnie wzrok, a ja mam odruch współczucia. Dobra uczelnia i wychowanie w uprzywilejowanej rodzinie nie stanowią ochronnego kokonu, gdy trzeba stawić czoło ławie przysięgłych i sędziom. Szczególnie ci ostatni nie mają cierpliwości do głupków.

– Nie pozwalam sobie na nerwy.

Wchodzimy po kamiennych schodach do środka. Wnętrze sądu nie jest tak rozległe jak Old Bailey^[8], ale i tak imponujące z tymi kolumnami z szarego kamienia i rozwianymi czarnymi togami adwokatów. Choć to nie w porządku, mężczyzn nadal jest tu więcej niż kobiet...

– Lily?

Przystaję. Mam przed sobą mężczyznę o szarej twarzy i szarych włosach. Szybko przeszukuję pamięć. Skądś znam tego człowieka, jestem pewna, ale nazwisko mi umyka.

– Nie poznajesz mnie. – Te wypowiedziane ochryplym głosem słowa to raczej stwierdzenie niż pytanie. – Tony. Tony Gordon.

Patrzę na niego wstrząśnięta. Ostatni raz widziałam go parę miesięcy temu, a i wtedy tylko przelotnie. Skinęliśmy sobie głowami i to wszystko, tak jakbyśmy nie spędzili razem tylu godzin, ślęcząc głowa przy głowie nad papierami, co w efekcie dało krzyczącą niesprawiedliwość. Ze wszystkich sił starałam się zapomnieć, że te godziny kiedykolwiek miały miejsce.

– Jak się masz, Lily? – Mówiąc, dotyka gardła. I wtedy widzę. Znad kołnierzyka wyrasta niemożliwa do pomylenia gula. – Rak gardła – chrypi znowu. – Robią, co mogą, ale...

Jego słowa niemal giną w powodzi zaaferowanych głosów wokół nas, budzących echo w rozległym holu. Mój oksfordzki stażysta przestępuje zakłopotany z nogi na nogę.

– Zobaczyłem na liście twoje nazwisko i chciałem cię złapać. – Oczy Tony’ego – jedna z niewielu rzeczy, które się w nim nie zmieniły – padają na mojego towarzysza.

– Zechciałbyś nas na chwilę zostawić? – mówię zdecydowanie do młodego człowieka.

Kącki ust dawnego kolegi unoszą się w uśmiechu rozbawienia.

– Jesteś inna niż dawniej. Ale już o tym wiem. Masz znakomitą renomę.

Ignoruję komplement.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Joe Thomas.

Zasycha mi w ustach. Robi mi się zimno. Głosy wokół cichną.

– Co z nim?

Wracam myślą do rozmowy z Tonym sprzed lat. Zadzwoiłam do niego, spanikowana, kiedy Joe Thomas z dumą przyznał się do winy.

– Co robimy? – jęknęłam.

– Nic – odparł. – Jest wolny i tyle. – Brak zaskoczenia z jego strony mówił sam za siebie.

– Wiedziałaś, że jest winny?

– Podejrzywałam. Ale nie byłem pewny. A poza tym to nie ma znaczenia.

– A jednak ma.

– Posłuchaj, Lily. Kiedy będziesz starsza, zrozumiesz, że to gra. Gra, w której musimy wygrać, nawet jeśli mamy złą kartę. Przeciwno Joemu Thomasowi nie było wystarczających dowodów. A poza tym zaszkodziłoby to tym wszystkim innym sprawom, które w rezultacie wytoczono. Po prostu uznaj, że to przeszłość, i idź dalej.

I to był prawdziwy powód, dla którego starałam się odtąd unikać Tony'ego Gordona. Chodziło nie tylko o jego podwójne życie i o konsternację na twarzy biednej małej Carli, gdy usiłowała zrozumieć, dlaczego Larry jej matki naprawdę ma na imię Tony. Chodziło o to, że nie chciałam być takim prawnikiem jak on. Moje standardy były wyższe. A w każdym razie powinny być.

Ale teraz jesteśmy tutaj. Twarzą w twarz.

– Co z nim? – pytam, zerkając na zegarek. Za dziesięć minut musimy być na sali.

– Napisał do mnie. Prosił, żebym ci przekazał wiadomość.

Myślę o kartkach urodzinowych, które przysyłał mi co roku. Wszystkie na adres firmy. Wszystkie zaadresowane dużymi literami. Wszystkie ze znaczkami z krajów tak odległych jak Egipt. I o tej ostatniej, która leży teraz w koszu na śmieci na stacji Waterloo. Przynajmniej myślę, że to była karta urodzinowa. Przelotnie przypomina mi się skromna kolacja, jaką w związku z moimi trzydziestymi ósmymi urodzinami mieliśmy z mężem w zeszłym tygodniu. Żadnego zamieszania, żadnych fanfar. Po prostu kameralna uroczystość dla uczczenia tego, że udało się pokonać przeciwności. Że pozostaliśmy małżeństwem. Teraz jednak stoi przede mną przypomnienie moich błędów.

– Chce z tobą porozmawiać. – Tony wciska mi do ręki jakąś kartkę. – Powiedział, że to pilne.

I zanim zdążę wyrazić współczucie w związku z jego chorobą, znika. Oddała się zamaszystym krokiem wzdłuż łukowato sklepionego holu, powiewając czarną togą. Bez biretu.

A ja tymczasem mam przed sobą własne zadanie. Niewinnego kierowcę ciężarówki, któremu zrujnowała życie nastolatka, bez ostrzeżenia przecinając mu drogę na rowerze.

Można by sądzić, że to rowerzystka była ofiarą. Bądź co bądź, zawsze się czyta o takich wypadkach. Ale to właśnie stanowi wyzwanie w prawie. Nic nie jest takie, na jakie wygląda.

Muszę biedaka z tego wyciągnąć. Podtrzymać moją pozycję tej, która ma na koncie najwięcej wygranych spraw w kancelarii. To jedyny sposób, by udowodnić, że mimo wszystko nie jestem aż tak złym człowiekiem.

Po czym, wbrew samej sobie, wsuwam numer Joego Thomasa do kieszeni i ruszam na salę.

Carla

Carłę obudziła wczesnym rankiem seria krzyków i jakichś brzęczących łomotów. Kuląc się z zimna, podbiegła na bosaka do okna. Aha... Opróżniano pojemniki na śmieci.

Pocieszające było, że i tu, tak samo jak we Włoszech, ma miejsce odbiór odpadów. Jej tęsknota za domem była przez to trochę mniejsza. Uniosła ramiona i przeciągnęła się – mamma od dawna wpoiła jej przekonanie o ważności ćwiczeń dla zachowania linii. Jeden z mężczyzn przetaczających pojemniki zobaczył ją i gwizdnął.

Zignorowała go i wróciła do łóżka. Skuliła się pod cienką kołdrą. Nawet kaloryfera tu nie było! Po chwili sięgnęła po laptopa. Włączyła go i kliknęła w link, który zachowała w folderze „Ulubione”: Tony Gordon. Lincoln’s Inn.

Po czym otworzyła inny:

Lincoln’s Inn to jedna z czterech londyńskich izb adwokackich, grupujących adwokatów Anglii i Walii i przyznających kwalifikacje uprawniające do występowania przed sądem. Uważane jest za jedno z najbardziej prestiżowych stowarzyszeń prawniczych na świecie. Przyjmuje się, że nazwa pochodzi od nazwiska Henry’ego de Lacy, III księcia Lincoln.

Oczywiście sprawdzała już to wszystko w domu, we Włoszech. Ale chociaż zapewniała mamkę, że na pewno odzuka Larry’ego, nie była dotąd pewna, czy po prostu pójść do niego do firmy w nadziei, że go zaskoczy, czy też umówić się na spotkanie, udając klientkę.

Zastanawiała się, a tymczasem spod łóżka wypełzł kolejny karaluch. Na chwilę się zatrzymał, jakby prosząc: „nie zabijaj mnie”. Umówię się, postanowiła Carla. W ten sposób będzie miała pewność, że go zastanie. Ale nie będzie dzwonić, pójdzie osobiście.

Wstała, wrzuciła na siebie różowy jedwabny szlafrok, który kupiła jej nonna jako pożegnalny prezent, i niepewnie zadreptała wokół karalucha. To nie jest kwestia miękkiego serca, powiedziała sobie, ruszając do wspólnej toalety piętro niżej. To kwestia praktyczna: i tak nie zdoła zabić każdego karalucha w pokoju.

Ale może sprawić, że Larry zobaczy, co narobił.

Pół godziny później była gotowa. Wąska beżowa spódniczka, która podkreślała sylwetkę, ale zarazem była klasyczna. Obcisły czarny sweterek z szerokim pasem, by podkreślić talię. Wczorajszy kremowy żakiet. Czerwone szpilki. Psiknięcie z flakonika Chanel, który wzięła sobie w sklepie wolnoctwowym na lotnisku (nikt nie patrzył). Torebkę przewiesiła na ukos przez ramię, bo podobno i tu jest pełno złodziei, tak samo jak w Rzymie.

W recepcji leżał stosik map londyńskiego metra. Carla ostrożnie obesła dziewczynę z tatuażem na szyi, w pociętych džinsach, i wzięła jedną z mapek. Dziewczyna spojrzała zdziwiona.

– Gdzie chcesz jechać? – spytała.

– Do Holborn – odparła sztywno Carla.

– W takim razie jedź niebieską. – Brudny palec dźgnął w mapkę. – Chcesz tanią kartę Oyster?

– Przepraszam, co to jest?

Z tyłu rozległ się śmiech innej dziewczyny. Carli przypomniała się szkoła w Clapham, gdzie dzieciaki były dla niej takie okropne.

– Taki bilet na autobusy i metro. Tylko dwadzieścia funtów. Okazja.

– Mam tylko euro.

– W takim razie czterdzieści.

Carla zapłaciła i ruszyła w stronę stacji King's Cross. Już prawie pamiętała drogę. Kiedy jak wszyscy przyłożyła kartę do czytnika, rozległo się głośnie „biiip”.

– Już nic na niej nie masz, kochana – powiedział mężczyzna w neonowej kurtce.

– Ale sprzedali mi ją za czterdzieści euro!

– W takim razie cię oszukali. Oyster kupuje się tylko na stacji metra albo online. – Wskazał palcem automat, przed którym stała długa kolejka ludzi.

Wściekła, kupiła nową kartę. Co za złodzieje z tych Anglików!

Ale siedziba Lincoln's Inn była nawet piękniejsza niż na zdjęciu w internecie. Carla stanęła i z podziwem patrzyła na smukłe, harmonijne bryły budynków, na wysokie okna i wieńczące gmach gzymsy. Choć było to centrum Londynu, rozległe trawniki i starannie przystrzyżone żywopłoty stwarzały złudzenie jakiejś wiejskiej rezydencji. Jeden z budynków, przekryty kopułą, przypominał jej bazylikę we Florencji, gdzie była raz ze szkolną wycieczką.

Na szczęście, dzięki spisany z Google'a wskazówkom, bez problemu znalazła kancelarię Larry'ego.

– W czym mogę pomóc? – spytała młoda kobieta przy biurku.

– Chciałabym umówić się na wizytę u pana L... to znaczy, u pana Tony'ego Gordona.

Dziewczyna spojrzała na nią badawczo.

– Czy jest pani prawniczką?

– Niezupełnie. Znałam kiedyś pana Gordona i chciałabym się z nim ponownie skontaktować.

Spojrzenie stało się chłodniejsze.

– W takim razie proponuję, żeby napisała pani mejla na adres kancelarii. Zostanie mu przekazany. –

Podsunęła jej wizytówkę firmy. – Proszę, tu ma pani wszystkie dane.

– Ale ja potrzebuję się spotkać z panem Gordonem już. To ważne.

– Obawiam się, że to niemożliwe. A teraz muszę panią poprosić o wyjście.

Głos nie był już chłodny. Była w nim stanowczość i gniew.

Zdecydowana nie ujawniać swojego skrępowania, wyszła z wysoko podniesioną głową. Poszukała kawiarni, gdzie mieli Wi-Fi, i napisała krótką wiadomość:

Drogi Tony,

być może pamięta mnie pan z przeszłości? Jestem teraz znowu w UK i mam panu do przekazania wiadomość od mojej matki Franceski.

Pozdrawiam,

Carla.

Wystarczy. Grzecznie i na temat. Osobiście Carla nie podzielała nadziei matki, że Larry, a raczej Tony, być może za nią tęskni. Ale jeśli przy odrobinie szczęścia uda jej się z nim spotkać, to może zdoła przynajmniej wyciągnąć od niego jakąś sumę na otarcie łez.

Teraz miała na liście kolejne dwa zadania. Rejestracja na uczelni, w pobliżu stacji, która nazywała się Goodge Street, okazała się o wiele łatwiejsza. Wszyscy byli tacy życzliwi! Zajęcia zaczynają się jutro. Czy otrzymała listę lektur, którą wysłano do niej mejlem w czasie wakacji? Tak? To dobrze. Dziś wieczorem jest spotkanie przy drinku dla nowicjuszy. Będzie okazja, żeby poznać ludzi.

Ale Carla miała ważniejsze sprawy do załatwienia. Ruszyła z powrotem do metra.

Lily

Wstrzymuję się z dzwonieniem, dopóki nie zapadnie wyrok uniewinniający. Sprawa kierowcy ciężarówki była ostra. Adwokat strony przeciwnej zaprezentował film na temat „ofiary”: szczęśliwej, roześmianej nastolatki na rowerze. O mało nie przeciągnęło to na ich stronę przysięgłych – sporo było wśród nich kobiet w średnim wieku i większość sama miała dzieci.

Ale nie.

– Dziękuję. – Żona kierowcy po wyjściu z sali rzuca mi się na szyję i ściska. – W pewnej chwili myślałam, że przegramy.

Ja też, choć nigdy bym się do tego nie przyznała. Narkotyki. Alkohol. Jedno i drugie prowadzi zazwyczaj za kratki albo do śmierci. Nadal prześladuje mnie mgliste wspomnienie pubu w Hampstead. To dlatego nie tykam odtąd alkoholu.

– Pójdziemy teraz to uczcić – mówi żona kierowcy, patrząc czule na męża. – Tak, kochany?

Ale kierowca, tak jak ja, patrzy na drugą stronę wyłożonego marmurem foyer, gdzie w milczeniu stoi w objęciu para w średnim wieku. Głowa kobiety spoczywa na piersi mężczyzny. Jakby czując nasz wzrok, ogląda się i posyła mi spojrzenie, które zabiłoby, gdyby mogło.

Przykro mi, mam ochotę powiedzieć. Przykro mi z powodu waszej straty. A przede wszystkim dlatego, że pamięć waszej córki została raz na zawsze splamiona. Ale sprawiedliwości musi stać się zadość.

Kobieta rusza w moją stronę. Zbroję się wewnątrz. To rodzina inteligentów. Wiele o tym mówiono w sądzie. Ojciec jest profesorem. Matka wychowywała dzieci. Na szczęście mają jeszcze troje. Ale strata zmienia ludzi w zwierzęta, jak zauważyłam.

– Yhh! – wrywa się żonie kierowcy ciężarówki. Splunięcie trafia mnie łukiem prosto w twarz. To było wymierzone we mnie, nie w kierowcę.

– Powinna się pani wstydić – cedzi przez zęby nieszczęsna matka.

Ocieram policzek chusteczką, którą noszę w torebce specjalnie w tym celu. Nie pierwszy raz się to zdarzyło. I nie ostatni. Mąż kobiety, rzucając mi nienawistne spojrzenie, odprowadza ją na bok.

– Przykro mi – mówi kierowca ciężarówki. Ma wilgotne oczy.

Wzruszam ramionami.

– Wszystko w porządku.

Ale to nieprawda. I oboje o tym wiemy. Dzięki anonimowej informacji (nie do wiary, jak często się to zdarza) potrafiłam wskazać nazwisko dilera dostarczającego narkotyki dziewczynie, która wjechała rowerem pod koła ciężarówki. Gdyby nie to, nie bylibyśmy w stanie ustalić, że stale brała, co w efekcie wpłynęło na zwiększenie stopnia jej odpowiedzialności.

Sprawiedliwości stało się zadość. Nie zawsze wygląda ona tak, jak można by się spodziewać. Ale zawsze trzeba za to zapłacić określoną cenę.

Schodzę po stopniach w objęcia porywistego wiatru. Tu, na zewnątrz, jest inny świat, przypominam sobie, gdy przechodzę przez jezdnię w stronę parku, ledwie unikając zderzenia z rowerzystą bez kasku. Świat, w którym mogę wyrzucić do kosza kartkę z numerem Joego, którą dał mi Tony.

Albo zadzwonić.

„Musimy z tym skończyć”. Często słyszę to zdanie od moich klientów. Nawet gdyby miał zapaść wyrok

skazujący, chcą się pozbyć wiszącego nad głową miecza. Myślałam, że pozbyłam się mojego. Ale ilekroć dostaję kolejną urodzinową kartkę, uświadamiam sobie, że nie potrafię uciec. A teraz dostałam numer telefonu.

Jeśli nie zadzwonię, będę się stale zastanawiać, co mi chciał powiedzieć. Jeśli zadzwonię, będzie to znaczyło, że ulegam jego kaprysom. Przechodząca obok kobieta upuszcza portmonetkę. Wysypują się drobne i patrzę, jak je zbiera. A właściwie czemu nie? Wyjmuję z torebki pięćdziesiąt pensów i wyrzucam w powietrze. Awers – nie dzwonię. Rewers – dzwonię.

Szybko łapię monetę, zanim upadnie na mokrą trawę.

Rewers.

Powinnam wracać do pracy. Ale potrzebuję trochę czasu, żeby pomyśleć. Rozmowa z Joem wytrąciła mnie z równowagi. Ruszam więc w stronę Narodowej Galerii Portretów. Zawsze mnie uspokaja, kiedy patrzę na twarze innych ludzi. Rozpoznaję na nich te same stany i uczucia, które malują się w różnych sytuacjach również na mojej twarzy.

Emocje się nie zmieniły. Są takie same, jak przed wiekami. Strach. Podniecenie. Obawa. Poczucie winy. I, kiedy przytulę się w nocy do Eda, ulga, że mimo wszystko wciąż jesteśmy razem. Łatwo cisnąć karty na stół i odejść. Ale nie pozwolę, żeby Joe Thomas zrobił mi coś takiego.

Właśnie patrzę na portret Thomasa Cromwella, gdy odzywa się moja komórka.

– Przepraszam – rzucam szeptem w stronę pary w identycznych szalikach, która rzuca mi krytyczne spojrzenie.

Szybko idę do foyer, gdzie jakaś turystka spiera się o cenę biletu. „Tam, gdzie mieszkam, muzea są bezpłatne” – słyszę.

Grzebię w torbie, ale telefon jest na samym dole i trochę trwa, zanim go wreszcie znajduję.

„Połączenie nieodebrane”.

Ed.

Zasycha mi w ustach. Mój mąż nigdy nie dzwoni w godzinach pracy, chyba że zajdzie jakiś nagły wypadek z Tomem. Ostatnio było spokojnie, więc już czas. Tak to leci.

Drżącą ręką wybieram opcję „Oddzwon”.

Carla

Carla spodziewała się czegoś efektownego. Nie jak Akademia Królewska, rzecz jasna, którą bardzo chciała zwiedzić, ale w każdym razie czegoś, no, wyróżniającego się. Ten wąski budynek był jednak wciśnięty pomiędzy sklep z butami i kiosk z prasą. Gdyby człowiek nie wiedział, czego szuka, mógłby przejść obok i w ogóle nie zauważyć. Nawet trzeba było zejść po kamiennych schodkach do sutereny.

Przystanąła. Wstrzymała dech. Wszędzie dookoła były ściany. Białe. A na tych ścianach... ona.

Carla, taka, jaka była kiedyś.

Mała Włoszka, która zawsze czuła się inna.

Nie sposób było się pomylić. Niektóre prace rozpoznawała. Ale było i trochę nowych. Carla roześmiana. Ze zmarszczonymi brwiami. Zamyślona. Drzemiąca. W dużych ramach. W małych ramach. Malowana śmiałymi pociągnięciami pędzla, w czerwieni i czerni.

O Boże drogi! Carle zatchnęło z wrażenia. Oto w kącie, z węglem w ręce, stał Ed. Starszy, niż go zapamiętała, na czole przybito mu zmarszczek. Nosił też okulary, których sobie nie przypominała. Ale niewątpliwie był to on.

„Nie ruszaj się, Carla, proszę. Pomyśl o czymś przyjemnym. Na przykład o swoim nowym różowym rowerze. O koleżance ze szkoły. Jak ona ma na imię? Aha, Maria! No tak” – wracały do niej jego słowa, gdy powoli szła w jego stronę.

– Pan Macdonald?

Niechętnie podniósł głowę. Wyraźnie był zły, że ktoś mu przerywa pracę. Wzrok mu stwardniał i zaraz złagodniał. Spróbował wstać, ale znowu usiadł.

– Carla? – wykrztusił. – Mała Carla? To naprawdę ty?

Była przygotowana na wszelkie reakcje, ale nie na taką. Nie na tę autentyczną radość w oczach. Żadnego wstydu. Żadnego zakłopotania. Żadnej próby ukrycia się.

– Pisałam do ciebie – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – Ale nie odpowiedziałeś.

Krzaczaste brwi skoczyły w górę.

– Pisałaś do mnie? Kiedy?

– W zeszłym roku. A potem jeszcze raz.

– Na adres galerii?

– Tak... to jest nie, ten pierwszy nie... – Carle opadły wątpliwości. – Pierwszą wysłałam na adres domowy, a drugi do innej galerii niż ta. Tam, gdzie miałeś wystawę.

Ed przeciągnął ręką po włosach.

– Ach tak. Jakiś czas temu się przeprowadziliśmy, ale ludzie, którzy kupili nasze mieszkanie, są tak mili, że przekazują nam listy, jeżeli coś przyjdzie. A jeśli chodzi galerię, to wiesz, list mógł się zawieruszyć. Tylu różnych artystów to przychodzi, to odchodzi... Mogli mieć bałagan w poczcie.

Wierzyć mu czy nie? Brzmiało to dość wiarygodnie. Carla podniosła oczy na tego dość przystojnego mężczyznę z miłymi wachlarzykami zmarszczek w kącikach oczu. Było w nich autentyczne zatroskanie. I podziw. Nie miała wątpliwości... Przeniknął ją dreszcz ekscytacji. Oto mężczyzna, którego idealizowała jako dziecko. Teraz jednak była dorosła.

Być może istnieje inny sposób...

– Pisałam, żeby uprzedzić was o przyjeździe. Skończyłam we Włoszech prawo, a teraz przyjechałam do Anglii na kurs w zakresie prawa angielskiego. I pomyślałam, że będzie miło was zobaczyć.

– Cudownie! – Ed ujął obie jej ręce i mocno uściskał. Na pewno mocniej, niż było konieczne. – Nie masz pojęcia, Carla, jak się cieszę, że cię widzę! Witaj w Anglii!

Lily

Numer Eda jest zajęty.

Teraz już naprawdę się boję. Cofam się o krok, żeby przepuścić inną osobę w kolejce, i znowu próbuję.

– Lily?

Dzięki Bogu... Odebrał.

– Co się stało? – wyrzucam z siebie.

– Nic! – Głos wibruje mu jakimś radosnym podnieceniem.

Przepętnia mnie ulga.

– Jesteś zajęta? – pyta.

Dziwne to pytanie, bo wie, że zawsze jestem zajęta. Galeria Portretów to rzadki akt rebelii z mojej strony. Powinnam być w pracy.

– Prawdę mówiąc, dałam sobie godzinę wolnego po sprawie.

– Wygrałaś?

Ed bardzo się teraz interesuje moją pracą.

– Tak – mówię z satysfakcją.

– Super! – Jest ze mnie naprawdę dumny. – To może byś wpadła do mnie do galerii?

– Żeby się z tobą zobaczyć?

– Czeka cię niespodzianka.

– Przyjemna?

– Zdecydowanie!

Jestem podekscytowana jak dzieciak.

– Dobrze, mogę sobie darować godzinę – mówię i wychodzę na zewnątrz.

Nowa galeria Eda mieści się w starej piwnicy. Ma duży potencjał, zapewnił mnie, zwłaszcza z tym wspaniałym rzeźbionym wiktoriańskim filarem pośrodku.

Na otwarcie przyszło całkiem sporo ludzi. Tamten anonimowy nabywca (nawet Ed nie wie, kto to jest, bo wszystko odbyło się przez dilerę) naprawdę wzbudził zainteresowanie jego twórczością. Kiedy klienci zaczęli mnie pytać, czy jestem spokrewniona z Edem Macdonaldem, tym artystą, dumna byłam, mogąc odpowiedzieć, że to mój mąż. Teraz jednak, po blisko roku, zainteresowanie słabnie. Widać jego styl w malarstwie akrylowym – ostre kolory, śmiałe pociągnięcia pędzla – nie każdemu odpowiada.

Do Eda dotarły raniące recenzje. W rezultacie znowu stracił pewność siebie. Niedawno wrócił do domu z trzema butelkami czerwonego wina.

– Nie wypiję wszystkich naraz – powiedział obronnym tonem. Nie odezwałam się. Wiem, że mój mąż ma wady, ale ja też je mam. Zamiast tego zrobiliśmy sobie relaksującą kolację we dwoje. Teraz, kiedy nie ma Toma i jego wrzasku, bo ktoś mu przez pomyłkę nałożył groszku i przez to „skaził” talerz („przecież mówiłem, że nie lubię zielonego!”), nieraz w tygodniu często pozwalamy sobie na tę przyjemność.

Jedyne, czego potrzebuje teraz Ed, żeby poprawić sobie samoocenę i móc opłacić rachunki za galerię, to kolejna duża sprzedaż. Może właśnie dlatego mnie zaprosił? – myślę, schodząc po schodkach do

wejścia. Może pojawił się kolejny nabywca?

Kiedy wchodzę do galerii, widzę od tyłu głowę Eda. Przenika mnie ciepłe, swojskie uczucie bliskości.

– Lily! – Odwraca się. Wymawia moje imię tak, jakby było nowe w jego ustach. Jakbym była znajomą, której dawno nie widział, a nie żoną, którą całował dziś rano na pożegnanie.

– Zgadnij, kto przyszedł godzinę temu do galerii?

W tej chwili zza kolumny wyłania się drobna kobieta o czarnych, lśniących włosach obciętych na pazia. Fryzura, jeśli nie liczyć koloru, jest niemal identyczna jak moja. Ale dziewczyna jest młoda. Po dwudziestce na oko. Pełne, jakby obrzmiałe usta uśmiechają się szeroko, promiennie, szczerze. Świeże, różowe dziąsła. Nieskazitelnie gładkie czoło. Jest zachwycająca, choć nie jest to uroda konwencjonalna. Twarz z gatunku tych, na które nie można nie patrzeć. Z niezrozumiałym zdenerwowaniem okręcam srebrną bransoletkę, którą zawsze mam na ręce.

– Cześć, Lily! – woła dźwięcznie. Nieoczekiwanie całuje mnie w policzek, po czym się cofa. Mam wrażenie, że przenika mnie zimne ostrze, tak jakby wielki nóż rozcinał moje ciało na dwoje. – Nie pamiętasz mnie? Jestem Carla.

Carla? Mała Carla, która mieszkała przed laty w tym samym bloku, co my z Edem po ślubie? Czasami nieśmiała, ale zarazem przedwcześnie dojrzałe dziecko, którego piękna matka kręciła z Tonym? Carla, czyli *Mała Włoszka*? Czy to możliwe, że to naprawdę ta pewna siebie młoda kobieta, o lśniących wargach i nienagannej cerze, o kocich oczach, których ostre spojrzenie podkreśla delikatna kreska, taka w sam raz? Co za postawa, gracia, opanowanie!

Mnie zajęło całe lata, zanim osiągnęłam taką pewność siebie.

Ale oczywiście jest to Carla. Wypisz wymaluj – Francesca, minus długie loki. Kopia tamtej samotnej matki, która mieszkała przed laty pod siódmką.

– Co się z tobą działo? – udaje mi się wykrztusić. – Jak matka?

Piękne, podobne do rasowego źrebięcia stworzenie unosi lekko podbródek, a potem przechyla głowę, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Mamma ma się dobrze, dziękuję. Jest we Włoszech. Mieszkamy tam już od dłuższego czasu.

– Carla próbowała się z nami skontaktować – wtrąca Ed. – Pisała.

Oddycham równomiernie, tak jak w sądzie, kiedy muszę zachować ostrożność.

– Naprawdę?

To nie kłamstwo. Po prostu pytanie.

– Dwa razy – dodaje Carla.

Patrzy mi prosto w oczy. Wracam przelotnie myślą do pierwszego listu z włoskim znaczkiem, który wysłała na nasz stary adres, a obecni mieszkańcy nam go przekazali.

W pierwszym odruchu chciałam go wyrzucić, tak jak inne listy z prośbami o wsparcie, jakie dostawaliśmy w tym czasie. Ludzie zakładają, prawidłowo czy nie, że jeśli artysta odniósł jeden większy sukces, to jest bogaty. W rzeczywistości, pomimo sprzedaży obrazu, funduszu powierniczego i moich zarobków, wcale nie cierpimy na nadmiar pieniędzy. Hipoteka za dom i galerię jest rujnująca. I oczywiście musimy opłacać kosztowną terapię Toma. A trzeba też pomyśleć o jego przyszłości.

Tak, chcę pomagać innym, jak każdy uczciwy człowiek. Ale jeśli dasz jednemu, to na czym się skończy? Mimo to przypadek Carli był inny. Miała rację. W pewnym sensie sukces rzeczywiście zawdzięczaliśmy jej.

Postanowiłam, że porozmawiam z Edem. Ale właśnie wtedy jakiś krytyk napisał kolejną zjadliwą recenzję, w której pytał, czemu ktokolwiek miałby płacić taką kasę „za jakieś krzykliwe akrylowe malunki, godne pędzla ulicznego artysty z Montmartre”. Ed był zraniony. Poczekałam z tym, pomyślałam, aż będzie spokojniej. Chociaż tyle mogłam dla niego zrobić w tamtym czasie.

Potem przyszedł kolejny list, na adres galerii, gdzie Ed przez jakiś czas wystawiał. Stamtąd przesłano go nam do domu. Na szczęście wracając z pracy, natknęłam się na listonosza. Rozpoznałam pismo i

znaczek. Wsunęłam list do aktówki, a nazajutrz przeczytałam go w pracy. Tym razem ton był ostrzejszy. Raczej żądanie niż pytanie czy prośba. Jeśli mam być szczerą, przestraszyłam się. Czułam w tym rękę Franceski. Jeśli damy im jakieś pieniądze, mogą żądać więcej.

Odłożyłam więc list, udając sama przed sobą, że „w jakiejś chwili” się nim zajmę. A potem zwyczajnie o nim zapomniałam. Teraz widzę, że to było niewłaściwe. Ale gdybym odpisała Carli i wyjaśniła naszą sytuację finansową, mogłaby nie uwierzyć.

– Martwiliśmy się, kiedy wyjechałyście wtedy tak nagle – mówi teraz Ed. – Czemu nie powiedziałyście, że wyjeżdżacie?

Jego pytanie cofa mnie w tamten czas, kiedy ostatni raz widziałam Carlę. Ta okropna kłótnia pomiędzy Tonym, Francescą i mną... A na dodatek usiłowałam się wtedy połapać, czy powinniśmy z Edem zostać razem.

– Tak – mówię, zaciskając zęby – bardzo się o was martwiliśmy. – Po czym mój wzrok pada na obraz za nią.

Trudno żeby nie padł, bo wizerunki Carli jako dziecka są w całej sali.

– Jak ci się podobają twoje portrety? – pytam. W końcu równie dobrze mogę odegrać rolę adwokata diabła. Postarać się coś z niej wyciągnąć. Dzięki temu wypadnę też bardziej niewinnie w związku z tymi zaniechanymi listami.

Młoda kobieta się rumieni.

– Są śliczne. – I znowu się rumieni. – Nie chcę przez to powiedzieć, że ja jestem śliczna, rozumiecie...

– Och, ale jesteś – wtrąca Ed. – Byłaś ślicznym dzieckiem. Oboje tak uważaliśmy, prawda, Lily?

Kiwam głową.

– Pamiętasz tamten twój portret, który został wysłany na konkurs? Dostał trzecią nagrodę. A chociaż wtedy się nie sprzedał, to ostatnio kupił go jakiś kolekcjoner.

Przyglądam się jej uważnie. W listach wspominała zarówno o konkursie, jak o sprzedaży, więc wiem, że o nich wie. Mimo to przykładą dłoń do ust i wydaje lekki okrzyk zaskoczenia. Paznokcie ma pięknie pomalowane na idealnie dobrany odcień różu. Kształt doskonale owalny. Lakier nigdzie nie odprysnął.

– Fantastycznie! – grucha.

Być może jest teraz zakłopotana w związku z tonem ostatniego listu, o którym myśli, że go nie dostaliśmy... Mogę to zrozumieć.

– Właśnie dlatego próbowałam cię odszukać – dodaje Ed z zapałem.

Naprawdę? Jeśli tak, jest to dla mnie nowość. Czasem Ed mówi coś tylko po to, żeby sprawić komuś przyjemność.

– Dostałem za niego całkiem sporo pieniędzy – papie mój mąż. Jest coraz bardziej podniecony, prawie na haju. Znam te objawy. Oznacza to, że może się zachowywać lekkomyślnie. Dotykam jego ramienia w nadziei, że trochę go przystopuję, on jednak mówi dalej. – I to mi pomogło założyć własną galerię!

Następuje krótka pauza, podczas której oboje myślimy o tym samym. To się nam ostatnio często zdarza. Może tak jest i z innymi parami, które są ze sobą od wielu lat?

– Powinniśmy ci się odwdzięczyć – mówię, z oporem akceptując fakt, że tak będzie honorowo, nawet jeśli nie możemy sobie na to pozwolić.

– Tak, rzeczywiście – zgadza się Ed. Nie patrzy na mnie, ale wiem, że umysł mu wiruje. Ile powinniśmy jej zapłacić? Na co możemy sobie pozwolić?

– Gdzie mieszkasz? – pytam, żeby kupić trochę czasu.

– W okolicy, która nazywa się King's Cross. W hostelu. – Wzdycha. – Pełno tam karaluchów...

Nieoczekiwanie znika pewna siebie kobieta. Widzę przed sobą młodą dziewczynę, która dopiero co opuściła rodzinny kraj i próbuje się odnaleźć w mieście, gdzie prawdopodobnie od czasów jej dzieciństwa dużo się zmieniło. Przestaję się zastanawiać, ile jesteśmy jej winni, i denerwować się, bo jej obecność przypomina mi o przeszłości. Po raz kolejny chcę jej pomóc. Również z poczucia winy.

– Musisz przyjść do nas na kolację.

– Tak! – Ed promienieje entuzjazmem. Wiem dlaczego. W głowie już ją rysuje. To świetny temat: *Mała Włoszka po latach*. Już bez loków. Z gładką fryzurką. Nowy wizerunek. Może pastele, a nie akryle? Nagle przychodzi mi do głowy, że ponowne pojawienie się Carli w naszym życiu jest dokładnie tym, czego potrzebuje mój mąż.

– Może dzisiaj? – proponuje.

Nie. Nie tak szybko. Musimy mieć czas, żeby porozmawiać.

– Dziś nie za bardzo – mówię i sięgam do torby po długopis. – Daj mi swój telefon, to zadzwonię.

Carla ochoczo podaje numer.

– Niedługo zaczynam zajęcia w college’u, ale na pewno znajdę trochę czasu. – Prostuje się. – Skończyłam we Włoszech prawo, a teraz przyjechałam na kurs adaptacyjny w zakresie prawa angielskiego. Chcę zrobić uprawnienia i być prawniczką w Anglii. Tak jak ty, Lily!

Dlaczego czuję ucisk w piersi? Dlaczego mam wrażenie, że ta śliczna dziewczyna wkrada się na moje terytorium? To moja droga. Nie jej.

– To świat, w którym panuje ostra rywalizacja – słyszę własny głos. – Twardy. Bezlitosny. Jesteś pewna, że tego chcesz?

– To ty mnie zainspirowałaś! – Carli błyszczą oczy. – Pamiętam ten słynny przypadek, nad którym pracowałaś, kiedy Ed mnie rysował. Tego rzekomego mordercy. Uczyłam się o nim na studiach. Jak on się nazywał? Joe Thomas? „Ten człowiek jest niewinny, powtarzałaś. Muszę doprowadzić do tego, że i reszta świata to zrozumie”.

Dlaczego mam wrażenie, że to przygotowany tekst? Że prawdziwy powód jej przyjazdu jest inny? A może to ja jestem neurotyczką, bo ta dziewczyna pamięta mężczyznę, którego tak się starałam zapomnieć?

Robię, co mogę, żeby nie myśleć o moim dzisiejszym telefonie.

– Lily ci pomoże w nauce – wtrąca z zapalem Ed.

Jest jak podekscytowane dziecko, które aż się pali, żeby sprawić przyjemność. Wiem dlaczego. Czuje się winny. Bądź co bądź, swój sukces zawdzięcza tej dziewczynie.

– Będziemy w kontakcie i umówimy się na jakiś dzień. – Podaję jej wizytówkę. – A na razie tu masz nasze zamiary.

– Weź i to. – Mąż wciska jej do ręki dwadzieścia funtów. – Zamów sobie taksówkę ze stacji metra.

– Ed – mówię, starając się zachować spokój – możesz dziś wrócić do domu w miarę wcześniej? Musimy o czymś pogadać.

Przez chwilę milczy, z oczami w moich oczach. Musimy o czymś pogadać. Musimy porozmawiać. Ilekroć stosujemy w naszym życiu to wyrażenie, chodzi o coś ważnego. Nasze małżeństwo. Test ciążowy. Diagnoza Toma. A teraz – ile należy zapłacić Carli.

– Jasne – mówi niepewnie. – Będę, o ile będziesz ty. – Śmieje się. – Wiesz, moja żona jest teraz bardzo ważna. Praktycznie mieszka w biurze. Trzyma tam kołdrę.

Już dawno nie był taki ironiczny. Nie mam w pracy zapasowego łóżka, ale faktycznie często wracam późno. Jak można inaczej, kiedy się jest współnikiem?

– Jest coś jeszcze, o czym nie powiedzieliśmy Carli – dodaję.

Ed marszczy brwi.

– To znaczy?

To kolejna rzecz, jak się jest artystą. Można się odizolować. Ukryć.

– Mamy dziecko. Chłopca. – Zacinam się, jak często, gdy mówię obcym, że mam syna. – Ma na imię Tom.

– Naprawdę? – Oczy Carli łagodnieją. – Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę.

Carla

Może to i lepiej, że nie dostali tamtych listów. Dzięki temu sprawy mogą pójść łatwiej, pod warunkiem że właściwie to rozegra.

Wracając do hostelu, Carla potrafiła myśleć wyłącznie o zachwycie na twarzy Eda, gdy na nią patrzył, i o cudownym cieple, jakie ją wtedy przenikało. Widok jesiennych liści i chłodne powietrze wieczoru przypominały jej czasy, kiedy poznała Lily i Eda. Jacy dorośli wydawali się wtedy w jej dziecięcych oczach! A przecież Lily była pewnie niewiele starsza niż ona teraz.

Jak zmieniła się jej dawna przyjaciółka! Carla zapamiętała ją jako bardzo wysoką i tęgą. Jediną jej zaletą były piękne długie blond włosy.

– Chętnie bym nauczyła tę Angielkę, jak się ubierać – powtarzała mamma. – Nie potrzeba pieniędzy, żeby mieć styl. Cała rzecz w tym, żeby właściwie zestawiać z sobą rzeczy i nosić je z dumą.

Ktoś w jakimś momencie musiał Lily tego nauczyć, bo teraz miała styl. Kiedy pokazała się w galerii, Carla ledwie ją poznała. Była o wiele szczuplejsza i miała na sobie znakomicie skrojony żakiet, który wyglądał jak od Max Mary. Fryzura na pazia wyglądała nawet lepiej na żywo niż na zdjęciu. Otaczała dwoma skrzydłami twarz, uwydatniając kości policzkowe. Teraz Lily była niemal piękna!

Ed też się zmienił, ale zachował dawny miły sposób bycia. Nadal mówił też tak, jakby świetnie rozumiał, co rozmówca ma na myśli. Kiedy się z nim rozmawiało, czuło się, że widzi w tobie wszystko: nos, uszy, budowę ciała. Tak patrzy prawdziwy artysta. I jakie to pochlebne, że właśnie jej portret przyniósł mu sławę!

Na razie miała przed sobą pierwszy dzień nauki. Wydział prawa! Carli mocniej zabiło serce. Chciała być dobra w tym zawodzie. Naprawdę.

– Będziemy w kontakcie – powiedziała Lily. – Przyjdiesz do nas na kolację.

Może do tego czasu będzie też miała wiadomość od Larry'ego.

– Nie martw się, mamó – powiedziała w duchu i kiwnięciem głowy podziękowała młodemu przystojnemu mężczyźnie, który przepuścił ją w drzwiach. – Już ja się postaram, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Lily

Ed dotrzymuje słowa. Nie tylko wrócił wcześniej z galerii, żeby zdążyć na „rozmówkę”, ale przyrządził też kolację. Naszą specjalność, jak to nazywamy. Łososia we francuskim cieście. To był nasz pierwszy posiłek po teście ciężowym: nowy początek wspólnego życia po niedobrym starcie.

Jak długo można udawać? Jak długo potrwa, zanim ktoś powróci z przeszłości i wskrzesi to, co było? Carla. Joe.

Może dlatego włożyłam taki wysiłek w to, żeby i ja mogła wcześniej wrócić.

– Na dziś koniec – powiedziałam do gorliwego młodego stażysty, który nadal ślęczał nad papierami, które mu dałam do przejrzenia. – Wszyscy potrzebujemy od czasu do czasu odpocząć.

– Ale przecież dopiero siódma!

Równie dobrze mógł powiedzieć: czwarta. Siedzenie w pracy do późna to nie jest coś, czego się oczekuje od prawnika wprost; to worki z piaskiem, jedne z wielu, pomiędzy tobą a drzwiami z napisem „Wyjście”. Innymi słowy, długie siedzenie w pracy oznacza zaangażowanie. Stanowi ochronę przed stałym zagrożeniem, że cię wyrzucą. W prawniczym biznesie panuje mordercza konkurencja.

– Jak ładnie pachnie – mówię do Eda. Dlaczego tak często kończy się na komplementowaniu kogoś, kogo obawiamy się zranić? Mąż z ozdobnym gestem prezentuje przede mną danie, po czym stawia je ostrożnie na stole. Z przeciwległej ściany parzy na nas ze zdjęcia Tom. Jest poważny. Tak jak Daniel, rzadko się uśmiecha.

– No, to o czym chcesz pogadać? Czy to coś tak pilnego, że nie mogliśmy sobie pozwolić na spędzenie wieczoru z dziewczyną, na której zarobiliśmy?

– To ty na niej zarobiłaś. Nie ja. Ja zarabiam własne pieniądze.

– Ale czy ty nie widzisz? – Edowi lśnią oczy. – Carla wróciła. Jeśli się zgodzi, żeby i ją znowu malował, to będzie wspinały bodziec dla mojej kariery. Przyniesie mi rozgłos.

Czyż nie pomyślałam już o tym sama? A mimo to coś wydaje się nie tak.

– Może... – zaczynam. I wtedy dzwoni telefon.

– Lepiej odbierz – mówi Ed, pałaszując. – To na pewno z pracy. Jak zawsze.

Niechętnie biorę słuchawkę.

– To ty, kochanie?

Zimno mi się robi. Próbowałam zadzwonić do mamy wcześniej, tak jak każdego dnia. Szybki telefon, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Telefon skruchy, bo matka boryka się z sytuacją, z którą sama sobie nie radzę. Ale nikt nie odbierał. A potem wciągnęła mnie praca i zapomniałam. Tak, wiem.

– Co się stało?

– Chodzi o Toma. Jest z nim kłopot.

*To, czego w życiu potrzebujemy, i to, czego chcemy, to dwie różne rzeczy.
Ale potrzebna jest śmierć, żeby zobaczyć tych dwoje współzawodników we właściwej perspektywie.
W tej chwili tak naprawdę chcę tylko jednego.
Życ.*

Carla

Była już prawie połowa października. Carla czekała już parę tygodni na telefon od Lily i zaczynała się czuć wystawiona do wiatru. Irytowało ją to coraz bardziej. To całkiem jak z listami! Najwyraźniej Lily i Ed to ludzie, którzy jedno mówią, a drugie robią. Wcale nie mieli zamiaru się jej odwdzięczyć, tak jak obiecali. Szczerze mówiąc, po Lily mogła się tego spodziewać. Ale Ed, z tym jego życzliwym, ciepłym spojrzeniem, naprawdę ją rozczarował.

Jeśli jednak sądzili, że już po wszystkim, to byli w błędzie. Da im jeszcze dwa tygodnie, a potem znowu pójdzie do galerii – postanowiła, siedząc nad podręcznikami w swoim zimnym hostelowym pokoju (do karaluchów już się przyzwyczyła).

Rozczarował ją również mejl, jaki dostała z kancelarii Tony’ego Gordona.

Pan Gordon jest obecnie niedostępny. Pani wiadomość zostanie mu przekazana przy najbliższej sposobności.

Innymi słowy, nie chciał jej widzieć.

– Idź do niego do domu – prosiła mamma, kiedy Carla zadzwoniła zaraz potem. Ale mamma nie pamiętała, jaka to była ulica, tyle tylko, że było to „gdzieś w Islington”. Nawet w Google’u nie znalazła jego adresu.

Nie miała zamiaru się poddać i w którąś sobotę pojechała do Islington. Długo chodziła po dzielnicy w nadziei, że jakiś szczegół ożywi jej dziecięce wspomnienia z tamtych okropnych świąt, kiedy mamma wpadła w histerię, bo nie mógł być z nimi Larry. Ale jedyne, co pamiętała, to wysoki budynek o dużych oknach. Było ich jednak tak dużo, że zakrawało to na szukanie igły w stogu siana, jak mówią Anglicy.

W tej sytuacji pozostawało jej włożyć całą energię w naukę. Wszyscy w college’u byli tacy mądrzy! Ale miała pewną przewagę. Wiedziała o tym. Na roku była jeszcze tylko jedna Włoszka, pozbawiona jednak tych wrodzonych atutów, jakie miała ona. Uroda plus bystrość umysłu. Wszyscy (to znaczy wszyscy chłopcy) chcieli jej pomagać. Tyle razy zapraszano ją na kawę czy na kolację, że nie potrafiłaby zliczyć. Za każdym razem odmawiała z uśmiechem, wymawiając się nauką. Ale, mówiła z lekkim przechyleniem głowy, byłoby bardzo miło, gdyby mogli wytłumaczyć jej coś w związku z ostatnią pracą, jaką im zadali.

I wreszcie któregoś wieczoru, kiedy ręce drętwiały jej z zimna w tym maleńkim pokoiku, odezwał się telefon.

Lily!

– Przepraszam, że dzwonię dopiero teraz – głos Lily brzmiał trochę niepewnie. – Prawdę mówiąc, od czasu, kiedy się z tobą widzieliśmy, mieliśmy... trochę kłopotów.

Nastąpiła krótka pauza. Carla czuła, że Lily ma do powiedzenia coś więcej, ale się powstrzymuje.

– Nie jesteś chora? – spytała szybko.

– Nie. – Krótki śmiech. – Ja nie.

Carla poczuła narastający strach.

– A Ed?

– Nie, on też nie.

To dobrze. Z nich dwojga Carla zdecydowanie wolała Eda z tym jego przyjaznym spojrzeniem. Lily trudno było ufać. Prawda, że kiedyś ubóstwiała tę kobietę, która zajmowała się nią, kiedy mamma „pracowała”, i uczyła ją przyrządzać biszkopt królowej Wiktorii, z truskawkami i bitą śmietaną. Ale potem to ona stanęła pomiędzy Larrym a mamą... No i jej praca. Carla uśmiechnęła się lekko na wspomnienie tego, jak myślała, że Lily popełniła morderstwo, bo zobaczyła to słowo w jej papierach. Ale mimo wszystko trzeba mieć określoną osobowość, żeby bronić kogoś oskarżonego o to, że odebrał życie innemu człowiekowi... Wzdrygnęła się. Kryminalistyka to nie dla niej. Przyszłość ma prawo pracy, mówili wykładowcy. Podobno miała do tego smykałkę.

– Chodzi o naszego syna. Tom... no wiesz, miał w szkole kłopoty. Ale już wszystko załatwione.

– To dobrze. – Carla czuła, że powinno to zabrzmieć bardziej entuzjastycznie, ale prawdę mówiąc, niespecjalnie się przejęła. Niektóre jej koleżanki we Włoszech już miały dzieci i być może kiedyś jej także się to spodoba. Teraz jednak miała w głowie ważniejsze sprawy.

– Musiałam wziąć w pracy wolne na jakiś czas – ciągnęła Lily. – Ale już jestem z powrotem w Londynie. Może byś wpadła do nas na kolację? Zapraszamy. W ten weekend.

Dom Eda i Lily był piękny, mimo że po chodniku wiatr przetaczał puste tekturowe opakowanie. Carla stała przez chwilę i podziwiała wysoki, pełen gracji budynek z białej cegły. Na balkonie kwitły festony późnych pelargonii. Wtem drgnęła: od strony żywopłotu, oddzielającego front domu od ulicy, dobiegł jakiś szelest. E, to tylko ptak. Spokojnie, powiedziała sobie. Denerwujesz się, bo w końcu się tu znalazłaś.

Z wahaniem, przytrzymując łokciem przyniesione kwiaty, podniosła srebrną kołatkę na lśniących czarnych drzwiach. Kiedy otworzył jej Ed („Wchodź, wchodź!”), zachwyciła ją posadzka z czarnych i białych płytek w holu. Każde pomieszczenie przypominało zdjęcie z jakiegoś eleganckiego magazynu. Wszędzie biel. Biel i szkło. Szklane stoliki do kawy. Białe ściany. Białe kontuary w kuchni.

Muszą mieć kupę pieniędzy, skoro mogą sobie na to pozwolić! Niemniej Lily tak jakby usunęła stąd wszelki kolor.

– Róże! – Ed zanurzył twarz w bukietach, kupionym za pół ceny od ulicznej kwiaciarki, która właśnie miała zwijać stoisko. – Co za cudowny zapach! I ten odcień rózu, całkiem jak rumieniec na policzkach... Ale może usiądziesz? Lily za moment schodzi na dół.

Carla usiadła przy szklanym kuchennym stole. Gdyby to była jej kuchnia, postawiłaby tu rustykalną sosnową ławę, a na podłodze położyła szkarłatny dywanik...

– Witaj – powiedziała Lily, pojawiając się nagle w drzwiach.

Carla musnęła w powietrzu policzki gospodyni, ogarniając spojrzeniem kremowe spodnie i stylowe beżowe czółenka. Gdyby ona miała pieniądze na takie rzeczy! Na razie musiała zaopatrywać się w ciuchlandach i bazować na krawieckich umiejętnościach mammy.

– Dziękuję za zaproszenie.

– Dziękuję, że przysłałaś. Wybacz, że trochę to potrwało. Ed, jak tam kolacja?

„Kolacja” to była zapiekanka z rybą z mrożonki. U niej w domu uważano by to za dyshonor. Posiłki należy przygotowywać od zera, powinno to trwać całe godziny. To oznaka szacunku dla gości.

Na razie, mimo że usiłowała prowadzić lekką rozmowę, atmosfera była napięta.

– Wasz dom – rzekła desperacko – jest bardzo minimalistyczny.

Od powrotu do Anglii bardzo zwracała uwagę na to, żeby uczyć się nowych słówek. To było jedno z nich. Czekwała na okazję, żeby móc go użyć.

Lily zanurzyła łyżkę w potrawie, tak że sos przelał się przez krawędź.

– To dlatego, żeby stanowił dobre tło dla tych wszystkich obrazów mojego męża.

Tych wszystkich? Zdołała zauważyć zaledwie dwa.

– Chyba straciłem ostatnio mój twórczy seksapil – powiedział sucho Ed, nalewając wina sobie i Carli, ale Lily nie. Ona miała w kieliszku gazowaną wodę. – Próbowałem tak i tak, ale mi nie wychodzi.

Coś się stało z tym stadłem, odkąd widziała się z nimi w galerii. Sprawiali wrażenie pustych w środku. Jakby ktoś wyłączył im wewnętrzne światło.

– Nie rozumiem.

Ed wziął nóż i widelec. Carla poszła w jego ślady. Lily, jak zauważyła, nie przejęła się tym. Tak jakby w ogóle nie miała przed sobą żadnego jedzenia.

– Zabrakło mi inspiracji. Częściowo z powodu Toma. Nie jest z nim dobrze.

Lily rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Urwał.

Zdając sobie sprawę, że atmosfera jest coraz gorsza, Carla starała się ostrożnie dobierać słowa.

– Ale teraz już lepiej?

– Lepiej? – Ed pociągnął duży łyk wina i roześmiał się chrypliwie. – Z Tomem nigdy nie będzie lepiej...

– Ed! – Ostry głos Lily przeciął powietrze jak nożem. – Nie możemy obarczać gości naszymi kłopotami. Powiedz mi lepiej, Carla, jak ci idzie na kursie?

Zmusiła się, by spojrzeć wprost na nią.

– Bardzo dobrze, dziękuję.

Zaczęła wspominać, jak lubiła kiedyś to wspólne kucharzenie z Lily, później opisała jej swoje obecne lektury. Ale przecież musi znaleźć jakiś sposób, żeby przywołać w rozmowie imię Larry’ego... pardon, Tony’ego.

Kiedy skończyła, zapadła cisza. I Ed, i Lily sprawiali wrażenie całkowicie zaabsorbowanych jedzeniem na stole. Dobrze, w takim razie powie wprost.

– Właściwie to zastanawiałam się, czy nie moglibyście mi jakoś podpowiedzieć, jak się skontaktować się z panem Gordonem. Moja matka przekazała mi wiadomość dla niego. Napisałam do niego na adres kancelarii, ale dostałam odpowiedź, że w tej chwili jest niedostępny.

Lily wyraźnie się skrzywiła. Ed opróżnił już prawie pół butelki.

– No a jak – parsknął.

– Tony jest w tej chwili niedostępny, bo jest bardzo chory – powiedziała powoli Lily, odsuwając talerz, choć prawie nie tknęła jedzenia. – Prawdę mówiąc, jest w hospicjum. Niedaleko stąd.

– W hospicjum?... – głos uwiązł Carli w gardle. Z ekscytacji, choć wiedziała, że powinna być raczej wstrząśnięta.

– Ma raka, biedak. Nie zostało mu wiele czasu.

– Biedak? – parsknął Ed. – Inaczej mówiłaś o nim ze mną. – I zwrócił się do Carli: – Pokłócili się czy coś w związku z jakąś sprawą. Ale moja żona nie chce wchodzić w szczegóły, bo to „poufne”. – Znacząco postukał się palcem w skrzydełko nosa. – To się nazywa prawo!

Lily była wyraźnie wściekła.

– Jeśli nie potrafisz się kontrolować, to nie pij – powiedziała zimno.

– To nie ja jestem tym, kto nie potrafi się kontrolować. – Ed z trudem dźwigał się na nogi.

– Dość tego!

Kłócili się przy niej! Carla znowu się ożywiła. Jeżeli chcesz być w sądzie krok do przodu, powiedział niedawno jej nowy asystent na uczelni, to masz większą szansę, kiedy strona przeciwna jest podzielona.

– Przepraszam. – Lily dotknęła jej ramienia, a Ed wymaszerował z pokoju. – Mamy w tej chwili kłopoty. – Po czym wcisnęła jej do ręki kopertę. – To w ramach drobnego podziękowania z naszej strony. Pieniądze, które Ed dostał po nagrodzie w tamtym konkursie, plus coś ekstra. Niewiele, ale zawsze.

Mówiła szybko. Ostro. Bez śladu ciepła. Tak jakby to była łapówka, a nie prezent.

– Dziękuję. – Właściwie to miała ochotę cisnąć jej tą kopertą w twarz. Ich „dar” sprawił, że czuła się zbrukana. Upokorzona. Było jasne, że Lily chce się jej pozbyć. – To bardzo miło z waszej strony. Ale jest

coś jeszcze.

Po twarzy Lily przemknął popłoch. Oczy stały się kamienne. Myślała, że Carla chce więcej pieniędzy! Ta wiedza dała jej siłę. Oczywiście że chce. Ale to później.

– Czy nie mogłabyś – ciągnęła, udając, że nie dostrzega wrogości w oczach Lily – zapisać mi nazwy i adresu tego hospicjum, w którym jest Tony?

Twarz Lily złagodniała.

– Oczywiście. – Sięgnęła po długopis. – Niedługo do ciebie zadzwonię, Carla. Przepraszam cię za to wszystko, ale tak jak mówiłam, mamy trochę kłopotów. Ed nie jest teraz sobą.

Zaraz po wyjściu Carla otworzyła kopertę. Tysiąc funtów? Jeśli oni myślą, że to wystarczy, to się baaardzo mylą.

Lily

Nie byłem pewien, czy przyjdiesz.

Siedzimy w ogródku włoskiej restauracji w pobliżu Leicester Square. Wciąż jestem wstrząśnięta po naszej kolacji z Carlą. Nie mówiąc już o tym wszystkim, co się dzieje z Tomem. To przecież jeden z powodów, dla których tu jestem.

Jest nietypowo słonecznie jak na tę porę roku. Jestem bez płaszcza, ale w okularach przeciwsłonecznych. W czerwonych oprawkach. Drogich. Modnych. Są konieczne jako osłona przed ostrym blaskiem pomarańczowego kółka płonącego nisko na niebie, ale pozwalają mi też obserwować mojego towarzysza bez nawiązywania z nim kontaktu wzrokowego, w którym zawsze był taki dobry.

Joe Thomas, trzeba powiedzieć, wygląda jak każdy inny mijający nas businessmen. Porządny ciemnogranatowy garnitur. Gładko ogolona twarz. Starannie ostrzyżone włosy. Lśniące czarne półbuty o wąskich noskach. I opalenizna.

– Czego chcesz? – pytam celowo beznamiętnym głosem. Zachowuj się normalnie, mówię sobie. To dlatego zasugerowałam to miejsce, gdzie wszyscy nas widzą.

Bawi się sztucami. Paznokcie ma czyste. Dobrze utrzymane.

– Nie jest to zbyt uprzejme.

– Uprzejme! – Wybucham śmiechem. – Jak w takim razie nazwiesz wypaczanie sensu sprawiedliwości? – Zniżam głos, choć i tak mówię dosyć cicho. – Zabiłeś swoją dziewczynę, a potem kazałeś mi wierzyć, że jesteś niewinny.

– Chciałaś wierzyć, że jestem niewinny. – Mój towarzysz się uśmiecha. – Myślałaś, że jestem taki sam jak twój brat.

Odchyłam się na oparcie krzesła. Nie powinnam była tu przychodzić. Teraz to widzę. Ale i ja mam do niego pytania.

– Nie przysyłaj mi więcej żadnych kartek. Skąd wiedziałeś, kiedy mam urodziny?

– Dowiedziałem się. – Joe Thomas się uśmiecha. – Niemal wszystkiego można się dowiedzieć, jak się chce. Powinnaś o tym wiedzieć. Chciałem ci przypomnieć, że nadal o tobie myślę. Ale teraz jestem tu z powodu Toma.

Robi mi się zimno.

– To znaczy?

– Myślę, że sama już wiesz. To dlatego tu jesteś. Zgłosiłbym się wcześniej, ale do niedawna pracowałem za granicą. A kiedy wróciłem, odkryłem, że masz dziecko.

Nachyla się ku mnie przez stolik.

– Muszę to wiedzieć, Lily. Jest mój?

Mróz mnie przenika. Drętwieję. Nogi pod stolikiem zaczynają mi drżeć. Na usta cisną mi się jakieś słowa, ale udaje mi się je powstrzymać i zastąpić właściwszymi.

– Oczywiście że nie. Nie bądź śmieszny. Nie wiem, o czym mówisz.

Ściskając krawędź stołu, wstaję.

– Mówię o nas. – Głos Joego Thomasa jest teraz błagalny. Jego wcześniejszą pewność siebie zastąpiła nuta desperacji. – Nie odchodź... Muszę znać prawdę.

– Prawdę? – mówię ze śmiechem. – Co ty wiesz o prawdzie? Znadto folguje pan wyobraźni, panie Thomas.

Urywam. To nie jego wina, że ma „zaburzenia behawioralne”, jak argumentowaliśmy w sądzie. Ale one nie tłumaczą wszystkiego, co zrobił.

– Byłeś moim klientem dwanaście lat temu, a teraz, po latach, żałuję, że pomogłam ci wyjść na wolność. Nigdy sobie tego nie wybaczę. – Łzy zaślepiają mi oczy. – Biedna Sarah...

Joe Thomas chwyta mnie za rękę.

– Myślisz, że ja nie żałuję? Też mam uczucia. Popełniłem błąd i przykro mi z tego powodu. Ale to pomogło innym... wszystkim tym pozostałym ofiarom.

Wyszarpuję dłoń. Ludzie z sąsiedniego stolika na nas patrzą. Rzucam na stół dwadzieścia funtów tytułem zapłaty za nasze drinki i odchodzę, przecinając na ukos plac.

„Chodzi o Toma. Mamy z nim kłopot”. Jeszcze teraz, po paru tygodniach, prześladuje mnie napięty, podszyty strachem głos matki. Słyszę go w snach. Słyszę go, kiedy się budzę. I słyszę go, kiedy powinnam się skupić podczas spotkania z klientem, chociaż wiem, że ten konkretny „nieszczęśliwy wypadek” Toma został zażegnany.

Aż do następnego.

Natychmiast pojechaliśmy z Edem do Devon. To było tuż po tym wstrząsającym spotkaniu z Carlą w galerii. Ed prowadził, a ja przekazywałam sekretarce i młodszym współpracownikom szybkie, ostre polecenia. Zaciśnięte w cienką linię usta mojego męża mówiły: „Na litość boską, czy ty nie potrafisz zapomnieć o pracy, kiedy mamy taki kłopot z synem?”

Rozumiem to. Sama to sobie ciągle powtarzam, zwłaszcza kiedy widzę jakąś kobietę z synem w wieku Toma, mijającą nas na ulicy czy stojącą w kolejce do gabinetu Madame Tussaud.

Tom nigdy nie stałby tak spokojnie w kolejce. Nieustannie sprawdzałby, czy nasze stopy są ustawione we „właściwej” pozycji. Albo spytałby kobietę za nami, czemu ma brodawkę na policzku, od jak dawna i dlaczego jej nie usunęła. Takie dzieci jak Tom nie zawsze zdają sobie sprawę, że są niegrzeczne czy okrutne.

A potem bardzo możliwe, że powiedziałyby nam wszystko, czego nie wiedzieliśmy – i bynajmniej nie chcieliśmy wiedzieć – o brodawkach: o tym, jak powstają, i że przeciętny człowiek ma ich około trzydziestu, choć zdarza się, że jest ich i czterysta.

Ja zaczęłabym się niezręcznie tłumaczyć, a kobieta z brodawką pewnie by się odsunęła. Oczywiście to niełatwe mieć prawie-nastolatka, który zachowuje się jak dwuletnie dziecko. Ale z tym nauczyłam się sobie radzić.

To gwałtowność jest trudniejsza. Weźmy na przykład tę bliznę na moim czole. To Tom mnie kiedyś niechcący uderzył rondlem, bo nie postawiłam tegoż rondla na „właściwym” miejscu w kuchni, więc rzucił się, żeby go umieścić, gdzie należy. A ten znak na ramieniu Eda? To dlatego, że próbował grać z synem w piłkę, ale słaba orientacja przestrzenna Toma (która podobno może podpadać pod tę etykietkę) sprawiła, że się zdenerwował.

Więc ugryzł Eda.

Robimy, co możemy, żeby „w przypadku trudnych zachowań stosować strategie przywracania zaburzonego porządku” (zgodnie z pewną dość pożyteczną radą online). Ale w miarę jak rośnie – jest już nawet wyższy ode mnie, pomimo swojego wieku! – jest coraz gorzej. Rośnie jego nieopanowanie. A teraz przyszedł czas, żeby coś z tym zrobić. Tak właśnie powiedział nam dyrektor szkoły, gdy po pięciogodzinnej jeździe dotarliśmy w końcu do Devon i dowiedzieliśmy się, co się tak naprawdę stało.

– Rzucił w panią Millington nożyczkami.

Oczy dyrektora – zwykle bardziej współczujące – uświadomiły mi, że doszliśmy do ściany. Pomimo

specjalnych potrzeb Toma pozwalano mu dotąd chodzić do miejscowej szkoły – częściowo dzięki naszym lokalnym koneksjom (ja też skończyłam tę szkołę, a mama była w jej zarządzie), a częściowo dlatego, że – jak argumentowaliśmy z Edem – zależało nam, żeby nasz syn skończył normalną szkołę. Jeśli będzie stale przebywał z takimi jak on, mówiliśmy, to nie będzie miał żadnego wzorca, żeby się poprawić.

– Staraliśmy się, ale po prostu nie potrafimy już sobie radzić z tego typu zachowaniem. – Dyrektor mówił takim tonem, jakbyśmy to my z Edem rzucili tymi nożyczkami.

– Ale nic się jej nie stało, tak? – Edowi udawało się jeszcze nad sobą panować.

– Nic się jej nie stało? – powtórzył zimno dyrektor. – Pod warunkiem, że pięć szwów potraktuje pan jako „nic się nie stało”...

– Tom też się skaleczył – przypomniał Ed.

– Sam.

Przywykłam rozsądzać spory między klientami. Między klientami i adwokatami też. Ale kiedy rzecz dotyczy własnej rodziny, moje umiejętności zdają się ulatywać. Trzymaj się faktów, mówiłam sobie, tak jak zawsze mówię moim klientom. Trzymaj się faktów.

– Czy może nam pan powiedzieć, co się właściwie stało? Mama mówiła coś o kłótni na lekcji geografii.

Dyrektor przenosi na mnie spojrzenie pełne dezaprobaty.

– Na geografii dzieci miały wycinać mapki. Tom marudził na temat konturu. Mówił, że potrzebuje więcej czasu, żeby wyciąć prawidłowo. Pani Millington powiedziała, że jego kontur jest zupełnie dobry i że muszą skończyć przed przerwą. Wywiązała się kłótnia. I wtedy Tom wziął nożyczki i rzucił. Na szczęście uskokczyła i trafił w ławkę.

– Chwileczkę. Powiedział pan, że trzeba było założyć szwy!

– Bo trzeba było. – Dyrektor popatrzył na Eda, jakby był nie lepszy niż Tom. – Uskakując, upadła i uderzyła się w głowę.

– Czyli jej nie skaleczył?

– Nie o to chodzi! – Dyrektor podniósł głos. – To się mogło skończyć śmiercią.

– A więc wszystko jasne! – wykrzyknęłam z ulgą. – To nie dlatego, że chciał ją zranić. Sam czuł się zraniony, bo jego kontur nie był jak należy. Nie widzi pan?

Pokręcił głową.

– Nie, pani Macdonald. Nie widzę.

– Wie pan, że Tom musi robić wszystko prawidłowo. To jedna z cech jego stanu.

– Może i tak, ale nie mogę akceptować próby zabójstwa nauczycielki. Mają państwo szczęście, że nie powiadomiłem policji. – Wstał, sygnalizując, że rozmowa skończona. – Przykro mi, ale muszą państwo pamiętać, co powiedział psycholog, kiedy ostatnio zdarzyło się coś takiego.

Wróciłam myślami do dnia, kiedy Tom na boisku podszedł za blisko jakiejś dziewczynki. (Znowu problem z przestrzenią osobistą). Odepchnęła go, a on odepchnął ją. Upadła tak nieszczęśliwie, że złamała sobie nadgarstek. Całą winę, według mnie raczej niesprawiedliwie, przypisano mojemu synowi.

– A teraz mamy kolejny przykład. – W głosie dyrektora pojawiło się znużenie. – Nie możemy dłużej trzymać Toma u siebie. Pora zastanowić się nad szkołą specjalną. Taką, gdzie potrafią sobie radzić z jego... z jego problemami. Do tego czasu Tom jest zawieszony.

Oczywiście włączyła się mama. Przeszła już rozmaite „trudne zachowania” z Danielem. Tym razem postąpi, jak należy.

– Zajmiemy się nim w domu, dopóki czegoś nie znajdą – powtarzała, kiedy wróciliśmy, przygnębieni i wyczerpani po spotkaniu z dyrektorem.

– Gdzie on teraz jest?

Mama zagryzła usta.

– Na górze. Zatarasował czymś drzwi, tak że nie można wejść. Ale rozmawia, więc chyba wszystko

dobrze.

Zimna strzała przerażenia przeszła mi serce. Już widziałam, jak wychodzi przez okno. Przecina sobie nożyczkami nadgarstki. Zwisa z sufitu...

W mgnieniu oka byłam na górze. Ed też.

– Tom, to ja, mama. Wszystko dobrze?

Nie było odpowiedzi.

– Tom – spróbował znowu Ed. – Nie mamy pretensji o to, co zaszło w szkole. Rozumiemy cię. Tylko nas wpuść.

Choćby próbował cały dzień, Tom się nie podda.

– Nie mam ochoty rozmawiać.

Ed spróbował jeszcze raz.

– Czy wiesz, że twojej nauczycielce trzeba było założyć szwy?

– Sama jest sobie winna – odparł szybko. – Nie powinna była się przewracać.

Jej wina, że upadła. Moja wina, że sprawiłam przykrość Danielowi. Eda wina, że nie powiedział mi o funduszu powierniczym. Joego wina, że zabił Sarah.

Kto wie, gdzie tak naprawdę leży wina? Nigdy nie jest to takie proste, jak wygląda.

Rozpaczliwie próbowaliśmy żyć normalnie, ustalając zarazem edukacyjną przyszłość naszego syna. Niełatwo było znaleźć szkołę, która potrafiłaby sobie poradzić z potrzebami Toma. Znowu jednak ludzie z grupy wsparcia online, a także konsultant, wskazali nam właściwy kierunek.

Niektórym rodzicom, jak się później dowiedzieliśmy, zajęło mnóstwo czasu, zanim znaleźli „właściwy” pakiet edukacyjny dla dzieci ze spektrum autyzmu”. Mieliśmy szczęście.

Około godziny drogi od moich rodziców istniała „dobra szkoła” (zgodnie z opiniami). Oferowała możliwość zamieszkania w internacie, co odciążałoby nas wszystkich, ale też budziło w nas poczucie winy. Niemniej coś trzeba było zrobić. Pojechaliśmy więc oboje, żeby ją zobaczyć. Były tam dzieci takie jak Tom, ale wiele było trudniejszych. Kiedy szliśmy korytarzem, jakiś nauczyciel ścierał ze ściany fekalia. Smród był duszący. I wiedza, że na taki właśnie świat skazujemy naszego syna.

– Jak my go oddamy do szkoły z internatem? – szlochał Ed w drodze powrotnej. Ruch na zakorkowanej autostradzie zdawał się odzwierciedlać nasz osobisty impas.

– Ty też do takiej chodziłeś.

– To co innego.

– Twoja była ekskluzywna, masz na myśli.

– Możesz i tak uważać.

– Oddajemy go do szkoły z internatem, bo nie dajemy sobie rady. I dlatego, że jest tam specjalistyczna pomoc – powiedziałam, bębniąc palcami w kierownicę.

– Mówisz tak zimno. Tak rzeczowo.

Tylko tak mogłam sobie poradzić. Lepszy sposób niż Eda, który zaczął pić nie tylko wino, ale i wódkę.

Dopiero parę tygodni później zadzwoniłam do Carli i przeprosiłam ją, że się do niej nie odzywałam.

– Mieliśmy trochę kłopotów – powiedziałam i wyjaśniłam, że chodzi o kłopoty Toma w szkole, ale że teraz już wszystko dobrze.

Zaprosiliśmy ją na kolację. Nadal byłam spięta. Ale poszło lepiej, niż myślałam, jeśli nie liczyć paru niezręcznych momentów, gdy mowa była o malarstwie Eda, a potem kiedy mój mąż powiedział za dużo o Tomie. Dobrze, że chociaż się nie wygadał, że przenieśliśmy syna do innej szkoły – gdzie mają doświadczenie w radzeniu sobie z „tym typem zachowania” – i że Tom przestał z nami rozmawiać przez telefon.

Wcześniej wspominaliśmy we trójkę dawne czasy, kiedy Carla była mała, a my – tuż po ślubie.

Przypomniało mi to nasz trudny start i w jakiejś chwili sięgnęłam pod stół i uścisnęłam rękę męża. Przepraszam, mówił mój uścisk, że jestem taka nerwowa. Nie chodzi tylko o tamten przypadek. Chodzi też o Joego Thomasa. Ale oczywiście nic z tego Ed nie słyszał, bo nie miałam odwagi powiedzieć na głos.

Carla tymczasem paplała o swoich studiach. Rozmawialiśmy też o biednym Tonym Gordonie i gdzie go Carla może znaleźć, bo chciałyby mu przekazać wiadomość od matki. Doprawdy? Co się stało z tą nieprawdopodobną parą po naszej okropnej kłótni na korytarzu? Czy Francesca i Tony nadal byli w kontakcie? Ale nie chciałam pytać Carli. Poza tym w jakimś sensie nadal czułam się niezręcznie, że się wtedy wtrącałam.

Tak więc, troszkę wbrew sobie, dałam jej namiary na Tony'ego.

Właściwie czemu nie? – uspokajałam siebie samą. Carla to miła dziewczyna. Czy może zrobić coś złego umierającemu człowiekowi?

Carla

Listopad 2013

Carla była dotąd w hospicjum tylko raz. Zabrano do niego znajomą nonny, dosłownie na parę dni przed jej śmiercią. Odwiedziła ją tam z mamką. Jak to nieładnie ze strony krewnych, powiedziała mamma, że nie potrafili sami się nią zająć, w domu. Ale jej synowa była Angielką. Więc czego można się spodziewać?

– Chciałabym się zobaczyć z Tonym Gordonem – zwróciła się do recepcjonistki.

Kobieta spojrzała na jakiś papier.

– Obawiam się, że nie mam pani na liście odwiedzających.

Carla przywołała jeden ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów.

– Jestem dawną znajomą, przyjechałam z Włoch. Nie mam za dużo czasu. Bardzo panią proszę... Będę bardzo wdzięczna.

Kobieta też się uśmiechnęła. Uśmiech wabi, wiedziała o tym. Mamma dawno ją tego nauczyła.

– Tony w tej chwili odpoczywa, ale może pani wejść na parę minut. Choć raczej nie będzie pani miała z niego wiele pociechy. Jeden z naszych wolontariuszy pokaże pani drogę.

Carla niepewnie ruszyła za chłopakiem korytarzem. Mijając otwarte drzwi, zerknęła do środka. Jakaś młoda dziewczyna leżała na plecach i drzemała, głośno oddychając przez otwarte usta. Po czym wolontariusz się zatrzymał.

– To tutaj.

Czy to naprawdę on? Larry, który miał błyszczący samochód? Larry, który był taki duży i imponujący?

Carla wpatrywała się w mężczyznę o siwym zarostie, leżącego na wznak w łóżku. Nie miał kapelusza. Włosów też nie. Miał za to przymocowane do gardła coś dziwnego, jakby pudełko. Oczy były zamknięte, ale kiedy podeszła, nagle się otworzyły. I znieruchomiały.

– Larry – powiedziała pośpiesznie.

– On się nazywa Tony – szepnął stojący za nią wolontariusz.

Odwróciła się gwałtownie.

– Proszę nas zostawić – powiedziała zdecydowanie. – To prywatna rozmowa.

Młody człowiek skinął głową i zamknął za sobą drzwi.

Carla znowu utkwiała wzrok w Larrym. Patrzył na nią jak zahipnotyzowany. To ze strachu, zdała sobie sprawę. Bardzo dobrze.

– Tak, to ja. – Zmusiła się, żeby dotknąć pudełka na jego gardle. – Słyszałam, że nie możesz mówić. Rak gardła. To znaczy, że będziesz musiał słuchać.

Miała wrażenie, że to mówi ktoś inny. Ktoś okrutny. Prześladowca. Jak ci, którzy dręczyli ją w szkole.

– Obiecałeś mojej matce przyszłość, Larry. Ale nie dotrzymałeś słowa. Wiesz, co to oznaczało?

Zamglone oczy wpatrywały się w nią ze strachem.

– Oznaczało to, że musiała wrócić do Włoch, gdzie nią pogardzali, bo miała dziecko, ale nie miała męża. Mamma straciła swoje najlepsze lata, czekając, że zostawisz żonę. Ale nie zostawiłeś, prawda? A dlaczego? Bo chciałeś zjeść ciastko i mieć je nadal, jak mawiacie tu w Anglii.

Poruszył się lekko. Tak lekko, że ledwie było widać. Ale oczy nadal wpatrywały się w nią nieruchomo. Niemal czuła jego lęk. Ale nie dawało jej to spodziewanej satysfakcji. Prawie żal jej było tej skurczonej, zmalanej skorupy człowieka.

– Moja matka prosiła, żebym ci przekazała wiadomość. – Zaciśnęła pięści w kieszeniach zakietu. – Jestem tu po to, Larry, żeby ci powiedzieć, że nadal cię kocha. Że chciałaby się z tobą zobaczyć, gdybyś zamierzał przyjechać do Włoch. Ale teraz widzę, że to niemożliwe.

Łza spłynęła po lewym policzku Larry'ego. A potem po prawym.

Carla z trudem przełknęła ślinę. Tego się nie spodziewała.

– Mam tylko nadzieję, że żałujesz swojego postępowania – powiedziała cicho.

Po czym odwróciła się i wyszła. Teraz szybko korytarzem. Minęła młodą kobietę. Minęła panią z recepcji. I wypadła na zewnątrz, o mało nie gubiąc nóg. Była szybciej, byle dalej od tego piekielnego miejsca.

Cztery dni później, wieczorem, zadzwonił jej telefon.

Głos Lily był cichy.

– Pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć. Tony Gordon zmarł wczoraj w nocy. Udało ci się z nim zobaczyć, zanim odszedł?

– Nie. – Carla zadrżała. A jeśli będą ją winić za to, że spowodowała u niego jakiś wstrząs? – Nie, nie zdążyłam.

– Szkoda. – Mimo to wyczuwała ulgę w głosie Lily. Prawdę mówiąc, była zdziwiona, że tak łatwo dała jej wtedy jego namiary. – To smutne, naprawdę. Tony Gordon nie był święty, ale miał swoje problemy.

– Co masz na myśli?

– Jego żona choruje na stwardnienie rozsiane. Na pewno nie było to dla niego łatwe. Biedna kobieta jest na wózku. Będzie jej ciężko bez niego.

Coś w Carli zmiękło. Larry'emu potrzebne było coś, czego nie mogła dać mu żona. Śmiech, wesołość, towarzystwo. Mimo to nie mógł jej zostawić. Skoro była inwalidką... Czy matka o tym wiedziała?

– Pogrzeb jest w środę, jakbyś chciała przyjść.

Lily

Żyj każdego dnia tak, jakby miał być ostatni.

Słowa tego hymnu bardzo do mnie przemawiają. Stanowią przypomnienie, że przeszłość to zaledwie parę chwil temu. Teraźniejszość istnieje na przelotną sekundę, po czym i ona zostaje odesłana do historii.

Podobno Tony sam wybrał hymny.

Rozglądam się po kościele i żałobnikach. Z zewnątrz jest to dość ładna kamienna budowla, która wznosi się, pełna spokojnej harmonii, tuż przy ruchliwej Aldgate Street. Przechodziłam tędy parę razy, ale nigdy nie byłam w środku. Teraz żałuję. Panuje tu zadziwiający spokój. Na prawo widzę przepiękny witraż z wizerunkiem Maryi. Nieoczekiwanie dla siebie samej zaczynam się modlić – za Toma, za Dana, za Eda i za siebie samą.

Jakoś nigdy nie miałam Tony'ego za typ, który chodzi do kościoła. A jednak zgodnie z tym, co mówił w mowie pożegnalnej ksiądz, był na nabożeństwie w każdą niedzielę. Wspierał też hojnie lokalną dobroczynność. Zwłaszcza grupę, która zajmuje się stwardnieniem rozsianym.

Patrzemy w milczeniu na jasnopopielatą trumnę, którą niesie sześciu mężczyzn w różnym wieku. Koledzy? Przyjaciele? Czy to możliwe, że w środku znajduje się ten błyskotliwy adwokat, którego tak kiedyś podziwiałam? Który zrobił na mnie takie wrażenie, kiedy byłam jeszcze młoda i naiwna? Ten sam, który spotykał się po cichu z matką Carli?

To ostatnie przypomina mi się szczególnie ostro w chwili, gdy żona Tony'ego wita nas później na przyjęciu pożegnalnym, które odbywa się w przyległej do kościoła sali. Siedzi na wózku wyprostowana, z wysoko uniesioną głową, jakby to był tron.

– Dziękuję za przybycie – mówi, jakby witała mnie na jakimś koktajlu. Ma drobne rysy i bladą, przejrzystą cerę, jaką można by zobaczyć na zdjęciach ilustrujących artykuł z cyklu „Po sześćdziesiątce, a nadal piękna”. Kolana okrywa jedwabny szal, różowy w odcieniu fuksji; w zaproszeniu było wyraźnie napisane „żadnej czerni”. Co do mnie, to jestem w jasnopopielatej sukience z takimż żakietem z szerokimi białymi wyłogami.

Pochyla się nad nią troskliwie jakaś młoda kobieta. Pewnie córka Tony'ego – zdecydowanie widzę podobieństwo, zwłaszcza jeśli chodzi o nos.

– Zajmij się innymi gośćmi, kochanie, dobrze? – I wdowa znowu zwraca twarz ku mnie.

– Jestem Lily Macdonald – mówię. – Pracowałam z pani mężem.

– Wiem. Opowiadał mi o pani. – Oczy jej twardnieją. Rozgląda się wokół. Ludzie zachowują pełen szacunku dystans. – Wiem, że mój mąż miał swoje niedyskrecje – mówi szeptem. – Na łożu śmierci opowiedział mi o tej Włoszce. Nie była pierwsza, wie pani. Ale został ze mną. Dziękuję, że zachowała pani to wszystko dla siebie.

Jestem wstrząśnięta jej szczerością. Całkiem jakby czekała na spotkanie ze mną, żeby oddać ten ostrzegawczy strzał.

– Wie pani, on robił dla mnie wszystko – ciągnie. Podnosi ręce i widzę, że palce ma zagięte niczym szpony. – Kiedy nie mogłam już sama kroić sobie jedzenia, on mi je kroił. – Nachyla się. Na ustach ma uśmiech, ale oczy są lodowate. – Każdego ranka mnie ubierał. Co wieczór nalewał mi wody do wanny i pomagał wejść.

Momentalnie wraca do mnie tamten obraz. Pokój odwiedzin i Joe Thomas, który lubił przygotowywać kąpiel dla Sarah. Pamiętam, jak wtedy pomyślałam, że Tony Gordon nie jest z tych, którzy robiliby coś takiego dla żony.

Jak dalece można się pomylić.

– Rozumiem – mówię. I uprzytamniam sobie, że to prawda. Małżeństwo może przechodzić najrozmaitsze wzloty i upadki, a mimo to trwać nadal. Tak jak to jest ze mną i Edem.

– Dziękuję. – Skłania głowę i natychmiast, jakby pod wpływem milczącego wezwania, obok wózka pojawia się córka. Wdowa po Tonym znika wśród innych gości, by dziękować im z wdziękiem za przybycie. Może się zastanawia, kto spośród nich wie o ukrytym życiu jej zmarłego męża. A zarazem wierzy niezachwianie we własną wersję lojalności Tony’ego.

Jak łatwo przychodzi nam oszukiwać samych siebie...

Wychodzę z sali zamyślona i już na chodniku wpadam na jakiegoś wysokiego mężczyznę w ciemnym garniturze. Jego półbuty mają ostre noski. Przenika mnie zimny dreszcz. Podnoszę wzrok: czarnobrzazowe oczy. Włosy krótsze niż ostatnio. Niemal w stylu militarnym.

– Co ty tu robisz? – pytam zduszonym głosem.

– A dlaczego miałoby mnie tu nie być? – Głos Joego Thomasa brzmi odrobinę chropawo w porównaniu z nienagannym akcentem otaczających nas ludzi. – Tony był moim dobrym znajomym.

Usiłuję się od niego odsunąć, ale tłum jest zbyt gęsty. Zupełnie jakby cały świat przyszedł pożegnać Tony’ego.

– Był twoim adwokatem. Wyciągnął cię, chociaż powinieneś zostać za kratkami. To wszystko.

– Proszę. – Kładzie mi dłoń na ramieniu. – Nie tak głośno.

Próbuję strząsnąć jego rękę, ale zaciska się mocniej.

– Jak śmiesz! – wyrzucam z siebie.

Uśmiecha się szeroko. Tak samo się uśmiechał wtedy po sprawie, gdy wyszliśmy z sali sądowej w tłum dziennikarzy, błyskających fleszami i błagających o parę słów.

– „Śmieć” to jedno z tych słów, które można rozumieć dwojako, prawda? Albo jako pochwała, w sensie dzielności. Albo jako obelga, w sensie chamstwa.

Mam dosyć.

– Przestań się ze mną bawić w słowne gry!

– Po prostu chciałbym wyjaśnić parę spraw, to wszystko. To dla twojego dobra, Lily. Na pewno nie chcesz, żeby ci ludzie w środku się dowiedzieli.

– O czym?

Stoimy na skraju chodnika. Obok z szumem przemykają samochody. Mam ochotę uciec. Schować się.

– Po wyjściu z więzienia sporo pomagałem Tony’emu. To był mój sposób, żeby mu podziękować.

– Nie rozumiem.

A jednak rozumiem. A przynajmniej zaczynam rozumieć.

– Dawałem mu różne ekstra informacje w sprawach, które prowadził. – Stuka się znacząco palcem w skrzydełko nosa. – To jeden z powodów, dla których tak się starał mnie wyciągnąć. No wiesz, powiedziałem, że mogę mu się przysłużyć w przyszłości. I przysłużyłem się. Sporo się dowiedziałem, jak byłem za kratkami. Okazało się, że niektóre rzeczy mogą być bardzo użyteczne.

– Jakie rzeczy?

– Nie mogę zanadto wchodzić w szczegóły. Musisz to zrozumieć, Lily. I zostaw już to święte oburzenie. Ty też skorzystałaś.

– Ja?

– Daj spokój. Pamiętasz tamtą wiadomość na temat kierowcy ciężarówki?

Robi mi się zimno. Nie byliśmy pewni, czy uda nam się biedaka z tego wyciągnąć, dopóki nie przyszedł pocztą ten anonim. Bez znaczenia. Tylko nazwisko dilera, który dostarczał dziewczynie narkotyki.

Bardzo istotny dowód, który pomógł mi zwyciężyć. Mówiłam sobie, że anonimowe wiadomości zawsze się zdarzają od czasu do czasu. To może być ktoś niemający ze mną żadnego związku.

– Skąd wiedziałeś, jakie sprawy prowadzę?

Znowu postukuje palcem w skrzydełko nosa.

– Może spotykam się z którąś z waszych sekretarek?

– Z którą?

– Czy to ważne? – Wzrusza ramionami. – Ona nic nie znaczy. To tylko środek do celu.

– Ale przecież byłeś za granicą.

– Nie przez cały czas.

Wpatruję się w niego.

– Dlaczego to robisz?

– Bo mnie wyciągnęłaś z kicia. Więc i ja chciałem ci się przysłużyć. Wyrazić wdzięczność. Cały czas miałem na ciebie oko. Dowiedziałem się, że masz kłopoty z tą sprawą, więc pomyślałem, że spróbuję ci podać pomocną dłoń.

– Skąd się dowiedziałeś?

– Nie powiem.

Nie „nie mogę powiedzieć”. Tylko: „nie powiem”.

– No i chodzi też o Toma, rzecz jasna – ciągnie. – Jeśli pomagam tobie, to znaczy, że pomagam i jemu.

– Nie chcę twojej pomocy. – Mimo to znowu czuję to co kiedyś. Ten pociąg – magnetyczny pociąg do mężczyzny, którym gardzę, a zarazem nie wiadomo dlaczego mam do niego słabość.

– A ja myślę, że chcesz. – Jego twarz jest tak blisko, że niemal się dotykamy. – Przyznaj się. Między nami coś jest, Lily.

Czuję jego oddech. Czuję woń jego ciała. Cuchnie niebezpieczeństwem, a mimo to nie potrafię się poruszyć.

– Muszę to wiedzieć, Lily. – Jego usta są tuż nad moimi. – Jak się ma nasz syn?

Nasz syn?

– Już ci powiedziałam – mówię i cofam się gwałtownie. – On nie jest twój.

I odchodzę. Najszybciej jak potrafię na szpilkach. Mijam supermarket i kino, gdzie wiodą swoje żywoty zwyczajni ludzie. Przed siebie. Jak najdalej od Joego Thomasa. Zanim zrobię coś głupiego.

Znowu.

Carla

NEKROLOGI

„The Times”

22 listopada, po długiej, dzielnej walce z chorobą, zmarł adwokat Tony Gordon, lojalny i czuły ojciec i mąż.

*Kochana mamusiu!
Muszę Ci coś powiedzieć...*

Nie, tak niedobrze.

*Najdroższa mamusiu!
Mam dla Ciebie wiadomość: odnalazłam Larry’ego...*

Nie. To może ożywić jej nadzieje.

*Najdroższa mamusiu!
Mam dla Ciebie nowiny, które mogą się okazać przygnębiające.*

No, przynajmniej ją lekko ostrzegłam.

Tony Gordon – którego znałyśmy jako Larry’ego – umarł. Widziałam się z nim przed śmiercią i przekazałam mu Twoją wiadomość. On nie był Ciebie wart, mamusiu. Pan Bóg go pokarał tą przedwczesną śmiercią. Teraz możemy go wykreślić z naszego życia.

Wsunęła do koperty wycinek z nekrologiem i zakleiwszy ją pośpiesznie, wrzuciła po drodze do kościoła do skrzynki.

– Pogrzeb jest w środę, gdybyś chciała pójść – powiedziała Lily, kiedy zadzwoniła.

– Dziękuję, ale nie – odparła, i rzeczywiście nie miała zamiaru. W ostatniej chwili odwołano jednak wykład o odpowiedzialności deliktowej. Akurat był czas, żeby pojechać na nabożeństwo, a potem wrócić na następne zajęcia. Wyglądało to niemal jak przeznaczenie.

Stojąc z tyłu (wszystkie miejsca siedzące były zajęte), słuchała słów księdza dudniących z głośników.

– Wspaniały ojciec rodziny... szanowany filar lokalnej społeczności... niezachwiany w walce o sprawiedliwość...

Co za hipokryzja! Pomyśleć tylko, że wystarczyłoby przepchnąć się przez ten tłum, stanąć przed mikrofonem i powiedzieć całemu temu zgromadzeniu, kim naprawdę był Tony.

– Porzygać się można, co? – odezwał się półgłosem jakiś wysoki mężczyzna, stojący obok niej. Miał bardzo krótkie włosy i trochę szorstki akcent.

Carla drgnęła, zaskoczona. Ale chociaż zdawał się mówić do niej, oczy miał utkwione w kimś innym, stojącym z przodu. Poszła za jego wzrokiem: kobieta w pięknie skrojonym kostiumie, znakomicie podkreślającym jej blond włosy i szczupłą sylwetkę.

Lily! Czy ten mężczyzna ją zna? Czy jest dla niego tylko symbolem tego wszystkiego, czego najwyraźniej nienawidzi?

– Co pan ma na myśli? – szepnęła.

Ciemne oczy zwróciły się teraz na nią.

– Myślę, że doskonale pani wie – odparł, tak jakby byli starymi znajomymi.

– Ale... – zaczęła, zdumiona.

– Ćśśś – syknął ktoś.

I zanim zdołała powiedzieć coś więcej, krótko ostrzyżony mężczyzna wyśliznął się z kościoła tak samo dyskretnie, jak wszedł.

– Co robisz w święta, Carla?

To zdanie było na ustach wszystkich – od chłopaka o kasztanowatej, opadającej na czoło grzywce, który zaczął się przy niej kręcić na wydziale, aż do Lily, kiedy Carla – zawiedziona, że od czasu telefonu w sprawie pogrzebu Tony’ego Gordona nie ma od dawnej „przyjaciółki” żadnej wiadomości – zadzwoniła do niej, żeby sprawdzić kod pocztowy, „tak żebym mogła wysłać wam z Edem życzenia na święta”. Liczyła, że sprowokuje to kolejne zaproszenie – i słusznie.

– Co robię w święta? – powtórzyła dla efektu. – Miałam nadzieję, że pojedę do domu, do Włoch, ale moja matka chce odwiedzić ciotkę w Neapolu, która właśnie owdowiała, i mówi, że lepiej, jak zostanę tutaj.

Nawet nie musiała udawać smutku. Naprawdę było jej strasznie przykro, kiedy mamma przedstawiła w liście swój plan. Nigdy dotąd nie spędzały świąt osobno! Sam widok równego, płynnego pisma mamy sprawił, że poczuła szarpiącą tęsknotę za domem. Tak by chciała poczuć na policzku delikatny policzek matki! Rozmawiać każdego dnia w rodzimym języku! Jeść pyszny, własnoręcznie pieczony chleb nonny... I nie tylko to – w dodatku była splukana. Studia za granicą były kosztowne, a pieniądze od dziadka już się kończyły. Gdyby nie tysiąc funtów od Lily i Eda, nie miałyby z czego opłacić hostelu ani nawet na jedzenie. Co to będzie, jak i te pieniądze się skończą?

– W takim razie musisz pojechać z nami do moich rodziców, do Devon.

Tak, tak! A jednak w głosie Lily było coś takiego, że Carla czuła, iż zaprasza ją z lekkim oporem, z grzeczności. Ed na pewno byłby cieplejszy... Podczas ostatniej wizyty Carla zauważyła, że z tych dwojga to on zdawał się okazywać jej więcej życzliwości.

– Jest tylko jedna sprawa – ciągnęła Lily. – Tom, nasz syn. Jest inny, tak jak mówiłam wcześniej. Nigdy do końca nie wiemy, jak się zachowa wobec obcych. Więc się przygotuj.

Inny? Carla wiedziała, co to znaczy być innym. Czyż sama nie czuła się inna, kiedy chodziła tu, w Anglii, do szkoły, chociaż tak się starała być taka jak wszyscy?

I oto wyjeżdżała teraz z Londynu, wraz z mnóstwem innych pasażerów, którzy jak na Anglików byli dość nietypowi. Zagadywali do niej, pytali, czy jedzie do kogoś na święta, czy nie sądzi, że Oxford Street jest fantastycznie oświetlona i tak dalej.

W torbie wiozła kilka niewielkich prezentów. Haftowaną portmonekę dla Lily, szkicownik dla Eda i samolot do składania dla Toma. Wszystko kupione w sklepie charytatywnym w King’s Cross. Szczególnie zadowolona była z modelu samolotu. Niełatwo znaleźć prezent dla chłopca... A poza tym nie pamiętała dokładnie, ile on właściwie ma lat. No, ale nawet jeśli mu się nie spodoba, będzie to gest. Carla odchyliła się na oparcie i patrzyła na migające za oknem zielone pola.

– Mieszkamy nad morzem – powiedziała Lily. – Spodoba ci się.

„Musisz ich poprosić o więcej pieniędzy” – przypomniała jej mamma w kolejnym liście, który przyszedł tuż przed wyjazdem.

Ale to będzie takie niezręczne... Jak ona ma wystąpić z czymś takim? Zakłopotana, wyjęła podręcznik i pomimo kołysania pociągu spróbowała się uczyć. Coś wymyślisz, słyszała w rytmicznym stukocie kół. Coś wymyślisz...

– Ale dlaczego on nie potrafi latać? – pytał wysoki, chudy chłopak, wymachując w podnieceniu rękami.

– Już ci mówiłem, Tom. To tylko model.

– Ale na obrazku na opakowaniu widać go w powietrzu!

Ed jęknął.

– To po to, żeby zachęcająco wyglądał.

– Ale w takim razie nie powinni go tak pokazywać, no nie? Powinniśmy na nich złożyć doniesienie do Komisji Standardów Reklamy.

Carla była pod wrażeniem.

– Słusznie, Tom! Powinieneś zostać prawnikiem, tak jak mama.

– Niech Pan Bóg broni! – Ed się wykrzywił. – Jeden prawnik w rodzinie to aż nadto. Przepraszam, Carla, nie chciałem cię urazić.

Błysnęła ku niemu uśmiechem.

– Nie ma sprawy.

Jej prezent okazał się hitem. Tom złożył model w dziesięć minut, choć był o wiele bardziej skomplikowany, niż przypuszczała. Ileż tych części w pudełku! Trudności zaczęły się później. Te wszystkie pytania! Pytania, na które nie sposób odpowiedzieć. To było męczące dla wszystkich, włącznie z rodzicami Lily, którzy byli dla niej strasznie mili.

Kiedy Carla dotarła na miejsce, była zdumiona. Co za wspaniały dom! Myślała, że dom w Londynie jest bardzo ładny, ale ten był po prostu fantastyczny. Kolumny przy głównym wejściu, ogromne przesuwne okna, hol taki wielki, że mogłaby w nim mieszkać cała rodzina, i duża, przewiewna weranda, wychodząca na rozległy trawnik. Właśnie taki dom chciałyby mieć i ona!

– Kiedyś mieszkali tu moi dziadkowie – powiedziała Lily.

W takim razie musieli być bardzo bogaci, skoro stać ich było na taki pałac nad morzem... Stał na wysokim klifie nad samą wodą; widok z okna sypialni miała taki, że w głowie się kręciło. W oddali migotały światła miasta, tak samo jak migotałyby teraz na wzgórzach florenckich... Siłą woli stłumiła tęsknotę za domem i skupiła uwagę na ogromnej choince w holu. Co za cudowna woń świerku! A pod spodem leżał stosik prezentów. Było nawet kilka z jej imieniem.

Bawialnia, jak nazywała ją matka Lily, była ze smakiem umeblowana starymi mahoniowymi sprzętami. Podłogę okrywał szarzielony dywan, a na ścianach wisały obrazy. Nie Eda, starsze, z polami i zachodzącym słońcem.

– Kopie – powiedział lekceważąco Ed, kiedy je podziwiała. Mówił jednak zniżonym głosem, tak żeby nikt nie słyszał.

Były też fotografie. Wszędzie. Na kominku, na stolikach. Zdjęcia Lily, jak była mała, i troszkę od niej wyższego chłopca.

– To Daniel – powiedziała pogodnie matka Lily. Zbyt pogodnie. – To był brat Lily, ale teraz jest gdzie indziej.

Daniel? Carla jak przez mgłę pamiętała, że przed laty, kiedy mieszkała w Anglii po raz pierwszy, Lily wspomniała raz o bracie.

„Nie chcę o nim rozmawiać”.

Czy nie tak powiedziała?

Carla już otwierała usta, żeby zapytać, czy i on przyjedzie na święta, ale pytanie utonęło w zamieszaniu, bo Tom zaczął nagle rozpakowywać swoje prezenty, choć nie była to jeszcze północ i nie byli na pasterce.

A teraz cała ta awantura o to, dlaczego model samolotu nie może latać. Temperatura rosła. Tom denerwował się coraz bardziej, szarpał się za włosy i wyrywał pojedyncze pasemka. Lily była mocno podminowana, choć prawdę mówiąc, była taka już od chwili, kiedy odebrała ją na stacji. Nie

przypominała sobie, żeby kiedyś Lily tak łatwo się denerwowała. Matka Lily, bardzo do niej podobna, o tym samym wzroście i kolorze włosów, przeproszała gorąco za zamieszanie.

Inny, powiedziała Lily. Nasz syn jest inny. Kiedy ludzie mówią coś takiego, z reguły mają na myśli, że ta odmienność sprawia im kłopot. Ale nie zastanawiają się, jak to wpływa na tę osobę.

Jedyne, co mogło pomóc, to zrobić coś takiego, żeby poczuł się z sobą dobrze. Uspokoić go. A że nikt tego nie robił – Lily nieustannie trzymała nos w papierach – zadanie to najwyraźniej spadło na Carlę.

– Właściwie – powiedziała – Leonardo da Vinci budował modele, które latały.

Spodziewała się, że Tom teraz zapyta: „A kto to jest Leonardo da Vinci?” Tymczasem jego twarz zaczęła się rozjaśniać.

– Ten artysta? Który narysował Chrystusa jako zegar?

– Właśnie! – Ona też jako dziecko tak właśnie widziała ten rysunek. Podobny do Jezusa mężczyzna miał rozstawione nogi i ręce w pozycji za piętnaście trzecia. – Zaprojektował prototyp latającej maszyny. Wiedziałaś o tym?

Tom pokręcił głową.

– Nie doszedłem jeszcze do tego. Dopiero co wypożyczyłem książkę z biblioteki.

– Nie wiedziałam, kochanie, że uczysz się w szkole o Leonardzie. – Lily nieoczekiwanie wyszła z gabinetu. Jej wyraz twarzy przypominał ten, jaki miała przed laty mamma, kiedy próbowała jej pomóc w odrabianiu matematyki.

– Nie uczę się. Wziąłem ją, bo mi się podobał obrazek na okładce. – Zmarszczył brwi. – Jeśli modele Leonarda latały, to dlaczego mój nie może?

– Bo to inny model. – Carla przyklękała obok niego. – Wiesz co? Rano spróbujemy zaprojektować własny.

Tom znowu zmarszczył brwi.

– A z czego go zrobimy?

– Z papieru.

– E, papier jest za słaby, żebyśmy mogli do niego wsiąść.

Nie będziemy wsiadać, chciała powiedzieć. To tylko model. Ale zdała już sobie sprawę, że Tom nie rozumuje tak, jak inne dzieci, które znała we Włoszech.

– W takim razie nauczę cię mówić po włosku – powiedziała nieoczekiwanie.

– Po włosku? – Twarz Toma się rozjaśniła. – To mi się podoba. Będę mógł powiedzieć temu panu w pizzerii, że nie lubię pomidorów. Jak będę mówił w jego języku, to mnie posłucha. A wiesz, uczę się też chińskiego! Kupiłem sobie taką książkę.

– To fantastycznie!

– Dziękuję ci – powiedział Ed, gdy weszli do jadalni. Stał tu wielki dębowy stół, pięknie nakryty: srebrne sztuczki, czerwone płócienne serwetki, kryształowe kieliszki do wina, a pośrodku, dla dekoracji, krąg ostrokrzewu. – Miło z twojej strony, że zadajesz sobie trud.

Przeniknęło ją ciepło i jasność. Uśmiechnęła się do niego swoim najpiękniejszym uśmiechem.

– To żaden trud – odparła, pozwalając, by Ed odsunął jej krzesło. – Ja bardzo lubię być z Tomem. Rozumiem, jak on się czuje.

– Jak to? – Ed patrzył na nią uważnie. Instynktownie wiedziała, że w głowie już ją rysuje.

– Bo ja też się czułam inna jako dziecko. Wiem, jak to jest.

Nie spuszczał z niej oczu.

– Uwielbiam, jak na twojej twarzy odbijają się gwałtowne uczucia, tak jak w tej chwili. – Jego dłonie bawiły się sztuczkami, tak jakby marzył, żeby to były kawałki węgla. – Tak sobie myślę... czy nie miałabyś nic przeciw temu, żeby...

– Żebyś mnie znowu malował?

Twój mu drgnęła, tak jakby się nagle przebudził z drzemki.

– Właśnie.

Zarumieniła się z radości. Oczywiście że nie ma nic przeciw temu!

– Będę zaszczycona.

Chwycił ją za rękę. Dłonie miał duże, gorące.

– Dziękuję.

Kątem oka dostrzegła, że Lily patrzy.

– Kto idzie jutro przed obiadem na spacer po plaży? – spytał z drugiego końca stołu ojciec Lily.

– Ja! Ja! – Tom zerwał się na równe nogi. – Ja z Carlą! – I posmutniał. – Ale ja nie mogę budować zamków z piasku. Nie lubię dotyku mokrego piasku.

Biedne dziecko!

– Ja też nie przepadam za mokrym piaskiem – powiedziała. – Człowiek się tylko upaprze, no nie?

Tom kiwnął głową – tak mocno, że złąkla się, czy czegoś sobie nie uszkodził.

– Właśnie.

Carla zerknęła na Lily. Znała ten wyraz twarzy. Oznaczał, że Lily czuje się zraniona. Wykluczona. Powinno jej być przyjemnie. Mimo to w jakimś sensie żal jej było tej kobiety.

Tej nocy nie mogła zasnąć. Gdyby tak mogła zadzwonić do mamy i życzyć jej wesołych świąt... Ale ciotka podobno nie miała telefonu, a komórki dziadek uważał za zbędne.

Wstała i podeszła do okna. Księżyc wisiał tuż nad horyzontem, pomiędzy niebem a morzem, tak jakby balansował na linie. Może by tak pójść na spacer? Włożyła płaszcz i ruszyła na palcach korytarzem. Wszystkie światła były zgaszone, tylko pod drzwiami pokoju Eda i Lily świeciła wąska linia. Co to jest? Carla nie zdołała się oprzeć. Przystanęła, żeby posłuchać.

Kłócili się.

– Powinnaś była dać Carli pieniądze z okazji świąt – mówił ze złością Ed.

– Ale jak? Będziemy wtedy mieli jeszcze większy debet.

– Tysiąc funtów to za mało, i dobrze o tym wiesz.

– Bądźże realistą! To więcej, niż zasługuje. Jej listy były takie nachalne...

Carla o mało nie krzyknęła, ale zdołała się w porę powstrzymać.

– A więc jednak pisała? – Ed podniósł głos, oburzony. – Mówiłaś, że nie dostałaś żadnego listu!

Czemu mi nie powiedziałaś?

Głos Lily stał się błagalny.

– Bo nie byłeś w odpowiednim stanie. I dlatego, jak usiłuję ci wytłumaczyć, że nie możemy sobie na to pozwolić. Naszym priorytetem jest Tom. Być może powinieneś sprzedać jeszcze jakieś obrazy...

– Jak, skoro wysyłaś ze mnie wszelką twórczą wenę!

– Ed! To nie fair!

Usłyszała brzęk tłuczonego szkła, a potem gniewny głos Eda:

– Widzisz, do czego mnie doprowadzasz?

Drzwi się otworzyły. Carla zdążyła cofnąć się w ciemność. Z pokoju wypadła Lily, na szczęście w przeciwną stronę. Carla chyłkiem wróciła do siebie, cała drżąca. A więc jej pierwszy odruch był właściwy... Lily jednak dostała jej listy. Skłamała! A co do debetu, to Carla w to nie wierzyła. Z takim domem?

Jeśli wcześniej miała jakieś skrupuły, to teraz nie miała żadnych.

Lily

Co za ulga wreszcie wrócić do siebie! Londyn. Praca. Nawet jeśli jest to ten dziwny, trochę senny czas pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, u nas zawsze jest coś do zrobienia. Wreszcie mogę się zrelaksować.

W święta byłam podminowana. Szorstka dla wszystkich, włącznie z naszym gościem. Zanim jeszcze Ed zwrócił mi uwagę, sama zdawałam sobie sprawę, że za każdym razem, kiedy dzwoni telefon albo ktoś zapuka do drzwi, zachowuję się jak kot na gorącym blaszanym dachu. Nadal rugam się w myśli, że wygadałam się przed Edem z tymi listami od Carli, co skończyło się jedną z najgorszych kłótni, jakie nam się w życiu zdarzyły.

Ale nic w tym dziwnego, że mi się wypsnęło. Wciąż mam zamęt w głowie po tamtym spotkaniu z Joem Thomasem na pogrzebie Tony'ego.

Przez te wszystkie lata od jego sprawy pławiłam się w glorii specjalistki od prawa karnego, której wskaźnik sukcesu wynosi dziewięćdziesiąt pięć procent. Ale wszystko to zawdzięczałam pomocy kryminalisty.

Człowieka, którego reszta świata uważała za niewinnego. Dzięki mnie.

Ale co mnie najbardziej przerażało w te święta, to powracające insynuacje Joego co do Toma. Cały czas spodziewałam się, że mój dawny klient zadzwoni albo, co gorsza – po prostu wejdzie i oświadczy (słusznie bądź nie), że Tom jest jego dzieckiem. W końcu wie, gdzie mieszkają moi rodzice.

Nic dziwnego, że byłam podminowana. Albo raczej na skraju hysterii. Od czasu do czasu niewiele brakowało, żebym powiedziała o wszystkim mężowi, ale w porę się powstrzymałam. Nie zrozumiałby. Nikt by nie zrozumiał. Gdyby moja biedna matka i tak nie miała już wystarczająco dużo na głowie, być może zwierzyłabym się jej.

Ale wystarczyło jedno spojrzenie na jej znużoną twarz – znużoną doglądaniem mojego syna, co powinno być naszym obowiązkiem – żebym sobie powiedziała: stop. Z tą sprawą muszę sobie poradzić sama.

W pewnym sensie obecność Carli stanowiła ulgę. Obca osoba w pełnej napięć rodzinie sprawia, że ludzie się pilnują i zachowują jak należy. A to przecież czas, kiedy cały świat ma się pławić w szczęściu... Prawdę mówiąc, właśnie dlatego ją zaprosiłam.

Ed aż podskoczył na ten pomysł. I wiedziałam dlaczego.

Czyż nie zdałam sobie sprawy już w czasie tamtego spotkania w galerii, że Carla może nas uratować? Jeśli Ed będzie mógł ją malować, ożywi to jego karierę. Potem, w święta, widziałam, jak jej dziękuje.

– Nawet nie musiałem jej proponować – powiedział później, cały podekscytowany. – Sama wystąpiła z tym pomysłem. Mamy się umówić na pozowanie w styczniu. Nie widzisz, Lily? To może być początek nowej fazy mojego życia!

Taki był podbudowany, że prawie zapomnieliśmy się kłócić o Toma. I o pracę. Oczywiście musiałam sprawdzać pocztę mejlową („Tak, mamo, nawet w święta”), ale przychodziły tylko rzeczy typowe, normalka. No i było parę trudnych momentów, kiedy Carla zaczęła pytać o Daniela.

– Dlaczego jej po prostu nie powiesz, że nie żyje? – spytał w końcu Ed.

Miałam ochotę na niego wrzasnąć. Czy on nie rozumie? Daniel to moja sprawa. Carli nic do tego. A

potem była ta okropna kłótnia o listy Carli, kiedy Ed mnie oskarżył, że wysłałam z niego wenę.

– Przyjemne miała pani święta? – pyta moja sekretarka, gdy sadowię się przy biurku.

– Tak, dziękuję – odpowiadam automatycznie.

Po czym mój wzrok pada na iskrzący się diament na jej palcu.

– Czy słusznie się domyślam, że należą się pani gratulacje?

Z entuzjazmem kiwa głową.

– Wprost nie mogłam uwierzyć! Włożył pierścionek do świątecznego puddingu! O mało go nie połknęłam...

I wtedy dzwoni telefon. Jakaś kobieta. Zrozpaczona matka. Jej syna aresztowano za jazdę po pijanemu.

W tej chwili jest w areszcie. Czy moglibyśmy im pomóc?

Dzięki Bogu, że jest coś takiego jak praca. Pozwala odciąć się od wszystkiego. Zamyka niebezpieczne szczeliny, przez które uchodzi gaz. Pomaga mi zapomnieć, że w tej chwili mama pomaga Tomowi przyszykować się do szkoły, gdzie co wieczór będzie się kładł do łóżka bez mojego lub jej pocałunku na dobranoc.

– Ach, jeszcze coś – mówi sekretarka. – O, proszę. Leżała na tacy z pocztą, jak przyszłam.

Koperta, na której widnieje tylko moje nazwisko i słowo „prywatne”, napisane drukowanymi literami.

A w środku zdjęcie.

Widać na nim skrzyżowanie bez jakichkolwiek znaków drogowych.

Ochroniarz, który właśnie kończy nocną zmianę, potwierdza moje najgorsze obawy. Wieczorem dał mi tę kopertę jakiś krótko ostrzyżony mężczyzna.

Powoli drę zdjęcie na kawałeczki i daję je sekretarce.

– Do kosza na odpady poufne – mówię.

– Czyli nie potrzebuje pani tej informacji?

– Nie.

Od tej chwili będę wygrywać sprawy na własną rękę.

Carla

Zaraz po świętach Carla po wstaniu z łóżka przekonała się, że Lily już wyjechała. Z powrotem do pracy, pociągiem o szóstej pięć.

– Jakiś klient jej potrzebuje – mruknął Ed.

Po wyjeździe Lily wszyscy wydawali się znacznie bardziej odprężeni. Nie było już kąśliwych uwag. Nie było: „Tom, proszę... Posiedź spokojnie chociaż przez chwilę, dobrze?”

A jednak nawet bez Lily Carla miała wrażenie, że coś jest w tym domu nie tak. Matka Lily była dla niej wyjątkowo miła, ale zachowywała się tak, jakby coś było do ukrycia. Była pewna, że ma to związek z Danielem, o którym nikt nie chciał rozmawiać.

Może go wyrzucili z domu? Carla wspomniała swój własny dom we Włoszech. Wielu sąsiadów wciąż traktowało ją z góry, bo była nieślubnym dzieckiem, pomimo że „hańba” matki miała miejsce tak dawno.

Ostatni dzień w Devon Carla spędziła na spacerach po plaży z Edem i Tomem. Wszystko w ramach przygotowań do następnego kroku, ale w gruncie rzeczy było to bardzo przyjemne. Szczególną uwagę poświęcała Tomowi. Uczyła go różnych wyrażen po włosku i z przyjemnością zauważyła, że już ją lubi. Szybko zapamiętywał, tyle że za każdym razem, gdy powiedział coś prawidłowo, musiał się klepnąć w lewe kolano. To taki rytuał, szepnął Ed, jakby wiedział, że zrozumie.

Carla dbała też o to, żeby się przypodobać rodzicom Lily.

– Wiesz, w ciągu tygodnia Tom jest w szkole specjalnej – powiedział ojciec przed samym jej odjazdem na stację. – Bardzo to trudne dla nas wszystkich. Ale wygląda, że ty masz do niego właściwe podejście.

– Przyjedź do nas jeszcze – dodała matka, przytulając policzek do jej policzka. Dziwny angielski zwyczaj: tylko z jednej strony! – Dobrze nam z tobą.

Kiedy przyszła pora odjazdu, Carla nie miała ochoty opuszczać tego domu. W pociągu aż w niej buzowało z radości. Umówili się z Edem na spotkanie, żeby porozmawiać o pozwaniu! „Nie mogę się doczekać” – powiedział, ściskając na pożegnanie jej rękę.

Hostel wydał się jej po powrocie jeszcze bardziej zimny i ponury. Choć znała z widzenia wiele dziewczyn, z żadną się nie zaprzyjaźniła. Nie były w jej stylu – z tymi okropnymi tatuażami i kolczykami w nosie. I chyba było to wzajemne, bo żadna jej nie zaprosiła, żeby poszła na sylwestrową imprezę, którą urządzał hostel. Wcale zresztą nie miała ochoty iść. Skuliła się pod kołdrą i zaczęła wkuwać nowe precedensy.

Wcześniej zadzwoniła do mammy. Duży wydatek, ale musiała usłyszeć jej głos. Ale połączenie było słabe. „Kocham cię, *cara mia*” – niewiele więcej zdołała zrozumieć.

– Też cię kocham, mamusiu.

Leżąc teraz w łóżku, zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. Pora na małe podsumowanie. To już styczeń! Mimo to nie osiągnęła dotąd tego, co miała nadzieję osiągnąć. Musi się zdarzyć coś, co popchnie sprawy naprzód.

Dopracowywała w myśli swój następny krok, gdy wtem buchnęła głośna muzyka. To ta dziewczyna z za

ściany! Jak zawsze... Jak można w ogóle myśleć przy takim łomocie? Chyba lepiej pójść pod prysznic. Chwyciła gąbkę i szlafrok, zamknęła drzwi na klucz i ruszyła do łazienki.

Była tam może pięć minut, gdy rozległo się walenie w drzwi.

– Pożar! Pożar! Wszyscy wychodzić! Natychmiast!

*Nadal czuję zapachy.
Podobno zmysł powonienia zanika jako ostatni.
A więc nie wszystko stracone.
Jeszcze nie.
To dobra wiadomość.
A zła – to że coś się tu pali.
Co gorsza, nie widzę już czerwonej szpilki.*

Lily

Jutro Nowy Rok. Wieczór sylwestrowy spędzamy z Edem spokojnie, w domu. Jakoś żadne z nas nie znajduje w sobie energii, żeby iść na przyjęcie, które organizuje jeden ze współników. Niezbyt to dobrze wygląda, ale są sytuacje, kiedy rodzina musi być na pierwszym miejscu.

Stół pokrywają rysunki. Prawdopodobnie z ostatnich dni, które Ed spędził w Devon. Carla się śmieje. Carla pochyla się nad Tomem. Carla otwiera szeroko oczy. Carla, zamyślona, obejmuje oburącz kieliszek z winem. Jedyne, czego tu brak, to samego obiektu we własnej osobie.

Dzwoni telefon.

– Możesz odebrać? – wołam, bo z rondla zaczyna kipieć.

Wyłączam palnik – no tak, fasolka szparagowa się rozgotowała... – i oglądam się na Eda, który najwyraźniej stara się kogoś uspokoić. Moja matka. Na pewno Tom znowu coś zrobił.

– To straszne – mówi Ed.

Serce we mnie zamiera. Wiedziałam... Nie powinniśmy byli wyjeżdżać. Powinam zrezygnować z pracy i...

– Biedactwo.

Ed zazwyczaj nie mówi do mojej matki „biedactwo”. Podchodzę bliżej. Co jest grane?

– Ale oczywiście, że powinnaś była zadzwonić. Zamieszkas z nami. Czekał na mnie, przyjadę i cię zabiorę. Jaki adres?

Mąż łapie kurtkę.

– To Carla. W hostelu był pożar. Jest na ulicy, w szlafroku.

– Jest ranna?

– Nie, dzięki Bogu nie. Tylko się wystraszyła.

– Ja po nią pojedę, jeśli chcesz.

– Nie, nie. – Już jest w drzwiach. – Ty może pościel łóżko Toma.

Racja, trzeba przygotować dla niej łóżko.

Kiedy Carla przyjeżdża, jej śliczna buzia o oliwkowej cerze jest ściągnięta. Drży – ma na sobie tylko cienki różowy szlafroczek. Zaciska splecione dłonie tak mocno, że zbieleły jej kostki.

– To było okropne. Musieliśmy wszyscy zejść zewnętrznymi schodami, awaryjnymi. Myślałam, że spadnę...

Wiadomość o wypadku pojawia się przelotnie na LBC. Podobno nie ma żadnych rannych. Ustalanie przyczyn pożaru w toku.

Ed podaje jej szklaneczkę whisky.

– Masz, wypij. To ci dobrze zrobi.

Pretekst, żeby wypić samemu, o mało nie mówię na głos.

– Usiądź, proszę. – Przypominam sobie o dobrym wychowaniu. – Teraz już jesteś bezpieczna.

– Ale ja nic nie mam, żadnych ubrań – szłocha Carla, obejmując szklaneczkę tymi wytwornymi dłońmi.

– I książki też przepadły...

– Wszystko to da się kupić na nowo – mówię uspokajająco i biorę ją za rękę. Choć w święta miałam wystarczająco dużo okazji, żeby się jej przyjrzeć, przypominam sobie w tej chwili, że naprawdę jest bardzo ładna. Te ciemne migdałowe oczy i gęste czarne brwi wyglądałyby może zbyt męsko u bladej Angielki, ale u niej, choć jest taka przygnębiona, tylko podkreślają urodę.

Może to dobrze, że Carla z nami zamieszka? Nie będziemy się mogli z Edem kłócić w jej obecności. Nasz gość będzie buforem między nami – tak jak bywała w przeszłości, jako dziecko.

– Wszystko będzie dobrze – mówię.

Carla podnosi znękaną twarz. Przez chwilę widzę tamtą dziewczynkę, którą znalazłam na korytarzu pod drzwiami, z wielkim sińcem na policzku.

– To bardzo miło z twojej strony, że dajesz mi dom. Dziękuję.

Przenika mnie nagły dreszcz.

Tylko na jakiś czas, mam ochotę powiedzieć. Ale to by zabrzmiało po chamsku.

Więc mówię sobie, że to dziwne przeczucie to nic nie jest. Absolutnie nic. Przecież powiedziałam już sobie, że będzie nam z nią dobrze, prawda?

A poza tym mam inne zmartwienie. Joego Thomasa.

– Nie przejmuj się tak – mówi jeden ze współników, kiedy parę tygodni później wracam z sądu.

Ale się przejmuję. Gdybym wykorzystła to zdjęcie, które przysłał mi Joe Thomas, to może zdołałabym udowodnić, że tego dnia, kiedy mój klient nie zatrzymał się na skrzyżowaniu w kształcie litery T, nie było tam żadnych znaków drogowych. Teraz są, oczywiście, ale o to właśnie chodzi. I tak zostałby skazany za jazdę po pijanemu, ale gdybym zdołała udowodnić, że znaku „ustąp pierwszeństwa” nie było tego dnia na jezdni, to wyrok mógłby nie być tak surowy.

Znaki drogowe z czasem się zacierają. Zdarzają się wypadki. Po czym w cudowny sposób tuż przed rozprawą na skrzyżowaniu pojawia się miejski wóz i odmalowuje znak. Spytajcie którego chcecie prawnika. Problem w tym, że nie zawsze da się uzyskać dokumentację fotograficzną, żeby to udowodnić.

I tak oto potrafię poradzić sobie ze sprawami na własną rękę... Może dlatego nie jestem zaskoczona, kiedy nazajutrz przychodzi list (oznaczony jako „do rąk własnych”) z krótkim tekstem.

Mogłaś wygrać, gdybyś wykorzystła moje zdjęcie. Jak się ma Tom?

Przez jakiś czas siedzę i gapię się na list. Wreszcie biorę telefon.

– Masz czas na drinka?

Ross zdaje się i zaskoczony, i uradowany propozycją.

– Z miłą chęcią.

Spotykamy się w moim ulubionym włoskim bistro niedaleko Covent Garden. Mówię „ulubione”, choć prawda jest taka, że w moim życiu nie ma zbyt wiele miejsca na rozrywkę. Należę do tych, którzy zapytani o hobby muszą się przez chwilę zastanowić. Jak się jest prawnikiem, to praktycznie nie ma się czasu na nic innego. Owszem, biegam rano przed pracą, ale traktuję to jako jeden z etapów ubierania się.

– Co jest grane? – pyta Ross.

Patrzę na naszego starego przyjaciela siedzącego naprzeciw mnie. Ma na sobie tweedową marynarkę i dżinsy. Kiedyś był znajomym Eda (poprzez Davinę), ale prędko stał się także moim, zwłaszcza kiedy trzeba mieć oko na mojego męża, który, jak mawia Ross, czasami zachowuje się jak kompletny idiota. Idiota, który jest bliski nam obojgu.

Czasem przychodzi mi do głowy, że może Ross jest gejem. Bądź co bądź, dotąd się nie ożenił. Nigdy też nie miał dziewczyny, o ile mi wiadomo. Ale nie drażę.

– Mam problem – mówię. Z niepokoju zaciskam pod stołem rękę. Już od bardzo dawna chcę się komuś zwierzyć w związku z Joem Thomasem. Teraz jednak przyszedł taki czas, że jeśli ktoś o tym nie

powiem, to wybuchnę. Oczywiście pewne punkty muszę ominąć.

– Ożeż – mówi Ross, kiedy kończę opowieść. – Co za okropna sytuacja!

Chciałabym, żeby powiedział, że wszystko będzie dobrze. Że coś mi się uda z tym wszystkim zrobić.

– A jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie – ciągnie – to myślę, że dobrze zrobiłaś, że podarłaś to zdjęcie.

– Naprawdę?

– Absolutnie. – Głos Rossa brzmi pewniej. – Dasz sobie radę sama, Lily. Od lat dajesz sobie radę sama. Owszem, może od czasu do czasu ci pomógł, ale nie pozwól, żeby to podważyło twoją wiarę w siebie. Jesteś dobrą prawniczką.

Mam ochotę opowiedzieć mu także o innych rzeczach. Ale nie mogę. Wracam myślą do tamtego pubu w Highgate, wtedy po sprawie. Do chwili, kiedy Joe wziął mnie za rękę. To iskrzenie... Ten pociąg, którego nie powinno być. A potem poczucie winy, bo wypiliśmy odrobinę za dużo i to wystarczyło, żebym przestała odpowiadać za to, co robię.

To prawdziwy powód, dla którego obiecałam sobie więcej nie pić.

– Nie powiesz Edowi? Ani nikomu?

Wpadam w panikę. A nuż lojalność Rossa jest podzielona? Oczywiście mam na myśli te anonimy. O Heath nie mogę powiedzieć nikomu.

– Mur beton. – Spogląda na zegarek. – Obawiam się, że muszę wracać do pracy.

Właśnie. Jest coś jeszcze, jeśli chodzi o Rossa. Kiedy go poznałam, był aktuariuszem. To jego wiedza na temat liczb pomogła mi złamać kod gier Joego Thomasa. Ale kiedy urodził się Tom i zaprosiliśmy Rossa, by został jego ojcem chrzestnym, zmienił zajęcie. Powiedział, że dzięki naszemu doświadczeniu inaczej patrzy na życie. Teraz stoi na czele dużej firmy, która zajmuje się fundraisingiem na rzecz instytucji dobroczynnych. Dobry człowiek z tego Rossa.

Kiedy wracam do domu po kolejnym wieczorze spędzonym w biurze, Ed i Carla już zjedli.

– Przepraszam – mówi ze skruchą Carla. – Chciałam poczekać, ale...

– To moja wina – wtrąca Ed z uśmiechem. Od lat nie widziałam, żeby tak się do mnie uśmiechał. I wiem dlaczego.

– Twoje jedzenie jest w piecyku, kochanie.

Kochanie? Kiedy ostatni raz tak się do mnie zwrócił?

– Powinno być jeszcze całkiem jadalne. A teraz, Carla, przechyl lekko głowę na bok. Broda troszeczkę w dół. Oczy na lewo. Doskonale.

Ed jest szczęśliwy, bo znowu maluje Carlę. To był jej pomysł, jak wciąż mi przypomina. Tak jakby mu to pochlebiało.

Prawdę mówiąc, dobrze się składa. Dzięki temu mam wolną głowę, żeby pomyśleć, co zrobić w związku z Joem.

Carla

Luty 2014

Carla obudziła się, jak co rano od miesiąca, w swojej ślicznej, przytulnej sypialni wychodzącej na ogród na tyłach domu. O ile tu było przyjemniej niż w hostelu! Mimo że Lily wspomniała o przekroczonym rachunku, musiała zarabiać niezłą kasę, skoro mogli sobie pozwolić na taki dom. I nawet go nie wynajmowali! Byli jego właścicielami – chociaż Ed stale mówił o „bandyckich ratach hipotecznych”.

Był to jeden z głównych tematów kłótni między Edem a Lily, które słyszała przez ścianę oddzielającą jej sypialnię od ich. „Jesteś wkurzona, bo nie zarabiam tyle co ty” – brzmiała jedna z jego ulubionych fraz.

„Kiedy ty wreszcie skończysz z tymi kompleksami, Ed?” – To znowu Lily.

Kiedy Carla bywała tu na kolacji jako gość, zauważała różne nerwowe uwagi i docinki. Ale teraz, kiedy tu mieszkała, było to jak przekradanie się przez linię frontu. Każda drobnostka mogła ich rozdrażnić, zwłaszcza Lily.

– Odstaw, proszę, mleko do lodówki – warknęła na Carłę tamtego wieczoru. – Bo się zepsuje, tak jak w ubiegłym tygodniu.

Ed przewrócił oczami, żeby Carla lepiej się poczuła.

– Nie przejmuj się, pracuje teraz nad jakąś dużą sprawą – wyjaśnił, kiedy Lily wymaszerowała do swojego studia. Zdjął okulary, jakby nagle zaczęły go denerwować. – Ostatnio przegrała, więc to dla niej bardzo ważne, żeby tym razem wygrać.

Słowa „bardzo ważne” wypowiedział z lekką drwiną. Potem znów założył okulary i wziął pędzel.

– Mogłabyś objąć dłońmi ten kubek z kawą i popatrzeć w dal? Jakbyś była głęboko zamyślona. Doskonale!

To nie było trudne. Wkrótce miało się zacząć śledztwo w sprawie pożaru w hostelu. Każdemu z mieszkańców wysłano oficjalny formularz z pytaniem, czy palił tamtego wieczoru w sypialni.

Oczywiście zaznaczyła kratkę „nie”.

– Nie poszłabyś na kawę po wykładach?

To był ten chłopiec ze spadającą na oczy grzywką, który ciągle zapraszał ją na kolację. Jego kasztanowate rzęsy były nienaturalnie długie jak na chłopaka, a sposób bycia dość niepewny jak na mężczyznę tak wysokiego i przystojnego. Tak jakby nie wiedział, że jest atrakcyjny. A na dodatek miał wytworne maniery i potrafił słuchać. Naprawdę słuchać.

Inni chłopcy byli na ogół głośni i aroganccy, uwielbiali dźwięk własnych głosów. Rupert był inny.

Może nadszedł czas, żeby zrobić wyjątek?

– Chętnie – odparła, podnosząc wzrok znad książki. – Dziękuję.

– Ćśśś – syknął ktoś z drugiego końca biblioteki. Uśmiechnęli się do siebie jak spiskowcy.

– Ile dostałaś za ostatnią pracę pisemną? – zapytał nad chudą latte w kawiarni związku studentów.

– Siedemdziesiąt pięć procent – odpowiedziała z dumą.

Otworzył szeroko oczy.

– Fantastycznie.

– A ty?

Jęknął.

– Nie pytaj. Właściwie to może mogłabyś mi pomóc w pisaniu tych cholernych prac... Może pogadamy o tym przy kolacji?

– Jakiej kolacji?

– Daj spokój, Carla. Tyle razy cię zapraszałem. Nie ugryzę cię. Obiecuję!

Zabrał ją do włoskiej knajpki niedaleko Soho Square. Spodziewała się, że zacznie się jąkać przy zamawianiu, jak zwykle Anglicy, kiedy mówili w jej języku. Ale nie, akcent miał bez zarzutu.

– Znasz mój kraj? – zapytała, kiedy kelner odszedł.

Wzruszył ramionami, zadowolony.

– Moi rodzice uważali, że to bardzo ważne, żebyśmy mówili płynnie po francusku i włosku. Na wakacje zawsze nas wypychali za granicę, żebyśmy szlifowali języki. Ale tak szczerze, to myślę, że chcieli mieć trochę spokoju, chociaż podczas roku szkolnego i tak byliśmy w szkole, z dala od nich.

Dokładnie tak, jak biedny Tom... I jakoś tak się stało, że zaczęła mu opowiadać o Tomie, Lily i Edzie.

– Mieszkaś u Eda Macdonalda? Tego malarza?

– Tak. Znasz go?

– Czy to nie on namalował *Małą Włoszkę*? Tę, którą sprzedano za ciężkie pieniądze anonimowemu nabywcy?

Zaczerwieniła się.

– O tym też wiesz?

– Uwielbiam sztukę. Moja matka też. Przez całe życie ciągała mnie po różnych wystawach... – Szeroko otworzył oczy. – Nie mów, że modelka... To byłaś ty, prawda?

Zawstydzona skinęła głową, ale było jej miło.

– Chciałbym go kiedyś poznać. – Jej towarzysz wyraźnie się speszył. – O ile to nie będzie za duży kłopot...

– Zrobię, co będę mogła – obiecała Carla.

Przeczekwała kilka tygodni, żeby nie sprawiać kłopotu swoim gospodarzom. Ed był zajęty jej portretem – zajmowało mu to chyba cały wolny czas, nawet kiedy mu nie pozowała. A Lily pracowała do tak późnych godzin, że czasem Carla dopiero długo po tym, jak położyła się do łóżka, słyszała, że wchodzi do sypialni. (Zazwyczaj dobiegała ją wtedy niezadowolony głos Eda).

Ale w końcu zdobyła się na odwagę, żeby porozmawiać z panią domu. O dziwo, okazała zaskakujący entuzjazm.

– Lily zaprasza cię, żebyś wpadł na kolację. Któregoś wieczoru w przyszłym tygodniu – powiedziała Carla do Ruperta, kiedy siedzieli nad latte w kawiarni, która stała się ich ulubionym miejscem spotkań.

Twarz chłopaka zajaśniała.

– Strasznie się cieszę. Dziękuję!

Nie, cała przyjemność była po jej stronie. Być może Rupert jest tym kimś, kogo potrzebowała?

Kiedy Carla wróciła tamtego dnia do domu, na stoliku w holu czekał na nią list. Był to egzemplarz raportu ze śledztwa w sprawie pożaru. Hostel rozesłał go do wszystkich byłych mieszkańców. Informowano ją, że przyczyną pożaru był prawdopodobnie papieros. Nie udało się jednak wskazać winnego, bo szkody były bardzo rozległe i zbyt wielu mieszkańców przyznało, że paliło u siebie w pokoju.

Całe szczęście.

Mało tego! Z ubezpieczenia podróznego dostanie teraz zwrot kosztów za ubrania i książki. (Lekko

zawyżyła ich wartość – firma może sobie na to pozwolić).

Z listu dowiedziała się też, że hostel będzie zamknięty do odwołania.

Sprawy zdecydowanie wyglądały coraz lepiej.

– To tylko kolega z wydziału – powiedziała Carla nieśmiało do Lily. – Jest dla mnie miły, to wszystko.

– Ale od chwili, kiedy weszła z Rupertem u boku, czuła wrogość Eda.

– Więc to ty jesteś ten Rupert, o którym mówiła Carla?

Carla zaczerwieniła się, gdy usłyszała, jakim tonem Ed wypowiedział słowa „ty jesteś”. A „o którym mówiła” sugerowało, że to jej na nim zależy, a nie na odwrót. Co sobie Rupert pomyśli? Nagle Carla zaczęła się obawiać tego wieczoru.

– Miło mi to słyszeć, proszę pana – powiedział Rupert, ściskając dłoń Eda, i zerknął na Lily.

Na szczęście Lily (która ostatnio zachowywała się z dystansem) wyczuła zdenerwowanie Carli. Gładko zmieniła temat, ale Ed przez całą kolację był uciążliwy. Nie dość, że jak zwykle docinał żonie („Wicie, mamy szczęście, że możemy się dziś cieszyć towarzystwem Lily. O tej porze zwykle pracuje”). Robił również szydercze uwagi na temat Ruperta i jego dawnej szkoły. „Jeden z moich kuzynów poszedł tam, kiedy oblał egzaminy do Eton”.

Zaczęła rozumieć, że Edowi gość się nie spodobał. Biedny Rupert. On też to zrozumiał.

Potem przeszli do piwnicy, żeby obejrzeć obrazy Eda.

– Carla mówi, że lubisz malarstwo. – Ed założył ręce na piersi.

– Owszem, proszę pana. Te prace są wspaniałe.

– To śmieci. – Ed popatrzył z pogardą na wizerunki starej kobiety, młodej kobiety, kwiaciarki, kioskarki, matki w parku. – Nic specjalnego w nich nie ma. Jedyne, co mi wyszło, to portret naszej pięknej Carli.

Oj! Ed tak mocno ścisnął ją za ramię, że aż zaboląło. Czuć było od niego winem: podczas kolacji sam wypił całą butelkę. Wiedziała, że Lily też to zauważyła.

– Ale teraz znowu ją maluję. Mówiła ci?

Ed przybliżył twarz do twarzy Ruperta. Z jednej strony Carla triumfowała, z drugiej – skręcało ją z zażenowania.

– Nie, proszę pana, nie mówiła.

– Czyli nie masz dostępu do wszystkiego, co dzieje się w pięknej główce naszej Carli.

– Ed, wystarczy. – Lily stanęła obok Eda i wzięła go za ramię. – Pora kończyć, nie sądzisz?

– Bzdura. Na pewno chciałbyś zobaczyć ten obraz, prawda, młody człowieku?

Rupert był teraz równie czerwony jak Carla.

– O ile nie jest to zbyt wielki kłopot, proszę pana.

– Hm, to jest kłopot. A wiesz dlaczego? Bo nigdy nikomu nie pokazuję swoich obrazów, dopóki ich nie skończę. Nigdy.

Po czym Ed ruszył po schodach i zostawił ich w piwnicy samych.

– Bardzo przepraszam. – Lily pokręciła głową. – Jest zmęczony, a teraz zaczął się ważny okres w jego karierze. Ma nadzieję na przełom, który zacznie się od nowego portretu Carli. Tym razem w pastelach. Dla niego to nowość.

– Rozumiem. – Rupert opanował się. Zagrały jego doskonałe maniery. – Artystyczny temperament i takie sprawy. Bardzo dziękuję za uroczy wieczór.

Ale wieczór nie był uroczy i wszyscy o tym wiedzieli. Tego wieczoru Carla wysłuchiwała jednej z największych jak dotąd awantur między Edem a Lily.

– Dlaczego byłeś taki nietaktowny? Prawie jakbyś był zazdrosny, że zadurzył się w Carli.

– Bzdura. Po prostu nie podoba mi się, jak jakiś szczeniak ogląda moje obrazy i robi protekcyjne

uwagi.

– Nie robił uwag. Był bardzo uprzejmy.

– Wiem, jaki był. A zresztą co cię to obchodzi? Nigdy cię tu nie ma.

– Może czas, żeby Carla stąd odeszła. Są inne hostele, w których może się zatrzymać. Nie rozumiem, dlaczego ją zaprosiłeś, żeby tu zamieszkała. To miało być tymczasowe.

– Więc chcesz wyrzucić moją modelkę, właśnie teraz, kiedy wróciła mi wena? Tak jakbyś chciała, żeby mi się nie udało.

Stało się, pomyślała Carla, kuląc się w łóżku.

Ale rano miało się wrażenie, jakby w ogóle nie było kłótni.

– Pojechałabyś z nami na weekend do Devon? – zapytała Lily.

Carla pokręciła głową.

– Zostanę tutaj, jeśli nie macie nic przeciw temu.

Ed wyglądał na rozczarowanego.

– Naprawdę? Tomowi będzie smutno, że się z tobą nie zobaczy. Pewnie tego nie powie. Ale ja i tak wiem.

Mnie też będzie smutno, mówiły jego oczy.

To dobrze.

– Obawiam się, że będę musiała popracować nad kolejną pracą semestralną.

– Jasne. – Ed był zmartwiony. – Kiedy wrócę, Carla, byłbym ci wdzięczny, gdybyś popozowała mi do portretu trochę dłużej.

Zaczerwieniła się.

– Oczywiście.

Lily

Mijają tygodnie, potem miesiące, a wraz z nimi powstaje portret. Przemyka Wielkanoc z kiwającymi się żółtymi główkami żonkili. Na naszej grządce za domem zaczynają kwitnąć wczesne letnie róże. To samo dotyczy Carli.

Z coraz większym zdumieniem i szacunkiem patrzę, jak nasza „lokatorka” przybiera na płótnie Eda coraz wyraźniejszy kształt. Ręka mojego męża, tak niepewna przez ostatnie parę lat, trochę ze względu na brak zaufania do siebie – a czasem, bądźmy szczerzy, przez alkohol – nabrała pewności.

Piękne migdałowe oczy Carli w tej jej twarzy elfa podążają za mną, ilekroć spojrzę na sztalugę. Jest tam przez cały czas. Żywy element studia, wychodzącego na ogródek za domem, gdzie jest lepsze światło. Także żywy element naszego domu, który bierze ode mnie płaszcz, kiedy wracam z pracy, i oznajmia, że kolacja jest prawie gotowa.

Carla wywołuje wielkie zainteresowanie.

– Znowu maluje pan tę Włoszkę? – zapytał dziennikarz, który wpadł, żeby przeprowadzić „domowy” wywiad, zaaranżowany jakoś przez agenta Eda.

Stałam przy płótnie, które Ed celowo wystawił, zamiast je schować, jak robił zazwyczaj, kiedy praca była nieukończona.

– Tak – odpowiedział niedbale mój mąż, ale ja oczywiście wiedziałam, że to pozór. – Carla – ta dziewczynka, którą opiekowaliśmy się z żoną zaraz po ślubie – wróciła do naszego życia. Teraz ma nieco ponad dwadzieścia lat i studiuje prawo. Była tak uprzejma, że zgodziła się, abym znów ją malował.

Kiedy artykuł się ukazał, wiadomość rozeszła się jak błyskawica. Oczywiście świat sztuki (i media) nie uznają za coś ekstra samego faktu, że modelka dorosła. Chodzi o to, że obraz mojego męża jest wspaniały. Carla wygląda na nim tak, jakby lada moment miała zstąpić z płótna. Gładka fryzurka, tak różna od dziecięcych loczków, ukazuje ją jako kobietę, która ma styl. Wargi wyglądają, jakby zaraz miały przemówić.

„Oto jestem. Wróciłam”.

A czasem gorzej. „Dlaczego jesteś taką złą żoną? Przestań się znęcać nad Tomem”.

Tak. To prawda. Przez ostatnie tygodnie narastało we mnie przeświadczenie, że ona mnie nie lubi, mimo że tak troskliwie zdejmuje ze mnie płaszcz i co wieczór (z własnej inicjatywy) szykuje kolację. Domyślałam się, o co chodzi. Nie aprobuję tego, że Tom nie mieszka z nami przez cały czas.

– Nie tęsknisz za nim, kiedy zostawiasz go w niedzielę wieczorem? – pytała już parę razy.

– Bardzo. Ale chłopak ma specjalne potrzeby, które szkoła zaspokaja lepiej niż my.

Nie ona jedna zadaje to pytanie. Tylko rodzice takiego dziecka jak nasze potrafią zrozumieć to cierpienie, kiedy człowiek nie daje rady, chociaż tak by chciał postępować właściwie.

Ed nigdy nie powie nic, żeby mnie wesprzeć, tak jakby zgadzał się z Carlą. I rzeczywiście się zgadza. Chociaż Tom świetnie daje sobie radę w tej szkole z internatem, choć już mu się nie zdarza atakować nauczycieli, mój mąż nie może przeboleć, że jego syn przez cały tydzień przebywa w – jak on to nazywa – „koszarach”.

Ale to nie jest tak. Widziałam te przytulne pokoje z wygodnymi łózkami i pluszowymi misiami, stojącymi w dumnym szeregu wzdłuż ściany. (Jeden z jego kolegów z sypialni nigdzie się nie rusza bez

misia, chociaż ma już prawie trzynaście lat. Ma obsesję na ich punkcie – to on je tak ustawił. Kiedy ktoś ich dotyka, wpada w szal). Wiem, że reakcja męża bierze się z jego szkolnych czasów, kiedy chciał tylko jednego – wrócić do domu.

A niechęć Carli to chyba jakiś żart, jeśli zważyć, ile dla niej robię.

– Carli potrzebny jest kontrakt praktykancki, bo już niedługo kończy kurs – oświadcza Ed któregoś wieczoru przy kolacji. – Powiedziałem, że będziesz mogła jej pomóc.

Jemy włoską potrawę, smakowitą mieszankę białej fasoli i sałaty, co w moim wykonaniu dałoby w efekcie papkę. Ręka Carli zmieniała to w coś zupełnie innego. „Będziesz mogła jej pomóc”... Co prawda jestem jednym ze współników, ale to jednak przesada ze strony męża – zakładać, że mogę pociągać za sznurki jak chcę, skoro mamy lawinę mejli od innych obiecujących studentów.

– Mamy mnóstwo podań – mówię. – Ale zobaczę, co się da zrobić.

Nie będzie to łatwe, bo moje wyniki w pracy ostatnio nie były zbyt dobre. W tym roku, jak dotąd, przegrałam ponad jedną trzecią spraw. Te, w których występowałam sama, a także te, w których zastępował mnie pełnomocnik. Kusi mnie, żeby zrzucić winę na niego, ale to nie byłaby prawda. Skoro nie dałam mu potrzebnych informacji albo wystarczającej liczby szczegółów, nie mógł odpowiednio skutecznie przedstawić sprawy w sądzie.

Powtarzam sobie, że moje słabe wyniki nie mają nic wspólnego z anonimami, które przychodzą do mnie pocztą, a ja je ignoruję. Próbuję nawet nie zaglądać do koperty, ale nie mogę się powstrzymać, żeby nie sprawdzić, czy to od niego. Skąd o tym wiem? Bo zawsze kończą się zdaniem: „Co u Toma?”

Chociaż te informacje byłyby zapewne użyteczne, zmuszam się, żeby wkładać je do niszcarki. Dam sobie radę bez pomocy Joego Thomasa. Nie chcę nawet myśleć o tym, jak ciężko musi pracować, żeby zdobyć te „dowody”. Ale owszem, ciekawa jestem, skąd je ma. Z którą sekretarką umawia się na randki? A może kłamie... Pewnie ma informacje z innych źródeł. Tak czy siak, mam ciarki na myśl, że Joe mnie obserwuje.

Więc kiedy Ed zaprasza Carlę na weekend do Devon, a ona mu odmawia, nic nie poradzę na to, że czuję ulgę. To szansa, że będziemy sami. I że będę mogła znów przeciągnąć Eda na swoją stronę.

Carla

Maj 2014

Co robisz w weekend? – pyta Rupert.

– Pracuję.

Od czasu tamtej krępującej kolacji u Eda i Lily unikała kolegi z wydziału. Ale oto był. Czekał na nią przed salą wykładową.

– Przez cały weekend?

Podniosła na niego wzrok.

– Przez cały.

– Szkoda. – Wyrównał z nią krok. – Twój znajomi byli... niezwykli.

– Lily potrafi być trochę humorzasta, ale nie jest taka zła. Obawiam się, że to Ed był wtedy nieuprzejmy. Przepraszam.

– Nie musisz. – Delikatnie dotknął jej ramienia. – Już mówiłem, to jego artystyczny temperament. Ale szczerze mówiąc... no wiesz, myślałem, że próbujesz schodzić mi z drogi. Więc pomyślałem, że chwycę byka za rogi i będę się wokół ciebie kręcił, żeby sprawdzić, czy między nami wszystko w porządku.

Nie mogła się nie poczuć mile polectana. Ale pomyślała, że musi postawić sprawę jasno.

– Oczywiście, że wszystko w porządku. Jesteś bardzo dobrym przyjacielem.

– Przyjacielem? – Patrzył na nią pytająco, jakby liczył na coś więcej. – Więc mogę zabrać cię w weekend na kolację?

To było kuszące. Ale czy życie nie było już i tak skomplikowane?

– Wybacz, ale czekają mnie dwie prace pisemne. Eda i Lily nie będzie do niedzieli wieczorem, więc będę miała trochę spokoju.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Całą sobotę ślęczała nad książkami. Ale w niedzielę w porze lunchu rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Lily i Ed nie powiedzieli, że się kogoś spodziewają. Może to jakiś akwizytor, albo sąsiad?

Ale na schodkach stał Rupert.

– Właśnie przechodziłem. – Wręczył jej bukiet, pięknie przewiązany rafią. Frezje... Jej ulubione. Niesamowite, jaki mocny zapach mogą mieć takie małe kwiatki.

– To bardzo miłe. Dziękuję.

– Może się przejdziemy? No chodź, to ci dobrze zrobi na szare komórki.

– Hm... – Dzień był piękny. Czemu nie? – Tylko do parku i z powrotem.

Zaskoczyło ją, że tak dobrze jest mieć towarzystwo. Na dworze było mnóstwo innych par. Ludzie śmiali się. Trzymali się za ręce. Carla poczuła w piersi dziwne uczucie. Nigdy dotąd nie była na spacerze w parku z mężczyzną, który by się jej podobał.

– Uwielbiam być z tobą, Carla – Rupert sięgnął po jej rękę.

Nie.

Szybko włożyła rękę do kieszeni.

– Ja też lubię z tobą być. – Krótka przerwa, policzyła do pięciu. – Ale jak już mówiłam, lubię cię jako

przyjaciela.

Albo nie zauważył odmowy, albo raczej postanowił nie zauważać.

– Jesteś inna niż wszystkie. Taka skoncentrowana. Jakbyś miała jakiś cel. Większość dziewczyn, które znam, chce się po prostu zabawić.

Carla pomyślała przelotnie o bardziej rozrywkowych studentkach, które zawsze uganiały się za Rupertem i jemu podobnymi.

– Nie mam czasu na zabawę.

– Naprawdę? – W jego głosie wyraźnie było słycać rozczarowanie.

Carla wzruszyła ramionami. Właśnie wychodzili z parku i zbliżali się do domu Eda i Lily.

– Moja matka jest ode mnie zależna. To ja mam zarabiać pieniądze dla nas obu, żebyśmy żyły na odpowiednim poziomie.

– Ojej. To niezwykle. Podoba mi się to.

– Ale teraz naprawdę muszę wracać. Inaczej nie zdążę z pracą.

– Ale na pewno znajdziesz chwilę czasu, żeby przedtem zaprosić mnie na herbatę?

– Nie jestem pewna...

– Daj spokój. – Błysnął oczami. – Tak się robi wśród przyjaciół.

Byli już na schodkach. Eleganckie, czarno-białe, prowadziły do lśniących czernią drzwi wejściowych. Byłoby niegrzecznie odmówić.

Poprosiła Ruperta, żeby usiadł, a sama szybko usunęła książki, żeby zrobić miejsce na stole. Byli w wielkiej kuchni, która służyła także za nieformalny salon. Na kanapie, spostrzegła z irytacją, leżały w nieładzie poduszki i koce.

– Co sądzisz o... – zaczęła.

Ale Rupert nagle podszedł do niej i śmiało, chociaż bardzo łagodnie zaczął wodzić palcem po jej ustach.

– Jesteś piękna, Carla – wyszeptał. – Wiesz?

Przyciągnął ją do siebie.

Przez chwilę ją kusiło. Rupert był taki przystojny. Taki czarujący. Taki dżentelmeński. Ale nie może pozwolić, żeby ją rozpraszał. Już miała się odsunąć, kiedy usłyszała zgrzyt klucza w zamku.

To był Ed! Przerazona patrzyła, jak przygląda się skotłowanej kanapie i Rupertowi, który szybko od niej odstąpił. Twarz Eda poczerwieniała z gniewu.

– Więc to dlatego nie chciałaś pojechać do Devon? Żeby wykorzystać nasz dom jako gniazdko miłości? Jak śmiałaś? Dobrze, że wcześniej wróciłem.

Carli zrobiło się gorąco, zimno i znów gorąco.

– Nie! Źle to oceniasz.

Ale zagłuszył ją głos Eda, który zwrócił się do Ruperta.

– Wynos się! Natychmiast!

Oślupiała patrzyła, jak Rupert wychodzi. Powinien zostać! Bronić się!

– Jak śmiałaś?! – krzyknęła, trzęsąc się z gniewu. – Nie zrobiłam nic złego. A ty ośmieszyles mnie wobec przyjaciela!

Pomyślała, że teraz każe jej wyjść. Nie miała gdzie się podziać. Nie było żadnej nadziei, że osiągnie to, co zamierzała.

Tymczasem Ed padł na podłogę u jej stóp.

– Przepraszam, Carla. Naprawdę przepraszam. Ale to było piekło, a nie weekend. Szkoda, że cię nie było... Ty byś umiała uspokoić Toma. Był okropny. Wiesz, jaka jest jego nowa obsesja? Jakaś gra komputerowa. Wysiaduje przy niej nocami i prawie nie sypia. Kiedy próbowaliśmy go od niej oderwać, wpadł w szal. Pokłóciliśmy się o to. Matka Lily chciała, żeby mu pozwolić robić po swojemu. Tak się boi, że Tom skończy jak Daniel...

– Daniel? Co się z nim stało?

– Daniela nie ma. – Ed, wzburzony, machnął lekceważąco rękami. – Nigdy byś się nie domyśliła z tego, jak rodzina o nim mówi. Daniel nie żyje!

– Nie rozumiem.

Ed chwycił ją za rękę i mocno ścisnął.

– Daniel był adoptowanym bratem Lily. Bardzo zaburzonym, już od dzieciństwa. Biedaczysko...

Teraz przyszła jej kolej, żeby trzymać go za rękę, kiedy posypały się te straszne słowa. Kłótnia, którą Lily miała z bratem. Stajnie. Sposób, w jaki go znaleźli. Ed nie znał wszystkich szczegółów („Lily nie jest w stanie o tym mówić”). Ale jedno było jasne: cokolwiek Lily wtedy powiedziała, jej brat w rezultacie odebrał sobie życie.

– To zawsze stało pomiędzy nami. Nigdy mnie do tego nie dopuściła. – Ed ze szlochaniem opadł na kanapę.

Co za potworność! I ten biedny Ed... To nie w porządku, że musi cierpieć za winę żony. Lily była dla niego taka przykra. Nawet nie dbała o niego, jak należy. Co to za kobieta, która nie podaje mężowi kolacji? Albo idzie do łóżka tak długo po nim? Mamma nauczyła ją, jak ważne są te rzeczy, nawet jeśli mogły się wydawać staroświeckie.

Czy jednak powinna być zaskoczona? Lily była prawniczką. Zimną, rzeczową. Przyzwyczajoną do uwalniania od winy i kary morderców i gwałcicieli.

Jakoś udało jej się uspokoić biednego Eda. Objęła go po przyjacielsku ramieniem. Nalała mu drinka (whisky z odrobiną gorącej wody). A potem, chociaż ręka nadal mu się trzęsła, namówiła go, żeby wziął się do malowania.

Dzięki, Rupert, pomyślała, siadając przed Edem. („Carla, twarz trochę w lewo, proszę”). Przy odrobinie szczęścia wszystko skończy się dobrze.

Lily

Pomimo moich ostatnich przegranych w sądzie, a także pomimo moich własnych zastrzeżeń, inni partnerzy podjęli decyzję na moją „korzyść” i od połowy lipca Carla pracuje ze mną.

– Rozgarnięta dziewczyna – powiedział pod koniec tygodnia jeden z moich kolegów. – Może jest ładna, ale ma jaja.

Mówił, jakby wygląd był przywarą. I na swój sposób jest. Jeśli jesteś ponadprzeciętnie atrakcyjna, szczególnie w takim zawodzie jak prawo, ludzie nie zawsze biorą cię na serio. Wiem, że we mnie nigdy nie będą widzieli piękności, chociaż czerpię przyjemność z tego, że dobrze się czuję w swojej skórze. Może tak jest najlepiej.

Ale za Carlą, gdziekolwiek się ruszy, zawsze odwracają się głowy. Nie tylko ze względu na jej twarz czy postępy, jakie robi w mojej firmie. Jej portret pędzła Eda w końcu jest gotowy. Po jednym z naszych weekendów w Devon, choć raz bez Carli, wszystko ułożyło się, jak trzeba. Pokłóciliśmy się, wrócił wcześniej, ale czasem wydaje mi się, że trudności go dopingują. Kiedy wróciłam, pracował nad najtrudniejszą partią – nad oczami.

Obraz przyjęto na wielką londyńską wystawę jesienną, a prasa coś zwąchała.

Nagle Carla pojawia się wszędzie. W periodykach dla kobiet. W dziale sztuki „Timesa”. I na zaproszeniach na koktajle, które zaczynamy dostawać. Oczywiście wszyscy chcą poznać tę historię. Jak znów na nią trafiliśmy? A raczej, jak ona trafiła na nas? Kiedy otwieram jedno z czasopism, stwierdzam, że Carli udało się opowiedzieć całą historię, prawie nie wspominając o mnie. Jakby to wyłącznie Ed zaproponował jej dom po pożarze w hostelu. To on jest jej opiekunem, nie ja. To on mówi, jak Carla cudownie radzi sobie z naszym synem, Tomem, wychowankiem „szkoły specjalnej” w Devon. Kompletnie pomija fakt, że Tom mieszka z moimi rodzicami.

Jak ona śmie?

– Nie masz prawa wspominać o Tomie – mówię do Carli, starając się panować nad głosem.

Idziemy do pracy. Szybkim krokiem. Przypomina mi to poranki, kiedy widywałam ją z matką na przystanku autobusowym.

– Tom jest częścią naszego prywatnego życia – ciągnę, nadal czerwona ze złości.

– Przepraszam – mówi, ale jej ton nie wskazuje, żeby naprawdę było jej przykro. Podbródek wysunęła do przodu. Jest teraz ostrzejszy niż zazwyczaj, prawie szpiczasty, jak u kota. – Ale to prawda, tak czy nie?

– Jest tam, gdzie dla niego najlepiej – mówię, siląc się na spokój.

Wzrusza ramionami.

– We Włoszech rodziny trzymają się razem, bez względu na okoliczności. Myślę, że tak jest lepiej.

– Ale teraz mieszkasz w Wielkiej Brytanii – wyrzucam z siebie. Trudno mi wprost uwierzyć w jej tupet... Wchodzimy już do budynku kancelarii, więc nie mogę nic więcej powiedzieć. Ale później, jeszcze tego samego dnia, dostaję notkę od jednego z partnerów.

„Na szczęście to jeszcze nie dotarło do klienta. Jedna z naszych praktykantek zauważyła błąd. Popraw to, proszę”.

Zrobiłam błąd, pisząc projekt pisma w sprawie działania na niekorzyść spółki. Niewielki. Ale wystarczający. Najgorsze, że praktykantka, sądząc po inicjałach przy poprawce, to nasz włoski „gość”.

Wieczorem Ed zwraca się do mnie.

– Dlaczego tak się rzuciłaś na Carlę o Toma?

Przechodzi mnie dreszcz. Czuję się jak dyżurna w szkole, rugana przez nauczyciela, bo zakablowała dziewczynę, którą przyłapała na paleniu w kiblu. Dlaczego mam obrywać za coś, co zrobiła ona?

– Bo nie powinna wspominać o Tomie ani o tym, że chodzi do szkoły specjalnej. To sprawa prywatna.

– Najwyraźniej naszego syna należy opatrzyć etykietką „nie otwierać”. Wstydzisz się go?

To nie fair.

– Wiesz, że to nieprawda. Myślisz, że byłbyś w stanie pracować, gdyby Tom był tutaj przez cały czas?

Myślisz, że byłbyś w stanie się skupić, gdyby siedział w studio i kazał odpowiadać na pytanie, dlaczego farba nazywa się farba? Albo przedstawiał ci wszelkie wyobrażalne statystyki na temat Moneta albo Johna Singera Sargenta?

Ed prostuje się i włącza światło. Ma smutne oczy. Wiem, że moje słowa brzmią samolubnie, i nienawidzę się za to. Ale uraza z przerażającą łatwością przebija się od czasu do czasu przez starannie nałożony werniks powierzchownej szlachetności i wypływa na wierzch. Wiem, że on też tak czasem myśli, tyle że najłatwiej jest zwalić winę na mnie.

– Po prostu nie mogę się pozbyć myśli – mówi powoli Ed, odbijając jak w lustrze to, co i ja mam w głowie – że kiedy ma się dziecko takie jak Tom, jest się zobowiązanym robić to, co należy. To wszystko.

Potem wyłącza światło i zostawia mnie, żebym się rzucała przez całą noc. Żebym się zastanawiała. Żebym mówiła sobie, że rozdzielenie życia naszego i syna, tak jak rozdzielenie niesfornych włókien jedwabiu, jest lepsze, niż bycie z nim. A dlaczego? Bo przez całe lata chodziłam wszędzie za Danielem, próbowałam chronić go przed nim samym. Ale załamalam się. Mówiłam rzeczy, których nie powinnam mówić, robiłam rzeczy, których nie powinnam robić. I w końcu to zepchnęło mojego brata w przepaść.

Jeśli nie jestem przez cały czas z Tomem, ma szansę, że da sobie radę. Moja stała obecność mu nie pomoże.

Raczej go zabije.

Któregoś wieczoru próbuję pracować w domu, ale tyle myśli zebrało mi się w głowie, że kiepsko mi idzie. Telefonuję.

– Lily! – Głęboki, ciepły głos Rossa natychmiast mnie uspokaja. Daje mi pewność siebie, jakby w końcu wszystko miało się wyprostować.

– Myślałem, że dziś wieczór jesteś na mieście – mówi zaskoczonym głosem.

– Nie, dlaczego?

– Musiałem coś źle zrozumieć. Ed mówił, że idziesz z nim na otwarcie tamtej galerii, tak mi się wydawało.

– Zapraszał mnie, ale miałam za dużo pracy. Poza tym to Carlę chcą widzieć. Rozumiesz. Malarz i jego modelka. Mała Włoszka. – Nawet nie próbowałam ukryć irytacji.

Wychodząc dziś z moim mężem, Carla wyglądała wspaniale. Fryzurka na pazia była gładka i lśniąca, makijaż nieskazitelny. Nikt by się nie domyślił, że jeszcze pół godziny wcześniej ślęczała nad książkami.

Ed też dobrze wyglądał. Nie tylko ze względu na nową niebieską koszulę w prążki. Chodzi o jego nowy sposób bycia. O pogodę i prężność. Do twarzy mu z sukcesem. Zawsze tak było. Teraz dociera do mnie, że mój mąż jest jednym z tych mężczyzn, którzy muszą być na fali, choćby dla dobra wszystkich wokół. Jest miły nawet dla mnie... Zasługuje na to, mówię sobie, żegnając się z Rossem po umówieniu się z nim za parę tygodni na kolację. Niech się cieszy.

Sierpień 2014

Trzy tygodnie później pracuję do późna w biurze. Ed jest na kolejnym przyjęciu. Carla nadal u nas mieszka. Dziś rano nie poszła ze mną do pracy.

– Źle się czuję – powiedziała, zwinięta na łóżku niczym kociątko.

Jest prawie dziesiąta – wszyscy już poszli do domu – kiedy na moim biurku dzwoni telefon. Wiem, że to Joe, zanim się jeszcze odezwał. Czuję to.

– Lily. Nie. Nie rozłączaj się. Po prostu przyjdź.

Włoski na ręce mi się jeżą.

– Dokąd?

Wymienia jakiś hotel niedaleko Strand.

Czy to kolejna informacja do jakiejś sprawy? Informacja, którą będę musiała zignorować?

– Chodzi o twojego męża. Obserwuję go. – Podnosi niecierpliwie głos. – Staram się tylko tobą opiekować. Jak zawsze. Po prostu przyjdź. Już.

Drżąc, odkładam słuchawkę. Wkładam płaszcz i żegnając się z nocnym stróżem, mówię sobie, że ruszam prosto do domu. Że nie pójdę do tego hotelu, żeby zobaczyć coś, co powinnam zobaczyć albo i nie.

Ed by tego nie zrobił. Ed by tego nie zrobił – tłucze mi się w głowie. Ale zaraz myślę o jego zmiennych nastrojach. O tym, jak przez cały czas trwania naszego małżeństwa był to gorący, to zimny. Naszego pochopnego małżeństwa, zawartego dla spadku, o którym mi wcześniej nie powiedział. Małżeństwa, w którym wytrwaliśmy ze względu na Toma. A jednak udało nam się sprawić, że działało. Może nie?

Kiedy wysiadam z taksówki, spostrzegam jakąś postać. Nie, to para. Ona trzyma głowę na jego ramieniu. Dziewczyna ma krótkie włosy, lśniące w świetle lamp. Mężczyzna jest wysoki i lekko przygarbiony. Tak, jak to bywa, kiedy ktoś długie lata pochyla się nad sztalugami.

Biegnę w ich stronę. Zatrzymują się na ulicy, pod lampą. On nachyla głowę, żeby ją pocałować. A potem podnosi wzrok.

– Lily? – mówi mój mąż i otwiera usta. Po czym, jakby nie mógł w to uwierzyć, powtarza: – Lily?

Błysk. Zdjęcie gotowe.

Ktoś macha mi przed nosem legitymacją prasową.

– Pani Macdonald, czy zechciałaby pani skomentować pogłoski o romansie męża?

*Zapach spalenizny zniknął.
To już coś. Ale w powietrzu wisi jakaś niepewność.
Straciłam ostatnią szansę?
Co ona zamierza?
Jaki będzie jej następny krok?*

Carla

Oczywiście, rozgłos związany z nowym obrazem odegrał swoją rolę w ich zbliżeniu. „Historia jak z baśni” – jak napisano w jednym z periodyków w artykule o malarzu i jego modelce. *Mała Włoszka po latach*. Artykuły w czasopismach. Ed obejmujący ją ramieniem przed obiektywem aparatu. Muśnięcie jej policzka – tak blisko ust! – po jakimś szczególnie eleganckim koktajlu. Carla nawet nie musiała się starać.

Ale do zbliżenia fizycznego nie doszło aż do pewnego wieczoru, kiedy Lily pracowała do późna w biurze (znowu!), a ona pozowała w salonie do kolejnego obrazu. Okno zostawili otwarte, bo noc była wyjątkowo gorąca. Carla celowo się nie umalowała, wiedząc, że tak bardziej mu się podoba. Czuła, że z gorąca na górnej wardze osiadają jej kropelki potu.

– Trochę na lewo... Teraz na prawo.

Nagle Ed zostawił sztalugę i podszedł do niej. Ukląkł i czule, bardzo czule odsunął jej z czoła kosmyk.

– Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką widziałem. – Potem ją pocałował. A ona pozwoliła.

Przez chwilę Carla miała wizję mężczyzny z samolotu. Tego, którego odrzuciła, bo nosił obrączkę. Czy nie powtarzała sobie, że nigdy nie pozwoli się zranić jak mamma?

Ale pozwalając, by złożył ją na miękkim dywanie salonu, nie mogła powstrzymać się przed myślą, że dobrze by było mieć chłopaka, który jest słynnym artystą. Własny dom. Własne pieniądze. (Którymi oczywiście dzieliłaby się z mamą). Pozycję, która zaimponowałaby nawet sąsiadom w jej miejscowości. Musieliby teraz być uprzejmi dla mamy, zwłaszcza że obraz Eda miał być wkrótce wystawiony w Rzymie.

Potem kochali się, kiedy tylko mogli i gdzie mogli. Hotele są najlepsze, mówił Ed. Bardziej dyskretne.

A jednak wyglądało na to, że on ma z tego więcej satysfakcji niż ona. Ed nie był takim kochankiem, jak sobie Carla wyobrażała. Oczywiście miała trochę doświadczenia. Na uniwersytecie, wreszcie uwolniona od rygorystycznych zasad nonna, flirtowała z chłopakami, którzy byli w stanie zabrać ją na kolację. Czasem pozwalała, żeby rzecz zaszła dalej. Na przykład nowa sukienka w zamian za weekend w Sorrento. Zawsze podejmowała środki ostrożności. Nie tylko wobec ciała, także wobec umysłu. „Chcę się skupić na studiach, a nie zakochiwać się”, mówiła im wszystkim. Ale tak naprawdę nie chciała sobie narobić kłopotów, tak jak narobiła sobie mamma. To, czego pragnęła, to finansowa stabilność małżeństwa. Nie rola kochanki.

A jednak właśnie nią została.

– Odejdę od Lily – obiecał jej Ed. – Po prostu muszę znaleźć właściwą chwilę, żeby jej o tym powiedzieć. To dla mnie coś więcej niż tylko seks.

Mogę w tym pomóc, powiedziała sobie Carla.

Pewnego dnia, kilka tygodni po tym, jak zaczęli ze sobą sypiać, Ed brał prysznic, a Carla w tym czasie zadzwoniła z pokoju hotelowego na całodobowy numer plotkarskiego pisma o celebrytach. Kobieta po drugiej stronie linii była bardzo zainteresowana tym, co ma do powiedzenia. Carla mówiła szybko, po czym rozłączyła się, nie podając nazwiska.

Wkrótce potem nakryła ich Lily.

Dziwne. Mimo że wszystko się tak ładnie poskładało, Carla nie miała oczekiwanej satysfakcji z zemsty.

Przeciwnie, poczuła się pospolita. Brudna.

Twarz Lily była biała pod uliczną lampą. Oczy pały jej jak dzikiemu zwierzęciu. Carla się przestraszyła. Ed spostrzegł to. Obronnie objął ją ramieniem, chociaż czuła, że i on się trzęsie.

– Kochamy się – powtarzał, zwracając się do Lily. – Chcemy być ze sobą na zawsze.

– Nic nie mogliśmy na to poradzić – wyjąkała Carla.

Lily warknęła, obnażając zęby. Tak! Warknęła.

– Oczywiście że mogliście. – Potem zaczęła szlochać, co było gorsze. – Tyle ci pomagałam! I tak mi się odpłacasz?

– Odpłacam się? – Głos Carli wzmógł się i zawibrował w powietrzu wieczoru. Przechodnie zaczęli się oglądać. – To ty powinnaś mi się odpłacić! Słyszałam, jak w Devon mówiłaś Edowi, że dostałaś moje listy z Włoch.

– Ja...

– Nie zaprzeczaj! Nie próbuj na mnie tych swoich adwokackich sztuczek, bo sama znam wszystkie. – Pociła się teraz z oburzenia. – Gdybyś nie powiedziała Larry’emu, żeby zostawił moją matkę w spokoju, wszystko byłoby z nami w porządku!

Lily roześmiała się nieprzyjemnie.

– Naprawdę tak myślisz, ty głupiutka dziewczynko?

– Nie jestem...

– Słuchaj, co mówię!

Przez chwilę wyglądało, jakby Lily chciała złapać Carłę za szyję.

– Jeśli Tony mógł oszukiwać swoją żonę, to nie sądzisz, że ciebie i twoją matkę też mógł oszukać?

Nagle przypomniała jej się tamta kobieta o jaskrawo umalowanych ustach w samochodzie Larry’ego.

– Wyświadczę wam obojgu przysługę. Zaufaj mi. Tak jak wyświadczyliście mi przysługę wy oboje. – Po tych słowach odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Edem. – Gdyby nie Tom, zostawiłabym cię wiele lat temu. Zabieraj to dziecko – wskazała gestem Carłę – i idź.

Znów się odwróciła, żeby spojrzeć na Carłę.

– Niedługo się przekonasz, jaki on jest. A jeśli ci się wydaje, że będziesz miała z tego jakieś pieniądze, to się mylisz.

Ręka Eda zacisnęła się na dłoni Carli. Byli silni, nie mniej silni niż strach ściskający jej pierś.

– Mam tego dość. Chodźmy, Carla. Wynosimy się.

– Nie. – Głos Lily był mocniejszy, niż kiedykolwiek zdarzyło jej się słyszeć. – To ja się wynoszę. Myślisz, że naprawdę chciałabym wrócić do tego domu, wiedząc, że zachowywaliście się w nim jak króliki, kiedy ja pracowałam? Poza tym dom i tak będzie musiał być teraz sprzedany. Masz – rzuciła w Carłę kluczami. – Moje też weź. Skontaktuję się w sprawie moich rzeczy. Tylko zejdźcie mi z oczu. Oboje.

Poczekaj, chciała powiedzieć Carla. Myślałam, że to będzie inaczej... Ale Ed tak mocno ścisnął ją za rękę, że prawie zabolalo. Potem machnął na taksówkę i pojechali do domu.

– Dokąd pójdzie Lily? – zapytała, kiedy otworzyli drzwi i przywitały ich rzeczy Lily. Były wszędzie: na haczyku w holu wisiał jej biały płaszcz, szpilki stały równo przy drzwiach.

– Da sobie radę – powiedział Ed i przyciągnął ją do siebie. – Jest twardsza, niż wygląda. Popatrz tylko, jak nas wysłodziła.

– Naprawdę? – Carla próbowała mówić niewinnym tonem.

– A jak myślisz, znalazłaby nas inaczej?

Ale Carla nie mogła zasnąć ze zmartwienia. A jeśli Lily zrobi coś głupiego, na przykład skoczy z mostu, jak jakiś biedak zaledwie tydzień temu? Co cię to obchodzi? – powiedziałaaby pewnie mamma.

Ale Carłę jednak obchodziło. Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy Lily nie miała racji, kiedy powiedziała, że wyświadczyła im przysługę, odsuwając Larry'ego. I jeszcze te słowa, rzucone mimochodem. „A jeśli ci się wydaje, że będziesz miała z tego jakieś pieniądze, to się mylisz”.

Rzucała się i przewracała przez całą noc. Kiedy się rano obudziła, Ed trzymał głowę na jej piersi, jak dziecko szukające pocieszenia. Poczła kolejny rozbłysk złych przeczuć. Potem uśmiechnęła się i przeciągnęła na szerokim łożu. Przez kremowe żaluzje wpadało słońce.

– Czy to nie cudowne? – powiedział, wodząc palcem po jej piersi. – Zostaliśmy dla siebie stworzeni. A teraz będziemy razem na zawsze.

Czyż nie tego chciała? Ale potrafiła myśleć tylko o siwych włosach na jego piersi, o łysince na czubku głowy i o łzach Lily wczoraj wieczorem.

Szybko pojawiły się tytuły:

MALARZ ZOSTAWIA ŻONĘ DLA SEKSOWNEJ WŁOSKIEJ MODELKI

ARTYSTA KALA PŁÓTNO DLA MAŁEJ WŁOSZKI PO LATACH

– Z całą pewnością zatrzymam dom – powiedział jej Ed kilka dni później. – Mam zamiar pożyczyć trochę pieniędzy, żeby spłacić Lily. Zamierza wyjechać z Londynu i otworzyć praktykę w Devon, blisko Toma. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

– Ale czy starczy nam na życie?

Trzymał ją w ramionach.

– O to się nie martw.

Głęboko nabrała powietrza.

– Jestem spłukana, Ed.

– Nie martw się. – Pocałował ją w czubek głowy. – Teraz ja się tobą zaopiekuję.

– Ale ty nie masz gotówki.

Sięgnął do tylnej kieszeni i odliczył kilka banknotów.

– Tyle wystarczy?

Serce przepęłniła jej ulga.

– Dziękuję.

Oczywiście, większość wpłaciła na konto i przekazała mamie.

Przez parę tygodni wątpliwości Carli zaczęły stopniowo blaknąć. W życiu ze słynnym malarzem było coś pochlebiającego. Chodzili do dobrych restauracji. Kelnerzy kłaniali się słuźalczo. Na krótko stali się najszynniejszą parą. Wszyscy ich znali.

Nie musiała się martwić o czynsz ani rachunki. Edward – czasami lubiła zwracać się do niego pełnym imieniem – kupował jej śliczne ciuszki. Więc jednak Lily kłamała co do pieniędzy! Carli udało się nawet zachować pracę w londyńskiej kancelarii – nie mogli jej tak zwyczajnie zwolnić, złamaliby prawo. A Lily na szczęście już nie było.

Niektórzy zachowywali się jednak chłodno.

– Ludzie mają krótką pamięć – pocieszył ją Ed. I miał rację. Po jakichś paru miesiącach chłód zaczął topnieć, szczególnie kiedy jeden ze współników odszedł dla sekretarki od żony i wszyscy mieli kogo innego do obgadywania.

Co do Eda, to nie mógł być bardziej opiekuńczy. Czasem aż za bardzo. Pewnego dnia otrzymała wraz z pocztą odręczny liścik, napisany pięknym pochyłym pismem Ruperta.

„Cieszę się, że tak dobrze ci się powodzi”.

– Od kogo to? – zapytał Ed, czytając liścik przez jej ramię.

– Taki tam kolega z wydziału.

– Ten dzieciak, który tu był?

Wróciły do niej nieprzyjemne wspomnienia, jak Ed zastał ją w domu z Rupertem.

– Tak.

Ed nic nie powiedział. Ale wieczorem, kiedy wyrzucała coś do kosza, znalazła w nim liścik od Ruperta, podarty na drobne kawałeczki.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała Eda. Ale zamiast odpowiedzieć, pocałował ją mocno i zaczął się z nią kochać z pasją, której od jakiegoś czasu nie okazywał.

Podarty liścik wart był tego, powiedziała sobie Carla, kiedy leżała potem, dysząc. Było tak jak na początku, kiedy Ed jeszcze nie był do końca jej i było to takie podniecające. Wydawało się jej, że on czuł to samo.

Jeśli się czegoś bardzo chce, to nie istnieje coś takiego jak nieosiągalność. Po raz pierwszy od bardzo dawna pomyślała o tamtym piórniku. Tym, który ukradła innemu dziecku. Jak ona chciała go mieć! Ale potem, kiedy już go miała, pragnienie skierowało się na coś innego. Idąc po ciemku do łazienki, żeby nie przeszkadzać Edowi, myślała: co z nią jest nie tak, że zawsze chce czegoś więcej?

Lily

Listopad 2014

Nie mogę teraz jeść. – Tom rzuca mi wściekłe spojrzenie. – Przesunęłaś sztucce. Patrz!

Ze złością pokazuje widelec, który przesunęłam o parę centymetrów na lewo, żeby zrobić miejsce dla dodatkowych sztuczków. Wystarczająco długo opiekuję się Tomem, żeby pamiętać, że tego robić nie należy. Ale od czasu do czasu coś mi umyka i zapominam. Wyniki mogą być spektakularne. Jak teraz.

BRZDĘK. TRZASK.

Zrywamy się z mamą z miejsc i łapiemy za ramiona. Zleciały nie tylko sztucce, wraz z nimi ze stołu spadł talerz i bardzo ładny kryształowy kieliszek do wina, z zastawy ślubnej sprzed lat.

Kiedy rozeszliśmy się z Edem i zaczęliśmy dzielić wspólną własność (co było niczym w porównaniu z podziałem w moim sercu), nie mogłam się powstrzymać przed ironiczną myślą, że ślubne prezenty mogą przetrwać znacznie dłużej niż samo małżeństwo.

Ku memu przerażeniu czuję łzy w oczach. Łzy, które zazwyczaj hamuję, myśląc, że nic nie dadzą. A zresztą komu potrzebny jest niewierny mąż? Dobrej jakości kieliszki do wina są znacznie bardziej użyteczne.

– Dlaczego to zrobiłeś? – krzyczę, ignorując ostrzegawcze spojrzenie mamy. „Nie sprzeciwiaj się Tomowi. A już na pewno nie kłóć się z nim. Nie wygrasz”. Podczas rozvodu – odbył się na szybko, z nieprzyzwoitym pośpiechem – Ed twierdził, że to „bezcelowe” kłócić się z prawnikiem. Podobno ludzie tacy jak ja nie słuchają innych, zawsze mają gotowe własne odpowiedzi.

Może to po mnie Tom jest taki. Zawsze widzi tylko własny punkt widzenia, inni go nie obchodzą.

– Dotknęłaś mojego noża – stwierdza rzeczowo, mrużąc oczy za nowymi okularami w grubych czarnych oprawkach. – Już ci mówiłem. Nie lubię tego.

Schyłam się i zmiotam kawałki rozbitego szkła.

– Zachowujesz się jak trzylatek – mruczę.

– Ćśś – uspokaja mnie mama.

Zazwyczaj nie robię awantur. Odkąd wróciłam, żeby zaopiekować się Tomem, uznałam, że tak jest najlepiej. Ale od czasu do czasu nie wytrzymuję. Coś działa jak detonator. Dzisiaj, myślę, chodzi o to dodatkowe nakrycie na stole. Wspomnienie życia, które zakończyło się tamtego wieczoru, kiedy zobaczyłam, jak Carla i Ed całują się przed hotelem w pobliżu Strand. Jeszcze teraz dygoczę, kiedy ktoś przypadkiem wypowie słowo „hotel”. Działa jak spust, strzela mi w plecy, wywraca flaki, zmusza mnie, żebym jak wtedy wyrzygała się na chodnik w poczuciu zdrady i niedowierzania.

Dziwne, ale po tych pierwszych okropnych chwilach nie było już we mnie gniewu. Nadal go nie ma. Byłoby łatwiej, gdyby był. Mama mówi, że nadal nie przemyślałam swoich uczuć i dlatego tak jest. Może ma rację. Ale skoro tak, to ku czemu zmierzam? Minęły miesiące, odkąd rozstałam się z Edem. Ale to nadal jest otwarta rana, jakby zdarzyło się to wczoraj.

Noc spędziłam wtedy w siedzibie organizacji, do której należę (Uniwersytecki Klub Kobiet, który przypadkiem miał do dyspozycji sypialnię), a nazajutrz wzięłam chorobowe. Nie byłabym w stanie spotkać się z Carłą. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby weszła dumnym krokiem do biura, jakby nic się nie

stało.

I wtedy zadzwoniła moja komórka.

Ed. Ed?

– Musimy porozmawiać – powiedział. Miło. Bez obronnego tonu z poprzedniego wieczoru. Czy dlatego, że jest sam?

– Czy Carla tam jest?

– Nie.

Więc mógł mówić! Otwarcie! Nadzieja wezbrała mi w piersi jak balon. Ed chce, żebym wróciła! Oczywiście, że chce! Mamy ze sobą dziecko. Dziecko, które nie jest takie jak inne. Może teraz, w trzeźwiącym świetle dnia, Ed zrozumiał, że musimy trzymać się razem, dla dobra Toma?

Nie miałam przy sobie zapasowych kluczy. Dotarło to do mnie, kiedy podeszłam do drzwi. Musiałam więc zadzwonić. Poczulałam się jak obca na własnym progu. Ed powitał mnie ze szklaneczką whisky w dłoni. Nie było nawet dziesiątej.

Zaczęłam wprost.

– Słuchaj, sprawa z Carlą mnie zraniła, ale ze względu na Toma jestem gotowa ci wybaczyć. Nie moglibyśmy zacząć jeszcze raz?

I cokolwiek rozpaczliwie dodałam:

– Robiliśmy to już kiedyś.

Ed poklepał mnie po ręce, jakbym była małą dziewczynką.

– Daj spokój, Lily. To rozumiałe, że się boisz. – Mówił z błyskiem w oku. Przypominał dziecko, które przyłapano z ręką w koszyku ze słodyczami, ale nic go to nie obchodzi. Był w świetnym humorze, bez wątplenia wspomaganym alkoholem. Coś takiego widywałam co i rusz w trakcie naszego małżeństwa. Niedługo nastąpi załamanie nastroju.

Rozumiecie? Znam go znacznie lepiej niż Carla. Jak ona da sobie radę?

– Lily, jesteś jeszcze młoda, możesz zacząć od początku. Zarabiasz znacznie więcej ode mnie i...

– Jak możesz mówić o pieniądzach! – Wstałam i poszłam do kuchni. Stałam przed jednym z jego obrazów. Przedstawiał hotel, w którym mieszkaliśmy podczas naszego miesiąca miodowego. Kiedyś pomagał mi skopiować ten obrazek, pokazywał, jak mieszać kolory, żeby uzyskać subtelne połączenie błękitu stapiającego się z zielenią. Nadal pamiętam jego rękę prowadzącą moją, jego dotyk, od którego przenikał mnie dreszcz emocji. „Nieźle”, powiedział, oceniając moje wysiłki. I żeby okazać dobrą wolę, powiesił obraz na ścianie. Obok swojego.

– Musimy porozmawiać o stronie praktycznej – mówił dalej. – Moja propozycja jest następująca: zatrzymam dom, a ciebie wykupię.

– Jak?

Ed był zawsze beznadziejny, gdy chodziło o pieniądze.

– Zbliża się moja wystawa. Pamiętasz? Mogłabyś sobie znaleźć jakieś lokum w mieście, a potem możemy na zmianę jeździć w weekendy do Devon, do Toma...

– Wszystko sobie przemyślałaś, prawda? – powiedziałam wstrząśnięta. – Ty i ta włoska dziwka.

Twarz Eda stężała.

– Nie nazywaj jej tak. Ty od lat nie okazywałaś mi uczucia. Troszczysz się tylko o swoją pracę.

To nie było fair. Prawda, że wieczorem, po pracy, byłam wyczerpana, ale czy to nie dotyczy wszystkich? A kiedy w niedzielne poranki próbowałam robić pierwszy krok, Ed zawsze odwracał się na bok, mówiąc, że zeszytniały mu plecy albo że obudzimy Carlę, śpiącą po drugiej stronie ściany. Jak mogłam być tak głupia?

Ponownie wracają do mnie wspomnienia małej Carli. Dziewczynki, która prosiła mnie, żebym skłamała na jej korzyść w sprawie piórnika. Dziecka, którego matka naprawdę wcale nie pracowała, tylko spotykała się z „Larrym”.

Jaka matka, taka córka.

– Co ty wyprawiasz?! – ryknął Ed.

Nie poznawałam siebie. Później niejasno przypomiinałam sobie, jak podbiegam do kuchennej ściany, do dwóch obrazów przedstawiających nasz hotel z miodowego miesiąca. Jak zdejmuję jego obraz i rzucam na podłogę. Jak po nim skaczę. A potem przepycham się obok Eda, wybiegam z domu i szlocham, idąc ulicą.

Następnego dnia otrzymałam list – doręczony przez posłańca do biura – rozpoczynający procedury rozwodowe z powodu mojego „nierozsądnego zachowania”.

Ale jest coś jeszcze. Coś, o czym dopiero teraz pozwalam sobie myśleć. Jeśli mam być uczciwa, to od bardzo dawna nie byliśmy z Edem w porządku. Ale nie mogłam go zostawić ze względu na Toma. Czy to możliwe, że bezwiednie zignorowałam oznaki uczucia między naszą lokatorką a moim mężem? Czyżbym nieświadomie chciała, żeby coś między nimi zaszło, tak by mieć usprawiedliwioną przepustkę na wyjście z mojego małżeństwa?

Więc może moje „nierozsądne zachowanie” wcale nie było takie nierozsądne...

Carla

Już od paru miesięcy, co drugi weekend, Carla jeździła z Edem do Devon, żeby spotkać się z Tomem. Z początku była zdenerwowana: a jeśli chłopiec nie będzie chciał z nią rozmawiać? Naprawdę był jej jakoś bliski: wzajemne zrozumienie pomiędzy dwojgiem ludzi, z których każde było jakoś nieprzystosowane. Ale kiedy Ed poszedł po niego do domu – uznali, że będzie lepiej, jeśli Carla zostanie na ten czas w samochodzie – Tom rzucił się ku niej na tych długich, patykowatych nogach, szczerząc zęby, cały podniecony.

– Carla! Jesteś!

Nie dopuszczała do siebie myśli o Lily, która musiała być wewnątrz. Matka, zmuszona przekazać syna na cały dzień innej kobiecie...Co tam, zasługiwała na to. Zaniedbywała Toma dla kariery. Męża też zaniedbywała. Tylko w ten sposób Carla mogła dać sobie radę z tym dokuczliwym głosikiem w głowie. Głosikiem, którego odbicie znalazła w liście od matki.

„Mam nadzieję, kochanie, że wiesz, co robisz, napisała matka. Patrząc wstecz, żałuję bólu, który sprawiłam żonie Larry’ego. Bądź ostrożna”.

A potem, w pewien sobotni poranek, kiedy leżała z Edem w łóżku, przez drzwi wpadł liścik. Na szczęście podniosła go przed nim.

„Zapłacisz za to”.

To było wszystko.

Najwyraźniej odnosiło się to do zniszczenia małżeństwa Eda i Lily.

Napisano to drukowanymi literami z ozdobnymi zawijasami. Kto to przysłał? Lily? Coś jednak Carli mówiło, że to nie w jej stylu. Ktoś z pracy? Chociaż większość była teraz dla niej bardziej przyjazna, to nadal znalazłoby się parę osób, które z uczuciem mówiły o swojej byłej koleżance. Jak zorganizowała nowy dział (podobno z ruchomymi godzinami pracy) obejmujący przypadki, gdzie rodzice mają dzieci specjalnej troski. Jak „zasługiwała, żeby jej się w życiu wiodło”. To ostatnie powiedziała dawna sekretarka Lily, znacząco patrząc na Carłę.

Czy to możliwe, że ktoś z nich przysłał ten liścik? Przeczytała go jeszcze raz.

„Zapłacisz za to”.

Z jednej strony Carla chciała pokazać liścik Edowi, żeby rozwiął jej lęki. Żeby powiedział, że wszystko jest w porządku. Ale z drugiej – jeśli poruszy to jego sumienie? Każę mu się czuć bardziej winnym, niż już się czuł? Zdarzało się, że go przyłapywała, jak melancholijnie patrzy na zdjęcia Toma. A po ich weekendowych wizytach zawsze był przygnębiony. Może żałował, że zostawił dla niej syna? Czy to możliwe, żeby zostawił teraz ją i wrócił do Lily?

Co by to było za upokorzenie! Nie chciała skończyć jak mamma.

Więc nie powiedziała Edowi o liście i podarła go na kawałeczki. I żeby na pewno go nie znalazł, tak jak ona znalazła liścik Ruperta, wyrzuciła strzępki papieru do kosza przy ulicy.

Potem całymi tygodniami nie opuszczało jej zdenerwowanie. Ilekroć wchodziła do biura, oglądała się za siebie, wprawiając w zakłopotanie sekretarkę. Ale nic się nie stało.

W domu zauroczenie Eda sprawiało, że ciągle był przy niej i kontrolował ją.

– Gdzie byłaś? – zapytał pewnego wieczoru, kiedy późno wróciła, bo zajmowała się pilnym

kontraktem w sprawie gruntów. – Próbowałem się dodzwonić, ale nie odpowiadałaś.

– Wyłączyłam telefon, żeby się skoncentrować.

Ale kiedy wyszła spod prysznic, zobaczyła, że Ed szybko chowa jej komórkę z powrotem do torby, jakby coś sprawdzał.

– Niczego przed tobą nie ukrywam – powiedziała zirytowana.

– Oczywiście, że nie, kochanie. – Otoczył ją ramieniem. – Po prostu wydawało mi się, że brzęczała. O, patrz, dostałaś esemesa. – Wzniósł oczy. – Znowu z pracy.

Uczucie duszności narastało.

Potem ważny klient odwołał zamówienie na portret swojej żony.

– Najwyraźniej nie podoba mu się nasz rozgłos medialny – powiedział Ed, wzruszając ramionami. – Nie szkodzi. Zamówienia raz są, raz ich nie ma. Najważniejsze, że mam ciebie. Wiesz, wydaje mi się, że nigdy tak naprawdę nie miałem Lily. Zawsze myślała o Danielu, o Tomie albo o swojej pracy.

Tymczasem butelki z winem zniknęły z piwnicy w alarmującym tempie.

– Zabrałem je do galerii – powiedział Ed, kiedy go o to zapytała. Ale pod koniec tygodnia znalazła butelki na dnie kosza do recyklingu na tyłach domu.

Carla, nadal w doskonałym nastroju po tym, jak przygotowała dla adwokata komplet informacji na temat pewnej sprawy, która już wyglądała na wygraną, poczuła pierwsze oznaki przygnębienia. Czy tak właśnie czuła się Lily?

W pewną niedzielę, kiedy Ed był w plenerze (znowu), zabrała się do wielkiego sprzątnia, trochę po to, żeby usunąć z domu wciąż jeszcze wyczuwalną obecność Lily. Pracownia Eda była świętością: nikt do niej nie wchodził. Ale kiedy zajrzała do środka, zobaczyła biurko kipiące od papierów. W rogach powiewały pajęczyny. Brudne kubki stały na każdej powierzchni. Nic złego się nie stanie, jak trochę posprząta.

Pod nieukończonymi szkicami znalazła stertę nieotwartej poczty.

Niektóre koperty miały stempel „pilne”. Inne „otworzyć natychmiast”.

Tak też zrobiła.

Oszłupiała padła na fotel Eda. Miał tysiące długu na karcie kredytowej! A hipoteka nie była spłacana od dwóch miesięcy. W jednym liście dawano mu jeszcze kwartał „w związku z pańską prośbą o prolongatę”.

Potem jednak trzeba będzie zapłacić.

– Będzie dobrze – powiedział Ed, kiedy natychmiast po powrocie go odpytała. – To tylko kwestia płynności gotówkowej. Zbliża się moja nowa wystawa. Mój agent jest nastawiony bardzo optymistycznie. Sprzedam więcej, niż trzeba, żeby wystarczyło nam na życie.

Potem popatrzył na nią z rozczarowaniem, jakby to ona była winna.

– Proszę, nie wchodź więcej do mojej pracowni. Przecież nie mam nic do ukrycia.

Następnego dnia stwierdziła, że listy zniknęły.

Otwarcie wystawy nieomal zatarło narastające w niej wątpliwości. To było wspaniałe – być fotografowaną u boku Eda! W smokingu był taki przystojny.

– Czy mogę panią nazwać partnerką pana Macdonalda? – zapytał jeden z dziennikarzy.

– Niech pan napisze: naręczona, dobrze? – włączył się stojący obok niej Ed

Carla drgnęła. Przecież jeszcze nie rozmawiali o małżeństwie! Ale Ed mówił tak, jakby wszystko było już dograne.

– Dlaczego tak powiedziałaś? – zapytała, kiedy szli do domu.

Ed mocniej ścisnął jej dłoń.

– Myślałem, że będziesz zadowolona.

– I jestem.

Ale w głębi serca wcale nie była tego pewna. Wróciła myślą do nocy, kiedy po raz pierwszy się kochali. Wtedy ubóstwiała jego impulsywność. Teraz jednak wydawało jej się, że traktuje ją jak dziecko, którym była, kiedy spotkał ją po raz pierwszy. On podejmował wszystkie decyzje. Te najważniejsze, co do których ona też powinna mieć głos. Czy naprawdę chce za niego wyjść? To już nie wydawało się takie ważne.

Następnego wieczoru, kiedy pracowała w kancelarii do późna, zadzwonił Ed.

– Widziałaś „Telegraph”? – zapytał zwięźle.

Carla poczuła, że narasta w niej obawa.

– Nie.

– To kup.

W recepcji leżał jeden egzemplarz dla klientów. Carla szybko go przekartkowała, aż dotarła do działu sztuki. Wielki Boże...

NOWA WYSTAWA ROZCZAROWUJE MIŁOŚNIKÓW SZTUKI

Edward Macdonald jako artysta nie spełnił oczekiwań...

– Przepraszam – powiedziała jednemu ze współników. – Muszę wyjść.

Uniósł brwi.

– Skończyłaś streszczać sprawę?

– Jeszcze nie. Ale mam coś ważnego. Nagły wypadek.

– Będziemy mieli jeszcze jeden, jeśli nie przygotujesz wszystkiego na rano.

– Przygotuję.

Kiedy znalazła się w domu, Ed siedział bezwładnie na kanapie.

– Będzie dobrze – powiedziała, nachylając się, żeby pocałować go w czoło.

– Czyżby? Musimy sprzedać galerię. Po prostu nie mogę sobie pozwolić na dalsze jej utrzymywanie.

Jeszcze nigdy nie widziała płaczącego mężczyzny.

– Jestem pewna...

Otworzył ramiona i przyciągnął ją do siebie. Oddech cuchnął mu whisky, usta miał wilgotne. Popchnął ją na kanapę.

– Nie, Ed, nie. Nie jestem zabezpieczona... – Ale on nadal ją całował i wyglądało, że łatwiej będzie mu pozwolić, niż protestować.

W następnym tygodniu dostała list od mammy.

Cara mia,

Nie uwierzysz, co się stało! Larry zostawił mi trochę pieniędzy. Dopiero co się o tym dowiedziałam – wdowa po nim się sprzeciwiała, ale sędzia zdecydował, że należą do mnie. Mój Larry podobno zmienił przed śmiercią testament. Widać po tym, jakim był dobrym człowiekiem, prawda?...

Więc jej wizyta w końcu na coś się przydała.

Ale Carla czuła się fizycznie chora. Tak, sądząc po wspomnianej w liście sumie, matka będzie teraz zabezpieczona finansowo. Nic dziwnego, że wdowa chciała to podważyć... Ale co będzie z nią, z Carlą? Czy znalazła się w tej koszmarnej sytuacji z Edem za nic?

Może przyszedł czas, żeby się z tego wyplątać.

Lily

Luty 2015

Już prawie tu jest, już prawie tu jest!

Tom chodzi w tę i z powrotem i klepie się dłońmi po kolanach, jakby grał na bębnie. To kolejny zwyczaj związany z jego stanem. Czynność, która zdaniem specjalistów łagodzi nerwy. Nawet jeśli działa na nerwy wszystkim dookoła.

– To jego samochód, mamó. To jego samochód!

Ross zawsze tak na niego działał. Jeśli jest coś, co nam się z Edem udało, to wybór jego przyjaciela na ojca chrzestnego.

Ku mojej satysfakcji, Ross był wstrząśnięty, kiedy Ed odszedł ode mnie dla Carli, a potem zażądał domu.

– A co do „nierozsądnego zachowania”, to śmieszne – powiedział, kiedy wpadłam do niego następnego dnia, nieumalowana, ledwie zdolna powstrzymać płacz.

Wzruszyłam ramionami, rozglądając się po mieszkaniu Rossa. Drzwiczki pralki były odkręcone, leżały na blacie w kuchni, jakby czekały, aż ktoś wezwie fachowca. Zlew zawalony był naczyniami z kilku dni, a na podłodze, obok kosza na śmieci, leżał stos gazet. Z boku stało pół butelki jacka danielsa. Ale sam Ross zawsze był nienagannie ubrany w odświętny garnitur i wytworny krawat. Pomyślałam wtedy, że nigdy nie pozna się człowieka do końca. Szczególnie dotyczy to nas samych. Każdy człowiek to tygiel sprzeczności.

– Jakie powody podaje, żeby uzasadnić to „nierozsądne zachowanie”? – mówił dalej Ross.

– Zawsze pracuję do późna. Nie biorę urlopów. Tego typu sprawy. – Krótco się roześmiałam. – Dzisiaj nierozsądne zachowanie może oznaczać wszystko. Miałam klientkę, która dostała rozwód, bo jej mąż skopał ogródek warzywny i nie zapytał jej najpierw o zgodę.

A jeśli... Chwyciłam krawędź kremowego kuchennego blatu. A jeśli adwokaci Eda znają prawdę?... Stop, powiedziałam sobie. Nie zapuszczaj się w tę stronę.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytał Ross. Był coraz bliżej. Przez chwilę myślałam, że chce mnie przytulić. Wcześniej wymienialiśmy na powitanie tylko krótkie pocałunki w policzek. Poczułam się dziwnie. Cofnęłam się.

– Nie wiem. – Jedyne, o czym potrafiłam myśleć, to geometryczny wzór na podłodze z terakoty w kuchni Rossa. Od wczorajszego wieczoru szczegóły nabrały wyrazistości. Może umysł w ten sposób zмага się z rzeczywistością.

– Mam pomysł. – Ross podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Mieszkał w Holloway; widok nie był taki ładny jak z naszego domu w Notting Hill. „Nasz” wkrótce zmieni się w „ich”.

– Wynieś się z Londynu. Zaczynaj od nowa. Otwórz własną praktykę w Devon, żeby być pod ręką dla Toma. Kiedyś, zdaje się, rozmawialiście już o tym z Edem.

Skrzywiłam się na dźwięk imienia męża.

– To poważny krok. A jeśli moi klienci nie przeniosą się za mną?

Mina Rossa mówiła, że to jest możliwe.

– A może zaproponowałabyś firmie, że zorganizujesz filię na południowym zachodzie? Wtedy mogliby ci dawać trochę własnych spraw.

Zawahałam się. Wyjechać z Londynu? Wracać tam, gdzie przysięgałam sobie nigdy nie wracać po tym, co się stało z Danielem? A jednak to miało sens. Dzięki temu zwiększyłaby się odległość między Tamtą a mną. A co ważniejsze, ulżyłoby to moim rodzicom. Tom w ciągu tygodnia był w szkole, ale nie mogłam oczekiwać, że będą się nim zajmowali w weekendy w nieskończoność.

Więc stało się, jak się stało. Jeszcze teraz, kiedy pod czujnym okiem Toma myję jego nóż i widelec i kładę je z powrotem na stole, dziwię się, jak daliśmy sobie radę przez te pierwsze parę tygodni. Firma wykazała wiele zrozumienia: tak jak przewidywał Ross, byli otwarci na pomysł stworzenia filii na południowym zachodzie. Fakt, że mam tam rodziców, też był pomocny. Z radością przyjęli mnie w swoim domu. Chociaż było coś dziwnego w tym, że wracam do mojego dawnego pokoju, z błękitno-rdzawymi rozetkami klubu jeździeckiego dla dzieci w szufladzie biurka.

– Póki nie znajdę sobie mieszkania – powiedziałam.

Ale gdy już tam byłam, łatwiej było zostać. Pod skrzydłami rodziców, otoczona ich opieką. I z nadzieją, że Joe Thomas zostawi mnie teraz w spokoju.

Nikt, powiedziałam sobie, nie może poznać prawdy.

Marzenia przerywa mi dźwięk kołatki. Właśnie mieszam zupę. Zupa z dyni, pociecha i pokrzepienie w te zimowe miesiące. W Devon jest wtedy znacznie ciemniej i zimniej niż w Londynie, ale powoli znowu się do tego przyzwyczajam. Jest coś uspokajającego w jednostajnym ruchu fal, które wznoszą się i opadają z niestępliwą regularnością. Są jak kojący staroświecki zegar z ciężarkami.

Zawsze uwielbiałam morze. Tom też je uwielbia. Kiedy przyjeżdża na weekendy do domu, całymi godzinami chodzimy po plaży, szukając kawałków drewna przyniesionych przez fale. Mama sprawiła mu także psa. Małego sznaucera. Z tych, które wyglądają jak starcy z brodami. Tom rozmawia z Sammym całymi godzinami. Tak jak kiedyś Daniel z Merlinem.

Czasem łapię się na tym, że robię to samo.

– Już tu jest, już tu jest – pokrzykuje Tom. Teraz tańczy w kółko. Nigdy nie robi tyle wrzawy z powodu przyjazdu ojca, zauważam w duchu, idąc w stronę drzwi. No, ale i ja zachowuję się powściągliwie, kiedy Ed składa swoje weekendowe wizyty. Odkąd zapadł wyrok tymczasowy w sprawie rozwodowej, nasze „spotkania” to tyle co szybkie skinienie głowy przed drzwiami, zanim Ed zabierze Toma na cały dzień.

Mogę sobie tylko wyobrażać, jak takie wycieczki wyglądają. To musi być dość niezręczne dla samotnych ojców – spędzać czas z dzieckiem poza środowiskiem domowym. W przypadku dziecka takiego jak Tom wyzwanie musi być tym większe. Jak sobie radzi Carla? Mam nadzieję, że nie najlepiej. Mimo plotki o zaręczynach w tabloidzie, który z zakłopotaniem pokazał mi jeden z partnerów, nie ogłoszono daty ślubu.

Ulżyło mi, chociaż jednocześnie byłam na siebie zła, że tak reaguję. To niewątpliwie znaczy, że Ed nie jest pewien. Bo co do Carli, to jestem przekonana, że rzuciłaby się na taką okazję: mieć złotą obrączkę na palcu!

– Zapomnij o nim – zawsze mówił Ross. – Byłaś dla niego o wiele za dobra.

Wiem, że po prostu jest miły. Ale doceniam to. Ross stał się ważny w naszym nowym życiu. Tom wprost uwielbia jego wizyty, również dlatego, że zazwyczaj przybywa objuczony taką ilością prezentów, że bez względu na miesiąc ma się nastrój jak w Boże Narodzenie. Moi rodzice też lubią jego towarzystwo.

– Rozumiem, dlaczego nigdy się nie ożenił – powtarza mama.

– Cześć! – Rozpromieniony stoi teraz na progu, ugina się pod ciężarem kwiatów i pudełek. – Jak się mają moi najulubieńsi przyjaciele?

Tom marszczy brwi.

– Jak najulubieńsi mogą być w liczbie mnogiej? Jeśli lubi się kogoś najbardziej, to musi to być liczba pojedyncza. Nie można mieć więcej niż jednej osoby najulubieńszej, bo te pozostałe osoby nie byłyby najulubieńsze, prawda?

Jest to jedno z tych pedantycznych pytań o szczególnej logice, które mnie męczą, chociaż są inteligentne. Ale Ross tylko się uśmiecha. Robi gest, jakby chciał zmierzić Tomowi włosy, jak ojciec chrzestny chrzestnemu synowi, ale wstrzymuje się: wyraźnie pamięta, że Tom nie znosi, kiedy dotyka się jego głowy.

– Świetna uwaga.

Za mną pojawia się rozpromieniona mama. Zdejmuje fartuch i marszczy brwi pod moim adresem, dając do zrozumienia, że powinnam zrobić to samo.

– Wejdz. Musiałeś zgłodnieć po tej jeździe. Kolacja już prawie gotowa.

Ross mruga do Toma.

– Nie mów nikomu: po drodze zatrzymałem się na hamburgera. Ale i tak jestem głodny.

Tom chichocze. Rozmowa to rytuał, który odprawiają za każdym razem. Uspokaja to zarówno mojego syna, jak i mnie. I tak samo moich rodziców. Wnosi do domu trochę normalności, którą rzadko można tu spotkać, kiedy jesteśmy tylko we troje i rozpaczliwie próbujemy ratować Toma przed nim samym, w lęku, żeby to, co stało się z Danielem, nie przytrafiło się i jemu. To milczący, niewypowiedziany strach. Widmo, które prześladowuje nas wszystkich.

Nikt tego nie zrozumie, jeśli sam nie ma takiego dziecka. Pamiętam, jak kiedyś, kiedy Tom był mniejszy, rozmawiałam w kolejce w supermarkecie z jakąś kobietą. Jej syn – mniej więcej dziesięcioletni, z chudymi rękami i nogami, którymi wymachiwał na wszystkie strony – siedział na wózku inwalidzkim. Ludzie ustępowali jej miejsca. Współczuli, kiedy chłopak sięgnął, żeby zrzucić puszki z taśmy.

Chociaż nie chciałabym, żeby Tom siedział na wózku inwalidzkim, nie mogę się powstrzymać przed myślą, że przynajmniej inni mieliby dla niego zrozumienie. Kiedy mój syn źle się zachowuje w miejscach publicznych – skakanie po kieliszku do wina w pizzerii, żeby sprawdzić, ile odłamków można „wyprodukować”, to przykład najnowszy – patrzą na mnie, jakby mówili: „Jak to, nie umiesz sobie poradzić z rozwydrzonym chłopakiem?” Albo nawet: „Tego dzieciaka powinno się zamknąć”. Krew mi się od tego gotuje.

Moje lektury ostrzegają, że kiedy dzieci z zespołem Aspergera podrastają i stają się mniej „słodkie”, ich napady furii i trudne zachowania mogą sprawić, że inni zwrócą się przeciwko nim. Któregoś dnia w gazecie był artykuł o właścicielu kawiarni, który wyrzucił autystycznego nastolatka ze swojego lokalu, bo chłopak zrobił awanturę, kiedy podano mu kawę z mlekiem, a nie bez mleka. Nastolatek, o którym mowa, upadł niezdarnie na chodnik i złamał sobie rękę.

Osobiście zabiłabym każdego, kto skrzywdziłby mojego syna.

Po kolacji idziemy z Rossem na spacer z psem. To kolejny rytuał. Czasem Tom prosi, że też chce pójść, ale się boję. Skały na skraju plaży są takie wysokie, a Tom zawsze biegnie z przodu; trudno sprawdzić w świetle księżyca, czy nie wdrapie się na którąś z nich, żeby spaść. Dziś, ku mojej uldze, Tom oświadcza, że jest zmęczony. Pysznic weźmie rano – nie znosi kąpeli w wannie – a jeśli specjalny ręcznik Manchester United nie zostanie przygotowany, wszyscy się o tym dowiemy. Krok po kroku przyzwyczaiłam się do tych wykutych w kamieniu „reguł”.

Chociaż jest taki trudny, łapię się na myśli, że zostałam pobłogosławiona w sposób, który nie każdy zrozumie. Może i nie mam zwyczajnego dziecka, ale mój syn nigdy nie będzie nudny. Jego umysł nieustannie drąży, bada, stawia pytania. Tom patrzy na życie w sposób dla innych niedostępny.

– Wiedziałaś, że przeciętny człowiek produkuje przez całe życie tyle śliny, że wystarczy jej na wypełnienie dwóch basenów? – zapytał mnie niedawno.

– Jak sobie dajecie radę? – pyta mnie teraz Ross. Idziemy pod zwisającym nad nami urwiskiem,

patrząc na światelka łodzi na horyzoncie. Gdzieś tam jest może inny świat. Taki, w którym żylibyśmy normalnym życiem.

– Nieźle, dziękuję. Szkoła Toma, odpukać, jest chyba z niego zadowolona, a ja tworzę całkiem przyzwoitą bazę klientów. Zapisałam się też na aerobik, żeby mieć czas tylko dla siebie, jak proponowałaś.

Kiwa głową.

– To dobrze.

O coś chodzi. Czuję to.

– A co u ciebie? Jak w pracy?

– Okej, chociaż szczerze mówiąc, myślę, że życie to coś więcej niż praca.

– Rozumiem cię.

Idziemy dalej. Tłusta mewa dziobie rozdartą paczkę chrupek. Mijająca nas para z uśmiechem kiwa nam głową. Pewnie myślą, że jesteśmy tacy sami jak oni. Zaczynam się czuć jak oszustka. Żeby tylko Ross nie pomyślał, że mnie ciągnie w tę stronę.

– Naprawdę doceniam twoją troskę o Toma – zaczynam.

– Nie tylko o Toma mi chodzi.

Wstrzymuję oddech.

– Martwię się o ciebie, Lily.

Bierze mnie za rękę. Czuję, jak ciepło rozchodzi mi się powoli wzdłuż kręgosłupa. Czasem mówię sobie, że nauczyłam się żyć bez Eda. Czasem wydaje się, jakby istniał w innym, odległym życiu. A czasem, jakby to było wczoraj. W takie dni chcę, żeby tu był. Obok mnie.

– Nie ma potrzeby – mówię. – Ze mną wszystko w porządku. Mam to za sobą.

Moje słowa są tak oczywistym kłamstwem, że nawet morze mi nie wierzy. Smaga gniewnie skały. Łgarz. Łgarz.

– Chcę ci coś powiedzieć – mówi Ross.

W tym momencie strzela pióropusz piany. Rzucamy się biegiem – Ross ciągnie mnie za rękę – ale i tak nas dopada. Nie należę do tych kobiet, które dobrze wyglądają z mokrymi włosami.

Ross głaszcze moją dłoń, jak ojciec, który stara się uspokoić dziecko.

– Ed i Carla ustalili datę ślubu.

Czy naprawdę to powiedział? Czy to znowu morze? Szszsz, szszsz – szumi, jakby śpiewało kojącą kołysankę.

– Słucham?

Ross patrzy na mnie z góry. Ale jestem głupia. Jego mina to współczucie, a nie zachwyty.

– Ed się żeni. Z Carłą.

Ed. Carla. Ślub. A nie tylko zaręczyny, które można zerwać pod wpływem kaprysu.

A więc go sobie wzięła. Jak bierze wszystko, czego sobie zażyczy.

– Ale jest coś jeszcze.

Zaczynam drżeć z zimna, wilgoci i oczekiwania.

– Lily, Carla jest w ciąży. Spodziewa się dziecka.

Dziwne, ale wiadomość Rossa przynosi mi ulgę. Tak jak wtedy, kiedy znalazłam Eda i Carłę przed hotelem. Tamten szok nadal mnie nawiedza. Ale przynajmniej to dowód, że zachowanie Eda wobec mnie nie było moim urojeniem.

A teraz wczesne ostrzeżenie ze strony Rossa o ustalonej dacie ślubu – wkrótce będzie podana na

stronach plotkarskich – porządkuje sprawy. Udowadnia, że nie mam już szans na Eda i na jakiegokolwiek pojednanie, nawet gdybym go chciała. A nie chcę.

Jest jeszcze jedna dziwna rzecz w zakończeniu długiego małżeństwa, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Jakie by nie było, miało swoje dobre momenty. I to właśnie te chwile najczęściej wspominam. Nie pytajcie dlaczego. Nie myślę o kłótniach, kiedy Ed był nie w humorze albo pijany. Ani o jego kompleksach, że zarabiam znacznie więcej od niego, ani jak się ciskał, gdy wracałam późno po pracy.

Nie. Myślę o chwilach, kiedy leżeliśmy na kanapie i oglądaliśmy nasz ulubiony cotygodniowy spektakl. Albo jak z naszym synkiem chodziliśmy na długie spacery nad morzem, zatrzymując się, żeby pokazać mu jakąś niezwykłą muszlę albo kraba czmychającego pod kamień.

To, co mnie boli, to że Ed robi teraz te rzeczy z Nią. Pamiętam, jak kiedyś czytałam artykuł o kobiecie, której były mąż ożenił się z inną. Uderzyły mnie dwie rzeczy. Pierwsza, że nie była w stanie wymówić imienia tamtej, mówiła o niej wyłącznie per „ona”. „Bo imię więźnie mi w gardle, wyjaśniła. Ona stałaby się wtedy zbyt rzeczywista”.

Rozumiem ją.

A druga, że ta kobieta nie była w stanie pojąć, jak to możliwe, że jest inna, która nosi to samo nazwisko i dzieli te same zwyczaje z mężczyzną, którego ona, pierwsza żona, znała kiedyś tak intymnie.

Dokładnie tak samo się czuję. W mężu, który ma inną żonę, jest coś naprawdę dziwnego. Carla stanie się wkrótce Carlą Macdonald. Obie będziemy paniami Macdonald. Ona będzie żoną mojego męża – chociaż oficjalnie Ed nie jest już moim mężem – bo małżeństwa nie da się wymazać. Kawałek papieru to nie gumka ani buteleczka korektora. Może zanegować „kontrakt” między dwiema stronami, jak ująłby to prawnik. Ale nie zlikwiduje wspomnień, tradycji, zwyczajów, które powstają między małżonkami, bez względu na to, czy ich relacja jest dobra czy zła.

To boli. Tak, boli myśl, że oni też budują swoje tradycje i swoje wzorce. Z pewnością oplata nogami nogi Eda, kiedy oglądają ten nowy serial w telewizji, o którym wszyscy mówią. Chodzą teraz z moim synem na długie spacery nad morzem, a ja ukrywam się wtedy w domu i powtarzam sobie, że to dobre dla Toma – spotkać się z tatą. Na myśl o innej kobiecie odgrywającej „mamę” jestem chora z obrzydzenia. Tom bywa taki łatwowierny, tak łatwo przenosi uczucia na innych...Po jednej z ich ostatnich wizyt bez przerwy mówił o jej włosach. „Dlaczego twoje nie są takie błyszczące jak Carli? – zapytał. – Dlaczego wszyscy nie mają takich włosów jak ona? Skąd się biorą włosy?”

Z pierwszego pytania wynikło tysiąc innych, jak to zawsze z Tomem. Ale ja utknęłam na pierwszym. Nie chcę myśleć o włosach Carli ani o niczym, co jej dotyczy.

Ale to – to boli bardziej niż wszystko inne. Ich własne dziecko. Dziecko, które na pewno będzie „normalne”. Dziecko, którego nie trzeba będzie pilnować dzień w dzień przez okrągłą dobę, żeby czegoś sobie nie zrobiło, albo jeszcze gorzej. Dziecko, które nie odbije się tak fatalnie na małżeństwie.

To niesprawiedliwe.

Po rewelacji Rossa nagle poczułam gniew, który – według wszelkich poradników dla rozwodzących się – powinnam poczuć jakiś czas temu. To Ed postąpił źle. A mimo to jego na wierzchu. Znalazł sobie kogoś. U Toma widuje to, co najlepsze, a on po wizycie ojca zawsze jest szczególnie nadpobudliwy, co często znaczy, że nazajutrz rano muszę zmieniać prześcieradło. (U Toma to nowość. Moje lektury mówią, że to nierzadkie u dzieci z zespołem Aspergera, chociaż zazwyczaj „wygasa” w okresie dojrzewania. Można mieć tylko nadzieję).

No i Ed nie ma żadnego z tych problemów, które nadal mnie prześladują.

Jak Joe Thomas.

Czerwiec

Mijają miesiące. Przez jakiś czas po przeprowadzce do Devon siedziałam jak na szpilkach, że znów

się ze mną skontaktuje. Musiałam nawet przestrzec mamę. Powiedziałam, że dawny klient śledził mnie w przeszłości i gdyby przypadkiem się pojawił, pod żadnym pozorem nie wolno go wpuszczać do domu.

Nic dziwnego, że się zmartwiła.

– To dlaczego nie powiadomisz policji? – zapytała niespokojnie. – Na pewno coś by z tym zrobili.

Mało brakowało, a wszystko bym wyznała. Tylko tego jeszcze trzeba moim rodzicom! Dość mieli problemów z niespodziewanym przyjazdem córki.

– Można by się tego spodziewać, prawda? – powiedziałam. – Ale tak naprawdę policja niewiele może zrobić.

To prawda. Kiedyś miałam klientkę, którą nachodził jej były chłopak. Znaleźliśmy sposób, żeby policja podeszła do tego na serio: kazaliśmy go śledzić prywatnemu detektywowi, żeby udowodnić, że jej prześladowca tak samo postępuje wobec innych kobiet. Nawet wtedy skończyło się dla niego na ostrzeżeniu. Prawo czasem bardzo dziwnie działa.

Szczerze mówiąc, ulżyło mi, że Joe nie próbował skontaktować się tutaj z nami. Na myśl o biednym Merlinie nadal mam mdłości. Nadal przenika mnie dreszcz. Skoro Joe był w stanie to zorganizować, do czego jeszcze jest zdolny?

Tymczasem przepędzam obawy pracą. Praca, praca, praca. To jedyny sposób, żeby jakoś osiągnąć spokój, jedyny sposób, żeby skryć się przed bombą, jaką jest dla mnie ślub Eda, i napięciami związanymi z Tomem.

Kiedy tu przyjechałam, z początku się martwiłam, że nie będę miała wystarczającej liczby klientów i po jakimś czasie wspólnicy dojdą do wniosku, że nie opłaca się dotować filialnej kancelarii. Ale po paru tygodniach przyszli do mnie jacyś rodzice ze szkoły Toma. Byli przekonani, że epilepsja syna została wywołana skażoną wodą, która ze starej studni przeniknęła do systemu wodociągowego. Przypadkiem znałam specjalistę, który powiedział, że to mieści się w granicach prawdopodobieństwa. Sprawa trafiła do sądu i wygraliśmy. Odszkodowanie za straty było niewielkie, ale udowodniliśmy, że szczególny stan niektórych dzieci to nie jest po prostu coś, co „się zdarza”, ale że można temu zapobiec.

Potem jakiś ojciec ze szkoły Toma poprosił mnie, żebym zajęła się dokumentacją medyczną, która wkrótce po narodzinach jego syna zniknęła. Powiedział, że były problemy. Podczas porodu na szyi dziecka zacisnęła się pępowina, a lekarza specjalisty nie było. Dokumentacji nie znaleźliśmy (na pewno dawno ją zniszczono). Ale odkryliśmy, że do tej pory parę razy zdarzyło się to samo, za każdym razem podczas dyżuru tego samego lekarza. Zakończyło się pozwem grupowym i mój klient dostał odszkodowanie, podobnie jak pozostali rodzice.

„Lily, wyrabiasz sobie nazwisko” – napisał mi w mejlu były szef, który teraz był na emeryturze. (Nadal jesteśmy w kontakcie przez pocztę elektroniczną). „Dobra robota”.

Co u Carli? – chciałam zapytać. Czy będzie dalej pracować po urodzeniu dziecka? Ale zabrakło mi odwagi, żeby podnieść ten temat.

Pewnego ranka uprawiam jogging wzdłuż plaży. Słyszę, że ktoś za mną biegnie.

To nic nadzwyczajnego. O szóstej rano mnóstwo ludzi biega i dobrze się znamy. Jest nawet matka z opuchniętymi z niewyspania oczami, która biega z wózkem dziecięcym.

Ale intuicyjnie poznaję, że to inne kroki. Zrównują się z moimi. Zwalniają, kiedy ja zwalniam. Przyspieszają, kiedy przyspieszam.

– Lily – odzywa się głos za plecami. Głos, który znam aż za dobrze. – Proszę, zatrzymaj się. Nie zrobię ci krzywdy.

Carla

Czerwiec 2015

Carla popatrzyła na swoje ciało w pianistej wodzie. Jej czwarta kąpiel w ciągu czterech dni... Ale tego wieczoru nie miała nic do roboty. A poza tym mogła zamknąć drzwi i przez jakiś czas być sama.

Odkąd Ed dowiedział się, że Carla jest w ciąży, nie pozwalał jej ruszyć palcem w domu. Już i tak źle, że chce chodzić do pracy, powiedział. Powinna wypoczywać. Jakoś dadzą sobie radę, mimo ponagleń z banku. Kocha ją. Będzie się nią opiekował.

Kiedyś Carla byłaby zachwycona taką troską. Ale życie z Edem nie było takie, jak sobie wyobrażała. Nie chodziło tylko o jego depresję, że nie sprzedał obrazów, a bank wysuwa roszczenia. Nie chodziło nawet o picie. Ani o zachowanie Toma podczas wspólnych weekendów przyznanych im przez sąd. Ed się nim martwił, odbiło się to też na ich relacji, szczególnie kiedy zasugerowała, że gdyby częściej „karać” Toma, to by się poprawił. I nie chodziło też o ostatni list z pogrózkami, który ukryła przed Edem.

„Miej się na baczności”.

Nie. To obrączka ślubna na palcu tak naprawdę ją martwiła. Gdyby nie dziecko, nie zgodziłaby się. „Opieka” Eda stała się zbyt despotyczna. Ale teraz wpadła w pułapkę własnej ciąży. Miałaby pozwolić, żeby jej dziecko rosło bez ojca, tak jak ona? Nie, jej dziecko nie będzie „inne”. Wystarczy popatrzeć, dokąd ona zaszła.

Więc był ślub. Na jej naleganie skromny. Tylko oni we dwoje i dwóch świadków z ulicy. Zastrzegła sobie, że ceremonia odbędzie się tutaj, w Wielkiej Brytanii, w urzędzie stanu cywilnego. Gdyby brali ślub we Włoszech, bystrookie matrony na pewno zauważyłyby maleńki brzusek, który już zaczynał się uwydatniać.

– Jakież to staromodne – powiedział Ed, całując ją w czubek głowy, jakby była dzieckiem, jak kiedyś. Czasem Carla zastanawiała się, czy Ed by nie wolał, żeby naprawdę była małą dziewczynką. Wtedy mógłby ją w pełni kontrolować.

– Według mnie to jest słodkie – powiedziała jedna z dziewczyn z grupy przedporodowej, kiedy Carla zwierzyła się jej, że mąż nie pozwala jej niczego robić w domu. Nie powiedziała jednak, że nie pozwala nawet, żeby wyrzucała po nim puste butelki. Ed pił teraz znacznie więcej, niżby się przyznał. Doprowadziło to do widowiskowej awantury na oczach wszystkich podczas przyjęcia u pewnego krytyka sztuki. Później, oczywiście, wylewnie przeproszał.

– Piję za dwoje – żartował, przykrywając dłonią kieliszek Carli, kiedy sama sięgała po butelkę. – Nie, tobie nie wolno. Nie obchodzi mnie, jakie są ostatnie doniesienia na ten temat. Ci tak zwani lekarze specjaliści co chwila zmieniają zdanie. Lepiej zachowywać się ostrożnie i w ogóle unikać alkoholu w ciąży.

Potem pogłaskał ją po brzuchu.

– Nosisz moje dziecko – powiedział nabożnym tonem. – Obiecuję opiekować się tobą. To już niedługo, kochanie.

Sześć tygodni. Ale dni mijały tak powoli... Czowała się taka niezgrabna! Taka ociężała! Nie znosiła nawet swojego odbicia w lustrze, chociaż Ed mówił jej, zionąc whisky, że jest piękna. Nie mogła znieść

dotyku jego dłoni na brzuchu, kiedy chciał poczuć dziecko, które ruszało się w jej wnętrzu jak jakiś potwór.

Namydlając piersi (takie wielkie, z tak pociemniałymi brodawkami, że ledwie je rozpoznawała), pozwoliła sobie na powrót myślami do chwili, kiedy wkrótce po ślubie wpadła na Ruperta.

– Jak się masz? – zapytał.

Byli wtedy w sądzie. Ona, żeby pomóc adwokatowi. (Jak na ironię, chodziło o człowieka, który upił się na przyjęciu w firmie i wyrzucono go z pracy, bo robił niestosowne propozycje szefowej. Rupert reprezentował stronę przeciwną).

Trudno jej się było skoncentrować na swojej argumentacji, bo wciąż spoglądała na miejsce, gdzie siedział jej dawny przyjaciel. On chyba też na nią popatrywał. Podczas przerwy się odnaleźli.

– Ja... – zaczęła. I przerwała. Oczy wypełniły się jej łzami. – Wysłałam za mąż za pijaka na krawędzi bankructwa. Spodziewam się jego dziecka.

Rupert szeroko otworzył oczy.

– Słyszałem, że wysłałaś za mąż za Eda – powiedział cicho. – Ale nie wiedziałem o innych sprawach. Myślę, że powinniśmy pójść na kawę, jak sprawa się skończy.

Carla nie chciała być taka otwarta. Ale wszystko się z niej wylało. Despotyczne zachowanie Eda, które można było interpretować jako zwyczajną opiekuńczość. Nieustanne problemy finansowe. (Na żądanie banku dom został wreszcie wystawiony na sprzedaż, ale nie było wielu chętnych). Nieprzyjemne uczucie, że mieszka się w domu innej kobiety.

– Lily zostawiła prawie wszystko, nawet ubrania. Jakby chciała mi powiedzieć, że nie będę w stanie jej zastąpić.

A potem ni stąd ni zowąd przyszedł ten liścik z pogrózkami, za to, że skrzywdziła Lily.

Rupert był wyraźnie wstrząśnięty.

– Co na to policja?

– Nie zgłaszałam tego.

– Dlaczego?

Oczy znów jej zwilgotniały.

– Bo wtedy Ed narobiłby zamieszania i nie pozwoliliby mi wrócić do pracy. Trzymałby mnie w domu, jak ptaszka w klatce, żeby mnie nikt nie skrzywdził.

Rupert wziął ją za rękę.

– To straszne, Carla. Nie możesz tak żyć.

– Wiem. – Popatrzyła w dół na widoczną już ciążę. – Ale co mogę zrobić?

– Mnóstwo rzeczy. Mogłabyś...

– Nie – przerwała mu gwałtownie. – Nie mogę odejść. Nie chcę być, jak moja mamma. Nie pozwolę, żeby to dziecko dorastało bez ojca, tak jak ja.

Rupert puścił jej rękę. Nie zostawiaj mnie, chciała zapłakać. Nie zostawiaj mnie!

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i podał jej wizytówkę.

– To jest numer mojej prywatnej komórki. Zmieniłem go, odkąd widzieliśmy się ostatnim razem. Dzwoń. Kiedy zechcesz. Zawsze będę do twojej dyspozycji. Moja narzeczona też chciałaby cię poznać.

– Twoja narzeczona?

Rupert zaczerwienił się.

– W ubiegłym miesiącu zaręczyliśmy się z Katie. To było trochę niespodziewane, ale jesteśmy bardzo szczęśliwi.

Więc to trzymanie za ręce, ten rumieniec... Źle to wszystko rozumiała. Rupert naprawdę był tylko przyjacielem. Niczym więcej.

To było parę tygodni temu. Carla nie rozstawała się z wizytówką. Nieraz myślała, żeby zadzwonić pod ten numer. Ale za każdym razem przypominała sobie to zdanie. „Moja narzeczona chciałaby cię poznać”.

Zadrzała. Dość już miała przywłaszczania sobie cudzych rzeczy. Ta nieznośna sytuacja to był jej krzyż, który musiała dźwigać za to, że świsnęła Lily męża.

– Carla? – Rozległo się uparte stukanie do drzwi łazienki. – Kochanie? Wszystko w porządku?

– W porządku – powiedziała. Potem odkręciła kurki, żeby nie słyszeć jego odpowiedzi, i schowała głowę pod wodą. Teraz mogła pomyśleć spokojnie, bez głosu Eda wdzierającego się przez drzwi.

Lily

Staję. Chwytam się barierki. Próbuję się uspokoić, patrząc w morze, na światła zacumowanej w oddali łodzi. Łódź kołysze się na wodzie na tle brzoskwiniowego wschodu słońca.

Odwracam się.

Joe Thomas nie wygląda na byłego więźnia. Wydaje się znacznie starszy niż podczas naszego ostatniego spotkania, ale do twarzy mu z tym. Dodaje mu to pewnej powagi. Zapuścił wąsy, chociaż włosy nadal ma krótkie.

Ale jedno się nie zmieniło. Te oczy. Te czarnopiwne oczy, które patrzą wprost na mnie.

– Musimy porozmawiać.

Chłód przenika mnie aż do kości.

– Nie mam ci nic do powiedzenia.

Sięga w moją stronę. Przez chwilę myślę, że chce mnie złapać za ramiona. Robię krok w tył. Przebiega jeden ze znajomych joggerów, z którym zwykle witamy się skinieniem głowy.

Joe odczekuje kilka sekund.

– Muszę ci coś powiedzieć. Proszę.

Właściwie to błaganie. Chwila i przestaję być stanowcza.

– Nie tutaj.

Niepewnie prowadzę go do grupki stolików i krzeseł przed kawiarnią z napisem „Otwarte od 9 rano!”. Siadamy naprzeciwko siebie, za dala od promenady i sporadycznych biegaczy.

– O co chodzi? – pytam oschle.

Wpija się we mnie spojrzeniem. Jakby próbował wessać mnie oczami.

– Nie musisz się martwić o Carłę.

Te słowa są tak niespodziewane, że mija kilka sekund, zanim do mnie docierają. Kiedy wreszcie zaczynam je rozumieć, jestem zarówno przestraszona, jak i – muszę to przyznać – podekscytowana.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Twój były i Carla nie wytrzymają ze sobą.

Zasycha mi w ustach.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem.

Przysuwa krzesło bliżej stolika. Nie muszę patrzeć w dół, żeby wiedzieć, że prawie dotykamy się nogami. Przechodzi jakiś człowiek, jego pies obwąchuje frytkę leżącą na ulicy i biegnie dalej. Dla właściciela psa możemy być zwyczajną parą biegaczy, którzy usiedli, żeby złapać oddech i podziwiać widoki. Albo parą turystów mieszkających w jednym z nabrzeżnych hoteli, którzy zrobili sobie przechadzkę przed śniadaniem.

– Wiem, że to nie jest łatwe – mówi Joe. – Twój mąż się z kimś ożenił. A teraz mają dziecko.

– No to co? To już jest za mną.

Ten wzrok odziera mnie z pozorów.

– Jesteś pewna?

Nie. Oczywiście, że nie jestem pewna. Chciałabym, żeby Carli nigdy nie było. Chciałabym, żeby moje

dawne ja powiedziało jej matce, że bardzo mi przykro, ale nie możemy opiekować się jej córką w weekendy.

Ale to nie byłabym ja. Sedno w tym, że muszę pomagać ludziom. Żeby odpokutować to, że nie pomogłam własnemu bratu. Że go zawiodłam. Że zawiodłam samą siebie.

– To dlatego tutaj jesteś? – pytam. – Żeby zobaczyć, co u mnie?

– Trochę tak. – Kropelki potu występują mu na czoło. Czuję, że to samo dzieje się na moich plecach.

Czekam jak mysz na atak. Wiem, co się zaraz stanie.

– Lily, chcę, żebyś zrobiła test na ojcostwo. Nie uwierzyłem ci, kiedy ostatnim razem powiedziałaś, że on nie jest mój. Obserwowałem cię, Lily, jak zawsze. Odkąd wyszedłem z więzienia, obserwuję cię i wszystkich, z którymi masz kontakt.

To śmieszne. Jak? Gdzie?

– To twoje kolejne kłamstwo? – mówię ostrym tonem.

Śmieje się.

– Nawet przedstawiłem się Carli na pogrzebie Tony’ego.

– Nie wierzę ci. Jej tam nie było.

Kolejny wybuch śmiechu.

– Więc niedokładnie się przypatrywałaś.

Bliżej przyciąga krzesło. Odsuwam się.

– Jestem w pobliżu, Lily, kiedy w piątek wieczór odbierasz Toma ze szkoły. Albo kiedy zabierasz go z Rossem na spacer po plaży. – Zaciska usta.

Serce podchodzi mi do gardła. Przecież nie będzie...

– I jak ci się udaje nas szpiegować, że tego nie zauważamy? – wyrzucam z siebie. Strach wywołuje u mnie złość.

– Szpiegować? – Zastanawia się nad słowem. – Nie jestem Jamesem Bondem, ale siedziałem, prawda? Tam człowiek uczy się różnych rzeczy. Nawet zapłaciłem jednemu z moich kontaktów, żeby cię sprawdził, kiedy myślałem, żeby cię wynająć. Chciałem się dowiedzieć, czy nadajesz się do tego zlecenia.

Błysk wspomnienia. Tamto uczucie, kiedy dopiero co wyszłam za mąż, że ktoś za mną idzie od przystanku autobusu. Szok, kiedy okazało się, że Joe wie o moim ślubie.

Czy to możliwe?

A może to tylko taki bajer? Ale jak wtedy wyjaśnię, że tyle o mnie wie? O Tomie. O Rossie.

– Lily, Tom wygląda tak jak ja, kiedy byłem dzieckiem. – Ból wykrzywia twarz Joego. Rzadko się zdarza, że okazuje uczucia. – Obserwowałem go. Zachowuje się tak samo. Nie lubi nieporządku. Wiem, że jest mój. Dałem ci czas z powodu krachu twojego małżeństwa. Ale mam prawo wiedzieć. Nie sądzisz?

Zrozumiałabym go, gdybym tak się go nie bała. Gdyby nie był zabójcą.

Po drugiej stronie drogi przebiega para joggerów, trzymając się za ręce. Widuję ich codziennie. Nazywam ich: państwo Nowożeńcy. Joe widzi, że się im przyglądam.

– Jesteś samotna, Lily?

Ta zmiana tematu mnie zaskakuje. Może właśnie o to mu chodziło. Nagle zaczynam widzieć jak przez mgłę. Oczywiście, że jestem samotna. To takie niesprawiedliwe, że Ed, który jest wszystkiemu winien, znalazł swoje szczęście, a moim przeznaczeniem stała się samotność. Kto chciałby się zająć takim dzieckiem jak Tom?

– Wiesz, że nie musisz być sama. – Joe nagle chwyta mnie za rękę. Ma ciepłe dłonie. Pewne.

– Lily, zawsze cię kochałem. Na swój sposób.

Bolesna, dojmująca samotność aż we mnie krzyczy. Chciałabym móc powiedzieć, że nie wiem, co robię. Ale wiem.

Nachylam się ku niemu. Pozwalam, żeby jego ręce mnie przygarnęły. Pozwalam, by jego usta zbliżyły

się do mojej szyi. Pozwalam sobie poczuć na ciele jego oddech, którego żar dociera wprost do krocza.

W oddali, przy stacji łodzi ratunkowych, pojawia się jogger. Odsuwam się gwałtownie. Joe otwiera nagle oczy. Zrywam się, przerażona tym, co przed chwilą zrobiłam, i przy tym ruchu z kieszeni wypada mi klucz. Zawsze go noszę, chociaż nie ma już dla niego zastosowania. Zapasowy klucz do mojego dawnego domu, w którym mieszkałam z Edem. Kiedy cię zaatakują, nauczyłam się na kursie samoobrony, dźgnij napastnika w oko, żeby mieć czas na ucieczkę. Klucz zawsze jest przydatny, powiedział instruktor, albo palec. Zapamiętałam tę radę i zawsze się do niej stosuję, czy jestem w Londynie, czy biegnę o poranku brzegiem morza.

Joe schyla się, żeby podnieść klucz.

Przede mną stoi morderca. Mężczyzna, który powinien zostać skazany za zabicie swojej dziewczyny. Ale uprzejmy gest, podniesienie klucza, sugeruje kurtuazję. I to jest sedno sprawy. Oczywiście, że Joe jest zły. Ale ma też w sobie coś dobrego.

Zwykłam o sobie myśleć, że jestem dobra. Ale – nie ma przed tym ucieczki – mam na koncie także czyny złe. Nie tylko takie, które dotyczą mnie. One dotyczą również Eda. A co ważniejsze, Toma.

I kiedy biegnę z powrotem nad brzeg morza, które omywa teraz łagodnie żwir i kamyki, pozwalam sobie wreszcie wrócić myślami do tamtego wieczoru po sprawie.

*Zapomnieć o bólu w piersi, który utrudnia oddychanie.
To nic w porównaniu z udręką oczekiwania.
Ciało mam spięte. Zesztywniałe ze strachu.
Teraz ją słyszę. Nadchodzi.*

Carla

Bóle porodowe zaczęły się następnego dnia, kiedy Carla siedziała w biurze i przeglądała pocztę. W pracy zawsze coś było, dzięki Bogu. List, umowa, telefon, spotkanie z adwokatem. Cokolwiek, byle zapomnieć o Edzie czekającym na nią w domu, z okiem na zegarze, z dłonią na butelce.

– Mam tu jeszcze jeden list – powiedziała dawna sekretarka Lily, zaglądając przez uchylone drzwi. – Właśnie przyniósł posłaniec.

Serce Carli przyspieszyło, choć to przecież nic takiego. Wiele listów dostarczanych było przez kurierów. Ale kiedy wzięła kopertę, zobaczyła, że jej nazwisko nie zostało wydrukowane, lecz napisano je odręcznie, ozdobnymi drukowanymi literami. Otworzyła ją.

Ty i twoje dziecko zapłacicie.

Carla poczuła kolejne kopnięcie dziecka, tym razem znacznie mocniejsze.

– Kto to podrzucił? – usłyszała własny zduszony głos.

Sekretarka jasno dawała do zrozumienia, że następczyni Lily jej nie obchodzi.

– Kurier na motocyklu. Nie powiedział, z jakiej jest firmy. – I wyszła ostentacyjnie, zostawiając szeroko otwarte drzwi.

Carla wstała, żeby je zamknąć, i nagle poczuła strumyczek spływający jej po nogach.

Jakie to krępujące! Zmoczyła się. Czyżby jej ciało doszło do takiego stanu? Wepchnęła list do torby, wybiegła na korytarz i przemknąwszy chyłkiem obok jednego ze współników, wpadła do damskiej toalety. Ku swemu przerażeniu zastała tam sekretarkę suszącą dłonie.

Kobieta wydała lekki okrzyk.

– Odeszły ci wody?

Oczywiście wiedziała, że odejście wód oznacza początek porodu. Ale nauczycielka na kursach przedporodowych opisywała to raczej jako powódź niż jako strumyczek.

– To samo zdarzyło mi się przy moim drugim – powiedziała kobieta. Mówiła powściągliwie uprzejmym tonem. – Usiądź, a ja wezwę karetkę.

Carla miała wrażenie, że ściany się na nią wałają.

– Ale to za wcześnie! Termin mam dopiero za sześć tygodni.

– Tym bardziej trzeba jechać do szpitala. – Kobieta już rozmawiała przez komórkę. – Poproszę karetkę. To pilne. – Potem odwróciła się do Carli. – Czy zadzwonić do Eda? Nadal mam jego numer w starej książce adresowej Lily.

Lily... Ed... Niechże oni szczeną! Czy już na zawsze ma tkwić jak w pułapce w tym małżeńskim trójkącie?

– Przepraszam – zawołała, kiedy karetka gnała ulicami.

– Nie ma za co, kochana – powiedział głos obok niej. – To nasza praca.

Nie ciebie przepraszam, chciała powiedzieć. Przepraszam dziecko, które przychodzi na świat w tym potwornym bałaganie, którego narobiliśmy. Wracaj. Wracaj tam, skąd przychodzisz. Tam będziesz bezpieczne. Ale w brzuchu zaczęły się dziwne bóle. Fala bólu za falą, ledwie jedna się kończyła, zaczynała się następna.

– Musimy to spowolnić – powiedział inny głos (tym razem kobiecy).

Ponaglający, chociaż łagodny ton przypomniał Carli czasy, kiedy w dzieciństwie zabrano ją do szpitala. „Mogłaś umrzeć!” – powiedział wtedy surowo lekarz, jakby to ona, a nie jej matka odpowiadała za to, że nie dość szybko zareagowała na objawy. Może teraz umiera? Tak pewnie byłoby najlepiej. Jakie życie miałyby niemowlę z rodzicami, którzy już teraz ze sobą walczą, zanim jeszcze przyszło na świat?

– Carla, słyszysz mnie? – rozległ się nad nią pierwszy głos. – Mamy zamiar dać ci zastrzyk, żeby powstrzymać poród jeszcze przez chwilę. Dobrze?

I ogarnęła ją czerń.

Lily

Chodźmy na spacer – powiedział Joe przed laty, po tym jak wygraliśmy apelację. Jakie niewinne słowa...

Ruszyliśmy powoli przez park Heath, wdychając po napięciu sali sądowej chłodne powietrze wieczoru.

– Pamiętasz – powiedział, patrząc przed siebie – jak dotknęliśmy się dłońmi w więzieniu?

Czy mogłabym zapomnieć? Zrobił to tak, żeby wyszło, że to ja do tego doprowadziłam, a nie on.

– Wiesz – mówił dalej, nie czekając na odpowiedź – na tym świecie jest bardzo niewiele ludzi, których dotyk mogę znieść. Zawsze taki byłem, nawet jako dziecko.

I wtedy poczułam, że jego dłoń – silna i pewna – bierze moją, kiedy tak idziemy w ciemności, zostawiając za sobą oświetlony pub.

Oczywiście, powinnam wycofać rękę. Podać jakiś pretekst i natychmiast wrócić do domu. Ale po naszym zwycięstwie byłam na haju. A zarazem w dołku ze względu na Eda. Musiałam stawić temu czoło. Mój nowy mąż nie był mną zainteresowany. On i Davina pasowali do siebie znacznie lepiej. To z nią powinien się ożenić. Nie ze mną.

Było coś jeszcze. Na tym świecie jest niewiele ludzi, których dotyk Joe może znieść. Tak powiedział. Najwyraźniej byłam jedną z tych osób. Pochlebiło mi to. Dlaczego nie? Oto mężczyzna, który, jak wierzyłam, został niesłusznie uwięziony. Mężczyzna, który zasługiwał na współczucie, ale i na podziw – również dlatego, że postanowił nie występować o odszkodowanie finansowe. Nic, powiedział przed sądem, nie przywróci życia jego „biednej” dziewczynie, Sarah Evans. Chce tylko sprawiedliwości. I wolności.

– Płaczesz – powiedział Joe, kiedy poczułam, że moja dłoń odwzajemnia jego uścisk.

I właśnie wtedy zaczęłam mówić. Opowiedziałam mu wszystko o moim małżeństwie. Odśloniłam się. Chciałam to zrobić, bo normalnie nie piję podwójnego szota na pusty żołądek. Chciałam to zrobić, bo byłam na fali sukcesu: wygrałam moją pierwszą dużą sprawę. Ale chodziło przede wszystkim o to, że Joe był kimś, z kim potrafiłam rozmawiać.

Odkryłam, że więzienie robi to z ludźmi. Tworzy więzi. Sam fakt, że jest się w miejscu, którego większość się boi, sprawia, że człowiek czuje się inaczej. Kreuje to zupełnie nieprawdopodobne pary. Defraudant i jego kolega z celi, gwałciiciel. Nauczyciel i morderca. Prawniczka i jej klient.

I oczywiście była także ta rzecz, która wymyka się prawu i przepisom. Ta buzująca między nami fizyczna energia. Elektryczność, którą po raz pierwszy poczułam w pokoju wizyt pod plakatem z napisem „Nadzieja”. Coś, co nie powinno istnieć między więźniem i prawniczką. Tyle że Joe już nie był więźniem. Był wolnym człowiekiem.

Oboje mogliśmy robić to, co chcieliśmy.

Nawet nie mogę powiedzieć, że to był gwałt, chociaż przez kilka sekund rzeczywiście próbowałam się bronić. Pamiętam tylko, że w jakiejś chwili przepadałam. Nawet nie próbowałam udawać, że to miłość, bo to było coś znacznie lepszego. Dlaczego? Bo miłość jest zbyt krucha, zbyt łatwo ją zniszczyć. Pożądanie jest odporniejsze. Daje natychmiastową satysfakcję. Czy moja przeszłość nie nauczyła mnie tego aż za dobrze?

Kiedy Joe popchnął mnie brutalnie na ziemię i rozpiął mi bluzkę, pamiętałam, że „zło” i „pożądanie” mogą naładować człowieka ładunkiem miliona wolt, nieporównywalnym z niczym innym. Jest tak silny, że jednocześnie topisz się i palisz. Co za radosne, wyzwalające uczucie, kiedy ktoś daje ci pozwolenie na złamanie wszelkich zasad! Szczególnie jeśli tym kimś jesteś ty sama. Wreszcie poczułam się wolna.

– Szybko – powiedział Joe, kiedy skończyliśmy. – Ktoś nadchodzi.

Poderwałam się na nogi.

Dopiero kiedy zobaczyłam zdegustowaną minę nadchodzącego spacerowicza z psem, poczułam wstyd, który powinnam poczuć na początku. Wstyd, który mógł mnie wybawić z tej sytuacji, gdybym poczuła go wcześniej.

– Idź – powiedziałam, zapinając bluzkę drżącymi palcami. – Idź i nie wracaj.

I pobiegłam. Biegłam przez Heath, zdając sobie sprawę, że muszę wyglądać fatalnie. Potem chodnikami. Wpadłam do metra. Stałam w ścisku wśród innych spoconych ciał, świadoma, że czuć mnie „tym, co złe”. Rozpaczliwie chciałam dotrzeć do domu, pod prysznic. Długi, gorący prysznic, żeby spłukać Joego Thomasa.

– Musimy to uczcić! – powiedział Ed, kiedy weszłam. – Otwórz butelkę. – Twarz mu spoważniała. – A potem porozmawiamy, tak jak obiecałaś.

Sam widok twarzy męża napełnił mnie takim poczuciem winy, że postanowiłam sama pójść po tę butelkę, byle tylko zejść mu z oczu.

Potem była kłótnia na korytarzu z Tonym i Francescą. To dlatego byłam dla Tony’ego taka ostra. Oczywiście, żal mi było jego biednej żony. Ale rzuciłam się na Tony’ego aż tak, bo rozpoznałam w nim własne słabości. Gardziłam nim tak, jak gardziłam sobą.

Następnego wieczoru, kiedy już nie mogłam odkładać tej rozmowy z Edem, usiadłam w łazience i próbowałam podjąć decyzję: rzucić go czy nie.

Gdybym otworzyła magazyn na stronie z numerem nieparzystym, rzuciłabym go.

Gdyby to był numer parzysty, zostałabym.

Strona siedemdziesiąta trzecia.

Nieparzysty.

Na stronie było zdjęcie szczęśliwej rodziny, siedzącej przy stole. Obrazek i druk pływały mi przed oczami. Niedzielne kolacje. Normalne życie. Takie, jakie powinniśmy mieć z rodzicami. Takie, jakie wciąż jeszcze moglibyśmy mieć z Edem, gdybyśmy przestali kłamać.

Nie muszę przyjmować nieparzystego, który dał mi los. Tak samo jak Daniel, który często odrzucał orła. „W głębi duszy wiesz, czego chcesz, zanim moneta upadnie, zwykł mawiać. Dlatego to jest taki świetny sposób na podejmowanie decyzji”.

A ja w głębi duszy wiedziałam, że mimo zachowania zarówno Eda, jak i mojego, nadal kocham męża. Joe to było pożądanie. Nie powinnam posunąć się tak daleko. Ed był moją szansą, żeby odmienić życie.

Ale od czasu do czasu człowiek musi zrobić coś złego, zanim będzie mógł wszystko naprawić.

To właśnie musiałam zrobić teraz, dzisiaj, na wypadek gdyby nasionko Joego już we mnie zakiełkowało.

Wyszłam więc z łazienki, wzięłam Eda za rękę i poprowadziłam do łóżka.

Miesiąc później stwierdziłam, że jestem w ciąży. Nosiłam dziecko, które równie dobrze mogło być jednego, jak i drugiego.

Carla

Carla? Słyszysz mnie?

Wydawało się, że minęło zaledwie kilka minut, odkąd ktoś w karetce zadał jej to samo pytanie. Ale to był inny głos. To był głos Eda.

Pierwszą myślą Carli było, że znalazł liścik z tym ozdobnym pismem. Włożyła go do torebki, tak? Ale mógł ją przeszukać. Robił to już wcześniej, pod pretekstem szukania drobnych.

– Wszystko dobrze, Carla. Jestem przy tobie. I mamy śliczną dziewczynkę.

Dziewczynka? Proszę, nie... Dziewczynka może popełnić te same błędy, które popełniła i ona, i mamma. To nigdy się nie skończy.

– Jest bardzo maleńka. Zaledwie parę funtów. Ale mówią, że wszystko powinno być dobrze.

Jak to możliwe? Nawet nie pamiętała porodu. Ed kłamie.

Wcześniej okłamywał Lily. Więc dlaczego nie miałby okłamywać jej?

Z niebytu wypłynęła jego twarz. Nachylał się nad nią. Całował ją w policzek. Od jego dotyku przechodziły ją ciarki.

– Kochanie, ależ nas wszystkich wystraszyłaś.

– To nie była moja wina – wydobyła z siebie.

W jego głosie słychać było niepokój.

– Mogłem stracić was obie.

– Co się stało? – wymamrotała.

– Dziecko postanowiło przyjść na świat za wcześnie. – To był inny głos. Carla próbowała się obrócić, żeby zobaczyć, skąd dochodzi, ale wszystko ją bolało. – Dobrze się dla nas składa, że w ogóle się zdecydowało. Okazało się, kochana, że masz nisko położone łożysko, więc musieliśmy ci na gwałt robić cesarkę. Ależ narozrabiałaś! Chcesz teraz zobaczyć swoje dziecko?

Jakie dziecko? Nie widziała i nie słyszała żadnego dziecka. Wiedziała... Coś poszło bardzo źle.

– Oddział intensywnej opieki jest tuż za rogiem, kochana. – Carla zobaczyła teraz pielęgniarkę w zielonym uniformie. – Nogi jeszcze trochę się trzęsą, prawda? No to posadzimy cię na wózku. O tak. Tędy.

– Jest zdrowe? – zapytała słabym głosem Carla.

– Dziewczynka jest waleczna – powiedział stanowczo Ed. – Da sobie radę. – Ale Carla widziała, jak patrzy na pielęgniarkę. W jego spojrzeniu był strach.

– Już jesteśmy, kochana.

To jest dziecko? Carla wpatrywała się w inkubator. W środku leżał jakiś szcurek. Skórę miał tak bladą i przeświecającą, że kojarzył się jej z martwym pisklęciem, które kiedyś znalazła przed dawnym mieszkaniem, gdy mieszkały tam gdzie Lily i Ed. („Zostaw je”, pisnęła mamma i szybko poprowadziła ją na przystanek autobusu).

To „coś” było niewiele większe niż dłoń Eda. Wystawały z tego przewody. Oczy miało zamknięte. Resztę twarzy, jeśli można to było nazwać twarzą, przykrywała maska.

– Teraz dostaje tlen, kochana – powiedziała łagodnie pielęgniarka. – Miejmy nadzieję, że za parę tygodni będzie mogła oddychać samodzielnie.

Tygodni?

– Obawiam się, że przez jakiś czas nie będziesz mogła wziąć jej na ręce, ale możesz do niej mówić.

– Niemowlęta słyszą, jak się do nich mówi – wtrącił Ed. Mówił tak uczonym tonem, a jednocześnie z taką wyższością, jakby w porównaniu z pielęgniarką był ekspertem. – Z Tomem rozmawialiśmy przez cały czas.

– Ale jak ono może słyszeć, jeśli jest takie chore?

– Byłabyś zaskoczona, kochana. Za parę dni będziesz mogła wrócić do domu, chirurg świetnie się spisał, chociaż będziesz musiała odpoczywać i nie wolno ci podnosić ciężarów. Możesz odwiedzać dziecko codziennie po południu i wieczorem. – Pielęgniarka westchnęła. – Kiedyś mieliśmy specjalne miejsce dla rodziców, którzy chcieli zostać, ale przyszły cięcia finansowe... i po sprawie.

Carla prawie nie słuchała, cały czas patrzyła na szurka. Jego wydęty brzusek wznosił się i opadał z dziwną regularnością. Resztę ledwie było widać zza przewodów i maski. Oto jej kara! Za to, że zabrała męża innej kobiecie. I teraz naprawdę wpadła w pułapkę – jeszcze gorszą niż do tej pory. Jak teraz wróci do pracy? Ed od początku był temu przeciwny, a przy chorym dziecku to już w ogóle nie będzie mowy.

Z wściekłością zwróciła się do Eda.

– Po co zrobiłeś mi dziecko?

– No, no, spokojnie – powiedziała pielęgniarka, poklepując ją po ramieniu. – Byłabyś zaskoczona, ile naszych pań tak mówi. Ale jak lepiej poznasz dziecko, to zmienisz zdanie.

Ed patrzył na nią wstrząśnięty.

– Daj spokój, Carla. Musisz być silna, dla dobra naszej dziewczynki.

Ale to coś nie wyglądało na dziewczynkę – ani w ogóle na istotę ludzką.

– Nie chcę tego widzieć. – Sama słyszała we własnym głosie nutę hysterii. – Zabierzcie to. Chcę do mamy. Dlaczego jej tutaj nie ma? Dajcie mi telefon. Natychmiast. Muszę z nią porozmawiać.

– Carla...

– Nie! Przestań mną rządzić. Daj mi swoją komórkę.

Ed wymienił spojrzenia z pielęgniarką. O co tu chodzi?

– Carla, kochanie, posłuchaj. – Objął ją ramieniem. – Nie chciałem ci mówić, dopóki nie dojdiesz do siebie. Ale kiedy rodziłaś, dzwoniła twoja babcia. Obawiam się, że twoja matka jest chora.

Carla zeszywniała.

– Bardzo?

– Już od jakiegoś czasu była leczona na raka. W ostatnie Boże Narodzenie nie była u ciotki. Spędziła je w szpitalu. Prawdę mówiąc, od tamtego czasu wciąż to wychodziła, to wracała.

Zaschło jej w ustach.

– Ale polepszyło się jej? Przyjedzie, żeby zobaczyć wnuczkę?

Ed próbował ją przytrzymać, ale odepchnęła go.

– Powiedz mi. Powiedz mi!

Oczy miała mokre od łez. Pielęgniarka też płakała.

– Carla, twoja matka umarła. Zaraz po tym, jak urodziłaś. Tak mi przykro.

Lily

Znów biegnę wzdłuż brzegu, uciekając od Joego. Mewy krzyczą mi nad głową. I wtedy właśnie zdaję sobie sprawę z czegoś tak oczywistego, że aż się dziwię, dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej. Jeśli byłabym w stanie dowieść, że Tom nie jest synem Eda, na pewno mogłabym odebrać mu prawo do wizyt. Nie musi wiedzieć, kto jest prawdziwym ojcem.

A co ważniejsze, mogłabym zakazać przyjazdów żonie mojego męża.

Ot, taka sztuczka, żeby wydrzeć z powrotem kawałek mojego życia. Mieć swoje dziecko na własność.

Ale jeśli DNA Joego pasuje, mój syn miałby za ojca mordercę.

W oddali niewielka łódź to wznosi się, to opada na falach.

I wtedy wpadam na inny pomysł. Znacznie lepszy niż poprzedni.

Carla

Mamma wydała ostatnie tchnienie bez niej u boku?

– Ale ja się z nią nie pożegnałam – wyplakiwała się nonnie przez telefon.

Babcia też szlochała.

– Nie chciała cię martwić.

W tle słychać było głębokie zawodzenie męskiego głosu.

Nonno. Więc jednak nie była mu obojętna?

Wyszło na jaw, że wszyscy to przed nią ukrywali. Dopiero teraz oznaki się zsumowały. Chudość mammy przed wyjazdem Carli. (Właśnie wtedy zdiagnozowano raka). Jej słaby głos przez telefon. Później jej naleganie, żeby pisać listy, bo są tańsze niż rozmowy telefoniczne. Jej obietnica, że przyjedzie do Anglii, kiedy urodzi się dziecko, ale na razie jest „zajęta”.

A teraz, na domiar całego smutku, Carla musiała dawać sobie radę z tym... Z tym czymś.

„Poczujesz się inaczej, kiedy będziesz mogła wziąć ją na ręce”. Ed i pielęgniarki ciągle to mówili. Ale kiedy w końcu położyli jej szczurka na rękach, rozległ się piskliwy elektroniczny dźwięk.

– Wszystko w porządku, kochana – powiedziała pielęgniarka. – To znaczy tylko, że dziecko jeszcze nie jest gotowe do wyjścia spod tlenu.

Wszystko tak ją przerażało. Niby jak miała je zabrać do domu, skoro nie potrafiło samodzielnie oddychać?

– Te sprawy wymagają czasu – powiedział energicznie młody lekarz.

– Ciągle jej to mówię – wciął się Ed, jakby sam miał medyczne wykształcenie.

Po raz kolejny poczuła się jak dziecko, które ilekroć otworzy usta, wszystko mówi źle. Gdyby tu była mamma... Na pewno by pomogła. Wiedziałyby, co robić.

Czasem Carla myślała, że zabrali jej prawdziwe dziecko. Szczurek nie miał w sobie nic z niej czy Eda. Co gorsza, powiedziano im, że wcześniaki często mają różne „problemy rozwojowe”, które według lekarza można zdiagnozować dopiero w późniejszym czasie. Jak ona ma sobie poradzić z taką niepewnością?

Kiedy po pięciu tygodniach przyszła któregoś dnia na kolejną niechętną, wymuszoną przez Eda wizytę, wokół inkubatora zastała tłum. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Ciągle przyprowadzano studentów medycyny, żeby podziwiali najmniejsze dziecko, jakie w tym roku urodziło się w szpitalu. Ale słychać było alarm – inny niż wcześniej – a ekran obok inkubatora piszczął jak szalony.

– Próbowaliśmy się z tobą skontaktować – powiedziała szybko pielęgniarka. – Ale i ty, i mąż mieliście wyłączone telefony. Pomyślałaś już o imieniu?

Wszyscy ją o to pytali, odkąd szczurek się urodził. Ale Carla w czasie ciąży odrzuciła wszystkie propozycje Eda, jakby w ogóle zaprzeczała, że jest w ciąży. Teraz, kiedy to coś było na świecie, nadal nie chciała go nazwać. To by znaczyło, że przyjęła do wiadomości jego istnienie.

– Może chciałabyś ją ochrzcić – powiedziała z napięciem pielęgniarka. Trzymała formularz. – Tu jest napisane, że jesteś katoliczką. Ksiądz jest tutaj, gdybyś chciała z nim porozmawiać.

– Nie rozumiem...

– Moja droga. – Korpulentny młody człowiek w białym księżowskim kołnierzyku chwycił ją za obie ręce, jakby byli zażyłymi przyjaciółmi. – Pielęgniarka próbuje ci powiedzieć, że twojej córeczce się pogorszyło. Może przygotowujemy ją do wiecznego życia, które na nią czeka?

Szczurek miał umrzeć? Czyż to nie byłoby rozwiązanie wszystkich jej problemów? To dlaczego czuła, jak narasta w niej przerażenie?

– To niemożliwe.

– Moja droga, plany Boże to nie zawsze to, czego się spodziewamy.

– Chciałabyś ją potrzymać, kochana?

Nie... Mogłaby ją przecież upuścić!

Jeden z lekarzy skinął głową do pielęgniarki. Szczurka ze wszystkimi kabelkami położono Carli na rękach. Patrzący na nią dwoje paciorkowatych oczu. Dziwnie długi, niemal arystokratyczny nos. I wtedy to zobaczyła. Cieniutki rudy włoszek na prawie łysej główce.

– Poppy⁹¹ – wyszeptała. – Ma na imię Poppy. Poppy Francesca.

Zdarzył się cud. W nocy Poppy „wyszła na prostą”, jak to ujęli.

– Powinnaś porozumieć się ze mną, zanim nadałaś jej imię – powiedział Ed, kiedy wreszcie się zjawił. Jego oddech cuchnął whisky.

– Zrobiłabym to, gdybyś tutaj był – odparła, nie spuszczać oczu z córki, która wróciła do inkubatora.

– Właśnie sprzedawałem obraz.

– Nic się nie stało – powiedziała pielęgniarka. – Jeśli chcecie znać moje zdanie, to Poppy dostała to, co było jej potrzebne. Mamusia ją przytuliła. Lekarze oczywiście powiedzą, że to ich sztuka uratowała jej płuca. Ale miłość ma ogromne znaczenie. Tak czy inaczej, uważam, że imię jest cudowne. Od dawna nie mieliśmy tu Poppy.

– Wydaje mi się cokolwiek wyróżniające – zauważył gderliwie Ed. – Zabawne, jak kolor przeskakuje pokolenia, prawda? Bo mój dziadek miał ciemnorude włosy.

Niewiarygodne, ale w kolejnym miesiącu Poppy robiła się coraz silniejsza. Zarazem jednak błysk miłości – tak, miłości! – którą Carla poczuła w dramatycznej chwili zagrożenia, zgasł. Pojawił się strach. Kiedy jej powiedziano, że Poppy jest „prawie gotowa”, żeby pojechać do domu, miała ochotę powiedzieć „nie”. Jak ona da sobie radę z takim słabowitym niemowlęciem?

– Wiem, że to dla ciebie trudne, ale damy radę – powiedział Ed, przytulając córeczkę do piersi. Nie bał się. Wiedział, co się robi z niemowlakami. Ale ona była beznadziejna. A teraz, kiedy zabrakło mammy, miała wrażenie, jakby zniknęła połowa jej samej. Nie powinna jej była zostawiać samej i przyjeżdżać do tego kraju.

– To tylko depresja poporodowa – powiedziała pielęgniarka środowiskowa, kiedy przyszła z wizytą i zastała Carlę całą we łzach. – To zupełnie naturalne, szczególnie po trudnym porodzie. Proszę nas jednak powiadomić, gdyby się przedłużała.

Naturalne? To było totalne pomieszanie z poplątaniem. Z jednej strony Carla bała się zostawić córeczkę samą, bo może dziecko przestanie oddychać. Z drugiej strony jednak, gdyby tak się stało – co za potworna myśl! – uwolniłaby się od tej koszarnej, przytłaczającej odpowiedzialności.

Może byłoby dobrze, gdyby tylko mogła się trochę przespać. Ale Poppy nie sypiała, raczej podrzemywała dwie, trzy godziny, tak jak opisywały to książki o niemowlętach. Za każdym razem, kiedy Carli udawało się zamknąć oczy, Poppy znów zaczynała płakać. To było jak dwudziestoczerogodzinny lot bez tankowania po drodze. Dzień po dniu. Tydzień po tygodniu.

– Musi trochę przybrać na wadze – powiedziała pielęgniarka środowiskowa. – Może pomogłoby karmienie z butelki.

Więc jej własne mleko nie wystarczało? Carla po raz kolejny poznała po minie Eda, że jest beznadziejna. Zaskakująco niebieskie oczy Poppy podążały za nią wszędzie niby podwojona wymówka.

– Była już z nią pani w grupie dla matek i dzieci? – zapytała przy innej okazji pielęgniarka środowiskowa.

Na szczęście Ed był wtedy w galerii.

– Tak – skłamała Carla.

Ale tak naprawdę za bardzo się bała, że Poppy może się czymś zarazić od innego dziecka (tyle było koszmarnych zarazków poza domem!).

Czy mamma też się tak czuła? Gdyby mogła ją zapytać...

Tymczasem zbliżał się czas, kiedy mieli z Edem stracić dom. Bank tracił już cierpliwość. Jeśli nieruchomość nie zostanie sprzedana, przejmą ją za miesiąc. Tak było napisane w listach do Eda, które przed nią ukrywał, ale ona nauczyła się je wywąchiwać.

Nie chciała jednak ryzykować kolejnej awantury. Kiedy Ed był w złym nastroju, bała się go, zwłaszcza że pił teraz więcej niż kiedyś. Oczy mu czerwieniały, a ciało trzęsło się, jakby nie było jego. Zaczął nawet mówić o uzyskaniu całkowitego prawa do opieki nad Tomem („Rozmawiałem o tym z Lily”).

– Nie dałabym sobie rady – zaprotestowała.

– Zdobądź się na trochę współczucia, Carla. Jest moim synem i chcę, żeby był z nami.

Gdzie się podział dawny Ed? Ale nadal był samą łagodnością, kiedy trzeba było uspokoić Poppy, której płuca pracowały teraz na pełny regulator, i w dzień, i w nocy.

– Odpocznij trochę – mówił Ed tonem, który sugerował, że jest zadowolony, iż Poppy reaguje na niego, a nie na nią.

Ale Carla nie mogła zasnąć. Rzucała się i przewracała, i myślała, jak by to było, gdyby nie miały z mamną tego pecha, żeby zamieszkać obok Lily i Eda.

„Czasem trochę trwa, zanim powstanie więź z dzieckiem”. Kolejne zdanie z książek na temat małych dzieci. Stały na półkach od czasów, gdy urodził się Tom. Ale za każdym razem, kiedy Carla podnosiła swoje maleństwo, żeby przystawić je do piersi (tylko to uspokajało Poppy), czuła, że ogarnia ją straszna, przytłaczająca panika.

Z początku przerażało ją, że dziecko może umrzeć. Teraz przyszła nowa obawa. W panice przedwczesnego porodu zapomniała na jakiś czas o ostatnim liście z ozdobnym pismem.

„Ty i twoje dziecko zapłacicie”.

Po powrocie ze szpitala z ulgą stwierdziła, że list nadal leży w torebce, czyli nikt go nie znalazł.

– To będzie nasza tajemnica – powiedziała do dziecka, które wgryzło się w jej brodawkę, aż zaczęła krwawić. – Nie wolno ci o tym mówić.

Co do autora listu, to Carla była przekonana, że charakter pisma świadczy, że to kobieta. Jakaś stroniczka Lily. Któraś z jej koleżanek, żadna zemsty w imieniu Lily. Może jej dawna sekretarka? Ta, która udawała uprzejmość, kiedy Carli odeszły wody. Nikomu nie wolno ufać.

– Martwię się o ciebie – powtarzał Ed. – Nie jesz, jak trzeba. Poppy nie będzie miała dość mleka.

W takim razie może to być dla nich obu kolejny sposób, żeby umrzeć. Zmarnieją z niedożywienia, a potem dołączą do mammy w niebie.

– Ciągłe jej się śni jakiś list. – Podśluchiwała, jak Ed mówi to do pielęgniarki środowiskowej, którą wezwano, żeby sprawdziła jej stan. Zawsze podsłuchiwała pod drzwiami, kiedy myśleli, że wróciła do łóżka.

– Wie pan, poród to traumatyczne wydarzenie – padła sucha odpowiedź. – Ma prawo do paru koszmarów sennych.

Koszmarów sennych? Nie mieli pojęcia, jaki chaos przewalała się nieustannie w jej głowie. Potrzebny był inny plan. Ale jaki? Nie było żadnego wyjścia. Tylko nieskończona czerń przed nią, która ją połykała, groziła uduszeniem. Jakaś kobieta, pisali parę dni temu w gazecie, udusiła swoje niemowlę. Dostała

dziesięć lat. Dostałaby więcej, gdyby nie cierpiała na depresję poporodową. Ale Carla nie miała żadnej depresji. Ed twierdził, że to mit. Lily świetnie się czuła po urodzeniu Toma. Kiedy urodzi się dziecko, trzeba po prostu przyjąć, że życie się zmieniło, i pogodzić się z tym.

To znaczyło, że trzeba żyć według jego zasad.

– Przyrządziłem dla nas kurczaka. – Ed wziął ją za łokieć i poprowadził do stołu. – Dobrze ci zrobi.

No, dalej, Carla. Przecież bardzo to lubisz.

Jeść? Jak mogłaby wziąć coś do ust?

Nalał sobie kolejny kieliszek wina.

– Może już dosyć? – warknęła.

– Więc co masz zamiar zrobić? Znów mnie uderzysz, jak wtedy, na oczach Toma?

– Nie uderzyłam cię. – Och, żeby już przestał rozwodzić się na ten temat... Tylko wyciągnęła wtedy rękę, żeby przeszkodzić mu w otwieraniu kolejnej butelki, a on jednocześnie odwrócił się w jej stronę. Na Boga, przecież jedno z nich musiało być przy zdrowych zmysłach, kiedy opiekowali się synem Lily!

– Chcę wypić jeszcze jednego cholernego drinka, choćby dla uczczenia moich urodzin. Tak, urodzin! A ty zapomniałaś, prawda?

Trudno się dziwić, że był zły... Ale Poppy zabierała jej cały czas. Nie była w stanie o wszystkim pamiętać!

Podeszła do zlewu i drżąc ze złości i strachu, naciągnęła rękawiczki do zmywania. („Zawsze uważaj na ręce”, mawiała mamma).

– Nie zmywaj tych patelni, dopóki nie skończyliśmy jeść. Już ci mówiłem. Później sam to zrobię.

Odkręciła gorącą wodę i z wściekłością strzyknęła do zlewu płynem do naczyń.

Serce w niej zamarło na dźwięk dzwonka do drzwi. Znów sąsiad? Już kiedyś narzekał na awantury.

– To ty...

Chyba Ed nie odezwałby się tak bezceremonialnie do sąsiada? Odwróciła się.

– Rupert! – Poczwała, że się czerwieni.

– Wybacz, że wpadłem bez uprzedzenia, ale akurat przechodziłem.

Wyciągnął rękę z prezentem, pięknie opakowanym w srebrny papier i faliste wstążki.

Carla spociała się ze strachu i podekscytowania, i przerażenia, i nadziei: wszystko to mieszało się wprost nieprawdopodobnie.

– Mogę zobaczyć dziecko? To dziewczynka, prawda?

– Tak – powiedział oschle Ed. – Ale właśnie mamy zamiar coś zjeść, więc...

– Ona jest tutaj – wciąła się Carla.

Matko Boska. Jej mąż patrzył na kasztanowate włosy Ruperta. Przecież nie pomyśli sobie...

Mina Ruperta złagodniała.

– Śliczna... Nie zdawałem sobie sprawy, że niemowlęta są takie małe. Czy...

– Powiedziałem, że mamy zamiar coś zjeść!

Co za chamstwo ze strony Eda! Zdenerwowana próbowała ściągnąć rękawiczki do zmywania, ale nie chciały zejść.

– A może zjadłbyś z nami? – usłyszała z zaskoczeniem własny głos. Proszę, miała ochotę powiedzieć. Proszę. Potrzebuję cię. Jak pójdziesz, Ed coś chlapnie. Znowu będzie awantura...

– Chyba raczej – powiedział Rupert, spoglądając na pociemniałą twarz Eda – powinienem już iść. Katie... moja narzeczona... będzie na mnie czekać.

Więc nadal z nim była... Wszelkie nadzieje Carli, wszelkie rozpaczliwe, szalone pomysły, które miała, kiedy Rupert nacisnął dzwonek, rozleciały się na kawałki.

– Narzeczona? – prychnął drwiąco Ed, zaledwie drzwi zamknęły się za gościem. – Tak, na pewno. Ile razy ten dzieciak tutaj był?

Na dźwięk jego głosu Poppy poruszyła się w nosidełku, stojącym pod ścianą. (Ed zawsze musiał ją

mieć na oku).

– O co ci chodzi?

Jego twarz była teraz tuż-tuż.

– Widziałem, jak się zaczerwieniłaś, kiedy wszedł. Widziałem, jak się silisz, żeby mówić normalnie. – Ślina pryskała mu z ust. – Ma włosy tego samego koloru, co nasza córka. Jeśli jest nasza...

– Nie bądź śmieszny. Przecież twój dziadek był rudy. Sam mówiłeś, że to się często pojawia dopiero w kolejnym pokoleniu.

Chwycił ją za nadgarstki i mocno ścisnął.

– Jakie to wygodne! Ale oboje wiemy, jaka jest twoja moralność.

– A twoja? – odcięła się, wściekła. – Nie przeszkadzało ci, że zostawiasz dla mnie żonę, prawda?

– A tobie nie przeszkadzało, że mnie od niej odciągasz!

Co było potem? Co było potem? Ileż to razy pytano ją o to przez następne kilka dni, przez następne kilka tygodni, przez następne kilka miesięcy.

Jedyne, co wiedziała, to że wszystko stało się nagle.

Jedyne, co zdołała zapamiętać, to było to:

Rozległ się krzyk. To Poppy w nosidełku. Kolejny krzyk. Jej, kiedy Ed złapał ją za ramiona i zaczął potrząsać.

Nóż do krojenia mięsa.

Nóż do krojenia mięsa z zieloną rączką. Jeszcze jedna rzecz pozostawiona przez Lily.

Straszny, przejmujący do szpiku kości jęk.

Krew.

A potem ucieczka. Ucieczka przez park i ta bełładna gonitwa myśli w oszalałej głowie.

Nienawidzę go. Nienawidzę go.

Mamo! Gdzie jesteś?

Gdyby mogli zacząć wszystko od nowa...

Lily

Październik 2015

W jednym z domów w zachodnim Londynie znaleziono zasztyletowanego mężczyznę. Podejrzewa się, że...”

Radio zagłusza krzyk Toma:

– Mamo, musisz to zrobić pierwsza! Już ci mówiłem.

Jakie to głupie z mojej strony. Przecież wiem doskonale, że Tom potrzebuje, żebym zapięła pas, zanim on to zrobi. Dokładnie cztery sekundy przed nim. Sprawdza czas na zegarku. To kolejny z jego rytuałów. W normalny dzień nietrudno mu się podporządkować.

Ale dzisiaj jestem jakaś rozdygotana. Może jeszcze nie odpoczęłam po wczorajszej wizycie w Londynie. Może to z powodu czekającego mnie spotkania z dyrektorką szkoły Toma w sprawie ostatniego „incydentu”. Może dlatego, że po południu mam szczególnie trudne spotkanie z urzędnikami z Krajowej Służby Zdrowia w związku z kolejną sprawą o zagubioną dokumentację dziecka, które urodziło się niedotlenione. A może dlatego, że jestem wściekła po ostatnim oświadczeniu Eda, że chce przejąć całkowitą opiekę nad naszym synem.

Włączam silnik, mówiąc sobie, że w tej części Londynu mieszka mnóstwo mężczyzn. Ataki nożownicze zdarzają się codziennie. Nie ma powodu – absolutnie żadnego powodu – żeby miał to być ktoś, kogo znam. Ale gęsia skórka sama z siebie zaczyna mi występować na ciele. Na skrzyżowaniu skręcam w lewo i zatrzymuję się – za linią – w ostatniej chwili, żeby przepuścić motocykl, który z pewnością jedzie za szybko.

– Ten motocyklista mógł zginąć, gdybyś się nie zatrzymała – zauważa Tom rzeczowo.

Dzięki.

– Mogła mu zostać tylko część mózgu, jak Stephenowi – ciągnie. – Wiedziałaś, że twoja skóra jest dwa razy cięższa od twojego mózgu?

Pewnie tak jest. Tom zazwyczaj ma rację. Ale myślę o Stephenie, chłopcu, który właśnie przyszedł do klasy Toma. Ciężarówka najechała na jego wózek, kiedy nie miał jeszcze roku. Kierowca miał atak serca. Nikt go nie wini. Nawet Stephen, który jest szczęśliwy we własnym świecie. Nawet jego rodzice, pobożni chrześcijanie, którzy uważają, że to dla nich próba sił w tym życiu. To my wszyscy powinniśmy się wstydić.

Włącznie z Edem. Co on sobie, do licha, myśli, że występuje o całkowitą opiekę? Ledwie mu się udają weekendy z synem, które często odwołuje w ostatniej chwili. To się zdarza coraz częściej, odkąd Carla urodziła dziecko. Najwyraźniej nie czuje się dobrze.

– Uważaj – mówi ostrym głosem Tom, a jednocześnie ciężarówka po drugiej stronie drogi głośno trąbi.

Co się ze mną dzieje? To nie to, że po prostu źle prowadzę. Czy że wóz wpada w poślizg na jesiennych liściach. Ja kompletnie tracę koncentrację. Ale tak to jest, kiedy żona twojego męża rodzi dziecko... Jak dotąd, łączyło nas z Edem coś niepowtarzalnego (raczej był to ktoś), czego nie dzieliliśmy z nikim innym. Stworzyło to nierozwalną więź. A teraz pewnie leży obok Carli i obejmuje ją ramieniem. Patrzą na

swojego dzidziusia – dziewczynkę, jak mi powiedział Ross – z takim zachwytem, z jakim kiedyś patrzyliśmy razem na Toma. Ed jej mówi, tak jak mówił mnie, że była taka dzielna. I obiecuje, jak mnie obiecywał, że będzie najlepszym z ojców.

W nocy wstaje, kiedy dziecko płacze. (Ed zawsze nalegał, że będzie przynosił Toma do naszego łóżka, żebym mogła dać mu ssać, wsparta o poduszki). Nakarmi – widzę to wyraźnie! – maleńką córeczkę mlekiem, które Carla, żeby mieć spokój w nocy, ściągnęła do butelki. I jak szalony będzie je obie rysował, kiedy śpią, patrząc na nie czule, z miłością. Słyszę ten skrzyp węgla po kartce...

Jakie to niesprawiedliwe! Zawsze tak pragnęłam mieć córkę, żeby móc ją ubierać, chodzić z nią na zakupy, dzielić się sekretami... Ale po zdiagnozowaniu Toma Ed nie chciał, żebyśmy mieli więcej dzieci.

Skup się. Jesteśmy blisko szkoły. Tom, do tej pory dziwnie spokojny, biorąc pod uwagę, w jakie popadł kłopoty, teraz wygląda na zdenerwowanego. Rozpoznaję to po tym, że wyskubuje sobie włoski z przedramienia. Jakiś czas temu wzięłam jeden do testu DNA.

Zatrzymuję się na parkingu i patrzę na niego. Mój syn. Mój chłopiec. Mój szczególny chłopiec, którego będę bronić do ostatniego tchu.

– Tom, już przez to przechodziliśmy – mówię powoli i spokojnie, patrząc mu prosto w oczy, tak jak zalecał specjalista. – Musimy dokładnie wyjaśnić twojej dyrektorce, dlaczego uderzyłeś Stephena.

Tom ma zaciętą minę. Buntowniczą. Nieustępliwą.

– Mówiłem ci. Wykopał z szeregu moje tenisówki.

– Ale zrobił to niechcący.

– Nie obchodzi mnie to. Tak czy owak wykopał. Nikomu nie wolno dotykać moich rzeczy.

Jakbym nie wiedziała. Oznacza to, że muszę kupować mnóstwo zapasowych rzeczy, kiedy oryginały w którymś momencie nieuchronnie zostaną odrzucone. Zapasowe buty. Zapasowe swetry. Zapasowe szczotki do włosów.

Pochylam się, żeby wyłączyć radio. Boże, modlę się. Spraw, żeby nie dali Tomowi kolejnego ostrzeżenia. Palec mam tuż przy wyłączniku radia, ale coś sprawia, że się wstrzymuję. Od ostatnich wiadomości minęło pół godziny. Za chwilę będą następne.

– W jednym z domów w zachodnim Londynie znaleziono zaszytowanego mężczyznę – powtarza niemal radośnie prezenter. – W związku z morderstwem zatrzymano pewną kobietę.

I właśnie w tym momencie dzwoni mój telefon.

– Nie możesz odbierać! – Tom stuka w swój zegarek. – Już spóźniliśmy się trzydzieści sekund.

Numer zastrzeżony.

Bywało już parę razy, że Ed (a czasem Carla) dzwonił, żeby się umówić w sprawie weekendów Toma. Od kilku miesięcy, dzwoniąc do mnie, Ed zaczął ukrywać numer. Pewnie dlatego, że czasem ignorowałam jego telefony. Jeśli to pilne, mówię sobie, Ed – czy ktokolwiek to jest – zadzwoni ponownie. Zbieram notatki, chociaż jestem przygotowana, i ruszam przez boisko z synem, który dorwał się do mojego telefonu i bawi się nim. W innej sytuacji próbowałabym mu go odebrać, ale teraz jestem zbyt skoncentrowana na czekającym mnie spotkaniu.

– Dziękuję, że pani przyszła – mówi dyrektorka.

Ma uprzejmą minę, ale ubrana jest raczej bez gustu. Patrzę, jak Tom ustawia swoje krzesło, żeby było w równej linii z moim, i po cichu myślę, że to jedna z tych kobiet, które do wełnianej sukienki po kolana noszą płaskie botki tuż za kostkę. Twierdzi, że jest specjalistką od zespołu Aspergera, ale chwilami odnoszę wrażenie, że nie rozumie Toma, bo kieruje do niego pełne emocji pytania. To nie najlepszy pomysł, doświadczyłam tego na własnej skórze.

– Chciałabym od razu przystąpić do rzeczy, jeśli pani pozwoli – zaczyna. – Tomie, może chciałbyś powiedzieć jeszcze raz, dlaczego uderzyłeś Stephena, mimo że w tej szkole nie tolerujemy przemocy.

Tom gapi się na nią, jakby zgłupiała.

– Już mówiłem. Wykopał moje tenisówki z szeregu.

Czy mówiłam, że Tom nie okazuje emocji? Ale w jego oczach wzbiera furia, a na szyi pojawiają się plamki. Przesuwanie rzeczy to według zasad Toma czyn przeciwny prawu. Jego prawu. Prawu Toma, które rozumie tylko on.

Dyrektorka robi notatki. Ja też. Nasze długopisy współzawodniczą. Mój syn przeciwko tej kobiecie, która tak fatalnie się ubiera.

– Ale to nie usprawiedliwia bicia.

– Parę tygodni temu Carla uderzyła tatę. Chciał jeszcze jednego drinka, a ona nie chciała, żeby pił.

Zapada milczenie. Nasze długopisy jednocześnie zamierają.

– Kto to jest Carla? – dyrektorka pyta niebezpiecznie neutralnym tonem.

– Żona mojego męża – słyszę swoje słowa.

Dyrektorka unosi brwi. Zauważam, że wymagają regulacji. Są siwe i krzaczaste.

– To znaczy żona mojego byłego męża – dodaję. I tak brzmi to dziwnie. Jak ktoś inny może być żoną Eda? Jak to możliwe, że Carla nosi jego obrączkę? Można z kimś spać, ale małżeństwo? Z dzieckiem, które mieszkało po sąsiedzku?

Głos dyrektorki jest zwodniczo łagodny.

– Tomie, czy sprawia ci to trudność, że twój ojciec ożenił się z inną kobietą?

Wstaję i kładę rękę na ramieniu syna.

– Wydaje mi się, że nie powinna pani zadawać takich pytań. Chyba że w obecności psychologa szkolnego.

Patrzemy sobie w oczy. Widzę, że pod tą fatalną sukienką i butami kryje się wola ze stali. Powinnam to wcześniej zauważyć. Czy sama nie ubierałam się kiedyś źle?

Nagle szczeka pies. Z początku nie chwytam, co się dzieje. Po czym przypominam sobie, że jak tu szliśmy, Tom bawił się moim telefonem. Musiał zmienić dzwonek. Kolejny raz. Tym razem brzmi jak pies Baskerville'ów.

Ross.

Dyrektorka patrzy z dezaprobatą. Tom, wylękniony, przechyla krzesło, na którym siedzi.

– Przepraszam – mówię, próbując wyłączyć telefon. Niechcący jednak naciskam głośne mówienie.

– Lily?

– Pozwól, że do ciebie oddzwonię. – Robię przeproszającą minę pod adresem dyrektorki i wyłączam głośnik. – Jestem na spotkaniu.

– Chwileczkę.

Zasycha mi w ustach. Coś się stało. Wiem.

– Przykro mi, ale mam złe wiadomości.

Mów! – chcę powiedzieć, ale słowa nie wychodzą mi z ust. Dyrektorka patrzy na mnie. Krzesło Toma za chwilę się przewróci.

– Chodzi o Eda. Nie wiem, jak to powiedzieć. On nie żyje. Został zamordowany.

– Nie żyje? – powtarzam na głos.

Krzesło Toma znów stoi na podłodze, ale prawym palcem dłubie teraz w zębach. To oznaka stresu.

– Zamordowany? – szepczę.

– Tak.

Strumyczek moczu spływa mi po nodze. Nie, nie w gabinecie dyrektorki! Śmieszne, ale to zdaje się być ważniejsze niż ta straszna wiadomość.

Po czym przypomina mi się informacja z radia:

„W jednym z domów w zachodnim Londynie znaleziono zasztyletowanego mężczyznę...”

Nie. Nie! Ludzie, o których mówi się w radiu, nie mają nic wspólnego z ludźmi w prawdziwym życiu.

Ofiary wypadków na autostradzie czy ataku nożowego w Stockwell należą do innych rodzin. Nie do mojej. To nie może być mój mąż! Mąż, który nie jest już moim mężem.

– Aresztowano Carlę. – Ross mówi takim głosem, jakby sam nie mógł w to uwierzyć.

„W związku z morderstwem zatrzymano kobietę” – odtwarza mi się w głowie wiadomość z radia. Tom ciągnie mnie za rękaw.

– Mamo, dlaczego masz taką śmieszoną minę?

– Chwileczkę, Tom.

Zasłaniam telefon ręką i odwracam się od dyrektorki i syna.

– Ona... ona to zrobiła? – szepczę.

Wyczuwam, że Ross kiwa głową. Widzę go, jak tam stoi, starając się zachować spokój.

– Jest w areszcie policyjnym. Ale to nie wszystko.

Co jeszcze? – chcę powiedzieć. Co jeszcze mogło się stać oprócz tego, co już się stało?

– Carla chce się z tobą zobaczyć.

Rozlega się dziwny dźwięk.

Jakby ktoś właśnie usiadł na podłodze i głośno westchnął. Gdybym jej lepiej nie znała, pomyślałabym, że to westchnienie oznacza poddanie się.

Słuchaj, usiłuję powiedzieć. Może razem uda nam się to jakoś uporządkować.

Ale słowa nie wychodzą mi z ust.

Brakuje mi oddechu, żeby mówić.

A jeśli umrę, zaim mnie tu ktoś znajdzie?

Czy dojdą, co się tak naprawdę stało?

Carla

Nie mam nic do powiedzenia.

To właśnie należy zalecać klientom, żeby mówili, kiedy zostaną aresztowani. To jedna z nielicznych zasad prawa karnego, które utkwily jej w pamieci.

– Nie mam nic do powiedzenia – powtarzala. Robil sie z tego refren. Melodia, ktora towarzyszyta lomoczacemu w skroniach pulsowi.

– Opowiedz mi, jak to bylo – rzekl glos. Byl to glos kobiety, dochodzacy od strony granatowego kostiumu po drugiej stronie biurka. Ale nie wolno jej na nia patrzec. Gdyby popatrzyla, moglaby powiedziec cos, czego nie powinna.

Oddychaj glęboko.

Nie mam nic do powiedzenia.

W jej myslach wydarzenia ostatnich paru godzin przetaczaly sie raz za razem, jak szybko przewijany film.

Wizyta Ruperta.

Krzyk Eda.

Nóz.

Krew.

Krzyk Poppy.

Jęk Eda.

Twarz.

Twarz mężczyzny.

Potem bieg.

Nagła świadomość, że zostawiła Poppy samą.

Głos mammy w głowie.

Mówi, żeby pozbyła się rękawic.

Jakaś ręka na jej dłoni.

Silna ręka.

Syrena.

Kajdanki.

Ludzie się gapią.

Hańba policyjnego samochodu.

Nie mam nic do powiedzenia.

Spadające gwiazdy.

Materac.

Poranek.

Biurko.

Ostry głos z drugiej strony.

Nie mam nic do powiedzenia.

Ulga.

Ktoś, kto mógłby uwierzyć w jej wersję wydarzeń.

Dopiero wtedy podniosła głowę i spojrzała na siedzącą naprzeciwko niej kobietę. Miała znamię pośrodku prawego policzka. Wyróżniało się niczym trzecie oko.

Zwróciła się do tego znamienia. Znaleźć czyjś słaby punkt. Coś, co go wyróżnia. Tak postępowano z nią w szkole. Więc nic w tym złego, że i ona postępuje tak wobec innych. W ten sposób się wygrywa.

– Mam prawo spotkać się z prawnikiem – powiedziała pewnym głosem do znamienia. – To jej numer. Znajdą ją.

– Ją? – spytał głos.

– To kobieta. Lily Macdonald.

Granatowy kostium popatrzył w papiery na biurku.

– To samo nazwisko, co twoje?

Carla kiwnęła głową.

– Tak. To samo. – Po czym, jakby ktoś inny poruszał jej wargami, dodała: – Żona mojego męża. Pierwsza.

Lily

Cukier? Taśma klejąca? Ostre narzędzia? Guma do żucia?

A co z czipsami? Może tutaj do przekupstwa używa się nie czipsów, tylko gumy do żucia? A może ma inne zastosowanie... Już dość dawno nie odwiedzałam klienta w areszcie policyjnym. Odkąd wyjechałam z Londynu, moja praca kręciła się wokół rodziców takich jak ja. Ludzi, których życie zostało rozdarte z powodu nieustannego usiłowania, by odpowiednio zadbać o dziecko, które jest inne. I którzy nie dostali od państwa tego, co im się należało. Chodziło nie tylko o niemowlęta uszkodzone podczas porodu, których dokumenty szpitalne „zniknęły”. Również o dzieci takie jak Tom, których bliscy musieli walczyć, żeby trafiły do właściwej szkoły, a jednocześnie użerać się o zasiłek.

Sprawy dotyczące morderstwa, kradzieży, bankructwa albo prania pieniędzy – a z nimi wszystkimi miałam do czynienia podczas londyńskiej praktyki – teraz, w mojej pamięci, były bardzo odległe.

Ale oto jestem. Pokazuję policjantce za biurkiem dowód tożsamości ze zdjęciem. Nadal nie bardzo wiem, dlaczego tu jestem. Dlaczego nie jestem w domu, z Tomem (dyrektorka dała mu tygodniowe zwolnienie ze szkoły, ze względu na „okoliczności”). Dlaczego pocieszenie syna zostawiłam mamie (choć Tom był zaskakująco trzeźwy i zadawał pytania w stylu: „Co się stanie po śmierci z mózgiem taty?”). Dlaczego trafiłam na komisariat.

Za chwilę mam się spotkać z żoną mojego męża.

Mnóstwo się wydarzyło od tamtego wieczoru w Londynie, kiedy zastałam Carlę i mojego męża przed hotelem. Rozwód. Informacja od Rossa, że Carla jest przy nadziei. Narodziny ich córki. Śmierć Eda. Brzmi to tak nierealnie, że muszę sobie powtórzyć jeszcze raz.

Dzieje się to w dość krótkim czasie. Niepokojąco krótkim. Prawie tak, jakby całość zaplanowano przy użyciu jednego z tych sprytniutkich wykresów płodności. Narodziny. Śmierć. Przeciwnieństwa, które mają ze sobą więcej wspólnego, niż nam się wydaje. Oba są początkiem. Oba są końcem. Oba są cudem, którego nie potrafimy w pełni wyjaśnić.

I nagle do mnie dociera, dlaczego tu jestem. Nie żeby spełnić prośbę Carli. (Zadzwoiła do Rossa, bo ja nie odbierałam. Pewnie to ona była tym „numerem niezidentyfikowanym”). Nie. Jestem tutaj, bo chcę jej spojrzeć w oczy. Chcę zapytać, dlaczego to zrobiła. Chcę jej powiedzieć, że zniszczyła życie nas trojga. Że jest dziwką. Dziwką, która miała chętkę na mojego męża od chwili, kiedy go zobaczyła. Dzieckiem z sercem dorosłej łajdaczki.

Tak, chciałam kary dla Eda, ale nie aż takiej. Morderstwa. Opłakuję tego mężczyznę o płowych włosach, który przed laty wziął mnie na przyjęciu za rękę. Nie mogę uwierzyć, że nie żyje. Ani w to, że trzeba było jego śmierci, żeby do mnie dotarło, że – niech to szlag – nadal go kocham, chociaż nie wiem za co.

Kiedyś w moim dawnym biurze jedna z kobiet przyszła któregoś dnia do pracy z zaczerwienionymi oczami. „Umarł jej były mąż”, szepnęła jedna z sekretarek. Wtedy nie byłam w stanie pojąć, dlaczego tak ją to zasmuciło. Ale teraz rozumiem. Fakt, że nie ma się prawa do żałoby po kimś, z kim kiedyś dzieliło się życie, sprawia, że ból jest tym większy.

Schodzimy po schodach. Moje wysokie obcasy głośno stukają na kamiennych stopniach. Z początku, kiedy dopiero co zaczęłam odwiedzać komisariaty, w celach był tylko poplamiony materac na podłodze,

okno pocięte żelaznymi kratami i – jeśli się miało szczęście – plastikowy kubek z wodą.

W tej celi jest okno bez krat. Dystrybutor wody. I Carla. Siedzi na łóżku, macha nogami i spogląda na świat jak znużona modelka czekająca na swoją kolej na wybiegu. Mówię „modelka”, chociaż włosy ma zmatowiałe. Zazwyczaj lśniące czerwienią usta teraz są blade, nieuszmkowane. Czuć ją potem.

Mimo wszystko jest w niej to coś. Styl, którego nie ima się to obskurne otoczenie. Prezencja sugerująca, że ma coś znacznie lepszego do roboty, niż tutaj siedzieć.

– To nie ja. – Głos ma cichy. Lekko schrypnięty. Wyzywający.

– Dziękuję, Lily, że przysłałaś – mówię, jakbym przypominała nadąsanej nastolatce o zasadach dobrego wychowania. – Dziękuję, że przyjechałaś taki kawał z Devon, żeby spotkać się z kobietą, która zamordowała twojego męża.

Schyła lekko głowę. Znów przypomina mi trudną nastolatkę.

– Już mówiłam. – Patrzy mi w oczy. Ani mrugnie. Głos ma spokojny. Bardziej pewny siebie niż przed chwilą. – To pomyłka. Ja tego nie zrobiłam.

Śmieję się w głos. Mówi dokładnie tak samo, jak tamto dziecko, które niegdyś znałam. Mała Włoszka z wielkimi brązowymi oczami i niewinnym uśmiechem. „Mamma jest w pracy. Ten piórnik jest mój”.

Kłamstwa. Same kłamstwa.

Gniew we mnie wzbiera.

– Chyba nie liczysz, że w to uwierzę?

Wzrusza ramionami, jakbym mówiła, że skręciła w niewłaściwą stronę na drodze.

– To prawda.

– Więc kto to zrobił?

Znowu wzruszenie ramion. Po czym, oglądając uważnie paznokcie, jeden po drugim, mówi:

– Skąd mam wiedzieć? Chyba kogoś widziałam... jakiegoś mężczyznę.

Ciarki mnie przechodzą. Czy to kolejna z jej historyjek?

Nachylam się ku niej.

– Carla, mój mąż nie żyje. Tom jest w rozpacz, bo zamordowano mu ojca.

Podnosi wzrok i patrzy na mnie tym zimnym, kocim spojrzeniem.

– Mylisz się.

Momentalnie budzi się we mnie nadzieja. Ed nie umarł? Ktoś gdzieś wszystko to źle zrozumiał?

– On już nie był twoim mężem. Był moim.

– Pffff – wrywa mi się. – Byłam jego żoną przez piętnaście lat. Razem wychowywaliśmy dziecko.

Przerywam na chwilę, bo przypomina mi się test na ojcostwo. Upycham poczucie winy z powrotem tam, gdzie było, i mówię dalej.

– Ty byłaś zabawką. Nikim. Byłaś z nim przez mgnienie oka. To nie jest małżeństwo.

– Jest, w świetle prawa. I o czymś zapominasz. Mamy dziecko. – Zaciska pięści. – Oddali moją córkę do rodziny zastępczej. Potrzebuję cię, żeby ją odzyskać.

Staram się odpędzić budzące się współczucie.

– Niemowlę – pryham. – Dopiero zaczęłaś. Nie musiałaś przechodzić przez to, co ja. Nie musiałaś zrezygnować ze wszystkiego, żeby zajmować się trudnym dzieckiem, kiedy Ed...

– Ha! – przerywa mi wściekle Carla. – Nie bądź taka święta. Ja swoje też zapłaciłam. Ed nie był łatwy na co dzień. Picie, kłamstwa, zmienne nastroje, zazdrość, tak zwany artystyczny temperament...

Więc dla niej też był taki? Co za satysfakcja. Ale kiedy słyszę to z jej ust, odruchowo chcę go bronić. Był pod presją... Odczuwał wszystko zbyt mocno... Jak to jest, że mam skłonność do pamiętania tego, co najlepsze w moim byłym, a nie tego, co złe? Mimo to muszę się zgodzić, że miał swoje wady.

– Był takim despotą. – Carla się wstrząsa. – A wobec ciebie zachował się jak drań.

Nie podoba mi się to słowo, ale łapię się na tym, że kiwam głową. Wstrzymuję się. Czas zachować się profesjonalnie.

– Despotą? – powtarzam. – Czy to dlatego go zabiłaś?

Teraz ona się nachyla. Dłonie ma zaciśnięte w dwie kulki. Czuję jej oddech. Miętowy. Przepełniony strachem.

– Ktoś tam był. Mówiłam ci. Widziałam jakiegoś mężczyznę.

– Cóż, to wygodne. A jak ten człowiek wyglądał?

– Nie pamiętam.

Opiera się o ścianę i zakłada nogę na nogę. Wyluzowana. Za bardzo.

– Nie powinno mnie tutaj być. Jestem w szoku. A przy okazji, masz może jakąś szczotkę do włosów?

Szczotkę do włosów? Poważnie?

– Mnie też nie powinno tutaj być – mówię, wstając. To prawda. Powinnam być w szpitalu, w kostnicy.

Zidentyfikować męża, żeby nie musiał tego robić Ross.

– Nie. Proszę. Zostań.

Chwyta mnie za dłoń. Rękę ma zimną. Zimną jak kamień. Próbuję się wyrwać, ale trzyma mnie mocno, jakbyśmy właśnie spotkały się przy kolacji i odkryły, że mamy wspólnego przyjaciela.

– Potrzebuję cię, Lily. Chcę, żebyś poprowadziła moją sprawę.

– Zwariowałaś? Dlaczego miałabym ci pomagać? Ukradłaś mi męża.

– To prawda. Ale jeśli zostaniesz moim obrońcą, będzie to sygnał dla świata, że nawet kobieta, którą skrzywdziłam, uważa, że nie zabiłam Eda. Adwokat, którego sobie dobierzesz, będzie ci ufał. I jesteś dobrym człowiekiem. Jesteś znana z tego, że ratujesz ludzi na przegranej pozycji.

Zamrugnęła.

– A teraz to jestem ja.

Zniknęła pewna siebie kobieta. Wróciło dziecko z kluczem na szyi.

Ale nadal tego nie ogarniam.

– Powiedzmy, że mówisz prawdę. Co ja z tego będę miała? Dlaczego mam bronić kobiety, która zniszczyła moją rodzinę?

– Bo zanim wyprowadziłaś się z Londynu, przegrałaś wszystkie sprawy, w których występowałaś jako obrona. – Teraz wkracza dorosła Carla. – Może dobrze ci idzie ze sprawami o zaniedbanie obowiązków. Ale to jest szansa, żeby udowodnić, że znowu dajesz sobie radę z morderstwami.

Patrzy na mnie, jakby wiedziała, że trafiła w czuły punkt.

– Lily, proszę. Zrób to dla Poppy, jeśli nie możesz zrobić dla mnie.

– Dla kogo?

– Dla mojego dziecka. Naszego dziecka.

Nie znałam jego imienia. To było celowe. Poprosiłam Rossa, żeby mi nie mówił. Dzięki temu było mniej realne.

– Jeśli pójdę do więzienia, stracę córkę. – Oczy Carli napełniają się łzami. – Ja... nie czułam się za dobrze od jakiegoś czasu. Nie byłam... nie byłam zbyt dobrą matką. Ale teraz moja własna matka nie żyje.

Nie wiedziałam.

– Przykro mi. Jak to się stało?

– Rak.

Podnosi na mnie te swoje wielkie brązowe oczy.

– Tak za nią tęsknię! Nie mogę pozwolić, żeby Poppy tęskniła tak za mną. Proszę, Lily. Jesteś matką. Pomóż mi.

– Być może – mówię – rodzina zastępcza będzie dla niej najlepsza. – Te przykre, szorstkie słowa niemal sprawiają mi przyjemność.

Wpija się we mnie wzrokiem.

– Naprawdę tak nie myślisz, Lily. Wiem, że nie.

Niech ją cholera. Ma rację... Mówimy o dziecku. O dziecku, które będzie krzyczało w udęce, bo nie będzie czuło zapachu matki. Dzieci, bez względu na wiek, potrzebują rodziców. Jak Tom by sobie poradził, gdyby nie było mnie w pobliżu?

– Ale nie jestem pewna, czy wierzę w twoją niewinność.

– Musisz uwierzyć. – Carla jeszcze mocniej zaciska dłonie na moim przegubie. Znów jest małą dziewczynką. Ja jestem ta starsza. Za stara, żeby być jej siostrą. Za młoda, żeby być matką. Ale mamy ze sobą tyle wspólnego. Jakby jej życie było nieodłącznie związane z moim i choćbym nie wiem jak starała się jej pozbyć, zawsze będzie przy mnie. Złowrogi cień? Czy dziecko, którego nie zrozumiano?

Przeciągam rękami po włosach.

– Skąd wiesz, że nie będę cię kiepsko bronić? Tak żebyś została skazana. Żeby się na tobie odegrać.

W oczach ma zaufanie.

– Bo jesteś na to zbyt etyczna. I dlatego, że jesteś zbyt ambitna. Przemyśl to, Lily. Możesz się zapisać w historii jako prawniczka, która doprowadziła do uniewinnienia nowej żony swojego męża.

Muszę przyznać, że coś w tym jest. A jednak to rozumowanie ma liczne słabe punkty: jest wiele wad w takiej linii obrony. Nie przywiązuję też wagi do tego, że Carla nadal nosi moje nazwisko. To prawnicza technika, żeby uzyskać współpracę klienta. I ona o tym wie.

– Pozostaje ta drobna kwestia, kto zamordował Eda, jeśli nie ty to zrobiłaś.

Pomimo że wypowiadam te słowa, brzmią fałszywie. Mój mąż – bo nadal tak go widzę – nie mógł przecież naprawdę umrzeć. Jest w domu. W moim dawnym domu. Rysuje. Oddycha.

Uścisk Carli jest silny jak na dziewczynę tak drobną. Wciąż usiłuję się z niego wywinąć, ale wygląda na to, że uczepiła się mnie jak koła ratunkowego.

– Ed był po uszy w długach. Nie wydaje mi się, żeby zawsze pożyczał pieniądze legalnie. Może ktoś chciał, żeby je zwrócił. Policja na pewno to wykryje. A ja widziałam tego człowieka w drzwiach. Ktoś musiał coś widzieć.

Wydaje się taka pewna. Nogi zaczynają mi się trząść, tak jakby poruszał nimi ktoś inny.

– Jest coś jeszcze. Dostawałam anonimowe listy. – Carla wpatruje się we mnie. – Wynikało z nich, że mnie i Poppy przytrafi się coś złego za to, co ci zrobiłam.

Robi mi się gorąco, potem zimno.

– Zatrzymałaś je?

– Tylko ostatni. Potem go podarłam, jak pozostałe, bo bałam się, że Ed się wścieknie. Ale rozpoznałabym charakter pisma.

Charakter pisma?

Paralizujący chłód pełnie mi po ciele i pożera je centymetr po centymetrze.

– Nie stać cię na mnie. – Chwytam się słomki. – Nie mogę tego zrobić za darmo. Moja firma obciąży cię kosztami.

Oczy jej lśnią. Widzi, że ze mną wygrywa... I nagle, zanim się jeszcze odezwie, wiem, co chce powiedzieć.

– Szkice Eda! Te, które mi dał, jak byłam mała. Teraz są coś warte. Sprzedam je, żeby udowodnić swoją niewinność!

Muszę przyznać, że smakuje to jak najpyszniejsza ironia.

Carla

Oczywiście cała ta gadka o tym, jak potrzebuje Poppy i jak chce ją odzyskać, nie była na poważnie. To było tylko po to, żeby przeciągnąć Lily na swoją stronę.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy znów czuła się sobą, taką jak dawniej. Wraz ze śmiercią Eda przestała być dzieckiem, które wszystko robi źle. Krzyk Poppy nie dźwięczał jej już dzień i noc w uszach, ponure przypomnienie – tak jakby go potrzebowała... – że gdyby nie zaszła w ciążę, nadal byłaby wolna. Bez dziecka sypiała lepiej, chociaż w jej snach ciągle pojawiała się mamma. Czasem podrywała się w nocy i siadała wyprostowana, przekonana, że matka nadal żyje. Potem sobie przypominała. Ach, gdyby tak mogła, szlochała, spotkać się wreszcie z mamą!

Na razie musiała przekonać sędziego, że jest niewinna.

Choć we mgle smutku i żałoby, szybko się zorientowała, że trudniej jest być oskarżoną niż prawniczką. Gdyby tylko lepiej rozumiała, co się dzieje! Gdyby specjalizowała się w prawie karnym, a nie w prawie pracy!

Teraz, kiedy Lily przygotowywała przesłuchanie w sprawie zwolnienia za kaucją – żeby ustalić, czy musi czekać na proces w areszcie czy nie – Carla próbowała przypomnieć sobie rozprawy o morderstwa, z którymi miała do czynienia na studiach.

– Przecież wystarczy, jak nie będę się przyznawała do winy – mówiła do Lily.

– To nie takie proste. – Lily zerknęła w notatki. – Sędzia weźmie pod uwagę dowody, na przykład drzwi frontowe i tylne, na których nie ma śladów włamania, a potem zadecyduje, czy możesz stanowić zagrożenie.

– Zagrożenie? – nadała się. – Kogo niby miałabym skrzywdzić?

– W tym cała rzecz, Carla. Sędzia nie zna cię od Adama i Ewy. Wie tylko tyle, że jesteś zabójczynią męża. Bardzo rzadko się zdarza, żeby wyjść za kaucją przy oskarżeniu o morderstwo. Ale nie jest to niemożliwe.

Lily się denerwowała. Widziała to. Lepiej nie naciskać, powiedziała sobie. Była szczerze zdumiona, kiedy Lily zgodziła się wziąć jej sprawę. No i miała szczęście – a przynajmniej tak powiedziała jej Lily – że przesłuchanie w sprawie poręczenia miało odbyć się tak szybko.

Kiedy spotka się z sędzią, z pewnością dojdzie on do wniosku, że nie jest żadną morderczynią. Lily przyniosła trochę szamponu i suszarkę do włosów; szczotkę też, chociaż cienką okrągłą, a nie szeroką i płaską, której zwykle używała. Pożyczyła jej także ciemnobrązową sukienkę do połowy łydki, chociaż Carla dokładnie opisała, którą chciałaby z własnej szafy.

– Ta jest skromniejsza – powiedziała szorstko Lily. – To ważne.

Starła się. Carla musiała to przyznać. Co zachwiało jej postanowieniem? Ten kawałek, że Ed to drań? Ten kawałek o dziecku? A może argument, że jeśli weźmie jej sprawę, to wesprze własną karierę?

Może wszystko po trochu.

Byłoby jednak łatwiej, gdyby Lily była dla niej miłsza i nie zachowywała się tak opryskliwie i chłodno. Chłód... Ciało Eda jest już zimne. Wydaje się to niemożliwe. Wszystko to wydaje się niemożliwe. Lada moment obudzi się w domu. Nie w „domu”, który kiedyś należał do Lily i Eda. W prawdziwym domu.

W domu we Włoszech.

Słońce sączy się przez okiennice. Głosy dzieci idących do szkoły. Stary człowiek z sąsiedztwa narzeka na turystów. I mamma. Piękna mamma, która woła ją tym swoim melodyjnym głosem: „Carla! Carla!”

– Carlo Giuliano Macdonald. Czy przyznaje się pani do winy?

Czy stali już przed obliczem sędziego? Carla rozejrzała się po sali sądowej. Tak łatwo jest podróżować w myślach. Tak łatwo wymazać wszystko z pamięci.

Teraz patrzyli na nią. Z oddali. A potem z bliska. To dalej, to bliżej. Sala kołysała się. Bariierka przed nią była śliska od jej spoconych dłoni. W uszach głośno dzwoniło.

– Jestem niewinna – zdołała powiedzieć.

A potem sala zatańczyła, zachwiała się w przód i w tył, jakby ktoś rozciągał ją, a potem składał, jak akordeon, na którym zwykł grać stary człowiek na placu przy fontannie, tam, w domu...

Pierwsze, co zobaczyła, kiedy otworzyła oczy, to Lily. Lily w eleganckim granatowym kostiumie, który mógł uchodzić za czarny, jeśli nie przyjrzało się dokładniej.

– Dobra robota – powiedziała Lily.

Trudno było poznać, czy był w tym sarkazm.

Carla rozejrzała się, żeby zyskać na czasie. Nie znajdowały się w policyjnej celi. Ani w sądzie. Były w pomieszczeniu, które przypominało trochę biuro.

– Udało ci się zyskać współczucie sędziego tym cokolwiek dramatycznym omdleniem. Na szczęście dla ciebie twój dziadek wpłacił kaucję.

Nonno? Carla znów zaczęła się pocić.

– Wie o tym?

– Wszyscy wiedzą. Prasa ma swój dzień. W tej chwili jest przed sądem. Czekają na nas z kamerami, aparatami.

Oczy Lily lśniły. Świeciły się jej jak zwierzęciu, chociaż trudno było powiedzieć, czy szuka żeru, czy sama ucieka przed myśliwymi. Ta myśl ją zaniepokoiła.

– Nazywają to „Trójkąt na sali sądowej”. Ktoś wywahał, że miałyśmy tego samego męża. – Lily roześmiała się ochryple. – Chciałabym móc powiedzieć, że nie jednocześnie, ale trochę to na siebie zachodziło, prawda?

– Przepraszam.

– Mówiłaś coś? – Lily stała nad nią jak nauczycielka. – Nie dosłyszałam. Zechciałabyś powtórzyć?

– Powiedziałam: przepraszam.

Lily przechyliła głowę.

– I naprawdę myślisz, że zwyczajne „przepraszam” wystarczy, żeby wszystko wymazać? Że wynagrodzi zniszczenie mojego małżeństwa i to, jak się to odbiło na moim synu?

– Małżeństwo z Edem nie było łatwe.

– Jeśli dalej tak będziesz mówić, to wszyscy pomyślą, że naprawdę zabiłaś Eda, włącznie ze mną. – Lily mówiła ostrym tonem, ale Carla wiedziała, że uderzyła w czułe miejsce. To był początek. Powolny, ale pewny. Nauczyło ją tego prawo pracy. Zaczynaj od zaprzysiężenia się ze stroną. Szczególnie jeśli to twoja własna strona...

– Świetnie. Idziemy, dobrze? Patrz przed siebie, kiedy wyjdziemy, i bez względu na wszystko do nikogo się nie odzywaj. Gotowa?

Wyszły za policjantem z sali sądowej. Lily kroczyła pewnym, zdecydowanym krokiem. Wyszły na ulicę. Z początku Carla myślała, że to słońce tak mocno świeci, ale kiedy opuściła rękę, zobaczyła flesze. Kamery. Morze twarzy. Przekrzykujące się głosy.

– Carla, czy to prawda, że twoja adwokatka była żoną twojego męża?

– Carla, jak pani sądzi, kto zabił pani męża, skoro to nie pani go zabiła?

– Lily, dlaczego wzięła pani sprawę żony swojego eksmałżonka? Zawsze byłyście przyjaciółkami?

Carla wzdrygnęła się, kiedy Lily chwyciła ją za ramię. Mocno. Bolesnie.

– Do samochodu. Ale już.

Udało im się jakoś zejść po schodach i wsiąść do czekającego na dole srebrnego samochodu.

– Dobrze to zorganizowałaś – powiedziała Carla z niechętnym podziwem. Lily usiadła z przodu i zwróciwszy głowę w bok, patrzyła na morze ludzi. Nagle zamarła.

– Co się stało? – zapytała Carla.

Lily poróżowiła.

– Nic. – Odwróciła się i usiadła tyłem do Carli.

Carla pomyślała, że Lily musiała coś zobaczyć. Albo kogoś. Kogo? Próbowwała sama popatrzeć, ale samochód szybko ruszył, płynnie manewrując w strumieniu wyjeżdżających z Londynu aut.

Najlepiej będzie, powiedziała Lily podczas jazdy, jeśli zatrzyma się u niej, w Devon. Tam będzie spokojniej, z dala od tłumów. Będą mogły razem popracować nad sprawą. Jeśli Carla zechce, będą mogły nawet wystąpić o to, żeby zamieszkała z nimi Poppy.

– Zrobiłabyś to dla mnie? Zgodziłabyś się, żeby zamieszkało z nami dziecko Eda?

Carle opuściła odwaga. Poppy z jej niebieskimi, wszystkowidzącymi oczami była ostatnią osobą, której potrzebowała. Mogła sprawić, że znów pomiesza się jej w głowie.

– Czemu nie? To nie jej wina.

Lily miała to wszystko przemyślane.

Jakże mało wiedziała.

Lily

Muszę przyznać, że lęki Carli nie są bezpodstawne. Łatwo byłoby wziąć sprawę żony mojego męża i przyjąć tak słabą linię obrony, że przepadłaby z kretesem.

Ale nie tak to należy zrobić.

– Pozwól, że będę mówić całkiem otwarcie. – Jesteśmy z Carlą w salonie moich rodziców z oknami wychodzącymi na morze. Carla podwinęła nogi i wtuliła się w różowy aksamitny fotel, na którym siadywałam od dzieciństwa. Przeciąga się w potokach słonecznego blasku wpadającego przez panoramiczne okno, jakby była gościem, a nie klientką, którą – ku zdumieniu mojej matki – na okres przygotowań do sprawy zaprosiłam do domu.

– Musisz mi powiedzieć wszystko – ciągnę. – Niczego nie zatajać. A ja w zamian zrobię, co mogę, żeby cię wyciągnąć.

Mruży oczy.

– Skąd mogę to wiedzieć? A jeśli tak naprawdę chcesz mnie pogrążyć?

– Skoro się o to martwisz, to czemu mnie poprosiłaś, żebym cię reprezentowała?

– Mówiłam ci. Bo wiesz, jaki był Ed. I dlatego, że ludzie ci ufają.

Ed. Po raz kolejny na dźwięk tego imienia ściska mi się serce. Jak to możliwe, że można przejmować się człowiekiem, który tak nas skrzywdził?

– Powtarzam, Carla. Jeśli wezmę tę sprawę, to zrobię wszystko, co się da, żeby wygrać. – Urywam i patrzę w dal, na morze. Parę jachtów kołysze się na falach niczym rząd kaczek. To klub żeglarski, który zawsze wypływa w sobotę po południu. Tom uwielbia je obserwować, choć nieustannie zadaje pytania w stylu: „Czemu łodzie pływają po powierzchni wody, a ryby pod powierzchnią?” Jest nad wodą i teraz, z mamą. Poppy też, w starym wózku Silver Cross, który mama odgrzebała. Prawdę mówiąc, Poppy to jedna z przyczyn, dla których to robię.

Nie chcę lubić dziecka Eda. Naprawdę. Ale od pierwszej chwili, zaledwie zobaczyłam te śliczne rude włoski i krótkie, serdelkowate paluszki mojego męża, poczułam jakieś szarpnięcie w środku. To córeczka, którą my powinniśmy byli mieć. Dziecko, które może by się pojawiło, gdybyśmy nie byli tak zajęci przy Tomie.

Niewątpliwie pomaga i to, że dziewczynka nie jest zbyt podobna do matki. Dziwne też, że płacze za każdym razem, kiedy Carla bierze ją na ręce. I że Carla za każdym razem się krzywi.

– Oczywiście, że mówię ci wszystko – przerywa mi moje myśli głos Carli. – Dlaczego miałabym nie mówić?

Czasem trudno uwierzyć, że ta kobieta jest tak bystra, jak wszyscy zdają się sądzić.

– Dlatego, że każdy coś ukrywa – pryham.

– Ja nie ukrywam. – Patrzy mi w oczy. Przez chwilę mierzymy się wzrokiem. – Mówię ci prawdę.

Mówię prawdę. Czy nie to właśnie powiedział Joe Thomas, kiedy spotkałam się z nim po raz pierwszy? Joe, który był w tłumie przed budynkiem sądu. Obserwował mnie.

Znowu patrzę na morze. W oddali widać klify. Czerwone. Złe. W ostatnich latach ogromne kawały urwistego wybrzeża oderwały się i spadły do morza. Ludzie potracili ogrody na tyłach domów.

Ale o wiele gorzej jest stracić męża. Nieważne, że po mnie Ed był żonaty z tą kobietą. Ja byłam

pierwszą żoną. Ja byłam pierwsza.

– Miałam kiedyś klienta, który mnie okłamał. – Śmieję się półgębkiem. – Prawdopodobnie nie on jeden, ale o tym wiem na pewno, bo przyznał się po sprawie. To była apelacja. Już parę lat odsiedział, ale go wyciągnęłam. A potem mi powiedział, że jednak to zrobił.

Carla nie spuszcza ze mnie oczu.

– Wrócił do więzienia?

Kręcę głową.

– Powinien był. Ale nic nie mogłam zrobić, bo nie można odpowiadać dwa razy za to samo przestępstwo.

Dzwoni telefon. To adwokat, na wiadomość od którego czekałam. Postanowiłam, że nie będę sama występować przed sądem, a tylko będę jego doradcą. Jak powiedziałam Carli, nie wszyscy sędziowie lubią radców, którzy występują jako obrońcy w procesach o morderstwo, pomimo że mają stosowne kwalifikacje. Zasada przynależności związkowej i te rzeczy.

Rozmawiamy przez chwilę, po czym odkładam telefon i zwracam się na powrót do Carli.

– Wygląda na to, że musimy się pospieszyć. Wyznaczono termin rozprawy. Najwyraźniej traktują cię jako priorytet. Mamy niewiele ponad dwa miesiące na przygotowanie.

– Mam do ciebie zaufanie, Lily. Dasz radę. Zawsze byłaś pierwszorzędną w sądowej praktyce. – Carla przeciąga się i jakby wystawiając przede mną ciało na pokaz, z wdziękiem zakłada jedną smukłą nogę na drugą. To tymi nogami oplatała biodra mojego męża.

– Po co ją tu przywiozłaś? – pyta wciąż moja matka. – Nie rozumiem cię.

Oczywiście nie chodzi o Poppy i jej bezzębny uśmiech. Zrobiłam to, bo chcę, żeby Carla cierpiała. Chcę, żeby pomieszkała w domu pełnym naszych zdjęć, Eda i mnie. Zdjęć, które wcześniej zdjęłam i schowałam, a teraz porozwieszałam na nowo.

Chcę, żeby pomieszkała z byłą żoną swojego męża, żeby posłuchała, jak opowiadam o czasach, kiedy jej nie było. Żeby poczuła na sobie niechętną, karcące spojrzenia moich rodziców.

Ale przede wszystkim chcę, żeby się dowiedziała, jak to jest mieszkać pod jednym dachem z Tomem, którego życie zmieniło się raz na zawsze, kiedy ukradła mu ojca.

I to działa. Widzę to po oczach Carli. Bo choć wolałabym wierzyć, że „mała Włoszka po latach” jest do szpiku kości zła, to podejrzewam, że jest zdolna do poczucia winy tak samo, jak my wszyscy.

Carla

Kwiecień 2016

A więc proszę nam powiedzieć, co konkretnie pamięta pani z tego wieczoru, kiedy został zamordowany Ed Macdonald.

Carla знаła odpowiedź na pamięć. Przerabiała to przecież z Lily tygodniami, siedząc w bibliotece, a matka Lily zajmowała się w tym czasie Poppy.

Znacznie bardziej wolałaby być w tej chwili tam, a nie w sądzie. Pełnomocnik oskarżyciela, który właśnie zadał jej to pytanie, patrzył na nią z zimną pogardą. Zebrani na zewnątrz dziennikarze, była pewna, już ją uznali za winną. Spojrzała na galerię i zauważyła na niej kobietę o długich ciemnych lokach. Mamma! – o mało nie krzyknęła.

Ale wtedy kobieta się odwróciła i stało się jasne, że to wcale nie mamma.

– Na rozprawę często przychodzą zupełnie obcy ludzie – uprzedziła ją Lily. – Po prostu z ciekawości.

Dziwne, ale podczas pobytu w Devon to matka Lily („Mów mi Jeannie”) pomogła jej przetrwać żałobę.

– Wiem, co to znaczy kogoś stracić – powiedziała po dosyć chłodnym przywitaniu. – Ale musisz pamiętać, że sama teraz jesteś matką. My, matki, musimy być silne.

Dzięki Jeannie Carla dowiedziała się też, że odgłos włączonego odkurzacza potrafi czasem powstrzymać koszmarny krzyk Poppy (niesamowite!) i że niemowlęta wcale nie są takie kruche, jak myślała.

– Boisz się ją brać na ręce, bo z początku była taka maleńka i słaba – powiedziała Jeannie. – Ale teraz przecież kwitnie, prawda? Zobacz, jaki śliczny uśmiech!

Tom też okazał się pomocny. Ten jej wielki, niezdarny pasierb, który zadawał dziwne pytania i robił dziwne rzeczy, został wręcz zahipnotyzowany przez Poppy. Z początku się bała, że może jej zrobić krzywdę, ale potem, patrząc, jak nieudolnie próbuje karmić ją kaszką, a Poppy cały czas chichocze, zdała sobie sprawę, że niemowlęta naprawdę są znacznie wytrzymalsze, niż wyglądają.

Wszyscy byli dla niej bardzo uprzejmi. Doprawdy dziwne – przecież ukradła Lily męża.

– Uważają, że Ed powinien był się zachowywać bardziej odpowiedzialnie – powiedziała oschle Lily któregoś dnia.

Carla znowu spojrzała na galerię. Nigdy nie poznała rodziny Eda. „Nie mam już teraz z nimi za wiele wspólnego” – powiedział kiedyś. Ale może się po prostu przed nimi krępował, że zostawił żonę i syna... Tak czy owak, nie miała teraz pojęcia, czy są na sali, czy nie. Może to ci w pierwszym rzędzie, co tak się w nią wpatrują.

Carla wyprostowała się jeszcze bardziej i odwróciła wzrok. W środku była jednak zdrętwiała ze strachu. Kto zajmie się Poppy, jeśli ona pójdzie do więzienia? Nonno i nonna byli za starzy. Zbyt słabi też byli, żeby przyjechać na proces. „Oboje bardzo cię kochamy – napisała babcia. – Dziadek po prostu nie pokazuje tego po sobie, bo jest za dumny. Ale wiemy, że nie mogłabyś popełnić takiej strasznej zbrodni. Puszczą cię wolno, zobaczysz”.

Puszczą? Carla po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy na pewno dobrze zrobiła, prosząc Lily,

żeby ją reprezentowała. W swoim czasie wydawało się to mądre, ale teraz, kiedy siedziała na ławie oskarżonych, opadły ją wątpliwości. Lily cieszyła się kiedyś opinią jednej z najlepszych, ale w ostatnich latach nie praktykowała. A ten adwokat, którego wybrała? Lily nieustannie przekazywała mu karteczki, zwracając uwagę, że nie powiedział tego, co powinien, albo że coś pominął. Carla wolałaby, żeby to Lily była jej głównym pełnomocnikiem, ale Lily powiedziała, że lepiej, żeby występowała jako pomocnik adwokata. Już sam fakt, że zajęła się jej sprawą, wywołał wielkie poruszenie zarówno wśród dziennikarzy, jak i prawników. Na początku postępowania nawet sędzia zakwestionował ten wybór.

– O ile wiem, reprezentuje pani drugą żonę swojego męża – powiedział. – Czy nie należy tego postrzegać jako konfliktu interesów?

Lily ostrzegła ją, że to się może zdarzyć. I najwyraźniej była gotowa na to pytanie.

– Absolutnie nie, Wysoki Sądzie. Moja klientka celowo poprosiła mnie, żebym to ja ją reprezentowała. Uważa, że stoimy na wspólnym gruncie.

Po galerii przeleciał szmer śmiechu. Ale to nie było śmieszne. To była prawda.

Wróciła do pytania oskarżyciela. Co zapamiętała z tego wieczoru, kiedy zamordowano Eda?

– Powiedziałam to już do protokołu.

Lily spojrzała na nią i zmarszczyła brwi. „Zawsze zachowuj się z szacunkiem – przestrzegła ją wcześniej. – Przygotuj się, że będziesz musiała wiele razy odpowiadać na te same pytania dotyczące faktów”.

Carla opanowała się.

– Przepraszam. Po prostu jestem bardzo zmęczona.

Błysnęła uśmiechem, jednym z najlepszych, w stronę młodego człowieka na ławie przysięgłych, który od początku się jej przypatrywał. Był po jej stronie. „Ubierz się skromnie” – powiedziała Lily. Ale Carla nie była w stanie zmusić się do włożenia tego koszmarnego stroju, który jej zaproponowano. Uparła się przy eleganckim żakiecie i swojej ulubionej obcisłej czarnej spódnicy. Wiedziała, że zwraca uwagę.

– Czy mogłabym zeznawać na siedząco?

Sędzia skinął krótko głową. Dzięki Bogu, był mężczyzną. Miała większą szansę, żeby jego też przeciągnąć na swoją stronę, o ile właściwie rozegra kartę.

– Byliśmy z Edem w domu. Znowu był pijany. – Zamknęła oczy. – Zaczął na mnie krzyczeć. Twierdził, że nasze dziecko nie jest jego... – Jej oczy wypełniły się łzami.

– A czy był ojcem pani dziecka?

Carla uniosła podbródek.

– Oczywiście. Kochałam męża. Nigdy bym go nie zdradziła. Jeśli trzeba, poddam się testowi DNA, żeby to udowodnić.

Pełnomocnik przechadzał się tam i z powrotem.

– A czy nie było tak, że wieczorem w dniu morderstwa odwiedził panią w domu dawny chłopak, Rupert Harris? Czy myślała pani, żeby porzucić męża dla niego?

Carla była tak wstrząśnięta, że przez chwilę nie była w stanie nic powiedzieć. Jej własny adwokat też zdawał się zaskoczony. Był to młody człowiek, który nieustannie zaglądał w notatki, jakby się denerwował, że o czymś zapomni. Ale zgodnie z tym, co mówiła Lily, „był do tej roboty w sam raz”.

– Nie – zdołała w końcu wykrztusić. – Rupert był po prostu kolegą z uczelni. Poza tym wiem, że niedawno się zaręczył.

Wstrętny pełnomocnik uniósł brwi, jakby na znak, że wątpi, czyby ją to zniechęciło.

– Proszę nam powiedzieć, pani Macdonald, co zdarzyło się potem.

Popatrzyła na przysięgłych. Obok spoglądającego na nią życzliwie młodego człowieka siedziała kobieta o mizernej twarzy. Carla zwróciła się do niej.

– Ed na mnie krzyczał. Złapał mnie za ramiona i zaczął potrząsać. Ścisnął tak mocno, że aż mnie zabolowało. Tak się bałam... – Urwała i przycisnęła rękę do piersi. – Odepchnęłam go i poleciał na ścianę.

Był pijany. Nie potrafił utrzymać równowagi. Głowa zaczęła mu krwawić... To było okropne. Więc próbowałam zatamować krew ściereczką, ale znowu mnie odepchnął. Oczy płonęły mu gniewem.

Znowu urwała. Muszą jej uwierzyć. Muszą.

– Potem... potem złapał za nóż, ten, którym dopiero co kroił kurczaka.

Złapała się za gardło, tak jakby w tej chwili nim przed nią wymachiwał.

– Myślałam, że mnie zabije.

Na sali panowała śmiertelna cisza.

– I wtedy usłyszałam, że otwierają się drzwi...

– Jest pani pewna?

– *Per certo.*

– Proszę mówić po angielsku, pani Macdonald.

– Przepraszam. Jestem pewna.

Carla zwilżyła językiem wargi. Lily ostrzegła ją, że to ryzykowne. Części ławy może się nie spodobać.

– Rzuciłam się do holu. Stał tam jakiś mężczyzna. Nie wiedziałam, co się dzieje, myślałam, że i on chce mi zrobić krzywdę. Tak się bałam. – Z ust wyrwał jej się szloch. – Wpadłam w panikę i uciekłam.

Twarz pełnomocnika była niewzruszona. Bez wyrazu.

– Czy może pani opisać tego mężczyznę?

– Spróbuję. – Głos Carli drżał. – Był dosyć wysoki, miał ciemne włosy i brązowe oczy... i więcej nie mogę sobie przypomnieć. Bardzo żałuję.

– Wszyscy żałujemy, pani Macdonald.

Czego Carla nie powiedziała – Lily jej poradziła, żeby tego nie robić, bo może to „zamącić wodę” – to że im dłużej o tym myśli, tym bardziej się jej wydaje, że skądś go pamięta.

– Czy uciekając tak panicznie, zabrała pani ze sobą dziecko?

To nie było fair. Wiedział, że nie zabrała.

– Nie – szepnęła Carla i rozplakała się.

Wśród przysięgłych rozległy się pomruki dezaprobaty.

Niedobrze. Musi jakoś sprawić, żeby zrozumieli, przez co przeszła. Zmusiła się, żeby podnieść mokrą od łez twarz.

– Po urodzeniu dziecka miałam depresję poporodową. Mówiłam o tym mojemu adwokatowi. – Szloch wyrwał jej się z ust. – A moja matka we Włoszech umarła na raka dokładnie tego dnia, kiedy rodziłam. Nawet nie mogłam się z nią pożegnać. Wiem, że nie powinnam była uciekać i zostawiać Poppy, ale po prostu miałam w głowie taki zamęt...

Zakryła twarz dłońmi, ale palce trzymała na tyle szeroko, żeby widzieć przysięgłych. Kobieta o mizernej twarzy, zamiast okazać pogardę czy niedowierzanie, płakała cicho w chusteczkę. Czyżby miała podobne kłopoty?

Ostrożnie zaczęła znowu mówić przez łzy.

– Było zimno i mokro. Chciałam wrócić po dziecko, ale wydawało mi się, że w parku słyszę za sobą kroki. Więc wbiegłam do pubu po pomoc. Ktoś wezwał policję, a oni mnie aresztowali! Za morderstwo...

Teraz rozszłochała się na dobre. Wśród przysięgłych rozległy się pomruki współczucia. Ktoś podał jej szklanekę wody. Ugięły się pod nią nogi.

– Myślę – powiedział cicho sędzia – że powinniśmy teraz zrobić przerwę.

Dobrze jej poszło, powiedział adwokat, czerwony z emocji. Bardzo dobrze. Przysięgli sprawiali wrażenie, że są po jej stronie. No, ale nigdy nie wiadomo.

– Czy on na pewno wie, co robi? – spytała później Lily.

– Carla, co ja ci mówiłam? Musisz mi zaufać.

Proces ciągnął się i ciągnął. „Sześć dni” – przewidywała Lily. W tej chwili był dziesiąty.

Najgorzej, nie licząc jej własnego zeznania, było wtedy, kiedy wezwano Ruperta.

– Tak, kiedyś zależało mi na Carli – powiedział. – Ale teraz jestem szczęśliwie żonaty. Byliśmy z żoną zaręczeni, kiedy przyszedłem do Carli i Eda z prezentem dla ich dziecka. Zaskoczyła mnie napięta atmosfera. Ed najwyraźniej wypił i dał mi do zrozumienia, że nie jestem mile widziany. Więc po paru minutach wyszedłem.

Mówił szybko, spoglądając nerwowo na młodą blondynkę na galerii. Carla instynktownie wyczuła, że jest rozdarty. Nie może być dla niej zbyt miły, bo żona pomyślałaby, że naprawdę miał z nią romans. Ulżyło jej, kiedy w końcu, zerknąwszy na nią ze skruchą, opuścił stanowisko dla świadka.

Potem wystąpił biegły, który powiedział, że niewielka ilość krwi na ubraniu Carli nie stanowi dowodu, że zadała Edowi cios. Bardziej prawdopodobne jest, że krew pochodziła z rany na głowie, którą odniósł jej mąż, gdy w ramach samoobrony go odepchnęła – co potwierdziły wyniki sekcji zwłok. Również na nożu nie było żadnych odcisków palców poza odciskami Eda.

Carli zaczęło się kręcić w głowie. Tylu ludzi, tyle różnych rzeczy mówią, tak jakby ją znali! Biegły od żałoby po stracie bliskiej osoby. Biegły od depresji poporodowej i jej związku ze stresem przedwczesnego porodu. Obu powołało oskarżenie na poparcie tezy, że Carla mogła się zachować w sposób nieprzewidywalny. Obrona przesłuchała ich, twierdząc, że to dlatego jej wspomnienia są tak niejasne. Adwokat, który z upływem dni był na szczęście coraz bardziej pewny siebie, powołał marszanda. Ten mówił o panującej co do Eda opinii, że ma „wzloty i upadki”. Raport medyczny o jego picciu. Zaświadczenie z banku o jego długach. Zdjęcia strasznej rany na ciele Eda. Nóż do mięsa.

Carla poczuła narastające odrętwienie. Jakby to wszystko dotyczyło kogoś innego.

Wreszcie skończyli. Kiedy siedziały w pokoju obok, czekając na werdykt, Lily milczała. Adwokat wyszedł, żeby zadzwonić.

Jak to możliwe, że cała jej przyszłość zależy od jakichś obcych ludzi? Kolano Carli zaczęło podskakiwać. Znów była w szkole. W Coventry. Carla Spagoletti.

– Przysięgli wrócili. – To był adwokat, twarz miał spiętą. – Szybko poszło. Wzywają nas.

Lily

Straciłam już rachubę wyroków, na które czekałam. Czasem wydaje mi się, że to jest jak czekanie na wyniki testu ciążowego. Albo testu DNA.

Mówisz sobie, że zrobiłaś, co mogłaś, i masz nadzieję, że wszystko obróci się na twoją korzyść. Ale nie zapominasz, że może być inaczej. Starasz się przygotować, wmawiasz sobie, że to nie koniec świata, gdyby wynik był inny, niż oczekujesz. Ale jednocześnie wiesz, że to nieprawda.

Przegrana sprawa znaczy, że się pograżyłaś. A co ważniejsze, pograżyłaś innych.

W normalnych okolicznościach nie byłabym zachwycona tym adwokatem. Był za młody. Za mało doświadczony. Ale jak mówiłam Carli, niektórym ławom przysięgłych przeszkadza zbyt energiczny, pewny siebie, napuszony mecenas. Mój przekonał mnie do siebie, kiedy powiedział, że musimy podejść do sprawy łagodnie.

– Obrona oparta jest na tym, że są tylko dowody pośrednie – powiedział, rumieniąc się jak panna; był jednym z tych ludzi, którzy, jak ja, łatwo się czerwienią. – Nic pewnego. Żadnego świadka, który widziałby Carlę, jak coś robi, nie licząc tego, że biegła przez park. Żadnych obciążających odcisków palców na nożu. W drzwiach widziała intruza.

– Ale na to nie ma dowodu – wtrąciłam.

Adwokat zrobił się różowy.

– Carla jest piękną kobietą. Idę o zakład, że mężczyźni spośród przysięgłych uwierzą jej. To da nam szansę co najmniej pół na pół.

Oczywiście powinnam mu była wtedy powiedzieć o kopercie, którą otrzymałam wkrótce po arestowaniu Carli. Tej ze znajomym pismem z zakrętasami, którą, jak powiedział mi nocny portier w kancelarii, dostarczono któregoś dnia bardzo wcześnie rano.

Tej, której, jak sobie powtarzałam, nie powinnam otwierać.

Oczywiście wiedziałam, co koperta zawiera. Informację. Czy Joe nie powiedział mi tego przez telefon tamtego ranka?

– Lily, chcę ci pomóc.

O mało nie odłożyłam wtedy słuchawki.

– Mówiłam ci, Joe. Więcej się ze mną nie kontaktuj. Zrobiłam to, co chciałeś – test na ojcostwo – i dosyć. Między nami już skończone.

– Nie wierzę ci. Okłamałaś mnie. – Mówił głębokim głosem, od którego przechodziły mnie ciarki. – Po prostu się przestraszyłaś. Znalazłem to. Naprawdę. Poznaję po twoim głosie, że nie zajrzałaś do koperty, którą ci przysłałem. Pomoże ci to w sprawie. Otwórz ją. Szybko. Ze względu na dawne czasy.

Ze względu na dawne czasy? Mówił, jakbyśmy mieli za sobą jakąś przeszłość. Oczywiście, że mieliśmy. Przeszłość, o której nikt nie może się dowiedzieć. Przeszłość, której zawsze może użyć przeciwko mnie. Wyobraźcie tylko sobie tytuły. ADWOKATKA I KLIENT, KTÓRY ZABIŁ W KĄPIELI. Nawet o tym nie myślm. To zniszczyłoby moją karierę. Nie mówiąc już o rodzinie. I Joe o tym wie.

– Joe, Tom nie jest twój.

– A ja ci mówię, że ci nie wierzę, Lily. Kocham cię.

Chciałam czuć obrzydzenie. Morderca zakochał się we mnie? Trzasnęłam słuchawką. Na wszelki

wypadek schowałam kopertę do szuflady. Powinłam ją wtedy podrzeć na kawałki. Ale nadal tam tkwi. Moje ubezpieczenie. Mój plan B.

A teraz czekam. Czekam na to, co powiedzą przysięgli. Carla się trzęsie. (Teraz mogę wymówić jej imię bez ukłucia zazdrości). Jej przerażenie sprawia mi przyjemność. Teraz nic nie może zrobić. Nikogo nie może przekupić. Z nikim nie może się przespać, żeby sobie coś załatwić.

Nie może nawet mnie obwinić. Nikt nie zaprzeczy, że z punktu widzenia prawniczego zrobiłam wszystko, z ręką na sercu, żeby ją wyciągnąć. Zabrałam ją nawet do siebie do domu, żeby przygotować ją do obrony. (Chociaż ostro się sprzeciwiła moim zaleceniom, żeby włożyć coś odpowiedniego). Razem udało nam się oczernić pamięć Eda i każdy może pomyśleć, że wyszłam za mąż za pijaka i kobieciarza. Widzicie? Nie jestem taka dobra, na jaką wyglądam.

Cała sala czeka w napięciu.

– Uzgodniliście werdykt?

Usta przewodniczącego ławy przysięgłych otwierają się. Dłonie mi się pocą. Przysięgłabym, że czuję obecność Eda u boku, ciągnie mnie za rękaw. Odwracam się i zdaję sobie sprawę, że zaczęłam rękawem granatowego jedwabnego żakietu o ławkę.

– Niewinna.

Nie wierzę.

Ściany wokół mnie się trzęsą. Rozlegają się okrzyki zdumienia. Na galerii wszczyna się zgiełk. Jakieś niemowlę płacze. Poppy? Córka, której ja nie miałam. Carla mdleje. To może być oczywiście na pokaz. Policjant pomaga jej wstać. Adwokat rzuca mi zadowolone z siebie spojrzenie, które mówi: „Udało nam się”. Ludzie mi gratulują. Jeden z detektywów mówi coś szybko do kolegi. Czuję ukłucie niepokoju. Teraz zaczną polowanie na prawdziwego mordercę. Ale wysoko na galerii widzę kogoś innego.

Wysokiego mężczyznę. Gładko ogolonego. Z krótkimi włosami. Śmiało patrzy w dół, na mnie. Ma na sobie zgniętą tweedową kurtkę z podniesionym jasnobezowym zamaszowym kołnierzem. Potem znika.

Telefon dzwoni w chwili, gdy wracam do biura.

– Dlaczego nie wykorzystałaś mojego dowodu? – Głos Joego Thomasa aż chrypi z rozczarowania.

Otwieram szufladę i wyjmuję kopertę. Nadal jest zamknięta. Ileż to razy myślałam, żeby ją otworzyć! Miałabym łatwiejsze zadanie. Wiedziałam o tym. Joe jeszcze nigdy się nie pomylił. Wiele razy mi przypominał, że nie zasłabym tak daleko w zawodzie bez jego pomocy.

– To moje ubezpieczenie – mówię.

– Ubezpieczenie? Nie rozumiem.

– Na wypadek gdyby werdykt nie był zgodny z moimi nadziejami. – Mówiąc to, myślę o Carli. Po rozprawie ledwie mi podziękowała. Podbródek miała wysoko uniesiony, jakby uniewinnienie było czymś, na co bardziej niż zasługiwała. O tym, jak połknął ją rozhisteryzowany magiel dziennikarzy, bo każdy chciał jej historii, każdy chciał zapłacić jej więcej niż inni.

– Rychło w czas – mówi z wyrzutem. – Już po rozprawie. Policja będzie szukać kogoś innego, żeby mu przypiąć zamordowanie Eda.

Krzywię się. Nawet teraz nie mogę uwierzyć, że mojego byłego męża nie ma. Tęsknię za nim. Myślami ciągle wracam do lepszych wspomnień z naszego małżeństwa. Jak siedzimy przytuleni na kanapie. Jak trzymam Toma, kiedy był niemowlęciem. Jak świętujemy, kiedy anonimowy nabywca kupił obraz Eda.

Wracam myślą do tego porannego joggingu nad brzegiem morza, kiedy Joe poprosił mnie o przeprowadzenie testu na ojcostwo. Byłam wtedy szczególnie krucha. Zła na Eda, że ma ciastko i je ciastko. Zazdrosna o Carłę, że w weekendy widuje się z moim synem. Samotna. Wystraszona. Zmieszana, bo nadal ciągnęło mnie do Joego.

I po raz pierwszy, odkąd się to stało, pozwalałam sobie pomyśleć o kluczu. Tym, który jak zwykle miałam przy sobie, do samoobrony. O kluczu, który wypadł mi z kieszeni, a Joe go podniósł. I nie oddał.

– To zapasowy do domu – powiedziałam wtedy z goryczą. – Do mojego dawnego domu. Carla mi go odebrała, tak samo jak męża i syna, który uważa, że ona jest wspaniała.

– Mogę dać jej nauczkę – szepnął Joe.

Poczułam dreszcz strachu – i tak, również podniecenia.

– Nie chciałabym, żeby stała się jej krzywda. Ani jemu.

– Może tylko się ich nastraszy.

– Może – usłyszałam własne słowa.

I wtedy właśnie przebiegłam drogę i wróciłam nad morze, wstrząśnięta tym, co zrobiłam. Czy przed chwilą nie dopuściłam się złamania prawa? W krótkiej chwili szaleństwa dałam kryminaliście carte blanche na włamanie do domu, w którym mieszkali Ed i Carla. Kryminaliście, który dla mnie zrobiłby wszystko.

Nazywa się to: pomoc w dokonaniu przestępstwa.

Dysząc ciężko, pognałam z powrotem do kawiarnianego stolika. Ale Joe zniknął. Czas mijał i nic się nie działo. Poczułam się bezpieczniejsza. Im dłużej nie miałam wiadomości od Joego, tym łatwiej było mi zapomnieć o teście DNA. Może mimo wszystko postanowił, że da sobie z tym spokój? Może zmienili zamki? Ale potem nadeszła szokująca wiadomość o zamordowaniu Eda. Kiedy Ross zadzwonił do mnie podczas tamtego spotkania u Toma w szkole, z początku założyłam, podobnie jak wszyscy, że winna jest Carla.

Potem jednak powiedziała mi o mężczyźnie, który stał w drzwiach, kiedy je otworzyła. I o listach.

Właśnie dlatego została moją klientką. Musiałam doprowadzić do jej przegranej, bo inaczej policja mogłaby wyśledzić prawdziwego mordercę.

Joego.

Powiedziałby im, że dałam mu klucz.

Poszłabym do więzienia.

Straciłabym Toma.

To było nie do pomyślenia.

Zrobiłabym wszystko. Wszystko dla mojego syna. Nagle przyszło mi opracowywać najtrudniejszą w moim życiu strategię obrony. Jak sprawić, żeby Carla przegrała i nie było widać, że tego chciałam?

Tak kiepsko jej bronić, żeby przegrała?

Ale nie tak się to robi.

Czy nie to właśnie sobie powiedziałam, kiedy Carla poprosiła mnie, żebym wzięła jej sprawę? I to była prawda. Musiałam postępować w znacznie bardziej subtelny sposób. Należało wykorzystać psychologię odwróconą.

Dlaczego nie podjęłam się sprawy sama, bez niczyjej pomocy? Nie dlatego, że jakiemuś sędziemu mógłby się nie spodobać radca prawny w roli adwokata, jak powiedziałam Carli, ale dlatego, że bardziej mi będą ufać, jeśli przyprowadzę kogoś innego. Poza tym sędziowie mnie znają, znają mój styl – gdybym kiepsko broniła, natychmiast zorientowaliby się i oskarżyli mnie o konflikt interesów.

Żona mojego męża.

Znacznie mądrzej będzie wybrać młodego, nerwowego adwokata, który w moim zastępstwie źle poprowadzi sprawę. Carli powiedziałam, że ława przysięgłych nie lubi pewnych siebie, pyszałkowatych mecenasów. Czasem to prawda. Ale nie zawsze. Tymczasem – takie już mam szczęście – ława przychylnie przyjęła moje nieporadne streszczenie sprawy, a to z kolei sprawiło, że adwokatowi przybyło pewności siebie. Wtedy było już za późno, żeby przegrać.

Założyłam też, że jeśli będę nalegać, żeby włożyła „nieciekawe” ubranie, Carla tego nie robi, bo jest zbyt próżna. Miałam rację. Ale to też obróciło się przeciwko mnie. Po twarzach przysięgłych – zarówno

mężczyzn, jak i kobiet – było jasno widać, że podziwiają jej styl.

Dlaczego nie widzieli Carli moimi oczami? Mała intrygantka, która wyrosła na dorosłą intrygantkę, złodziejkę mężów.

– Nie powinieneś być tego robić – mówię teraz przez telefon do Joego. Głos mi się łamie z niedowierzania. Szoku. Poczucia winy.

Głos Joego, przeciwnie, jest spokojny.

– Odniosłem wrażenie, że Ed już cię nie obchodzi.

– Powiedziałaś, że nastraszysz Carlę – szepczę. – A nie że zabijesz mojego męża.

– Byłego męża – poprawia mnie Joe. – I kto powiedział, że to ja go zabiłem? Otwórz kopertę. No, dalej.

Moje ręce robią to, czego umysł im zabrania.

W środku jest szczelnie zamknięta plastikowa torebka.

W torbie jest para rękawiczek. Takich do zmywania.

Niebieskie. Małe. Jest na nich krew. Krew i ziemia.

– Yhh! – wrywa mi się.

– Teraz dociera? – pyta Joe.

Nie mogę uwierzyć.

– Czyli jednak Carla to zrobiła?

– A ktoś by inny? – mówi próżnym tonem, zadowolony z siebie.

– Skąd je masz?

– Przez dłuższy czas węszyłem wokół ich domu.

– Co chciałeś zrobić? – szepczę.

– Nie wiedziałem. W ogóle nie wiedziałem, dopóki do tego nie doszło.

Do tego nie doszło?

Błyska mi w głowie obraz biednej Sarah.

– Byłem tam wtedy, tamtego wieczoru. Wszedł jakiś młody facet. Wyglądał na mocno zmartwionego. Podśluchiwałem za drzwiami, usłyszałem piekielną awanturę. Pomyślałem, że nie będą szczególnie ostrożni. Tego mi było potrzeba. No i wszedłem.

Za pomocą mojego klucza. Mojego klucza!

– Stała przede mną, w zakrwawionych rękawiczkach do zmywania. Była prawie tak samo wstrząśnięta na mój widok, jak ja na jej. Wybiegłem za nią. Widziałem, jak wyrzuca rękawice w krzaki naprzeciwko domu. Zrezygnowałem z pościgu i podniosłem rękawice, żebyś mogła je wykorzystać jako dowód. Tylko że ty nie chciałaś tego zrobić.

Prawda, nie chciałam. Chciałam to zrobić po swojemu, bez pomocy kryminalisty.

– I co dalej, Lily? – Głos Joego kieruje moje myśli z powrotem ku sprawom praktycznym. – Proces się skończył. Twoja klientka wygrała. Ale oboje wiemy, że jest winna. A teraz policja będzie szukać kogoś innego. Mnie.

– Powiesz im o nas? – Mój głos brzmi jak skomlenie.

– To zależy. – Mówi opanowanym tonem. Grozi. – Nie, jeśli mi powiesz, jaki naprawdę był wynik testu na ojcostwo.

– Przecież już ci powiedziałam. Nie jesteś ojcem.

– A ja ci nie wierzę. – Głos mu twardnieje. – Lily, chcę, żebyś zrobiła jeszcze jeden test. Bo inaczej...

Urywa. Ale wiadomo, o co mu chodzi.

– Szantażujesz mnie?

– Możesz tak to nazwać.

Odkładam telefon. Ręka mi drży. Joe nie jest po prostu mordercą. Jest zdesperowany. Niebezpieczny.

I nie tylko on.

Co robić?

I wtedy w jednej z rękawiczek coś wyczuwam.

To klucz. Rozpoznaję go natychmiast.

Gdybym była przy zdrowych zmysłach, poszłabym prosto na policję i przekazała im rękawiczki.

Ale zamiast tego postanawiam złożyć wizytę.

Żonie mojego męża.

Carla

Carla pakowała się. Szybko. Z furją. Czerwone szpilki nie, założy je. Użyje też ulubionych perfum, na szczęście. Najpierw pójdzie do hotelu. Udzieli tam wywiadu na wyłączność, który obiecała którejś gazecie. Zaliczka pójdzie na nową przyszłość.

Była wolna. Wolna!

Wszystko zadziało. Znacznie lepiej, niż myślała. Biedna, naiwna Lily... Przekonana, że jeśli ona będzie postępowała słusznie, to i reszta świata też. Carli prawie było jej żal. No, ale zasługiwała na to.

Lily powinna dostać nauczkę.

Przysięgli jej uwierzyli. Dobrze zagrała swoją rolę. Były w tym jednak elementy prawdy. Ed, pijany winem i zazdrością, chwyta za nóż. Ona go odpycha. On pada na ścianę i uderza się w głowę. Krew. Potem wstaje i znowu rzuca się na nią. Ona chwyta nóż i w obronie własnej uderza. Nóż w udzie Eda. Zostawia go tam, z wystającą z ciała zieloną rączką.

Potem ucieka. Po drodze wyrzuca w krzaki rękawiczki.

Gdyby tylko mogła to zeznać w sądzie. Obrona własna. Bo tak było. Ale ludzie wiedzieli, że były między nimi kłótnie – choćby na tym ostatnim przyjęciu, przy wszystkich. A gdyby sąd jej nie uwierzył? Znacznie lepiej było mówić o intruzie. Inna sprawa, że to prawda. Mężczyzna w drzwiach, obok którego przemknęła.

Dzięki, że tam byłeś, kimkolwiek jesteś, pomyślała. To znaczy, że całą tę krew można rzucić na ciebie. Cały ten horror.

Za dużo do myślenia na jedną głowę.

Jedyny sposób, żeby dać sobie z tym radę, to zapomnieć. Wyperswadować sobie, że było tak, jak powiedziała w sądzie. Żyć dalej. Pojedzie z Poppy do Stanów. Odbudują swoje życie z dala od wścibskich oczu Włochów i Anglików. I da sobie spokój z prawem. Miała go dosyć.

– Ty.

Carla podskoczyła.

– Lily? Jak weszłaś?

Lily podrzuciła klucz na dłoni, jakby drażniła Carłę.

– Nadal mam zapasowy. Kiedyś to był mój dom. Pamiętasz? Zanim ukradłaś mi i dom, i męża. Powinniście byli zmienić zamki, Carla. Ty i Ed.

Carla zadrżała.

– Nadal masz klucz? – powtórzyła.

Lily uśmiechnęła się.

– Zgadza się. Dałam go znajomemu. To ten mężczyzna, którego widziałas w drzwiach. Widział, jak wyrzucasz zakrwawione rękawiczki. I zatrzymał je jako dowód.

– Kłamiesz!

– Nie. – Lily mówiła chłodnym, przerażająco pewnym tonem. – Nie kłamię.

Lily

Pokazuję jej rękawiczki w plastikowej torbie.

– Widzisz? Kiedy je przeanalizują, test DNA ujawni, że to krew Eda. Jest jej znacznie więcej niż na twoim ubraniu. Ziemia też na nich jest, bo próbowałaś je ukryć. Podejrzenie to wygląda, prawda?

– Nie możesz tego zrobić. – Carla się śmieje. – Nie możesz ich wykorzystać. Proces się skończył.

– Nie śledzisz zmian w prawie karnym, co, Carla? Twoja specjalność to prawo pracy, o ile pamiętam. Cóż, przepisy się zmieniły. Już parę lat temu. Ale tamta sprawa, o której ci mówiłam – celowo, nawiasem mówiąc – miała miejsce dużo wcześniej. W tej chwili nie zawsze stosuje się zasadę, że nie można powtórnie pociągnąć do odpowiedzialności za to samo przestępstwo, zwłaszcza jeśli pojawiają się nowe dowody. Jak na przykład świeże DNA. Wystarczy, że przekażę te rękawice policji. Wtedy znowu będziesz sądzona. I tym razem dostaniesz dożywocie.

Carla nadal ironicznie się uśmiecha.

– Skoro jesteś taka pewna, to dlaczego nie poszłaś na policję?

Zaczynam myśleć, że popełniłam błąd.

– Bo najpierw chciałam ci spojrzeć w oczy. Powiedzieć, co naprawdę o tobie myślę. – Oczy mi wilgotnieją. – Biedny Ed. Nie zasługiwał na to, żeby go zamordować. Zapłacisz za to, Carla, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię...

I wtedy właśnie rzuca się na mnie z płonącymi jak u zwierzęcia oczami. Pchnięcie jest silniejsze, niż można by się spodziewać po jej sylwetce. Oddaję jej. Chwieję się przy tym i tracę równowagę. Potykam się o mahoniowe kuchenne krzesło, które kiedyś kupiłam na aukcji. To kolejna rzecz, którą Carla mi zabrała.

Podnoszę ręce, żeby się obronić. Klucz i rękawice lecą wysoko.

Błysk metalu.

Grom w uszach.

„Godzina siedemnasta. Słuchają państwo popołudniowych wiadomości”.

Radio, ćwierkające wesoło z sosnowej komódki zastawionej zdjęciami (wakacje, gala wręczenia dyplomów, ślub); śliczny błękitno-różowy talerz; ćwiartka jacka danielsa na drugiej półce, częściowo zasłonięta jakąś urodzinową kartką.

Kiedy przychodzi ból, jest tak przeszywający, że nie może być prawdziwy.

Przez głowę błyskawicznie przelatuje mi ciąg pytań.

Co się stanie z Tomem, kiedy mnie zabraknie? Kto go zrozumie? Jak mama i tato dadzą sobie radę ze śmiercią kolejnego dziecka?

Nade mną na ścianie wisi obraz: biały domek opleciony purpurową bugenwillą. Pamiątka po miodowym miesiącu we Włoszech. Ed pomagał mi go malować.

Godzinę później wciąż tu jestem. Leżę bezwładnie pod ścianą i czekam. Nogi i ręce mam drętwie. Z miejsca, gdzie uderzyłam głową o ścianę, nadal cieknie mi krew. W piersi mnie rwie. Czy to atak serca? Srebrna bransoletka z miesiąca miodowego, którą – wbrew rozsądkowi – nadal codziennie wkładam,

wrzyna mi się w nadgarstek, bo tak upadłam. Kostka, która dotąd tylko lekko pulsowała, teraz boli jak cholera.

Ale zapach dymu jest coraz słabszy. Było w nim coś gumowego. Jakby palone opony. Rękawiczki?

Jeśli Carla je zniszczyła, nie będzie żadnego dowodu.

A jeśli Joe powie prawdę o kluczu, to ja mogę zatonać.

Carla

Kiedy Lily ją pchnęła, Carla zatoczyła się i uderzyła o kuchenny blat. Spadł z niego spodek i roztrzaskał się na posadzce. Carli nic się nie stało. Pchnięcie ją tylko oszołomiło. Ale nie aż tak, żeby nie mogła odepchnąć Lily. Rozległ się głuchy trzask i Lily rąbnęła o ścianę.

Carla niejasno pamiętała, że kuśtykając, podeszła do zlewu i próbowała pozbyć się rękawiczek. Obciążający dowód. Ileż to razy w pracy czytała te słowa w aktach? Najważniejsze to się go pozbyć.

Nie spaliły się, jak należy, więc pocięła je na kawałeczki i splukała w toalecie. Po czym osunęła się w korytarzu na podłogę pod jednym z roboczych szkiców węglem Eda, studium do *Małej Włoszki*.

To chyba dobre miejsce na odpoczynek. Ciało miała nienaruszone, ale umysł na skraju wyczerpania.

Z miejsca, w którym leżała, słyszała jęki Lily. Kto by pomyślał, że z głowy może wylać się tyle krwi?

Gdyby nie to, że nogi odmawiały jej posłuszeństwa, Carla wstałaby, żeby pomóc Lily. Po pierwszym szoku, kiedy zobaczyła zakrwawione rękawiczki, miała teraz czas, żeby pomyśleć. Dziwne, ale nie czuła nienawiści do tej kobiety, że chciała ją wydać. Prawdę mówiąc, gdyby była na jej miejscu, pewnie postąpiłaby dokładnie tak samo.

Przez całe życie pragnęła rzeczy należących do innych. Piórnika w kształcie gąsienicy. Ładniejszych ciuchów. Ojca. Nawet matka należała do Larry'ego, kiedy Carla była dzieckiem... I, oczywiście, pragnęła Eda. Dopóki go nie zdobyła i nie zobaczyła, jaki jest naprawdę.

Wcale nie chciała skrzywdzić Eda. Tylko się broniła. Jakie to było straszne, kiedy nóż wbił mu się w udo! Jak łatwo ostrze weszło w ciało! Niedobrze się jej robiło, kiedy o tym myślała.

Zasługuję, żeby mnie złapali, powiedziała do siebie Carla. To zaszło za daleko. Jej spojrzenie padło na fotografię Eda i Toma na regale obok. Ojciec i syn, objęci ramionami, uśmiechali się z ramki.

Poppy.

Jak córka da sobie bez niej radę? Matka powinna chronić swoje dziecko. Teraz zrozumiała, dlaczego matka mówiła, że ojciec Carli umarł dawno temu. I dlaczego później ukrywała, że jest chora na raka. Teraz ona, Carla, nie może pozwolić, żeby Poppy cierpiała, bo ma matkę w więzieniu. Jako dziecko Carla myślała, że już samo to, że ma matkę, która mówi z dziwnym akcentem i ciągle jest w pracy, jest wystarczająco niedobre. A teraz będzie znacznie gorzej. Kiedy Poppy pójdzie do szkoły, będzie Inna niż dzieci z klasy, przez duże I. Nie ma co do tego wątpliwości.

Zmusiła roztrzęsione ciało, żeby wstało i zabrało się stąd, choćby ze względu na Poppy. Rzeczywistość zaczęła przypominać o sobie. Za długo już tu była. Czas zabrać parę rzeczy. Pierścionek babki Eda może być trochę wart, utrzyma je przez parę tygodni.

Rozległ się jęk.

Carla pomyślała, że przecież nie chce, żeby Lily umarła, szczególnie teraz, kiedy pozbyła się rękawic. Pchnęła ją tylko, chociaż ten trzask zabrzmiał fatalnie. Ale pomóc też jej nie mogła. To naraziłoby na szwank jej własne bezpieczeństwo. Może jak wyjdzie z domu, zadzwoni anonimowo z budki telefonicznej i powie, że jakaś kobieta jest ranna.

– Lily?

Kroki. Ktoś wszedł przez frontowe drzwi i zbliżał się do niej. Wstrząśnięta Carla zdała sobie sprawę, że Lily musiała zostawić je otwarte.

– Gdzie jest moja Lily? Co jej zrobiłaś?

Podniosła wzrok. Strach chwycił ją za gardło. To był on! Mężczyzna, który włamał się tamtego wieczoru. Widok tych czarnych oczu sprowadził jeszcze dawniejsze wspomnienia. Nieznajomy na pogrzebie Tony'ego!

Przebiegł obok niej. Do Lily.

– Już dobrze, kochana. Jestem tutaj. – Nie usłyszała odpowiedzi Lily.

Ale usłyszała kroki. Wracał. Zobaczyła błysk metalu w jego ręce.

Poczuła dziwny spokój.

– Zraniłaś ją! – krzyczał. – Skrzywdziłaś Lily!

Ostatnim dźwiękiem, który zapamiętała, kiedy spadało na nią ostrze, był świst powietrza.

Lily

Długo zdrowiałam.

Nie tyle fizycznie, co psychicznie.

Nadal trudno mi uwierzyć, że do tego wszystkiego doszło.

Kiedy człowiek uświadomi sobie, że jednak nie umrze, z początku czuje przypływ euforii. Wszyscy mówili: „Ale miałaś szczęście”. Inna ulubiona fraza to „Ktoś musiał nad tobą czuwać”.

I człowiek w to wierzy. Naprawdę. Wyglądasz przez szpitalne okno i widzisz, jak chodzą ludzie, podjeżdżają karetki, jedni pacjenci na wózkach, inni o kulach, jedni pochylają głowy, inni śmieją się z ulgą. I wiesz, że to realny świat. Świat, w którym ratuje się życie, a nie ten, gdzie źli ludzie próbują je komuś odebrać.

Potem, kiedy znów się jest w realnym świecie, tłumnie wracają wątpliwości. Zaczynasz się zastanawiać. Gdybym nie wyszła za Eda... gdyby mój szef nie dał mi apelacji Joego, kiedy byłam zbyt młoda i niedoświadczona... gdybym nie pozwoliła, żeby zawładnęły mną uczucia... gdybyśmy nie poznali Carli i jej matki... gdybym nie napiła się wtedy z Joem w Highgate... gdybym nie upuściła klucza... gdybym nie broniła Carli... gdybym nie otworzyła tej koperty...

– Nie wolno ci myśleć o tych wszystkich „gdyby” – mówi Ross. Stał się jednym z moich regularnych gości w Devon, gdzie zamieszkałam, odkąd mnie wypisali ze szpitala. Blizna na skroni, po uderzeniu o ścianę, zostanie na zawsze, chociaż nie będzie jej tak bardzo widać, kiedy odrosną mi włosy. Złamane żebra (stąd potworny ból w klatce) już się zrosły. Ale nadgarstek nadal mi dokucza i już nie noszę bransoletki z miesiąca miodowego, która trafiła między mnie a ścianę, kiedy upadłam. Kostka, pęknięta przy upadku, „robi postępy”.

– Gdybanie doprowadzi cię do szaleństwa – ciągnie Ross. – Zrobiłaś, co mogłaś, Lily. Naprawdę. A jeśli po drodze popełniłaś parę błędów, cóż – takie jest życie.

Do pokoju wchodzi mama, niesie tacę z kawą dla naszego gościa i słyszy koniec ostatniego zdania. Patrzy mi w oczy i szybko odwraca wzrok. Ale za późno. Wiem, o czym myśli. Jeśli naprawdę mam ozdrowieć, muszę powiedzieć prawdę. Wyjawić ostatnią część mojej historii. Tę, której nigdy nie opowiedziałam ani mężowi, ani psychologowi, którego polecono mi w szpitalu.

Ross to dobry przyjaciel. Jestem mu to winna. A co ważniejsze, jestem to winna sobie.

Miałam jedenaście lat, kiedy moi rodzice przyjęli Daniela. Już wcześniej sprowadzali dzieci do domu. Pamiętacie, jak tato wciąż mi obiecywał, że będę miała braciszka i siostrzyczkę? Dopiero później dowiedziałam się, że mama miała dwa poronienia, jedno po drugim. Więc żeby zapewnić mi „towarzystwo”, rodzice postanowili stworzyć tymczasową rodzinę zastępczą.

Oczywiście z ich strony to było super. Ale dla mnie wcale nie było takie wspaniałe.

Niektóre dzieci były w porządku. Inne nie. Zdarzało się, że wracałam ze szkoły i zastawałam mamę bawiącą się z jakimś trzylatkiem. Chciałam jej opowiedzieć, jak minął mi dzień, ale była zbyt zajęta. Przychodziła pracownica opieki społecznej na kontrolę. Albo matka musiała zabrać dziecko do lekarza, bo świszczało mu w piersi.

Nie miałabym nic przeciw temu, ale to nie byli prawdziwi bracia ani prawdziwe siostry. Odbierali mi rodziców. Przez nich czułam się inna. Dzieci w szkole uważały, że to dziwne: moi wrażliwi społecznie rodzice przyjmują jedno dziecko po drugim i opiekują się nimi od kilku dni do roku, po czym dzieci odchodzą, a zastępują je inne.

W końcu dotarło to do moich rodziców. „Będziesz miała brata na stałe”, oświadczył pewnego ranka ojciec. Dobrze to pamiętam. Właśnie jedliśmy gotowane jajka w naszym londyńskim domu. W przyjemnym, schludnym bliźniaku z tynkiem kamyczkowym. Dom był niewielki, bo chociaż rodzinie matki dobrze się powodziło, większy kłóciłby się z socjalistycznymi przekonaniami rodziców.

– Miał trudny start – powiedziała matka. – Biedak miał rodziców, którzy... cóż, robili złe rzeczy. Więc czasem i on się źle zachowuje. Przeszedł przez szereg rodzin zastępczych, ale teraz my go adoptujemy. Damy mu prawdziwy dom. – Uścisnęła mnie. – Ty też możesz pomóc, Lily, jeśli będziesz dobrą starszą siostrą. Musisz opiekować się nim razem z nami.

Po czym przybył Daniel.

Był o rok młodszy ode mnie, ale wyglądał na starszego: wysoki, chudy, z niesforną masą zmierzwionych czarnych kędziorów. Patrząc wstecz, myślę, że rodzice mogli staranniej to przemyśleć. Ale chcieli zrobić coś dobrego – przyjąć dziecko, którego nikt nie chciał. Później się dowiedziałam, że matka Daniela była prostytutką uzależnioną od heroiny, chociaż on twierdził, że występowała w cyrku na trapezie. (Dobrze mu szło podbarwianie faktów, żeby ciekawiej wyglądały). Ojciec siedział w więzieniu za podwójne zabójstwo pod wpływem narkotyków. (Daniel nigdy o nim nie wspominał).

Od chwili przybycia zaczął wypróbowywać granice. Nie, nie pójdzie do szkoły. Nie, nie wróci do domu, tak jak obiecywał. Nie, nie ukradł pieniędzy z portmonetki mamy. Co, nie ufamy mu?

Jeśli o niego chodzi, to była tylko jedna osoba, której ufał.

– Ty – mówi cicho Ross.

Wyglądam przez okno, na trawnik, na którym Tom gra z moim ojcem w krokieta. Kiedy trafi piłką w bramkę, z radości wyrzuca w górę młotek. Tak samo robił Daniel. Tupie nogami, kiedy chybia. Czasem te podobieństwa są niezwykle, chociaż nie ma tu więzów krwi.

Często się zastanawiam: natura czy wychowanie?

– Tak – przyznaję. – Daniel mi ufał. Z jakiegoś powodu się mnie uczeplił. Uwielbiał mnie. A ja go zawiodłam.

Ross trzyma mnie za rękę. Mocno. Krzepiąco. Nie ocenia. Myślę o tym, jak mi pomagał, kiedy miałam kłopoty z Edem. I wiem, że mogę zaufać Rossowi tak, jak Daniel mnie zaufał. Nie przedstawię mu okrojonej wersji jego śmierci, którą opowiedziałam Joemu w pubie.

Ross dowie się całej prawdy.

Zaczął się od innych dziewczyn w szkole. Wszystkim podobał się mój adoptowany brat. Był przystojny: wysoki, z bujną czupryną i leciutko asymetrycznym, ujmującym uśmiechem. Jak potrafił wszystkich rozśmieszyć! Specjalizował się w odgrywaniu klasowego głupka. Odszczekiwał się. Dowcipkował z nauczycieli. Popadał w kłopoty. Im bardziej go besztano, tym robił się gorszy. Zaczął podkraść pieniądze innym dzieciom, a potem zaklinał się na wszystko, że to nie on.

Mama odziedziczyła dom w Devon, kiedy umarł jej tato. Zaczęłam marudzić, że nie chcę opuszczać starej szkoły, i wtedy rodzice powiedzieli, że to będzie nowy początek dla mojego brata. I był. Daniel i ja pokochaliśmy nasz nowy dom. Co za atrakcja zamieszkać nad morzem!

Przerywam na chwilę i znów wyglądam przez okno. Patrę na fale bijące o skały po drugiej stronie zatoki.

Moi rodzice zrobili, co mogli, żeby Daniel był szczęśliwy. Sprawili mu Merlina i psa-ratownika. Ignorowali złe zachowanie, gdyż wierzyli w moc „pozytywnej oceny”. Kupili mu nową kurtkę, którą chciał dostać, chociaż ja nie dostałam puszystego niebieskiego sweterka, który miałam na oku. (Najwyraźniej jemu to było potrzebne, a mnie nie).

– Wybrali mnie – oświadczał czasem z dumą Daniel.

Ale kiedy miał gorsze chwile, maska spadała.

– Lily, ja nie chcę być inny – mawiał. – Chcę być taki jak ty. Jak wszyscy.

Nie tylko Daniel miewał sprzeczne uczucia. Ja też czasem byłam zazdrosna o względy, jakimi darzyli go rodzice, to znów przepełniała mnie miłość do nowego brata, byłam szczęśliwa, że wreszcie mam towarzystwo. Ale od czasu do czasu zdarzało się coś, co kazało mi się zastanawiać, jak by to było, gdyby wybrali kogoś innego.

Daniel oczywiście nadal wpędzał się w kłopoty, tak jak to było w Londynie. Ciągłe te same sprawy. Kłamstwa na temat pracy domowej. Kłamstwa na temat tego, gdzie był. Kryłam go. Tak postępują siostry. Pewnego razu wybiegł za nami sklepikarz, twierdząc, że Daniel ukradł torbę cukierków.

– On by tego nie zrobił – powiedziałam.

Ale kiedy nas puścił, Daniel wyjął pakiecik ze skarpetki.

Wróciłam do sklepu i powiedziałam, że to nieporozumienie. A Daniel zaklinał się, że nigdy więcej tego nie robi.

– Obiecuję. Obiecuję.

Jego dzieciństwo – i moje – pełne było takich wydarzeń.

Później, kiedy skończył piętnaście lat, pewna miejscowa dziewczyna powiedziała, że się z nią przespał. Rozeszło się to po szkole.

– To nieprawda – śmiał się, kiedy go o to zapytałam. – Dlaczego miałbym to robić? To dziwka. Zresztą jest tylko jedna dziewczyna, której pragnę.

– Kto? – zapytałam przekornie.

Twarz mu spochmurniała, jakby ktoś zaciągnął zasłonę.

– Takich rzeczy się nie mówi.

Potem jednak któregoś dnia poszłam na swoją pierwszą randkę.

Przerywam. Policzki mi płoną.

To był chłopak z miejscowej szkoły. Wszystkie moje koleżanki już się umawiały z chłopakami. Ale były ode mnie ładniejsze. Szczuplejsze.

Matka emocjonowała się za mnie.

– W co się ubierzesz?

Daniel był wściekły. Nie chciał ze mną rozmawiać. A kiedy wreszcie po godzinach przygotowań zesłam na dół, mój brat powiedział, że chłopak dzwonił i nie przyjdzie. Później dowiedziałam się, że Daniel czekał na niego przed drzwiami i jego też okłamał. Powiedział mu, że się rozmyśliłam.

Ross przerywa mi łagodnie.

– Czy nie pomyślałaś... – Zawiesza głos.

– Nie. Wiem, że to głupio brzmi, ale pomyślałam tylko, że Daniel znowu robi się trudny. Są z nim problemy, jak zawsze. – Biorę głęboki oddech. – Ale wtedy zaczął „przypadkiem” ocierać się ramieniem o moje ramię. Nieraz długo w nocy rozmawialiśmy. I pewnego wieczoru, kiedy poszliśmy do stajni, żeby podyspać Merlinowi obroku, pocałował mnie.

Zamykam oczy. Jeszcze teraz pamiętam tamten pocałunek. Był jak żaden inny. Nigdy tak mnie nikt nie całował. Świadomość, że to złe, wzmagała tylko podniecenie. To prawda, ja też go pożałowałam. Gdzieś w głębi serca wiedziałam, że zawsze chciałam, żeby to zrobił. Że byłam zazdrosna o tamtą dziewczynę, która podobno z nim spała. Ale przeważył wstyd i w końcu go odepchnęłam.

– Wszystko w porządku – powiedział Daniel grubym głosem, dysząc ciężko. – Nie jesteśmy spokrewnieni. Możemy robić, co chcemy.

Ale to nie było w porządku. I wiedzieliśmy o tym. Wkrótce pocałunki stały się śmielsze. Nawet teraz, kiedy to mówię, czuję dreszczyk zakazanej emocji.

Mama zaczęła coś zauważać.

– Może coś źle zrozumiałam – powiedziała. – Ale uważajcie, dobrze? Daniel nie jest wprawdzie twoim rodzonym bratem, ale nie zapominaj, że jest bratem adoptowanym.

Byłam upokorzona. Poczułam do siebie obrzydzenie. Więc zrobiłam to, co robi mnóstwo ludzi, kiedy się ich o coś oskarży. Odparłam zarzut.

– Jak możesz mieć takie brudne myśli? – krzyknęłam.

Mama zaczerwieniła się jak burak, ale nie ustąpiła.

– Na pewno mówisz mi prawdę o Danielu?

– Oczywiście. Jak możesz mówić takie wstrętne rzeczy?

Jej słowa mnie wystraszyły. Tymczasem skończyłam osiemnaście lat. Daniel miał siedemnaście. Nie „robiliśmy tego”, jak nazywały to moje szkolne koleżanki. Ale byliśmy blisko. Niebezpiecznie blisko.

Zdarzało się, że moja miłość do Daniela była tak wszechogarniająca, że ledwie mogłam oddychać, kiedy siedziałam naprzeciwko niego przy śniadaniu. Bywało też, że nie mogłam się doczekać, kiedy będę z nim sam na sam w pokoju. To samo czułam potem wobec Joego.

I to jest sedno sprawy. Z powodu Daniela żaden mężczyzna nie był dla mnie atrakcyjny, o ile nie było w tym czegoś zakazanego. To dlatego tak mnie pociągał Joe. I dlatego mój miesiąc miodowy okazał się katastrofą. Dlatego z Edem zawsze było mi trudno to robić.

– Potem – podejmuję łamiącym się głosem – zaprosił mnie na randkę ten sam chłopak ze szkoły. (Wyjaśniłam mu, że przed poprzednią randką zaszło nieporozumienie). Tym razem nie pozwoliłam, żeby Daniel mi przeszkodził. To była moja droga ku wolności.

Znowu zamykam oczy. Znowu jestem w swojej sypialni z plakatami na ścianach, z biurkiem zawalonym pracą domową; znowu widzę brata, który z wściekłością w oczach patrzy, jak wkładam na randkę obcisły top. Oszczędzałam na niego. Srebrzysty, połyskujący, który uwydatniał moje krągłości...

– Nie musisz mi o tym opowiadać – mówi Ross, wyczuwając mój dyskomfort.

– Muszę.

Zmuszam się, żeby opowiedzieć, jak Daniel się wściekł. Jaki był zazdrosny o tego chłopaka. Jak powiedział, że nic go nigdy nie powstrzyma przed tym, co do tej pory robiliśmy. Jak przezywał mnie obelżywymi słowami.

Dziwka.

Kurwa.

Tłuscioch.

Nikt inny nie będzie cię chciał.

I wtedy wypowiedziałam te nieszczęsne słowa.

Żałuję, że w ogóle się urodziłam.

Daniel ucichł. Patrzył na mnie długo, długo, a potem wyszedł z pokoju. Zatuszowałam ślady łez fluidem do twarzy i zbiegłam ze schodów.

Przerywam. Opanowuję się, żeby opowiedzieć ostatnią część historii.

Kiedy wychodziłam, złapała mnie mama.

– Ładnie wyglądasz – powiedziała, obrzucając spojrzeniem mój top. – Ale włóż płaszcz. Na dworze jest zimno.

Tak bardzo chciałam wyjść, że o mało nie zapomniałam. Zerwałam płaszcz z wieszaka.

– Wychodzisz z Danielem? – Głos matki drżał.

– Nie – wyrzuciłam z siebie, czerwieniąc się mocno, jakbym skłamała. – Spotykam się z kimś innym.

Była tak samo czerwona jak ja.

– To prawda? – zapytała.

– Oczywiście, że prawda. Daniel jest... jest gdzieś indziej.

Tu zaczyna się najtrudniejsze. Tak ciężko to powiedzieć, że słowa więzną mi w gardle. Ale muszę. Dotarłam do końca drogi. Jeśli teraz tego nie zrobię, to nie zrobię nigdy.

Ross trzyma mnie za rękę. Biorę głęboki oddech.

– Kiedy wróciłam – wcześniej, jak to bywa, kiedy randka nie jest szczególnie udana – mama była w hysterii. Znaleźli list od Daniela. Było w nim tylko jedno słowo: „Odchodzę”. Czy coś wiem? Czy uciekł? Wtedy do mnie dotarło. Odszedł do naszego miejsca. Naszego specjalnego miejsca.

Ross ściska mnie za rękę.

– Wisiał w swojej czerwonej kurtce na belce w stajni, a Merlin trącał go nosem w stopy. A wiesz, co leżało na zamarzniętej ziemi?

Ross kręci głową.

– Moja lalka. Moja stara lalka, którą kiedyś wszędzie z sobą nosiłam. Amelia. Musiał wrócić do domu, żeby zabrać ją z mojego pokoju i napisać list. I wiem dlaczego. Dzięki Amelii mógł mieć uczucie, że jestem z nim do końca...

Kiedy to mówię, przemyka mi przez głowę wspomnienie, jak kiedyś w taksówce, gdy wracałyśmy ze szpitala do domu, mała Carla spytała mnie o lalkę

– Nadal ją masz?

– Nie – odparłam. I była to prawda.

Poprosiłam, żeby włożono ją Danielowi do trumny.

Smutek tych na nowo przywołanych wspomnień jest obezwładniający. Dławi mnie w gardle. Z trudem oddycham. Widzę ojca, jak szłocha. Nie jest w stanie uwierzyć w to, co jego oczy widzą aż nazbyt wyraźnie. Widzę matkę, jak obejmuje się ramionami i kiwa w przód i w tył, powtarzając w kółko jedno i to samo zdanie: To musi być pomyłka...

Zwracam się do Rossa.

– Nie rozumiesz? To była moja wina. Gdybym się nie umówiła z tym chłopakiem ze szkoły, Daniel by się nie zabił. To dlatego nigdy się już z nikim nie spotykałam. Aż do roku dwutysięcznego, kiedy ojciec powiedział mi, że czas pójść do przodu.

– Wtedy poznałaś Eda – mówi cicho Ross.

– Właśnie. Z tego samego powodu zostałam prawniczką. Nie tylko po to, żeby doprowadzić świat do ładu. Ale żeby doprowadzić do ładu siebie. Chciałam być pewna, że już nigdy nie popełnię błędu.

Przerywam.

– A potem? – naciska lekko Ross.

– Potem spotkałam Joego Thomasa.

Lily

Droga Lily!

Bardzo cię za wszystko przepraszam. Robiłam rzeczy, których robić nie powinnam. Ale nie robiłam rzeczy, które mi przypisują. Tak, czy inaczej, płacę za nie...

Zgadza się, do tej historii jest postscriptum.

Nikt nie wie, jak Carli udało się ująć z życiem. Gniew Joego Thomasa był przerażający. Jedną z przysięgłych trzeba było wynieść, kiedy zobaczyła zdjęcia.

Jedno jest pewne. Włoszka z obrazów Eda nigdy już nie będzie wyglądała tak jak kiedyś. Nie ma już tej pięknej cery. Zamiast niej jest płatanina blizn. Jedno oko już nigdy się nie otworzy. Usta opadają lekko z jednej strony. Zostały tylko lśniąca ciemne włosy.

Życie trwa długo. Szczególnie kiedy nie ma się już piękna po swojej stronie.

ZBRODNIA NAMIĘTNOŚCI

BYŁY WIĘZIEŃ I JEGO OBROŃCZYNI UWIKŁANI W ZAGADKĘ MORDERSTWA

WDOWA PO ARTYŚCIE WPLĄTANA W SKANDAL Z ZABÓJSTWEM

Takie tytuły pojawiały się przez kilka dni. Rozprawy były oczywiście dwie. Jedna Joego, druga Carli.

Na szczęście dla siebie Carla znalazła nowego rycerza w białej zbroi. Swojego prawdziwego ojca. Wcześniej nie zajmował się Carłą, bo miał własną rodzinę. Ale kiedy jego dzieci opuściły dom, a on się rozwiódł, wynajął detektywa, żeby odnalazł córkę. Carla była wtedy we Włoszech. Ojciec postanowił nie posuwać się dalej, ale był na tyle sentymentalny, że kupił portret, który jego człowiek sprytnie wyśledził w niewielkiej londyńskiej galerii. Obraz nosił tytuł *Mała Włoszka*, ale związana z pracą dokumentacja wymieniała modelkę z nazwiska.

Carla Cavoletti.

Portret wystarczył na jakiś czas. Dopiero potem, kiedy przeczytał o pierwszym procesie Carli i usłyszał o śmierci Franceski, w końcu obudziło się w nim sumienie. Wyłożył pieniądze na kaucję. Zmusił dziadka Carli, żeby utrzymał to w tajemnicy i powiedział, że to jego pieniądze.

Później, kiedy Carłę oskarżono o napaść na mnie i zamordowanie Eda, starczyło mu odwagi, żeby jawnie się w to włączyć. Ujawnił swoją tożsamość. Gazety znów miały swój dzień.

OJCIEC MAŁEJ WŁOSZKI OBIECUJE ZAOPIEKOWAĆ SIĘ WNUCZKĄ

Byłam zadowolona, że kiedy matka będzie odsiadywała wyrok, Poppy, z tym jej bezzębnym uśmiechem, zajmie się rodzina, ale starałam się o tym nie myśleć. Zajmowałam się swoimi codziennymi sprawami.

Miałam już dość prawa. Moja nowa praktyka – poradnictwo rodzinne – rozkwita. Tom o lata wyprzedza innych swoimi zdolnościami matematycznymi, ale nadal, niczym małe dziecko, ma napady wściekłości, kiedy przesunie się jego buty. Muszę sobie przypominać, że według specjalistów powinnam mówić „wzburzenie”, a nie „napad wściekłości”, gdyż to drugie zakłada pewną umyślność. Muszę sobie przypominać, że Tom naprawdę nie jest w stanie sobie z tym poradzić.

Pomogła jednak Alice, jego nowa koleżanka ze szkoły. Wszyscy lubimy Alice. Ma podobny problem,

co mój syn. Rozumie go. Może pewnego dnia będą więcej niż przyjaciółmi.

Poza tym mama i tata robią się coraz starsi i mówią o sprzedaniu domu. No i Ross, oczywiście. Ross, który stał się regularnym gościem w naszym domu. Nie narzuca się. Nie naciska. Ale często tu jest. Nawet po moim wyznaniu.

Tak jak dzisiaj, kiedy przyniósł list od Carli. Biorę głęboki oddech i czytam do końca.

... Piszę, bo chcę cię poinformować, że znów wyjdę za mąż, jak tylko Rupert dostanie rozwód. Ślub odbędzie się w więzieniu, ale to nie ma znaczenia. Rupertowi nie przeszkadza, że twarz mi się zmieniła. Kocha Poppy, jakby była jego własnym dzieckiem. (Nie jest). Mój adwokat mówi, że dożywocie nie zawsze znaczy dożywocie.

Proszę, przebac mi.

Mam nadzieję, że mimo wszystko będziesz w stanie życzyć mi szczęścia.

Pozdrawiam,

Carla

Rzucam list na trawę. Trzepocze na wietrze i odlatuje. Nie próbuję go złapać. Nic dla mnie nie znaczy. Carla zawsze potrafiła kłamać. Ale jest coś, co nadal nie daje mi spokoju. Coś niezupełnie w porządku...

– Guma do żucia, nożyczki, taśma klejąca, ostre narzędzia?

Znowu jestem w więzieniu. Innym niż ostatnim razem. I nie jako prawnik. Po prostu gość.

– Proszę podnieść ręce.

Przeszukują mnie. Szybko, ale dokładnie.

Przechodzi pies ze swoim przewodnikiem. Na mnie nie zwraca uwagi, ale cicho siada obok dziewczyny za mną. Odprowadzają ją. Widocznie tak pracują psy policyjne, które wykrywają narkotyki. Nie szczekają, nie warczą. Po prostu siadają.

– Dlaczego tu przysłaś?

Siedzę, kiedy wchodzi Joe Thomas. Jest chudszy. I jakoś wygląda na niższego. Patrzy na mnie lodowato. Powinna się bać. Ale się nie boję. Wokół nas jest mnóstwo ludzi.

– Chcę się dowiedzieć ze szczegółami, jak to było.

Rozpiera się na krześle, przechyla je, śmieje się.

– Już ci mówiłem. Powiedziałem o tym wszystkim podczas procesu.

Wracam myślami do tamtych chwil. Do czasu, kiedy Carlę skazano za zabicie Eda i zaatakowanie mnie. Do procesu, który odbył się kilka dni później, kiedy Joe dostał wyrok za napaść na Carlę. I za współudział w zamordowaniu Eda.

Niewiarygodne, prawda?

Ale tak było. Podczas procesu Carli Joe stanął przed sądem i powiedział, że spotkał ją na pogrzebie Tony'ego (inny żalobnik zeznał, że widział, jak rozmawiali) i że pozostawali w kontakcie. Potem zaprzysiągł, że Carla, znając jego kryminalną przeszłość, wynajęła go jako płatnego zabójcę i obiecała zapłatę, kiedy przyjdą pieniądze z polisy na życie Eda. Uzgodnili, że Joe wpadnie pewnego konkretnego wieczora. Ale kiedy wszedł do domu, Carla była w koszmarnym stanie – wkrótce przekonał się dlaczego. Właśnie sama dźgnęła Eda. W udo. Po czym uciekła i zostawiła intruza, żeby wina spadła na niego.

Carla gwałtownie temu zaprzeczała. Instynkt mi podpowiadał, że tak nie było. Doprawdy nie widziałam w Carli kogoś, kto potrafi wynająć zabójcę.

Ale pełnomocnik oskarżyciela był dobry. Bardzo dobry. Nieustępliwe wypytywanie doprowadziło w końcu do tego, że Carla się załamała i wyznała, że tak, wbiła nóż w ciało Eda. Ale on pierwszy wziął go do ręki, wyszłochała. Myślała, że z zazdrości o Ruperta chce jej zrobić krzywdę. To była obrona własna. Ale na pewno nie wynajęła Joego jako płatnego zabójcy. To kłamstwo.

Nowa ława przysięgłych jej nie uwierzyła. Fakt, że kłamała już wcześniej, utwierdził ich w tym przekonaniu.

Byłam przerażona, że Joe wskaże na mnie. Ale za ledwie powiedział, że Carla go wynajęła, wiedziałam, że zrobił to, żeby mnie chronić. Myślę, że klucz powinien być stać się kolejnym śladem. Ten, który zwrócił mi pocztą w gumowych rękawiczkach Carli. Myślałam wtedy, że zachęca mnie, żebym się zemściła.

Teraz zastanawiam się, czy nie dawał mi szansy na uniknięcie więzienia.

Swoją obecność w domu Carli Joe wyjaśnił w ten sposób, że przyszedł po obiecane pieniądze. I że natknął się na mnie ranną.

Ale oczywiście wiem, że było inaczej. Wrócił ze względu na mnie. Musiał podejrzewać, że pójde na spotkanie z Carłą, kiedy otworzę kopertę z rękawiczkami. Chciał się upewnić, że nic mi się nie stało.

Jestem do bólu świadoma, że gdyby powiedział prawdę, też trafiłabym do więzienia.

Ale tak to jest z kłamstwami. Jak mówiłam na początku, zaczyna się od drobnych. Potem się mnożą. Jest ich coraz to więcej. I tak niewinne kłamstewka stają się kłamstwami potwornymi. Ale jego kłamstwo uratowało mnie.

Zdumiewające, ale przysięgli uwierzyli Joemu. Pomogło to, że w wieczór śmierci Eda nie było śladów włamania. Więc to, że Carla wpuściła Joego z własnej woli, miało sens.

Dostał dożywocie za znowę w celu zabicia Eda i za napaść na Carłę. To samo dostała Carla za zabicie Eda. To samo Joe dostałby za zabicie nieszczęsnej Sarah Evans.

Można powiedzieć, że była w tym sprawiedliwość. Ale nie jestem tego pewna. Dlatego tu przyszedłam.

– Wiem, że nie powiedziałaś prawdy. Chcę wiedzieć, co się naprawdę stało.

Uśmiecha się ironicznie. Jakbyśmy prowadzili rozgrywkę, tak jak to było na początku, kiedy kazał mi sprawdzić dane na temat bojlera.

– Dotknij mnie. – Mówi tak cicho, że niemal go nie słyszę. Powtarza. – Dotknij mnie, to ci powiem.

Rozglądam się. Funkcjonariusze z założonymi rękami. Kobiety mówiące coś pośpiesznie do swoich partnerów naprzeciwko. Pary, które nic nie mówią.

– Nie mogę.

– Spójrz. – Patrzy wprost na mnie. – Spójrz na prawo od siebie.

Spoglądam więc. Kobieta obok uniosła stopę i trzyma ją między nogami partnera.

– Nie zrobię tego. – Czerwienię się. Robi mi się gorąco.

– No to ci nie powiem.

To szantaż. Taki sam jak wtedy, kiedy szantażował mnie w sprawie klucza i DNA.

Znów patrzę. Funkcjonariuszka, która stała najbliżej nas, idzie w stronę stolika, gdzie dzieją się rzeczy niedozwolone.

– Szybko – mówi Joe.

Serce mi przyspiesza, dokładnie tak samo jak wtedy nad brzegiem morza, kiedy Joe zabrał mój klucz. Fala pożądania spływa w dolną część ciała, chociaż próbuję z tym walczyć.

I wtedy w głowie pojawia mi się obraz stajni. Daniel z wiotką szyją. Amelia, moja lalka, która leży na ziemi pod jego wiszącym ciałem. I Merlin ze zdumionym wyrazem na swoim wszytkowiedzącym, kochanym pysku. Zabity przez mordercę Sarah Evans – albo prawie przez niego – w usiłowaniu, żeby mnie zastraszyć.

To dzwonek budzika. Mocny kopniak w stronę przytomności.

– Nie – mówię stanowczo. Moje stopy nadal stoją na podłodze. – Nie. Nie zrobię tego, Joe. Już się nie bawię we wszystkie te gierki. Skończone.

Po twarzy Joego przemyka rozczarowanie, po czym wzrusza ramionami, że niby „skoro tak chcesz”.

Tak jakby już chciał wstać, ale zmienia zdanie.

– Okej. Masz szczęście. Dzisiaj jestem wspaniałomyślny. I tak dam ci wskazówkę.

– Mówiłam ci! – Prawie wałę pięścią w stół. – Żadnych gierek więcej.

– Ale ta jest w twoim interesie, Lily. Przyniesie ci spokój. Wierz mi. – Od jego uśmiechu przenika mnie chłód. – Patrz na mój palec. Dokładnie.

Wodzi palcem po blacie stolika i wypisuje cyfry. Jest tam 0. Potem 5. A potem chyba 6.

– Nie rozumiem. – Łzy wzbierają mi w oczach. Niedobrze mi. Czas odwiedzin już się kończy. Myślałam, że przychodząc tutaj, zamknę sprawę. Nie zamknęłam. Zamiast tego usiłuję wydobyć sens z szaleńca.

– Popatrz jeszcze raz.

Zero. Na pewno.

Pięć. Przynajmniej tak to wygląda.

Sześć.

Zero pięćdziesiąt sześć?

– Pięć minut – warczy stojąca za mną funkcjonariuszka.

Joe zerka na zegar. Czy to jest wskazówka?

Spróbuj, mówię sobie. Myśl o tej zagadce tak, jak myślałby twój syn. Spójrz na to pod innym kątem.

– Nie wiem – szlocham. – Nie wiem.

Inni osadzeni zaczynają na nas patrzeć. Joe też to widzi.

Mówi. Powoli. Po cichu. Jak rodzic uspokajający dziecko.

– Więc ci powiem. To nic nie znaczy. Czasem widzimy wskazówki tam, gdzie ich nie ma. Lily, prawda jest taka, że jesteś dobrym człowiekiem. Ale tamtego wieczoru byłaś słaba. Zraniona. Wystraszona. Dlatego pozwoliłaś mi zabrać klucz. Wiedziałem, że gdybym posłużył się nim, żeby zrobić coś strasznego, nigdy nie potrafiłabyś sobie tego wybaczyć. Cóż, teraz możesz. To miałem na myśli, mówiąc, że nie musiałem używać klucza. Dlatego odesłałem ci go pocztą.

Błyska mi iskierka nadziei.

– Szczerze?

Po raz pierwszy dociera do mnie, że tak naprawdę nie znam tego człowieka. Nigdy nie znałam. Owszem, może jest podobny do Daniela. Mówi jak on. Ale nie jest Danielem. Jest mordercą. I kłamcą.

Uśmiecha się.

– Szczerze. Carla otworzyła drzwi, zanim mogłem użyć twojego klucza. Najwyraźniej chciała uciec.

– Więc to nie moja wina, że Ed został zamordowany?

Kręci głową.

– Ale dlaczego mówiłeś, że wynajęto cię jako mordercę?

Kolejny uśmiech.

– Wiedziałem, że mogę zostać skazany za napaść na Carłę, więc pomyślałem, że pociągnę ją za sobą.

– Ale to znaczyło, że dostaniesz dłuższy wyrok – szepczę.

– Tak. Cóż. – Wzrusza ramionami. Wygląda na zakłopotanego. – Nazwijmy to przedostatnim aktem miłości wobec kobiety, której nigdy nie będę miał.

– Przedostatnim? – szepczę.

– Tak, a to jest ostatni. – Nachyla się bliżej. – Carłę skazano za zabicie Eda, bo wbiła w niego nóż. Prawda?

Kiwam głową.

– Ale nóż znaleziono na podłodze.

Wracam pamięcią do pytań w sądzie, kiedy podniesiono właśnie tę kwestię. Carla w końcu powiedziała, że tak. Wbiła nóż w Eda. Nie pamiętała, co stało się potem. Wszystko to było takie mętne...

– Lily, kiedy przyszedłem tamtego wieczoru, nóż nadal sterczał z nogi Eda. – Joe mówi bardzo powoli. Bardzo wyraźnie. – Ta głupia kobieta po prostu go tam zostawiła. Nie należy wyciągać noża, o ile nie dysponuje się właściwą wiedzą medyczną. Wiedziałaś? To może spowodować znacznie większe

obrażenia.

Ledwie mogę oddychać.

– Wróciłem. Po tym, jak zobaczyłem, że Carla wyrzuca rękawice, wszedłem do waszego domu jeszcze raz. Chciałem sprawdzić, czy nie zostawiłem czegoś, co mogłoby mnie pograżyć. Przez kilka minut czekałem na dworze, za żywopłotem, ale nikt nie zauważył, że drzwi są uchylone. To jest doskonałe w tych dużych domach. Są odsunięte od ulicy. Świetne cele dla włamywaczy.

Mówi to tak nonszalancko. Ledwie udaje mi się ukryć dreszcz.

– Wszedłem. Nie mogłem się powstrzymać, żeby na niego nie spojrzeć. I wtedy zdałem sobie sprawę, że on nadal oddycha. Wciąż myślałem, jak cię skrzywdził. Więc to zrobiłem. Wyrwałem nóż. Krew trysnęła. Wydał z siebie te dziwne, bulgoczące dźwięki...

Odwróciłam wzrok. Dławiła mnie rozpacz.

– Wtedy dałem drapaka. Później spaliłem ubranie i rękawice – miałem swoje, oczywiście. I czekałem, aż policja mnie namierzy. – Kpiąco się uśmiechnął. – Nie mogłem uwierzyć, że ją aresztowali. A potem się dowiedziałem, że jej bronisz. Przez jakiś czas myślałem, że coś rozgrywasz, masz jakiś system. Próbowалаś ukazać ją jako niewinną przy pomocy tego nieudolnego streszczenia, żeby w ten sposób zdyskredytować sprawę i uzyskać jej skazanie. Wysłałem ci rękawice Carli, żeby ci pomóc. Ale jak się okazało, nie wykorzystалаś ich i Carla wyszła na wolność.

– Więc naprawdę to ty zabiłaś Eda – powiedziałam powoli.

– Możesz powiedzieć, że zrobiliśmy to wszyscy troje. – Wpatruje się we mnie tymi swoimi czarnymi oczami.

Znów się krzywię.

Joe wyciąga do mnie rękę. Waham się. Po czym pozwalam sobie koniuszkiem palca dotknąć jego palca. Przelotnie. Choćbym nie wiem jak się starała, zawsze będę związana z Joem ze względu na naszą wspólną przeszłość. Cóż z tego, że kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy, siedział w więzieniu, a ja byłam wolna i dopiero zaczęłam zanurzać palce w tym nowym, strasznym świecie drzwi z podwójnymi zamkami, długich korytarzy i strażników. Próbowалаm go stamtąd wyciągnąć i dlatego odbierałam to tak, że my dwoje występujemy przeciwko reszcie świata.

I ta nasza głupia schadzka w Heath, narodziny Toma, zamordowanie Eda, skazanie Carli. Widać, jak potrafią się zacierać granice między dobrem a złem.

– Kocham cię – mówi, wpatrując się we mnie tymi swoimi czarnymi oczami. – Kocham cię, bo mnie rozumiesz.

Daniel zwykł mówić tak samo.

I co z tego wyszło?

– Nie mogę... – zaczynam.

– Wiem. – Joe silniej ściska mi dłoń.

Wyrrywam ją.

– Lily, jesteś silniejsza, niż ci się wydaje. – Joe jest niemal rozbawiony. Potem twarz mu smutnieje. – Dbaj o mojego chłopaka.

Myślę o wspaniałych rysunkach Toma. O tym, że wystarczy mu spojrzeć na coś, aby potem przenieść to na papier. To jego nowa umiejętność. Nawet nie wiedziałam, że ją ma, dopóki w jego szkole nie pojawił się nowy nauczyciel rysunków, prosto po studiach. Niesamowite, jak wiele może zmienić oddany nauczyciel. Ktoś, kto naprawdę rozumie dziecko z zespołem Aspergera (i bez tego zespołu).

Tego rodzaju dary są dziedziczne. Przynajmniej tak mówi nauczyciel.

Joe nadal na mnie patrzy.

– Myślałem o tym. Nie chcę kolejnego testu DNA. Chcę udawać, że Tom jest mój. Dzięki temu będzie mi łatwiej. I nie martw się o mnie. Należało mi się, żeby wrócił do więzienia.

– Czas!

Joe puszcza moją rękę. Przez moment odczuwam to jako stratę, po czym zalewa mnie wszechogarniająca fala wolności.

Głos Joego się zmienia.

– Nie przychodź więcej, Lily. – Patrzy na mnie, jakby uczył się na pamięć każdej cząstki mojej twarzy.

– Nie odwiedzaj mnie. To nie byłoby w porządku. Dla żadnego z nas. Ale życzę ci szczęścia. Szczęśliwego, wspaniałego życia.

Po raz ostatni trzyma na uwięzi mój wzrok tymi swoimi czarnymi oczami.

– Zasługujesz na to.

Epilog

Lato 2017

ŚLUBY

12 lipca odbyła się skromna uroczystość zawarcia związku małżeńskiego pomiędzy Lily Macdonald i Rossem Edwardsem...

Szczęśliwa? – pyta Ross, kiedy wracamy pieszo do domu po ślubie kościelnym.

Tak – Ross i ja. Stało się to w tak naturalny sposób, że dziwiłam się, dlaczego nie zrobiłam tego wcześniej.

Mama ma na sobie różowy jedwabny kostium, a na twarzy wyraz oszołomionego szczęścia. Tom trzyma się za ręce z Alice (ich związek nadal się umacnia). Sądząc po zdjęciach z albumów, które pozostawiła mi po śmierci była teściowa, mój syn wygląda jak Ed w jego wieku. Mam teraz do siebie więcej zaufania, że dam radę wychować Toma. Już się nie boję, że strącę go w przepaść, tak jak Daniela.

Tato tymczasem pilnuje grilla.

Jesteśmy jedną z wielu par, które pobierają się w średnim wieku. Takich jak my jest mnóstwo. Carla nie jest jedyną kobietą, która wychodzi za mąż w więzieniu. I pewnie tak samo Joe. W gazecie było zdjęcie jego przyszłej żony. Rozpoznałam w niej natychmiast moją dawną sekretarkę, która z takim przejęciem ogłosiła kiedyś w biurze swoje zaręczyny. Na lewej ręce miała iskrzący się diament. „Włożył pierścionek do bożonarodzeniowego puddingu! O mało go nie połknęłam”.

Więc to ona była informatorką Joego! Przez cały ten czas, kiedy twierdził, że ma fioła na moim punkcie, ją też rozgrywał. Najwyraźniej uznała, że nadal go kocha, mimo że jest mordercą.

To dowód – jeśli w ogóle jakieś istnieją – że powinnam pójść naprzód. To, co przede mną, jest jak niezapisana tablica. Codziennie obiecuję sobie, że zapomnę o przeszłości.

Ale poczucie winy czasem wraca i prześladowuje mnie w postaci koszmarnych snów. Gdybym powiadomiła policję o tym, co powiedział mi Joe o wyciągnięciu noża, to być może Carli zmniejszono by wyrok. Ale Joe jest nieprzewidywalny i dobrze o tym wiem. A gdyby ponownie otwarto przewód sądowy, istnieje możliwość, że Joe powiedziałby na sali rozpraw o kluczu i utrzymywałby, że było to równoznaczne z wynajęciem go, co wcześniej przypisał Carli.

Tego scenariusza nawet nie będę brała pod uwagę. Jak Tom dałby sobie radę beze mnie? Jak ja dałabym sobie radę bez niego?

Więc Carla zostanie w więzieniu ze względu na mojego syna.

Nie jest łatwo dźwigać taki ciężar, wierzcie mi.

Odkąd zesłaliśmy się z Rossem, dużo myślałam. Pomógł mojemu młodszemu „ja” wybaczyć sobie sprawę Daniela. Teraz rozumiem, że popełniałam błędy, bo byłam młoda i wrażliwa. Daniel sprawił, że poczułam się ze sobą dobrze, kiedy w szkole szykanowano mnie, bo byłam gruba. Ale jak na ironię, co delikatnie zasugerował Ross, mój adoptowany brat sam mnie szykanował.

– Czasem trudno się w tym połapać – powiedział życzliwie. – Szczególnie kiedy się kogoś kocha. Jego trudne dzieciństwo, zanim adoptowali go twoi rodzice, też odegrało swoją rolę.

Jakie to prawdziwe. Czasem ludzie są po prostu inni, bez względu na to, czy mają przylepioną jakąś etykietkę czy nie. Na przykład zespołu Aspergera.

Ross pomógł mi także uporać się z moim zachowaniem tamtego wieczoru w Heath, po wygranej apelacji Joego.

– Byłaś w euforii po procesie – powiedział. – Myślałaś, że z Edem nie masz przyszłości. Joe przypominał ci Daniela.

Ross to dobry człowiek. Zawsze widzi w ludziach to, co najlepsze.

Ale nadal nie jestem w stanie mu powiedzieć o ostatnim wyznaniu Joego. Że Carla wcale go nie wynajęła. Że Joe wyciągnął nóż i pozwolił, żeby Ed wykrwawił się na śmierć. Chyba wiem, co by mi powiedział Ross. Że moim moralnym obowiązkiem jest to zgłosić, bez względu na konsekwencje.

Kiedy czuję potrzebę usprawiedliwienia się (co zdarza się bardzo często), przypominam sobie radę, którą dał mi jeden z moich profesorów na studiach.

– Możesz w to wierzyć albo nie, ale niektórym kryminalistom zbrodnia uchodzi na sucho. Inni idą do więzienia za przestępstwa, których nie popełnili. A pewnemu procentowi tych „niewinnych” uchodzą na sucho przestępstwa, które popełnili wcześniej. Więc można powiedzieć, że koniec końców wszystko się równoważy.

Może miał rację. Joe powinien trafić do więzienia za Sarah. Trafił tam za Carlę i Eda. Śmierć Eda nie powinna w pełni obciążać Carli. Może jej wyrok jest karą za zamordowanie mojego małżeństwa. Za to, że poprosiła czegoś, co się jej nie należało.

Tak czy inaczej, Carla dostała dożywocie. Ale jak słusznie zauważył jej adwokat, dziś ma to inne znaczenie. Wyjdzie, zanim się zestarzeje.

Ale mój wyrok zostanie ze mną do śmierci. Bo takim już jestem człowiekiem. Człowiekiem, który chce być dobry, ale nie zawsze mu się udaje.

– Gotowa? – pyta Ross. Szarmancko bierze mnie na ręce, żeby przenieść przez próg przebudowanej stodoły, którą mama i tato właśnie ukończyli na swojej działce, żeby dać nam trochę prywatności.

Goście rzucają confetti i wykrzykują życzenia wszystkiego najlepszego, a ja w duchu przysięgam sobie, że z pomocą Rossa moje życie będzie odtąd inne.

– Kocham cię – mówi i delikatnie muska ustami moje usta.

Ja też go kocham. Ale, co dziwne, jakaś część mnie nadal tęskni za Edem. Chodzi o te małe rzeczy, które zapamiętałam. Ed lubił słabą herbatę i krótko trzymał torebkę w kubku. Wiedział, że lubię chrupki ryżowe bez mleka. Takie okrucieństwa wzajemnego zrozumienia, nawarstwiając się przez lata, tworzą więź, której nie da się zapomnieć.

No i oczywiście łączył nas Tom. Nie ma znaczenia, że nie zrobiłam testu na ojcostwo, bo nie wiedziałam, czy dam sobie radę z wynikiem. Słusznie czy nie, jest mi łatwiej, kiedy nie wiem, czy mój ukochany syn jest dzieckiem Eda czy Joego.

To Ed wychowywał Toma, jakby był jego synem (choć nie miał powodu, żeby uważać, że jest inaczej). A teraz Ross obiecał, że będzie robił to samo.

– Zawsze będę przy nim. I przy tobie.

Wiem. Nie zasługuję na niego. Przynajmniej ta mroczna strona mojego ja. Ale być może wszyscy mamy w sobie warstwy dobra i zła. Prawdy i oszustwa.

Teraz, kiedy zabieramy się z Rossem do krojenia weselnego tortu, otoczeni przyjaciółmi i rodziną, z Tomem u boku, jedno wiem na pewno.

Nie jestem już panią Macdonald.

Jestem żoną mojego nowego męża.

Na dobre.

Albo na złe.

Od autorki

Był to mój pierwszy dzień w pracy. Miałam potworną tremę. I nic dziwnego. Kiedy zobaczyłam te zwoje drutu kolczastego na szczycie wysokiego betonowego muru, zrobiło mi się niedobrze ze zdenerwowania. Co ja, u diabła, tutaj robię? Czy zwariowałam, żeby ubiegać się – skutecznie – o pracę w męskim więzieniu o podwyższonych standardach zabezpieczenia? Jak ja sobie poradzę przez dwa dni w tygodniu z kryminalistami, wśród których są także psychopaci? Czy będę bezpieczna?

Aż do tamtego dnia uważałam, że więzienia są dla innych, dla ludzi, którzy zrobili coś strasznego. Myśl, że znajduję się wśród nich – czy to jako przestępca, czy jako członek personelu – nigdy wcześniej nie powstała mi w głowie. Ale kiedy się rozwiódłam, któregoś dnia natknęłam się na ogłoszenie, że poszukuje się osoby do prowadzenia warsztatów pisarskich w pewnym zakładzie karnym położonym niedaleko mojego dawnego domu. Zbiegło się to z końcem mojej dziesięcioletniej pracy jako felietonistki w tygodniku dla kobiet. (Odszedł naczelnny i wprowadzono zmiany). Musiałam się zająć czymś innym. Udało mi się znaleźć tylko tę pracę.

Podczas lat spędzonych po tamtej stronie muru odkryłam świat, którego nie byłabym w stanie sobie wyobrazić, gdybym tam nie trafiła. Świat, w którym nikt nie jest tym, na kogo wygląda. Świat, do którego zaczęłam się dostosowywać. Nawet uzależniłam się od niego i – ośmielę się to powiedzieć – polubiłam. Ale przez cały czas, gdzieś w głębi, towarzyszył mi strach i poczucie niewiadomej.

Przekonałam się, że w więzieniu istnieją niezliczone sprzeczności. Był śmiech. Ale były i łzy. Była życzliwość. I był gniew. Z niektórymi pracownikami bardzo się zaprzyjaźniłam, ale byli i tacy, którzy żywili zrozumiałe podejrzenia wobec jakiejś pisarki o dobrym serduszkku, która przyszła pomagać kryminalistom. Któregoś dnia podejrzewano mnie, że przemycam chipsy, żeby „przekupić” więźniów. Przeszukali mnie i znaleźli przy mnie paczkę chipsów, cebulowych z serem, na własny użytek. Złożyłam zażalenie i już nikt więcej nie kwestionował mojej wałówki na lunch.

Nauczyłam się też, że zaufanie trzeba sobie zaskarbić, chociaż może się to wiązać z ryzykiem. Zdarzało się na przykład, że prowadziłam zajęcia grupowe, a nawet indywidualne, w cztery oczy, pod nieobecność jakiegokolwiek strażnika. Któregoś dnia okazało się, że nie ma dla mnie pomieszczenia. Więźniowie zaproponowali, żebym poprowadziła zajęcia piętro wyżej, w sąsiedztwie ich sypialni. Zazwyczaj nie pozwalano na to, ale wtedy personel więzienia wydał mi zgodę, „o ile uznam to za stosowne”. W rezultacie znalazłam się w skomplikowanej sytuacji. Gdyby coś mi się stało, gazety miałyby używanie, ukazując pisarkę, która dostała po łbie na własne życzenie. Ale gdybym odmówiła, więźniowie pomyśleliby, że im nie ufam. Z duszą na ramieniu poszłam na górę... i wszystko było jak trzeba. Tak, generalnie więźniowie traktowali mnie z ogromną kurtuazją, a pisanie wspomnień z własnego życia, powieści, opowiadań i wierszy sprawiało im kolosalną satysfakcję. Wszystko to, jak mi powiedziano, może podnieść poczucie własnej wartości, co z kolei zmniejsza ryzyko ponownego popełnienia przestępstwa.

Ale pozory mogą mylić. Niektórzy z moich uczniów byli z dnia na dzień przenoszeni do innego więzienia, bo popełnili jakieś wykroczenie, na przykład znaleziono przy nich narkotyki albo telefon komórkowy. Więźniowie potrafili się nawzajem krzywdzić (za mojej tam bytności jeden osadzony

zamordował drugiego). Dotarła do mnie także dziwna pogłoska o związkach, jakie się zdarzały między pracownikami a więźniami.

Kiedy zaczynałam pracę, myślałam, że będę próbowała się dowiedzieć, jakie przestępstwa popełnili moi uczniowie. Potem się przekonałam, że zgodnie z niepisaną więzienną tradycją, o to „się nie pyta”. Czasem jednak ci ludzie sami chcieli mi o tym powiedzieć. Jeden wyznał, że był gwałcicielem. Inny, że mordercą. Bardzo żałowałam, że nie siedzieli cicho. Znacznie lepiej było widzieć w nich po prostu ludzi, którzy chcą pisać. Bądź co bądź, słowa są wielkim niwelatorem.

Wszystkie te doświadczenia – a także inne – zainspirowały mnie do napisania *Żony mojego męża*.

Mam nadzieję, że lektura sprawiła wam przyjemność.

Podziękowania

Mam wielki dług wdzięczności wobec mojej agentki, Kate Horden, za to, że tak spodobała jej się moja książka i że nie szczędziła mi rozumnych rad. Kate to wspaniała przywódcą.

Błogosławię dzień, w którym spotkałam Katy Loftus, znakomitą wydawczynię z Penguin Books. Natychmiast zrozumiała moich bohaterów równie dobrze jak ja. Trudno przecenić jej wkład i umiejętności.

Słowa nie wyrażą, jak przyjaźnie przyjęła mnie cała rodzina Penguin. Ich wiara, zachęta, profesjonalizm i wsparcie były czymś wspaniałym. Ilekroć wchodziłam do pomieszczeń wydawnictwa, czułam miły dreszczyk. Nie sposób wspomnieć tu wszystkich, chciałabym jednak wymienić z nazwiska Annie Hollands, Poppy North, Rose Poole i Stephenie Naulls oraz fantastyczny zespół prawny. Wszyscy pomagali mi od samego początku. Fotografka Justine Stoddart znakomicie się spisała, męcząc się w ulewnym deszczu z moją grzywką. Caroline Pretty, adiuśtatorka, była bardzo pomocna również jeśli chodzi o harmonogram.

Na szczególną wzmiankę zasługuje legendarna Betty Schwartz, która pomagała mi na pierwszym etapie książki i od tego czasu stała się członkiem rodziny, a wraz z nią jej ciepły, zabawny mąż, Ronnie.

Wiele wysiłku włożono w to, żeby opis działań prawnych był poprawny. Ogromnie dziękuję Richardowi Gibbsowi, emerytowanemu sędziemu i koledze z kortu tenisowego. Podziękowania należą się także Ianowi Kelceyowi z Kelcey&Hall Solicitors, z którym uprzejmie skontaktowała mnie Rada Adwokacka. Ale to nie jest książka prawnicza! Prawo jest tylko tłem dramatu.

Jestem bardzo wdzięczna Peterowi Bennettowi, byłemu dyrektorowi więzienia, w którym przez trzy lata prowadziłam warsztaty pisarskie. Podkreślam, że więzienie Breakville nie było wzorowane na więzieniu, w którym pracowałam. Niemniej nauczyłam się tam widzieć świat z innej strony. Życie więzienne dziwnie wciąga człowieka z zewnątrz i zawsze zaskakuje.

Krajowe Towarzystwo Autystyczne służyło mi nieocenioną pomocą przy zbieraniu materiałów do książki. Jeśli jesteście zainteresowani, odwiedźcie, proszę, www.autism.org.uk.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak trudno zabić bohatera książki, dopóki nie porozmawiałam z dr Elizabeth Soilleux, lekarką sądową i honorową starszą wykładowczynią w szpitalach zarządu powierniczego fundacji Krajowej Służby Zdrowia Uniwersytetu Oksfordzkiego. Dziękuję ci, Elizabeth, za nasze rozmowy telefoniczne do późna w nocy i rozmaite scenariusze „czy to się mogło zdarzyć?”.

Jako autorka wiem, jak trudno pogodzić najrozmaitsze obowiązki. Jestem więc bardzo wdzięczna pisarzom, którzy poświęcili swój czas na lekturę Żony mojego męża.

Wielu literatów jest przekonanych, że nikt nie myśli tak jak oni. Ale z biegiem lat odkrywamy z radością, że podobnych umysłów jest więcej. Szczególnie chciałabym wspomnieć moje przyjaciółki Kate Furnivall, Rosannę Ley i Bev Davies oraz wszystkich z Freelance Media Group, a także moje nowe odkrycie – fantastycznych Prime Writers. Dziękuję za przyjęcie mnie do waszego grona.

Na koniec chciałabym wyrazić uznanie dla odwiecznej instytucji małżeństwa. Można je kochać, można nienawidzić, ale obrączka ślubna prowadzi czasem do niezwykłych sytuacji...

Przypisy

^[1] Niemiecki obóz jeniecki z czasów II wojny światowej, zlokalizowany w murach renesansowego zamku w miejscowości Colditz w Saksonii (przyp. tłum.). ^[2] Nieprzetłumaczalna gra słów. *Appeal* – apelacja, *a peel* – obierka, *a peal* – bicie dzwonu. Wszystkie słowa wymawia się prawie identycznie (przyp. tłum.). ^[3] Rupert Brooke – poeta angielski (1887–1915), uczestnik I wojny światowej. Joe Thomas cytuje fragment jego wiersza *Old Vicarage* (Stara plebania), w którym poeta-żołnierz z nostalgią wspomina sielskie życie na angielskiej prowincji w czasach pokoju. Odnośny fragment brzmi: *And laughs the immortal river still / Under the mill, under the mill ?/ Stands the Church clock at ten to three? / And is there honey still for tea?* (przyp. tłum.). ^[4] Program telewizyjny, rodzaj quizu, w którym walczą ze sobą dwa zespoły studentów, reprezentujących dwie różne uczelnie, nadawany od 1962 r. (przyp. tłum.). ^[5] Knightsbridge – Most Rycerzy. Carla rozumie to jako Nightbridge – nocny most (przyp. tłum.). ^[6] Początek wiersza Williama Wordswortha *Upon Westminster Bridge*, przeł. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.). ^[7] Pierwszy wers znanego wiersza Williama Blake’a (1757–1827) *Tygrys*, przeł. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.). ^[8] Centralny Sąd Karny w Londynie (przyp. tłum.). ^[9] ang. mak, maczek (przyp. tłum.).

Table of Contents

[Okładka](#)

[Tytułowa](#)

[Redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[CZEŚĆ 1](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[CZEŚĆ II](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

[Lily](#)

[Carla](#)

